

W 1985. 234
Cm
JÓZEF CZAPSKI

TUMULT I WIDMA

INSTYTUT
PARYŻ



LITERACKI
1981

TUMULT I WIDMA

BIBLIOTEKA « KULTURY »

TOM 342

IMPRIME EN FRANCE

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,
91 avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

JÓZEF CZAPSKI

TUMULT I WIDMA

*Ils se cachent dans la presse,
et appellent le nombre à leur
secours Tumulte.*

Blaise Pascal

INSTITUT
PARYŻ



LITERACKI
1981



11 1.985.275

Ⓐ chr.

© COPYRIGHT INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L., PARIS, 1981.
91, AV. DE POISSY, LE MESNIL-LE-ROI PAR MAISONS-LAFFITTE

1981 D708/1

CZĘŚĆ PIERWSZA

Z PIERWSZYCH LAT
PARYŻA

ZE WSPOMNIEN

Siostram moim — poświęcam

W październiku 1942 roku armia gen. Andersa po opuszczeniu ZSSR ruszyła z Persji do Iraku. Co do mnie, po dłuższej chorobie w Meszhedzie udałem się w drogę nie z armią ale z paru kolegami pociągiem do Zatoki Perskiej, do Achwazu i Basry, a stamtąd znowu koleją do Bagdadu.

Niewiele pamiętam z tej drogi poza młodymi topolami w Sultanabadzie i wrażeniem, którego doznałem po nocy w pociągu przez ostatnich parę godzin podróży przed Achwazem.

Już od świtu otaczała nas daleka przestrzeń pustyni. Miało się wrażenie, że tor kolejowy idzie po bezkresnym klepisku.

Jeden z braci Styków malował znane w Polsce pejzaże pustyni. Pod niebem z ultramaryny ziemia była zawsze pomarańczowo-żółta. Dzięki tym obrazom wyobrażałem sobie pustynię jako szczyt krzykliwie kolorowej monotonii. Co za niespodzianki przeżyłem rozpoczynając od Persji!

Ile pustyń, tyle różnych pejzaży. Bogactwo oświeleń, bogactwo gamy barwnej, zależnej od pory roku, pory dnia, różnic gleby i różnego jej ukształtowania.

Pustynie pomiędzy Meszhedem a Teheranem z wyrastającymi nagle z piaszczystej płaszczyzny jak z morza skalistymi górami-rafami, to niebiesko-szarymi, to liliowymi, różowymi czy nawet cytrynowymi, pustynie piaszczyste Transjordanii, z setkami lekkich wielbłądów, kawowych, białych, chrupiących kolczaste nędzne krzaczki, albo dziesiątki mil równo zasypanych czarnymi kamieniami, tak że nic nie widać więcej jak te kamienie czarne, z lekka nabierające fioletu i czerwieni o zachodzie. („Tu trzeba by Hitlera sprowadzić, niech te kamienie przerzuca!” — mówił

dobroduszny kierowca, krakowianin Pyszny. Był to najwyższy z możliwych, według niego, wymiarów kary).

Pustynie, po których błędził Mojżesz z narodem wybranym przez 40 lat, a któreśmy przebywali w 7 godzin, jadąc z Jerozolimy do Kairu jeepem, pokryte delikatnym lotnym białym piaskiem, nawiewanym w sypkie wzgórza (miało się wrażenie śniegu — przychodziła pokusa nart).

Nie mówiąc już o Iraku, gdzie widziałem te pustynie pokryte trawą, czerwonymi, liliowymi anemonami i niebieskimi ostami. Te osty u nas delikatne, nasycone wilgocią łąk, wyrastają tam w potężne krzaki zatory o blaszanych listkach i kolcach ostrych jak igły. Ta sama pustynia wysychała w czerwcu, a w sierpniu była już naga, w niektórych miejscach miała dziwnie pomarszczoną falistość, różowe stożkowate wzgórza, jak na księżycowym pejzażu. I jeszcze fatamorgany przesuwające się przed autem coraz dalej, fatamorgany przezręczystych, nieistniejących tafli wód. Te pustynie w porze deszczów zamieniały się w bagniska bezkresne, unieruchamiające nas po obozach.

Niezapomniane światło wieczorami — delikatna biel namiotów na zawsze bezchmurnym pawim niebie, promiennność, precyzja i urzekająca logika cieni i światła, logika, która się tak nie narzuca w bogatym, zadrzewionym i zabudowanym pejzażu.

Pustynie są piękne jak morze i jak morze miewają kolory — to delikatnie szary „corotowski”, to przypominający Renoira, tego właśnie z pejzażów morskich — gdzie delikatny *bleu céleste* gra z cytrynowymi, różowymi tonami złotem i jedwabiami wyszywanej tkaniny.

Dojeżdżając do Achwazu, ta pustynia z ubitej i twardej gliny rudoszarego koloru zrobiła na mnie wrażenie przygnębiające, bardziej nawet niż pustynia Karakum w Turkiestanie, gdzie przecież od czasu do czasu widziałem krzaki w rodzaju naszego jałowca, na nierównym, ciemnopiaszczystym gruncie.

Z okien wagonu widzę przy nielicznych stacyjkach wioseczki jak ruiny glinianych chałup, przy tym te typowo arabskie budy z ustawionych starych bidonów i resztek jakichś szmat.

Przed nędzną budą stoi kobieta z pierścionkiem turkusowym w nosie, w płomiennie czerwonej spódnicy. Ma ciężkie srebrne bransolety na brudnych, jędrnych nogach i rękach. To jedyny ślad estetyki, który tu dostrzegłem. Dzieci nędzne o ciemnej skórze, w nieprawdopodobnie brudnych, rozpadających się łachmanach, wyciągają chude, smagłe rączki, żebrząc. (Największa

śmiertelność dzieci jest właśnie tam, w krajach otaczających Zatokę Perską).

Achwaz, przerzutowa dla naszej ludności cywilnej baza, to koszary perskie, oddane do naszego użytku. Zastaję tam 1.700 ludzi, jadących do Indii i Afryki; 46 % dzieci i młodzieży, 44 % kobiet. To wszystko ludność cywilna, którą gen. Anders zdołał wyprowadzić razem z wojskiem z Rosji Sowieckiej. Już 8 tysięcy ludzi przepłynęło przez Achwaz, chorych było 135 i pomimo strasznego klimatu, kończącego się ognistego lata, zanotowano tu tylko czternaście wypadków śmierci. Mówiąc o chorych pomijam nagminne choroby oczu (do 300 opatrunków dziennie); pono wszystkie te schorzenia przywieziono z Rosji. Leczy Polaków tutejszy lekarz wojskowy, Indus, o którym od personelu aż do biednych kobiet wiejskich wszyscy mówią z najwyższym zachwytem, o jego miłosierdziu i oddaniu choremu. Taki szczerzy entuzjazm do Indusów lekarzy i pielęgniarzy spotykałem nieraz wśród polskich uchodźców; najmniej jakby wrażliwy na „subtelność” podoficer „morowiec” opowiadał mi o nich z nieśmiałym wzruszeniem, jakby chcąc ukryć wstydliwie zachwyt przed wyjątkową ludzkością tych nigdy dotychczas nie spotykanych, tak braterskich kolegów.

Upał jest jeszcze straszliwy, suchy ale ciężki, bo całe niebo zasłane szarą mgłą, tylko ta mgła to nie wilgoć, a nawet chmury kurzu. Ludzie, którzy tu siedzą od początku lata, śmieją się z naszych skarg na upał i twierdzą, że teraz już „zimno”. Mówią mi tutaj, że to trzecie miejsce na świecie pod względem upału; nie wiem jednak, czy to jest ściśle (pierwsze Aden, drugie Basra, trzecie Achwaz).

Zwiedzamy bazę. W kuchni 48 kotłów, w których się gotuje (na ropie) jedzenie dla tej rzeszy polskiej. „Anglicy dają bez rachunku, opowiada mi ze zdziwieniem młoda chłopka, Ukrainka spod Lwowa, aż 43 beczki pekelflejszu i słoniny”. Przy uwijających się kucharach widzę stos wielkich i bardzo długich ogórków, kupy fasoli. Ten dostatek to temat wciąż powtarzających się rozmów ludzi, którzy tylko co opuścili Sowiety. Nasi wygnañcy, przeważnie kobiety wiejskie z dziećmi z kresów, mieszkają w długich, względnie świeżych gmachach. Czekając na wyjazd do Afryki, leżą na matach. Dzieci się bawią w wyjazdy statków, trąbią i gwizdzą, naśladując syreny. „Proszę wsiadać... Już nie ma miejsca” — woła jeden z nich. Jest trochę palm, ale są niskie i robią wrażenie hodowanych, jak u nas w ogrodach. Dopiero w Basrze będę widział gęste haszcze wysokich palm tak pokrytych kurzem, że aż szarych.

Po obiedzie jest siesta. Leżę w nieoddychalnym powietrzu, zlany potem, okładając się do tego mokrymi ręcznikami, z których cieknie natychmiast nagrzewająca się i bez tego ciepła woda. Już o zmierzchu wychodzę się przejść, nie ku miastu, ale w kierunku przeciwnym, na to bezkresne klepisko pustyni. Horyzont ginie w szarym tumanie.

Po Meszhedzie, pięknych wzgórzach Siedmiu Sióstr, na które patrzyłem z okien szpitala, jak się wyłaniały nad miastem i nad bujnymi ogrodami szpitalnymi, po pięknym Teheranie u stóp dzikich gór z licznymi ogrodami, basenami okolonymi cienistymi drzewami, tu nagle, w tej pustyni dotkliwie, namacalnie przypomina mi się późna jesień na Kresach, choć trudno mi nawet uchwycić dlaczego tu właśnie mam tę nagłą i tak silną asocjację — ale kiedy jest wieczór i droga prowadzi u nas przez rozległe, ginące we mgle szare ścierniska, jest także to poczucie dali, smutku i wielkiej ciszy. Mam złudzenie, że idę późną jesienią, we mgle, szeroką wyboistą drogą wśród szarych łąk i szarych ściernisk. Tu zamiast drogi kresowej szeroka asfaltowana szosa. Też cisza późnej jesieni, którą przerywa od czasu do czasu nie skrzywienie chłopskiego wózka, zaprzęgniętego włochatym konikiem, ale warkot nieznany w kraju moich lat dziecińczych, warkot silników ogromnych aut przewożących robotników tubylców w łachmanach i dziwne, potężne, czerwone maszyny.

Wracam do bazy o późnym zmroku. Powietrze jest trochę mniej duszne, chociaż chmury kurzu zdają się jeszcze bardziej niskie. Na głównym podwórzu wśród koszar natykam się na tłum; pięćset do siedmiuset osób klęczy przed ołtarzem, takim samym jak wszędzie, gdzie tylko są Polacy-katolicy. Matka Boska z Lourdes, Matka Boska Częstochowska, sztandary polskie: nabożeństwo różańcowe.

Przeważnie kobiety w czerwonych chustkach w kwiaty, dużo dzieci. Monotonne szemranie zdrowasiek, litanii do Matki Boskiej, potem po kresowemu przeciągły, wysoki śpiew „Zdrowaś Maryja jak pośród kwiatów wonna lilija” i dalej słowa wymawiane zawsze tak samo przeciągle, ufnie, słowa tak pełne treści, zrozumiałej, bliskiej każdej i każdemu w tym tłumie.

„Niech brak żywności nas nie zabija...”, proszą śpiewnie i namiętnie „i niechaj pożar dom nasz omija”.

Potem idą inne pieśni, prośby do Matki Boskiej, by nas broniła od wojny, od zarazy i chorób, byśmy żyli w zgodzie. „Wszystkie nasze dzienne sprawy”, „Pod Twą obronę”. Kończy się nabożeństwo w zupełną już ciemność. Rozświecony jest tylko ołtarz nad tłumem głów.

Wspomnienia, wspomnienia.

To samo szemranie zebranej gromady na wieczorowych, sobotnich modlitwach, odmawianych, gdy byłem dzieckiem, z całym domem w pokoju sypialnym rodziców. Modlitwy te odbywały się przed wielką Matką Boską z Lourdes z malowanej blachy, do której co wieczór, klęcząc, przykładałem rozpalone po bieganiu czoło, bo blacha była zimna.

Jedno zdanie z tych modlitw dzieciństwa utkwіło mi w pamięci, sły s z ę je i widzę nawet, w cienkiej książce, w skórze oprawnej i z wytłoczonym krzyżem. Książka modlitw w domu odmawianych, zapisana gęsto na bardzo pożółkłych i „wyczytanych” kartkach wyblakłym atramentem, cienkim pismem mojej Matki, leżała zawsze na ołtarzyku w sypialnym pokoju Rodziców. To zdanie brzmiało: „Tą krwią najświętszą zalana jest — prawie i przesiąkła”. Nie wiem dlaczego czytając tę modlitwę przerywaliśmy oddech przed „prawie”, a nie po — i tak zostało mi w pamięci „prawie i przesiąkła”. Kiedy widziałem w tułaczce sowieckiej te rzesze ludzi głodomorów, dzieci, kobiet spływających z krańców najdalszych tego kraju, zawsze znowu i znowu wracało mi zdanie: „tą krwią najświętszą zalana jest — prawie i przesiąkła”. Myślałem wtedy nie o „krwi Pańskiej” ale o ofierze krwi innej, „nie tak świętej, ni wielkiej, lecz równie niewinnej”.

Potem wspomnienia innej modlitwy, w najbardziej ponurym dniu mojego życia, jak z paru tysiącami oficerów przerzucono nas w Wołoczyskach przez granicę sowiecką. Migotliwe światło elektryczne, podłże, zniszczone brudne domki, profil Stalina z neonu, potem obora, czekanie godzinami na trochę zupy i to załatwianie się zupełnie otwarcie na podwórzu, tuż przed oknami niżej stojącej obory. Noc, zbity tłum ludzi, mróz, wrzaski i kłótnie przy otwieraniu i zamykaniu drzwi. „Nikt od smrodu nie zginął!”. „Można się zadusić, widać chamy przywykli spać w chlewie!”. Poczucie, że to nie ludzie, ale dzikie zwierzęta, pełne nienawiści wzajemnej, rozpaczy, goryczy. Nagle wtedy ktoś zaintonował:

„Pod Twą obronę, Ojczyźnie na Niebie...”

i ten sam tłum zaczął śpiewać, z takim podniosłym dzieciennym porywem, z taką dziecienną ufnością:

*„Czy toń spokojna, czy huczą fale,
Gdy Ty swe dzieci w swej opiece masz,*



*Wznosimy modły dziś ku Twojej chwale,
Boś Ty nam tarczą, Boże Ojczy nasz”.*

Ale nie ta modlitwa rozpaczy, ale tamte z dzieciństwa wracały do mnie przede wszystkim, wśród modlitewnego szemrania i śpiewu wygnańców w Achwazie.

Nabożeństwo majowe. Modlitwy przed małą figurką gipsową, groszową, znów Matki Boskiej z Lourdes, przed kaplicą św. Jana Nepomucena w ogrodzie. Matka Boska była biała i tylko wstęgę miała namalowaną na niebiesko i różaniec srebrny, stała wśród wielkich bukietów osypującej się czeremchy czy jaśminów. Nie pamiętam pobożności w sobie, ani modlitwy, prędzej rozdygotany nastrój zmysłowej radości życia, po spacerach wiosennych, po najpiękniejszych łąkach i lasach, albo jak wracaliśmy spoceni po paru godzinach gry w tenisa, zbaczając do tej kapliczki w drodze na kolację.

Te modlitwy rozsiane w całym dniu, przez nas dzieci prędzej zwyczajowo niż mistycznie przyjmowane, weszły przecież w tkanekę naszego życia, w którym modlitwa była codzienną normą, a religia naprawdę rdzeniem dzieciństwa.

Wówczas, pod szarym od piasku niebem, słuchając znowu różańca i litanii i znów tych pieśni przeciągłych i piskliwych, odczuwałem je jak wejście do swego domu, jak coś organicznie związanego z drogą przeszłością, z oddechem Matki, która cały rytm naszych dni tym religijnym stosunkiem do życia przepoiła; tak, że żadne zdrady czy ciosy, żadne sceptycyzmy, miesiące i lata oddalenia i oschłości nie zagłuszyły, nie przerwały tej świadomości, że wobec tłumu, który się modli najbardziej naiwnie i nawet „bezrozumnie” wszystkie rozumowania wydają mi się niewymierne i nie zdołają przekreślić nadziei wewnętrznej, a w pewnych krótkich chwilach życia w i e d z y, że Bóg jest i słucha tych modłów.

W ciemności, w tłumie, wobec oświeconego ołtarza napłyneło inne wspomnienie i, choć z książki tylko, silniejsze niż wspomnienie niejednego „wielkiego” życiowego wypadku: ... Słuchaj wielkiej idei, był taki człowiek, który był więcej wart niż cała ziemia... i ten człowiek umarł na krzyżu i tak wierzy, że wiszącemu obok niego zbrodniarzowi powiedział, że będzie z nim jutro w raju. Obaj pomarli „i nie znaleźli raju i zmartwychwstania... Słuchaj, ten człowiek był najwyższy na ziemi, tym dla czego ziemia warta jest istnieć. Cała planeta ze wszystkim co jest na niej bez tego człowieka to jedno szaleństwo; więc jeśli prawa przyrody nie ulitowały się nad Nim,... więc te same prawa pla-

nety są kłamstwem i diabelskim wodewilem. Dlaczego żyć, odpowiedz, dlaczego żyć, jeśliś ty człowiek?”. Te zdania strzępami, nieściśle, z dalekiej pamięci wracały tu do mnie w Achwazie. Tak mówił Kiriłow w „Biesach” Dostojewskiego w żarliwej ekstazie, parę minut przed samobójstwem, wierząc, że wystarczy zniszczyć pojęcie Boga przez akt samobójczej samowoli, by ludzkość od Boga uwolniona stała się ludzkością szczęśliwą ludziobogów.



W ciszy modlących się w dusznym mroku Achwazu, te wątki wspomnień krzyżują się i płaczą z tym, na co patrzę pod niskim ciemnym niebem z piaskowej mgły.

Modlitwa w sypialnym pokoju rodziców lub przed umajoną kapliczką w ogrodzie, modlitwy szczęśliwe, modlitwa w Wołoczyskach, ratująca tysiące ludzi z dna rozpacz i teraz modlitwa kilkuset kobiet w Achwazie wyzutych ze wszystkiego, którym dzieci z głodu pomały, by Matka Boska broniła nas od głodu, modlitwa „by pożar nasz dom omijał” tych kobiet, którym pożar wojenny spalił wszystko i wyrzucił w kraj pusty, o którego istnieniu nawet nie wiedziały, modlitwa tak ufna i wierna, bez skazy wątpliwości w Boże miłosierdzie, wbrew umarłym z głodu i zarazy dzieciom, zakatowanym mężom i ojcom — te modlitwy rozsiane przez życie przeważały mój gorzki i próżny sceptycyzm. Wiedziałem, że życie nie jest „diabelskim wodewilem”, że Bóg mówi do ludzi, którzy się modlą.

[Życie nr 52/53 (183/184)]

BŁOK I SWOBODA TAJEMNA

„że słowu jeżeli brak powietrza...”

Pisma francuskie podały wiadomość z Moskwy z 12 stycznia, że pisarze sowieccy Simonow, Fadiejew (Prezes Związku Pisarzy), Ehrenburg, Fiedin i Makarow zaatakowani zostali przez organ partii bolszewickiej *Kultura i Życie*, pod kątem krytyki ideologicznej i odchyłeń ideologicznych. Simonow miał zgrzeszyć w „Dymach nad Ojczyzną”, bo „to dzieło nie wykazuje dostatecznie przewagi systemu socjalistycznego w stosunku do systemów burżuazyjnych współczesnych”, a Fadiejew zgrzeszył, bo, opowiadając w *Młodej gwardii* historię wioski rosyjskiej, okupowanej przez Niemców, opisał panikę, która opanowała ludność, nie zaznaczając, że mógł to być jedynie wypadek wyjątkowy. Bo naturalnie chłop rosyjski i chłop sowiecki jest zawsze bohaterski i strach nie może istnieć w państwie bolszewickim.

A więc już nie Achmatowa, nie Zoszczenko, ale ci podlegli z podległych, którzy przy każdej sposobności w swoich wypowiedziach opiewają wspaniałość kultury sowieckiej i przewagę jej nad Zachodem, są dzisiaj brutalnie karceni za to, że piszą o Sowietach nie dosyć „patriotycznie”, nie dosyć dytyrambicznie.

Literatura rosyjska, która w przeciągu zaledwie 150 lat urosła do jednej z największych literatur świata usycha, podcięta w korzeniach przez trzydziestoletnią *politykę kulturalną* sowiecką. Czytając książki dziś wydawane o Rosji Sowieckiej, trudno nawet o miary porównania z tym cośmy przywykli uważać za literaturę rosyjską, która zdobyła kulę ziemską. Bo przecież nie ma dziś na świecie większej biblioteki czy księgarni, gdzie byśmy nie znaleźli chociażby Tołstoja, Dostojewskiego, Czechowa i Gorkiego, bo nie ma kraju, który by, tak czy inaczej, wpływu ro-

syjskiej literatury nie odczuł. Świeci ona wspaniałym blaskiem wszędzie, ale świeci tak, jak gwiazdy, które w rzeczywistości już dawno zagasły, a których światło jeszcze oświeca ziemię, stwarzając złudzenie, że ognisko tego światła jeszcze płonie.

Ilość wydawanych poza granicami Rosji tłumaczeń z rosyjskiego, studiów o literaturze rosyjskiej, o życiu rosyjskim, o historii rosyjskiej, o dzisiejszej sytuacji w Rosji rośnie od szeregu lat jak lawina. Po okresie ogromnej popularności Tołstoja (jeszcze przed rokiem 1900), która zresztą wcale nie wygasła, następuje „odkrycie” Dostojewskiego i spopularyzowanie go, przede wszystkim dzięki książce Gide’a o Dostojewskim, jego wykładom o nim w Vieux Colombier około 1908 roku. Po tamtej wojnie problem polityczny rosyjski, rewolucja rosyjska oraz ogromna fala emigracji rosyjskiej na Zachodzie potęgują stokrotnie zainteresowanie do rosyjskiej literatury. W tamtym okresie dla Gide’a, dla Malraux, dla Mauriaca i plejady innych pomniejszych pisarzy Stawrogin i Szatow, bracia Karamazowy, a nawet Smierdiakow czy Lebiadkin byli postaciami, które cytowano w rozmowach jak bliskich znajomych. Cały Dostojewski był na nowo tłumaczony, jego *Zapiski iz podpolia* wyszły wówczas jednocześnie u dwóch wielkich wydawców w dwóch różnych tłumaczeniach francuskich. Feux Croisés wydały *Apokalipsę naszych czasów* i *Ujedinionnoje* Rozanowa ze świetnym studium o tym pisarzu, Guehenno cytował odczyty Błoka, Aragon, jeszcze wówczas surrealista, świetnie tłumaczył Majakowskiego, nie mówię już o tym, że Gorki i Czechow byli we wszystkich księgarniach. Szła fala tłumaczeń już *całej* literatury rosyjskiej. Gogol z ilustracjami Chagalla, Szchedrin, no i plejada pisarzy sowieckich, jak zlikwidowany później ale hypersowiecki w swoim czasie Pilniak, włącznie do drugo- i trzeciorzędnych pisarzy. Jednocześnie pisarze emigracyjni Mereżkowski, Bierdiajew, Remizow, Bunin wydawani byli we wszystkich językach. Bunin otrzymał nagrodę Nobla.

Dziś zgasł płomień literatury rosyjskiej na ziemiach sowieckich. Pisarze rosyjscy zostali tak czy inaczej polikwidowani lub zwyczajnie wymarli. Ci, którzy jeszcze żyją, zamilkli, drukują i hałasują przeważnie „lokaje i zalotniki czasów”, którzy mimo najlepszej chęci i ślepego posłuszeństwa „polityce kulturalnej” jeszcze są karceni z wyżyn partyjnych. Ilość emigracyjnych pisarzy niezmiernie się skurczyła, część już pisze bezpośrednio po francusku.

Niemniej jednak zainteresowanie literaturą rosyjską i wpływ klasycznej literatury rosyjskiej wciąż trwa. Tu, w Paryżu, przy-

gotowuje się nowe tłumaczenie francuskie Puszkina, coraz to ukazują się nowe wydania Dostojewskiego. Sypią się życiorysy tegoż Puszkina, tegoż Dostojewskiego, nagradza się *romans fleuves* sfrancuziałych Rosjan, piszących o życiu rosyjskim.

Wśród tej powodzi wydawnictw zasługuje na specjalną uwagę książka o Błoku która się niedawno ukazała na półkach księgarskich. Nas, Polaków, powinna ona specjalnie zainteresować, dlatego że losy tragicznego poety są jakby prefiguracją tego, co czeka wszelką sztukę godną tego imienia w atmosferze sowieckiej czy prawie sowieckiej „polityki kulturalnej”.

Książka została napisana bezpośrednio po francusku przez poetkę rosyjską Ninę Berberową, wdowę po poecie Chodasewiczu¹. Nie jest ona wspominkami tylko o epoce literackiej, która by mogła się nam zdawać nieaktualna czy obojętna. Losy największego poety z okresu przedrewolucyjnego Rosji, który od 1907 roku przepowiadał kataklizm, a rewolucję rosyjską przyjął z bolesnym entuzjazmem, historia jego krótkiego „romansu” z władzą sowiecką jest zbyt mało znana, zbyt uproszczona w opinii ogólnej i pod wpływem źródeł sowieckich zdeformowana. Piękna książka Berberowej naświetla losy poety wielostronnie.

My, nie Rosjanie, znamy Błoka przeważnie nie jako symbolistę, jako autora wierszy o „Pięknej Damie”, który nawiązał ponad głowami poetów utylitarnych drugiej połowy XIX wieku do wielkiej poezji Puszkina, Tiutczewa i Lermontowa (nawet poemat jego *Wozmiezdie*, o silnych filopolskich akcentach, jest nam mało znany), a przede wszystkim jako autora *Dwienadcat’*. Ten poemat wyrósł bezpośrednio z rosyjskiej piosenki ludowej, *czastuszki*, i z głodnej rewolucyjnej ulicy Piotrogradu w styczniu 1918 roku, wyrósł również bezpośrednio jak kiedyś *Wesele* z wsi podkrakowskiej. Otóż wiemy, że ten poemat afirmował niejako prawdę rewolucji październikowej, że prześwieślała go nadzieja, że z ówczesnych walk, z krwi, zbrodni i głodu narodzi się nowy świat. Na czele dwunastu bolszewików z karabinami idzie lekko, poprzez śnieżną zawieję i ciemne ulice Piotrogradu, błądy Chrystus w białym wianuszkach z róż.

Już od 1908 roku Błok prorokował zagładę Europy, badał stosunki inteligencji z ludem i twierdził, że właśnie w Rosji inteligencję od ludu dzieli przepaść, że idzie na cywilizację współczesną katastrofa żywiołowa, że w Rosji lud zmiecie obcą sobie kulturę, tak jak trzęsienie ziemi zmiotło Messynę.

1. *Alexandre Blok et son temps, suivi d'un choix de poèmes*. Edition du Chêne, 4 rue de la Paix, Paris 1947.

Po rewolucji, właśnie po rewolucji październikowej, bolszewickiej, Błok widzi w Sowietach, we władzy sowieckiej, wyraz zwycięstwa dotychczas dławionych w Rosji żywiołów, i w odczycie swoim z 1918 roku „Inteligencja i rewolucja” pisze: „Myśmy kochali dysonanse, ryki, dzwony, nieoczekiwane przejścia... w orkiestrze, ale jeśliśmy n a p r a w d ę kochali te dźwięki, jeżeli nie łechtały one jedynie nerwów w ludnej sali teatralnej, po obiedzie, to musimy słuchać i kochać te same dźwięki, gdy wylatują one z orkiestry świata”. W innym odczycie, już po rewolucji, Błok stawia wyraźnie tezę: inteligencja rosyjska pragnęła zlikwidowania władzy carskiej, pragnęła przewrotu, musi być logiczna, musi się dzisiaj wypowiedzieć za władzą sowiecką. W tymże miesiącu styczniu, w którym Błok pisze „12”, powstaje również jego poemat *Scyci*². W tym poemacie Błok czci ślepy żywioł, zaprasza Europę na braterską radę, *grożąc*, że jeśli nie zechce przyjąć tego wyzwania braterstwa, to

*„Ujrysz Ty owiana krwi żałobą
Naszą prawdziwą twarz Azjaty...*

.....
*Nie drgnie nam brew, gdy syn Mongolii dziki
Będzie was szarpał, bił i prażył,
Podpalał wsie, miasta i fabryki,
I białych braci mięso smażył”.*

Tej zimy z 1917 na 1918 Błok wierzył w niszczycielską, ale i odradzającą siłę rozpetanego żywiołu.

Ubóstwienie tego żywiołu połączone z genialnym przecuciem idących kataklizmów, obostrzony słuch wewnętrzny („podczas pisania i po skończeniu '12' kilka dni odczułem fizycznie, słuchem, wielki szum naokoło siebie, na pewno szum od rozpadania się starego świata”), to był Błok z lat tamtych.

Dla inteligencji rosyjskiej w ogromnej większości wrogiej rewolucji październikowej, „12”, *Scyci*, niektóre odczyty poety były hołdem złożonym październikowej rewolucji, były zdradą. Co tu znaczy Chrystus, ten symbol afirmujący jakby wojnę domową i krew, pytano ze zgorszeniem w obozie antysowieckim.

Ale ten poemat wcale również nie zachwycał zwycięzców. Chrystus na czele bolszewików?

2. Ten poemat został kongenialnie przetłumaczony przez Balińskiego. Dopiero w porównaniu z tłumaczeniem francuskim w książce Berberowej, w którym nie jestem w stanie wyczuć nawet cienia muzyki wiersza Błoka, możemy ocenić osiągnięcie Balińskiego.

Łunarczarskiego, Komisarza Ludowego Oświaty, drażni ten symbol „zniewieściaty i przestarzały”. Kamieniew mówi Błokowi: „uświęciliście to, czego my starzy socjaliści wystrzegamy się najbardziej”. Trocki radzi Błokowi Chrystusa zastąpić... Leninem. Niemniej jednak Błok, najwybitniejszy poeta epoki, a przynajmniej jeden z najwybitniejszych, nawołujący do przyjęcia władzy bolszewickiej, to *na razie* cenny sojusznik, którego należy oszczędzać.

Ale jest jeszcze drugie oblicze Błoka, o którym się dowiadujemy poprzez książkę Berberowej. Po roku 1918 krótko trwa u poety entuzjazm chaosu i rewolucji, to *złudzenie lotu*. Po ślepym poddaniu następuje gorzka przebudzenia. Nie ma skrzydeł. Z płonącego gmachu Rosji poeta nie wyleciał na skrzydłach rewolucji wyżej i dalej, ale runął na bruk. W urywkach jego wypowiedzi, jego notatek lakonicznych widzimy, że już zimą 1920 poeta leży na tym bruku skrwawiony. Wtedy właśnie pisze o „12”: „W styczniu 1918 roku ostatni raz poddałem się *ślepo* żywiołowi”. „Kto w '12' widzi wiersz polityczny, albo jest bardzo ślepy w stosunku do sztuki, albo siedzi sam po uszy w politycznym błocie”... „Sam mogę o tym (o '12') teraz mówić tylko z ironią”. O polityce w ogóle pisze poeta więcej niż z ironią, ze wzdrgą i wstrętem.

W styczniu tegoż 1920 roku notuje u siebie w dzienniku: „*Sztuka jest nie do pogodzenia z naciskiem wywieranym przez jakąkolwiek władzę*” (podkreślenie moje). W styczniu 1921 roku zapisuje: „Mój przyszły zbiór poezji będzie się nazywał 'Dni czarne'”. A w kwietniu, zaledwie parę miesięcy przed śmiercią: „*Wesz zwyciężyła świat*, to jest fakt, a teraz wszystko się zmieni, ale wcale nie w kierunku spodziewanym, w kierunku, który kochaliśmy i dla któregośmy żyli: w zupełnie przeciwnym”.

W lutym 1921 roku Błok przemawia w Piotrogradzie w rocznicę śmierci Puszkina. Trzykrotnie musi powtórzyć swój odczyt. Sala nie może zmieścić ilości słuchaczy, poeta jest bardzo wychudły, włosy mu posiwiały, ma czerwone plamy na twarzy, spojrzenie ciężkie i zgaszone. Jest zawsze w tym samym białym swetrze i w czarnej kurtce.

„Poeta jest synem harmonii. Ma on spełnić rolę w kulturze świata”, mówi Błok. „Trzy sprawy są na jego odpowiedzialności: 1) uwolnić dźwięki z rodzimego żywiołu, w którym przebywają, 2) doprowadzić te dźwięki do harmonii, dać im formę, 3) wnieść tę harmonię w świat zewnętrzny”. Dalej, gdy mówi poeta o Puszkynie, cała sala czuje, co on chce powiedzieć. Że mówi już nie o Puszkynie, mówi o sobie: „Poeta umiera, bo

nie ma czym oddychać. Życie straciło swój sens... niech się strzegą ci urzędnicy, którzy chcą kierować poezją ku jakiemuś ich własnemu łożysku. Ci urzędnicy, którzy wyciągają ręce po *tajemną wolność* i przeszkadzają poezji w jej *tajemnym przeznaczeniu*".

Gdy na jednym z jego ostatnich wystąpień publiczność prosi by deklamował „12”, twarz jego wykrzywia przykry grymas, poeta *tego* wiersza nie chce deklamować. Co robią w tym okresie poeci, pisarze rosyjscy Błokowi współcześni? Jeden Briusow wstępuje do partii bolszewickiej i staje się sowiecką *persona grata*. Hipius i Mereżkowski już w 1920 roku uciekają do Polski, Sołogub w tym samym czasie czeka rozpaczliwie na wizę zagraniczną wraz z żoną. W ostatniej chwili otrzymują oni rozkaz pozostania w Rosji i żona Sołoguba rzuca się z rozpaczy do Newy, poeta odnajduje jej zwłoki po roku na wiosnę. Rozanow, „rosyjski Nietzsche”, umiera w ostatniej nędzy w jeszcze niezamkniętym wówczas klasztorze. Nawet Biełyj, który w 1917 roku pisał entuzjastyczne wiersze na cześć Mesjasza Rosji, opuszcza kraj rewolucji, by do niego po latach wrócić. Gumiłow, wódz grupy akmeistów i mąż poetki Achmatowej, zostaje rozstrzelany 3 sierpnia 1921 roku.

Cztery dni po nim umiera Błok. Umiera, bo nie ma czym oddychać. Zostają na placu poeci przez rewolucję całkiem zaadaptowani. Jesienin i Majakowski. Obaj zakończą życie samobójstwem. Czy im również zabrakło powietrza? Od tego czasu, od śmierci Błoka, Sowiety systematycznie i konsekwentnie tną żywe pędy, które coraz to próbują wyrosnąć na starym pniu sztuki rosyjskiej. Przemówienie Żdanowa, zakneblowanie Achmatowej i Zoszczenki to już etapy czystek z ostatnich lat. Wszystko co następuje potem, brutalne, płaskie artykuły o literaturze w *Izwiestiach*, o pisarzach rosyjskich, o obowiązkach pisarzy, fala wypowiedzi opiewających przemówienie Żdanowa jako datę historyczną literatury rosyjskiej, to morze optymistycznej frazeologii o rozkwicie sowieckiej literatury, wszystko to wykazuje, do czego się stoczyło to, co się dzisiaj ośmiela nazywać literaturą. Dotyka to wcale nie tylko pisarzy rosyjskich. Korniejczuk i jeszcze drugi ukraiński poeta sowiecki piszą artykuły naszpikowane donosami, w których stwierdzają z zachwytem, że łatwiej, lżej jest pisać po wspaniałych przemówieniach towarzysza Żdanowa. Szczęśliwe, nowoprzyłączone do Związku republiki: Estońska, Litewska, Łotewska, wszystkie śpieszą potwierdzić to samo. Na zjeździe sowieckich pisarzy sekretarz odpowiedzialny Związku Sowieckich Pisarzy Łotwy chwali historyczne decyzje Centralnego

Komitetu CK WKP(b) o gazetach *Zwieszda* i *Leningrad* (rozporządzenie zakazujące druku Achmatowej i Zoszczenki i udzielające nagany tym pismom) i stwierdza, że ta decyzja, to rozporządzenie „współdziała we wzroście ideowym łotewskich pisarzy”; litewski pisarz sowiecki stwierdza również błogosławione skutki decyzji CK WKP(b) w literaturze litewskiej, a delegat pisarzy estońskich zaręcza, że ta decyzja „odegrała ogromną rolę w rozwoju estońskiej i sowieckiej literatury”. Cóż to ma wspólnego z literaturą poza tym, że jest jednym z przejawów jej zagłady, bo się to dzieje w państwie, w którym żadna literatura poza oficjalną istnieć nie może. Ma się wrażenie, czytając to oświadczenie, że czytamy *Budujemy kanał* Olszewskiego. Ale naprawdę żadnej się nie ma ochoty do śmiechu czytając wypowiedzi zastraszonych, przekupionych czy do ostatnich granic naiwnych pisarzy.

Sytuacja w Polsce jest jeszcze inna i etapy *dzisiejszej* „polityki kulturalnej” u nas przypominają może bardziej tę samą robotę polityki kulturalnej w Rosji Sowieckiej przed 20 laty. W pismach polskich tłumaczy się sporo Błoka, jeszcze trafić można na ciekawe o nim studia krytyczne, i Borejsza cytuje także Błoka, ale naturalnie jego „dumny” wiersz o „Scytach” z 1918, gdy w *Przekroju*, rzucając wyzwanie polskiemu czytelnikowi, pisze: „Tak, jesteście agentami Moskwy”.

Stefan Żółkiewski na Walnym Zjeździe Delegatów Związku Zawodowego Literatów Polskich we Wrocławiu wygłasza tezy aktualnej problematyki literatury współczesnej, podszyte cytami z Lenina, Feuerbacha i Gorkiego, jakby żywcem przeniesione ze Wschodu. Ta sama robota, co tam po śmierci Błoka, te same metody, te same cytaty.

„Literatura społeczna, użyteczna w nowoczesnym sensie, to literatura świadomie powiązana z ogólnymi wytycznymi polityki kulturalnej kraju” — tak Żółkiewski rozpoczyna swoje programowe przemówienie. Te ogólne wytyczne, ten „nurt ludowego optymizmu”, którego konieczność w literaturze akcentuje Żółkiewski i wszyscy reżymowcy, te wskazówki, że sztuka musi być przede wszystkim zrozumiała, to pouczanie nie tylko co należy pisać, malować, czy komponować, ale *jak*, ależ to wszystko znamy, zanadto dobrze znamy u naszych sąsiadów. Jeżeli wśród tych ideologów są ludzie naprawdę dobrej wiary, a tacy są prawdopodobnie, niech czytają uważnie dzisiejsze krytyki literackie *Literaturnoj Gazety*, niech się przekonają, do jakiego poziomu dyskusji i kultury literackiej prowadzi ta metoda. W nu-

merze 66 z 24. XII. 1947 w wielkim artykule znęcającym się nad Dostojewskim, czołowego krytyka Jermaszowa, spotykamy taki przeciw Dostojewskiemu argument: „Jego dzieła są szeroko i wszechstronnie wyzyskiwane w dzikim, we wściekłym pochodzie na człowieka, rozpętanym przez literaturę lokajów Wallstreet'u”.

Jakże nie wspomnieć teraz właśnie Błoka i słów jego z przedśmiertnego dzienniczka:

„Sztuka jest nie do pogodzenia z naciskiem wywieranym przez jakąkolwiek władzę”.

Gdy w Rosji już nie tylko Achmatowa, ale Fadiejew i Simonow są stawiani do kąta, a w Polsce Borejsza i wszyscy Żółkiewscy zabierają się konsekwentnie czapką, papką i groźbą do reformowania literatury polskiej, do wymyślania od faszystów i reakcjonistów wszystkim, którzy nie chcą iść po łożysku ich instrukcji — tragiczna postać Błoka i jego słowa występują przed nami jak groźne memento.

„Niech się strzegą ci urzędnicy, którzy chcą kierować poezją ku jakiemuś ich własnemu łożysku. Ci urzędnicy, którzy wyciągają ręce po tajemną wolność i przeszkadzają poezji w jej tajemnym przeznaczeniu”.

(Kultura nr 4/1948)

GROBY CZY SKARBY

*„Wierzby płaczące na brzegach Sekwany
Smutne są dla nas jak wierzby Eufratu”.*

Szedłem przez Pont-Neuf. Była mgła, nie niebieska, jak często bywa w Paryżu, ale szara, prawie londyńska. Ciężka kopuła Instytutu koloru sadzy wynurzała się znad starych, szarych domów na tle szarego nieba. Domy na wyspie były także szare, jeden z nich najeżony cienkimi żelaznymi rusztowaniami wyglądał jak odrutowany garnek. Przecież przez ten sam most — przypomniałem sobie — wyjeżdżał Sułkowski do Egiptu, razem z Venturą wyjeżdżali kareta, tuż stąd, z domu Bréguet’ów na 39, Quai de l’Horloge. W tym domu, widocznym z mostu i zbudowanym w 1610 roku, zamieszkałym dzisiaj przez wielkiego pisarza, w pokojach zawieszonych obrazami Boudina, Rousselle’a, Cézanne’a i Gaugina, w wąskich przejściach i klitkach zawalonych książkami nie zachował się po nim nawet ślad wspomnień. Gdy Sułkowski przejeżdżał po tym właśnie moście, złamał mu się dyszel karety. Powiedział wówczas: „Już widać nie wrócę z Egiptu”. Nie wrócił.

Szedłem mostem zmęczony, bez myśli. Ostatni skrawek Cité, ogród pod mostem, wrzynający się ostrym szpicem w Sekwanę, był prawie zatopiony. Drzewa ogrodu dotykały wody, konary ich miały kolor kopuły Instytutu, stała tam również stara, niska, o połamanym pniu, podparta kijami wierzba płacząca. „Wierzba płacząca na brzegach Sekwany”...

Stała nad falą gęstą, nieprzezroczystą, barwy matowej, szaro-zielonej. Krótkie, ciężkie fale szły szybko i burzliwie. Patrzyłem na miasto odruchowo, pół świadomie, notując zestawienia

czerni, szarości i odbijającą od tych szarości głuchą zielenią szybkich fal narastającej Sekwany.

Nagle odczułem, jakby bez udziału świadomości, że Paryż już umarł, że to nie Paryż, a ruina Paryża, że patrzę na falę zieloną i ciężką, która to miasto łąda chwila zaleje, *z a t o p i*.

Innego dnia śpieszyłem po moście de la Tournelle z Polskiej Biblioteki, z wyspy św. Ludwika. Na szczycie gmachu na przeciwnym brzegu błyskały wielkie szyby restauracji de la Tour d'Argent. Zamknięto ją po *Libération* na jakiś czas, miała jakoby być zbyt gościnna dla Niemców. Jest już otwarta z powrotem od dawna, jedna z najdroższych restauracji Paryża, ale przecież w tejże Tour d'Argent (musiała ona wyglądać inaczej i o wiele skromniej) przyjaciele Mickiewicza wydali obiad na jego cześć w roku 1855, gdy wyjeżdżał do Konstantynopola, zaledwie 2 i pół miesiąca przed jego śmiercią. Na tle niebieskiego nieba, w świetle ciepłego, prawie wiosennego dnia styczniowego, w delikatnie niebieskim i mglistym oparze wyrastała znad ciemnych konarów drzew Notre-Dame, liliowa koronka. Tylko wysoki szpic, zbudowany dopiero przez Viollet le Duc w połowie XIX wieku, gdy restaurował świątynię zmasakrowaną podczas Rewolucji, był ciemnoszafirowy. Cały pejzaż, tak delikatny w cieniach i światłach różowoniebieskich, był aż nierealny — znów przeszło mnie dziwne wrażenie: ten pejzaż, nasiąknięty francuskimi i polskimi wspomnieniami, nie istnieje w rzeczywistości, może za chwilę się rozwiać, *to przywidzenie*.

Skąd tego rodzaju przeżycia? Wracam na Pont-Neuf, nawet nie widać, by domy były specjalnie zniszczone, wyższy poziom wody na Sekwanie jest zjawiskiem banalnym i częstym; wracam na Pont de la Tournelle, koronka Notre-Dame wyglądała nie inaczej w 1924, gdy ujrzałem ją po raz pierwszy, jako zjawisko kamienne, najbardziej trwałe, prawie wieczne.

Gdybym był Błokiem, poetą, napisałbym może wiersz w rodzaju „Scytów” i jeszcze czułbym się prorokiem, ale nie czując się poetą, zacząłem wnikać w źródło tych przeżyć. Ten Paryż „zatopiony”, czy Paryż „przywidzenie”, to były wszystko przeżycia *w t ó r n e*, nawiane z jednej strony przez katastroficzne teorie, z którymi co chwila w rozmowach, pismach, w książkach się stykamy, z drugiej — przez bierny defetyzm, z którym te teorie przez bardzo wielu są przyjmowane — te moje „wizje” ginącego Paryża, to były formy *zarażenia*.

Bo katastrofizm naprawdę już dotknął bruku. Chociażby wczorajszy *Combat* pomieszcza list od czytelnika-lekarza, pisze

on o swej pacjentce, właścicielce skromnego sklepiku, która po reformie Bluma, reformach Mayera, nie jest w stanie zapłacić 150 tys. franków za leczenie i stawia na podstawie tego jednego faktu wnioszek, że Francja „weszła w stan agonii”, zamiast żądać, by lekarze za tańsze pieniądze leczyli pacjentów. Ileż takich stwierdzeń gołosłownie „ostatecznych” aż w brukowej prasie!

Równoległe i symetrycznie działa przeciwstawna „metoda Coué” prasy sowieckiej i sowietyzującej. Dochodzi ona poprzez *l'Humanité*, poprzez propagandowe wydawnictwo *France-URSS* i opowiada nieustannie o zawsze celowej, zawsze radosnej twórczości w krajach zwycięskiego proletariatu, o entuzjazmie każdego obywatela Rosji i jej satelitów, i pokazuje fotografie zawsze uśmiechniętych i kwitnących obywateli „ludowych demokracji”, podkreślając jednocześnie rozkład państw kapitalistycznych.

Te dwa nurty równoległe, te zdania powtarzane tysiąc razy działają i stosunek do rzeczywistości przeciętnego obywatela kształtuje się w atmosferze tak częstego defetyzmu i poczucia groźby zalewu ze wschodu. Nastroje paniczne falują, to wzmagają się, to słabną, ale niejeden Francuz już od paru lat przeszedł na pozycje ostrożne, liczące się z ewentualną nową kolaboracją z ewentualnym nowym okupantem ze wschodu.

„Prawdziwym niebezpieczeństwem jest dziś” — pisze wnikliwy obserwator Valmeroux w *Ecrits de Paris* — „nie ilość członków partii komunistycznej, ale przerażająca suma słabości, oportunistu i złego sumienia, które komunizm potrafił zmobilizować na swoją korzyść”.



Ostatnia książka Malraux, *Psychologia sztuki*, została przyjęta przez krytykę także pod kątem „katastrofizmu”. Gwałtowna, pełna skrótów i nawrotów, jakby mówiona przez człowieka, który po długim biegu u kresu sił wyrzuca swe słowa, łapiąc z trudem powietrze — jest znakiem czasu. Czytało ją jeszcze niewielu, jest zbyt droga i wcale nie łatwa, nigdy nie będzie czytana przez tłumy, ale „kto mówi do paru, mówi do wszystkich”.

Jego zdania groźne czy tragiczne spotykamy bez balastu filozofii i historii już parafrazowane po pismach i dziennikach.

„Umierająca lub nie, ale niezawodnie zagrożona Europa nie myśli już o sobie słowami wolności, ale słowami losu” — tak kończy Malraux rozdział tej książki, umieszczony w *Kulturze* (nr 2-3). A dalej, w jednym z ostatnich rozdziałów, pisze:

„Wiemy dziś, że przeróżne dzisiejsze formy pokoju są równie kruche (*vulnérables*) jak poprzednie, że demokracje noszą w sobie kapitalizm i policję totalitarną, że nauka i postęp implikują bomby atomowe, że rozum nie wyraża całego człowieka. Dla XIX wieku cywilizacja była z początku pokojem, a potem wolnością, ale od człowieka Rousseau do człowieka Freuda na pewno nie wolność wzrosła najwięcej. Miasta zmory Europy Środkowej, te miasta nie są bardziej zdruzgotane niż zdruzgotana została idea, którą sobie Europa urobiła o człowieku. Jakie państwo XIX wieku ośmieliłoby się organizować tortury?”.

Béguin w *La Semaine dans le Monde* nazywa tę książkę Apokalipsą malarstwa, a samego Malraux pisarzem „porwanym przez potop historii”.

Maurice Nadeau w *Combat* mówi o nim z mieszaniną zachwyty i goryczy, przebija żal do Malraux, że tej miary pisarz i tej miary myśliciel, który kiedyś wszedł w sztukę jak do zakonu, dzisiaj rzucił się w politykę „jak w samobójstwo”. Nadeau widzi w tej książce pogrzeb umysłów i epoki zbyt ufnych w człowieka Zachodu, dziś porażonych potęgą sił, które się przeciwko temu człowiekowi zespoliły.

Książka ta jednak implikuje nie załamywanie rąk wobec losu, czy oglądanie się wstecz za utraconą przeszłością, ale nieugiętą walkę o wolnego człowieka, przeciwstawia ona sztuce opartej na pewnikach „sztukę wielkich żeglarzy”, sztukę ludzi, których może oczekiwać nie tylko rozbiecie, ale i odkrycie Nowej Ziemi. Malraux przeciwstawia świat poszukiwań systemowi afirmacji.

„Artysta, a może człowiek dzisiejszy”, według autora, „znają tylko swój punkt wyjścia, znają tylko metodę, wolę, kierunek”.

Jest w tej książce świadomość zagrożenia Europy, ale i wola przeciwstawienia się tym siłom niszczycielskim, którym niejedyn jest gotów ulec jak ślepemu losowi.

Czy naprawdę artyści i krytycy, dawni przyjaciele Malraux i jego namiętni wrogowie, nie rozumieją, że wejście jego do polityki (nie próbuję dziś się nawet zastanawiać, czy i do jakiego stopnia linia polityczna Malraux jest słuszna) świadczy wraz z jego ostatnią książką, że pisarz ma ostrą świadomość palącego się dachu nad głową, że jest gwałtownie powiązany ze swoją epoką i nie przestaje być żywym świadectwem, że nie zginęły we Francji ani myśl odkrywcza ani wola walki.



W 1945 roku, po 10 latach nieobecności, przyjechałem do

jeszcze pustego, jakby skurczonego i smutnego Paryża. Montparnasse był pusty zupełnie, na ulicach widać było rzadkie auta, przeważnie amerykańskie, na bulwarach tłumy amerykańskich i angielskich żołnierzy włóczyły się bez celu. Pomimo *Libération*, pomimo potężnego „V” z reflektorów nad Łukiem Triumfalnym na fioletowym niebie, coś to był za kontrast z dawnym Paryżem. Jedną z pierwszych książek, która mi wpadła przypadkowo do rąk wówczas, to książka Giraudoux, tytułu jej nawet nie pamiętam.

Giraudoux opisywał czarująco, jak zwykle, trochę manierycznie, hotelik w okolicach Panteonu, pełen studentów z Europy Środkowej, jakąś studentkę Rumunkę, Węgierkę, może Żydówkę, która przybyła uczyć się do Paryża. Nie tylko każdy kamień paryski był dla niej święty i był symbolem wolności, ale każdy adwokacina francuski, obrońca zapomnianych spraw sprzed kilkadziesiąt laty, był dla tej studentki człowiekiem przynajmniej na miarę Cycerona. Giraudoux pisał o tej miłości do Francji z czułością, trochę z kpinką, ale jak o rzeczy całkiem naturalnej. Przywykli Francuzi do tego uwielbienia świata.

Dla rzeszy młodzieży przybywającej zewsząd do Francji po 1918 roku Francja to był rok 1789, to był Napoleon, wielkie emigracje XIX-wieczne tutaj gościnnie przygarnięte, to byli wielcy pisarze, historycy, to była sprawa Dreyfusa i Péguy dla jednych, Sorel, Maurras, Bainville dla innych, to była przede wszystkim Francja zwycięska miliona pięciuset tysięcy Francuzów zabitych i sześciuset tysięcy kalek, którzy się przyczynili do odzyskania wolności, do rozszerzenia granic wielu krajów Europy Środkowej.

Widzę jak dziś spoconą, czerwoną i szczęśliwą twarz kolegi Ukraińca z Akademii Krakowskiej. Nazywał się Motorny. Spotkałem go w 1925 roku, idącego prosto ze stacji direct z Krakowa z jakąś nieprawdopodobną staroświecką walizą w ręku, na Edgar Quinet. Wpadł mi w objęcia, choć się prawie nie znaliśmy. Ale musiał przecież komuś wyrazić szczęście, że jakoś, za ostatnie grosze, udało mu się dotrzeć do tej Mekki, by tutaj cierpieć okrutną nędzę, ale tutaj, w Paryżu. *Wtedy* ten Motorny to był jeszcze jeden bohater wspomnianej powieści Giraudoux.

„Czy to pan zatrzymał Basię w Paryżu? Co za idiotka, przecież ona mogła jechać do Oxfordu, Minia już stamtąd dostała propozycję do Ameryki, do dziennikarstwa. Czy ona zwariowała, żeby tutaj zostawać!”. Tak się do mnie odezwała młodziutka, bohaterska studentka z A.K., przybyła po Powstaniu Warszawskim poprzez obozy niemieckie z tą samą Basią właśnie w 1945 roku. Zaskoczył mnie ten ton *zupełnej pogardy* do Francji.

Uderzyło mnie, że jest to stosunek o 180° odrębny od stosunku, który cechował moją generację. Cóż ta dziewczyna wiedziała o Francji? Musiała mieć 11 lat przy wybuchu wojny, potem okupacja, obozy, naturalnie brak książek, a jednocześnie *wspomnienie poddania się Paryża bez wystrzału*.

„To niemożliwe, to jest nowe kłamstwo niemieckie” — wołały dosłownie płacząc przekupki warszawskie, kiedy pierwsza wiadomość o poddaniu się Paryża dotarła do Warszawy, podana przez niemieckie gadzinówki. Te przekupki otwarcie rwały gazety na ulicy, nie chciały, nie mogły wierzyć, żeby Francja była tak inna od tego, co było legendą Francji w Polsce. O tej chwili młoda dziewczyna na pewno pamiętała i nie nadawała się już na bohaterkę tamtej powieści Giraoudoux. Ale na jak wąskim skrawku historii Francji budowała młoda dziewczyna swój do niej stosunek lekceważący.



W artykule Bernanosa w nr. 3 *Cheval de Troie* wielki pisarz opisuje wrażenie wywołane upadkiem Francji w Ameryce Południowej, jakże przypominające reakcję polską. Francja była i dla tamtych krajów ogniskiem nowych idei, symbolem wolności, krajem szacunku człowieka dla człowieka i walki o te prawa. Bernanos opowiada o starym aptekarzu, wychowanym w kulcie Francji, był już w agonii (zaraz po czerwcu 1940). Aptekarz otworzył jeszcze raz oczy przed śmiercią i powiedział: „Mój Boże, mój Boże, Francja!”. Bernanos twierdzi, że Francja nie jest w stanie wyrzec się swojej legendy, jeżeli nie chce zginąć, że ludzie na świecie zbyt kochali Francję, by móc się nad nią litować, ale że nikt tam się nie godził na Francję pokorną, o programie minimalnym. Nie godziły się na nią i przekupki warszawskie w 1940 roku.

Bernanos piętnuje różne formy zakłamania Francji dzisiejszej. Twierdzi, że rozdmuchano sławną *Résistance*, rozdmuchuje się udział Francuzów w uwolnieniu Paryża. I tu dodaje ustęp o Warszawie (Bernanos występował już parokrotnie i gwałtownie w obronie Polaków i Polski):

„Piszemy o uwolnieniu Paryża tak, jak gdybyśmy nigdy nie słyszeli, nie, naprawdę nigdy, o wspaniałym, niezrównanym, o nieprześcignionym powstaniu Warszawy — Warszawy zdradzonej, oddanej, ukrzyżowanej między dwoma łotrami, gdy działa przeciwlotnicze rosyjskie strzelały na spółkę z przeciwlotniczymi działami niemieckimi na zwarte szyki samolotów angielskich,

które próbowały robić zrzuty broni powstańcom. Gdy armia sowiecka utrzymywała pod ogniem artylerii niemieckiej tę armię powstańczą, aż do ostatecznego zniszczenia, dosłownie tak, jak chłopak z rzeźni, ściskając między kolanami zwierzę, prowadzone na rzeź, podrywa mu gwałtownie głowę w tył, by ułatwić rzeźnikowi podcięcie gardła”.

Okrutna prawdomówność z jaką pisze stary Bernanos o stanie dzisiejszym Francji jest jeszcze jednym dowodem śmiałości i żywotności Francji.

Każdy, kto znał Francję kiedyś i teraz tutaj przebywa, widzi skurczenie się jej zasięgu, skurczenie wiary w siebie, jakże częste osłabienie odwagi myślenia. Iluż mówi: „To nie ta Francja, którą znałem!”. Ale czy umiemy na Francję spojrzeć inaczej jak od strony najbardziej widocznej i może najmniej trwałej, czy potrafiliśmy dotrzeć do żywych sił narodu, do ludzi pracujących w cieniu, bez reflektorów reklamy, do Francuzów dużego formatu, niesparaliżowanych strachem?

Czy nasza krytyka nie jest powierzchowna, a przynajmniej jednostronna?

Przypomniałem sobie ustęp przeczytany wiele lat temu w *Podróży do Włoch* Taine’a.

Luitprand, biskup Cremony, kronikarz, tak pisał w X wieku: „My, Longobardzi, tak samo jak Saksoni, Frankowie, Lotaryńczycy, Bawarzy, Szwabi czy Burgundowie — my gardzimy tak mocno imieniem rzymskim, że w naszym gniewie nie wiemy jak obrażać naszych nieprzyjaciół obelgą najmocniejszą, jak nazywając ich właśnie Rzymianami, tym imieniem nazywamy wszystko, co jest haniebne, nieśmiałe, skąpe, pożądliwe, kłamliwe, jednym słowem pełne wad wszystkich”.

W XII wieku Fryderyk Barbarossa, przechodząc przez te kraje, liczył, że znajdzie w Lombardii ludzi swoich, tego samego języka i obyczajów, i zdziwił się bardzo, znajdując naród *całkiem zlatynizowany*.

Jaka jest rola nasza, tej wielkiej narastającej rzeszy emigracyjnej w kraju, który już przed wojną miał około pół miliona naszych emigrantów i jest od tylu wieków powiązany z nami tysiącem węzłów kulturalnych, kraju, który przechodzi okres trudny i ciemny? Niewspółmierność ofiar poniesionych przez Francję i przez Polskę w okresie ostatniej wojny, brak entuzjazmu i woli odbudowy swojej ojczyzny, wszystko to, co tak gorszy i drażni przybywających z Polski nie powinno przekreślać w nas pamięci, że Francja się nie zaczęła w 1939 roku, że stare kraje

przechodzą wielokrotnie cykle upadków i odrodzeń, że Francja jest jednym z najistotniejszych członów Europy, do której należymy. Musimy do Francji podejść nie jak barbarzyńcy germańscy w X wieku podeszli do Rzymian, ale jak obrońcy wspólnego nam cywilizacyjnego dorobku, nie urągając wzgardliwie, by po jednym pokoleniu się wynarodowić; współdziałać powinniśmy, w miarę naszych sił, w odrodzeniu tego kraju.

Na frontonie pałacu Chaillot, zbudowanym w 1937 roku, na miejscu pałacu Trocadéro, jest motto, wypisane złotymi literami, Valéry'ego:

*„Od ciebie, przechodniu, zależy, czy będę grobem, czy skarbem.
Czy będę milczał lub mówił,
Od ciebie zależy, przyjacielu: nie wchodzi tu bez pożądania”.*

Jesteśmy na ziemi francuskiej, od nas również zależy, czy ta stara ziemia będzie grobem, czy skarbem.

(*Kultura* nr 5/1948)

PAMIĘCI BERNANOSA

Dwa lata temu spędziłem parę tygodni w małej miejscowości pod Paryżem. Była późna jesień. Mieszkalem w małym hoteliku, wśród lasów. Hotelarze, gościnni, zażywni, w rozmowach ze mną nadzwyczaj dobroduszni. Sezon dawno się skończył. Nie było już letników. Tylko rzadcy przejeżdżający Paryżanie odwiedzali czasami niską jadalnię mojego hotelu, ozdobioną głową wypchanego jelenia. Bo też kuchnia była świetna. W malutkim, zgubionym w lasach miasteczku-osadzie podawano wszystkie jarzyny, wszystkie owoce, ryby i mięsa, najsmaczniej przyprawione. Włącznie do bażantów i jeleni wszystko naturalnie zjadali goście zroszone najlepszymi winami po orgii aperitiwów. Jako skromny pensjonariusz dostawałem jedzenie skromne i wymierzone, ale tak jedli smakosze paryscy, no i przede wszystkim sami gospodarze, niezależnie od tego czy mieli czy nie mieli gości.

Kiedy raz w innym już hoteliku z brudnymi schodami i coraz to zatkaną kanalizacją, gdzie właściciel sam dla siebie i dla rodziny kucharzył co dzień świetne potrawy, pochwaliłem jego zdolności kulinarne, odpowiedział mi sentencjonalnie:

— *Que voulez-vous, on vit un peu pour ça.*

Moi gospodarze z leśnego miasteczka, barczyści, z nalanymi krwią twarzami, byli na pewno tego samego przekonania, że żyjemy dla jedzenia, i obiad oraz kolacja były dla nich najważniejszymi chwilami dnia. Od pierwszego dnia wyznali mi, że byli *des grands résistants*. Lubili opowiadać, nie rozumiałem jednak do końca, na czym ta ich *résistance* polegała, słuchałem długich opowieści, jak to u nich się zbierali zwykle Niemcy, polujący w lasach okolicznych „z gończyymi i psiarnią” (*chasse à cour* jeszcze w tamtych okolicach uprawiana).

— Pan rozumie, ile to wymagało trudu, zrzeczności, by nakarmić smacznie, jak to Niemcy lubili, nieraz 50 oficerów. Zawsze było paru generałów, całe sztaby niemieckie właśnie *tu* przyjeżdżały na obiady. Problematyczna *résistance* gospodarzy nie przeszkadzała im świetnie na Niemczech zarabiać i żyć w przeciągu całej okupacji równie tłusto jak za czasów mojego tam pobytu, gdy paryskie trudności z chlebem czy mięsem dla nich nie istniały.

O parę domów od hotelu był kościół. Odbudowany przed kilkunastu laty przez właścicielkę tych lasów, nie krył w sobie żadnych artystycznych osobliwości, poza wprawioną w mur starą płytą grobową z naiwnym, wydrążonym w kamieniu konturem leżącego w zbroi rycerza i półzatatym łacińskim napisem. Proboszczem tej parafii był zaledwie 40-letni, nadzwyczaj młodo wyglądający, o dobrodusznej, okrągłej twarzy ksiądz Algierczyk. W Algierze z rodziną prowadził sklep, powodziło mu się dobrze, nagle w 36-tym roku życia rzucił wszystko, wyświęcony na księdza, na początku wojny przybył już na parafię do macierzy. Odwiedziłem go w zakrystii. Mówił o rodzinie z czułością, o Algierze z dumą i miłością, z jakimś kresowym wigorem i temperaturą.

— Pan pewnie myśli, że tam to kraj dziki — mówi mi przy pierwszym spotkaniu. — To nieprawda, ja się *tu, tu* na Ile-de-France czuję w kraju barbarzyńskim. Niech pan mnie dobrze zrozumie, tam *też* jest mało chrześcijan, ale tam są muzułmanie i oni, panie, w Boga wierzą. O ileż łatwiej z tymi ludźmi nawiązać kontakt... głębszy.

Tu, jako ksiądz, jestem widziany bardzo niechętnie. Czy pan uwierzy, że w moim pierwszym probostwie, w okolicach Meaux, w pierwszych latach wojny umarłbym z głodu, gdyby nie jeden jedyny porządny chłop i to... komunista (więc historie ponure wsi francuskiej, które znajdujemy u Bernanosa, są tak bliskie prawdy, pomyślałem ze zdziwieniem).

Chłopi zdecydowali mi nie sprzedawać nic, ani jednego kartofla, niech klecha zdycha. Ale ten komunista przyszedł do mnie i powiedział: „Przeciwny jestem religii, ale moją zasadą jest, że każdy człowiek ma prawo jeść”. Obszedł wszystkie domy, powiedział gospodarzom, że muszą mi kartofle sprzedawać, że inaczej jak będzie *le grand soir* to on się z nimi rozprawi. A jego się tam bali i szanowali.

— Ten komunista, mówił dalej ksiądz, szybko chodząc i gestykulując w malutkiej, nagiej, przesiąkniętej wilgocią zakrystii,

nie tylko, że zmusił chłopów do sprzedawania mi kartofli, ale ogród mój sam uprawiał, bo nie miałem nikogo, a jak bił świnię, to mi zawsze przysłał dwa kawałki szynicy. Ot, takie wielkie.

I obrysował uważnie palcem na odwróconej, wyciągniętej dłoni zarys kotleta wielkości od kostki do nasady palców.

— Tutaj jest niewiele lepiej, mam dwa kościoły do obsłużenia, o 15 km kościół od kościoła, dwie parafie. Co dzień jestem w obu, jeżdżę rowerem, ani tu ani tam nie mam pomocy, ani zakrystianina ani służącej. Sam przygotowuję sobie stawę, sam o wszystko w kościele muszę zadbać. Kiedy niedawno zachorowałem ciężko, ostrą miałem gorączkę ponad miesiąc, myślałem, że tak zginę, nikt ale nikt w pierwszych dwóch tygodniach nie przyszedł mi z pomocą, ale widać Opatrzność zlitowała się nade mną. Już byłem zupełnie bez sił i przysłała do mnie naraz stara kobieta, której nie znałem, gotowała jedzenie, pielęgnowała, uratowała mi życie.

— I czego, czego tu o mnie nie opowiadają, że jeżeli poszedłem na księdza, po pewno dlatego że uprawiałem jakieś haniebne rzemiosło, opowiadają nawet, że miałem dom publiczny, co za dom publiczny? co za haniebne rzemiosło? Jesteśmy z Korsyki, z zawodu *des couteliers* z dziada pradziada, handlujemy nożami. Jest to u nas bardzo szanowany przemysł, czego bym miał się wstydić.

Mówi to wszystko bez cienia goryczy, porywczo, ale dobrodusznie. Chwilami czuć smutek, nigdy gorycz.

„... Z czego żyję? No przecież nie z moich parafian, większość jest niechrzczona (później się dowiedziałem, że to miasteczko o starej tradycji walki z Kościołem było jednym z pierwszych, gdzie się przyjęły śluby i pogrzeby wyłącznie cywilne). Za to co otrzymuję z kurii biskupiej nie może być mowy, by utrzymać dwa kościoły i jeszcze siebie wykarmić. Żyję z tego, co mi nadsyła rodzina i co mam od letników z Paryża. Paryżanie to inni ludzie. Tam nie ma tej nienawiści do kościoła i księży. Żeby Pan wiedział, jak ten pusty dziś kościół latem bywa pełny”.

Zrobiło na mnie wrażenie to spotkanie. Tyle zapału, odwagi, młodości serca wyczułem w tym człowieku, który żył w pięknej, ludnej, pełnej wesołych, jak mi się zdawało, przyjaznych ludzi Ile-de-France, jak w środku pustyni. Nie pierwsze to było spotkanie tego rodzaju we Francji; znam bardzo źle prowincję francuską, ale 20 lat temu nad Loarą, w żyznych okolicach Saumur, natknąłem się również wypadkowo w cudownym, sta-

rym kościele romańskim na księdza, który żył także „w pustyni”, tylko że w nędzy jeszcze większej.

„Pomaga mi w pracy nad parafią staruszka zakonnica, ona *na szczęście* ma ciężką chorobę nerek, nie może zupełnie jeść mięsa, dzięki temu tylko oboje jesteśmy w stanie się utrzymać, bo na mięso już nas nie stać”. Było to powiedziane całkiem naturalnie.

Pozostała mi w pamięci twarz tamtego księdza, blada jak opłatek, jego zniszczona sutanna, tak że gdy później mówiono przy mnie o klerze francuskim, przychodził mi on zawsze na myśl.

Wracałem do hotelu w moim leśnym miasteczku po rozmowie z księdzem Algierczykiem. Nie było żadnych gości z Paryża, ale gospodarze sami siedzieli przy stole zastawionym i popijali białym winem ostrygi, które specjalnie sprowadzili dla siebie z pobliskiego Rambouillet.

„Gdzie pan tak długo przepadał”, spytała mnie przyjacielsko hotelarka.

— Byłem u waszego proboszcza z wizytą.

— U księdza, u tego Algierczyka?

Gospodyni aż stanęła w drzwiach ze zdziwienia, trzymając w ręku tacę ze stosem pustych muszli od ostryg.

— Czy pani wie, dodałem, że on żyje w warunkach bardzo ciężkich, prawie w nędzy.

Twarz hotelarki się ścięła.

— Dlaczego *nie pracuje* jak my wszyscy?

W jej głosie zabrzmiały nuty takiej niechęci, wzgardy, poczucia własnej wyższości, że aż mnie zatkało. Skąd to poczucie wyższości? Nie potrafiłem jej przekonać, że księża także pracują „jak my wszyscy”, a nieraz o wiele więcej.

W dniu mego wyjazdu, wracając do domu, natknąłem się na hotelarkę obierającą fasolę.

— Ten, ten pański ksiądz u pana był i zostawił jakąś paczkę, powiedziała sucho, nie podnosząc na mnie oczu.

I znów ten sam ton zgorszony, obciążający mnie za stosunki tak... kompromitujące.

Zastałem u siebie starannie w papier zawiniętą książeczkę o cudownej Matce Boskiej w Portugalii z serdeczną dedykacją.



Dziś wspominam te dwa spotkania z księżmi prowincji francuskiej pod wrażeniem śmierci Bernanosa. Nikt w literaturze

francuskiej nie poruszał chyba w ostatnich czasach z równą głębią obserwacji i gwałtownością wizji tematu chrześcijaństwa, osaczonego przez świat wrogi, obojętny tu we Francji. „Nic więcej mnie nie obchodzi poza nieszczęściem mego kraju i agonią chrześcijaństwa” — mówił Bernanos.

W latach 1875 i 1876 (*Souvenirs d'enfance et de jeunesse*) pisał Renan, jeden z wielkich patronów Francji „świeckiej”:

„Nawet jeżeli będziemy jeszcze musieli przejść (we Francji), co zdaje się bardzo prawdopodobne, przez chwilową reakcję katolicką, nikt nie zobaczy już, by lud wrócił do kościoła”.

70 lat potem dla przybyłego z Algieru na Ile de France księdza lud francuski był właśnie wyrazem świata zupełnie oderwanego od religii, nie tylko od katolicyzmu, ale od wszelkich źródeł religii, do tego stopnia, że człowiekowi temu muzułmanie zdawali się stokrotnie bliżsi niż jego francuscy rodacy. Bernanos przez 20 lat z właściwą mu bezwzględną prawdomównością powracał coraz do tego tematu, groźnego dla każdego katolika: bezreligijności wsi francuskiej, skutku wielu błędów i grzechów samych katolików władzę mających, rezultatu przy tym paru dziesiętków lat konsekwentnie prowadzonej walki o laicyzację Francji, która dała w rezultacie więcej może, niż chcieli niektórzy tej walki inicjatorzy.

Przed samą wojnę pisał Daniel Halévy, którego trudno pośądzić o bigoterię: „ze słownictwa przeciętnego Francuza znikły słowa *Bóg, modlitwa, dusza*, słowa wykreślone przez szkołę świecką, Francuzi nie wiedzą, do jakiego stopnia dzięki temu zubożyli nie swoje słownictwo, ale swój *świat*”.

We wszystkich powieściach od *Sous le soleil de Satan* aż po *Monsieur Ouine* Bernanos opisuje opuszczone kościoły, księży w opustoszonych parafiach, samotność jednostki religijnej w świecie religii zupełnie obcym, jeżeli nie wrogim. Odczytałem z powrotem *Journal d'un curé de campagne* (o ile pamiętam, została ona, zaraz po ukazaniu się w 1933 roku, przetłumaczona na polski). Książka ta po 15 latach wydała mi się nie tylko świetna, ale w pewnym sensie jedyna. Po tym proboszczu wiejskim, umierającym na raka, uważanym przez otoczenie za głupka i pijaka, wszystkie znane mi fikcje literackie świętych czy półświętych zdały się mi choć trochę papierowe, poza paru postaciami Dostojewskiego (ale nawet starzec Zosima robi wrażenie jakiegoś prawie komfortu duchowego wobec proboszcza Bernanosa).

Tajemnicza, pełna luk i niedopowiedzeń, ostatnia z wydanych powieści, *Monsieur Ouine*, ma także niezapomnianą scenę,

gdzie proboszcz, znów samotny i święty, ugina się pod odpowiedzialnością za powierzoną mu wrogą parafię. — Wszystko to zdaje mi się dziś zaledwie transponowaną rzeczywistością, wyrastającą o wiele bardziej z konkretnej obserwacji prowincji francuskiej niż z fantazji pisarza.

Świętość u Bernanosa jakże jest daleka od świętości z aureolą i banalną, ucukrzoną twarzą wszelkich obrazków świętych całego świata, jest ona przede wszystkim niewidoczna dla wszystkich prawie, wzgardzona, drażniąca, nieraz prawdziwie gorsząca, śmieszna i zawsze upokorzona. Święci Bernanosa, życiowo bezradni, nie umieją rozplątać, rozerwać sieci nieprawości, niezrozumiałej dla nich okrutnej wrogości, która ich dławi, ale sami ją rozpętują tylko tym, że nie kłamią, że się ze złem nie godzą i widzą je w całej swej grozie tam, gdzie inni śmiertelnicy go nawet nie zauważają. Ci ludzi nie ustają w walce pozornie beznadziejnej, w modlitwie, i tylko na skraju przepaści, na granicy rozpacz przychodzi na nich nagle ratunek — szczęście Łaski. I wciąż wraca jako tło parafia okrutna, pogrążona w łakomej walce o grosz, w erotomanii, w intrygach.

Bernanos pisał i wydał pierwszą swoją książkę, *Sous le soleil de Satan*, w latach 1925-26; miał już 38 lat. Właśnie tło tamtej epoki pomaga nam najbardziej ujrzeć kontur psychiczny tego pisarza. W roku 1940 opisuje on w jednym ze swych artykułów, pisanych w Brazylii, tamte czasy:

„Kiedy 15 lat temu pisałem *Sous le soleil de Satan* w okresie pełnej euforii powojennej, kiedy mój kraj nieszczęśliwy, nie troszcząc się o swych bohaterów, zdawał się myśleć tylko o użyciu, gdy Paryż zalany, zdobyty spekulantami opchanymi złotem przypominał dom gry lub ogromne kasyno, było rzeczywiście mało szans, by moja książka mogła mieć publiczność, książka, która od pierwszej do ostatniej strony bluźniła przeciw tej radości świętokradczej żywych i robiła wrażenie książki napisanej dla umarłych. W rzeczywistości dla nich książkę tę pisałem”.

Dziś, czytając ten ustęp, wraca mi wspomnienie tych lat. Nie tylko spekulanci opchani złotem spływali wówczas do Paryża, ale młodzież studencka wszystkich krajów i wszystkich kolorów skóry zapełniała ówczesny Montparnasse i ówczesne Quartier Latin i większość tej młodzieży była prawdopodobnie oślepiąca właśnie tym euforycznym Paryżem, rozbawioną Francją, gdzie każde pojęcie i każda hierarchia wartości zdawała się względna, a przyszłość na pewno różowa dzięki „maszynce postępu”, która nas od woli naszej prawie niezależnie niesie ku coraz lepszej przyszłości.

Halévy był wówczas redaktorem *Cahiers verts* u Grasseta i wydał już w tej kolekcji takich debiutantów jak Mauriac, Montherlant, Malraux i inni. Uchodził za jednego z najprzenikliwszych *keeper'ów* młodej literatury. Gdy Bernanos przyniósł mu rękopis swej pierwszej książki w 1926 roku, Halévy po przeczytaniu odpowiedział mu m.in.: „przychodzi pan za wcześnie albo za późno”.

Halévy miał prawo być wówczas sceptyczny co do powodzenia książki. Zdanie Gide'a, że nie robi się literatury pięknymi uczuciami, było prawie dogmatem, kategorie moralne były coraz częściej ujmowane w literaturze jako kategorie wyłącznie estetyczne. Darmo Maritain wówczas w malutkiej broszurce *Cheminement*, przyznając do pewnego stopnia *la fertilité des régions basses* twierdził, że odrzucając wartościowanie moralne zła i dobra, człowiek „podróżuje w kraju płaskim”.

Nie Maritain wówczas, a tym bardziej Bloy, którego Maritain uparcie propagował, ale Gide i Proust zdobywali sobie najwięcej czytelników, a jeżeli także Mauriaca czytano, to *Souffrances d'un Chrétien*, esej, który pisał Mauriac w okresie, kiedy był bliski opuszczenia kościoła, czytano również jego *Destin*, o którym sam mówił potem *le plus trouble de mes livres*.

Przecież nawet Du Bos, później żarliwy katolik, pisał w 1924 roku w swoim Dzienniku: „Dzisiaj... odpychałoby mnie zupełnie użycie samego słowa grzech”.

I na tym tle ukazuje się książka Bernanosa, chaotyczna, żywiołowa, od początku do końca okrutnie wartościująca w kategoriach tak „niemodnych” jak cnota i grzech, mówiąca o Bogu i o szatanie, ta książka, która na pewno nie była podróżą po kraju płaskim.

Czy już wtedy to była walka z sartryzmem *avant la lettre*? Ale wtedy względność wszelkiego wartościowania była nie pod znakiem *la Nausée*, ale pod znakiem kuszącym niewyczerpanych radości i optymistycznego spojrzenia na przyszłość świata, wyzwolonego z dławiącej i przeżytej moralności, z użytych i przeżytych kategorii życia religijnego.



Bernanos po Mauriacu (wylicza się przecież jednym tchem nazwiska obu pisarzy jako pisarzy katolickich Francji współczesnej) to džungla po Lasku Bulońskim z wygracowanymi ścieżkami i skomponowanymi grupami drzew (wygracowane są nawet

ścieżki boczne, podejrzane, do których o zmroku zjeżdżają auta z zapuszczonymi firankami). Gdy się czyta artykuły jednego i drugiego, artykuły Mauriaca robią wrażenie zdecydowanie wyższej klasy, zawsze świetna, wyszukana i nie za częsta metafora, forma niechybnie przylegająca do treści, cytaty wyjątkowej piękności, trafności, czerpane z ogromnej lektury. Bernanos męczy, drażni nieustannym fortissimo, jakby monotonny ryk lwa, kręcącego się w kółko po zamkniętej klatce. Niektóre jego artykuły przypominają gąszcze zwęglonych konarów drzew puszczy brazylijskich, które autor w artykułach swych wspomina, ale nagle w tej dżungli spalonej wybucha flora takich cudownych metafor, a sam Bernanos zadawać zaczyna swym przeciwnikom ciosy tak celne, dotkliwe i nieoczekiwane, że wszyscy inni francuscy pisarze katoliccy jemu współcześni zdają się nagle przy nim anemiczni i nawet tchórzliwi.

Żarliwość Bernanosa jest połączona z absolutną prawdomównością, z gotowością krytyki wszystkiego, nie tylko przeciwników, ale właśnie najbliższych sobie sojuszników. Dlatego może politycy, pisarze polityczni uważali go za *parfaitement inutile*.

„Jestem skromnym pisarzem — pisze w jednym ze swoich artykułów — *ale jeżeli są czytelnicy, którzy mnie czytają i cenią, to oni wiedzą, że ja nigdy nie kłamię*”. Więcej, Bernanos zawsze świadczył życiem swoim takie czy inne przekonania. Katolik zawsze praktykujący, ojciec sześciorga dzieci, pomimo sławy żyjący w warunkach przeważnie nędżnych, wędrujący z kraju do kraju, wyrzucany z krajów i eksmitowany z mieszkań.



W niezliczonych artykułach tego pisarza ciosy polemiczne padają przede wszystkim na „groby pobielane”, na katolików bez męstwa, obojętnych na nędzę i nieprawdę, katolików tylko z pozoru i obrządku, którzy są zawsze po stronie tych, którzy mają siłę. To w nich widzi Bernanos o wiele bardziej niż w jakiegokolwiek rewolucji niebezpieczeństwo chrześcijaństwa. Głównym grzechem chrześcijanina jest dla Bernanosa brak gotowości wzięcia na siebie ryzyka życia, ryzyka wyboru i decyzji. Ileż artykułów, pamfletów w *Nous autres Français*, pisanych po Monachium, po którym Bernanos wyjechał do Południowej Ameryki, albo w książce napisanej przedtem, *Cimetières sous la lune*, w okresie walk hiszpańskich, a potem w artykułach pisanych w latach ostatniej wojny, gdy Bernanos był jednym z pierwszych,

którzy dołączyli do de Gaulle'a. W tych artykułach pisarz nie oszczędza kleru, nawet najwyższych dostojników Kościoła, atakuje odezwę biskupów hiszpańskich, stawiając Kościół po stronie Franco, demaskuje okrucieństwa frankistów i faszystów, wyrznanie, rozstrzeliwanie całych wsi niewinnych przy braku jakiegokolwiek protestu ze strony wyższego kleru hiszpańskiego. Ten katolik broni nie tylko wolności prawa do wiary, ale z tą samą swadą powstaje przeciwko wszelkiemu przymusowi religijnemu, broni wolności do *niewiary*.

Jedyni chyba ludzie, wobec których jest równie agresywny, to intelektualiści, nieodpowiedzialni, kawiarniani i snobistyczni, którzy „nie ośmielają się od dawna wymówić słowa Polska, ze strachu, by ich nie uważano za reakcjonistów, to tysiące intelektualistów burżujów, którzy się podają za marksistów... i z łakomymi minkami mówią między sobą o egzekucjach masowych i o czystkach”.

Jeżeli chodzi o sprawę polską, stanowisko Bernanosa jest naprawdę we Francji wyjątkowe. Wypowiedzi Bernanosa o Polsce nie są częste, ale odcinają się tak bardzo od wielu innych zdawkowych *Pologne digne et malheureuse*, albo pouczeń różnych katolików w rodzaju Mounier z *Esprit*, jak to się powinna pogodzić z Sowietami i stworzyć symbiozę katolicyzmu z marksizmem. U Bernanosa czuć zawsze, że ma żarliwy kult heroizmu, że dla niego tak „wyświechtane” słowo jak bohaterstwo ma wciąż pełną wagę i pełne znaczenie. Dla takiego człowieka walka Polaków w kraju, na wszystkich frontach od 1939 roku i tragedia Warszawy naprawdę *znaczą*.

Już w styczniu 1944 roku Bernanos pisze artykuł *Polskie Monachium*. Już wtedy mówi o zdradzie, o opuszczeniu Polski przez aliantów, którzy się tłumaczą tym, że to ostatni krok do zwycięstwa. Ostatnia ofiara dla zdobycia pokoju. Żąda się od Polski, by „oddawała co do niej należy i co jej było gwarantowane jeszcze w wilię wojnę”. W maju tegoż roku Bernanos pisze o błędach, które się kryje kłamstwami, kłamstwach, które się kryje zbrodniami. Jako przykład stawia znów sprawę polską. Polska, zdławiona w 15 dni przez Niemcy, gdy armie francuskie froterowały linię Maginota, a armie angielskie wyładowywały się spokojnie na plażach Francji”.

Gdy w 1946 roku wyjechała grupa katolików francuskich do Polski, wśród nich także Mounier oraz ks. prof. Bullier, ten sam, który wraz z Ehrenburgiem i Fadiejewym we Wrocławiu „brocił pokoju”, i kiedy ten zespół wówczas wrócił, zasypując prasę od *l'Humanité* do *Figaro* artykułami optymistycznie ugodowymi,

Bernanos jeden wyskoczył w *Bataille* z artykułem drapieżnym przeciwko płaskiej frazeologii, poprzez którą podróżnicy fałszowali rzeczywistość polską.

Całe życie Bernanosa jest nieustanną utarczką. Staje w obronie *Action Française*, kiedy każdemu obrońcy *Action Française* grozi ekskomunika, demaskuje okrucieństwa Franco i zostaje natchmiast wyrzucony z Majorki. Po Monachium opuszcza manifestacyjnie Francję i jedzie z 6-orgiem dzieci do Paragwaju, a potem do Brazylii. Zamieszkuje miejscowości, gdzie trzeba robić wyprawy konno po pocztę, a jako całą bibliotekę ma trzydzieści kilka tomów, jak sam pisze, powieści przeważnie kryminalnych. Jego głos w przeciągu całej wojny ostatniej brzmi we wszystkich pismach Francji gaullistowskiej, ale wróciwszy do Francji po *Libération* szybko zaczyna węszyć jakiś swąd, polemizuje, a potem już druzgocze przedstawicieli tegoż odłamu Francuzów na spółkę z którymi przez całą wojnę walczył.

Nareszcie w 1947 roku w marcu ogłasza wywiad w *Combat*, w którym wypowiada w twarz Francji najokrutniejsze prawdy.

„Francuzi... naród nie do zniesienia, gdy się na niego patrzy z bliska... Francja chce tylko się usprawiedliwić, każdy Francuz się usprawiedliwia, ale to mu się nie udaje... Pan przecież wie, że 39 milionów na 40 z entuzjazmem padało w objęcia Pétaina, potem ci sami padli w objęcia de Gaulle'a, również z entuzjazmem... Zatruto naród francuski chorobą elit, machiavelizmem. To cynizm. Naród francuski stracił ideę sprawiedliwości, zakorzenioną w sumieniu francuskim... Francuzi są w marazmie, bo już nie mają roli do odegrania w świecie, kiedyś wierzyli, że od nich zależy częściowo wartość i jakość świata.

... Co jest straszne, to to, że Francuzi pomału się przyzwyczajają nie być wolni. To się robi pomalutku. Może będą musieli stracić wolność zupełnie, by odnaleźć sens ofiary i śmierci”.

To wszystko mogłoby robić wrażenie, że Bernanos nie wierzył we Francję. Nieprawda. Właśnie dlatego, że w nią wierzył, żądał od niej tak wiele. Właśnie wiara we Francję dawała mu odwagę prawdy.

Nie mam ambicji poruszenia wszystkich tematów, które kryje w sobie dżungla artykułów i książek Bernanosa. Jego walka z nacjonalizmem w imię patriotyzmu, obrona monarchii przeciwko Maurrasowi, którego staje się gwałtownym wrogiem w okresie faszystów i Franco, jego katolicyzm połączony z uznaniem, zachwytem prawie dla rewolucji francuskiej, jego niechęć do burżuazji kapitalistycznej i liberalnej prawie równa nienawiści do wszystkich totalizmów, nienawiść do wszystkiego, dzięki czemu wzrasta przemoc Państwa nad wolnym człowiekiem, pań-

stwa, „tego wielkiego potwora o małej głowce”. Wszystkie te tematy są przecież tylko pochodne, zgrupowane wokoło jednej idei centralnej obrony człowieka, „zwierzęcia religijnego”, przeciwko cywilizacji, która w sobie ten pierwiastek próbuje do szczętnie wypełnić.

Bernanos umierał przez szereg dni i miał agonię bardzo ciężką. Ludzie, którzy byli przy jego śmierci opowiadali, że nieustannie myślał i wciąż powracał w swych ostatnich rozmowach nie do spraw prywatnych, o sobie nie mówił wcale, ale do przyszłości Francji, do tragedii świata dzisiejszego, do przyszłości chrześcijaństwa.

Parę dni przed śmiercią wyszedł gruby tom jego artykułów, *Le chemin de la croix des âmes*, opatrzonego wstępem. Ten wstęp kończył atakiem na cywilizację współczesną, ślepą ulicę, zasadzkę przeciw życiu wewnętrznemu człowieka.

„Powtarzam, cywilizacja współczesna jest kolosalnym przedsięwzięciem, które zmierza do tego, by dać rozrywkę, *distrayere*, za wszelką cenę poprzez wymysły mechaniki, ludzkości jeszcze zbyt niedawno amputowanej, by nie cierpiała nad organem, który straciła. Rozrywka, która stała się kołem piekielnym i która jakby nikogo rozerwać nie może dopóki nie wyniszczy definitywnie tego życia wewnętrznego, które sprawiało, że człowiek był zwierzęciem religijnym.

Ale już umysły głębsze obserwują poprzez świat pierwsze oznaki rewolucji największej ze wszystkich w historii, mówiąc ściśle, jedynej rewolucji w historii, wobec której inne były jedynie bladymi odbiciami nie do poznania, rewolucji człowieka stworzonego na obraz i podobieństwo Boga przeciwko materii, która podstępnie z wieku na wiek go zwycięża, wtedy, gdy jemu się zdaje, że on ją sobie zniewolił. Przyjaciele mego kraju, to we Francji ta rewolucja będzie miała głowę i serce, to poprzez nią będzie ona jutro *głową i sercem odrodzonej ludzkości*”.

Te ostatnie słowa wstępu do ostatniej książki świadczą, jak wierzył katolicki pisarz Bernanos w przyszłość Francji, w jej odrodzenie religijne, składając całą swoją nadzieję w „ręce dzieci”.

Renan, 70 lat wcześniej przepowiadając zupełną dekatolizację Francji, wierzył, że ewolucja ta jest bezpowrotna. Bernanos z całą namietnością szedł przeciw prądowi, który ogarnął masy francuskie, prądowi, który potwierdzał horoskopy Renana.

Czy wiemy, jakie nurty i jakie ciągi niewygaśniętej tradycji religijnej budzą się, narastają koło dzieła Bernanosa? Czy jego pogrzeb w kościele St-Séverin pełnym młodzieży, gdzie ponad połowa przystępowała tego dnia do Sakramentów, nie znaczy *nic*?

„Wiarę moją we Francję złożyłem w ręce dzieci”.

Nie darmo jedną z najbardziej ponurych powieści tego pisarza, gdzie szofer rosyjski, kokainista, morduje dziewczynę, prawie dziecko, pełne radosnej, bożej miłości do ludzi i życia, Bernanos nazwał *La joie*, „Radość”, bo w dziele Bernanosa co krok, nawet w książkach najbardziej mrocznych, wyczuwamy tę niezmierną miłość życia i radość życia, do której zdolni są ludzie, którzy wiedzą, *dlaczego żyją* i *dlaczego* gotowi są umrzeć, dla których każda chwila życia ma wartość absolutną. I tu jest może akcent książek Bernanosa najbardziej uniwersalny. Poprzez wszystkie dzieła Bernanos nas nawołuje do życia, w którym radość byłaby możliwa.

(*Kultura* nr 11/1948)

„SPOWIEDŹ DZIECIĘCIA WIEKU”

To Mauriac pisał, że kiedy człowiek sobie uświadamia, że przestał być młody, kiedy to zauważa w ucisku serca, w nagłym zmęczeniu czy braku reakcji, gdy to spostrzega na twarzach ludzi, którzy się z nim witają (zdawkowa uprzejmość o jeden stopień bardziej podkreślona) — zwykle młodość już dawno go opuściła. Każdy żyje długo w złudzeniu, że jest „obiecujący”, że kiedyś w przyszłości dopiero stworzy to, dlaczego w ogóle jest warto żyć, a tu nagle zauważa, że ludzie go już widzą jako człowieka starego, który dał wszystko co miał dać, bardzo niewiele albo nic, patrzą na niego młode oczy, okrutnie i prawdopodobnie, z bezwzględną krytyką, czasem łaskawą litością, częściej z pozornym szacunkiem, przez które przebijają szczerze lekceważenie. On tak samo patrzył na ludzi od siebie starszych trzydzieści lat temu.

I nagle wieczny problem ojców i dzieci widzi człowiek z przeciwnego brzegu.

Jest rysunek Leonarda: starzec z wysuniętym, starczym, pod bezzębnymi ustami podbródkiem patrzy wzrokiem pytającym na młodzieńca. Ten ostatni ma wzrok obojętny i zarazem wyzywający, oczy gdzieś w dal utkwione. Nie zauważa starego człowieka, który go trzyma za ramię i patrzy jakby w ostatniej nadziei, że odnajdzie w nim, młodszym — brata.

Wieczny problem. Czy mi się jednak zdaje, że dziś przepaść, dzieląca pokolenie najmłodszych od nas jest jeszcze głębsza niż zwykle, reakcja w wielu wypadkach brutalniej różna. Pierwsza tego przyczyna jest jasna. Żadne pokolenie nie przeżyło bardziej masowych rozdarć i wstrząsów jak właśnie to pokolenie,

które z dzieciństwa w wiek młodzińczy przeszło w latach ostatniej wojny.

Rodziny, zespoły, przyjaźnie rozsypane, zniweczone, ile trupów, ile wypadło członów, ci co przeżyli — rozdarci na kraj i emigrację.

Jeżeli mówić o kraju, to z głosów, które tutaj dochodzą, rysa między pokoleniami jest ogromna; ojcowie żyją jeszcze wizją Polski sprzed 1939 roku, której młode pokolenie już nie pamięta, a prasa reżymowa, propaganda reżymowa potrafiła przedstawić jako jedno horrendum reakcji i „sanacyjnych” zbrodni. Polityka wychowawcza rządu, zgłajchszaltowanie młodzieżowych organizacji, podporządkowanie młodzieży o wiele bardziej całkowite wpływom politycznym reżymu, przy również większej o młodzież niż o starszych trosce — potęguje różnice reakcji na rzeczywistość między ojcami i dziećmi. Gra tu również młodzieńcza zdolność adaptacji.

Jeżeli zaś chodzi o nas, na emigracji, chyba nigdzie „starzy i podstarzali” nie żyli dalej od młodych, w większej nieświadomości czym są oni dzisiaj, nieświadomości przeżyć, załamań czy wewnętrznych osiągnięć tych, którzy przychodzą na nasze miejsce, którym przecież coś dać powinniśmy przedtem niż odejdziemy zupełnie.

Czasami patrzę z przerażeniem na moich współczesnych, gotowi oni godzinami dyskutować w próżni i bez rezultatu, jak pogodzić wnioski Komitetu Zagranicznego PPS z tezami ND, czy rząd musi być rządem „osobistości” czy partii, czy z Mikołajczykiem, czy bez Mikołajczyka (wcale znaczenia tych zagadnień nie myślę lekceważyć), hodują przy tym starannie, jeszcze rozbudowując, zastarzałe animozje partyjne i personalne — ale ci sami ludzie nie widzą nic poza zamkniętym kręgiem swoich współczesnych, swego świata, w którym żyją i na który się skazują. Nie widzą naokoło siebie tych oczu ironicznych, pytających, nie słyszą uwag zjadliwych, nieraz naiwnie uproszczonych, ale jakże często celnych tych dzieci, dla których powody „zasadnicze” naszych walk są już prawie nieznane i mają w najlepszym razie walor daleki, „historyczny”; tutaj, dzisiaj wydają się im wyłącznie walką przy chudym żłobie personalnych ambicji. Widzą oni jedynie, że „taktyka” pożarła wszelką „mystykę” polityczną.

Będzie rząd — nie będzie rządu. Dla tej młodzieży polskiej, z dala od Londynu oficjalnego, ten problem istnieje coraz mniej albo wcale. Cudzoziemcy, reżymowcy warszawscy mówili o rzą-

dzie-widmie, dziś nawet młodzi Polacy na emigracji mówią to samo. Ci rządcy właśnie wśród nich, którzy chcą, by na emigracji był rząd, centralizujący wszystkie wysiłki polskich niepodległościowców, ci których to jeszcze interesuje mówią o konwenietyklach polityków londyńskich gorzej niż z goryczą, ze wzgardą.

„Gdzie jest w tych walkach o rząd, którego nie można sklecić, P o l s k a ? Gdzie jest troska o P o l s k ę ?” — woła mi z pasją dwudziestolatek. — „Ja już się dawno domyślałem, że tym panom chodzi o to tylko, kto będzie dłużej otrzymywał pensję”.

Czy trzeba to przemilczać i chować te „bluźnierstwa”? Ze zgrozą, zasłoniwszy godne oblicze, odwrócić się od bluźnierców?

Kto ze starszych te opinie s ł y s z y przy zupełnym braku zainteresowania do ludzi innego pokolenia?

„Ależ to jeszcze szczeniak!”, odpowiada mi czcigodny, patriotyczny i mocno łysiejący mój rozmówca, konstatując prawie z wyrzutem, że rozmawiam o sprawach ważnych z „dziećmi”. Nie szkodzi, że ten „szczeniak” wyszedł z gruzów Warszawy, że uczył się podczas wojny dorywczo w tajnych kompletach, że w okresie psychicznie najbardziej plastycznym bił się, konspirował, politykował, przeżywał wpływy nie tylko bohaterów walki podziemnej, ale też drani, łajdaków i spryciarzy, ale t a k ż e gestapowców i enkawudystów.

Moje obserwacje o młodzieży są na pewno dorywcze, nie ogarniają całokształtu, ale chcę je właśnie poruszyć od strony najbardziej bolesnej, o której wielu z nas nawet nie chce wiedzieć.



Cecha, którą najszybciej się zarzuca młodym, to cynizm.

„Ale świętości nie szargać”.

Chciałbym zrozumieć źródła aktualne, charakter tej cechy, którą starsi nazywają cynizmem, skłonnością do bluźnierstw, kalaniem gniazda.

Nie jest to cecha przypadkowa. Ona zawsze coś znaczy i jest nie tylko buntem przeciw hipokryzji starszych. Gdy surrealiści wystąpili we Francji ponad 20 lat temu, wynosząc jako swoją biblię na szczyt hierarchii nie tylko literackiej, ale nawet moralnej kompendium bluźnierstw, sadyzmu, bólu, stronic genialnych i wodolejstwa *Pieśni Maldorora* Ducassa Lautréamonta, mądry Valéry zainteresował się tą nikłą początkowo grupką:

„Nie korek mnie interesuje — powiedział — ale fala, która go niesie”.

Czy to, co się zbyt łatwo nazywa słowem cynizm, nie jest do pewnego stopnia zjawiskiem spotykanym w każdej, czy prawie każdej startującej generacji? Próbuje ona gorszyć dlatego chociażby, żeby się oderwać, o d r ó ż n i ć, uniezależnić.

W polemice z Barrèsem o *déracinement* Gide dawał argumenty botaniczne: pączki, które najpiękniejsze dają owoce, to te, które najdalej „odskakują” od pnia, a gałąź z pączkiem najbliższym pnia musi być nacięta, by go od tego pnia oddzielić.

Różne w swej formie, w swym wyrazie, jakże bliskie są reakcje młodzieży dalekich od siebie pokoleń.

„Kto się ośmieli opowiadać, co się działo w szkołach. Ludzie wątpili we wszystko, młodzi odrzucili wszystko... Młodzież wyszła ze szkół z czołem pogodnym, z twarzą świeżą i rumianą i z bluźnierstwem na ustach... Dzieci 15-letnie, rozparte pod krzewami w kwiatkach, mówiły takie zdania, takie słowa, od których by zadrżały ze zgrozy ciche zarośla ogrodów wersalskich.

„Szczęśliwi ci, którzy czas ten ominęli, szczęśliwi, którzy przeszli nad przepaściami, patrząc w niebo... Jest prawdą niestety, że gest bluźnierczy daje wielki upust sił, przynosi on ulgę sercu zbyt pełnemu... To był paroksyzm rozpacz, wołanie bez imienia do wszystkich potęg niebieskich... To był wielki krzyk bólu i kto wie, czy w oczach Tego, który widzi wszystko, to nie była modlitwa”.

Któż to pisał? Dwudziestoparoletni Musset, którym się zaczytywały nasze pobożne babki, pisze tak o sobie, pisze o młodzieży, wyrosłej na gruzach tamtej epopei, epopei napoleońskiej. Francja bez złudzeń wielkości była dla nich za mała, za duszna i za ciasna.

„Najbogatsi wpadli w rozpustę... najbiedniejsi w entuzjazm chłodny wielkich słów, w okropne morze czynu bezcelowego”.

Ale tamta młodzież francuska „o swym szczęściu nie wiedziała”, te sieroty wielkiej epopei, których ojcowie zginęli na szlakach napoleońskich, nie widziały, jak wywożono i mordowano ich rodziców, ani jak łapano i rozstrzeliwano na placach miast ludzi z zalepionymi gipsem ustami, by nie mogli krzyczeć czy wołać. Ci młodzi Francuzi nie patrzyli na wirujące karuzele u stóp płonącego getta, nie widzieli, jak w ginącej Warszawie padali w nierównej walce ich bracia, siostry i pierwsi przyjaciele. Nie przeżyli oni również potem poczucia tej gorzkiej bezużyteczności najcięższej z ofiar.

„I ramiona młodociane
W bezimienny proch rozwiane
Dziejów nazwą śmieciem”.

To Norwid napisał tę strofę gorzką z gorzkich.

Ta młodzież, która przeżyła katastrofę Warszawy, ginęła jeszcze w lasach, likwidowana przez Bezpiekę i żarta suchotami, w obozach w Niemczech, w celach więziennych w Polsce, albo przyjmowała nową rzeczywistość, wchodziła w aparat, przyjmując wszelkie tego konsekwencje. Ta ostatnia jedynie mogła się nawet wyżyć społecznie i organizacyjnie, była uprzywilejowana, miała ogromnie łatwy awans społeczny, szybko jak szybko mogła dojść do władzy, pod jednym warunkiem zupełnego posłuszeństwa nie tylko w czynach, ale w każdym czujnie podsłuchiwanym słowie.

Jeżeli nie zawsze, to przecież przeważnie gorzki smak miała ta „wolność” od pierwszej chwili. Warto się wczytać w znaczącą książkę Andrzejewskiego *Popiół i diament*.

„Jeszcze nigdy w życiu nie czułem się tak opuszczony i tak gorzko i okrutnie zawiedziony w swoich pragnieniach i nadziejach. Świat, który przez wiele lat opływał krwią, znów otwierał niezagojone rany i nienawiść i pogarda dalej toczyły ludzkie serca”.

Tak czuł Marcin, chłopak, który wierzył w życie, w szlachetność, w dniu, w którym wszystkie głośniki miasteczka chrypiały o zawieszeniu broni, kiedy jeszcze istniały lasy, Polska zalana wojskiem sowieckim, a młodzi chłopcy tworzyli na własną rękę własne tajne organizacje na wzór starszych, mordując się wzajemnie.

A na emigracji ci chłopcy znów, którzy trafili do Francji czy Anglii z Polski lub ze wszystkich frontów walki, gdzie krwią ich szafowano rozrzutnie i bez rachunku, robotnicy w fabrykach, młodzież studencka — ci co wyżyli, ci co emigrowali dalej jeszcze bo się dusili w Europie, drwale w Kanadzie, robotnicy w Australii, kto wejrzał w świat przeżyć tych ludzi!

Tu w Paryżu stypendia głodowe, próby dorabiania zamiataaniem ulic, czarnym rynkiem, czy nawet grą na skrzypcach na Place Blanche, i znowu suchoty. Studia ileż razy zrywane, nieraz pozorne, aby tylko mieć pretekst, by załapać jakiś strzęp stypendium, walka nieustanna o byt w obcym, obojętnym świecie.

Mówiąc o młodzieży, nie oddzielam młodzieży emigracyjnej od pozostałej w Polsce. Ta młodzież bardziej jest sobie bliska niż rozdarte pokolenie starszych.



Chciałbym zwrócić uwagę na dwa typy tej młodzieży najskrajniej ze sobą sprzeczne.

Jedni, to typowi „eskapiści”, społeczni i polityczni, skrajni indywidualiści. Wszystko, tylko nie polityka, wszystko co z daleka pachnie robotą polityczną, to domena starych idiotów, którzy się kręcą w kółko. Nie chodzi tu bynajmniej o atak na taką czy inną koncepcję polityczną. Świat się wali, niech się wali. Stalin buduje nową „egipską” cywilizację — niech buduje. To, że mu się udaje, świadczy może, że ma rację. Nie rację absolutną, w którą ta młodzież nie wierzy, ale rację na daną chwilę, w danym procesie historycznym, bo jest w tej młodzieży, w każdym razie na odcinku politycznym, wyraźny nurt oportunistyczny. Słowo *faktoprekonstwo*, wymyślone przez Rosjan, a które oznacza ubóstwienie faktów w przeciwieństwie do jakiegokolwiek teorii czy koncepcji, cechuje tę młodzież. Chodzi jedynie o to, jak się urządzić, żeby można było spokojnie studiować IV wiek, Bizancjum albo Eliota. Przecież i tak wpływu żadnego się nie ma na rzeczywistość. Jest „maszynka ewolucji”. Tutaj działają spopularyzowane slogany marksizmu. A przy tym przecież „byt określa świadomość”, a nie na odwrót, więc świadomość jest wytworem takich czy innych warunków. Jedynie co jeszcze ważne, to te dziedziny, które nie zawadzają o życie społeczne ani o przekłętą politykę. W każdym reżymie gorzej czy lepiej można studiować matematykę i badać lata urodzenia Goyi czy Magnasca — jeżeli napiszę pracę o Goyi, trzeba będzie dodać jakieś *chapeau* marksistowskie lub znów może inne, katolickie, zależy od tego, od kogo biorę stypendium. Ale to wszystko nieważne. Ważne jest jakoś przeżyć, na to trzeba dostać stypendium z tej czy z tamtej strony, skąd, to znów nieistotne, aby było. Gdybyż tylko dano się uczyć, dopędzić czas stracony, gdyby można było choć w nauce i sztuce tak się otorbić, żeby zapomnieć wstrząsy i nędzę dzisiejszej rzeczywistości. Oby te wstrząsy nie zniszczyły mozolnie odbudowywanego świata myśli i sztuki.

Ten stosunek do polityki, do społeczności, ironicznie obojętny, a nawet cyniczny, nie jest nowy. Ma wspaniałe precedensy — czy Leonardo, proponując się jednocześnie Papieżowi i Sforzy — swoją sztukę, wiedzę i... plany maszyn wojennych, nie patrzył z tą samą obojętnością czy nawet cynizmem na wstrząsy i walki swego wieku?

Nie wiem czy ta grupa jest liczna. Pod względem inteligencji jest ona chyba najciekawsza. Mówiłem o nich z wielką goryczą pisarzowi czujnemu, nie Polakowi.

„Pan nazywa ich 'eskapistami'?” — zapytał. — „Czy pan jest pewny, że tak jest właśnie, a może jest to słuszna i zdrowa reakcja przeciwko nam, którzy opuściliśmy sprawy najważniejsze, wieczne, dla przemijających namiętności politycznych i społecznych. Może oni jeszcze bardziej niż my mają prawo nam stawiać zarzut 'eskapizmu'?”.

Przyszłość wykaże, czy ten stosunek do rzeczywistości jest formą ascezy twórczej, czy tylko bezpłodnym komfortem pięknoduchów.

Są jeszcze ci, o których pisze Musset, że „przeszli nad przepaściami, patrząc w niebo”. Spotkałem paru, ich twarze skupione i żarliwe wryły mi się w pamięć. Nie zobaczymy ich tak szybko na ulicach Paryża.

Ci opuścili bez hałasu i całkowicie ten „zamęt spraw wielorakich”, ścieżki ich są przed nami ukryte i nie nam się będą te „dzieci wieku” spowiadać.

„Już nie mogłem wytrzymać — pisze mi jeden z nich — wstępuję do Zakonu i napiszę do Pana za rok”.

Drugi typ, o którym mówić chciałem, to aktywiści bezwzględni. Tylko czyn i to „z mokrą robotą” (nieraz bez wiary w jej sens); wszelkie dwójki, mordy tajne pociągają tę młodzież. Dla niej może najbliższa psychicznie jest młodzież Izraela z grupy Sterna czy Irgunu; wspaniała śmiałość, całkowita bezwzględność żydowskich straceńców. Mówi się wiele o tym, że na walczących Żydach w Izraelu zaciążyły nie tylko prześladowania gestapowskie, ale i metody gestapowskie, które dziś odżywają w zaciekłych walkach z Arabami, w akcji antyangielskiej, ale musimy wiedzieć, że nie tylko na Żydów wpłynęło Gestapo i NKWD. Na młodzież polską miały one również wpływ psychiczny.

Taki chłopak mówi dziś: „To trzeba by mu przypiekać pięty na kominku” — jako rzecz całkiem normalną, więcej, całkiem moralną, bo tortura weszła już dzisiaj jakby w przyjęty, jawny obyczaj. Brutalność, okrucieństwo gestapowców, zimny, nieludzki, konsekwentnie za pomocą Bezpieki realizowany plan podporządkowania sobie Polski przez Sowiety i polskich komunistów u niejednych wzbudzał i wzbudza nie tylko ból i wrogą reakcję, ale także podziw. Cóż znaczą dla tych młodych realistów, dla których ważna jest natychmiastowa skuteczność za wszelką cenę, bezpłodne konwentykłe polityków londyńskich; nie tylko, bo nawet wszystkie Somosierry przeszłe i współczesne to dla nich rekwizyt staroświecki i dumnie sterczący pióropusz Polski, „pawia narodów”.

„Co z tego? Co z tego?”, wołają z pasją. „Nasza polska nicłość na tym polega, że umiemy ginąć lub gadać, ale żadnego nowoczesnego aparatu siły stworzyć nie potrafiliśmy!”.

Idę dalej, są i tacy, których olśniewa „czysta” robota NKWD, wspaniała „reżyseria” procesów. Polska ma także swoich kandydatów na polskich Gletkinów.

Epigoni? Kiedy się wojna kończy, kiedy chłopci zaczynają orać swoją ziemię, nagle wybucha jakaś mina, zabija oracza. Ileż takich min niewybuchłych jest jeszcze w ziemi. Ale czy epigonem był ten młody Niemiec, autor książki *Die Geächteten*, jeden z morderców Ratenaua. On też zupełnie młodziutki, musiał po tamtej wojnie dać sobie radę z problemem klęski, porażki swego narodu. On też próbował tysiąca dróg. Gdy wybrał wraz z przyjaciółmi Ratenaua na ofiarę zamachu, to wybrał go dlatego właśnie, że go uważał za człowieka porządnego, czystego, za autentycznego demokratę. Bo Ratenau mógł mieć wpływ, mógł oczyścić atmosferę Niemiec z jądów nienawiści i planów zemsty. Ernst von Salomon, autor wyżej wspomnianej książki, opisuje tam również walki z Polakami na Śląsku, okrutne bitwy młodych chłopców niemieckich z polskimi powstańcami wśród łąnów żyta, prawie jak orgie rozkoszy zmysłowej. Z tą samą pasją pisze o walkach ulicznych, o strzelaniu do bezbronnych tłumów z karabinów maszynowych. Nie wiem, co się dzieje z autorem, wiem, że przed wojną mieszkał we Francji, w Cagne, że był chory na płuca, liberalizował i zupełnie odszedł od swego dawnego światopoglądu, ale wiem również, że jako autor tej książki w oczach młodych niemieckich czytelników był jednym z „patronów” hitleryzmu. Więc on nie był epigonem!

Dzisiejsza młodzież polska, która przeżyła klęskę kraju i klęskę Warszawy, jak kiedyś Ernst von Salomon przeżywał klęskę Niemiec, pełna goryczy dla bezsilnych swych „ojców”, szuka dziś samotnie dróg wyjścia. Kto jej pomoże skryształować głód walki, ofiary, brutalnego wyboru i heroizmu? Wystrzegajmy się rozpaczliwych ludzi. Może ona ich pchnąć także na drogi najgorsze.

Nasza obojętność w stosunku do tej młodzieży, nasze frazesy podniosłe, które się nam zdają przynajmniej nieszkodliwe, a rzućane na grunt młodości dają reakcje nieoczekiwane gwałtowne, mordercze, ta niewspółmierność temperatury ich zapytań i naszych odpowiedzi, to wszystko może dać skutki, których nikt z nas nie oczekuje.

Już widzę oburzenie czytelnika: — Pisze pan o wyjątkach

czy wypadkach prawie klinicznych, czy pan nie widzi na emigracji grzecznych zastępów, grzecznie się uczących stypendystów lub tłumu młodzieży grzecznie pracującej w angielskich fabrykach? Mało znam tę młodzież. Może rzeczywiście istnieje taka atmosfera, zbożna i karna, nie jestem tego jednak tak pewny. Ten chłopak, który trafił do Anglii i dziś pracuje na uniwersytecie czy w fabryce, wyniósł również wiele stłumionej goryczy, nawet ten, co poza krajem szedł naszym szlakiem wojennym. Pamiętajmy, że w wojsku polskim awans był niezmiernie trudny i niezmiernie powolny, że „wieczni podchorążowie”, którzy pomimo zasług bojowych i wysokiej klasy wiedzy wojskowej nie awansowali, byli ogromnie liczni. Trzeba o tym fakcie pamiętać. Na tym również odcinku żalu do starszych, za niewyżycie nawet na drodze wojskowej, nawarstwiło się sporo.

Wracając jednak do typu młodzieży, o której pisałem, twierdząc, że nie są to tylko wypadki kliniczne, że jeżeli ci ludzie stanowią nawet skrajną mniejszość, nie jest to na pewno mniejszość najlichsza. Są wśród nich ludzie naprawdę ofiarni, z głębokim pragnieniem służby, oddania się czemuś, za co by warto umrzeć i żyć, ale broń Boże nie nazywajmy tego wobec nich słowem ideał czy idealizm. Bo na same te słowa błędą ze złości. Zbyt łatwo szafowano przed nimi takimi słowami.

Cóż w tym nowego? Każde pokolenie musi znaleźć nie tylko swoją własną drogę myślenia, ale i swój własny wyraz. Jeżeli coś tej młodzieży najbardziej zarzucam, to wcale nie jej bunt, ale to, że wciąż jeszcze się pęta w jakiejś negacji wszystkiego. Nawet o dopracowanie się, podbudowanie konsekwentne z ciągłością swoich własnych myśli mozolić się nie umie czy prędzej nie chce. Każde pokolenie musi, jeżeli ma istnieć, jeżeli nie chce być zatarte i zdeptane, znaleźć swoje własne słownictwo, dalekie od słów już zbutwiałych, musi szukać nowego stylu. „Wojenne” wykształcenie, zwykle bardziej niż powierzchowne, sprawy te jeszcze komplikuje: ta młodzież nie ma żadnej genealogii. Dla niej całą przeszłością jest bezpośrednio przed nią wyrosłe pokolenie, od którego właśnie chce się odbić. Ale każdy bunt, każda nowa próba ujęcia rzeczywistości musi stworzyć sobie nową genealogię, musi się doszukać swego „wczoraj”, by znaleźć swoje „jutro”. Mickiewicz ponad sto lat temu mówił, że kto nie przeżył pierwszych wieków chrześcijaństwa, wojen krzyżowych i wielkiej rewolucji francuskiej, nie może być nazwany człowiekiem współczesnym. A Norwid wyraził to jeszcze ostrzej w *Garści Piasku*.

„Ten co od sumienia historii oderwał się, dziczeje na wyspie

oddalonej i powoli w zwierzę zamienia się. I ci co nie podzielili bólesci ani żalu, ani weszli kiedykolwiek w testament żywotów przeszłych, wyklinają się sami na pokolenia nowe, od zwycięskiej prawdy oddalone. Tak iż bywa, że na nowo proroków i na nowo apostołów posyłać im trzeba na noże ich, aźby powrócili w dawny prąd”.

Ale Mickiewicz, ale Norwid wierzyli w „wszechprzymiotność prawdy”, młodzież dzisiejsza, ta, o której teraz piszę, wierzy jedynie w skuteczność praktyczną, w procesy historyczne i w absolutną względność jakichkolwiek wartości i jakiejkolwiek hierarchii.

Cóż wtedy zostaje, jak nie Mussetowskie „okropne morze czynu bezcelowego”?

Tematy, które poruszam, nie zdają mi się wcale specjalnie polskie, u nas jednak z powodu sytuacji politycznej, z powodu rozdarcia na kraj i emigrację, z powodu rozproszenia i zatomiowania — specjalnie tragiczne.

Film o Niemczech, wyświetlany dzisiaj w Paryżu, opowiada o chłopcu, który otruił ojca na skutek powiedzenia swego dawnego nauczyciela, że słabych i nieszczęśliwych trzeba likwidować. To samo dziecko, odrzucone przez swych równolatków w zabawie, zabija się. Melodramat kinowy? Chyba coś więcej.

W tych dniach *Figaro* podało wiadomość, że syn 15-letni zabił ojca. Miał mu niewiele do zarzucenia, ale ojciec wykręcał się od płacenia długów, był słaby. *Un homme comme ça n'aurait pas du vivre* — powiedział, oddając się w ręce policji. Ileż takich wiadomości w gazetach. Jeszcze niedawno dzienniki pisały o 17-letnim chłopcu w Polsce, który zabił swą 15-letnią przyjaciółkę, a potem poszedł do kina.

„Po co tyle gadania? Krew! „Krew niewiele znaczy” — mówi Szretter, jeden z młodziutkich bohaterów powieści Andrzejewskiego. Mało kto, zdaje się, zauważył w książce tego pisarza strony poświęcone młodzieży. Ten polonez pijanych „byłych” ludzi o świecie, paszkwil na Polskę przeszłą, to światło, rzucone na jedyną postać jasną, na komunistę, czy i jak daleko zaszedł Andrzejewski na linii proreżymowej, o tym się pisało dużo. Ale nie czytałem nigdzie omówienia stron o młodych, którzy, chcąc odbudować „lepszą Polskę”, bawią się w wodzów, wydają na siebie wyroki, mordują się wzajemnie, łamią się i giną. Ci chłopcy przy tym nie są wcale, ale to wcale wyrodkami. Próbuja budować życie nowe, a kształty, które chcą stwarzać, nie mogą nie być tak czy inaczej zapożyczone z tej rzeczywistości, wśród której żyją i od której chcą się oderwać. Ale *Popiół*

i diament, to rok 1945, jeszcze istniała walka podziemna, istniały lasy, najświeższa pamięć Gestapo. Dziś jest nowa rzeczywistość i nowe reakcje. Dziś już nie ma Gestapo, ale jest Bezpieka, procesy młodzieży szkolnej, ale także zręczna walka o duszę tej młodzieży. Nie ma już narodu panów, ale jest wizja opanowania globu ziemskiego przez komunizm stalinowski. Któż o nowej rzeczywistości, o dzisiejszych reakcjach mógłby dzisiaj prawdopodobnie napisać. Na pewno nie Andrzejewski, laureat państwowej nagrody literackiej.

Mam w rękach już od roku list z Polski. Opowiadanie młodego chłopca, osiemnastolatka, jak się stał... stalinowcem. Podaję ten list nic nie zaokrąglając, ani nie zamazując zawartych tam uproszczeń i sprzeczności. Nie chciałbym mącić niczym akcentu prawdy i bólu tej spowiedzi nowoczesnego Baryki.

„W ciągu ubiegłego roku poglądy moje przeszły dużą ewolucję. Stałem się stalinowcem. Nie ma prawdy absolutnej, nie ma czynów samych przez się złych i dobrych. Moralność to system współżycia w grupie, prawidła postępowania, 'jedna z podstaw świadomości społecznej'. Zależna jest od warunków życia zbiorowego, przy zmianie tychże zmienia się i ona.

Prawie każdy czyn dobry zdaniem X. jest zły zdaniem Y. Co innego jest słuszne wedle Polaka, co innego wedle Niemca, co innego dla katolika, a co innego dla komunisty.

Życie samo przez się jest zmianą, nieustającym ruchem.

Prawem natury jest, aby głodni i poniewierani napadali na bogatych i sytych.

Dlaczego do głodnych i poniewieranych się zaliczam?

W dzieciństwie byłem pogardzany i popychany, byłem ubogim krewnym w ziemiańskich pałacach. We mnie bezsilnego rodzina wycierała swe humory. W okresie walki podziemnej wpoprzek stawiała mi głupota i skłócenie dowódców. Jako sekretarz komendanta rejonu, pośród kradzieży zrzutów, intryg personalnych, mafii walczących kosztem celu poznałem pod patetyczno-patriotyczną maską prawdziwe pobudki ich działania. Widziałem, jak rozstrzelano 5 przypadkowo spotkanych w lesie Żydów (uzasadnienie: wszyscy Żydzi pracują w A.L.). W 1944 roku spędziłem w Pruszkowie parę dni z b. agentem Wydziału Bezpieczeństwa we Lwowie, który z lubością wspominał tortury stosowane na Ukraińcach, rozwalane cerkwie oraz wypadły na Ruś Zakarpacką (w okresie rozbioru Czechosłowacji), celem zniszczenia gniazd hajdamackiej zarazy, likwidowania działaczy niepodległościowych.

Mówiłem prawdę w oczy, tępiono mnie, znienawidziłem ich. Jaki był przebieg procesu zmian, które we mnie rosły? W 1944 roku cechowało mnie przyjęcie za prawdziwe tego, co mi szkoła i otoczenie do wierzenia podały. W 1945 roku spotkałem ludzi z Lublina, zetknąłem się z partią, do której w imię realizmu *à la* Wielopolski poszedłem z innym światem wartości. W nowe dogmaty nie uwierzyłem, ale zachwiały się stare. Zjawił się Lucjan, też „człowiek czynu”, lecz jakże daleki od wulgarnych karykatur mówiących o sprawiedliwości dziejowej, o epoce szczęścia chłopca i robotnika, o raju panującym w Sowietach. 'Idee zaszczone masom mają na celu przemienienie tychże w sprawne narzędzie walki w rękach przywódców'. Byłem typem „intelektualisty” pełnego zastrzeżeń, bojącego się czynu i akcji. Lucjan przepędził me wahania. Zrozumiałem, iż nie może stać mi się nic złego ani nic dobrego, a w każdym razie nie jestem tego w stanie ocenić. Stracę rękę — być może powiększy to moją zdolność rozumowania, awansuję — być może przyzwyczaję się do nieróbstwa, przepoję iluzjami na temat samego siebie, co stanie się przyczyną bolesnych rozczarowań. Uczuciowość, nieśmiałość ma zmaląa w powodzi coraz to nowych wrażeń. Lublin, Warszawa, Wrocław, hotele, nowe twarze i nowe problemy. Władza, pieniądze, koniak, kobiety...”

Ten list, w którym płacze się i wikła ofiarna i szlachetna gotowość przekreślenia siebie, pragnienie czynu z zachwytem dla bezwzględnych, pozbawionych wszelkiego skrupułu ale skutecznych metod sowieckich, przy jednoczesnym głębokim sceptycyzmie do obiektywnego sensu *czegokolwiek*, to jest świadectwo i „Spowiedź dziecięcia wieku”, dziecięcia *naszego* wieku.

Co da na dalszą metę, jak podziała na takie psychiki w dzisiejszej rzeczywistości polskiej, w karbach Bezpieki, „władza, pieniądze, koniak i kobiety”?

Tak a młodzież jest także tu wśród nas, w Paryżu, Londynie. Z tym samym, czy z podobnym chaosem doświadczeń i brutalnych przeżyć.

Cóż im dajemy, my „starczy”, poza głodowymi stypendiami, poza frazesami wzniosłymi i złym snem naszych swarów politycznych?

Narody giną bez wizji — mówi Biblia. Jaką wizję daje moja generacja emigracyjna tej polskiej młodzieży, która chce wiedzieć, dlaczego warto jest nie tylko ginąć — ale i żyć.

(Kultura nr 1/18, kwiecień 1949)

CZY MARITAIN MIAŁ RACJĘ?

Nie pamiętam bym kiedy zaczął czytać artykuł Zbyszewskiego-Nienaskiego i potrafił się od niego oderwać. Czytam go zawsze z pasją, nieraz ze złością, ale zawsze do końca. Ileż nieścisłości na każdym kroku, wprost błędów. W jednym artykule Zbyszewski nam ukatrupił Daniela Halévy (żyje zdrow i cały), w drugim na katolicyzm przeprowadził Bierdiajewa (nigdy katolikiem być nawet nie zamierzał) itd. itd. Te nieścisłości wypływają po pierwsze z wielkopańskiej i karygodnej nonszalancji, którą się jakby szczyci, z drugiej jednak strony z warunków nieznośnych, w których żyjemy wszyscy: gdzie czas, gdzie biblioteki, by sprawdzić cytat, by nie wpaść w te nieścisłości i błędy. Wpadamy w nie wszyscy, pisząc bez tchu, korygując po nocach, albo nie korygując wcale.

Dlaczego artykuły Zbyszewskiego przecież tak przykuwają — bo jest w nich zawsze świetny talent i ten ton gwałtownie osobisty, to „ja”, którego w literaturze bronię, bo ratuje czytelnika od deklaracji, bezbarwnych odezów, martwych zbiorowo wypracowanych i nikogo nie obrażających banałów. Zbyszewski we *Lwowie i Wilnie* i w *Wiadomościach* napisał dwa artykuły o mojej książce. Zdaje się, że nie wypada reagować na krytyki, a jeszcze mniej być tym psem, który kąsa rękę, która go głaszcze i poklepuje. Zbyszewski niemniej poruszył kwestię zbyt istotną, bym mógł milczeć.

Chodzi o stosunek do Rosji. Nie jest on u mnie wcale stosunkiem „wytwornego” podróżnika, pół-Prousta, jadącego do Rosji z wycieczką, a jest wyrazem stanowiska człowieka i Polaka, który przeżył wiele lat w Rosji, nienawidzi tego co w Rosji haniebne, podziwia to, co podziwu godne. Stosunek taki wydaje

mi się jedynie godny pewnej polskiej tradycji, w piśmiennictwie polskim przecież dominującej tradycji Mickiewiczów, Norwidów, Brzozowskich i tysięcy pomniejszych. Tej tradycji, od której się wyłgać nie możemy, obowiązuje nas, albo musimy ją wyraźnie przekreślić i *zwalczać*. Grydzewski mi kiedyś mówił, że mógłby z łatwością zrobić antologię ustępów w duchu brutalnego zoologicznego nacjonalizmu w literaturze niemieckiej i że taka antologia mogłaby mieć wysoki poziom literacki. Takiej antologii z literatury polskiej nie byłby — jak twierdził — w stanie zrobić inaczej, jak na poziomie bardzo niskim.

Urąganie na Rosję, kolorowe i zabawne fałszowanie rzeczywistości „z uniesieniem febrze podobnym” dlatego, żeby mieć jeszcze pretekst Rosję osmarować, wydaje mi się dziś politycznie szkodliwe i demoralizujące czytelnika.

Okropne jest to „dokoła Macieju” w polskiej literaturze. Chciałbym zamiast polemizować ze Zbyszewskim, najprościej słowo w słowo powtórzyć co śmiał pisać Norwid podczas powstania w 1864 roku do Mariana Sokołowskiego.

„Jak Duchiniński im wyrznie krzepko: 'Moskal - Chińczyk', to będą uradowani, a jak kto ostrzeże, że dziś: NARÓD SIĘ SKŁADA NIE TYLKO Z DUCHA, KTÓRYM SIĘ RÓŻNI Z INNYMI, ALE I Z TEGO CO ŁĄCZY i że nie można wyciąć w pień na 20 mil kwadratowych koło Polski, aby w niej był narodowy poeta i narodowy historyk, to oni pluną na ciebie — aż tym sposobem podniosą patriotyzm nieprzyjaciela, jak zrobili i wściekłość wrogów i zřeczne usunięcie się przyjaciół spowodują. Każdy anachronizm te ma zawsze owoce”.

Nie wiem ile jest mil kwadratowych tych terenów, które Zbyszewski zamierza zniszczyć od granicy polskiej do Pamiru i Kamczatki, więcej w każdym razie niż ten pas 20 mil kwadratowych.

Nie chodzi o to, czy kocham Rosję, czy jej nienawidzę. Chodzi o to, że wykreślić jej z historii żaden Polak nie potrafi, że jej historia, literatura, należą do kultury świata, że miała ona i ma dotychczas ogromny wpływ na formację umysłową na Zachodzie wcale nie tylko negatywną.

Trudno jest polemizować ze zdaniami takimi jak „Bóg stworzył Rosję, by była jednym wielkim naturalnym więzieniem, olbrzymim łagrem — i żadne zmiany zewnętrzne nie mogą tego wyroku Bożego odwrócić”. (Cóż za poufałość z Panem Bogiem

i znajomość jego wyroków!). „Nie ma dobrych Rosjan, bo w tym kraju nie ma ludzi — są tylko raby i niewolnicy”. Czy można tłumaczyć takie zdanie? Jedynie wyznaniem w tymże artykule, że Rosja wszystko jedno jaka budzi w Zbyszewskim „wstręt, odrazę, pogardę, bardziej niż nienawiść”.

Nie posądzam bynajmniej Zbyszewskiego o świadomą chęć podbijania narodowej megalomanii, bo czytałem zbyt wiele uwag z jego atykułów, wobec Polaków skrajnie krytycznych. Ale jaki może być rezultat *konkretny* takiego pisania. Polak, czytający Zbyszewskiego z równym smakiem jak kiedyś Duchińskiego, idzie po linii najbardziej bezpłodnej i bezmyślnej idiosynkrazji.

Wszystkie teorie polityczne wobec Rosji są według Zbyszewskiego „dziecinne”, bo ani Jedinaja Niedielimaja, ani państwa narodowe! Przyznanie państw narodowych zmusiłoby do przyjęcia faktu, że istnieje taki naród ukraiński, że Ukraińcy to nie tylko „hajdamaki”, jak lubi o nich pisać Zbyszewski, o których nie warto mówić inaczej, niż z lekceważeniem i nienawiścią.

Pism polskich coraz mniej. Zbyszewski należy do paru najinteligentniejszych publicystów polskich na emigracji. Czy się on orientuje, że go czytają także ludzie *uczciwi*, którzy z tego co czytają chcą wyciągać *czynne* wnioski, a nie tylko łechtać swoją wrażliwość artystyczną. Jakie *czynne* wnioski może wywołać taka publicystyka poza odruchami bezkrytycznej nienawiści i „podniesieniem patriotyzmu nieprzyjaciela, wściekłości wrogów i zręcznego usunięcia się przyjaciół”.

Nie wiem skąd wie Zbyszewski, że jestem już taki wzorowy katolik, i to należy do komplementów skrajnie nieścisłych. Niemniej jednak mam prawo postawić zarzut Zbyszewskiemu, właśnie pod kątem katolicyzmu, bo on swój katolicyzm stale podkreśla. Dwa jego artykuły o mojej książce są tak głęboko niechrześcijańskie, że zdaje mi się żaden myślicy katolik takich artykułów napisać nie ma prawa, tak wyklinać, tak nienawidzieć, tak deptać tę, jak mówi autor, „krainę szatana”.

Pamiętam w dzieciństwie, kiedy mnie moja Matka, naprawdę wzorowa katoliczka, więcej, bo prawie święta, uczyła katechizmu. Gdy zachodziła mowa o piekle zawsześmy się Matki pytali kogo nam pozwoli do piekła wyprawić — zawsze odpowiadała, że nikogo, że o nikim, absolutnie o nikim, nie można mówić, że jest skazany, że łaska Boża czuwa nad każdym i że nie ma takiego, którego by ta łaska na pewno opuściła. Wtedy prosiłśmy ją przynajmniej, żeby nam już Judasza oddała, że ten i Pana Jezusa zdradził i powiesił się, więc już na pewno musi być w piekle. Zawsze miałem tę samą odpowiedź: „Nie, nawet

o Judaszu nie wiadomo, czy jest w piekle”. Zdaje mi się, że to jest stanowisko katolickie i chrześcijańskie. A jeżeli nie wolno przekreślać człowieka, zapominając, że jest on na obraz i podobieństwo Boga stworzony i że z najgorszego mroku może się wyzwolić, nie wolno również pisać z prostacką pogardą o całym narodzie. Już nie mówiąc o tym, że politycznie jest to błędem, a pedagogicznie dla polskich czytelników rozsypanych po świecie, obdartych ze wszystkiego, z wymordowanymi czy uwięzionymi przez Rosjan bliskimi — to najgorsza, trująca strawa.

Nie wiem dlaczego liturgiczna formuła „rab bożyj” wywołuje w autorze artykułu taką anty-prawosławną zgrozę. „Kto jako wolny jest wezwany, jest *niewolnikiem* chrystusowym”, pisze św. Paweł, a on wiedział co jest wolność, która nie jest „zasłoną złości”. Według Zbyszewskiego cerkiew prawosławna, to „kościół Antychrysta”. Jeden z najwybitniejszych tutaj pisarzy katolickich, jezuita ks. Danielou tak o tym kościele „Antychrysta” pisze: „Myśl prawosławna rosyjska wykazuje dzisiaj dużą vitalność. Trudno jest zmierzyć wagę jaką będzie miała dla przyszłości zbliżenia między kościołami, obecność w Paryżu od 25 lat kilku największych myślicieli religijnych i teologów prawosławnych”. Danielou wymienia Bułgakowa, Bierdiajewa, Łoskiego, Fłorowskiego, Kartaszowa i innych, wymienia ich dzieła, które „pozwoliły myśli katolickiej nawiązać znów kontakt z całym bogactwem teologii wschodniej, z której od wielu wieków czerpał jedynie kościół prawosławny”. Danielou, polemizujący tutaj z marksistami, egzystencjalistami, autor szeregu dzieł o teologii mistycznej, o platonizmie i o ojcach kościoła, zdaje mi się w tej dziedzinie bardziej kompetentny niż Zbyszewski.

Ludzie prawosławni są dzisiaj rozmieszceni po świecie, lub w Rosji w katakumbach. Nie mogłem pisać o tym w książce mojej wszystkiego. Zbyt się bałem ludziom przypadkowo spotkanym zaszkodzić, ale jest to faktem. Nie umiem również zapomnieć o płytach XVIII-wiecznych zapisanych cyrylicą, płytach nagrobnych rosyjskich zakonników, na których siadywaliśmy w Griazowcu, gdzie pod bladym niebem wołogodzkiem stały ruiny wysadzonej w powietrze cerkwi i gdzie 400 polskich jeńców zastąpiło ponad 1.000 jeńców finlandzkich, by tam przez dwa lata mieszkać w grubych murach klasztornych. Nie umiem zapomnieć ani tej dziewczyny, która mi tajemniczo pokazała krzyż na szyi, ani staruszki, chowającej strzępek papieru cyrylicą niezdarne zapisany — modlitwę przedśmiertną, którą prawosławni tam kładą na twarz w chwili konania, zamiast zakazanych modłów kapłańskich. Nie zapomnę również tego pułkownika

armii czynnej, sowieciarza, który w 10 minut po poznaniu mówił mi, jak bratu, o cerkwi rosyjskiej w *katakumbach*, choć wiedział, że słowo niedyskrecji z mojej strony o tym co mi mówił byłoby jego zgubą. W „Via dei fiori” opisałem los kilkunastu zakonnic rosyjskich, które jeszcze w 1941 roku czy 1940 cierpiały w obozach, były sądzone, a trzy zostały skazane na śmierć, bo żadna z nich, chociaż były wszystkie morzone głodem, nie zgodziła się na pracę dla władzy sowieckiej, dla władzy „szatana”, jak one mówiły. Było to 24 lata po zdobyciu w Rosji władzy przez partię, która wszelkimi metodami, morderstwem i zsyłką, sztucznie montowanymi konkurencyjnymi „kościołami” likwidowała wszelką religię — „opium dla ludu”.

To wszystko są *fakty*. Zbyszewski nie może nie wiedzieć, że prawosławie miało także swoich świętych, swoich pustelników, ascetów, starców aż na najdalszej północy, że literatura rosyjska, którą ucywilizowany Zbyszewski tak się brzydzi, dała wśród tylu innych niezapomnianych religijnych postaci, postać tak cudną i tak franciszkańską jak starca Zosimę z „Braci Karamazowych”. Historycy literatury wiedzą dobrze z jakiego *żywego* modelu Dostojewski postać tę stworzył.

Nawet w publicystycznym artykule nie wolno w okresie, kiedy prawosławie jest w *katakumbach*, mówić o nim, jak o kościele antychrysta.

W okresie tragedii warszawskiej napisałem list otwarty do Maritaina i Mauriaca. Liczyłem naiwnie, że chociaż jeden z nich się zdobędzie wtedy na głos niezależny, taki, na który by się zdobył jakiś Zola, czy Peguy, czy Żeromski, czy jakiś „moskal” Lew Tołstoj. Byłem naiwny. Mauriac był wówczas jeszcze po uszy w próbie symbiozy gaullistów z komunistami poprzez Résistance, a Maritain, Ambasadore de Gaulle’a przy Watykanie, patrzył najbardziej niechętnym okiem na ten drobny epizod warszawski, bo wspomnienie o nim mogło przeszkodzić w zmontowaniu stosunków Francji, Watykanu z „ludowymi demokracjami”, a poprzez nie ze stalinowskim marksizmem.

Odwiedziłem Maritaina w 1945 roku w Rzymie. Tłumaczył się dla czego na list mój nie zareagował w ogóle:

„Musiałbym być w stosunku do Polaków bardzo surowy. Powiedzieć im rzeczy bardzo bolesne. Polacy zanadto wycierpieli, by można im teraz mówić takie prawdy”.

— Jeżeli kiedy, to właśnie w nieszczęściu trzeba mówić prawdę — odpowiedziałem. Może nigdy tak jak teraz Polacy nie są zdolni jej słyszeć. Niech mi Pan odpowie chociażby najtwardziej.

— Nie mogę darować Polakom ich antysemityzmu i ich stosunku do Rosji. Podajecie się za ludzi, którzy mają misję na Wschodzie, twierdzicie, że jesteście przedmurzem chrześcijaństwa, a z drugiej strony uważacie Rosjan za półludzi, macie do nich głęboką pogardę.

Muszę powiedzieć, że odpowiedź ta boleśnie mnie dotknęła. Mój stosunek do antysemityzmu był dobrze znany Maritainowi. Powiedziałem mu jednak, że jest dość dziwne, że Moskale wymyślili słowo pogrom, setki tysięcy Żydów, uratowanych z Rosji sowieckiej przyjęła Polska w latach niepodległości, Niemcy wymordowali Żydów miliony, ale za antysemityzm ponoszą odpowiedzialność tylko Polacy — chociaż w myśli, w życiu społecznym Polski, w jej literaturze były nie tylko ekscesy antysemickie, był szereg pokoleń, gdzie symbioza między Polakami i Żydami istniała, wbrew różnicom charakterów, temperamentów oraz wbrew przesłankom ekonomicznym.

Może bardziej jeszcze zabolał mnie zarzut polskiej pogardy do Rosji. Głównie, że powtarzał zdanie jakichś dwóch hrabiów, których spotkał w polskiej Ambasadzie. Tłumaczyłem, że hrabiów i nie hrabiów, którzy mówią głupstwa po ambasadach jest dużo także we Francji, że nie pozwoliłbym sobie na tej podstawie wnioskować o myśli francuskiej. Mówiłem mu, że jeżeli chodzi o stosunek antyrosyjski, to wbrew najazdom i wywózkom, wbrew od pokoleń ciągnącej się krzywdzie polskiej, nasz stosunek do Rosji i jego wyraz w literaturze jest niezrównanie mniej antyrosyjski, niż stosunek Rosjan jest antypolski, jeżeli sądzić mamy chociażby tylko z rosyjskiej literatury. Wszyscy znamy brutalny wiersz antypolski o „kiczliwym Lachu” Puszkina w wierszu „Oszczercom Rosji”, napisany w chwili gdy potężna Rosja miażdżyła Polskę w 1831 roku. Wszyscy znamy wspaniały paszkwil antypolski Dostojewskiego, ten typ polskiego blagiera, szui i kanalii z *Braci Karamazowych*. Nie wiem, czy w wielkiej literaturze rosyjskiej, poza krótką nowelą Tołstoja „Za czto” mamy jednego Polaka, zobaczonego po ludzku i niepogardliwie, a u nas nie tylko w Mickiewiczu, ale nawet w Żeromskim, najbardziej antyrosyjskim z pisarzy naszych, ileż nut wycucia i zrozumienia Rosjan. Czy mielibyśmy Brzozowskiego, gdyby nie wpływy rosyjskie i jego namiętność dla wielkiej literatury rosyjskiej. Ileż związków, ile ludzkich spojrzeń do przyjaciół Moskali mamy w literaturze i życiu polskim. Więc skąd ta sztanca Maritaina i tylu innych o tych Polakach, gardzących Moskalami i ta sztanca wyciągnięta przez niego jako argument właśnie w chwili, gdy zniszczenie Warszawy zostało dokonane przez Niemców na

oczach bezczynnych, wyczekujących, opalających się na słońcu, o 10 km od Warszawy, „sojuszniczych” wojsk rosyjskich?

Dziś, po przeczytaniu artykułu Zbyszewskiego myślę, że dał on wspierać argument Maritainowi. Właśnie Zbyszewski, ten publicysta ze świetną inteligencją, takimi artykułami popiera i rozbudowuje w świadomości polskiej stosunek płaski, jednostronny i głęboko niechrześcijański do Rosji. Zbyszewskiemu nie wolno w okresie najcięższym naszej historii tak nieodpowiedzialnie harcować.

(*Kultura* nr 3/20, czerwiec 1949)

CZĘŚĆ DRUGA

TUMULT I WIDMA

„PRAWIE NIEBO”

Nie znam kraju w którym by kierowcy taksówek byli bardziej rozmowni i w lepszych humorach niż kierowcy w Stanach. Wszyscy zagadują, wszyscy pytają jak mi się podoba Ameryka i wszyscy tak Amerykę wychwalają, że przybysz z Moskwy prawdopodobnie by sobie wyobrażał, że każdy kierowca to suto płatny agent propagandy kapitalizmu.

How do you like this country? — zdanie sakramentalne nieustannie powtarzane. Moje pierwsze wrażenia: Lewantyńczyk wiezie mnie ze stacji, pochodzi z Damaszku, matka urodzona w Aleksandrii, ledwo mówi po angielsku. Pokazuje mi zakrzywionym palcem potężny hotel Waldorf Astoria, mieszka tam Książę Walii, Elza Maxwell i inne tego rodzaju gwiazdy nad gwiazdami society nowojorskiej. Lewantyńczyk-szofer wskazuje ten gmach z taką dumą, jakby przynajmniej posiadał w nim własny apartament; inny szofer z Jamajki zaczyna również od wychwalania New Yorku. „U nas na Jamajce są bardzo bogaci i strasznie biedni, tu każdy co pracuje żyje sobie dobrze”.

Szofer, *American born* w drugim pokoleniu (jeden dziadek Holender, drugi dziadek Żyd z Warszawy), wyraża najwyższe zdziwienie, że po zobaczeniu New Yorku chce wracać do Europy. I mówi z akcentem niechybnej szczerości, więcej, entuzjazmu: — *It is the best place in the world!*

Kiedy już znudziły mnie stale te same zapytania, odwróciłem rolę.

— *How do you like this country?* — spytałem szofera (ojciec i matka Żydzi z Warszawy). Szofer aż się odwrócił, tak mu się moje zapytanie wydało głupawe, i tylko odpowiedział:

— *It is my country!*

Ale nie tylko dzieci krajów biednych; Szwajcar, autentyczny, spod Zurychu, mówił mi to samo, dowożąc mnie do Central Station w New Yorku, wśród zgiełku huczących ze wszystkich stron „niecierpliwych” żółtych taksówek. Jest już w Ameryce 35 lat, ani myśli wracać do Szwajcarii.

— Nie wracam, po co mi wyjeżdżać? Tam strasznie nudno! Rok temu wyjechałem do Zurychu na dwa miesiące, ale tak się znudziłem, że po tygodniu wróciłem z powrotem.

— Tu jak człowiek pracuje nie brak mu niczego, życie wygodne, masz wszystko co chcesz — mówi mi na zmianę Francuz, kończąc jak klasyczny Francuz z brodatej anegdotki o słoniu: — *Et puis, si vous voulez vous avez les plus belles filles! C'est si facile!*

Więc i z Francji, więc i ze szczęśliwej Szwajcarii werbują się ci entuzjaści.

Jest w tym także atrakcja wielkiej stolicy. Kiedyś za młodu próbowałem się przegryzać przez Spenglera. Pamiętam jak przez mgłę przeciwstawienie cywilizacji wiejskich z racjonalistyczną, schyłkową cywilizacją wielkich miast. Spengler pisał o tej gwałtownej atrakcyjności stolic. Ludzie wolą ginąć z głodu, ale trwać na bruku tych miast, gdzie są igrzyska, gdzie się przewala tłum ludzki, gdzie jest tempo, tysiące świateł, afisze i kina. („Czy widział pan coś piękniejszego?”, pyta mnie Polak, stary emigrant, pokazując mi szpetne kino z tysiącami lampek elektrycznych).

Jeżeli jeszcze miasto takie daje dostatek a nawet *les plus belles filles!*

Henry Miller pisze w swej pięknej książce o Grecji (wyjątkowo zupełnie wolnej od seksualnych obsesji), jak odkrywa ten kraj bogów poprzez lud wiejski, poprzez godność każdego chłopca greckiego, chłopca który z jedną kozą, ze skrawkiem winnicy, nigdzie się nie śpiesząc, żyje od pokoleń u stóp Olimpu, dostojnie, w najpiękniejszym kraju, opowiada z pasją, z rozdrażnieniem, jak każdy Grek, który był w Ameryce chce się z nim widzieć, by mu powiedzieć z dumą, że jest bardzo cywilizowany, bo pracował u Forda lub w rzeźniach Chicago. Jeden z nich skarży się Millerowi na barbarzyństwo swych współrodaków: „Posłałem z Chicago matce prawdziwą blaszaną wannę, a matka trzyma w tym kartofle!”, żali się cywilizowany Grek na nieucywilizowaną matkę, która mieszkając nad ciepłym turkusowym morzem gardzi wanną z Chicago!

A Miller nienawidzi tych wanien, tych fabryk i w każdym

goście poważnym i dostojnym najbiedniejszego chłopca greckiego widzi istotę życia. Ameryka jemu, Amerykaninowi, wydaje się *piekłem* na ziemi.

Wracam do szoferów. Kiedy opowiadałem o moich z nimi rozmowach w Europie, mówiono mi nieraz, że to nie jest charakterystyczne; szoferzy taksówek to nie klasyczny proletariatus, to rzemiosło bardziej wolne. Ale byłem w rzeźniach w Chicago dwukrotnie, byłem w fabrykach Forda. Podobne reakcje, podobne zadomowienie i wrośnięcie w kraj nowy, podobną miłość Ameryki spotykałem także tam. Raz jeden w rzeźni zwiedzałem wszystko jak się należy, drugi raz włóczyliśmy się z Polakiem, młodym medykiem z Chicago w białym lekarskim kitlu, który wciąż udawał że idzie do jakiejś przychodni i na ten rachunek obszedł ze mną gmachy i podwórza i ulice tego miasta-rzeźni. Byłem również w fabrykach Forda, mówiłem z paru inteligentnymi Polakami, którzy w tej fabryce już od roku pracują, zaczynając od najniższych szczebli. Wrażenia moje potwierdzali.

Wszędzie uderzała mnie postawa robotników, ich wygląd fizyczny, świetne ubrania i *humor*.

Chicago. Rzeźnia. Ogromna hala. Patrząc przez wielkie szyby trochę z góry: dziesiątki zabitych i uwieszonych na posuwających się wciąż „wieszakach” wielkich cielsk wołów i krów; niektóre o zgruchotanych czaszkach mają zamiast głowy jeden ogromny gruzeł krwi. W bladzielonym świetle, na tle podłogi całutkiej zalanej gorącą purpurą krwi, potężni Murzyni w bladoniebieskich kitlach i dziwnych srebrnych hełmach na głowie płatają martwe zwierzęta, zdzierają z nich skórę, obcinają nogi i głowy, wszystko bez pośpiechu. Potężne i wymyślne dźwigary podsuwają im zwierzę po zwierzęciu, „wieszaki” są wciąż w ruchu, bez zatrzymania, jak w filmie René Claire’a *A nous la Liberté*, lub u Chaplina *Dzisiejsze czasy*.

W innej sali siedzą przy posuwających się również bez ustanku, długich jak niekończące się wstążki płytach blaszanych inni robotnicy. Ci już rąbią, kroją i skrobią różne oddzielne członki zarzniętych zwierząt. Korzystam z przydługiego tłumaczenia przewodnika i szkicuję w notatniku jednego z Murzynów, nagle słyszę śmiechy w całej sali, zwracają się do mnie robociarze ze wszystkich stron i robią mi znaki bym ich rysował. Cała sala jest *wesoła*.

Rozjeżdżając i łażąc po podwórzach tego miasta-rzeźni, gdzie powietrze jest przesiąknięte wnikliwym, trochę słodkim zapachem (krew?) zmieszonym z zapachem nawozu i siana, płynącym

z ogromnych zagród gdzie czekają zwierzęta przeznaczone na rzeź, włączając się obok, czy ponad setkami szyn, którymi to bytło jest dowożone, chodząc przez oszklone mosty-korytarze, rzucone ponad szynami, zagrodami a nawet gmachami, patrzę wciąż na twarze robotników, urzędników, kobiet i mężczyzn („Ajryszów”, Murzynów, Mulatów, Polaków), robociarze wesoło się przekrzykują, spokojnie gadają ze sobą. Wszędzie to samo uczucie jakiegoś życia zbiorowego, jakby bez świadomości wyraźnych różnic klasowych (to nad czym ubolewa Erenburg gdy pisze o Ameryce). Wszędzie spotykam też tę samą gotowość do uśmiechu, świetne ubrania, wielkie skórzane fartuchy, wysokie aż po biodra gumowe buty.

Nie chcę wcale uogólniać, opisuję jedynie to co widziałem. Wiele w tym jest może także przez wszystkich przyjętej metody Coué, „wmawiam sobie i innym że wszystko jest O.K., więc będzie O.K.”. Opowiadano mi o nagłych samobójstwach ludzi, którzy jeszcze kwadrans przed śmiercią tak samo radośnie uśmiechali się do wszystkich. Inaczej ci ludzie wyglądają być może w okresach strajków; twarze mają wówczas wyrazy zacięte, prawdopodobnie też wrogie. Kiedy patrzę w oczy policji, która obcesowo żąda przepustek, w tym mieście-rzeźni, gdzie nie widziałem, patrząc nawet z okien wysokich piętér, ani jednego drzewa w okolicy, wyobrażam sobie, że brutalność pojawia się tutaj błyskawicznie i nierzadko. Nie widziałem jej jednak sam na własne oczy.

W Detroit byłem zaraz po zakończeniu strajku w jednej z największych w Stanach fabryk automobilowych; wiele strat przyniósł on tak fabryce jak również robotnikom i zakończył się niewyraźnym kompromisem.

Kilkakrotnie wymijałem tłum robotników wchodzących czy wychodzących z tej fabryki, która teraz, by czas nadgonić, pracowała we wzmożonym tempie.

Mężczyźni w szarych spodniach, w sportowych kurtkach lub w czystych kitlach, zawsze czyste, jakby wprost z pralni koszule, kobiety w bluzeczkach, nieraz jedwabnych, kostiumach — to robotnicy i robotnice. Twarze, cery, tusza — nie mogłem skonsztatować, by ci ludzie wyglądali gorzej odżywieni jak ludzie z 5th Avenue z New Yorku, a ubrani byli wszyscy lepiej niż przeciętny mieszkaniec burżuazyjnych kwartałów Paryża. Nie dziwię się, że drażnić to musiało Erenburga. Ci robotnicy niegłodni, dobrze ubrani i bez nienawiści do „burżujów” walczą miesiącami poprzez *legalne* strajki o podwyższenie płacy. — Niech

się bogacą właściciele fabryk, byle byśmy również na tym sko-
rzystal — miał powiedzieć Erenburgowi amerykański robotnik.

— Pomimo wszystko czuję się tu dobrze — mówi pięć-
dziesięcioletni smutny i rozumny oficer polski, dawny wysoki
urzędnik wojskowy z Gdańska, były D.P., dziś robotnik u Forda.

— Nikt na mnie jeszcze ani razu głosu nie podniósł, ani też
na żadnego z moich kolegów. Trzy razy jako kierownik ruchu
zrobiłem korbą nieodpowiednie posunięcie. *Cała* praca w ogrom-
nej hali natychmiast stanęła, parę razy rozbiłem duże szyby sa-
mochodowe, nigdy nawet wymówki! Widzi pan, ta praca jest
dla mnie trudna, trzeba w sobie wyrobić reakcje odruchowe, ja
zanadto się staram. Moi koledzy, młodszy ode mnie, mają czas
zjeść jabłko podczas pracy, wypalić papierosa — ja nie. Ale
uderza mnie tutaj szacunek dla człowieka, no i rzadkie koleżeń-
stwo, gotowość pomocy. Pracowałem przez parę miesięcy
w ekipie, gdzie byłem jedynym białym wśród samych Murzy-
nów; ładowaliśmy części maszyn na auta, kierownik grupy był
też Murzynem, nie tylko że mnie nie krzywdził, ale gdy ciężar
był większy, wyznaczał do tej roboty Murzyna — to nie dla
pana, to za ciężkie! — mówił. Nikt mnie nie krzywdzi, nikt
również nie zagląda mi do mego prywatnego życia, umiem to
ocenić.

W wielu przygodnych rozmowach w Ameryce, tak łatwo na-
wiązujących, bo ludzie rozmawiają chętnie, bez śladu podejrzli-
wości i uprzedzeń, zawsze pytałem o pochodzenie. Polacy, Żydzi,
Niemcy, Holendrzy, Irlandczycy i nawet Japończycy, nigdzie
tej całej kratki narodowościowej nie obserwowałem tak jak pod-
czas mego parodniowego pobytu w Chicago.

Dwudzieste drugie piętro, bezkresny widok na tysiące domów
najróżniejszej wielkości, ani śladu drzew, a na każdym więk-
szym domu wielkie, często wysokości paru pięter, czarne kotły-
rezerwuary. Pierwsze wrażenie widoku z okna to nie domy,
a tysiące tych kotłów, które z daleka wyglądają jak czarne garnki
kuchenne. Rano przynoszą mi śniadanie do pokoju, wnosi je na
tacy starszy człowiek, Polak. Pytam jak mu się powodzi? —
O bardzo, bardzo dobrze! — Ma pan dzieci? — Dwóch synów,
już żonatych, wnuki, dobre dzieci, kochają mnie, wczoraj cały
dzień spędzili ze mną.

Na drugi dzień przynosi mi śniadanie niski, krępy Japończyk
z wesołymi oczami jak paciorki, z Honolulu. Okazuje się kolega
z 8-mej Armii. Bił się we Włoszech w amerykańskim pułku
artylerii; mówi o tym z nieukrywaną dumą. Potem znowu

mam Hawajczyka, dalej Irlandczyka, wszyscy bez wyjątku chwala sobie tutaj życie, a przy tym nie wyczuwam w nich cienia służalczości, nie tylko śladu „padam do nóżek!”, ale nawet zainteresowania napiwkami. (Pierwsze wrażenie powrotu do Paryża: hotel przy Gare St.-Lazare, miła służąca opowiada mi jak ciężko pracuje i bez potrzeby krząta się po pokoju. Przyjechałem z Ameryki, jestem zapewne milionerem, może dam napiwek o 50 fr. większy?).

Ta służba hotelowa w Chicago jest nie tylko lepiej płatna, ale ma słusznie czy niesłusznie większe poczucie bezpieczeństwa, nie tylko dla siebie, ale dla swoich dzieci. To jest mentalność o której my w Europie tak zapomnieliśmy, że nas dziwi każde z nią zetknięcie.

Najwięcej uderzyła mnie jedna rozmowa w Chicago. Zachodzę do restauracji-baru. Jest, jak przeważna ilość tego typu instytucji, dla mnie przykra, bo prawie ciemna, oświetlona jedynie neonami. Czerwone neony odbijają się w niezliczonej ilości butelek i w łysinie grubego barmana. Podaje mi makaron sympatyczna, starsza kelnerka, blondynka, z długim, trochę kaczym nosem. Widząc że jestem Polakiem, jest dla mnie szczególnie usługowa, wprost przyjazna. Sama jest Polką, przybyłą tu już wiele lat temu. Pytam się ją, jak zwykle, jak się jej powodzi? Odpowiada skwapliwie, że bardzo dobrze, i kończy już zaufanym półszeptem:

— Bo tutaj, proszę pana, to jest *prawie niebo!*

Patrzę na czerwone neony, na setki butelek, na tłustego barmana i gorączkowy pośpiech z którym ta kelnerka i jej koleżanki obsługują tłustych gości. A więc tak ma wyglądać niebo.

— Jacques zawsze się oburza na zapał i szybkość z jakimi zjadam gotowaną kiełbasę, nie może zrozumieć, że mnie przez pięć lat śniła się taka kiełbasa!” — pisze mi przyjaciel, który w Polsce przeżył lata niemieckiej okupacji i już kilka lat temu trafił do Francji.

Tej kobiecie, którą nędza przed laty wyrzuciła z Polski, tej kobiecie z baru z czerwonymi neonami, ile lat „śniła się taka kiełbasa?”.

CZARNE LUSTERKO

Podczas Kongresu o Wolność Kultury w Berlinie, w czerwcu tego roku, prezydent miasta Reuter urządził u siebie przyjęcie dla wszystkich uczestników tego Kongresu. Dom prezydenta jest położony w niedużym, cieniście ogrodzie, spływającym ku jednemu z pięknych jezior podberlińskich.

Przyszedłem spóźniony. Ogród był już pełen gości. Zbliżyłem się do jeziora. Do przystani właśnie podpływała łódka. Myślałem, że jest ona tutaj dla nas, że będziemy mogli jeździć po czarnej wodzie, ale zobaczyłem, że jest zajęta, że siedzi w niej trzech uzbrojonych policjantów. Przy wejściu do ogrodu zauważyłem również parę szarych mundurów policyjnych. Nie było w tym nic dziwnego. Każdy z nas, uczestników, miał również dyskretnego anioła stróża. Porywanie ludzi z zachodniej zony do wschodniej — sowieckiej, jest rzeczą dość częstą. Opowiadali mi o takich wypadkach z imionami i datami nawet skromni berlińczycy. Do człowieka idącego po chodnikach szybko podjeżdża auto, z którego wyskakuje dwóch drabów, chwytają go i wciągają do auta. Po paru minutach niewygodny dla Sowietów pasażer jest już w ich zonie, nie oddzielonej od Berlina Zachodniego nawet drutem. Człowiek taki ginie wówczas jak kamień, można pisać noty za notami bez najmniejszego rezultatu. W ogrodzie Reutera byli ludzie tak nieprzyjemni dla Sowietów jak Burnham i Silone, jak Koestler i Rousset. Jasne, że trzeba było ich strzec.

U tejże przystani spotykam młodą Amerykankę. Poznałem ją we Frankfurcie, kiedy jechaliśmy do Berlina z Giedroyciem. Była z przyjaciółką, należącą do organizatorów Kongresu. Obie panie zajęły się nami we Frankfurcie z typową amerykańską

prostotą, koleżeńską, konkretną usługą. Samolot odjeżdżał dopiero wieczorem, myśmy przyjechali rano. Amerykanka zaprosiła nas do swego pokoju i nawet nam zaproponowała, by bardziej zmęczony przespał się na jej łóżku. Sama przy tym pisała coś na maszynie, przygotowywała swój wyjazd do sąsiedniego miasta, pakując przeróżne nylony. Nie było w jej zachowaniu śladu zahamowań, wątpliwości czy to wypada czy nie wypada. Mówiła nam dużo ciekawych rzeczy o psychologii Niemców i Amerykanów, o zmianach zaszłych w Niemczech w ciągu ostatnich dwóch lat. W ciekawej rozmowie nie zauważyłem żadnych zasadniczych różnic, dzielących nasze poglądy.

Tu, w ogrodzie prezydenta Berlina, widzę z daleka jej smukłą postać, przenikliwe ciemne oczy i rudą czuprynę na drobnej głowce. Podchodzi do mnie — widzę, że jest szczerze wzburzona.

— Proszę pana, to jest niemożliwe, trzeba reagować. Pan *musi* zareagować. Stała się rzecz naprawdę oburzająca.

— ???

— Kiedy wchodziłam do ogrodu prezydenta, jeden z policjantów wyraźnie mi zasalutował! Ależ to jest okropne. To przecież jest kongres cywilnych intelektualistów — i nagle ten obrzydliwy, wojskowy gest.

Z początku nie rozumiałem o co jej chodzi. Policjanci mają niskie elipsowane czaka z szarej materii. — Czy pani chciała, żeby na przywitanie zdejmowali te czaka?

— Tak czy inaczej, nie mają prawa salutować. — I nagle zatrzymała się patrząc mi pytająco w oczy. — Więc może u was także policjanci salutowali?

Odpowiedziałem z pewnym zakłopotaniem, że tak. Amerykanka zamilkła, ale jestem pewny, że zdecydowała, że i mnie trzeba poddać reedukacji, że i ja jestem militarystycznym zafańcem europejskim. Gest dla mnie normalny zdawał się jej wprost haniebny. Podkreślam — to była naprawdę dziewczyna bardzo inteligentna, a oburzenie było wcale nie powierzchowne. Trzeba by znać wiele głębiej historię Ameryki, nawarstwienia i wątki jej tradycji, by dobrać się do *korzeni* tej świeżej i szczerzej reakcji, żeby rozwikłać jakie były świadome i nieświadome powody tego odruchu.

Była to reakcja obywatelki kraju, gdzie wojsko jest złem koniecznym, o którym trzeba jak najprędzej zapomnieć, gdy tylko pokój został zawarty; kraju, który jednocześnie, w tempie nigdy nie widzianym, umie rozbudowywać swoją armię stwa-

rzając niebywałą przewagę techniczną nad przeciwnikiem; kraju, którego synowie umieją umierać bez skargi, nie tylko za swój kraj, ale dla idei jeszcze bardziej abstrakcyjnych i uniwersalnych, jak Karty Atlantyckie i Karty Wolności; kraju gdzie brutalność wcale nie jest rzadszym zjawiskiem niż w Europie, ale gdzie panuje głęboka niechęć do wszelkiej formy, przypominającej z góry narzuconą nie improwizowaną dyscyplinę, gdyż to razi odruchowo ich egalitaryzm demokratyczny. Niechęć do każdego gestu, stwarzającego *dystans*, automatyczne podporządkowanie hierarchii¹.

Zastanowiła mnie różnica pomiędzy tą reakcją a moją, Polaka, Europejczyka, u którego ten banalny gest wojskowy budzi wspomnienia, asocjacje wcale nie tylko gwałtów i hitlerowskiego czy innego barbarzyństwa, ale także pewnej tradycji wiekowej i rycerskiej. Nawet tu, w Berlinie, nie przyszło mi do głowy, by wiązać go natychmiast ze sprawami denazyfikacji i reedukacji.

Ileż razy — pomyślałem — *moje* reakcje na życie amerykańskie i jego obyczaje, moje odruchowe zgorznięcia muszą się здаwać Amerykanom naiwne, niezrozumiałe czy drażniące. Ale cóż z tego. Oburzenie Amerykanki powiedziało mi o Ameryce więcej niż niejedna o Ameryce książka. Wnikanie właśnie w istotę sprzecznych odruchów, a nie zamazywanie ich może pomóc we wzajemnym zrozumieniu.

Dawniej malarze, gdy malowali portrety, używali czarnych lusterek, przystawiali te lusterka do obrazów i natychmiast wykrywali błędy: nos, trochę krzywy w lewo, w lusterku przekrzywił się w prawo. Uczciwe obserwacje Europejczyka w Ameryce, czy Amerykanina w Europie powinny by odgrywać rolę czarnego lusterka. Po tym przydługim wstępie wracam do Chicago.



Święto Trzeciego Maja. Nabożeństwo w kościele Świętej Trójcy. Dostojnicy i *boss*owie organizacji i związków. Sporo mundurów nie tylko z ostatniej wojny, więcej jeszcze hallerow-

1. W książce Geoffrey Gorera pt. *The Americans* (Edition Calman-Lévy, r. 1950, str. 287), która wyszła po francusku, znajduję takie zdanie: „zawody najmniej szanowane i najbardziej podejrzane (w Ameryce — przyp. mój) to te, które zawierają w sobie wykonywanie władzy: polityka, a w czasie pokoju kariera wojskowa... Młody człowiek, utalentowany, pozbawiony szczególnych protekcji oraz tradycji wojskowej w rodzinie, który by wybrał w czasie pokoju karierę oficera w armii czy marynarce, byłby oglądany z nieufnością”.

skich. Kościół wielki, kolorowy. Witraże, rzeźby, freski. Dzieśiątki rzeźb rozmalowanych mocnymi kolorami. Chrystus-Dziecię w potężnej, złotej koronie, Chrystus Zmartwychwstający, jak z różowego lukru, Matka Boska i inni święci. Na jednym z witrażów — wypędzenie z raju: dwa ciała Adama i Ewy na tle ciemnych cranachowskich tonów. Ten witraż w starannym rysunku, w doborze dyskretnych kolorów odcina się od wszystkich innych malowideł i rzeźb. Na głównym ołtarzu, wśród niezliczonych, białych ze złotem, kolumniek naliczyłem 118 lampek elektrycznych. Właściwie ten jasny kościół, to dla wielu tutaj ideał wiejskiego kościoła w Polsce. Tyle, że stokroć bogatszy. Ale też swojego rodzaju barok, też pełen figur, złota i kolorów. Cóż z tego, że ani jedna rzeźba tutaj nie ma wartości artystycznej, że żadnej z nich nie można porównać z naszymi wiejskimi świątkami, ustawionymi na rozdrożach, w naszych ubogich kapliczkach, z Chrystusami fraszobliwymi, wyciosanymi z drzewa, czy wykutymi w kamieniu przez naszych wiejskich artystów, że nic nie przypomina pięknych, religijnych malowideł na szkle naszych górali. Przecie i nasze wiejskie kościoły były pełne zakupywanych w miastach, słodkich, tandetnych, kolorowych figur, które usuwały w cień to, co w tych kościołach było prawdziwie piękne.

Sztandary i mundury chorążych w rogatywkach, nawet górale ze starymi skrzypkami, w starych, w Polsce jeszcze robionych kierpcach zapełniają kościół. Po nabożeństwie wszyscy wypływają na plac przed kościołem i tworzą pochód. Na schodach kościoła naturalnie zatrzymują ich fotografowie. Ustawiają się, prezes Rozmarek, i gość dzisiejszy, sędzia Gunther, i energiczna wiceprezeska pani Dymek, przedstawiciele Legionu Weteranów, redaktorzy naczelni etc., etc. A pośrodku małeńki góralik w góralskim kapelusiku. Wszyscy, wszyscy mają szerokie niewymuszone uśmiechy na twarzy. Maszerujemy wszyscy przez ulicę. Gra orkiestra. Wszyscy się z sobą witają i słyszę wciąż przebijający język angielski.

Dopiero po obiedzie, w Parku Humboldta, w pobliżu pomnika Kościuszki, będzie defilada organizacji, oddziałów, sztandarów. Przyjmować ją będzie Prezes Kongresu Polonii i Prezes Związku Narodowego, Karol Rozmarek.

Po południu jadę do Parku. Słońce wiosenne, ale wieje wiatr lodowaty. Rozmarek otoczony delegatami, współpracownikami i gośćmi zaproszonymi na trybunie rozmawia z dystyngowanym Irlandczykiem, Mayorem Chicago, który też przybył na defiladę i też będzie przemawiał. Mowy i defilada przetykane

są wystąpieniami prezesa Rozmarka, który mówi po polsku, po angielsku, w pewnym momencie nawet po hiszpańsku. Głosem stentorowym przedstawia przybyszów, gości, sędziów, bankierów, konsulów, działaczy, nie szczędząc nikomu najwyższych komplementów. Wszyscy jesteście wielcy i wspaniali.

Patrzę ponad głowami zebranych tłumów na miły pomniczek Kościuszki. Kościuszek wygląda młodo, na zgrabnym koniku, zgrabnym ruchem podnosi szabelkę. Delegacja zebrana z trybuny niesie wieńce pod jego cokół. Ale gdyby naraz Kościuszek zechciał zejść ze swego konika i przyjść tu do nas na trybunę, albo może przededefilować na koniku z szablą wzniesioną, nie byłoby już w słownictwie polskim czy amerykańskim żadnych wyższych superlatywów, wyższych niż te, którymi obdarzono sławnych bankierów, wielkich bohaterów, wspaniałych sędziów tu, na trybunie, obecnych.

Myślę o nekrologach zmarłych magnatów i szlachciców w XVII wieku, w Polsce. W oracjach pośmiertnych każdy z nich pochodził przynajmniej od Brutusa, Cezara czy Aleksandra Macedońskiego. Natężenie superlatywów musiało być podobne. Czy stamtąd idzie ten kult przesady, jak mi się zdawało w pierwszej chwili? „Kultura poszlachecka” — powiedziałyby Wańkowicz. Nie, a jeżeli, to chyba w drobnym tylko ułamku. Jest to przede wszystkim wpływ amerykański i styl *amerykański*. Niezliczone mowy wyborcze, nieustannie używane propagandowe chwytły, styl języka, który muszą rozumieć wszyscy wyborcy, więc także ci imigranci, co ledwo mówią po angielsku. Więc ubóstwo i emfaticzność słownictwa, gdzie między zwykłą oceną a skrajnym superlatywem nie ma prawie pręseł pośrednich. W mowach *polskich*, a również w artykułach jest to jeszcze bardziej podkreślone, gdyż stara emigracja z rzadkimi wyjątkami ma słownictwo polskie zubożone, zwęża się ono coraz bardziej, jakby wysycha w miarę jak wzbogaca się jej słownictwo angielskie. Naturalnie jest to najbardziej drastyczne w drugim pokoleniu.

Spotkałem w Bostonie młodego Amerykanina polskiego pochodzenia, którego mi z dumą przedstawiono, jako że będąc Polakiem piastował już odpowiedzialne stanowisko w gubernatorstwie. Powinowałem mu, że tak dobrze jeszcze mówi po polsku. — Czy pan również jeszcze czyta po polsku? — zapytałem. — O tak — odpowiedział z miłym uśmiechem — to zupełnie łatwo. I dodał po chwili — tylko, że jak czytam to nic nie rozumiem. Za trudne słowa!

Mówcy na wszystkich wiecach, na wszystkich zjazdach narodowych muszą się liczyć z takimi słuchaczami. Ale dla świeżo

z Europy przybyłego słuchacza ten uproszczony styl niewycienowanej chwalby robi wrażenie już nic nie znaczących i nieustannie tych samych frazesów.

Na drugi dzień w gazetach cyfra zebranych tłumów była określana najbardziej dowolnie. Osobiście, po rozpytaniu paru ludzi znajdujących się tam, myślę, że w ogrodzie było maksymalnie 10.000 ludzi. Gazety jednakże szafują cyframi 100 i 200 tysięcy uczestników. W chicagowskim *Sun Times* p. Pluciński pisze o 100.000 obecnych oraz o 10.000 delegatów 4.000 polskich organizacji. *Nowy Świat* w New Yorku opisuje to święto prawie jak wypadek historyczny. Dziwię się skąd te cyfry. Zwykła przesada propagandowa? Wyjaśniają mi, że w Chicago liczy się uczestników *wszystkich*, a więc wszystkich gapiów na ulicy i nawet tych co wyglądają z okien. Na dorocznej manifestacji komunistycznej obliczono spadek wpływów komunistycznych, bo gapiów było tylko dwa rzędy z dwóch stron pochodów komunistycznego, a kilka lat przedtem pięć. Ale jakże się nie gapić na pochod polski, kiedy jadą rydwany ukwiecone, bogate. Na rydwanie Związku Narodowego (lora wyklejona srebrnym papierem) stoją kolumny greckie, angielskie napisy, w środku siedzi p. Maria Piech — symboliczna postać „kobiety-związkowczyni”; na rydwanie Spójni Narodowej — olbrzymie „serce dla Ameryki i Polski” z czerwonego papieru sterczy do góry na płaskim wozie, oklejonym papierem białym i czerwonym.

Rozmarek w swoim przemówieniu grzmi na *ignominous* Jałtę. Na drugi dzień widzę to zdanie powtórzone w prasie amerykańskiej, ale, jak mi mówią, Rozmarek grzmiał na Jałtę z równą gwałtownością wtedy, gdy większość prasy amerykańskiej śpiewała na cześć Jałty peany.

Zbiórka na Dipisów, agitacja za sprowadzaniem ich, jest głównym, konkretnym „ćwiekiem” uroczystości. Dziewczęta w strojach krakowskich, w gęsto złotem wyszywanych aksamitnych stanikach i z ogromnymi wieńcami ze sztucznych kwiatów na głowie, przechodzą przez tłum niosąc wielkie prześcieradło, na które zebrani rzucają więcej dolarów niż centów. Dipisi to cel zrozumieli. To nasi ludzie żyjący w Niemczech, oczekujący na wizy, bez żadnej tam, na miejscu, przyszłości, a z przeszłością poważnie straszliwą. Iluż ludziom nieznany Polak-Amerykanin umożliwił przyjazd do Ameryki, zapewnił pracę, dając im *affidevit* i zgadzając się być sponsorem ludzi, o których tylko tyle wiedział, że są Polakami. A to są gesty wcale nie plato-niczne. One angażują moralnie i materialnie. Przy tym Polskie Towarzystwa Ubezpieczeniowe organizują to sprowadzanie, agi-

tują za nim, dysponując w tej dziedzinie wielkimi możliwościami. Każdy nowo przybyły prawie że automatycznie zapisuje się do tych towarzystw. Jeżeli zaś chodzi o Związek Narodowy, którego prezesem jest Rozmarek, to jest on właśnie największym towarzystwem ubezpieczeniowym. Jak mi mówią w Chicago — największa ilość Dipisów przybycie do Ameryki i pracę na miejscu zawdzięcza Związkowi Narodowemu. (W Związku Narodowym jedna ósma centa z miesięcznej składki każdego członka idzie na polskie cele oświatowe. To niewiele, ale to przecież daje pewne możliwości pracy na odcinku kulturalnym).

Pochód, który przesunął się przez miasto dociera do Parku Humboldta. Dziesiątki potężnych sztandarów, przeważnie amerykańskich, ale są także i polskie. Rewia wojskowa jest w tym pochodzie członem centralnym. Idą oddziały, które widzę po raz pierwszy w życiu. Szeregi „weteranów” — jak nazywają się tu wszyscy żołnierze z poprzednich wojen — są poprzedzone i zamknięte innymi oddziałami, powiedziałbym fantazyjnymi. Kobiety w mundurach czerwonych, niebieskich, aż kąpiących od złota, pasmanterii, guzików i epoletów, z czakami niewiarygodnej wysokości. Te panienki maszerują w kusych spódniczkach, zgrabnie wyrzucając przed siebie wydepilowane nogi, ruchem już nie teatralnym, ale rewiiowo-cyrkowym, kręcąc biodrami, piersiami. Tłumy widzów szaleją w oklaskach. Jak mówi Rozmarek „wspañiałe dywizje doboszek i cymbalistów”. Sławny cyrk Barnuma nie miał tylu statystów. Idą również oddziały męskie. Starsi panowie z zażywnymi, ale podciągniętymi brzuchami, młodzi chłopcy wyszamerowani i w pióropuszech. Kobiety zaś, idące na czele tych oddziałów doboszek i cymbalistów, trzymają w ręku srebrne laseczki lub nawet srebrne buławy i przechodząc przed trybuną wykonują nimi akrobatyczne sztuki: podrzucając je wysoko, łapiąc w lot, lub przerzucając sobie za plecami. Cóż mam robić! Jestem już tak stary, że jak słyszę słowo „wojsko”, „dywizje”, przypomina mi się prawdziwe wojsko, a jak widzę buławy, przypomina mi się prawdziwa buława w rękach Marszałka Piłsudskiego, kiedy jechał w 1920 roku powozem zaprzężonym w dwa białe konie z Zamku do Belwederu. Buława, którą otrzymał jako pierwszy Marszałek Polski za zwycięską wojnę. Ani razu jej nie podrzucił.

Dla Amerykanina te pochody to zjawisko najbardziej banalne. Rewia Lojalności czy Rewia Irlandzka mają w New Yorku dosłownie ten sam charakter.

Po pierwszych oddziałach doboszek idą inne szeregi. To już prawdziwi żołnierze, weterani ostatniej i przedostatniej wojny.

Wśród mundurów amerykańskich poznaję i nasze mundury z Drugiego Korpusu. Czarne berety, „syreny”, „choinki”. I zaraz tu, w tym tłumie szczęśliwym, stoją mi przed oczami Włochy wojenne, nasze wtedy, jeszcze wbrew wszystkiemu, nadzieje, nasi zabici i te słowa, za które ludzie płacili wówczas pełny rachunek krwi. Jaki ciężar i jaki wydzźwięk miały wtedy te słowa. Ci chłopcy między frontem a krótkimi urlopami w Neapolu i w Rzymie, ich szalona radość życia, płynącego tak wartko tuż na skraju śmierci. Ten oddział weteranów jest wtopiony w dywizję „fantazyjne”.

Ale między tymi świetnymi oddziałami pióropuszy i gołych nóg dostrzegam nagle kilkunastu maszerujących ludzi. Niosą liche transparenty z napisem: „Oni bronili Warszawy”. Ludzie niemłodzi w ciemnych płaszczach i jedna plama jaśniejsza — płaszcz od deszczu, wytarty, zielonkawy na kobiecie trochę zgarbionej, z siwymi włosami wymykającymi się spod czarnego beretu. Oklaski — deszczyk oklasków. I znowu dziewczątka z buławami i gołe łydki i bujne, jakże pięknie ułożone loki, wypływające strugami spod purpurowych i szafirowych czak. Burza oklasków.

— Widział pan takie coś kiedy? — pyta mnie z entuzjazmem jeden z organizatorów. „Nie, nigdy nie widziałem” — przyznaję szczerze.

Nagle zrywa się znów barwna wstęga mundurów i orkiestr. Idzie ciemny wąż „granatowych chłopców” - Dipisów. Idą w mundurach prawie czarnych, bez guzików i pasmanterii i bez orderów. Przeszli Warszawę i przeszli lata obozów. Dziś, tu, dzięki opiece Polaków z Chicago, zaczynają nowe życie.

Opuszczam święto z uczuciem sprzecznym. Co wynoszę pozytywnego z tej wielkiej ceremonii: pogodny, szczęśliwy nastrój współuczestników, poczucie *równości* — wbrew superlatywom mówców — między „wielkimi” dostojnikami a tuż przy niskiej trybunie zebrany tłumem. Poza podkreślanie na każdym kroku gorącej miłości i całkowitego lojalizmu dla nowej ojczyzny-Ameryki, wyczuwam również stosunek do Polski ciepły i współczujący. Wzrusza mnie pamięć serdeczna o Polsce tego największego skupiska emigracji. Cieszy mnie, że ten tłum starej emigracji wygląda tu zadowolony i naprawdę szczęśliwy. Ale nie umiem przełknąć tych wspomnień tragicznych w ramie operetkowej. Nie sędzę — konstatuje. Inne reakcje, tak inne, że kłamałbym, gdybym to pominął milczeniem.

To Tołstoj w *Wojnie i Pokoju* opisuje wrażenia Nataszy Rostowej, gdy pierwszy raz wchodzi do łoży opery po rozpoczę-

tym przedstawieniu. Gesty patetyczne wielkiej aktorki, trele i grymasy na scenie zdają się jej jedynie śmieszne i przykre. Gdyby знаła historię opery, wiedziała jak ta stylizacja operowa narastała, gdyby rozumiała sens gestów umownych, może by słuchała opery ze łzami zachwyty.

Tu w Ameryce są inne gesty umowne, inna symbolika, inna dekoracja. To wszystko wykwit innej amerykańskiej gleby. Patrząc na to wszystko i patrząc na różnicę reakcji Polaka zamerykanizowanego z moją, odczuwam może najgłębiej, że przejechać Atlantycką to nie fraszka.



— Niech pan teraz zajdzie do nas — mówi mi po skończonym obchodzie Dipis, którego dziś poznałem. Wszyscy ci, którzy z Europy przyjechali niedawno, zbierają się w niedzielę w małej salce Towarzystwa Matejki. Sala jak tysiące innych, z oknami na brzydką ulicę domów niskich i bez charakteru. Bufet, parę drewnianych długich stołów, jakieś akwarele na ścianach, przedstawiające ścieżki wiejskie i nasze brzozy. Do sali napływają coraz to nowi ludzie, przeważnie starsi mężczyźni. Patrząc na twarze, słuchając tego co mówili, przeżyłem tego dnia w Ameryce jedno z paru wrażeń niezatartych. Nic nie powiedzieli mi nowego. Gdy pytałem jak im się powodzi, wszyscy mówili, że dobrze. Tak samo jak inni emigranci, których na zebraniu noworocznym spotkałem w Montrealu. Wszyscy mają dach nad głową, wszyscy mają pracę. A Ameryka uratowała ich od materialnych tragedii, których pełno chociażby tu, w Paryżu. Nikt z tych ludzi nie głoduje. Ale wystarczy popatrzeć bacznie na te oczy, na smutek tych oczu podkrążonych, żeby zrozumieć że starych drzew się nie przesadza, że wykorzenianie ich jest największą krzywdą, którą można zrobić człowiekowi. Adwokat 60-cioletni, pracujący w fabryce mebli, major wojsk polskich, trzech dziennikarzy, z których jeden jest krawcem (zerwał sobie ścięgna ręki w wypadku w fabryce wagonów, potem długo leżał w szpitalu). Opowiadają mi, że paru kolegów leży w szpitalu z gruźlicą. Słyszę również o innych, których trzeba było oddać do domu obłąkanych. Więc i tu, gdzie ci ludzie przynajmniej nie głodują, ginie reszta sił duchowych i fizycznych, ocalonych z Niemiec, dzięki temu najprościej, że wielu z tych ludzi wprost nie wytrzymuje jeszcze jednej adaptacji. Ale jedno chcę podkreślić — to wrażenie na tyle ostre, że nie może mylić: głuchy, niewymowny smutek tych spojrzeń i wielka godność ludzi, którzy dźwigają swój los naprawdę bez słowa skargi.

Ileż takich twarzy już widziałem — od Starobielska do Paryża — twarzy ludzi wybitnych, czy zupełnie przeciętnych, uparcie walczących o to, by się utrzymać na fali. Ci są przeważnie z niemieckich obozów, ale twarze te same. Resztką całego pokolenia.

Naturalnie, że słyszałem podczas mego pobytu w Ameryce skargi starej emigracji na sprowadzonych Dipisów i na odwrot. Były to prędkiej wyjątki, ale jest to w naturze rzeczy. Inaczej być nie może. Ileż pretensji w swoim czasie było w Polsce między galicjanami, poznaniakami, kresowcami. A w okresie ostatniej wojny ileż, od Iraku, napatrzyłem się niechęci, wzajemnych podejrzeń pomiędzy „lordami”, „faraonami” i „prawosławnymi”. Tak przezywano żołnierzy polskich z Anglii, Brygady Karpackiej i Rosji. Trzeba było kampanii włoskiej, koleżeństwa *w walce*, aby te animozje przezwyciężyć. Tu, w Ameryce, ten napływ nowej emigracji, przeważnie politycznej, a nie zarobkowej, z ogromnym procentem ludzi starszych, z całkiem innymi poza sobą przeżyciami i doświadczeniami, wywołuje też wzajemne żale i wzajemną podejrzliwość.

Pewien sympatyczny Polak ze starej emigracji, który się sam przyczynił do sprowadzania Dipisów, żali się: — Dajemy *affidavity*, pomagamy, a tu mój kolega sprowadził na farmę dwóch takich do roboty i słyszy za drzwiami, jak jeden mówi do drugiego: „te chamy mają carpety (dywany), a my musimy na nich pracować”. A tu znów Dipis, niemniej sympatyczny, zaręczał mi, że stara emigracja nie chce dopuścić „nowych” do żadnej współpracy na odcinku społecznym, że jeden ze starych działaczy miał powiedzieć „ech, my tych przybyszów wcale się nie boimy w naszych organizacjach. Niech sobie rok popracują w fabrykach, to już będą wykończeni”. Zupełnie nie jestem pewny, czy te słowa były powiedziane, czy znalazł się wśród nowej emigracji taki, który zaczął od zazdroszczenia ciężko zdobytego przez starą emigrację komfortu, i czy rzeczywiście stary działacz amerykański mógł tak określić możliwości współpracy obu emigracji. Sam zresztą znam ludzi z nowej emigracji, którzy już w tamtejszych organizacjach społecznych pracują. Ale powiedzenia, zdeformowane przez podejrzliwość, mogą być symptomatyczne, rzucają światło na odruchy, które z czasem muszą być zupełnie przezwyciężone, bo w Ameryce jest miejsce dla wszystkich.

— Zadziwiające jest — mówił mi wybitny Polak, już od wielu lat zamieszkały w Ameryce — jak licznie potężna Polonia amerykańska nie potrafiła się dotychczas wybić ani na odcinku kulturalnym, ani politycznym, ani finansowym, *współ-*

miernie z masą, którą reprezentuje. Nie mówię o elemencie anglosaskim, który wciąż jeszcze nadaje ton, ale Niemcy mają wielkie stanowiska w przemyśle, w świecie uniwersyteckim i także na wysokich szczeblach w wojsku, Irlandczycy trzymają w rękach cały aparat administracyjno-polityczny, nie mówię już o Żydach, którzy na odcinku finansowym, kulturalnym i naukowym odgrywają ogromną rolę, Polaków spotyka się w wojsku, rzadko na stanowiskach wyższych oficerów. W dziedzinie naukowej, pomimo tak wielkiego nazwiska jak prof. Znaniecki i paru innych, nie możemy się równać z Niemcami czy Żydami. Jesteśmy w sytuacji podobnej do emigracji włoskiej, również niezmierzenie licznej, ale i ona ma większy od nas ciężar gatunkowy. Przypływ nowych energii i nowej inteligencji może tylko pomóc starej emigracji i podnieść ciężar gatunkowy Polonii na terenie nie tylko emigracyjnym, ale i ogólnoamerykańskim.

Patrzę na ubogą salę Matejki, na tych ludzi przy piwie i szachach. Jeden z nich, utalentowany dziennikarz, opowiada mi jak lakieruje stoły, pracuje w fabryce mebli i razem z drogą zajmuje mu to 10 godzin dziennie. Później już nie bardzo ma siły na pracę społeczną czy pisanie. Iluż z nich, wykończonych, zdemoralizowanych latami obozów, odzwyczajonych od walki o byt, albo wprost — wbrew najlepszym chęciom — bez sił do nowego życia, starych, ze słabnącymi siłami, nie mówiących wcale, lub bardzo źle po angielsku; czują się tutaj oderwani od wszystkiego, co było ich życiem (nawet od swego zawodu) i nikomu niepotrzebni.

Po triumfalnej rewii doboszek i cymbalistów te zmarszczki, ta siwizna i oczy podkrążone nad szklanką piwa. Rodziny wymordowane czy wymarłe, albo rozdzielone tysiącami kilometrów i latami rozłąki, koledzy i przyjaciele zabici. Mary i mary wspomnień

*„Śpiewajcie w chór zebrani
Ja zmieszać mógłbym śpiew
Triumfującej litanii
Jam widział krew...”*

Tak, w tej triumfującej litanii, nie „przed żłobkiem, gdzie jest Bóg”, ale przed gwiazdzystym sztandarem i ideałem amerykańskim głos tych ludzi, twarze tych ludzi, wyraz ich oczu „mieszają śpiew”.

(*Kultura* nr 9/35, 1950)

ŁAŃCUCH NIEWIDZIALNY

Władysławowi Śmietanie poświęcam

Czy mogłem sobie wyobrazić w obozie Pawliszczew-Borze, gdzie nas osadzono na miesiąc po drodze ze Starobielska do Griazowca, że będę równo za dziesięć lat jeździł po Ameryce i opowiadał o Katyniu; że słuchać mnie będą uważnie Amerykanie, mówiąc: „*I see, I see*”, że coraz to spotykać będę takich, którzy patrząc mi w oczy z cieniem nieufności, pytać mnie będą „czy pan *naprawdę* przypuszcza, że to zrobili Sowiety?”. Że będę mówił do tysięcy Polaków od Ottawy i Toronto do Bufallo i Filadelfii, i nie będzie takiej miejscowości, gdzie po odczycie nie podejdziesz do mnie choć jeden mężczyzna czy kobieta i nieśmiało pytać będzie o takie czy inne nazwisko, o brata, kolegę, męża czy syna „czy pan go nie widział, może przecie pan sobie przypomina, pan go *musiał* znać” i zawsze to samo, dla mnie wszystko mówiące, zdanie: „ostatnią wiadomość mieliśmy w kwietniu 1940-go”.

W Pawliszczew-Borze, tak bliskim geograficznie od Katynia, byłem w maju tegoż 1940-go jako jeden wśród czterystu nie wiadomo dlaczego oszczędzonych. Kolegów starobielskich pożegnałem dopiero co. Nasze rozstania były tak naładowane nadzieją, niecierpliwością zmiany, że aż radosne. Pamiętam, z jakim gorączkowym pośpiechem każdy reagował w Starobielsku na dźwięk swego nazwiska, odczytanego z listy mających tego dnia wyjechać. W godzinę musiało być już wszystko spakowane, potem czekanie w kolejce na rewizję, w pustej cerkwi, potem znów kolejka wypuszczania za bramę, w świat rozległy, pełen obietnic.

Czy ten „dziadzio”, piszę o nim w moich *Wspomnieniach*

Starobielskich, który co dzień na noc starannie pakował najuboższe manatki, potem na drugi dzień, niewzwany, je rozpakowywał nad ranem i znów na wieczór, z tą samą cierpliwością, układał do worka, bo nie chciał być „zaskoczony”, ten „dzia-dzio”, który wierzył niezłomnie, że jego to już na pewno odeślą do Lwowa, jest przecie stary i ma chorą żonę, czy był on o tyle bardziej naiwny *od nas wszystkich*?

Bo nie tylko, że jedni z nas wierzyli, że ich odsyłają do Polski, inni, że nas przerzucają przez Rumunię i Grecję do Francji, ale nawet realisci i pesymiści twierdzili, że nas wszystkich najprościej rozesłać po innych też sowieckich obozach. *Nikt* nie przypuszczał na chwilę masowego morderstwa jeńców wojennych. *Brak wyobraźni.*



Pawliszczew-Bor, dawny majątek Kozieli-Poklewskich, z brzydkim „pałacem” w wielkim parku. Warunki o cię znośniejsze niż w Starobielsku, chociażby z powodu tego, że nas osadzono w fantazyjnie rozłożonych budynkach folwarcznych, z trzech stron otoczonych wysokim lasem. Wyrastał tuż za drutami, taki sam jak las Kozielski, pachnący, gęsto podszyty, były tam brzozy, dęby i wielkie sosny; za rzeczką w dolince ciemne kontury chat jak nasze białoruskie, na które patrzyłem przez wszystkie wiosny mojego dzieciństwa.

W samym obozie była trawa, jeszcze nie całkiem wydeptana, na której można było siedzieć, wygrzewając się na słońcu.

Nauczyłem się nabierać mego sędziego śledczego. Dawniej należał do jakiejś ekipy footballowej, gdy go rozpytywałem o zalety footballu rosyjskiego, zapominał o śledztwie. W chwili takiego rozluźnienia „czujności rewolucyjnej” pozwolił mi posiadać szkolny kajet do notatek. Wszystkie moje kajety ze Starobielska odebrano mi przy rewizji. Ten z Pawliszczewa mam dotychczas. Przed wyjazdem z Ameryki natrafiłem na tę różową *tietradkę* z bibulastego, miękkiego papieru w kratkę, gęstym maczkiem przeze mnie zapisaną.

Odczytując tekst po latach, upokorzył mnie brak synchronizacji wypadków, decydujących i tragicznych, oraz twórczej, głębokiej na nie reakcji, a więc *mój* brak wyobraźni. Cóż piszę w tym kajecie: o bliskich, o wspomnieniach, o tym jak widzę światło i barwę tego kraju, o *Zapiskach Myśliwego* Turgieniewa, znalezionych tam w bibliotece. Śmierć turgieniewowskiego chłopca, jego twarz w drgającym cieniu młodej brzozy, wyciskały mi

łzy rozczulenia. O katastrofie francuskiej radio sowieckie donosiło nam triumfalnie; znajduję o niej w kajecie jedynie zdawkowe, abstrakcyjne wykrzykniki.

Wiosna, o cień lepsze warunki, bezrozumna wbrew wszystkiemu nadzieja, słońce i zapach lasu przeważały brutalną i poprzez literaturę nieprzetransponowaną jeszcze grozę chwili.

„O miedzę” w takim samym lesie były tylko co przysypane świeżą ziemią fosy katyńskie. Nie męczył mnie niepokój o pożegnanych, najbliższych kolegów, ani przez chwilę nie przychodziło mi na myśl, że nie zobaczę ich już nigdy. „O ślepoto, o zatwardziałości serc ludzkich, które tylko myślą o tym co jest, a tego co będzie przewidzieć nie chcą”.



W zamkniętym klubie, w jednym z miast Kanady, proszono bym przemawiał po obiedzie, o sytuacji religijnej w Rosji. Mówiłem ze wspomnień wciąż dla mnie żywych, z opowiadań naczynych świadków, o zakonnicach skazanych na śmierć w 1940 roku, za to, że wyznawały głośno swoją wiarę w Boga, o spotkanych przygodnie ludziach stęsknionych śmiertelnie za pociechą religijną, o masowych zesłaniach księży katolickich i unickich, mówiłem jak walka ta systematycznie, konsekwentnie rozszerza się na nowe obszary i na nasz kraj. Porwał mnie temat, zdaje się, że byłem słuchany uważnie. Po skończonym odczycie, nagrodzonym hucznymi, serdecznymi oklaskami, sympatyczny przewodniczący wygłosił do mnie skierowane przemówienie: „*słuchaliśmy pana z najwyższą przyjemnością*” — „*avec le plus vif plaisir*” — rozpoczął, a zakończył, cytując na wojnie ukuty dowcip, że Polacy „to największy kraj na świecie, bo mają rząd w Londynie, wojsko we Włoszech, a cały naród na Syberii”. Dowcip wywołał wybuch gwałtownego śmiechu na całej sali; śmiał się potężny jak tur przewodniczący, wszyscy biesiadnicy, wśród których byli poważni księża, śmiał się równie dobrodusznie, wspólnie ze wszystkimi, młody kelner w śnieżno-białym kitlu ze złotymi guzikami i wystającymi z kieszeni złotymi czubkami piór i ołówków. To wszystko było, zaznaczam, pewną formą odprężenia i naprawdę nikt nie chciał mnie dotknąć, tym bardziej dać wyraz lekceważenia spraw omawianych. To był tylko brak imaginacji.

W ogromnej szkole katolickiej w Montrealu mówiłem o Rosji sowieckiej, o Katyniu, do kilkuset chłopców, jeszcze dzieci. Przed odczytem księży profesorowie zaprowadzili mnie do trzech

chłopaków z internatu, Polaków. Mieli nie więcej niż dwanaście, czternaście lat, przyjechali tu z Afryki przez Rzym, sieroty wywiezione z Rosji. Kilkadziesiąt takich chłopców i dziewcząt przyjęły na wychowanie katolickie zakłady w Kanadzie. Pytałem ich jak im się powodzi. Trudno im się było na razie w tej francuskiej szkole dogadać, mówili po polsku i zaledwie po angielsku, ze mną się rozgadali i jeden z nich, krępy o miękkich rysach i grubych wargach, odpowiedział, ciągnąc z białoruska, jakby szukając słów, „oni są dla nas lepsze jak dla swoich”, widziałem w oczach tych dzieci, w spojrzeniach troskliwych i serdecznych otaczających ich opiekunów, że to była prawda.

Na ten odczyt, chyba najmilszy w Kanadzie, gdzie najżywiej odczuwałem świeżą reakcję i siłę zainteresowania, dodano mi koreferenta, kilkunastoletniego Zawidzkiego, ucznia tej samej szkoły, który przybył z Anglii. Był też w Rosji i doskonale wszystko pamiętał. Nie można było lepiej dopełnić mego odczytu jak tym prostym opowiadaniem dziecka i świadka. Długo nie mogliśmy się wyrwać z odczytu, zasypywani pytaniami (były zresztą i najdziwniejsze: na przykład czy zabiłem człowieka i czy widziałem papieża).

Profesorowie tych dzieci mówili mi, że stosunek tych setek młodych chłopców do spraw sowieckich, do Polski niesłychanie się ożywił od czasu, kiedy przyjęto paru Polaków do szkoły. Nawet dogadać się z nimi nie mogli, ale *widzieli* żywych świadków.



Ta narastająca ilość świadków powoli drąży nieświadomą beztroską ludzi dalekich.

Jakże już dziś inaczej, czujniej od najsympatyczniejszej niepolskiej sali, reagowali na to co mówiłem Polacy, nawet ci, którzy nikogo tam nie stracili. Mówiąc do nich, miałem stale wrażenie, jakby ci ludzie już mieli wewnętrzne, niechybne doświadczenie, czym jest życie w Sowietach. Myślę, że dużą w tym rolę odegrała właśnie wciąż się tutaj wsączająca masa nowych świadków.

„Jest jeszcze gorzej niż pan mówi, ja tam byłem”, mówi mi robotnik w fabryce w Toronto.

„Nic pan nie przesadził, wielu pan rzeczy nie powiedział”, mówi mi młoda kobieta z dzieckiem na rękę, która z młodym mężem lotnikiem przybyła z Anglii do Buffalo, „ja *byłam* trzydzieści miesięcy na Syberii” (w „Kuźnicy” czytam, że ojcu autora

artykułu, adwokatowi z Sambora, Rosja sowiecka wróciła godność człowieka „nad cichą wodą Wołgi i w kolorowym Uzbekistanie”. Chciałbym, by to przeczytał młody Zawidzki, czy moja znajoma z Buffalo).



Gdy dziś mówię o katyńskiej zbrodni, mam na myśli nie tylko cztery tysiące kilkuset zgładzonych tam oficerów. Tę masakrę znamy najlepiej, mamy dowody w rękę, raporty kryminologów neutralnych, fotografie, mówiąc „Katyń” myślimy o piętnastu tysiącach zaginionych z trzech obozów, o półtora miliona obywateli polskich wywiezionych do Sowietów, o milionach ludzi wszystkich narodowości, do dziś ginących i likwidowanych bez świadków na całej przestrzeni tego kraju.

Katyń to przecie nie wyjątek, ale jedynie fakt najbardziej brutalny i najostrzej naświetlony, przez mocne reflektory niezbitych dokumentów, nie dających się obalić świadectw — to wyraz z konsekwencją do końca przeprowadzonej polityki, wyraz pewnej „moralności” totalnej, próby na skalę planetarną, takimi właśnie metodami kierowania historią. Pod tym kątem Katyń obchodzi cały świat.

Ale jest *inne* oblicze tej sprawy, bardziej intymne, chciałbym je omówić. Co nas *zmusza* tę sprawę poruszać, nawet przed ludźmi najbardziej jak gdyby „nieprzemakalnymi”, nawet wtedy, kiedy słowo się odbija jak o porcelanową gładką powierzchnię uprzejmej obojętności. Jakie niepisane zobowiązanie na nas ciąży, na wypadkowo przy życiu zachowanych, wobec tamtych. Czego od nas *żądadą* ci ludzie, którzy na zawsze zamilkli. Żebyśmy ich losem świat rozczulali, albo żebyśmy ich pomścili, wymordowując dwa razy więcej bolszewików?

Wystarczy wspomnieć te twarze najlepszych, zapalczywe z nimi na pryczach rozmowy, ich uparty skupiony wysiłek, by nic z doświadczeń i nieszczęść nie uronić, na to żeby wiedzieć, że nie *o to* im chodziło. Oni chcieli wykorzystać swoje przeżycia, swój własny los, dla przyszłości, dla Polski.

Tym zaginionym, zamordowanym z naszych obozów, których pamiętam najmocniej, nie postawało nawet w głowie, by można było za cenę życia wyrzec się Polski i jej spraw.

W Harvardzie opowiadał mi amerykański pisarz i przyjaciel naszej sprawy, że na pewnym odczycie dyskusyjnym o Polsce wstał jeden z profesorów, filozof, i spytał najpoważniej: „ale właściwie *dłaczego*, z jakiej racji Polska powinna być niepod-

legła?”. Rzeczywiście, w oczach niejednego Amerykanina sprawa ta jest i musi być równie niejasna jak dla nas sprawy Kuby czy Gwatemali. Nieraz od tego czasu zadaję sobie to pytanie i szukam odpowiedzi *dla siebie*, szukam co jest powodem, że od sprawy polskiej nie możemy się „odwiązać”, i myślę jak to by można filozofom wytłumaczyć, żeby zrozumieć dlaczego ten naród nie umie, nie może przerzucić na inny tor swoich nadziei i swoich wizji przyszłości. Żadne ofiary nie umieją go zatrzymać, na zewnątrz ludzie widzą jego rozkłócenie polityczne, śmieszne nieraz zadufanie, milion drobnych i personalnych zawiści i fum. Ten naród, którego wkład do kultury, do sztuki jest poza Polską prawie nieznan, ten sam naród — i to nie wśród jego wodzów i wieszczów, ale w jego przeciętnym przekroju — wie jedną rzecz na pewno, że jeżeli kraj tego zażąda, trzeba będzie za ten kraj umrzeć, to może nie jest przyjemne, ale to na pewno nie podlega dyskusji.

Bardzo mało kto na zewnątrz wyczuwa, że to jest więcej niż „fizyczna krzepa”, że się pod tym kryje niewyrażone i nawet nie zawsze uświadomione poczucie, że są jakieś wartości wieczne, których poprzez walkę o Polskę bronimy.

Żłudzenie nacjonalistów — powie filozof z Harvardu; brednie reakcyjne — powie stalinowiec. Jeżeli patrzymy na siebie oczami nie tylko przeciętnego Francuza, Anglika czy Amerykanina, ale nawet oczami wybitnych przedstawicieli tych krajów, jak mało byśmy wiedzieli o naszej istocie, o naszych osiągnięciach historycznych czy kulturalnych.

„Polacy natchnieniem narodów”, takie zdanka, pożyteczne w pewnej chwili propagandowo, tylko my pamiętamy. Historię piszą zwycięzcy, dokumenty zbierają zwycięzcy, zafałszowują historię zwycięzcy. O Galii wiemy tyle, co o niej piszą Rzymianie, zniszczywszy ją pierwsi. Co będą ludzie wiedzieć o Polsce, o roku 1939, 1940, 1944 zależy od tego, kto będzie zwyciężcą. Czytając encyklopedię sowiecką, rozdziały dotyczące na przykład 1920 roku, czy pamiętniki Churchilla mamy już pewne próbki. Czy cała historia Polski nie może być wówczas skurczona do jakiejś zręcznie spreparowanej przykrej anegdoty. Cóż będzie świat *wtedy* wiedział np. o wielkiej poezji polskiej, pewno tyle, co my wiemy dzisiaj o poezji Galii. Druidzi spędzali dwadzieścia lat swego życia na uczeniu się na pamięć tych religijnych i metafizycznych poematów. Miały one mieć nawet wpływ na mądrość grecką. „Jedynie poprzez dzieła Platona możemy mieć przecucie miary tamtych natchnień, tego morza sakralnej poezji” — pisze Simone Weil w *Enracinement*. Cóż będzie z morzem *naszej*

poezji, gdyby miał zapanować nad światem na przykład duch encyklopedii sowieckiej.

Ale już dzisiaj co wiedzą o nas, o naszej tradycji, o naszej sztuce (poza Chopinem) nawet najwnikliwsi? Kończę trzeci czterystustronicowy tom *Journal Du Bosa*. Mowa jest przeważnie o literaturze. Przez wszystkie trzy tomy przewijają się setki nazwisk pisarzy, poetów angielskich, amerykańskich, rosyjskich, niemieckich i włoskich, nawet perskich i chińskich i naturalnie francuskich.

Omawia ich z wnikliwym entuzjazmem chyba najczujniejszy sejsmograf poetycki okresu międzywojennego. Nazwiska polskiego ani jednego. Któż we Francji mógłby lepiej od Du Bosa odczuć Słowackiego lub Norwida!

Ukazał się tu na półkach księgarskich potężny tom *Modern Painting*, bogate dzieło zbiorowe, wydane u Skiry. Takiego wydania nie widziałem, wszystkie ogromnie liczne reprodukcje kolorowe *wysokiego* gatunku. Naturalnie, że przeważnie Francuzi, ale też wielu Niemców, świetny Munch, norweski uczeń Gaugina, ale nie ma Śledzińskiego, jest nawet Hodler, Szwajcar, ale nie ma Malczewskiego, prekursora surrealistów, są najlepsze Sutiny, ale nie ma Waliszewskiego. Nieobecność tego ostatniego przede wszystkim jest dotkliwym błędem. Znów ani jednego Polaka, i tak co kroku.

Patrzę w Atlantic City na wystawę wielkiej księgarni: tłumaczenia Turgieniewa, Thomasa Manna, Szaloma Asza i nawet *Corydon* Gide'a, ani jednej książki Polaka.

W jednym ze swoich felietonów, po wznowieniu *Wesela* w Warszawie, Boy pisał, jak zaraz po przedstawieniu, w szatni, rozmawiał z paru poetami, pisarzami polskimi, wszyscy rozgorączkowani jeden przez drugiego próbowali wyrazić swoje wzruszenie i wszyscy, wzajemnie się przekrzykując, dochodzili do tego samego, że przecież cała nasza literatura jest *zakonspirowana*, tylko my Polacy ją słyszymy, ale że to wcale nie znaczy, że jest mniejsza, mniej znacząca niż inne.

Boy nie miał ani cienia patriotycznego zaślepienia, ale i jego diabli brali, kiedy widział, że tego co wyraża *istotę* Polski nikt poza Polską nie zna i nie rozumie.

Ile w tym i *naszej* winy!

„Nie mogę zrozumieć jak Polacy, zaciekli w swych kłótniach do tego stopnia, że aż zapominają o Europie, nie wydrukowali, nie rozprzestrzenili poprzez książki, które cała Europa by pożerała (*eût dévoré*) *Pamiętników* Niemcewicz, czy tłumaczenia

pamiętników szewca Kilińskiego” — pisze Michelet w *La Convention*. Co się dziś zmieniło, czy nie to samo mógłby dziś inny Michelet powiedzieć o nas?

W świadomości współczesnego człowieka istniejemy jako czynnik historyczny i kulturotwórczy *mniej* niż na to zasługujemy.

A przecież ileż trudniej dotrzeć do zrozumienia Polaków i sensu ich walki człowiekowi, który się nawet nie otarł o świat naszej sztuki i ponad wszystko naszej poezji, esencji naszej świadomości.

Z trudem się przegryzam, wskutek mych braków w angielskim, przez jeden z esejów Toynbee’ego. Toynbee pisze o widzeniu historii w latach dziewiętnych w oczach Europejczyków; mowa o Anglikach, Amerykanach, Francuzach i Rosjanach. O Polsce jedno króciutkie zdanie. „Polska i Finlandia były zdecydowane walczyć o swoją niepodległość”.

Znów niepodległość. Ale jaka *racja*, jaki argument tego irracjonalnego uporu, za który się płaci życiem? Jaka korzyść dla świata z tej walki? Nie wiedzą o tym ani Toynbee, ani milion innych.

Tragizm naszej sytuacji, błędy i wady nasze zna każdy. Dysproporcje sił naszych z siłami, które dziś światem rządzą, widzi każde dziecko. Stanisław Brzozowski kilka miesięcy przed śmiercią pisał, w grudniu 1910 roku, w związku z listem Whitmana do rosyjskiego tłumacza: „... Trzeba przekonywać siebie, że Polska to także warunek nieupośledzonej przyszłości dwudziestu milionów, które miały, które mają lub będą miały nieszczęście urodzić się Polakami. Ale tu już inne perspektywy, nie ma tu miejsca na *oceaniczną bezbojaźliwość*, przeciskać się trzeba szczylinami... pomiędzy każdym z nas a błogosławieństwem myśli leży nieszczęście, rzecz określona, jasna i uboga”.

Uboga?

Jeżeli uboga, skąd, dlaczego ta wierność do końca? Ten „skarb zakopany w zamku rozpustnym”?

Zdaje mi się, że nie takie czy inne argumenty historyczne grają jako decydujący moment, jako niewyrozumowana konieczność wierności, ale fakt, z którym niejeden nie może dać sobie sam rady: nas wszystkich, niezależnie od tego czy chcemy, czy nie chcemy, trzyma *łańcuch* niewidzialny, którego jednym z ostatnich ogniw jest Katyń.

Parę lat po przewrocie majowym niejeden się zastanawiał, czy Piłsudski nie rzuci naraz wszystkiego i nie wyjedzie znów

do Sulejówka, zniechęcony trudnościami. „Nie bój się, nie wyjedzie” — powiedział mi wówczas jeden z najbaczniejszych i najgłębszych jego obserwatorów — „jego trupy nie puszczają”; myślał wtedy o tych żołnierzach polskich, którzy zginęli po obu stronach barykady w 1926 roku.

Każdego z nas także „trupy nie puszczają”.

W 1945 roku poznałem młodzież, która wyszła z powstania warszawskiego i poprzez obozy niemieckie lub uciekając prosto z kraju dotarła do Paryża. W pewnej rozmowie, gdzie młody chłopak w wyrazach niezmiernie ostrych rzucał się na błędy podziemia, na głupotę, na brak aktywności, na rozkłócenie emigracji, wręczył mi przy pożegnaniu małą wyblakłą fotografię przyjaciela, który zginął w walce w 1944 roku. Ja myślę, że i tego chłopca trupy trzymały i trzymają, może bez tego wspomnienia dawno wszedłby w inną szczęśliwszą społeczność, bo po coś koniecznie być Polakiem! Jego gorycz, jego pasja zdradzały tylko jego *związanie* łańcuchem niewidzialnym.



Patrząc teraz na tę sprawę od strony Ameryki, widzę ją jakby pod innym kątem, jej aspekt amerykański jest bardziej złożony.

Błyskawiczność wrastania przybyszów, miłość do tego nowego kraju emigrantów, jeżeli tylko są bardzo młodzi w chwili przybycia, rzuca się każdemu w oczy. Śmieszne byłoby nie widzieć, że ten proces jest także niezmiernie szybki wśród emigracji polskiej. Chciałbym prawie dodać, że jest on równie szybki jak trudny; prawie niemożliwy — z rzadkimi wyjątkami — jest u ludzi w wieku starszym. „Starych drzew nie należy przesa-
dzać”.



Miałem odczyt o Katyniu w Niagarze w sali domu polskiego. Dom w stylu szaletu szwajcarskiego sprzed pięćdziesięciu laty. Bilardy, bar i połączane figurki Paderewskiego i Chopina na kominku z „górskich” kamieni. Słuchała mnie ze skupieniem nieduża, z początku pustawa, a potem po brzegi wypełniona sala. Sporo osób się spóźniło, przychodząc prosto z pracy. Starzy mężczyźni, stare kobiety w chustkach i kapeluszach po cichu ocierały łzy i zmęczonymi, o nabrzmiałych żyłach, spracowanymi rękami wysuwały z portmonetki zarobione pieniądze, dla mnie, żebym mógł dalej jeździć i opowiadać o tym, co widziałem

w Rosji, o tym, co tam cierpieli Polacy. Dojrzałem na sali tylko *dwie* twarze młodsze, poniżej lat czterdziestu-pięćdziesięciu. Jeden mi się przypomniał z Tocka, drugi trafił tutaj z Warszawy przez Niemcy.

— Moich synów — mówi mi po odczycie jeden z organizatorów (ma 3 dorosłych synów) — już te rzeczy nie interesują. — I pokazuje mi palcem na migające postacie bokserów w telewizji. — *To* ich interesuje.

Po tym odczycie w Niagarze nocowałem „przez rzekę”, już po kanadyjskiej stronie, w wielkim hotelu, z widokiem na wodospad. Opowiadano mi, że do tego hotelu zjeżdżają młodożeńcy z całych Stanów. Prosto z Domu Polskiego wpadłem w jasno oświetlony półokrągły salon, w tłum młodych par. Było ich kilkanaście. Wszystkie jak z obrazka, przeważnie skromne i gustowne stroje wieczorowe. (Tanie suknie standardowe, które się tu widzi, są przeważnie ładniejsze niż to co można dostać w Europie w tanich sklepach). Siadłem. Naprzeciwko mnie śliczna dziewczyna: wszystko, połysk włosów, cera, świadczyły, że jej nigdy nie brakło witamin. Suknia z różowej gazy, szeroka u spodu, z czarnym stanikiem i złotym gładkim naszyjnikiem. Na poręczy, przy niej, sympatyczny, do dużego szczeniaka podobny młody chłopak. Siedzą zatopieni w cichej rozmowie. Wychodzę, wracam, siedzą wciąż. Śledzę grę ich twarzy, szlachetną, szczególnie, bez śladu wymuszenia czy nawet świadomości, że ktoś ich może obserwować. Dalej parki podobne, znowu rozmowy i znowu ta sama naturalna powaga ludzi zamkniętych, odciętych w swoim szczęściu. Wychodzę na korytarz, wszędzie to samo: pary, pary. Ilość tych par! Sala balowa, niebieskie przyćmione światła, tłumy tańczących. Niektórzy, nieliczni zresztą tancerze śmieszni, a nawet pokraczni. Jakiś już łysiejący żonkoś o jednym sterzącym do góry loku wytańcowuje przedziwne figury, z przysadzistą, szpetną małżonką w okularach. Ale nigdzie śladu uśmiechów ironicznych, nigdzie rozpychania się.

Miałem wrażenie, że jestem wśród mrówek, którym na kilka dni wyrosły skrzydełka.

Nie dziwiłbym się, gdybym wśród tej młodzieży odkrył syna czy córkę któregoś ze słuchaczy mojego wieczornego odczytu, syna czy córkę ludzi, których tu wyrzuciła z ich krajów nędza czy klęski.

Między tą młodzieżą a błogosławieństwem życia i „błogosławieństwem myśli” nie wyczuwałem tej „rzeczy określonej i jasnej... nieszczęścia”. Na pewno myśl ich była daleka od myśli

o której pisze Brzozowski, niewiele wybiegająca poza „opłotki” planów rodzinnych. Nie widziałem na ich twarzach nawet cienia niepokoju, które miotają światem, koszmar bomby atomowej, zagrożenia Ameryki nawet ich nie musnął. Te parki myślały i mówiły ze sobą pewnie o rzeczach realnie osiągalnych dla obywateli kraju potężnego, namiętnie pracowitego i bogatego.

Na drugi dzień poszedłem nad wodospad, do którego jeszcze Niemcewicz przedzierał się z siekierami. Poprzez gęsty pył wodny patrzyłem przeraźliwie obojętnie na ten „największy na świecie” wodospad. O ileż bardziej wzruszała mnie w dzieciństwie siła, z jaką rwała podczas powodzi przez małą drewnianą szluzę przy młynie żółta pienista fala naszej białoruskiej rzeczki.

Nie umiałem w sobie wykrzesać żadnego mocniejszego uczucia wobec tych zwałów wodnych, zabudowanych hotelami, fabrykami, opasanych mostami, z niezliczonymi punktami obserwacyjnymi, z windami, z lunetami, które pozwalają patrzeć na nie z góry i z dołu. Tylko ostry pisk tłustych mew, gnieźdzących się w czekoladowych skałach, głęboko u spodu wodospadu, i huk nieustanny wody przypominały mi, że jeszcze istnieje natura nie spreparowana.

W ten mglisty, mokry zimowy dzień przy każdym punkcie malowniczym, na każdej ławce spotykałem objęte „w pozycjach przepisowych” parki.

Jakże można sobie wyobrazić, myślałem, żeby dzieci ludzi, którzy tu przybyli z zawiniątkiem na kiju i tu się dorobili do ludzkiego życia, żeby te dzieci, które o kraju ojczystym, dalekim wiedzą tyle, co im opowiadają rodzice, nie chciały wrosnąć jak najszybciej i bez reszty w ten nowy kraj potężny, w te normalne warunki gdzie „jeżeli się pracuje, to można żyć”, zakładać rodziny, dzieci swoje wysyłać na jeden z niezliczonych uniwersytetów i cieszyć się życiem, wśród ogromnej masy przyjaznych współobywateli.

Pomyślałem sobie, że żyjąc w tym kraju od młodości, a bardziej jeszcze od dzieciństwa, trzeba mieć „duszę niezwykłą” żeby się trzymać Polski, żeby się nie odwrócić, nie starać się o niej zapomnieć.

Próbowałem tu spotykać się, rozmawiać z młodzieżą, albo już *American born*, albo z tą, która chociażby przeszła przez amerykańską szkołę, college, wojsko. Nie spotkałem takiego, który by mi mówił o Ameryce inaczej jak z entuzjazmem, więcej, jak o czymś najbardziej swoim i własnym. Ale pamiętać o Polsce,

związki z Polską mają tutaj dziwne i różnorakie ścieżki. Co tę młodzież z Polską wiąże? Stwierdziłem, że przeważnie była to miłość do rodziców „bo moje rodzice, to jest co najlepsze na świecie” — mówił mi ogromny marynarz, odwożący mnie autem z odczytu w Filadelfii. Rzucił marynarkę, gdzie mu się wiodło doskonale („doskonale zarabiałem, mało robiłem”), na to, żeby być przy rodzicach, właścicielach „interesu”, przy ojcu, działaczu polonijnym. Ale są też inne powody. Rola jaką tu grają jako więź z Polską wszelkie organizacje polskie i polsko-amerykańskie jest większa niż przypuszczamy. Nie widziałem nigdy w Polsce, ani tym bardziej gdziekolwiek na emigracji, by „akademie ku czci”, by zebrania organizacyjne różnych polskich towarzystw były tak uczęszczane i tak wrośnięte w samo życie Polaków. W Toronto powstaje Komisja Edukacyjna. Entuzjaści polskości, jak żywcem wyjęci z Prusa, dają bezpłatne lekcje polskiego. To samo jest w szeregu miast Stanów. W samym uniwersytecie w Toronto 30 Amerykanów, pochodzenia polskiego, uczy się po polsku.

Cały szereg młodych działaczy polskich w Stanach dziś mówi lepiej po polsku niż 10 lat temu.

Siła atrakcji polskiej blednie, ginie nieraz całkowicie w jednym pokoleniu, zgaszona blaskiem Ameryki, atrakcją jej *demokracji* i jej *siły* i nagle znowu wybucha w następnym.

Nie mówię już o ludziach, którzy jeszcze sami z Polski przybyli. Tu więzy przeważnie są bardzo silne.

— Kiedy szedłem kiedyś drogą z ojcem — opowiada znany działacz z Cleveland — to było jeszcze w Polsce, byłem mały chłopak, spytałem go co znaczą dwa białe kamienie przy krzyżu przydrożnym. Powiedział mi, że tu pochowano dwóch powstańców. Wtedy postanowiłem, że zawsze będę Polakiem. — Tej historii nie wymyślił Żeromski. To fakt.

Znów łańcuch niewidzialny

Jeden Polak z Camden sprowadził kilkudziesięciu Dipisów i znalazł im pracę. Trzeba słuchać z jaką wdzięcznością o nim mówią ludzie, których poratował.



Rilke mówił, że poetą-pisarzem ma prawo być tylko ten, kto nie może nim nie być. Zdaje mi się, że dzisiaj Polakiem ma prawo być tylko ten, kto nie może nim nie być...

Z wolności i z wyboru, *nie* z przymusu.

Szybka amerykanizacja młodych jest tylko jedną stroną zagadnienia. Ofiary niewinne zarzucają daleko swe łańcuchy niewidzialne, przykuwają niektórych bardziej niż siła i bogactwo, bardziej niż geniusz.

Silni i bogaci i bez nas będą silni i bogaci, o geniuszach będzie pisała historia, znajdziemy ich na pomnikach i w antologiach poetów, ale ci bezimienni pod białymi kamieniami lub w fosach, na których na wieczną spraw niepamięć zasadzono młode świerki — ich imion na pewno w żadnej historii nie znajdziemy, imion tych wszystkich, „których matki i siostry kochały, którzy padli konając na to, aby ci, co po ich śmierciach żyć będą byli wyżsi i szczęśliwsi”.

Polakiem jest ten, kto tych ofiar bezimiennych nie może zapomnieć. I tu jest *ich* zwycięstwo.

Miałem odczyt w pewnym mieście w Stanach też o Katyniu. Zorganizowany przez działacza polskiego, ojca siedmiorga już tu urodzonych dzieci, który w 1909 roku tu przybył spod Tarnopola, wrócił do Polski między 1915-1919 rokiem, żeby się bić w Legionach, potem znowu pojechał do Ameryki. Pomagał mu przy organizacji mego odczytu we wszystkim blondyn o niebieskich oczach, skromnie, z pilnym zapałem, poświęciwszy cały wolny czas w sobotę i niedzielę — jego syn Władek, amerykański lotnik; podczas ostatniej wojny latał nad Pacyfikiem i bombardował Japonię, dziś nauczyciel w szkole amerykańskiej. Mówił po polsku płynnie, sprawy polskie najwidoczniej obchodziły go prawdziwie, Polski na oczy nie widział.

Gdy wyjeżdżałem, odprowadził mnie ojciec do stacji autobusowej.

— Mój syn Władek na lato jedzie na dodatkowe studia do Harvardu — powiedział mi na pożegnanie — niech Pan tam poprosi Dziewanowskiego ode mnie, niech się wtedy trochę zajmie moim synem, bo wie Pan — i tu się zatrzymał — i dodał trochę ciszej, jakby z cieniem nieśmiałości — ja bym chciał, żeby on jeszcze więcej wszedł... w te sprawy polskie.

Czy i tego człowieka i jego syna trzyma silniejszy od szczęścia łańcuch ofiar niewinnych?

(Kultura nr 6/32, 1950)

MALOWANE ŻYCIE, MALOWANA ŚMIERĆ

D. W. Brogan¹, mądry entuzjasta Ameryki, pisze: „Wszyscy Amerykanie jakże są podobni do siebie w oczach Europejczyka — język, ton, ubranie, sposób życia, styl życia — wszyscy znaczeni tym samym piętnem. Polacy amerykańscy podobni są do Finów amerykańskich bardziej niż w Europie Polacy i Finowie. Ameryka szybko wynaradawia, ale czy unaradawia również?

Czasami mam pokusę powiedzieć, że nie. Społeczeństwo amerykańskie jest jak sieć *pipeline'ów*, różne gatunki olejów mineralnych płyną w tym samym kierunku, ale się nie mieszają. Wszystkie płyną ku jednemu odcedzonemu amerykańskiemu produktowi, ale wielka rafineria, która wyprodukuje ostateczną mieszankę jeszcze nie istnieje, albo jeszcze nie jest zmontowana tak, by mogła przerobić więcej niż drobny procent tej masy”.

Ten ustęp książki D. W. Brogana ileż razy przychodził mi na myśl, gdy sam sobie nie mogłem dać rady z moimi wrażeniami. Już od Kanady, od Toronto poprzez New York, Buffalo, Detroit, Chicago, etc. zaczęło się moje zdziwienie: długie, niekończące się ulice ukraińskie, polskie, żydowskie, murzyńskie, meksykańskie i niemieckie, włoskie czy nawet portugalskie; wszędzie te same domy, niewysokie, ta sama wypadkowa architektura, te same sklepy i *drug-story*, tylko że widać nazwiska właścicieli i czasami dodatkowe napisy w językach poszczególnych narodowości te ulice zamieszkujących.

„W środku Detroit jest całe miasto polskie, które się wydaje Amerykanom skupiskiem stuprocentowo cudzoziemskim” — pisze tenże Brogan.

1. Brogan D. W., *American Problem*, Wyd. Hamish Hamilton.

Dla mnie przybyłego z Europy nie polskość, ale *amerykańskość* tego skupiska rzuca się przede wszystkim w oczy.



Detroit, maj 1950. Organizacja *Business-ladies* to kupcowe i żony kupców polskiego pochodzenia. Zbierają się one na bankiet doroczny na *Mother's Day* — Dzień Matki, święto obchodzone solennie w Stanach. Zaproszony na ten bankiet miałem opowiedzieć tym paniom co wiem o życiu studentów w Paryżu. Pod wpływem akcji muzyka Dygata te panie już rok temu przeznaczyły 360 dolarów na studentów polskich w Paryżu, tego roku przeznaczyły taką samą sumę. Miałem wieczór zajęty, zdążyłem dopiero na koniec bankietu.

Już w szatni słyszę słodki i wnikliwy głos, przemawiający po angielsku. Mówczyni najwidoczniej przeciwstawiała Amerykę Sowietom. — *We all have television and this is our capitalism* — i dalej już ku końcowi tej mowy, nagrodzonej entuzjastycznymi oklaskami — *you are the marvelous mixture of Polish and American culture!*

Wchodzę. Duża, goła sala, wielka podkowa stołów z trzecim stołem równoległym w środku. Coś w rodzaju sali gimnastycznej. Nigdy nie widziałem tylu kwiatów na głowach. Róże ogromne, różnych kolorów, wielkości młodej kapusty, ciężkie grona winogron z jagodami wielkości dobrej śliwki, opadające na uszy, gazy i tiule, bardzo wiele koronek i piór. Większość starszych pań jest dostojnej tuszy. Obserwuję jedną z nich. Kapelusz z szerokim rondem i czerwonymi różami. Suknia z czarnej koronki, na potężnym biuście, poprzez pyszne hafty przeziera blado-niebieski jedwabny stanik a na nim agraftką spięty pęk liliowych orchidej, jeszcze powiększonych przez wstążki identyczne tego samego fioletu. Orchidee wszędzie, na wysokich biustach (pono po pięć dolarów sztuka).

To jest order matek w *Mother's Day*. I dzisiaj w Detroit widzę te kwiaty wszędzie. Na ulicach, w restauracjach, suto wystrojone starsze panie, śnieżne włosy, kolorowe kapelusze i wszędzie bukiety orchidej. Te bukiety ubite, kopiaste i foremnie ułożone, podparte pękiem drobnych wstążek, robią wrażenie prawie że salaterek z orchideami, przyczepionych do obojczyków.

Na sali bankietowej przyglądam się paniom w koronkach. Kogo mi przypominają? Już nie tylko toaletą i tuszą, ale stylem.

Wyływa mi z pamięci bardzo dalekie dzieciństwo. Mińsk zaraz po 1900 roku. Doroczny bazar dobroczynny na wielkiej

sali jedyne go teatru. W łóżach obywatelki miasta i okoliczne ziemianki, różne prezeski, wiceprezeski i doktorowe sprzedawały szampan, kawę i kwiaty na polskie Towarzystwo Dobroczynne. Na wielkiej loterii można było wygrać wspaniałe albumy z czerwonego pluszu i również niezerównane wazony (pożądanie mojego dzieciństwa): na porcelanowej szyjce jednego z tych wazonów zdobnej w złote esyflorese wisiały nadnaturalnej wielkości (jak prawdziwe) kolorowe śliwki porcelanowe. Panie w łóżach tonęły w koronkach, piórach i kwiatach. To był szczyt mińskiej elegancji ziemiańskiej i wielkomiejskiej.

Styl sukien, kapeluszy na tej sali w Detroit jest podobny. Ta sama sutość i bogactwo kwiatów i koronek.

Niektóre z matek przyszły na bankiet z córkami. Te ostatnie nie mówią już prawie po polsku, i do nich była alokucja po angielsku o *marvelous mixture*. Zupełnie inny typ fizyczny. Urodzone w Ameryce przeszły już przez szkoły i sporty amerykańskie, organizm przyzwyczał się do tamtejszego reżymu, który dla nas Europejczyków robi wrażenie nadmiaru jedzenia. Panny są wysmukłe, bujnie wyrosnięte, niektóre wprost śliczne, ubrane o wiele skromniej i współcześnie. Matki czują się naprawdę solenizantkami. Widzę czułość zżycia z nimi tych zamerykanizowanych już córek, siedzących tuż przy swoich wystrojonych matkach. Na ucztę panuje nastrój tak mi już znany z innych czysto amerykańskich zebrani tego rodzaju, nastrój naprawdę szczerzej euforii (o ile pamiętam nie było tam wcale albo prawie wcale alkoholu). Podejrzewam, że niejedna z tych matek w szczerzej rozmowie powtórzyłaby słowa Polki z Chicago — „Tu jest prawie niebo!”.

Mowa następuje za mową. Należy to do koniecznego protokołu każdego zebrania amerykańskiego — współbiesiadnicy zachęcani przez przewodniczącego, który darzy każdego po kolei wspaniałymi komplementami, muszą koniecznie się w słowie „uskutecznić” i swoją mowę powiedzieć.

Prezeska stowarzyszenia rozdaje bukiety z agrałkami. Matce najstarszej, matce, która ma najwięcej dzieci i tak dalej. Najstarsza matka, rośła, wielka kobieta o białych włosach, ogromnych bladoróżowych różach na kapeluszu i w sukni z jasnych koronek przybyła na to święto z dalekiej Kalifornii. Ona otrzymuje pierwszy bukiet. Wielka jest potem dyskusja, która z matek ma najwięcej dzieci, potem która jest najmłodsza. Nareszcie ustalono młodą kobietę o delikatnej gładkiej cerze, wysoką blondynkę. Dałbym jej lat 17, ma ich 23. Dla tej najmłodszej matki jest prezent specjalny. Pan Grzanka, właściciel cukierni ofiaro-

wał za pośrednictwem obecnej na sali pani Grzanki wielki tort z kremu w formie damskiego białego kapelusza. Na tym kapeluszu są wstążki z zielonego marcepanu w drobną cętkę, usypane małymi różyczkami, rzeźbionymi w różowym marcepanie. Wiele z tego wszystkiego jest radości.

Opowiadano mi, że *Mother's Day* powstał w Ameryce z inicjatywy skromnej nauczycielki, która straciła matkę i chciała tym dniem uczcić pamięć jej i wszystkich matek i wyrazić to co odczuwała po jej śmierci najostreż, że trud i miłość matki do swych dzieci pamiętamy i czcimy za mało. Ta nauczycielka miała pono umrzeć w głębokim przygnębieniu, że dzień ten w Ameryce wszędzie się przyjął nagminnie i powierzchownie, w zupełnie innym charakterze niż sobie wyobrażała. Stał się jeszcze jednym dniem prezentów i pretekstem do uczt.

No jakże tu mówić o studentach w Paryżu? Opowiadam o jednym, którego ojca skazano w Polsce na 12 lat więzienia, on, ciężko raniony w 1944 roku, dziś nie może nauk skończyć z braku środków. Opowiadam o drugim: gra w nocy na skrzypcach na Place Blanche pijanym gościom, wychodzącym z nocnych barów i dansingów. Mówię o wielkim procencie tuberkulików. Staram się tłumaczyć, że warunki i płace fabryki we Francji to zupełnie co innego niż fabryki w Ameryce, gdzie jest całkiem inna siła kupna, że zarobić na studia uniwersyteckie przez pracę w fabryce, jak to jest w zwyczaju w Ameryce, nie dałoby się zrobić we Francji.

Jestem słuchany niewątpliwie serdecznie, ale czy uważnie? Otrzymuję tyle okłasków co moja poprzedniczka, która mówiła o *marvelous mixture*, ale mam wrażenie, że dla tych kobiet o dobrym sercu, wypróbowanej amerykańskiej hojności, które całe życie niezmiernie ciężkiej, uczciwej pracy wyniosło z ubóstwa nieraz na wyżyny dostatku, a losem tych studentów jest już niezmiernie wielka przestrzeń, tak wielka, że to co mówię może być dla nich abstrakcją.

Jakże amerykański wydaje mi się ten świat. Poza dalekimi asocjacjami z dobroczynnymi paniami mińskiego bazaru nie umiem w tej *polish-american mixture* doszukać się wielu elementów polskich. Widzę ciągle Amerykę. Zwycięstwo jej dobrobytu, bogactwa, ogromnej pracy, jej demokracji i jej obyczajów (mowy, mowy). Może w twarzach tych młodych dziewcząt, w kolorze ich włosów, oczu, czuję jeszcze jakieś asocjacje, związki z dziewczętami spod Przeworska czy Lublina.

Nagle, po wielu mowach — wszystkie sławiły prace tych pań dla studentów w Paryżu — wstaje jedna z nich. Ubrana

jest skromniej w czarną suknię i różowy kapelusik. Mówi, że już nie będzie przemawiała długo — było tyle świetnych mówców przed nią — winszuje kierownikom towarzystwa i zarządowi zbożnej pracy i kończy swe przemówienie życzeniem, by po najdłuższym życiu Bóg im dał *śmierć szczęśliwą*, otworzył im Bramę Niebieską i przyjął je wszystkie do Swej wiecznej szczęśliwości.

Było to powiedziane bez żadnego patosu, całkiem naturalnie, i to wspomnienie o śmierci jak o rzeczy niechybnej i *najważniejszej*, która nas wszystkich czeka, było jedynym momentem, gdzie poczułem w nastroju, we wspomnieniu, ton z dalekiego kraju. Wspomnienie naszej wsi polskiej czy białoruskiej, skąd przyszliśmy wszyscy, i te panie w orchideach, i ja.

Obyczaj tamtych lat, gdzie do naszych wsi i dworów gazety dochodziły mało, albo wcale, ale gdzie w niedzielę w pogodę czy niepogodę, w śnieżyce czy w upał wszyscy jechali do kościoła w bryczkach, furmankach, sankach lub szli pieszo. Jeszcze widzę pobożne i na niedzielę wyelegantowane kobiety, które szybko już przy samym kościele pod jakimś parkanem na trawie nakładały trzewiki na bosc nogi. Zbieraliśmy się tam bez pośpiechu i gorączki, a słowa Ewangelii czytane przez księdza z ambony może głębiej wówczas wrzynały się w pamięć, bo nie miały przeciwwagi sensacyjnej prasy codziennej, sensacyjnych wiadomości, ani potoków wymowy i hałasu radia, którego bliskiego wynalezienia nawet nie przeczuwaliśmy. Zresztą nieznaną był wówczas nawet dla czytelników gazet styl polsko-amerykańskich pism z niezliczonymi fotografiami dostojnych obywateli i obywaterek, przejechanych przez samochody przechodniów, oraz morderców wszelakiego rodzaju. Styl prosty Ewangelii, styl godzin i pieśni religijnych oznaczał styl rozmów i obyczaju. Zamiast kina były procesje kościelne ze złotymi feretronami, noszonymi przez strojne dziewczęta, była w słońcu błyszcząca złota monstrancja pod baldachimem. I ten tłum ludzki na każdym odpuszc tak zapychał kościoły, że kości trzeszczały. Pogrzeby w tych czasach były u nas także tłumne, pamiętano je długo.

— Och, jak ona umiała płakać i zawodzić na pogrzebach — opowiadała mi ze szczerym entuzjazmem Wierka z Brasławia jeszcze w Polsce. — Nikt tak nie umiał zawodzić, prawda, że pomarło jej kilku braci i rodzice, więc już to był nie pierwszy raz.

Te płacze pogrzebowe, te zawodzenia, które jeszcze parę lat przed wojną słyszałem na cmentarzu żydowskim w Żabnem, to

była jeszcze i jeszcze stężała w geście i jęku cała tradycja już nie wielowiekowa, ale tysiąc i tysiącletnia obrzędów pogrzebowych i czci śmierci. Ta tradycja została jakby zatracona, spłycona, *uróźowiona* w życiu przeciętnego Amerykanina. „Brama Niebieska”, „śmierć szczęśliwa”, nawet nie te słowa, ale *akcent* z jakim były powiedziane przeniosły mnie z Detroit w dalekie wiejskie dzieciństwo, w tamten świat, gdzie śmierć była wielkim centralnym wydarzeniem, o którym się mówiło latami, gdzie żony nosiły nieraz żałobę po mężach na zawsze, do śmierci. Płacz po umarłych nie był ukrywany wstydliwie, nie był w tempie pospiesznym, ale był bólem trwałym z nadzieją i światłem na dnie, bo z wiarą niezłomną, zupełnie materialną spotkania się w innym, szczęśliwszym świecie. „Zdało się oczom głupich, że pomarli a oni są w pokoju”. Śmierć ta była dostojna i piękna. Nie tuszować, „nie zaklepać” tej pamięci w świetle koniecznie pomyślnego życia. Prędzej powrót swój do życia i do normalnych radości ziemskich starali się ludzie wstydliwie ukryć.

Tu, w Ameryce, ten nastrój, że się o śmierci nie mówi i o niej stara się myśleć jak najmniej, wydał mi się nagminny, mnie samemu się udzielał. Ja sam po paru miesiącach Ameryki zacząłem reagować na śmierć inaczej. Odruchowo zaczęło mi się zdawać, że śmierć z choroby, ze starości, jest tu, w Ameryce, wypadkiem rzadszym i pewno w najbliższej przyszłości do usunięcia.

Jeszcze kwadrans przed śmiercią trwa tam uparta walka o życie, podszyta niewiarygodnym optymizmem, mówi się o najróżniejszych tylko co odkrytych „atomowych” lekach, które mogą zabić, ale także uzdrowić. Medycyna dochodzi coraz to do nowych sensacyjnych odkryć. Wszystkie penicyliny, streptomycyny, kortizony i setki drobniejszych wynalazków są omawiane i reklamowane. Każdy lekarz pokazuje z dumą nowe narzędzia badania, maszyny dla prześwietlania, radary dla przesłuchiwania serca, narzędzia i środki rzadkie jeszcze w Europie, tu już w ogólnym użyciu. W każdym *drug-storze* masa medykamentów, pigułek, proszków i płynów w tak kuszących zgrabnych pudełkach i flakonach, że kupując je ma się uczucie, że to cukierki czy perfumy.

W pierwszych dniach swego urzędowania pierwszy polski Mayor miasta Buffalo ogłasza, że walkę z chorobami serca, na które Amerykanie umierają najczęściej, uważa za *najważniejsze zagadnienie chwili*.

Life, wychodzący w milionach egzemplarzy, umieszcza serię

fotografii nadzwyczaj rzeźkich staruszek. Jedna hoduje kaktusy, inna jest fotografowana jak tańczy czy się gimnastykuje, inna jeszcze ma tysiączną kolekcję brązowych, drewnianych, kościanych słoni, przynoszących szczęście. Wszystkie te panie koło 80-ki są żwawe, uśmiechnięte i... młode. Przesunąć, przesunąć granicę wieku!

Równolegle działa na każdego Amerykanina jakieś zakonspirowanie śmierci przy jednoczesnym jej zdegradowaniu. Umarli błyskawicznie po śmierci wywożeni do *Funeral Home*ów, wyglądających jak eleganckie hotele, są tam natychmiast preparowani i malowani „na żywo”.

Inteligentny D. P., dziś robotnik w fabryce Forda, opowiada mi: „Umarł mój znajomy Amerykanin. Zawiadomiono mnie, że jest w *Funeral Home*. Rodzina wynajęła tam trzy pokoje. To był sztywny *Funeral Home*. Włożyłem moje jedyne ciemne ubranie, myślałem że to wypada, i wybrałem się do domu pogrzebowego. Ale gdy tylko tam wszedłem poczułem, że popełniłem nietakt. Wyglądałem jak karawaniarz. W jednym z pokoiów były cocktaile, tłum panów, odchodziły dowcipy. W drugim siedziały panie — matka i córki w różowych i liliowych toaletach, z piórami. W trzecim leżał umarły — właściwie półleżał w strojnej trumnie (nie ta w której będzie pochowany). Miał twarz pięknie wymalowaną, nigdy nie widziałem go tak młodym. Był w jasnym ubraniu i ognistym krawacie”.

Inny mój znajomy, również całkowicie wiarygodny, opowiadał mi o Polce, która przybyła niedawno z Kraju, już śmiertelnie chora po strasznych przejściach, wyrwana stamtąd dzięki ogromnym wysiłkom bliskich w Ameryce. Umarła po paru tygodniach. „Widziałem ją po śmierci — przewieziono ją do jednego z sztywniejszych domów pogrzebowych New Yorku. Półsiedziała, jakby w jajku z kwiatów. Była nie tylko starannie wymalowana, ale do tego wyraźnie i całkowicie sztucznie uśmiechnięta. Uciekałem w popłochu!”.

Takich opowiadań słyszałem dziesiątki. Okazuje się, że Evelyn Waught niewiele musiał przesadzić w opisach hollywoodzkich domów pogrzebowych w swej głośnej książce. Sam słyszałem również, że niektóre aktorki filmowe po śmierci wystawiano w kostiumach kąpielowych, żeby jeszcze wtedy można było podziwiać piękno ich ciała, robiąc dodatkową reklamę ich filmów.

Bo reklama i nawet humor mają także swoje miejsce w sprawach śmierci. „Chcesz zrobić przyjemność swej babce — kup na raty działkę na cmentarzu w takim a takim zakładzie pogrze-

bowym”, albo „Umrzyj tylko — resztę my już załatwimy” i adres domu pogrzebowego. Takie „kawałki” czyta się w gazetach.

Jakże to wszystko dalekie od Bramy Niebieskiej i wiecznej szczęśliwości.

Ta śmierć zakamufLOWANA, osłodzona czy ubrana w dowcip w życiu codziennym Amerykanina jakże nagle zdać się musi straszliwa, wszechobecna dla żołnierza amerykańskiego na froncie. Tam ukryć jej, upiększyć się nie da. Te trupy nie są malowane. Jeszcze dzisiaj pamiętam twarz pierwszego żołnierza, który zginął w moim plutonie gdzieś pod Beresteczkiem w 1920 roku. Jak mu nagle stężała, jak trudno było oczy mu zamknąć. Był to człowiek starszy, Pomorzanin, kapral z wojska niemieckiego. Albo ten inny z ciężką raną w brzuchu. Leżał na podłodze wagonu sanitarnego pod Krasnym, tuż obok mego brata rannego w serce, twarz jego, blada jak papier, zrobiła się nagle nieznacznie bledsza. Zgasł jak ledwo tłący się ogarek świecy. Tę noc sprzed trzydziestu laty pamiętam jakby była wczoraj. Trupy, które wtedy widziałem, nie były malowane.



Odwiedziłem w Paryżu, zaraz po ostatniej wojnie, znaną pisarkę amerykańską Gertrud Stein. Znałem ją z moich przedwojennych lat paryskich. Przyjaciółka Picassa i Matisse'a, właścicielka jednej z najpiękniejszych kolekcji tych malarzy, była autorką książek, które próbowałem czytać po francusku i przyznam się, nic nie mogłem zrozumieć ani wyczuć z tej prozy kubistycznej. Niemniej młodzi pisarze amerykańscy mieli dla niej wprost kult (Hemingway, między innymi, bardzo wiele jej zawdzięczał). Jeden z nich powiedział mi ze szczerem przekonaniem, jeszcze przed wojną, siedząc w jej salonie, że dla niego jako proza „*il n'y a que la Bible et Gertud Stein!*”. Wyglądała na emerytowanego pułkownika, który się żartem przebrał w spódnicę. Wszystko co mówiła było ciekawe, naturalne, nieraz przenikliwie trafne. Ona pierwsza wiele lat temu opowiadała mi o Amerykanach z humorem i szczerym patriotyzmem, wyjaśniała mi historyczne źródło ich pasji ruszania się. „Jestem w miejscu które kocham najwięcej na świecie. Zostanę w nim trzy dni...” pisała do niej jedna z jej przyjaciółek. Jakże żywo mówiła mi wówczas o tym ciągłym, nieustannym parciu paru amerykańskich pokoleń z Zachodu na Wschód, jak domem rodzinnym było każde miejsce, gdzie stawiano z początku jeszcze na ledwo co wyrąbanym terenie swój *rocking chair* na to, aby

jak tylko dom był sklecony ruszać dalej i dalej w dzikie lasy na Wschód.

Ostatni raz byłem u niej bardzo krótko przed jej śmiercią. Zastałem ją prawdziwie zaniepokojoną kryzysem moralnym, przez który przechodzą tysiące żołnierzy amerykańskich, wracających z frontu. Odwiedzali ją tłumnie, jak spowiednika, ona jeździła do nich, wygłaszała odczyty, rozmawiała z wszystkimi. Znałem z własnego doświadczenia jej serdeczną czujność i mądrą przyjaźń, którą darzyła tylu ludzi. Mówiła mi, że wojna otworzyła tym ludziom okno na świat, nie mający nic wspólnego z popularną, pragmatyczną i optymistyczną filozofią życia Amerykanki.

Sam takiego Amerykanina spotkałem na lotnisku w Detroit. Wsiadaliśmy razem do samolotu. On wciągał ciężki wózek dziecienny z małą córeczką, wsiadał do samolotu z nią i młodą żoną, Francuzką. Mówił biegle po francusku, robił wrażenie bardzo inteligentne. Wysoki blondyn o nordyckim typie. Ona czarna, drobna, ileż takich *midinettes* widzi się w Paryżu. Jechał na zjazd swego syndykatu robotniczego. Miał za sobą Harvard i rok pracy jako robotnik w fabryce. Zaczął mi natychmiast sypać cyframi, mówić o groźbach bezrobocia, o trudnościach rasowych w syndykatach. „Jestem teraz pracownikiem wielkiego syndykatu robotniczego, chciałbym się na coś przydać, chciałoby się wiele rzeczy zmienić w naszym kraju. Przyznam panu, że trudny był mi powrót po wojnie. Cały rok zostałem w Europie, włączając się od Skandynawii do Hiszpanii. Wojna zupełnie wytrąciła mnie z równowagi...”. Ten młody, inteligentny, czytany Amerykanin wyleczył się na wojnie doszczętnie ze zbyt łatwego optymizmu.



Drugi jeszcze moment, jaki zaobserwowałem na tej uczcie na *Mother's Day*, to niezamącone *spokojne sumienie* tych wzorowych matek, wzorowych obywaterek wzorowego kraju — wielkiej Ameryki. Przemawiałem dwukrotnie przedtem w wielkich klubach rdzennie amerykańskich. Ten nastrój dziecinnej radości i czystego sumienia, ludzi posiadających więcej i najwięcej spokojnego sumienia połączonego z *błogim nasyceniem* odnajdywałem wszędzie. Przecie szczęście istnieje — myślałem (trochę gorzko).

Kajuszczijesia dworanie, tak nazywano ironicznie ludzi szlachetnych z majątnej szlachty rosyjskiej, którzy mając głębokie

poczucie złego sumienia wobec otaczającej ich nędzy w końcu XIX wieku szli „w lud”, rozdając wszystko co mieli ubogim — zdaje mi się, że tego rodzaju typ człowieka musi być jeszcze w Ameryce nawet trudny do zrozumienia. Przeciętny człowiek, który się dorabia, nie ma wrażenia, że komuś coś odbiera, ale że bogactwo *mnoży* przez swą pracę i przemyślność. A już jak się bardzo dorobił zakłada potężną fundację, buduje szpitale i zakłady więc dlaczego miałby się kajać! Pono istnieje rzadka odmiana zmodernizowana *kajuszczichsia dworian* wśród *fellow travellers*’ów z bardzo bogatych rodzin, dla których Sowiety zdają się *jeszcze* rajem ubogich, czy jedynym paliatywem na nędzę świata. Sądząc jednak z własnego doświadczenia zdawało mi się, że odruchowe przekonanie, iż bogactwo i cnotę można połączyć znakiem równania, panuje nagminnie.

Człowiek dłuższy czas zamieszkujący Stany Zjednoczone, który się nie dorobił, jest podejrzany: pewno pijak, może szelma, a już na pewno niezdara, jednostka społecznie zbędna. I jest chyba prawdą, że człowiek zdecydowany pracować, ze znośnym zdrowiem i przeciętną inteligencją, stokrotnie łatwiej niż w Europie znajduje pracę nieporównanie lepiej płatną i w bardzo krótkim czasie ma swój własny domek i komfort. Delegacja amerykańskich syndykatów robotniczych niedawno objechała Francję i po powrocie do Ameryki złożyła raport, w którym nie tylko uznała warunki materialne francuskiego robotnika za *intolérables*, ale twierdziła, że od robotnika mającego takie warunki nie można żądać by zdobył się na walkę w chwili agresji. Cóż by ta delegacja powiedziała, gdyby widziała warunki materialne robotnika w Polsce?

„A Jezus spoglądając wokoło mówi uczniom Swoim: ci co pieniądze mają jak trudno wejdą do Królestwa Bożego”. Te słowa Chrystusa muszą być „mową twardą” w Ameryce, jeszcze stokrotnie bardziej, niż w огоłoconej i nędznej Europie. *We have all television* — to nie jest pusty frazes. Bo jeżeli nie *television* to w każdym razie wspaniałe ogrzewanie, mieszkanie, *frigidair*’y i łazienki to są rzeczy najbardziej popularne.

Ale i tu przecież są groźby bezrobocia, i tu są ludzie o starości niezapewnionej, są chorzy, słabi, niezdarni czy nieszczęśliwi, którym się nie powiodło. Takich widywałem w wielkich tanich jadłodajniach New Yorku. Pamiętam jednego samotnego bywalca restauracji. Był stary albo prawie stary, miał wyslizgane rękawy, wystrzępione brudne mankiety koszuli. To wiele mówi w kraju, w którym tragarz, tramwajarz, Murzyn ciągnący wózek z owo-

cami, prawie każdy spotkany na ulicy, nosi koszulę śnieżnej czystości. Miał cerę zniszczoną, wymiatał dokładnie wszystko co miał na talerzu i nieustannie coś mamrotał, sam do siebie mówił, jakby był nie w tłumie, ale samotny, na pustyni. Polak, który już dłużej i w ciężkich warunkach mieszka w New Yorku mówił mi, że spotyka się wielu takich maniaków wciąż ze sobą półgłosem gadających, zupełnie samotnych ludzi, ludzi którym się nie powiodło. Przyjechali tutaj naturalnie wierząc, że zrobią miliony — dziś ledwo mogą zarobić na utrzymanie. Wielkie miasto ich pożarło i oni dla tego miasta przestali istnieć. Cóż z nimi robić, poza tym by o ile możliwości ich nie widzieć.

„Już trzeci dzień — mówi mi mój polski przyjaciel — na moim trotuarze leży stary Murzyn. Trzęsie go febra, nikt do niego nie podchodzi. Ja także nie podszedłem, nie śmiałem go pytać bo nie mam nawet tych paru centów, by mu pomóc”.

Spotykałem żebraków. Ale w tych wszystkich moich podróżach było ich zadziwiająco mało. Podchodzili do mnie bardzo nieśmiało, w Washingtonie, w New Yorku, oglądając się przedtem, prosili szeptem aby im coś dać, bo nie mieli nic w ustach od rana. Od większości ciągnęło alkoholem. Jeden był naprawdę blady, pokazał mi pismo, świadczące, że tylko co wyszedł ze szpitala.

Włóczyłem się po ubogich dzielnicach New Yorku, także po murzyńskim Harlemie („O, niech pan tam nie chodzi. Tam mogą pana jak nic zamordować!”). Nie tylko nikt nie chciał mnie zamordować, ale nie widziałem nawet spojrzeń niechętnych. Widziałem natomiast kupy dzieci murzyńskich, wesołych i ciekawskich, chłopaków grających w piłkę na środku jezdni, albo na nieprawdopodobnie brudnych śmietnikach). Nie ubóstwo, ale *szpetota* tych ulic biednych Białych, czy biednych Murzynów robiła wrażenie. Szalony brud ulicy, jakby nigdy nie wymiatanej, wiejące przez te ulice niezliczone strzępy brudnych gazet. Przed każdym domem jeden czy parę ogromnych kubłów na odpadki tak pełnych, że wysypujących się naokoło. Ale dzieci bawiące się po rynsztokach, krzykliwe i wesołe, trzymały w rękach pajdy białego chleba z masłem i bardzo grubymi kawałkami sera i przeważnie miałem wrażenie, że widzę ludzi sytych. Ale bo też może nędza tam jest nie tylko rzadsza ale i nieskończenie bardziej niż u nas wstydliva.

Raz widziałem żebraczkę przed gmachem Fundacji Rockefellerowskiej — jedyny gmach, a właściwie jedyny kompleks gmachów w New Yorku, który, ile razy go widziałem, aż mnie

„zatykał”, napełniał zachwytem. Te niezliczone okna, linie absolutnie proste, ich strzelistość a jednocześnie czysta geometria czarowały mnie za każdym razem. U stóp tych gmachów dziesiątki sztandarów wszystkich kolorów. Sztuczna ślizgawka, na której nieustannie wyczyniają akrobatyczne cuda kobiety w strojach Sonji Henie i fenomenalnie zgrabni Murzyni albo niezdarnie i wesoło ślizgają się małe dzieci w kolorowych czapach i portkach, kwiaty, fontanny, sklepy paryskich perfum i agencje turystyczne, wywożące bogatych Amerykanów na wszystkie strony świata, o każdej porze roku i we wszystkie temperatury, samolotami i luksusowymi statkami. Na trotuarze kłęczy kobieta w płaszczu, wcale nie zniszczonym, prawie eleganckim, spod płaszcza wychodzą strzępy nóg, pozbawione stóp, w grubych pończochach. Kobieta bez stóp żebrze? Nie — sprzedaje ołówki, żółte, zakończone gumką, te same, świetnie maszynowo zatemperowane, które widzimy wszędzie dziesiątkami, w jadłodajniach, biurach, wagonach restauracyjnych. Twarz ma niemłodą, jest prędzej brzydka, i ma kapelusik z kwiatkiem. Ołówki kupuje wielu przechodniów. Na twarzy kobiety uśmiech — ten sam wciąż spotykany uśmiech, który znaczy, że wszystko jest jak najlepiej, w najlepszym ze światów. Ale w oczach i w kącikach ust jakby pod tym uśmiechem był grymas niemocy i wstydu.

Zaledwie miesiąc potem szedłem ulicami Berlina późnym wieczorem. W załomie spalonej kamienicy wygodnie rozparta, z ułożonymi przy sobie kulami siedziała kobieta. Stara żebraczka. Miała *tak samo* jak ta spod Rockefellera jakieś strzępy zamiast nóg. Przechodnie rzucali grosze do blaszanego garnuszka stojącego przy niej. Dziękowała im przyjaznym kiwnięciem głowy. Gdy sam także jej coś wrzuciłem i poszedłem dalej, nagle słyszę wołanie. Woła na mnie żebraczka. Wracam. Zawołała mnie jak dobrego znajomego by się spytać która to godzina, bo czas już wracać do domu.

Jest łatwiej być żebrakiem w zrujnowanym Berlinie, gdzie połowa przechodniów ma łatanе buty, a kobiety mają suknie dziesięć razy przerabiane, niż na Fifth Avenue u stóp Fundacji Rockefellerowskiej, wśród najbogatszych ludzi, najbogatszego miasta świata i to jeszcze w kraju, gdzie ludzie zbyt szybko i zbyt odruchowo stawiają znak równania między powodzeniem i cnotą.



Jest jeszcze jeden cytat z Ewangelii, który mi się przypomniał

w Ameryce: „Gdy czynisz jałmużnę, niechaj nie wie lewica co prawica twoja czyni, aby jałmużna twoja była w skrytości, a Ojciec twój, który widzi, w skrytości odda tobie”. („Hojne dary to są tajne dary” było napisane na skrzynce jednego ze szpitali warszawskich).

Ameryka jest krajem wolności, ale również krajem reklamy. Nie tylko gust reklamy, ale stwierdzona jej korzyść stwarza, że koło bardzo wielu gestów ofiarnych *trzeba* robić reklamę, by innych chociażby porwać swoim przykładem. Pieniądz ofiarowany na jakiś dobry cel musi być wręczany przy świetle reflektorów, fotografowany przez fotografów jak nigdzie indziej despotycznych: „Proszę podać rękę, proszę podać kopertę, proszę się uśmiechać!”. Tysiące tak sfotografowanych „obrządków” widzimy codziennie w gazetach. I od Mayorów miast, gubernatorów aż do zwykłych obywateli czy przyjezdnych w tej chwili wszyscy są potulni jak owieczki, posłuszni fotografom.

Przy tym ta reklama, sławna amerykańska reklama, na którą idą miliony dolarów, robi wrażenie nieprawdopodobnie prymitywnej. Czy to te fotografie zawsze te same, bez pomysłu, we wszystkich gazetach, zawsze z tymi samymi uśmiechami, czy kolorowe druki na błyszczącym papierze wspaniałych bekonów z pomidorami albo tortów pokrytych truskawkami i ociekających kremem, czy urocze blondynki, kąpiące się lub malujące sobie usta nowym *lipstick*'iem, wysportowani o zawsze potężnych barach młodzieńcy, pokazujący w uśmiechu zęby-perły, nie tylko to, także osławiona reklama Broadway'u, miliony lampek elektrycznych, które jeszcze dodatkowo podrygują, albo się kręcą, butelki piwa wysokości trzech piętér lub znowu piętrowe reklamy kawy, gdzie z kawiarki do filiżanki wielkości dużego okna nie tylko płynie niby smakowita kawa, ale jeszcze bucha z niej para jak z lokomotywy. To wszystko po chwili nudzi i drażni. Gdy pytałem inteligentnych Amerykanów dlaczego ta reklama robi wrażenie tak mało pomysłowej, odpowiedzieli mi, że reklama jest nauką, że żadne oryginalniejsze pomysły nie popłacają, i że w Ameryce robiąc reklamę trzeba celować na mentalność dziecka które ma 11 lat. Taka reklama najlepiej popłaca. A przecież cel jest ściśle utylitarny.

Denis de Rougemont w ciekawej książce o Ameryce, pisanej po pięciu latach pobytu w Stanach, zaczyna od uwagi, którą sam sobie powtarzam, że Ameryka to nie kraj, ale ogromny kontynent, kontynent wprost nie do opisania, bo można cytować tysiące prawdziwych faktów objężdżając Stany tam i z powrotem i ciągle

to jeszcze nie będzie Ameryka; na każde uogólniające stwierdzenie można znaleźć przykłady i argumenty faktom podawanym przeciwne. Jakże więc wyciągać wnioski!

Może najszkodliwszym skutkiem hałaśliwej, zorganizowanej jak nigdzie reklamy jest to, że zafascynowany i oślepiiony nią przejezdny jest jak człowiek oślepiiony reflektorami: nie widzi nic poza kręgiem ich światła. To mu właśnie *fałszuje* opinię o Ameryce i Amerykanach, narzucając obraz w prymitywizmie, w brutalnym uproszczeniu fałszywy, a przynajmniej całości nie ogarniający.



Gust reklamy idący w ślad za hojnością! *Tak*, ale ileż znam przykładów prawdziwej hojności, zdaje się, że mogę powiedzieć, hojności wprost nieznanej w Europie, usłużności, której sam doznałem od nieznanomych ludzi, o reklamę nie tylko nie dbających, ale która by im była przykra. Ale bo właśnie dzięki blaskom reklamy *niereklamowane* gesty toną w zgęszczonym mroku.

Detroit. Dzielnica przypominająca bogate przedmieścia Londynu, trawniki, piękne drzewa, prywatne wille. W jednej z takich willi przyjmuje mnie małżeństwo: Polacy z pochodzenia, gospodarze z Małopolski. Przybyli tu bardzo wiele lat temu. Dziś właściciel tej willi jest ciężko chorym wielkim przemysłowcem, przy nim siedzi żona o siwych włosach i pięknych rysach. Mieszkanie typowo amerykańskie: masa mebli, obrazów w ciężkich złotych ramach. Widzę fotografie młodej kobiety, rzadkiej urody w sukni ślubnej i wielkim woalu. Stoi przy niej wysoki, przystojny, buchający energią, fantazją chłopak we fraku. „Czy to dzieci państwa?“, pytam. „Nie, to my sami. Pobraliśmy się już w Chicago”. Czym być musiała *epopeja* życia tych ludzi, którzy przybyli do tego kraju pewno bez środków, bez znajomości języka, wskutek tego handicapowani nawet przez tylko co przybyłych Ajryszów. Opowiadam im o *Kulturze*. Chory prosi o zaabonowanie go na rok. Jego żona przynosi mi kopertę. Jest tam wiele więcej niż wynosi abonament. Mówię to gospodarzowi. Stary człowiek macha ręką: „Niech pan bierze” i po chwili milczenia: „To przecież dla Polski”.

Po odczycie w tymże Detroit podchodzi do mnie siwy starszy pan. Wtyka mi do ręki 5 dolarów. „To za to co pan mówił. Jestem robotnikiem. Jestem sam. Żona mnie opuściła, poszła z drugim. Pieniądzy na jednego mam dosyć, aż za dużo”.

Pisząc o hojności ukrytej, bez reklamy, muszę choć wspomnieć paczki.

Paczki za kurtynę wysyłane tysiącami przez Amerykanów, pochodzących z tamtych stron, a także przez tysiące i tysiące Amerykanów rdzennych, których żadne więzy krwi czy wspomnień z tymi krajami nie łączą. Iluż ludzi te paczki uratowały od nędzy i śmierci. To są dary bezimienne nieznajomych ludzi nieznajomym ludziom. To jest Ameryka którą odkrywam nagle *poza* reflektorami reklamy. To jest *też* Ameryka.

(*Kultura* nr 10/36, 1950)

„DZ W O N K I”

Zaproszony przez Związek Narodowy do Chicago na 3-cio Majowy obchód, gdzie mam przemawiać o Katyniu, wyjeżdżam z New Yorku. Pociąg odchodzi o 5.14. Wychodzę z mieszkania na Madison Avenue dobrze po czwartej. W mig podjeżdża pod dom wolna żółta taksówka. Tych taksówek, z czerwonym, od zmięzchu zapalonym oczkiem — gdy są wolne — tysiące krąży po ulicach w poszukiwaniu pasażerów. Ruszamy w strudze aut, skręcamy na Park Avenue. Średnia wysokość domów 15-20 pięter. Wieże Waldorf Astorii, pyszne kościoły różnych chrześcijańskich wyznań, „prawie” gotyckie czy „prawie” romańskie. Przy jednym z nich widziałem robotnika na drabinie, który pilnie i energicznie tarł rzeźby z brązu, by dobrze błyszczały. W głębi potężny tum Grand Central Station, ustawieniem w poprzek ulicy, nawet kształtem przypomina mi zamerykanizowaną, dostosowaną do rozmiarów ulicy i domów — Bramę Floriańską.

Wczoraj jeszcze ostry chłód, dziś ciężka, szara, duszna pogoda. Auto kołysze się jak łódka; oczywiście świetne resory, radio sączy muzykę bez przerwy. Poprzez szyby widzę po obu stronach jezdni na niezliczonych skrzyżowaniach sznury zielonych lampek; co parę minut gasną i na ich miejscu mruga sznur lampek czerwonych. Wszystkie auta stają, by miękkim ruchem znów ruszyć i znów stanąć za chwilę. Dusznosc, kołysanie, muzyczka, ckliwy zapach spalonej benzyny, nieustanne przystawanie i lekkie nudności.

Stacja. W parę sekund uprzejmy Murzyn zgrabnie ładuje moją walizkę na już załadowany wytwornymi walizkami wózek i wręcza mi numerkę. W kieszeni mam bilet do Chicago.

Teraz nie mam już nic innego do roboty, jak tylko bez pośpiechu iść do pociągu, gdzie tragarz z rzeczami będzie na mnie czekał.

Przejazdy, wyjazdy, taksówki, tragarze, bilety, restauracje na stacjach i w wagonach, wszystko to jest tak zorganizowane, idzie tak gładko, że po pewnym czasie jeździ się prawie mechanicznie, nie myśląc więcej o samej technice podróży, jak się nie myśli o guziku od kamizelki, gdy się ten guzik zapina lub odpina.

Wchodzę na stację zupełnie roztargniony, raczej zanurzony w swoich myślach. Długie przejścia, schody, światła z boku, światła z góry, płynący tłum — aż nagle przy wejściu do ogromnego hallu, głównej sali, budzi mnie jak uderzenie gromu potężna muzyka organowa wraz ze śpiewem wielkich chórów. Bach? Te organy muszą być gdzieś tuż. Mam przez sekundę wrażenie, że trafiłem przez pomyłkę do katedry.

Ale uspakaja mnie ogromny sztandar amerykański, spływający wzdłuż wielu pięter od stropu do ziemi, i ogłoszenia zalane niezbyt ostrym, przyjemnym światłem elektrycznym: reklamy. Na ścianie znów kawiarka. Różowa, „jak żywa”, ręka nachyla ją i znów struga kawy płynie do filiżanki i pyka z niej para. Inna ręka, również różowa, na drugiej ścianie wyciska jakąś pastę z tubki wielkości drobnej lufy armatniej. Dalej, w oświetlonej skrzyni przez szybę patrzy na nas uśmiechnięta twarz młodzieńca w nadzwyczaj szykownym mundurze khaki i w czapce. Młodzieniec, jak z doskonałego panopticum, tryska rumieńcami zdrowia i radością życia. *The first citizen in the U.S.A.* — reklama wojska.

Wszędzie kioski i kioski, przeładowane jadłem, cukierkami, butelkami, portmonetkami, książkami w pięknych okładkach. Potężne kioski gazetowe, wydania codzienne ogromne, a w niedziele tak obfite w dodatki, że kupić parę gazet to ma się zaraz cały kufer do noszenia. Niezliczone miesięczniki, tygodniki, przeważnie na ciężkim, kredowym, glansowanym papierze, zawsze kolorowe okładki. Czytam w jakiejś z gazet, że jedna z firm wypuściła papiery nie tylko glansowane, ale i pachnące. Miesięcznik o leśnictwie wyszedł z zapachem igliwia.

Strugi ludzkie płyną we wszystkich kierunkach bez pośpiechu, bez nerwów. Nie widzę w tym tłumie ani jednego człowieka biednie ubranego — w europejskim znaczeniu tego słowa. Ani jednego, który by nerwowo targał swoje stare walizy, rozwalające się kosze i sznurami powiązane manatki. Wszystkie twarze syte, cery szczęśliwych dzieci — krew z mlekiem, wszystkie walizy nowe i wytworne.

Mimo woli wraca mi na pamięć wielka sala stacji w Kujby-

szewie, podczas wojny. Sala też ogromna, cała podłoga zapchana ludźmi w łachmanach, półżywym z głodu i zimna. Brud, wilgotny odór tych ciał i tych szmat, na ścianach aż do sufitu portrety Lenina i Stalina. Zielonawy półmrok, ze środka sali płyną również, tak jak tu, potężne dźwięki świetnego radia, tylko tam na zmianę słyszałem walce Straussa. Nie kontrast materialny mnie dziś zastanawia, ale tu, na tej stacji amerykańskiej, zrealizowany ideał, o którym tam się stale mówi i pisze. Ideał dostatku udostępnionego masom, który tam jest podawany jako ideał wyłącznie sowiecki, fatamorgana, którą się karmi głodne rzesze, wysyłając jednocześnie miliony ludzi na śmierć do obozów za to, że nie dość totalnie służą temu ideałowi, który byłby dawno zrealizowany, gdyby nie „krwawa Ameryka” i inni kapitaliści. I nie chodzi tu tylko o ten milionom udostępniony dostatek. Patrząc na wesołe, wykarmione dzieci, na kolorowe reklamy, słucham każdego uśmiechniętego *sorry* i powtarzam sobie po cichu tamte, stamtąd, slogany: *žit’ stało wieselej* i *żywiom kulturno*. Bo i to tutaj uderza: grzeczność wszystkich ze wszystkimi, nikt głosu nie podnosi, nikt nie wydaje rozkazów, a gdzieżby się kto rozpychał? Jest miejsce dla wszystkich.

Mówią mi, że gdyby nie ta grzeczność, ten *kredyt* zaufania, którym każdy natychmiast zostaje obdarzony, gdy się znajdzie na bruku nowojorskim (nikt na przykład w autobusie mnie nie pilnuje czy wrzucam za bilet do czegoś w rodzaju skarbonki tyle centów ile trzeba, lub czy może dosypałem zamiast centów parę guzików), gdyby nie ta ogólna i dobrowolna dyscyplina ludzi wszystkich narodowości, wszystkich kolorów, najsprawniejsza organizacja nie dałaby tu rady z przerzucaniem tych milionów ludzi jednego dnia z, do, i w New Yorku.

— „Ech, co warta ta grzeczność, nauczona” — mówi mi gorzki emigrant. Ja bym chciał wiedzieć, jaka grzeczność w Europie nie jest nauczona. Ile razy każdego z nas uczono, żeby mówić „proszę” czy „dziękuję”.

Naturalnie, że to wszystko co opisuję to jest *powierzchnia*. Wystarczy przeczytać parę surowych książek o Ameryce, przez Amerykanów pisanych, wystarczy pójść na sztukę, która się od roku cieszy w New Yorku kolosalnym powodzeniem: „*The Death of the Salesman*”, by ujrzeć rzeczywistość amerykańską w barwach najciemniejszych. Ale przecież ta powierzchnia także coś znaczy, to jest styl życia milionów. Ja wiem, że pod tymi dobrze skrojonymi ubraniami biją takie same serca ludzkie, że i tu jest cierpienie, nienasycone, niewyżyte namiętności, rozpacz i śmierć, pomimo, że robi się tyle, by to ukryć, ale wyrazy twarzy, dosta-

tek, zorganizowany, niegorączkowy rytm, to jest przecie życie na poziomie takim, o którym ludzie całej kuli ziemskiej marzą, życie nie paru tysięcy jednostek uprzywilejowanych, ale milionów Amerykanów. A styl ten to nie tylko styl Grand Central Station: przenika on wszędzie, widzę go na niezliczonych ulicach, widzę go nawet w kościołach.

Te kościoły z witrażami dziwnej mieszaniny *comicks*’ów religijnych z barwą szkieł we fioletach, granatach i czerwieniach, godną witrażów w Chartres, gdzie obrazy malowane „prawie” jak Fra Angelico sąsiadują z rzezbami „gotyckimi” czy „renesansowymi”, błyszczącymi jak dobrze zadbane samowary, a w kościołach nowoczesnych rzeźby i mozaiki *modern* są wśród kotar i oświetleń prawie kinowych! Podczas nabożeństwa zakonnicy o dobrej tuszy i twarzach zażywnych i kolorowych, świetnie wyczyszczonych butach i habitach z solidnej materii wsuwają zręcznie i wprawnie na długich, długich kijach szufle między ciężkie dębowe ławki, by nie opuścić ofiary żadnego z pobożnych, który już i tak swoje wejście musiał opłacić siedzącemu przy wejściu pedantycznemu osobnikowi. Ten ostatni te opłaty układa zgrabnie w drobne stosy, zależnie od wielkości monet. Wielcy kaznodzieje przemawiający przez radio do setek tysięcy pobożnych produkują jednocześnie maści lecznicze na skórę, z których czerpią ogromne dochody, dla celów użytecznych i nabożnych: na szpitale, kościoły (tu w Europie „Benedyktynę” również przecie wyrabiają zakonnicy). Myślę o niektórych kościołach na prowincji z dobrze funkcjonującą piwiarnią pod kościołem, z tryskającymi energią księżmi, sypiącymi cyframi, statystykami, organizującymi z zacięciem swoje bogate parafie, odpusty i święta narodowe, zamawiającymi na metry witraże i freski, ogłaszającymi w gazetach loterię z zakąskami dla parafian „na Częstochowie” i „karcianki” w Parafii Przenajświętszej Krwi. Wszędzie ten sam rytm zorganizowany, dumny z siebie, nasycony i *pomyślny*.

Nieraz w tych kościołach myślałem o Simone Weil: „Człowiek, którego cała rodzina zginęłaby w torturach — notuje podczas wojny — który by był sam długo torturowany w obozach koncentracyjnych, albo Indianin z XVI wieku, sam jeden uratowany przy eksterminacji całkowitej swego plemienia. Tacy ludzie jeżeli wierzyli w miłosierdzie Boże, albo już weni wierzą, albo je pojmują całkiem inaczej niż uprzednio. Nie przeszłam przez takie rzeczy. Ale wiem, że istnieją, więc cóż za różnica? Muszę dążyć, by mieć o miłosierdziu Bożym pojęcie, które się nie

zacierą, które się nie zmienia, cokolwiek los by mi zesłał, i które mogłoby być przekazane każdemu człowiekowi”.

I nagle tu, na Grand Central Station, wśród grzmiącej muzyki Bacha i tłumów ludzkich, poczułem się zupełnie sam. Co mamy tu do roboty my, Polacy, rozsypani, bezsilni, oszukani, z Warszawami i Katyniami w trzewiach, nudni *resistent Poles*, którym jest tak trudno zapomnieć, że stracili podczas ostatniej wojny swój kraj i 6 milionów zabitych, zamordowanych. Muszą się oni przede wszystkim nauczyć wszystkich formułek amerykańskich, jak najszybciej nauczyć się uśmiechu i jeszcze głębiej — jeżeli nie zapomnieć, to schować, schować wszystko co w nich *waży i znaczy*. Żeby nie razić, nie gorszyć twarzą nie ułożoną, ubraniem niestandardowym, nerwami, ruchami, chodem innym, wprost *złym wychowaniem* w rozumieniu tutejszym.

A może wcale nie, może musimy *krzyczeć*, że to wszystko jeszcze zwycięstwo powierzchowne i straszliwie zagrożone, że bez myśli ogarniającej kulę ziemską, bez żarliwej imaginacji i żarliwego współczucia dla każdej na kuli ziemskiej niedoli grozi i tutaj klęska, że my, wygnańcy, jesteśmy pomimo, czy dzięki całemu obciążeniu przeszłości, od której oderwać się nie chcemy czy wprost nie możemy, bardziej świadomi, może bardziej czujni, i że tej nabytej gorzko świadomości niejeden z nas nie chciałby oddać za najbardziej amerykańskie szczęście.

Może naszą rolą jest właśnie o wszystkim pamiętać i świadomość budzić, że nasz los może stać się losem także Ameryki.

Dzwonem na alarm był wybuch wojny w Korei, gdzie tysiące młodych, rumianych *first citizens of U.S.A.* zginęło nawet z początku nie bardzo rozumiejąc po co rzucono ich do walki w dalekim, obcym kraju, ale może tysiące dzwonek alarmowych — opowiadań tysięcy wygnańców — coś także znaczy?

Jeszcze z dalekiej młodości pamiętam przeczytaną nowelkę Czechowa, w której bohater wyraża życzenie, by w każdym domu, gdzie pod lampą szczęśliwa rodzina zasiada do sytej wieczerzy, dzwonił nieustannie dzwonek alarmowy, przypominając o tych, którzy nie mają domu, ani wieczornego posiłku. Może na to jesteśmy w Ameryce, żeby spełniać rolę tych dzwonek alarmowych?

Byłoby ostatnią hipokryzją widzieć w tej tak często tu przeze mnie spotykanej harmonii czystego sumienia z dostatkiem — cechę specyficznie amerykańską.

Już ponad półtora tysiąca lat temu św. Hieronim pisał, że chrześcijanie ówczesni „ubierają drogocennymi kamieniami swe księgi, gdy przed ich progiem kona nagi Chrystus”, *gemmis*

codices vestiuntur et nudus ante fores emoritur Christus. Kiedy myślę o prawdziwej żarliwości współczucia, przypomina mi się skromna Amerykanka, miss Lane, którą w 1919 roku obserwowałem jak na Wołyniu rozwoziła ciężarówką worki białej jak śnieg mąki do wiosek polskich i ukraińskich, gdzie dawno już jedzono chleb z kory.

Gdy tłumaczyłem jej wyrazy wdzięczności tych chłopów, mówiła mi: „niech Pan mi tego nie mówi, czy Pan nie rozumie, że *mi jest wstyd!*”.

Ona wiedziała, że przed jej progiem *emoritur Christus*.

Czyż Europa XIX wieku nie miała całych warstw społecznych „triumfalnie sytych”, prawdziwą żarliwość współczucia miały jak zawsze wyjątki a *nagminnie* filantropia była jeszcze jednym powodem do chwały i zadowolenia z siebie. Apoteozą tego stosunku do nędzy wydaje mi się zawsze ten pomnik w skwerze Sèvres-Babylone w Paryżu, naprzeciwko wielkich sklepów Bon Marché. Założycielka tej firmy, pani bogata i wielce filantropijna, stoi na marmurowych schodach i lekko pochyłona w marmurowym futrze, wyciąga rękę do małego chłopca w marmurowych również łachmanach.

Jeżeli w Europie dzisiaj jest inaczej, to chyba nie dlatego, by tu więcej niż w Ameryce kwitł „żarliwy krzew współczucia”, o którym pisze Sambor, ale że nawet najbogatszy i najgłupszy Europejczyk czuje się zagrożony, bo Europa zbiedniała, bo straciła poczucie, że jest panią świata, bo... granice sowieckie są bliższe.



Mam zarezerwowaną przez Związek Narodowy *roomette* w sypialnym wagonie. Nigdy tak wytwornie nie jeździłem. Od chwili wyjazdu patrzę w prawo i w lewo zawsze z tym samym namiętym zainteresowaniem. Pociąg sunie ponad Harlemem i innymi niecentralnymi kwartałami. Szpetota nie do zniesienia tych ulic, wypełnionych tłumem ludzkim, papierkami i szmatami. Przez wąskie odnogi rzek czy kanałów stopy żelazniwa — mosty; prawie że jeden na drugim, zwodzone i niezwodzone, niektóre z nich mają podniesione ku niebu potężne przesła dziwnego kształtu, wyglądają jak żelazne modele zwierząt przedpotopowych. Najbardziej nowoczesne budowle stoją obok stacji kolejki nadziemnej w stylu najlichszym, przypominającym stacje podwarszawskich wąskotorówek sprzed 1914 roku. Obok nowoczesnych dwudziestopiętrowych gmachów tysiące domów niskich, niczym

się nie różniących od szpetnych domków żydowskiego mieszczaństwa z końca XIX wieku na Białej Rusi czy Ukrainie. Ale pociągają te miliony okien, a w oknach i na ulicach miliony twarzy: wszystkie barwy skóry, wszystkie kształty czaszek i wszystkie wyrazy od niesamowicie subtelnych do tępych czy zwierzęco dzikich.

Coraz to sterczy na ulicy, z ziemi, czarna skała Manhattanu, coraz to wśród niedobudowanych domów, składów czy kanałów widzę ziemię, która nie jest ziemią, ale jakimś ubitym, przysypałym śmieciami żużlem. Czasami, bardzo rzadko, widzę drzewo (jechałem raz taksówką trzy kwadransy do Brooklynu i nie zobaczyłem ani jednego). Te drzewa robią wrażenie nierealne i nie wierzę, że żyją, że mogą żyć w tym świecie.

Patrząc oczami malarza nie mam wątpliwości, że odkryć czy raczej stworzyć piękno tego świata (bo twierdzenie Wilde'a, że malarz tworzy piękno natury, bo je sobie i innym odkrywa, jest już dzisiaj nie paradoksem a banałem), więc, że tworzyć tu piękno można i trzeba, nie w poszukiwaniu gotowej malowniczości, ale poprzez studiowanie z precyzją absolutną, pokorą, może nawet czasami zgrzytając zębami, tych ulic milionów szyn, milionów ton żelazniwa, tej ziemi brunatno-czarnej, z palącymi się o zmierzchu śmietnikami, od których ponad szynami w wiosennym powietrzu idą ku mnie niskie chmury gryzącego, cuchnącego dymu. Trzeba patrzeć na te miliony twarzy, na ludzi wprzęgniętych w pracę prawie nadludzką z jakby nie opuszczając nikogo z nich, i wbrew uśmiechom, formułkom uprzejmości, straszliwie samotną *idée fixe*, którą czytamy na twarzy prawie każdego człowieka: dorobić się, podnieść swój standard życia, prześcignąć sąsiadów, albo chociażby utrzymać się na tej prostopadłej, nad przepaścią zawieszanej drabinie. Ileż razy pytając o coś przechodniów miałem wrażenie, że moim zapytaniem wyrywam tych samotnych spieszących się ludzi z jakiegoś graniczącego ze snem somnabulicznym zamyślenia, że ci ludzie ogarnięci jedną myślą w nieustannym napięciu woli robią naprawdę wysiłek, by ze swojego świata myśli się wyrwać i dać mi *zawsze uprzejmie* radę czy wskazówkę.

Trzeba by na ten pejzaż patrzeć nie z okien wagonu, ale żyjąc tu latami i kochając tutaj żywe istoty, także na tych drabinach walki o byt zaczepione. Tylko takie sporzenie, bez fałszowania osłabiającego widzenie zbyt trudnej prawdy, może wykraść piękno tym ulicom. Tak jak Utrillo potrafił dać nam piękno, uroczy poezję szpetnych i śmiesznych ruder i domów przedmieść paryskich, jak Toulouse Lautrec stworzył sztukę głęboko ludzką,

niezafalszowaną poezję, patrząc na trotuary i teatryki Montmartre'u, na paryskie domy publiczne i wyszminekowane stare ulicznice. Więcej w tym spojrzeniu było może ludzkości i miłosierdzia, niż w tomach ksiąg moralizatorskich.

Trzeba, jak pisał Dürer, długo badać przedmiot i cały nim nasiąkając, wtedy dopiero można dać „nowe dzieło, nowe stworzenie”.

◆

Już po 10 minutach zaczynamy wyjeżdżać z miasta. Domy stają się rzadsze. Patrzę na chaotyczne przedmieścia, domki i wielkie domy budowane na stokach zasypanych tonami śmieci, coraz więcej drzew. Jeszcze kilka minut i już jedziemy brzegiem Hudsonu. Po dwóch stronach ogromnej rzeki stoki prawie górskie, pokryte zielonością, piękne drzewa delikatnie zieleniejące i wszędzie wille, od luksusowych do najskromniejszych. Ale jakże zadbane. Mijamy, nie zatrzymując się, małą staromodną stacyjkę ze schodkami i oszklonym mostkiem nad torem, z widokiem na Hudson. To stacja Toscaniniego i Wittlina. Przeczysta natura, przestrzeń. Czymże ten świat wiosenny jest mniej uroczy od jeziora Lemańskiego? Kilkanaście minut od Central Station jestem już przerzucony do cichej Szwajcarii. Na niebieskim Hudsonie widzę drobne łódeczki.

Może jakiemuś amerykańskiemu Krasieńskiemu z jakąś amerykańską Delfiną na jednej z tych łódek dziś właśnie się zdaje, że rzeczywistość się pomału zmienia w sen ze srebra i kryształu?

◆

Ta *roomette* którą jadę jest dla mnie sensacją. Z początku widzę małutki goły przedziałik, ale potem odkrywam wpuszczone w ścianę szafki do butów, do ubrań ze specjalnymi wieszakami, lustro i lusterka, wpuszczoną w ścianę własną umywalnię, siateczkę na zegarek i okulary. Woda zimna, gorąca i lodowata, bo jakże żyć całą noc bez wody lodowatej, tego napoju naprawdę narodowego w Ameryce. Gdzie łóżko? Naciskam jeden z guzików i opada mi na głowę powolnie, ale nieodwołalnie zapełniając całą *roomette* szerokie łożo, zasłane świetną bielizną i mięciutkimi kocami. Mój mały przedziałik jest za ciężką zieloną kotarą. Uroczy stary Murzyn dopytuje mnie z serdecznością starej niańki, o której ma mnie obudzić i czy ma mi wyczyścić buty. Do zmięchu patrzę na pejzaż. Przejeżdżam przez wielkie

miasta, to znowu długimi okresami jadę w pejzażu prawie dzi-
kim. O zmierzchu, wśród bujnej zieloności skalistych wzgórz
zarośniętych pięknymi drzewami stoją coraz to ogromne rezer-
wuary, jak z wellowskiego pejzażu: to okrągłe, to podłużne,
całkiem srebrne czy gwałtownie czerwone, jakby wczoraj poma-
lowane.

Ranek. Pejzaż jest delikatnie wiosenny. Niebo jasne z lek-
kimi smugami białych chmur. Wielkie lasy, łąki i pola, niezli-
czone fermy schludne i zasobne, a najskromniejsze domki dREW-
niane, pewno prefabrykowane, mają kolorowe dachy, czerwone,
granatowe, zielone, i ładną, nieraz nieoczekiwaną, ale bez żadnej
sztuczności i taniego efekciarstwa architekturę. Przez chwilę je-
dziemy wzdłuż jeziora Michigan, robiącego wrażenie morza, bo
nie widzę drugiego brzegu, a na wybrzeżu po którym idzie nasz
pociąg przejeżdżamy przez parę ogromnych kompleksów fabrycz-
nych. Z czystej wsi nagle wpadamy w dżunglę kominów, potęż-
nych rezerwuarów i gmachów. Wszystko to połączone węzowis-
kiem potężnych rur, to czarnych, to srebrnych, o najdziwniejszych
wygibasach, splotach i załamaniach. Wszystkie te gmachy z ru-
rami, rezerwuarami, niezliczonymi drutami, robią wrażenie prawie
tablic anatomicznych przedziwnych nieznanych stworów. Ileż
widziałem obrazów malarzy, którzy próbowali robić obrazy ma-
szynistyczne; nawet fantazje Legera wydają mi się ubogie w
porównaniu do tej „rzeczywistej rzeczywistości”.

Jeszcze za naszych czasów akademickich w Krakowie, w 1921
roku, ówczesny awangardowiec i formista, redaktor *Zwrotnicy*
Peiper, zamówił u Zygmunta Waliszewskiego okładkę do pierw-
szego numeru tego pisma, koniecznie abstrakcyjną i koniecznie
maszynistyczną. Waliszewski, który wówczas szalał za Van
Goghiem i kochał się w podkrakowskim pejzażu zrobił tę okład-
kę, ale po cichu ironizował: „Ech ten Peiper, koniecznie mu
się maszyn zachciało, gdzie on je widział! Jedyna maszyna, jaką
on zna, to chyba welocyped”.

Tu, w Ameryce, nie można patrząc na pejzaż nie widzieć tych
zupełnie nowych kształtów, nowych efektów plastycznych, za-
chwycających coraz to swoją śmiałością i dziwnością.

Przed wyjściem rzucam okiem na kolorowe ogłoszenie: bar-
czysty *businessman* błyska w uśmiechu zębami i trzyma w ręku
piękną walizę. Wysiada szczęśliwy i wypsany po nocnej podróży
w *roomette*. Podpis: „*Bussinesman* musi być wypoczęty. Jedźcie
roomettami!”.

Nie mam takiej walizy, ani takich zębów, ani takiego wy-
twornego płaszcza, ani w ogóle „szczęścia” tego *bussinesman’a*,

ale czuję się również po takiej nocy, jeżeli nie szczęśliwy, to doskonale wypoczęty.

Pociąg wyjeżdża do miasta. Znow tysiące niskich domów, małe i duże fabryki, a na dachach reklamy i wielkimi literami coraz to wypisane nazwiska, polskie, arcypolskie.

(*Kultura* nr 11/37, 1950)

„IT IS OUR CUSTOM”

Arthurowi poświęcam

Och, jak z wami trudno, jacy wy jesteście nieznosni. Przyjeżdżacie, nic nie rozumiecie, a jak tylko inaczej jak u nas, to już zaraz krytyka. Przecież nie jest tu wam tak źle. Przesiedźcie dłużej, potem krytykujcie!

I do tego, ile z wami facecji, ukłonów, przeprosin, i ciągle „pszešana” i „pszešana”. U nas od pierwszej chwili „Joe” i „Arthur” i klepiemy się po ramieniu — tak mówi do nas Arthur, popijając whisky w polskiej „karczmie”, małej piwniczce, winiarni w Chicago, tuż koło Milwaukee Place.

Przyszliśmy tam w dzień święta narodowego, po wizycie u Dipisów na sali Matejki, gdzie poznałem Arthura, studenta medycyny. Jest potężny, barczysty i patrzy na wszystkich prosto, przyjaźnie i wojowniczo zarazem. Przychodzi do sali Matejki co niedzielę, gra w szachy, gawędzi i pije piwo z przybyszami z Niemiec. Zainteresował się nimi. Bynajmniej ich nie idealizuje, gdy go coś w nich razi, mówi im to w oczy. Uderzył mnie ciepły stosunek do niego Dipisów, o tyle starszych od niego, smutnych ludzi. „Zdaje się, że lubi z nami przebywać” — mówią mi z rzadkim na ich twarzy uśmiechem.

Arthur mówi po polsku źle, zaledwie rozumie, gdy czyta po polsku, jest *American born* i namiętym patriotą amerykańskim. Tutaj wśród Dipisów odkrywa jakąś Polskę, której nie znał, czy prawie nie znał, i pomimo intensywnej pracy na uniwersytecie zaczął brać lekcje polskiego. Rodzice jego przybyli z Polski. Wszystko co osiągnął, osiągnął ciężką pracą. Ma koło 30 lat. Jest medykiem na ukończeniu, pracował przez 4 lata w fabryce,

nieraz na dwie zmiany, by zebrać potrzebnych parę tysięcy dolarów na swój uniwersytet.

Wchodzimy do winiarni. Można tu kupić polskie kiełbasy i różne alkohole. Schodzimy wąską drewnianą drabinką schodów do miejsca uprzywilejowanego, małej piwniczki: półki z butelkami wokoło jednego heblowanego stołu. Jest kapitan Hallerczyk, filar Związku Narodowego, jest mecenas, jeden z niewielu Dipisów władających biegle paru językami, wytrawny prawnik, już dziś pracujący w tymże związku, jest redaktor Białasiewicz, b. prezes międzynarodowego związku dziennikarzy w Niemczech, no i jest Arthur, jedyny z nas *American born*. W „karczmie” jest whisky, cherry, potem znowu whisky.

Mówię szczerze o moich wrażeniach ze święta narodowego, o tym, że ta mieszanina wodewilu i wzniosłości, mieszanina, którą widzę w Ameryce wszędzie, tak samo na święcie polskim jak na rewii irlandzkiej w New Yorku czy na rewii lojalności, mnie razi, że nie umiem cieszyć się gołymi łydkami i operetkowymi czakami, a jednocześnie wzruszać się obrońcami Warszawy. Arthur wybucha gwałtownie, agresywnie, broniąc tego stylu:

— *It is our custom*. Jacyście wy wszyscy nudni, wszystko się wam nie podoba. *It is our custom*. Więc i humor krytykujecie! A jak jest u Szekspira? Tam jest także tragedia i także komedia, a jednocześnie humor i nawet pornografia. Wszystko razem pomieszane.

(To porównanie mnie zastanowiło. Powtórzyłem je wybitnemu pisarzowi amerykańskiemu. „Słusznie panu odpowiedział, tylko że ja bym zamiast Szekspira powiedział... Marlow. Tam jest rzeczywiście i tragedia i komedia i humor najbardziej płaski: — *l'humour le plus bas*).

Agresywność Arthura nie tylko nie jest nieprzyjemna, ale nawet wzrusza i cieszy. Tyle w niej szczerości i młodości. W każdym słowie przebija przekonanie tego Amerykanina, że jedno tylko, co jest między człowiekiem a człowiekiem niedopuszczalne, to obojętność, to formalna uprzejmość, to „pszepana”. Przebija wiara, że kontakt człowieka z człowiekiem jest możliwy, że nie jest żadnym złudzeniem i oparty być musi na odruchowym zaufaniu każdego człowieka do każdego człowieka. A nie na formach zdawkowej uprzejmości. Spotykam w nim te same co u nas punkty newralgiczne, pasje do tych samych zagadnień, tylko że wszystko przełamane w świadomości młodego entuzjasty, młodego szczęśliwego kraju.

Ale skąd ten *American born* student, namiętny patriota amerykański, ciągnie do nas Polaków? Czy nie prościej zapomnieć

o Polsce, jak najszybciej zerwać więzy z krajem dalekim, biednym i zawsze nieszczęśliwym? Co powoduje, że ten chłopak szuka naszego towarzystwa? Nie tylko jest dla nas dobry, ale i my jesteśmy mu po jakimś przyjemni czy pożyteczni.

Jest w jego zainteresowaniu Polską akcent dla mnie nowy, zupełnie inny niż uczucie do kraju starych ludzi, którzy kraj nasz opuścili w młodości, ten kraj wbrew wszystkiemu ma dla nich urok nieodparty kraju lat dziecińczych.

U Arthura to zainteresowanie, ten pociąg do starego kraju wyrasta z potrzeby pełnowartościowego człowieczeństwa, potrzeby kulturalnego, historycznego zaplecza. Dla Arthura dotychczas Polska to był kraj najcięższej pracy i nędzy, a jednocześnie to kraj najukochańszej matki, z której pracy i z której miłości wyrósł. Kwiat kultury to dla niego była nie Polska, to przez język angielski, to przez amerykański uniwersytet Arthur odkrywa kulturę. Przecież nie przez polskie gazety wychodzące w Ameryce, pewnie ich nie czyta, bo bardzo trudno mu czytać w polskim języku. A do tego jakże rzadko można w tych gazetach znaleźć coś co *przypomina* literaturę, z wyjątkiem w odciinkach drukowanych dzieł Rodziewiczówny, ostatecznie Sienkiewicza, lub wierszy Konopnickiej, a to wszystko jest literaturą w najlepszym razie drugorzędną, dla człowieka, który już *wie*, co znaczy wielka literatura.

— Bo, czy pan zna takiego pisarza — mówi mi — co się nazywa Szekspir? Ależ on jest wspaniały, on mówi o Kleopatrze, jakby ona żyła dziś, cóż za poeta!

Dla Arthura drogi poprzez które dociera do niego kultura, to pewnie też muzea w Chicago, ale czegoż może się on w nich dowiedzieć o kulturze polskiej?

Odwiedziłem w tym mieście dwa muzea: Art Gallery i Muzeum Polskie. Art Gallery to jedno z muzeów Ameryki, które zrobiło na mnie największe wrażenie. A to jest wiele, bo my nie wyobrażamy sobie w Europie nie tylko tej ilości arcydzieł sztuki tam przewiezionych, ale inteligencji i troski, z jaką te dzieła są wystawione. Nie będę wyliczał, ale choć wspomnę niezrównane obrazy Greca, Velasqueza, kobietę służebną, Mauretankę wśród naczyń, koszów, w białym zawoju na głowie. Nie pamiętam bym w Prado widział piękniejszego Velasqueza, cudny portret Rembrandta: dziewczynka w czerwonych koralach, odlewy naturalnej wielkości nie tylko portalu, ale całego frontonu jednej ze świątyń francuskich. A sztuka nowoczesna! Kolekcje najpiękniejszych Cézanne'ów, wielkie płótna Toulouse-Lautrec'a, nieznanymi i drogocennymi Van Gogh. Utrillo z „białej” epoki

i prawie cała sala Picassa, to wszystko co mówię, to część drobniotka kolekcji; ilość i gatunek eksponatów sztuki chińskiej robi wrażenie bogactwa nie do ogarnięcia. Przy tym wszystko jest pełne młodzieży, młodzieży która rysuje, notuje. Widzę chłopaka o twarzy Keatsa, o delikatnych rysach, zapisuje swoje wrażenia patrząc na obrazy Daliego i Miro, przy nim jego kolega, młody Japończyk, patrzy uważnie i także coś zapisuje, jakby pilnie naśladował kolegę. W sali hiszpańskiej oprowadzają dość galerią znudzonych chłopców, wśród których nagle wybucha gwałtowne zainteresowanie, gdy między Velasquezy i Greki jeden z dozorców przywozi maszynowy odkurzacz na kółkach. O salę dalej urocza, młodzietka nauczycielka tłumaczy cierpliwie malutkim dziewczynkom czar kolorów, usadzając je pod włoskimi prymitywami a potem pod ogromnym obrazem Seurata! Dalej widzę paru mężczyzn w kitlach: przymierzają nowy nabytek — Rubensa — do ścian, wahając się, czy go zawiesić na tle szarym czy kremowym. Widząc, że się tym interesuję, natychmiast mnie wciągają do współpracy, pytają o moje zdanie i zapraszają, bym wracał. To muzeum jest *żywe*, w tym muzeum są entuzjaści młodzi i starzy, w tym muzeum są arcydzieła, naprawdę arcydzieła, zwiezione z całej kuli ziemskiej. Schodząc po schodach niżej, odkrywam szereg sal sztuki ludowej. Sale są bez okien, nieduże, świetnie oświetlone ukrytymi lampami elektrycznymi. Są tkaniny, jest garncarstwo, indyjskie, meksykańskie, południowo-amerykańskie, i cała sala sztuki ludowej szwedzkiej. Piękne malowidła XVIII-wieczne, malowane na płóciennych obiciach ściennych, przewiezione tutaj i z jakim smakiem, z jaką inteligencją pokazane. W Chicago jest 200-tysięczna emigracja szwedzka. Szwedzi tu zamieszkali to dzieci emigracji, datujące się z tych samych w przybliżeniu lat co nasza, z lat wielkich głodów w Szwecji, sprzed 1900 roku. Ci ludzie, którzy tu przybyli, przybyli również za chlebem. Amerykanie szwedzkiego pochodzenia, chodząc do tego muzeum, mają poczucie swego zaplecza kulturalnego, wysokiej, zakorzenionej w Szwecji od wieków kultury.

Darmo jednak szukałem chociażby najmniejszej salki polskiej. Przecież Chicago to największe skupisko polskiej emigracji. Mówi się o 600 tys. Polaków. Cyfra ta naturalnie jest niepełna i płynna. Każdy inaczej ustawia *granice* oddzielającą Polaków od Amerykanów, których związek ze starą ojczyzną coraz bardziej jest nikły. Faktem jest jednak, że te setki tysięcy, to emigracja przeważnie chłopska. Dzisiaj dostatnia. Wielu Polaków doszło do wielkich fortun. Nikomu widać nie przyszło

do głowy, by pokazać współobywatelom swego miasta w tej Art Gallery i polską sztukę ludową.

Rządy Bieruta, stwarzając w Polsce warunki tak ciężkie dla życia religijnego, podgryzając wszędzie gdzie się da wpływy religijne, nie wahały się zorganizować dla zagranicy wystawy polskiej sztuki ludowej, przeważnie religijnej. Ta wystawa wywołała, nie przesadzam, sensację w Paryżu. Do tej sztuki ludowej zapalił się Picasso, a Malraux zdążył do swojej „Historii Sztuki”, do trzeciego tomu, kapitalnego pod względem treści i formy wydawniczej, który już był w druku, włączyć parę reprodukcji z tejże polskiej wystawy, reprodukcji polskich malowideł na szkłe i polskich świątków. Kto mający środki w Ameryce pomyślał, że tą sztuką ludową polską możemy Amerykę *zadziwić*, na pewno nie mniej od Szwedów, że te świątki rzeźbione i wykuwane przez braci, ojców i dziadków tych chłopów, którzy przybyli do Chicago, są świadectwem wielkiej tradycji, nie tylko artystycznej, ale i duchowej w najszerszym słowa tego znaczeniu. Jeżeli Arthur tam szukał polskiej kultury, wyjść musiał ze świadomością, że polskiej kultury nie ma.

Odwiedziłem również jedyne muzeum polskie Zjednoczenia Polskiego Rzymsko-Katolickiego w Ameryce. Głównym twórcą tego muzeum był człowiek ogromnych zasług, autor wielkiej ilości prac o Ameryce, Mieczysław Haiman, który do śmierci się szarpał, by to Muzeum wzbogacić, by wyprosić, wyżebrać parę dolarów na zamówienie jakiejś dodatkowej gabloty czy szafy dla zbiorów. Ale jeżeli dziś porównać te dwa muzea, ogarnia przerażenie wobec różnicy poziomu tej prowincjonalnej dżungli pamiątek, upchanych bez pojęcia o sztuce muzealnej, bez poczucia jakiegokolwiek hierarchii wartości, i oddalonej o międzę od Art Gallery! Kosynierzy, Hallerczycy i Legioniści z wosku naturalnej wielkości, okropne mebelki z pokoju Paderewskiego, cenne druki, fotografie i trzeciorzędne obrazy. W tym lesie znalazłem przecie jedną piękną rzeźbę wiejskiego świątka. Wyrzuciła go tu fala wojenna, przysłano go na wystawę w New Yorku w 1939 roku. Ale i ten świątek ustawiony w kącie wśród innych eksponatów nie narzuca się widzowi, trzeba go dopiero odkryć. Któż z obcych, zwiedzających, jeżeli tacy w ogóle istnieją, będzie miał na to cierpliwość. Tam odnalazłem również pozapychane po ścianach obrazy wówczas „młodych” malarzy polskich, także na wystawę w 1939 roku wysłanych. (Najlepszych malarzy tamtej generacji: Cybisa, Waliszewskiego, Czyżewskiego — nie odnalazłem). Te płótna uderzyły mnie przeciętnością, z drugiej ręki, pod Paryż i pod Pruszkowskiego. Znalazłem tam i mój obraz:

Gołębnik. Zrobił na mnie wrażenie w kolorze głuche, ciężkie i trzeciorzędne. Obrazy tej klasy nie mogą być uważane za dobrą propagandę.

Jeżeli i w tym muzeum był Arthur, to dla niego kultura Polska to pewne mebelki Paderewskiego, panopticum polskich żołnierzy no i słabe malarstwo!

Więc skąd ten czytelnik i entuzjasta „Cezara i Kleopatry”, który już nie ma wspólnego języka z masą starej emigracji, skąd ten człowiek ciągnie do Polski?

— ... bo w moim uniwersytecie na 18 tys. studentów było 5 Polaków. I to jak im mówiłem „dzień dobry”, to się wstydzi i odpowiadali „*I do not understand Polish*” i dlatego jak tylko ja jestem tam, gdzie nie ma Polaków, to ja się robię agresywnym, żeby wiedzieli, że Polacy też są”.

— ... nie ma Polski — mówi ze złością — Niemcy tak, Żydzi tak, ale nas to nie ma. — I milknie zły. I potem zaczyna mówić dalej już głosem miększym.

— Cóż — ja nic nie wiem o Polsce. Musiałem wcześniej pracować, moja matka miała 12 dzieci, 6 wychowała tu w Ameryce, sama myjąc po nocach talerze u Greka. Ona była z suwalskiej guberni. Ojciec mój umarł zaraz po moim urodzeniu, ja byłem najmłodszy. O Polsce tyle wiem, że kiedy mamie kawałek chleba spadał ze stołu na ziemię, to moja matka go podnosiła, całowała i zjadała. Kiedym ja raz nie chciał jeść chleba, tej skórki twardej na końcu chleba, matka mi nie dała kolacji. Aż potem, już późno, zjadłem ze smakiem, bo byłem głodny. Tyle wiem o Polsce co ten kawałek chleba. — Arthur patrzy, milcząc, swymi krótkowzrocznymi jasnymi oczami przez okulary na niedopity kieliszek.

Mam ze sobą w teczce książkę tłumaczeń poezji polskiej Michaela Polish *Antology*. Pokazuję mu jeden z wierszy, na jednej stronie jest tekst po polsku, na drugiej po angielsku. Arthur czyta z trudem, wciąż rzucając okiem na tłumaczenie angielskie.

„Do kraju tego gdzie kruszyne chleba...

„*To that land where people raise a crum
of bread from the ground out*

*Podnoszą z ziemi przez uszanowanie
dla darów Nieba*

*of respect for the gifts of Heaven
I yearn o Lord”.*

Arthur cichnie, patrzy uważnie na strony książki. Przecie to tu, w obcej książce, znajduje on gest Zmarłej, której wspomnienie wciąż jeszcze dla niego jest obecne i rozdzierające. Matka te kruszyny chleba ciężko zapracowane także podnosiła z ziemi przez uszanowanie dla darów Nieba i ona tym gestem wiekowym prowadziła swe dziecko w świat dziwny i daleki polskiej kultury. Teraz ta jedna strofa poprzez gest matki otwiera Arthurowi na zawsze dla tylu ludzi na siedem pieczęci zamkniętą szkatułę skarbów polskiej poezji. Kiedyś, w Galerii londyńskiej, po latach pracy nad malarstwem, umęczonej i bezpłodnej, zobaczyłem malutkiego Corota. Mężczyzna w szarych, długich spodniach siedział na siwym koniu na tle ciemnej zgaszonej zieleni. Ten jeden mały obrazek powiedział mi wszystko. Dzisiaj zdaje mi się, że już niczego więcej się później nie dowiedziałem, że w tej jednej chwili zrozumiałem w czym tkwi muzyka i w czym tkwi sens malarstwa.

Już teraz łatwo mi jest pokazać Arthurowi inne wiersze Norwida. Z radością patrzę na jego reakcję, na jego śmiech, kiedy czyta:

*Kandelabry się skrzywią na realizm
I wymalowane papugi
Na płonie jak długi
Z dziobu w dziób zawołają: „Socjalizm”.*

Albo na błyskawiczne zrozumienie tak trudnego wiersza, jak „Cacka”:

*Myślałem, że wieszczów było tyle
Ile jest blizn dotkliwych, a które
Przez form czary, przez stosowną chwilę
Opatrują się i leczą w porę.*

Tego poetę, który nie czytany i nie drukowany pisał „na Babilon” — przecież nawet Krasński i Cieszkowski twierdzili, że jest „ciemny” — Arthur, którego matka była z „suwalskiej guberni”, wchłania dzisiaj z niechybnym czuciem sensu i plastyki słowa i metafory. Już teraz nie da się Arthura wciągnąć do dyskusji. Ma nos wetknięty w książkę.

Ty wspomnisz, późny wnuku...

Nagle tu, do naszej karczmy, Białasiewicz przynosi nam ostatni numer *Kultury*; nadszedł pocztą lotniczą. Na pierwszej stronie testament Piłsudskiego. Czytamy go wszyscy na zalanym whisky

heblowanym stole. Każdy z nas ma za sobą inny świat przeżyć, jakże wszyscy jesteśmy różni, a przecie te słowa umierającego Marszałka, te strofy Słowackiego, pisane drżącą ręką, robią na nas wszystkich wrażenie wstrząsające. Białasiewicz zapisuje sobie w karnecie kieszonkowym parę zdań. Milczymy. A przecież ten testament wywołał reakcje tak różne. Pytam parę tygodni potem świetnego pisarza polskiego o jego wrażenie: „Zawsze uważałem Piłsudskiego za grafomana, zresztą bardzo wielkiego człowieka” — odpowiada mi nieoczekiwanie oschle.

— Czytała pani testament Piłsudskiego? — pytam w Waszyngtonie młodą działaczkę polską z Warszawy. Robi minę jakby się napiła octu. „Ten testament raz na zawsze odrzucił mnie od Piłsudskiego. Cóż za patos!”

Nie rozumiem tego zupełnie; przecież i mnie są niejednokrotnie obce niektóre zdania Piłsudskiego, zbudowane zbyt patetycznie, grandilokwentnie, ale co z tego? Czy naprawdę ten testament może nie wzruszyć? Zupełnie nie rozumiem, jak dokument tej miary mógł być dotychczas nieopublikowany. Czy doprawdy polityka tak zasłaniała moment ludzki wśród otoczenia Piłsudskiego, i widocznie zasłania dotychczas, że ogłoszenie tego testamentu w *Kulturze* prasa polska prawie że przemilczała. Przecie tylu ludzi już dziś nieżyjących kochało Piłsudskiego-człowieka. Oni mieli prawo znać ten testament. Ten umierający na raka stary człowiek, od którego czekają wskazówek politycznych i który pisze pismem nierównym, bez znaków przestankowych, cytując Słowackiego nieścisłe, bo z pamięci, bo już tak wrosły w niego te słowa: „Gdy mogąc wybrać wybrać zamiast domu gniazdo na skałach”, i to ostatnie wyznanie: „Tak żyłem”, i potem dalej ta prośba do wszystkich, co go kochali, by sprowadzić zwłoki matki z Sugint, wilkomierskiego powiatu, które są dzisiaj pewno głodnym niewolniczym kołchozem, i jeszcze ten wiersz z „Wacława”

*„Ty wiesz, że dumni nieszczęściem nie mogą
Za innych śladem iść tą samą drogą”.*

kończąc słowami: „Przed śmiercią Mama mi kazała to po kilka razy dla niej czytać”.

To „Mama” umierającego człowieka.

Dziwne są drogi poezji. Może to „Mama” Marszałka nagle zbliżyło nas wszystkich, nas i młodego medyka amerykańskiego, nie tylko do umierającego Marszałka, ale i do Słowackiego.

Widzi pan, mówię Arthurowi, pan nie rozumie, dlaczego tak

źle reagujemy na *your customs*, na wasze święta i na wasze obyczaje, ale tu w tej strofie Słowackiego ma pan odpowiedź. Boli pana, że my tu jesteśmy przyjmowani gościnnie, że znajdujemy pracę, że jesteśmy syci, a ciągle krytykujemy. Ale widzi pan, „dumni nieszczęściem nie mogą za innych śladem iść tą samą drogą”.

Nie trzeba wcale być dumnym nieszczęściem, nawet nie bardzo rozumiem takie uczucie. Wystarczy *być* nieszczęśliwym. Wystarczy mieć inny kręgosłup przeżyć, zamiast wspomnień sukcesów wspomnienia porażek czy katastrof, i już inna reakcja, inne odruchy. Ci ludzie tutaj przybyli będą się starali; lata przejdą i może, jeżeli ich tęsknota nie zeżre, ci, którzy mają więcej giętkości, albo ci, o których mówił Słowacki, że w sercu ich „nie trwa myśl nawet godziny”, nabędą jeszcze ten styl tutejszy, radosny i wesoły, i te wszystkie obchody będą czuli jako swój obyczaj. Ci najmłodszy z przybyszów — na pewno, ale większość tych starszych — prawdopodobnie nie. To trzeba zrozumieć, bo oni już nie mogą „za innych śladem iść *tą samą drogą*”.

Więc Słowacki nas tutaj pogodził. Nie wiem, czy jest poeta błyskawicznie działający, diamentowym błyskiem swojej mowy, olśniewającym lekkim skrótem metafory, nie tylko na Polaków, ale i na cudzoziemców, czy pół cudzoziemców. Jeden z dwóch najbardziej uniwersalnych naszych poetów (za drugiego uważam Norwida). Jakże obaj mało jeszcze są znani za granicą, z naszej, i tylko z naszej winy. Przecie ten sam Słowacki, którego Piłsudski miał zawsze przy sobie i tak często cytował, był ukochanym poetą Cziczierina, pierwszego po Trockim komisarza spraw zagranicznych w Rosji sowieckiej i przyjaciela Lenina, który umarł w niełasce, odcięty od wszystkich, pisząc życie Mozarta.

Cziczerin, będąc w Polsce, mieszkał jako młody student w Krakowie u mojej babki, na Wolskiej. Fenomenalnie uzdolniony poliglota, po przybyciu do Krakowa zabrał się zaraz do polskiego języka i do polskiej poezji i tak się do Słowackiego roznamietnił, że w listach do prof. Mariana Zdziechowskiego pisał, że nigdzie, w całej światowej literaturze nie spotkał takiego rozmachu, polotu, *Schwung*’u (ten *Schwung* był w liście napisany po niemiecku). Ten wyznawca światowej poezji i muzyk chciał wówczas pisać o Słowackim jako prekursorze Nietzschego, a jakie 30 lat później, gdy jako komisarz spraw zagranicznych przyjmował u siebie na śniadaniu naszego pośła Darowskiego, po wręczeniu przez niego listów uwierzytelniających deklamować mu zaczął Słowackiego po polsku. Darowski bardzo się stropił, bo nawet nie wiedział, czyje to wiersze.

Znam polską uczoną działaczkę i patriotkę, wychowaną w Wiedniu, w zaustriaczonych rodzinie, z matki Niemki. Wyznała mi kiedyś, że mając 12 lat przeczytała „Testament” Słowackiego. Od *tej chwili*, pamięta to doskonale, stała się Polką bezpowrotnie i na zawsze.

Norwid „chwycił”, myślę sobie, siedząc przy Arthurze, w piwniczce. Spróbuję teraz Słowackiego. Waham się jednak. Czy nie będzie dla niego zbyt romantyczny i „anielski”? Daję mu „Testament” do czytania. Ale widzę, że Arthur czyta z wzrastającą uwagą i zachwytem.

*„Być sternikiem duchami napętnionej łodzi i tak cicho
odlecieć jak duch, gdy odlata”
As quietly as the soul, when it flies away*

I ten wiersz ostatni, który zna w Polsce każde dziecko,

*„lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
aż was zjadaczy chleba w aniołów przerobi”
... you, eaters of bread, as to raise you into — angels.*

— Więc to jest wasza polska filozofia? — mówi Arthur — ona jest bardzo mistyczna. To wy nie musicie jej tracić nigdy. Żaden inteligent nie ma prawa jej tracić.

Jest późno. Wszyscy obecni, z wyjątkiem mnie, od rana idą do roboty. Arthur odwozi nas wszystkich długim czarnym autem. Bo to jest właśnie paradoks Ameryki. Biedny student ma piękne auto. Dojeżdżamy do mego hotelu, gdzie jest światło, 6 wind w ruchu, wciąż tłumy. Dziś jest specjalne ożywienie, przyjechał Aga Khan. Zapraszam ich jeszcze na chwilę do hotelowego baru. Ściany i sufit pomalowane na granatowo „pod niebo”. Bar jest pół ciemny (nastrój), a na „niebie” lampki elektryczne — gwiazdy i wielki księżyc w pełni jak żywy. Arthur już jest nie do rozmowy. Wypisuje starannie jeden z wierszy miłosnych Tuwima i strofy Norwida.

Dziś, tutaj przychodzą do mnie do Paryża listy Arthura. Píše mi w jednym: „Moja jedyna radość jest polska poezja, teraz jestem na Kasprowicza”. A w drugim: „Pan rozumie, że moja nauka tyczy się z medicini i mój czas do nauki polskiego języka jest ograniczony. Ale te parę słów i wierszyki co mogę nauczyć się są pociechą dla mnie. Czy pan rozumie, że poezja jest szalony luksus dla mnie, np. ten wiersz:

*'Rozmłówała się ma dusza
W cichym szeleście drzew,
Gdy koronami ich porusza
Mój druh przecichy wiew'.*

Te słowa 'rozmiłowała', ma takie nuance, co w angielskim języku nie ma! Shakespeare, który mówią jest uniwersalni, nie mógł napisać podobny wiersz... Tylko staram się skomunikować do Pana, że nawet te drobnostki są bogactwo dla mnie".

Może pisma polskie, zamiast wciąż mówić, że emigrant nie rozumie podobno bogatego polskiego języka, zrobiłyby malutkie rubryki wielkiej i tej niby trudnej polskiej poezji, może by wówczas zdobyły dla siebie czytelników z tej właśnie generacji, która już gazet polskich nie czyta, może łatwiej tym nowym czytelnikom byłoby przeczytać Słowackiego i Kasprowicza, niż wielkie artykuły o „Paniusiach w kapelusiach”.



Na drugi dzień przyjeżdża do mnie Arthur w białym kitlu. Wyrwał się wprost ze szpitala: „Co ja panu będę piękne ulice pokazywał. Ja wolę *slums*-y pokazać, do rzeźni pana zawiozę. To wszystko ciekawsze”.

Jedziemy do rzeźni. Jest duszna pogoda. Jedziemy kilometrami przez podobne do siebie ulice, o niskich domach, widzimy ogłoszenia w różnych językach, szyby sklepów nie myte, brudne rynsztoki i dzieci śmigające po ulicy, murzyńskie, meksykańskie, polskie czy włoskie. Arthur staje przed starym domem, zbudowanym wśród samej nędzy chicagowskiej. Jakaś organizacja zajmuje się tutaj dziećmi wszelkiego koloru i wszelkiej narodowości. Staroświeckie pokoje, ściany obwieszane fotografiami dobrodziejów i inspiratorów, m.in. Krapotkin i duża fotografia portretu Tołstoja z brodą i w chłopskiej rubaszce, pędzla Riepina. Przyjmują nas sympatyczne starsze panie, skromnie ubrane, z gładko zaczesanymi siwymi włosami. Sale zabaw, sala muzyczna, dzieci różnego wieku bawiące się tutaj, gdy rodzice są przy pracy. Jakże dobrze mi znany ten nastrój, ten sam na całym świecie ofiarnej, cichej i naprawdę bezinteresownej pracy.

Ruszamy dalej. Auta się prześcigają i trąbią wściekle przy każdym zatrzymaniu, jeżeli natychmiast nie ruszyć po zmianie światła. Arthur burczy: „Te cholerzy nie mają żadnej grzeczności”. Wciąż jedziemy po tych ulicach, brudnych, niskich i bez drzew, bez śladu nawet próby estetyki.

— O, pan to nie wie, jacy tu są ludzie. Tu mogą w nocy młodzi, 14-letni chłopcy złapać starego pijanego człowieka, zawlec go do zaułka, bić go, rzucić o ziemię i kopać w twarz, i to przeważnie robią Polacy i Włosi. — Ta uwaga mnie zaskakuje. W dniu mego przyjazdu do New Yorku szedł młody muzyk o 3-ej w nocy do domu, przez Madison Avenue. Czterech chłopaków, wyglądali na wysportowanych uczniów *college'u*, zagrodziło mu drogę i powiedzieli, że chcą go obić. Widział ich po raz pierwszy w życiu. Muzyk miał żydowskie nazwisko. Może to był wybryk antysemicki, a może najprościej krzepa paru młodych drani. Bili go, powalili na ziemię i kopali również w twarz. Przerwał tę zabawę kierowca taksówki, który muzyka przewiózł do komisariatu. Tam obejrzano rany na twarzy, potłuczenia i powiedziano mu, że może wracać do domu, że to nic ważnego. Na drugi dzień lekarz stwierdził, że muzyk ma uszkodzone oko, że mógł je łatwo stracić. To opowiadanie mam z całkiem wiarygodnego źródła i tutaj je wspominam, bo Arthur mi znów mówi o kopaniu w twarz. Stwierdzam, że sam nie widziałem nie tylko nic podobnego, ale nic co by nawet dawało przeczucie takich możliwości. Ileż razy po nocy przechodziłem przez Central Park, gdzie pono tak często kradną, gwałcą i mordują. Nigdy nie widziałem nic poza mniej lub więcej „aktywnie” zakochanymi parami. Niemniej wystarczy czytać gazety, żeby wiedzieć, że akty brutalne są na porządku dziennym i tam, że nie ma w tym nic dziwnego. Dzikie tempo, brak wyładowania poza pracą, nagłe wybuchy woli użycia, czy woli gwałtu. Ludzie wszystkich ras i wszystkich krajów, przy tym ten klimat, to tropikalny, nieodychalnie duszny, to północny z szalonymi zawiejami, te skupiska potężne. I coś dziwnego, że życie tutaj ma *także* przejawy brutalne.

Jedziemy wciąż tymi samymi, tak podobnymi ulicami. Na skrzyżowaniu pędzi motocyklem policjant. „A to drań, a to złodziej!!” — woła Arthur. „Ja tych policjantów widzieć nie mogę, bo to oni moralność kontrolują! Ja raz byłem w lesie z jedną panią. To była mężatka. Ale nic, naprawdę nic złego nie robiliśmy. To taki do nas podjechał patrzeć czy nie robimy jakiejś fornikacji. Widział, że nic, a kazał żebyśmy nasze dokumenty pokazali, że nas zapisze. Pan rozumie to zawsze nieprzyjemnie. Chciał wtedy, żebym coś zapłacił, ja jestem biedny student i tak jemu powiedziałem. Otworzyłem portmonetkę. Tam były cztery dolary. Jak ja długo je zbierałem. A on zaraz lampkę elektryczną wetknął do portmonetki i te cztery dolary wziął. Oni na tym grubo zarabiają. Bywa przecie taki co ma

żonę, dom, dzieci, ale mu to nie wystarcza i czasami pójdzie z dziewczynką. To on i czterdzieści i sto dolarów zapłaci, żeby go nie zapisywać”.

— Są naturalnie i inne policjanci. Teraz nowe, weterani. Teraz sprawiedliwi policjanci. Raz to mnie złapał jak ja w aucie jechałem, że szybkość za duża, że robi raport. I kazał płacić. *Justice for all*. Ja jemu powiedziałem, że biedny jestem i mówiłem: „Zmieszaj sprawiedliwość z miłosierdziem” — a on nie. To był uczciwy chłop. A ja wtedy ostrożnie, ale tak go biłem językiem: Jak ty będziesz miał dwoje dzieci, to ty będziesz brał sto dolarów. To suknia dla żony, to można do kina chodzić. Ale ten to był z tych sprawiedliwych”.



Zajeżdżamy do rzeźni, do miasta rzeźni. Miliony szyn, parkanów, gmachów najróżniejszej wielkości, ulic i na każdym rogu pilnujących przepustek policjantów. Jest duszno, kurz i cuchnie. Wszyscy nam pozwalają przejeżdżać, bo kitel medyka wzbudza zaufanie. Arthur zaczepia wszystkich robotników i gada z nimi z tą samą braterską obcesowością. Zajeżdżamy do jednej z niezliczonych przychodni lekarskich. Siedzi rozwalony w krześle gruby Murzyn i czeka swej kolejki. „Co ci jest?” — pyta Arthur. Murzyn odpowiada półgębkiem nie ruszając się z miejsca: „Mam reumatyzm w kościach, niech administracja płaci. Tu się nabiłem choroby, przy pracy”. Jest południe. Robotnicy na ulicy się włóczą, gawędzą, słyszę śmiechy. Wielu Murzynów. Wszędzie ta sama prostota obcowania między ludźmi, jakieś odruchowe wzajemne zaufanie. To zdaje mi się najbardziej w Ameryce pociągające. Koleżeństwo ludzi, nawet takich, którzy nigdy się nie widzieli i nigdy się już może nie zobaczą. Koleżeństwo i usługowość jako norma.

Spotkałem tu, już w Paryżu, Amerykankę, żonę Europejczyka, przyjaciółkę sprzed 17-tu lat. Powiedziała mi z cieniem goryczy: „Tu w Europie ciągle mi mówią, że my Amerykanie jesteśmy łątwi, że u nas zaraz przyjaźń, ale że ona niewiele warta. Że tu w Europie jest dopiero przyjaźń, że trzeba ją zdobywać tu latami — ale też trwa lata. Ależ ja *nie mam czasu* czekać lata na jakąś przyjaźń. Byłam teraz z synkiem w Ameryce. Byłam w Kanadzie do Vancouveru, a wróciłam przez Kalifornię, New Orlean i New York. Nie mogłabym wyliczyć ileśmy doznali serca, natychmiastowej odruchowej pomocy od obcych ludzi, których już nigdy nie zobaczymy. Nie, to nie jest zdaw-

kowe. Na pomoc nie można czekać 10 lat. Trzeba umieć pomóc zaraz nieznanemu. I to jest w Ameryce, a tego jest stokrotnie mniej w Europie". Gdy mi to powiedziała już tu, w Paryżu, pomyślałem o Arthurze. Jego odruchy wszystkie, które zdążyłem podpatrzeć, były właśnie pod tym względem najbardziej amerykańskie. Jakże chętnie się mówi w Europie o tym, że ludzie, którzy tam przyjeżdżają barbaryzują się. Ale zapominamy, jak się tam uczą *usłużności*, koleżeństwa, braterstwa amerykańskiego. Pewien mój przyjaciel wyjechał z synkiem i żoną do New Yorku. Pracuje ciężko, żona również, nie władają angielskim. Poznali wypadkowo Amerykankę; pochodzenie: żydowska rodzina ze Lwowa. Ta kobieta, właścicielka domu w New Yorku, już od paru dziesiątków lat nie miała stosunków z Polakami, jest zupełnie zamerykanizowana. „Pierwsze co musicie zrobić, to nauczyć się języka” — mówi moim przyjaciółm. I od pierwszego spotkania już wiele miesięcy codziennie przychodzi i uczy ich darmo angielskiego. „Ja nie mam słów wdzięczności” — mówi mi mój przyjaciel — „nawet niedzieli nam nie przepuściła ani jednej. A jak żona zachorowała i do szpitala zaprowadziła i dziecka doglądała, takiej dobroci nie widziałem nigdy”.

W drodze powrotnej z rzeźni do hotelu wypytuję Arthura o rodzinę. — Moja matka nas wszystkich na ludzi wyprowadziła. Ojciec odumarł mnie jak miałem kilka tygodni. Mama pracowała po nocach, a siostra starsza od szesnastego roku życia w fabryce. Ja jeszcze pamiętam jej ręce, zgrubiałe i pocięte. Dwóch braci mi już umarło. Jeden to miał czterdzieści lat. Był w szkole profesor. Jak ja go kochałem! On był dobry. Ja miałem wtedy czternaście lat i powiedziałem jemu, że na pewno Boga nie ma, bo ja go nie widzę. On z taką dobrocią mi mówił argumenty, że to, że ja nie widzę, to jeszcze nic nie znaczy. I to tak mówił ze mną, zawsze poważnie, jak z dorosłym.

— Drugi brat umarł dwa lata temu. Mieszkał z nami. Miał atak serca. Chłop był silny. I nagle go ramię zaczęło boleć. I tak się tylko skręcał. Ja już byłem wtedy medyk. Ja go położyłem i zacząłem masować. I sam sobie mówiłem — ja nie wiem, czy jestem agnostyk, czy *atheist*, czy mistyk... ale jeżeli ty jesteś Bóg to daj, żeby moja siła w niego weszła. Umarł. Siostra tak płakała i krzyku narobiła. A ja ani jednej łzy nie miałem. Ale jak śpię to jego widzę i płaczę. I budzę się i jeszcze mam na ustach to mówione słowo, co mówiłem we śnie.

— Moja matka — mówi dalej po przerwie Arthur — jakże ona się cieszyła, że ja się uczę, zawsze mówiła: ucz się, ucz się...

Jak szedłem do profesora: „Weź czystą koszulę”. Ja mówiłem, że tylko wczoraj nosiłem. A ona mówiła: „Nie — jak do profesora to nałóż czystą. Musisz być zawsze czysty”. Pamiętam jak mnie wysłała do szkoły w ubraniu łatanym i mówiła: „nie potrzebujesz się wstydzić, bo ubranie czyste”. A ja się wstydziłem. Kolegów Niemców i Żydów, a oni mieli po 80 centów, żeby *ice-cream* kupić. Jak ja mamę często męczyłem: „Daj dwa centy, daj dwa centy”. Aż mama miotłą musiała mnie dać po tyłek.

— Mama umarła jak miała 67 lat. Ja byłem najmłodszy. Tak mnie mama całowała, tak pieściła i zawsze „ucz się!”. Jak ja już byłem studentem, doczekać się nie mogła aż ja będę doktor. I tak mnie pytała po cichu: „już serce widziałeś, już kroisz?”.

— Czy matka pana do śmierci tak ciężko pracowała?

— Nie, już jakieś dziesięć, piętnaście ostatnich lat dzieci ją utrzymywały. Już kiedy byłem studentem to mamie mówiłem: „Pojedziesz mama do Polski. Pierwszy tysiąc zarobiony będzie twój. Ja mam czas, a ty już nie masz czasu. Pojedziesz do Polski na statku i będą skakać przed mamą i hierbatki podawać co chwila, a ty mama siedzieć sobie będziesz i nic nie robić”. Mama lubiła jeść tłusto, masło, śmietankę, jak kawa to konieczne ze śmietanką nie z mlekiem. A ja mamie mówiłem: „nie jedz mama tłusto, to mamie szkodzi”. A ona wtedy śmiała się: „To na cóż ja całe życie pracowałam. Na co dzieci mam dorosłych, czy ja nie mogę sobie na tłuste jedzenie pozwolić?”. A raz wchodzę do pokoju, a mama jadła chleb grubo masłem nałożony i tak popatrzała na mnie. Jak to po polsku... *guilty?* winnie”.

— To ja ją zawsze tak w sieniu widzę. I ja płaczę i mówię jej: „Jedz mama, jedz ile chcesz”.

Arthur opowiada to wszystko polszczyzną pełną błędów, ale plastyczną, dźwięczną, z nieoczekiwaną, prawdopodobnie z angielskiego żywcem wziętą metaforą. I nawet błędy dźwięczą.

Profesor Składkowski, który wykłada polonistykę na Uniwersytecie de Paul w Chicago i ma ponad dwudziestu uczniów, mówił mi, że jeden z nich przygotowuje pracę doktorską o zmianach fonetycznych języka polskiego w Ameryce. Nie znam się na języku, ale wiem, że od czasu moich rozmów z kierowcą Prąkiewiczem, z którym tysiące kilometrów przejeździłem w czasie wojny we Włoszech, nie miałem takiej rozkoszy słuchania mowy polskiej. Nienawidzę purystów (wiem, wiem, że i oni potrzebni). Ale język polski i tutaj musi nasiąknąć tą dziwną

gwarą amerykańską. Jakiś Norwid czy Mickiewicz i z tej polszczyzny by wyniósł „ponadgramatyczne” zwroty i nowe metafory. Słuchając tej mowy żywej, pełnej błędów nieoczekiwanych, ale tak giętkiej i wyrażającej każdy jego myśl, wspominam to zdanie Norwida z listu do Fontany o mowie poprawnej, w której zaskrzepłoby wszelkie obcowanie żywiołów ducha i sił, „i byłaby mowa arcykrystaliczną zamarzłą sadzawką, której szyby dawałyby się geometrycznie rąbać i układać... ale to nawet wspomnienia po sobie nie pozostawia”.

Pewien znawca literatury angielskiej i wyznawca Eliota, malarz angielski, mówił mi o niebezpieczeństwie takiego zamarzania mowy angielskiej w Anglii, twierdził, że właśnie *slang* amerykański może ten język odmłodzić. Może i z tego *slang*’u polskiego można by wprowadzić niejedną zwrot do polszczyzny. Przecież Céline z gwary paryskiej potrafi zrobić literaturę.

Zajeżdżamy do mieszkania Arthura. Typowe mieszkanko w dzielnicy półmurzyńskiej, prędeż biednej. Na ścianach oleodruki, a między nimi duża fotografia Piłsudskiego i Paderewski siedzący przy fortepianie, czerwony i złoty, ze złotymi dymami wypływającymi z tego fortepianu. Główny stół w salonie zawalony książkami i papierami. Arthur pokazuje mi tomy poezji, które kupuje po 5, 10, 15 centów u bukinisty. I odkrywa poetów, jak odkrył Szekspira, zupełnie samodzielnie. Nie obchodzi go, czy pisarz ten jest sławny, czy przez wszystkich zapoznany. Teraz mi próbuje tłumaczyć na polski liryczny wiersz filadelfijskiej poetki o rudych liściach jesiennych. Zupełny brak snobizmu literackiego. I tak samo w poezji i tak samo w życiu ocena bezpośrednia, własna, bez oglądania się na nikogo. Mieszanina amerykańskiej prostoty zdobywczej wobec świata i braterskiej zarazem, zaufania do siebie, optymizmu i miłości życia z rzadką wrażliwością artystyczną i czułością serca. Fanatyczne przywiązanie do Ameryki a jednocześnie gwałtowna potrzeba nawiązania nici z Polską, wykrzycia czym jest ta Polska, do której czuje dziwny pociąg, chociaż wie o niej tak mało. Tak mało? Może wie o niej to co najważniejsze, ten chleb podnoszony z ziemi.

Pokazuje mi fotografie braci. „Czy ma Pan fotografie matki?”. „Tak, mam — mówi po wahaniu — aleśmy ją schowali do kufra. Nam bardzo ciężko na tę fotografię patrzeć. Ale mam jej głos, na płycie”. Idzie do gramofonu i puszcza płytę.

— Mama umarła kiedy ja byłem na uniwersytecie. Jak już umierała, to takim mocnym głosem powiedziała: *Good-bye everybody*.



Parę dni potem opuszczam Chicago. Żegnamy się z Arthurem przed moim hotelem. Wsiadam z jego auta. Można się zatrzymać tyle czasu tylko, by wysiąść z auta, bo przed nami i za nami sznury samochodów i wszyscy „trąbią cholerzy, bo nie mają grzeczności”.

Arthur siedzi przy kierownicy i ruszając dalej, jeszcze ponad spuszczoną szybą wychyla głowę i pyta: „Bo jak to jest w tym wierszu, żeby z tych, co chleb jedzą zrobić aniołów?”. Poprawiam już krzycząc z trotuaru: „I was zjadaczy chleba”.

— *It is fine* — mówi z szerokim młodym uśmiechem i rusza dalej.

(*Kultura* nr 1/39, 1951)

AMERYKAŃSKIE ŚCIEŻKI

„Czy pan będzie pisał o swojej podróży?”. Słyszałem to pytanie chyba ze sto razy podczas mojej trzymiesięcznej wędrówki po Ameryce Południowej, gdzie przecwałowałem przez Brazylię, Urugwaj, Argentynę, znowu Brazylię, i jeszcze na dodatek — Wenezuelę.

Taka podróż pod batem w krajach, o których tyle tylko wiedziałem, że istnieją, cały świat wrażeń, miliony twarzy, przepyszna natura, ludzie którzy stawali mi się przyjaciółmi wtedy właśnie kiedy już trzeba było ruszać dalej — coś za idealna pożywka dla bystrego dziennikarza. A przecie na zapytanie czy będę pisał nie wiedziałem co odpowiedzieć, bo od pierwszej chwili czułem, że reaguję nie tak, jak sam oczekiwałem: to niezręcznie, to obok, to zupełnie głucho. „Morze jak morze” — mówiłem sobie znudzony, chodząc po pokładzie i zażywając Dramaminę przeciw mdłościom. Nie wiem jednak, czy te mdłości miałem od morza — było prawie spokojne — czy z lektury artykułów o plastyce w zabranych ze sobą *Przeglądach Kulturalnych* (między innymi dyskusja jak ma wyglądać *antywojenna* „martwa” i *antyfaszystowski* „akt”!), czy od tych głupich „chrztów” na równiku, które mnie tylko irytowały. Nie umiałem zobaczyć tego wszystkiego, co zdawało mi się że widzieć i przeżyć powinienem, ale czyż tak nie było ze mną zawsze — kiedyś, w 1920 roku, zostałem zwymyślany przez mego dowódcę szwadronu, bo nie zauważyłem przed przeglądem, o który pułk dbał specjalnie, ogromnej futrzanej papachy, którą jeden z żołnierzy mojego plutonu zdarł z bolszewika i nałożył sobie na głowę zamiast czapki ułańskiej — za to niektóre spotkania, nikłe asocjacje, ciągnęły za sobą taki świat wspomnień, że pierwsze wrażenie ginęło jak błądy nadruk.

Odciać te wspomnienia? Ale pozbawione tła i korzeni dawnych doznań moje wrażenia zdawały mi się suchsze i do tego mniej ściśle niż pierwszy lepszy artykułik we *France-Soir*, gdzie przygodny dziennikarz podaje nam w paru wierszach barwę ziemi i gatunek drzew w Antsirabé, dokąd go na dwa dni zaniósł wizyta generała Catroux u Ben Jussefa.

Gorzej jeszcze: na początku podróży miałem wrażenie, że już nie jestem zdolny do świeżych reakcji. Wiek? Już za dużo tłukłem się po świecie i za ostro czuję przemijanie.

Zobaczyć naprawdę, to zawsze mieć na nowo uczucie *jedyności* przeżycia. Cézanne, już stary, mówił do Emila Bernard, że malarz widzi naturę dopiero wtedy kiedy ma wrażenie, że on jest pierwszym, który ją widzi: *Il faut voir la nature comme si personne ne l'avait vue avant nous*¹.

Ileż lat temu ruszaliśmy z Krakowa wczesną wiosną z Zygmuntem Waliszewskim po okropnych drogach kieleckich do Kazimierzy Wielkiej na pejzaż. Waliszewskiego lata późniejsze wyniosły wysoko, stał się on malarzem, którego klasa malarska i wpływy dominowały w mojej generacji, i dotychczas wpływ ten istnieje w Polsce, nawet pod socrealistycznym gwałtem. Jechaliśmy więc wozem chłopskim, czwórka, i coraz to trzeba było wysiadać i iść ścieżką przydrożną. Konie grzęzły w płynnym, czekoladowym, chwilami aż zielonkawym błocie. Pola w ostrej wiosennej zieleni, strumyki okolone wierzbami, skowronki, i tak idąc coraz to szturchaliśmy się wzajemnie: „Patrz, 'Malczewski', 'Van Gogh', 'Gauguin' czy nawet 'Stachiewicz'”. I sami z pasją odrzucaliśmy od siebie ten nacisk i nawał dobrych i złych reminiscencji. Dopiero po dniach upartej pracy nad jednym pejzażem odkrywaliśmy *jedynność* otaczającego świata, zapominaliśmy o naszych mistrzach, a także o malarzach tanioobrazkowych — postrachu naszej młodości.

Dziś jechałem nie wozem po błocie kieleckim, ale statkiem włoskim, potem samolotami francuskimi czy amerykańskimi, ale tak samo jak wtedy, tylko silniej jeszcze, zaczynałem od nawarstwienia wspomnień, dawało mi to poczucie starczej bezsilności. I nie było pejzażu ani nie było spotkania, przy którym mogłem się zatrzymać, by się „wpracować” jak trzydzieści lat temu w pejzaż kielecki, bo musiałem gnać dalej i dalej.

Wrażeń zewnętrznych było coraz więcej, ale pod nimi, poprzez nie, nie przestawały się wyrysowywać inne obrazy, już zdawało mi się dawno zgasłe. Rysowały się na tyle ostro i upor-

1. Naturę trzeba widzieć tak, jakby jej nikt przed nami nie widział.

czywie, że wrażenia ostatnie, bezpośrednie blakły lub wrastały w tamte najdawniejsze — powstawał nowy obraz, *nowy deseń*, do niczego niepodobny.

I wtedy pomyślałem, że może tylko tak mogę o mojej podróży coś opowiedzieć. Wcale nie to czego ode mnie oczekują przyjaciele z Ameryki, czy redaktor *Kultury*. W malarstwie jestem do tego przyzwyczajony, iluż moich przyjaciół „bolią zęby” na widok moich obrazów. Ilu z nich mi wymyśla, że z Marsylii przywożę „Ślepa” przy szpetnym zielonym stoliku kawiarnianym, a nie „Vieux Port”; że w Paryżu maluję brudne schody na Gare Saint-Lazare, i nawet w Polsce, w okresie radosnej twórczości i C.O.P.’u, jedno z moich głównych płócien to była najmizerniejsza „obojętna” stacja wąskotorówki w Otwocku. Ale czy znajdę słowa żeby naprawdę opisać te nowe nawarstwione desenie, czy potrafię w sieć tych słów zagarnąć tyle zwierza, czy potrafię powiązać wrażenia plus myśli, plus wspomnienia, zmieszać czas i nie zgubić się w całości? A przecie to dla mnie jedyne wyjście poza pośpieszny, powierzchowny tylko reportaż.

Może najostrożniej to podwójne widzenie (wrażenie plus wspomnienia) ścigały mnie na początku, na statku. Jechało ze mną wielu Niemców, spotkałem paru sympatycznych, kochali Schuberta i Schumana, jeden mówił mi o dziełach Böhmego i Angelusa Silesiusa, drugi cytował Schillera. Nie umiałem nie stawiać sobie pytania co robili, czym byli w latach 1939-1945, *kiedy* się dowiedzieli, że tuż przy Weimarze Goethego w krematoriach palono Polaków, Żydów, Cyganów. Czyż naprawdę, jak mi opowiadała miła pani o siwych włosach, zajmowali się namiętanie, „jak od czterdziestu lat”, tylko muzyką kameralną, nawet w bombardowanym Monachium?

Tak samo w Argentynie: kiedy dwa dni po moim przyjeździe wybuchła rewolucja i coraz to słuchałem oceny sytuacji czy uwag psychologicznych, nieraz zadziwiająco naiwnych, czyż mogłem nie myśleć równolegle o 17-tym roku przeżytym w Piotrogradzie? Czułem się prawie tak samo sceptyczny i „zgorszony” jak ci dwaj sowieciarze, którzy wtedy właśnie zwijali wystawę techniki sowieckiej w Buenos Aires i orzekli: „Kraj w którym dwa dni robi się rewolucję, a na trzeci idzie się do kina, jest dla nas niezrozumiały”. I ja wtedy, jak i oni, przykładałem kategorie zza morza do innej rzeczywistości.

A potem jeszcze: kiedy jadąc przez dziką puszcę, albo sawannę-step, z Caracasu nad Orinoko z dwoma przyjaciółmi konstatowałem nagle, że przez dosłownie parę godzin przestaliśmy widzieć świat nas otaczający, jeden z najegzotyczniejszych,

jaki mi się w życiu widzieć zdarzyło. Dlaczego? Bo jeden z moich przyjaciół opowiadał, jak w jego obecności suchotnikom w Mauthausen, przeważnie młodym chłopcom, zastrzykiwano śmierć. Musieli oni jeszcze po zastrzyku, w przeciągu 20 sekund, które im pozostawały do życia, sami biec do trupiarni. By zaoszczędzić trudu wynoszenia trupów SS'om? Chyba nie, bo byli na to inni więźniowie, wprost po to, żeby jeszcze te ostatnie dwadzieścia sekund ludzie ci przeżyć musieli w grozie. Drugi zaś mój towarzysz opowiadał w szczegółach, jak to w Oświęcimiu dziwny Niemiec, również więzień, a wówczas kapo, chytrością, humorem, pomysłem, szaloną śmiałością uratował życie nie wiadomo ilu Polakom, stokrotnie narażając własne. Nagle uświadomiliśmy sobie wszyscy trzej, ilu ludzi zupełnie takich samych jak my... Dlaczego my właśnie łupimy Packardem po szosie budowanej przez dyktatora wśród bezludnych zielonych gór i niedostępnych dla nas gąszczów puszczy tropikalnej, przez nędzne wioski z ubitej gliny, czy obok samotnych w pustej sawannie szałasów (dach z liści kukurydzy na chudych palach), pod którymi stara Indianka z gołymi dziećmi i włóchatymi brązowymi w czarne łaty prosiakami na zapytanie czy boi się dzikich zwierząt, węży, odpowiedziała nam z niecierpliwością, że takich w ogóle tu nie ma, a boi się tylko tych przeklętych aut, które jej kury duszą.

Jeszcze na statku myślałem sobie, czy przeżyć Amerykę tylko jako środek do rozpętania wspomnień, do powrotu myślą w przeszłość?

Ale pierwsze wrażenie Ameryki: Rio! Malowniczość tyle razy opisywana, fotografowana — zobaczona po raz pierwszy, robi przecie wrażenie niesamowitej niespodzianki. Przepych żywiołowy, wiecznie wiosennej wdzierającej się zewsząd natury, znów nieoczekiwanej urody; ludzie na ulicach o bogactwie typów, ilości odcieni, barwy skóry niespotykanej przeze mnie nigdzie — wszystko to razem dało mi szok tak silny, że znowu, jak kiedyś na wsi kieleckiej, zacząłem widzieć świat nowy, jakby przez nikogo przede mną nie zobaczony.

Więc coś ostatecznie zobaczyłem? Amerykę? Amerykę mojego wyobrażenia. *Die Welt als meine Vorstellung*, świat nie tylko niepodobny do Europy, ale i do wszystkich innych Ameryk, już opisanych — *moją* Amerykę, Amerykę mojej, jakże pobieżnej, obserwacji, zachwytu i przeczucia.

Jeszcze jedna wątpliwość. Mówią, że można pisać o kraju, w którym się było więcej niż dziesięć lat lub mniej niż sześć tygodni. Mam więc prawo — nigdzie nie zagrzawszy miejsca.

Ale jakże łatwo wpaść w „rudych fryzjerów” (wszyscy fryzjerzy w Paryżu są rudzi — napisał pewien zagraniczny dziennikarz, który natrafił na dwóch rudych fryzjerów podczas tygodniowego pobytu w Paryżu). Myślałem już bez żadnej ironii o Dumasie i jego przysłowiowej klukwie (żurawina). Pisał pono po powrocie z Rosji, że pod cienistym drzewem, które się nazywa „klukwa”, siedziała para, a u jej stóp biegały małe zwierzątka, które się nazywają „konie” i specjalny gatunek psów „sobaki”. Teraz, po stu latach, wiemy tylko o przysłowiowej klukwie, a nic o jego może bystrych uwagach o Rosji.

Jak łatwo w notatniku ciekawie dla cudzoziemca brzmiącą nazwę kwiatu czy drzewa pomieszać z tuż obok zapisaną nazwą wodza czy rzeki, i to wszystko grozi nie jedną, a setką „klukw”. Jeżeli przez kontrolę „fachowców” da się to może ominąć, trudniejsza i wprost niemożliwa jest ścisła kontrola informacji, ocen, nieraz wykluczających się wzajemnie a słyszanych z ust osób całkiem jakby wiarygodnych. Te oceny, poza tym co widzimy własnymi oczami, krystalizują nam obraz kraju. To sprawa instynktu komu wierzyć.

Moja ignorancja Ameryki Południowej, w chwili gdy tam wyjeżdżałem, była chyba prędzej typowa i dla tych mas, które dla Ameryki kraj swój porzucić muszą czy porzucić chcą.

Mam jeszcze w oczach ten długi pociąg na Gare de Lyon w 1948 roku, nabity emigrantami z Europy Środkowej, wysyłany tam przez I.R.O. Starcy, dzieci, mężczyźni i kobiety w sile wieku. Miałem wrażenie, że z otwartych żył Europy wypływa jej krew. Czy ci ludzie wygnani wiedzieli więcej ode mnie, wyjeżdżając do Ameryki? A emigracje z krajów wolnych (do samej Wenezueli dociera tygodniowo około 500 emigrantów, przeważnie Włochów)?

— Paanie, ależ ja nawet nie wiedziałam, gdzie na mapie ta Wenezuela — opowiada mi Włoszka, która w Caracasie wyszła za mąż za Polaka. Ją też najdziwniejszymi drogami powojenne paszportowe absurdy zaniósł do Wenezueli.

Bez języka docierałem do autochtonów niełatwo, przeważnie przez emigrantów, naturalnie przez Polaków przede wszystkim, z którymi spotykałem się wszędzie, ich ocen słuchając najuważniej. Byłem tylko turystą, nie przechodziłem przez próbę zdobywania tam sobie miejsca pod palącym słońcem. Patrząc na tych ludzi, przeważnie już niemłodych, którzy musieli sobie tam budować życie od nowa, odruchowo pytałem jakimi drogami tu przyszli, ale wówczas jakże prędko rozmowa szła w innym kie-

runku, zapominaliśmy kraj który nas otaczał. Nigdy nie widziałem tak ostro, do jakiego stopnia sądy to apodyktyczne, uproszczone, to cieniowane i wnikliwe, są zwykle uzależnione od samopoczucia, sukcesów, porażek, najdawniejszych doświadczeń czy urazów, jak przeważnie są projekcją naszych stanów. Jakże rzadko człowiek jest zdolny, obserwując siebie, zapomnieć i naprawdę nasiąknąć nowymi wrażeniami bez uprzedzeń czy z góry powziętej, od pierwszej chwili kształtującej widzenie teorii. Przecie Taine nawet *przedtem* konstruował teorię o narodach, o ich sztuce, a potem dopiero jechał do Włoch czy Anglii, by tam szukać argumentów i przykładów.

Jeżeli wśród ocen krajów Ameryki pozytywnych, a nieraz entuzjastycznych, o szybko nawet narastającym „patriotyzmie” lokalnym (Rio czy Sao Paulo na przykład) spotkałem wiele też uwag niechętnych, skrajnie krytycznych, to pewnego dnia nagle i najlepiej zrozumiałem ukryte *dno* tych sądów w rozmowie z warszawianinem w Rio.

Jasne mieszkanko, pełne pamiątek z Polski, na półkach książki z Polski, a na jedynym fotelu sterta paczek do Polski. Gdy się wychylić z okna, widać z jednej strony migotliwy skrawek pysznej zatoki, a z drugiej nagi, prostopadły stok górski wrzynający się wprost w ulicę. A dalej, wyżej *favelle*² murzyńskie w gąszczu drzew wszelakich kształtów i wszelakiej zieleni. Gospodarz mieszkania mówi mi, stojąc tyłem do okna: „Natura! Ależ panie, ona tu nawet nie jest wroga, ona jest wprost *obojętna*. Bo widzi pan, u mojego ojca w Skolimowie był taki trawnik... koło tenisu. Za ten trawnik, proszę Pana, ja bym oddał całą tę naturę i całą tę Brazylię”.

Jeszcze słyszę głos staruszki, pani Wańkowiczowej z Bobrujszczyzny, wymiecionej ze swego dworka przez rewolucję i zamieszkałej w 1920 roku w Alejach Ujazdowskich, w nowym mieszkaniu, tuż przy Placu Św. Aleksandra. Słyszę jej śpiewną białoruską polszczyznę: „Acha panie, ta Warszawa! Tu i ludzie uobce i kraj uobcy i nawet kościół uobcy”.

Jest u mnie kraj, ojczyzna myśli mojej

.....
Piękniejszy kraj niż ten co w oczach stoi.

.....

2. Favella — skupiska murzyńskich drewnianych domków, które pną się wysoko w górę na skrajach miasta, a nawet tuż przy centrum. Ustawione jedne nad drugimi, z dykt, różnorakich deseczek, na cienkich słupach, wyglądają jak kupa starych, połamanych pudełek od zapalek.

*Tam w pośród prac i trosk i wśród zabawy
Uciekam ja. Tam siedzę pod jodłami,
Tam leżę wśród bujnej i wonnej trawy...*



Już od dawna zdawało mi się, że wszelka egzotyka przestała mnie pociągać. Dlaczego jechać tak daleko — powiedział Renoir o Gauguinie, który wyjechał do Tahiti — jeśli tak dobrze można malować w Bagneux? a ja bym dodał: „i w Maisons-Laffitte”. Biała deska ustawiona w kącie korytarza, drabina przystawiona do ściany, twarze w wagonie, wiozącym mnie na Gare Saint-Lazare — wystarczają. A przecie niejeden raz w tej ostatniej podróży odczułem, jak kiedyś za młodu, radosny skurcz serca, jaki się ma przy zetknięciu ze światem nieoczekiwanej, obcej, naprawdę egzotycznej piękności.

Ouro Preto — to Wilno brazylijskie, pełne kościołów barokowych, miasto kiedyś dwusto- a dzisiaj dziesięcioletnie w pustym kraju, porzuconym przez poszukiwaczy złota.

Pampa argentyńska, bezkresne pastwiska, a wśród nich wzorowy zakład dla setek trędowatych z ich opiekunką, polską Franciszkaną.

Orinoko — rzeka kajmanów, gdzie jeszcze, u jej źródeł, Indianie strzelają zatrutymi strzałami do białych, a bliżej jej ujścia największy na świecie port przeładunku rudy żelaznej. Powstał na miejscu, gdzie pięć lat temu była jeszcze dzika puszcza.

Światy. Ileż rzeczy różni portugalską Brazylię, gdzie elementy indo-amerykański, afrykański i portugalski stworzyły całkiem specjalny skład etniczny, z Argentyną czy Urugwajem, które są prawie wyłącznie europejskie. Co ma wspólnego arcydemokratyczny Urugwaj, ten kraj spokojny, równinny, gdzie najwyższy szczyt ma 300 metrów, z Wenezuelą, krajem wiecznego lata, śnieżnych szczytów, węży o ukąszeniu śmiertelnym i dyktatorów?

Jeżeli na zapytanie: „Czy pan będzie pisał?” nie wiedziałem co odpowiedzieć na początku podróży, bo zdawało mi się, że tak mało mógłbym powiedzieć, to dziś, choć zrozumiałem, że już życia mi nie starczy, by wejść naprawdę w światy tego kontynentu, odpowiadam z zakłopotaniem, że choć skrawek tych wrażeń błyskawicznych, zażębionych o milion wspomnień, spróbuję opowiedzieć.

TUMULT I WIDMA

Wyjeżdżając z Paryża wkleiłem sobie do dziennika artykuł z *Figaro* — „Tumulte” André George’a. Takie jest w nim zdanie: „Nie wiem jaki abbé za Ludwika XIII wyraził już obawę, że łatwość transportu powozem spowoduje ’dekadencję literatury przez rozproszenie umysłów’”. Moje własne obawy, więcej, stwierdzenia rozproszenia umysłów (mojego umysłu) z nadmiernej ruchliwości istniały więc i u anonimowego „labusia” już trzysta lat temu. Pocieszam się, że bywali przecie ludzie, którzy wielką ilość przebytych kilometrów, pieszo, statkiem, pociągiem czy samolotem (od Św. Pawła do St. Exupéry) potrafili przemienić na narzędzie *ku przezwyciężeniu* „rozproszenia umysłów”. „Życie wewnętrzne wzrasta w siłę, gdy rodzi się w walce przeciw temu, co mu zagraża” — czytam w tymże „Tumulte”.

Podróż to także próba ucieczki przed widmami, które nie używając nowoczesnej lokomocji jakoby zawsze spóźniają się, dając trochę wytchnienia na nowym miejscu.

8 maja 1955. — Wyjazd z Paryża o zmierzchu. Przez szyby wagonu, w mgle niebieskiej, coraz bardziej szarej, ucieka mrowie domków podmiejskich i kępy świeżej zieleni, ciemnej o tej godzinie; nagle wśród nich wyrasta i ginie potężna bryła o dziwacznych grubych i niskich kominach-wieżach, o pochyłych nawierzchniach i przesłach (mosty zwodzone?), fabryka-forteca. Czerwona kula słońca w tle na niebie krwawo-pomarańczowym, żółtym, zielonym, przeciętym pasmami chmur ciężkiego fioleto.

9 maja. — Ranek. Avignon-Marsylia. Niewola wspomnień. Oliwki rosochate i siwe, morze ciche i niebieskie na tle bladego

nieba, rok temu odpoznałem ten pejzaż nie taki sam, ale *ten sam*, po prawie trzydziestu latach. Te oliwki na równinie za Avignon, rzadkie cyprysy i dalekie pasmo wzgórz, potem Estaque („Co pan robił w 70-tym roku, podczas wojny? — „Malowałem pejzaże w Estaque” — odpowiedział Cézanne). Na zawsze ten pejzaż wrył mi się w pamięć od czasu gdy go zobaczyłem po raz pierwszy z kapistami. Byliśmy wszyscy fanatykami Cézanne’a i Van Gogha — ich ziemia.

Riwiera. Ta słodycz natkana hotelami. Góry różowe i liliowe, spływające do morza turkusowego, cichego jak oliwa, białe łódeczki i żagle. Jakże długo nie byłem w zgodzie z tym pejzażem, jakby szczęśliwym nie na miarę ludzką. Szczęście z pocztówki. Przez lata nie byłem w stanie tego pejzażu „zobaczyć”, pomimo dobrej woli nie mogłem go malować, a gdy malowałem w tamtych okolicach — odwracałem się od morza. Malowałem brzydkie domy z potężnymi na ścianach afiszami, drewnutnie, warzywne ogrody w zapuszczonych kątach. Rok temu ten świat nagle zobaczyłem, ale w tej samej chwili stracił swoją słodycz nierealną, stał się świetny, brutalny, czasem tragiczny, czy zwycięsko promienny. Ludzie patrzący na moje płótna stamtąd nie raz gorszyli się, wspominając te okolice w jedynej im dostępnej formie — kolorowej pocztówki, szczęścia rozsyłanego na cały świat przez jakoby zawsze szczęśliwych turystów.

Cannes. Statek tylko co nadszedł z Genui. Kołysze się na fali wielkie, białe cacko z czerwonym pasem na kominie a zielonym tam, gdzie dotyka fal: „Julio Cesare”. Nie umiem podróżować statkiem. Nie lubię statków, nawet najlepszych. Te przedługie korytarze, schody, wszędzie dziwny zapach (lakier? smary?), ciasnota kabin — najgorszy nędzarz na ziemi mieszka przestronniej, nieznaczące kołysanie okrętu nawet gdy stoi — lekkie nudności z samego strachu przed morską chorobą. Normalna gorączka przygotowań, nerwy. Gdzie skrzynie? Gdzie które walizy? Pośpiech by wybrać „lepsz” leżak, choć wszystkie takie same, lepszy stół w jadalni, choć wszystkie tak samo wygodne. Nastrój w masie prędzej świąteczny, triumfalny, dla niejednego to zmiana całego życia — marzenie. Ale większość to ludzie interesu, podróż dla nich zwyczajna. Widzę tylko jedną kobietę płaczącą.

Ruszamy pod wieczór. Płyniemy do zupełnego zmroku wzdłuż łańcucha łagodnych wzgórz Alpes Maritimes, oliwkowych, bladeo-liliowych i tych najdalszych, niebieskich na tle gładkiego, cytrynowego nieba.

Pierwszy obiad. Niezliczone potrawy, menu na potężnej

glansowanej karcie, uwijająca się służba. Luksus. Siedzę z parą już starych ludzi: obywatele argentyńscy, Żydzi z Żółkwi, mówią jeszcze po polsku. Pani wyraża radość, że spotkała rodaka. Wracają z pierwszej wielkiej, wypoczynkowej podróży po dwudziestu czterech latach ciężkiej pracy w Buenos Aires. Mówią o Włoszech, Szwajcarii, Francji, o cenach przeróżnych, cieszą się wszystkim, bez cienia agresywności czy przechwałki. Miło mi jest być z nimi w ten pierwszy wieczór wśród obcych. Tłum głośny, podniecony. Salony pełne, tworzą się grupy, słysząc hiszpański, portugalski, włoski i angielski. Raz tylko słyszę parę słów po francusku. Ten tłum wydaje mi się na pierwszy rzut oka szpetny i nie do zniesienia obcy. Przeważają podstarzali mężczyźni, to wyschli, to za tłuści, kobiety o potężnych ustrojonych kadrach z wymyślnymi kolczykami-wisiorkami u kwadratowych twarzy.

9 maja. — Jadę w kabinie z Włochem. Starannie opalony, jeszcze przystojny, wysportowany pomimo nie najmłodszego wieku i błyszczącej jak kula bilardowa łysiny; okazuje się typowym człowiekiem *moderne*, który już się zorganizował (nie ma jak tempo). Prosi, bym był nieobecny w kabinie między siódmą a ósmą. Zachwycony, że zrozumiałem, proponuje mi łamaną francuszczyzną malusieńkie tubki włoskiego szamponu — może jest przedstawicielem tego produktu, a może wprost używa go jako łapówki za moją przypuszczalną dyskrecję, produktu, który z powodu łysiny jest mu niepotrzebny. Do tego oznajmia, że jest prezesem arcywytwornego towarzystwa na jednej z plaż argentyńskich. Proponuje mi zorganizowanie wystawy. Dowiaduję się, że był w Stalingradzie jako żołnierz w czasie wojny, ale nie daje się wprowadzić w żadną o tamtych czasach rozmowę, ucina ją momentalnie, wykreślił wspomnienia przykre i jest pełen radości życia. Nawet zmarszczek ma na twarzy niewiele. („Jak pani świetnie wygląda” — powiedział ktoś już bardzo niemłodej a ciągle pięknej księżnie T..., która zawsze mieszkała we Florencji. „Bo nie miałam w życiu żadnych zmartwień!” — odpowiedziała z odruchową szczerością. Ta księżna pochowała na cmentarzu, w tejsze Florencji, sześcioro dzieci).

Statek stanął na parę godzin w Barcelonie. Trzy godziny upalne w gorącym i pełnym kurzu mieście. Skrzypiące tramwaje, tłum na pierwszy rzut oka tak podobny do tłumów w Marsylii...

W Barcelonie. Zachodzę do kościoła w ciężkim stylu Herrery. Przy paru ołtarzach — dzień powszedni — tłum modlących się. Na ścianach parę fresków w stylu okropnego, fałszywego moder-

nizmu. Na jednym z bocznych ołtarzy Madonna osiemnastowieczna kapiąca od złota, z ogromną złotą koroną i twarzą malowaną, drobną, jakby przestraszoną. Na rękach Jezus, też w złotej koronie, w złotych szatach, trzyma krzyż rzeźbiony, potężny jak maczuga. Stosy kwiatów na ołtarzu, na ziemi. Zupełnie inny charakter modlącego się tłumu niż w kościołach francuskich, jakieś zadomowienie tych ludzi i aura żywej codziennej modlitwy.

Specjalny autobus wiezie mnie na górę gdzie jest wielkie muzeum sztuki katalońskiej. W autobusie trzepoce się niemłoda Amerykanka. Przyjechała samolotem, wyjeżdża samolotem, czy zdąży? Wyrzec się muzeum nie chce — ryzykuje. Myślę o „labusiu” Ludwika XIII. Cóż *zobaczy* ta kobieta w tym rozproszeniu umysłu? Ja właściwie idę do muzeum tak samo w pośpiechu, do tego na siłę, jakby przestała na mnie działać magia nowości. Po co muzeum w Barcelonie, kiedy Luwru dobrze nie znam?

Trafiam natychmiast na rzeźbę katalońską z XII, XIII i XIV wieku i malarstwo z tejże epoki. Czerwienie bordo, tony niebiesko-szare czy jasno-kremowe, bardzo czarne lub chińskie — pomarańczowe. Na wielkiej desce szereg scen z żywota Świętego Wincetego z Saragossy. Miał wśród mąk wykazać taki heroizm, że nawrócił katów. Ciało blade, zielonkawe, umęczone, w czerwonych plamach krwi. Święty leży, obok niego wilk, kruki i inne zwierzęta wśród szarych skał, z lekka stylizowanych. Cały obraz w białych płatach śniegu, które sypią się na ciało Świętego. Jestem zawsze jak przed zagadką kiedy patrzę na wyrazistość ekspresyjną i niechybną muzykalność tonów, jasność kompozycji malarzy tak bliskich wizji dziecka. Przecież to były ówczesne „komiksy” religijne, to było malarstwo skrajnie tematyczne ludzi, których wiedza o malarstwie, o kompozycji — była znikoma lub żadna. Skąd ta chińska precyzja malarska malowanych desek, które w owych czasach nie były nawet wyjątkiem. Tuż obok — rzeźby katalońskie tak pełne w wyrazie i formie. Krucyfiksy z rzeźbionym Chrystusem, polichromowane na tony niebieskie, różowe i brunatne. Co znaczą te ogromne, wypukłe oczy Madonny z dziecieniem, oczy jak śliwki, czy ten Chrystus na krzyżu w niebieskiej szacie? — to *opowiadanie* formą. Ani abstrakcja, ani realizm — opowiadanie gdzie przecie urzeczony został cały stosunek człowieka do bóstwa, do świętości czy męczeństwa, gdzie forma *opowiada* i jednocześnie *jest* formą.

Nie tylko Saint Sulpice ale i Matisse wydają mi się ludźmi, których od tej sztuki dzieli przepaść, taka sama jaka dzieli gest

autentyczny od zdawkowego, mechanicznego, czy od sztucznie wyszukanego.

Madonna z Dzieciątkiem w koronach, w tonach zgaszonego złota i zgaszonej czerwieni, Madonny bolesne bez korony, z głowami opuszczonymi i rozpuszczonym włosom, w najprostszych pozach kobiet wiejskich. Jeden fresk z sarkofagu w Burgos z XIV wieku: ostrą kreską obrysowane postacie tłumu — można by dokładnie skopiować i twierdzić, że to niemiecki ekspresjonizm XX-wieczny. Widzę też przy obrazie krępego Niemca, który właśnie ten fresk starannie kopiuje.

Ta sala rzeźb i fresków zabiła mi resztę, choć zdążyłem rzucić okiem na piękne płótno Melendeza — tego malarza, który jeden uchował się w Hiszpanii w XVIII wieku ze swymi surowymi, ścisłymi, jeszcze XVII-wiecznymi martwymi naturami — *bodegone*, w tradycji Cotana i Zurbarana — i na marmurową, hiszpańską, skrajnie realistyczną rzeźbę Chrystusa umęczonego.

W mieście upał. Zamiast obiadu każę sobie podać w portowej restauracji szparagi, na pamiątkę mojej jedynej sprzed 25-ciu laty podróży do Hiszpanii, kiedy zażerałem się szparagami. To była Hiszpania jeszcze przed rewolucją. W malutkiej miejscowości pod Madrytem — w Arenas di San Pedro, w pokoiku z widokiem na stary zamek z setkami gniazd bocianich i setkami latających nad zamkiem bocianów poznałem wesołego staruszka, wiejskiego proboszcza, monarchistę, który mnie prowadził na ogromne spacer, i jego przyjaciela, sympatycznego handlarza wina, który był namiętym republikaninem. Przyjaciele wciąż sobie wymyślali: kupiec księdza nazywał „Rasputini”, ten zaś kupca „Lenino”. Jakie to było idylliczne. Parę lat potem Arenas di San Pedro figurowała stale w komunikatach: tam toczyły się krwawe walki rewolucyjne, wzajemne wyrzynanie, okrucieństwa. Czy żyją jeszcze „Rasputini” i „Lenino”?

Na statku poznaję Niemca. Profesor S. jedzie do Brazylii, gdzie będzie miał katedrę. Jest sam, i długie godziny spędza na leżaku z książkami.

Próbuję notować piórką i akwarelą. Jak łatwo przy pewnej, jeżeli nie umiejętności to chociaż nawyku, wpaść w sztancę, powtarzać sobie i malować akwarele zawsze te same, coraz łatwiej zgrane i coraz gorsze, bo coraz mechaniczniejsze.

10 maja. — Czytam *Dolinę Issy* Miłosza, a z biblioteki wziętam Abellia¹ *Heureux les Pacifiques*. Sny, jak kiedyś 25 lat

1. Abellio, wybitny powieściopisarz francuski, autor szeregu dzieł ezoterycznych, omawianych w swoim czasie w *Kulturze*.

temu w Arenas. Po epoce specjalnie burzliwej i tłumnej pierwszej wystawy kapistów w Genewie przeżyłem parę tygodni zupełnie sam w tej zapadłej prowincji. I wtedy, nagle opanowała mnie jakaś proliferacja snów, jakby całe życie w snach się skupiło. Teraz to samo: sny przeważnie bezsensowne, ponure, wraca mój własny pogrzeb, na który patrzę z całkowitą obojętnością. Może najprościej wspomnienia śmierci pani Dilbinowej z *Doliny Issy*, ale S., mój nowy niemiecki znajomy, któremu to opowiadam, słucha mych snów z prawdziwym zainteresowaniem, każe mi czytać Junga i komentuje moje sny o śmierci, jakoby zawsze oznaczające jakiś *koniec* i znak, że trzeba życie rozpocząć na nowo, od nowej strony.

Przejazd obok Gibraltaru. Pierwszy raz widoczny brzeg Afryki. Robię notatki akwarelowe. Gibraltar z paru stron, rysunki całkowicie banalne, jakieś *puste*, potem wybrzeże Afryki — rysunek podkolorowany — ten ma cień gry i muśnięcie przeżycia, nikłego zresztą. Patrzę na pierwsze goniące za statkiem delfiny.

Dziwię się mojej absolutnej obojętności. Delfiny? Gibraltar? Niech sobie.

11 maja. — Morze niepewne. Dramamina i zaraz wzmożona tępość. Trochę akwarel. Drażni mnie to nieustanne uczucie powtórki, *déjà vu* — odbija to mój nastrój „trupi”, nieistnienie przeżycia. Chciałoby się wtedy w rysunku coś przekreślić, odwrócić. W takich chwilach zazdroszczę abstrakcjonistom, którzy mogą maskować jałowość trickami. Ale jak długo można tak maskować przed innymi brak stosunku do świata otaczającego? Dlaczego takie same pozornie rysunki jak dzisiejsze, prawie podobne, bez żadnych tricków, nie budzą we mnie sprzeciwu — poczucie „tak”. Najprościej: więcej w nich uwagi, przeżycia, może więcej pokory i ścisłości. A teraz rysunek, identyczny do tamtych w zamiarze, ześlizguje się w banał. Wtedy trzeba robić rysunki możliwie suche i tematycznie jak najobojętniejsze: garnek, framuga drzwi i tylko iść po linii podnoszenia uwagi, kontroli obiektywnej. Żadnej ucieczki nie tylko w fałszywą oryginalność, ale również „w pedał”, żadnego wysilenia na rysunek wyższy, syntetyczniejszy, odwrotnie — zaczynać od początku, jakby się jeszcze nigdy niczego nie narysowało.

Kiedy człowiek nagle jest sam, kiedy kontakt z ludźmi zerwany, kiedy się jest w „puszczy”, traci wszystko i zdawać się wtedy może, że Gombrowicz ma rację, że człowiek żyje tylko jako forma uderzana, kształtowana przez drugą formę ją kształ-

tującą, że człowiek nie istnieje sam w sobie; Bóg w nim nie daje znaku życia, bo człowiek jest za tępy, żeby go słyszeć. Zresztą nic, czy prawie nic dla tego nie robi. To wszystko myślałem, czując to moje opustoszenie, jakbym bez podpórek ludzi, przywiązań, ciężaru, goryczy przestawał istnieć. Widzę ubóstwo mego życia wewnętrznego i nagle trafiam na cytaty z Abellio: „Jest trudno zrozumieć dlaczego ludzie myślą że można oszukać swój ból, zmieniając otoczenie, wyobcowując się ze swego świata. Podróże, podniecenie, pozorne przyjemności, banalne niespodzianki zmieniających się wciąż stosunków dają nam powierzchowną wizję ludzkości i życia, popychają nas przeciwnie ku sobie, ku naszemu głębokiemu ja. Stąd to wrażenie trzeźwego widzenia, które się odczuwa w podróży, pogłębia ono jeszcze pewnie smutek niż zwiększa radość”.

Czytam Abellio: nie rozumiem moich reakcji wobec tych proroczych dywagacji polityczno-rewolucyjno-religijnych. Musiałbym się czuć upokorzony nikłością moich horyzontów, ciasnotą moich myśli wobec tej „astronomii” rzutowania, ale jednocześnie węższą jakiś okropny odór okrucieństwa, dzikiej pychy. Rozumiem, że ludzie tego typu tamtej epoki (przed 39-tym rokiem) dla których „na pewnej wyżynie nie ma już Zła i Dobra”, przerzucający się z obojętną wyższością od skrajnej prawicy ku skrajnej lewicy lub na odwrót, albo grający obiema kartami jednocześnie, że tych ludzi mógł kusić nawet hitleryzm. Dla bohaterów Abellio człowiek pojedynczy nie istnieje, jeżeli jest niewtajemniczony, nie „naznaczony”.

„Nie o to chodzi, by iść do ludu *widzialnego*, cóż mamy z nim do roboty. Wojna, epidemie, głody uwolnią od nich ziemię”, rzucił z wyzywającym akcentem wzgardy. „My idziemy tylko ku ludom niewidzialnym, ku tym, którzy przeżyją i którym będzie nakazane zaludnić znowu świat. To do nas należy, do naszego Zakonu, odkryć, utrzymać, streścić zdobycze ostatnich tysięcy, dziesięciu tysięcy lat i chyba przekazać je nowej ziemi...”. Tak mówi główny bohater książki. Czytając to *dziś* jak mogę nie widzieć w tej perspektywie i Hitlera i jego Orlego Gniazda, krematoriów, planów tysiącletnich i wszystkich zbrodni uprawnionych, nieważnych, wytłumaczonych, obojętnych, bo „na pewnej wyżynie nie ma już Zła i Dobra”. Wtedy mam świadomość jak ten tytanizm jest mi nienawistny i na zawsze wrogi.

11 maja. — Najładniejsza kobieta, w każdym razie najszokowniejsza, którą dotychczas zauważyłem, siedzi w sali restauracyjnej przy sąsiednim stoliku. Pół-Niemka, pół-Argentynka.

Suknia czarna, zupełnie pod szyję, gołe ramiona, ciężki srebrny naszyjnik, na drugi dzień ma suknię inną, wyciętą głęboko w zygzaki, też czarną, ten sam naszyjnik srebrny, kuty, chyba tunezyjski, także kolczyki, bransolety i pierścionki. Wysoka, gibka, twarz i ramiona brązowe, piękne czarne oczy i uśmiech zmysłowych ust zanadto świadomy, aby był sympatyczny. Jest dziś *gran ballo*. Tańczy cały czas z moim Włochem i jego łysina brązowa, jak piernik (jest od niej o wiele niższy) aż świeci na tle czarnej sukni. Cały czas w tańcu do niej przemawia i wygląda tak dumny ze swojej zdobyczy, jakby właśnie wmaszerował do Stalingradu. Oboje przy tym wyglądają tak nasyceni i głupi! A przecież w jakimś zakamarku zazdroszczę im tej łatwości, więcej, tego krótkiego szczęścia-narkotyku.

Odwiedzam w trzeciej klasie paru emigrantów węgierskich. Jeszcze siedem dni temu byli w Budapeszcie. 65-letnia staruszka jest wdową — jak twierdzi — po wysokim urzędniku jeszcze z czasów monarchii austro-węgierskiej. Tłumaczy się, że to wypadek tylko, że jedzie trzecią klasą, syn by chętnie zapłacił drugą czy pierwszą. Opowiada mi, jak cierpią na Węgrzech „wyższe sfery” (ona) i „niższe też” (dodaje pobocznie). Jest z Siedmiogrodu i jeszcze teraz z pasją i nieukrywaną nienawiścią mówi, że kraj ten został oddany Rumunom, którzy „nawet czytać nie umieją, kiedy my, my w Siedmiogrodzie to *inteligencja*”. Za jej czasów w szkołach poza węgierskim uczono niemieckiego i francuskiego. „Dziś uczą po rosyjsku” — dodaje z namiętną pogardą. Mówię prędzej dla siebie, że to istotne, że nie tylko propaganda bolszewicka płynąć będzie tym kanałem, ale także wielka literatura rosyjska, inny krąg kulturalny.

„Kulturalny? *Aber das ist zum Lachen. Die Russen haben keine Kultur und nie eine gehabt*²”.

Milczę. Ileż łatwiej wyciągać wnioski gdy się tak upraszcza. Ta stara kobieta z pierścionkiem o pociemniałej starej oprawie na pomarszczonej w węzłach żył ręce, w potoku biednych, prawie wyłącznie starych ludzi, którym pozwolono wyjechać, mówi głosem skrzypiącym i władczym o swojej wyższości i wyższości tych jakoby świętych, „wyższych” klas węgierskich. W tej przemowie ileż pychy niewzruszonej, narodowej i społecznej. Ten sam ton spokojnej pewności miała pani X., jej równolatka, która w podobnych warunkach przybyła z Polski. Nie tylko propaganda sowiecka, ale wszystkie przemiany lat ostatnich tylko wzmocniły jej dawną, już dzisiaj kamienną hierarchię wartości,

2. Ależ to śmieszne. Rosjanie nie mają kultury i nigdy nie mieli.

połączoną z definitywną idealizacją czasów przeszłych. Dlaczego opowiadanie o Węgrzech A. Esterhazy, młodej dziewczyny, która była robotnicą i siedziała w więzieniu, ma ton tak inny, o tyle bardziej ludzki³. Dlaczego młody P., który jak Alice Esterhazy z narażeniem uciekł z Polski, wybuchnął śmiechem gdy go zapytano o „wyższe sfery”, zaliczając jego do nich. Jakaż inna jest opozycja tej młodości i o ileż bardziej groźna dla reżymu.

12 maja. — Ani skrawka ziemi. Niebo ciężkie, szare bezkształtne chmury, ale morze cichutkie. Przez krótką chwilę chlupnął ciepły deszcz, jakby się nagle niebo otworzyło, i minął. Zabłąkany siwy ptaszek wielkości sikorki, zupełnie bezsilny, uczeplił się sznurów, z daleka jedna jaskółka i na horyzoncie ku wschodowi biały żagiel. To wszystko. Dziś włoski film kolorowy. Walimy, z posłuszeństwem godnym lepszej sprawy, tłumnie jak na wszystkie prefabrykowane darmowe uciechy statku, konkursy wszelakie, *match'e* i „niespodzianki”. Wychodzę w środku, tak mnie brzydzi nie tyle film — trochę gołych łydek i najbanalniejsze kawały cyrkowe amerykańsko-włoskie — jak ta potulność podróżnych, którzy konsumują wdzięcznie wszystko co konsumować należy. Jeden S. chodzi swoimi drogami. Godzinami leżąc na leżaku studiuje portugalski: czyta. Jest przyjemnie patrzeć na tę twarz już niemłodą w okularach w cienkiej oprawie, skupioną, oderwaną i zawsze spokojną. Nie dotyka go ten wirek towarzyski. Mówi, że pochodzi z rodziny nadreńskiej, pastorskiej. Tak samo kilka zakonnic żyje tu zupełnie innym życiem. Jadą z Włoch do klasztorów argentyńskich. Widzi się je w kaplicy lub, rzadko, na pokładzie, gdy w ogromnych, ciemnych habitach z wyhaftowanym czerwonym sercem na piersiach chodzą niezręcznie grupami, jakby oddzielone od nas granicą niewidzialną.

Wbrew buntowi przeciw Abellio czytam z pasją *Heureux les Pacifiques*. Ilekć uwag świetnych, wnikliwych. Mowa o wtajemniczeniach. Odruchowo przymierzam się do którejś *shakry*, stopnia wtajemniczenia, mógłbym pretendować, i dochodzę do smutnego wniosku, że do żadnego, poza najniższym, chociaż zdaje mi się, że mam „otwory” do różnych. D. mi zawsze zarzucał, że czytam mistyków. „Mistyków trzeba robić, a nie czytać”.

13 maja. — Szósty dzień. Od dwóch dni próbuję rysować,

3. *Preuves*, Paris, Juin 1952.

i wciąż nie ma w tych rysunkach nic, to nawet nie wprawka, prędzej manierowanie. Czy nie lepiej wtedy przerwać, czy przymus, dyscyplina w takich chwilach nie szkodzą? Nagle parę kresek żywych, nie tylko wysiłek oka i ręki, ale przeżycie. Czy tylko wtedy wolno rysować? Nie. Musi być też praca „z goryczą w oczach”, bo inaczej — to czekanie na natchnienie głupich malarzy od Makuszyńskiego, czy w najlepszym razie na *écriture automatique* surrealistów. „Niech pan robi kreski, dużo kresek, a będzie pan malarzem” — powiedział Ingres młodemu Degasowi. Co czuł Degas kiedy rysował ścierając aż do dziur w papierze i kalkując do ośmiu razy, by znowu i znowu ten sam rysunek pogłębiać? Odpowiedziałby nam jak Valéry’emu: „To by nie było takie zabawne, gdyby nie było takie nudne”.

Dojeżdżamy do Dakaru o szóstej popołudniu. Światło ciągle jeszcze oślepiające. Pogoda duszna. Wybrzeże płaskie jakby z szarobrunatnej, wyschłej gliny, wielki kloc jakiegoś gmachu jakby corbusierowskiego, oślepiający białością. Morze niebieskie i zielone. Pierwszy raz od chwili wyjazdu naprawdę gorąco. Mamy zaledwie parę godzin by zwiedzić Dakar. Biorę taksówkę, żeby czasu nie tracić. Dosiada się do mnie Rumun. Jasne wyłupiaste oczy, mięsisty nos, ciężki i nachalny. Wiezie nas Murzyn, czarny jak smoła, cienkokostny, prawie chłopiący w białym chitonie. Mój towarzysz momentalnie pyta, żąda wskazówek gdzie można „spać z kobietami”, gdzie są domy publiczne. Murzyn, mówiący biegle po francusku, choć nie umie czytać, bo nie chodził do szkół, mówi mu, że od czasu wojny te instytucje zostały zniesione i na wszystkie nalegania przedsiębiorczego Rumuna dodaje z godnością, że to niemożliwe, chyba że Rumun zna tu jakieś kobiety. Wtedy może być, inaczej — nie. Sam zresztą nic o tym nawet nie wie, jest muzułmaninem, ma żonę i dwoje dzieci.

Pierwsze wrażenie miasta okropne: jakby lepkie od gorąca, ulice-śmietniki, po których niesie masą brudnych papierów, wśród białych suną Murzynki w wielkich turbanach i obfitych, kolorowych sukniach, wciętych w tali, z bufami na ramionach. Mężczyźni w długich, podkasanych czy opuszczonych do ziemi koszulach spieszą wzdłuż domów europejskich, skrajnie banalnych. Każę się wieść do jakiegoś parku. Szofer twierdzi, że parku także nie ma. Ostatecznie dowozi mnie do wysokiego wybrzeża morskiego. Gdyby nie odór, mieszanina zapachu morza ze zwyczajnym fetorem ludzkiego kału — byłoby bardzo pięknie. Ściana z kaktusów o grubych, płaskich, nadzianych kol-

camii łopatkach z żółtymi kwiatami i jeszcze inne pnące rośliny o bardzo mięsistych liściach i różowych kwiatkach. Dalej, ku morzu, rudy brzeg się urywa, parę drzew z daleka przypominających jałowce i dalekie morze w świetle *zupełnie cytrynowym*, jakiego nigdy nigdzie nie widziałem. Niebo jest kanarkowego koloru, woda blado żółta ze smugami sinymi. Na ławkach żołnierze, Murzyni, uśmiechają się do mnie przyjaźnie wszystkimi zębami, pary białych z dziećmi leżą na płask na trawie, zmęczone, zgaszone.

Chcę trafić do Medyny, dzielnicy czysto murzyńskiej. Pytam o drogę białego w hełmie tropikalnym, przed gmachem który wygląda na koszary. To inteligentny, młody lekarz, paryżanin, odbywający tu swoją służbę wojskową. Stawiam mu kilka pytań dotyczących Murzynów. Odpowiada mi faktami, cyframi, mówi z nieukrywaniem zapałem: „Słusznie porównuje ich pan do dzieci. Oni, jak dzieci, *wiedzą* z kim mają do czynienia. Musi pan ich ukarać, jeżeli coś przeskrobia, inaczej pan straci twarz. Ale niech pan spróbuje któregoś z nich ukarać niesprawiedliwie. Jest pan wówczas zdyskwalifikowany. Przyglądają się panu przez parę tygodni, jeżeli panu uwierzą nie znajdzie pan bardziej sobie oddanych, dziecinniej, całkowicie oddanych ludzi. Jeżeli chodzi o pacjentów to sobie trudno wyobrazić czym dla nich jest lekarz. To jest bóg. Dostajemy dary wprost żenujące, ja już parę razy dostałem, niech pan zgadnie co? Gri-gri. Nie zna pan? Nie widział pan? Ależ to jest to co dla nich najcenniejsze. Prowadzi mnie do swego pokoju, wyciąga i pokazuje sznurek, a na nim parę przedmiotów, wielkości śliwek, obszytych czarną skórą, niezdatnych. W tych skórzanych medalikach, bez śladu estetyki, bywają teksty koranu, kilka włosów lub kawałek zęba. Gri-gri jest na wszystko: przeciw chorobie, przeciw bezpłodności, przeciw niebezpieczeństwu. Tutejsi czarownicy majątki robili na gri-gri, które za wielkie sumy zakupywali wyjeżdżający do Indochin żołnierze. Lekarz przedstawia mi murzyńskich pielęgniarzy. Zachwala ich wielkie zalety, wskazuje na ogromne różnice typów i charakterów różnych szczepów, pokazuje mi to na przykładach, ale patrzę jak głupi: jedni więksi, drudzy mniejsi, ale w półmroku wieczornym wielkiej izby-biura nie umiem wiele rozróżnić. Budynek stoi na tejże skarpie z której patrzyłem na cytrynowe niebo. Skarżę się na zapach. Młody lekarz śmieje się: „Bardzo prędko można się do tego przyzwyczaić. Od świtu tłumy Murzynów przychodzą załatwiać się na te plaże przed nami”. Nadjeżdża inny lekarz. Ten urodził się w Libanie i całe dzieciństwo tam spędził. Jest z młodą blondynką. Zwraca się

do mnie: „Wy możet gawaritie pa ruski?”. Okazuje się, że to Rosjanka, Tania — już 18 lat swego niewiele dłuższego życia spędziła w Dakarze. Zaprasza obu lekarzy i mnie do siebie. Mieszka z matką, starszą panią z białymi lokami. Kiedy mówię do matki po rosyjsku, uparcie odpowiada mi po francusku. Chcę koniecznie wydobyć z niej jak tu trafiła. Mąż jej był rozbitkiem z armii Wrangla, lekarzem. Wylądował w Tulonie i był tam przez parę lat motorniczym tramwajowym, potem dopiero trafił do Afryki jako lekarz. Staram się dowiedzieć więcej. Pamiętam emigrantów rosyjskich z tamtych czasów, także z armii Wrangla, internowanych w Marsylii. Ale pani w białych lokach opowiada mi jak to jeździła statkami jako żona lekarza zawsze pierwszą klasą, jak to o 12-tej w nocy piło się zawsze szampana i jadło ostrygi. „C’était si intéressant!”. O dawnych czasach mówić nie chce. Wspominam tę armię rozbitków. Odwiedziłem ich obóz w Marsylii w 1925 czy 1926 roku. Dowodził nimi pułkownik piechoty. To były resztki resztek. Pułkownik przyjął mnie grzecznie jak dziennikarza zagranicznego, oprowadzał po barakach. Stoi mi jeszcze w oczach jeden kozak z ogromnym czubem, otoczony liczną dzieciarnią, szewc czy krawiec obozu. Domki-baraki sklecone w kwadrat na tym słońcu lipcowym Marsylii, wyschłe, mizerne roślinki koloru słomy i wszystko przysypane białym jak kreda kurzem. Jechałem z dołu, ze starego portu. Baraki stały na pustym placu w górnej części miasta, tam w dole nabite sklepy, stopy owoców, marynarze, kobiety rozmaitego autoramentu, tłum kolorowy, buchający wolą życia i użycia. Tu na wzgórzu nad Marsylią — ta wyspa śmierci.

Kiedy pułkownik dowiedział się, że jestem Polakiem, ton jego nie przestał być uprzejmy, ale stał się z lekka protekcyjny: „Znam, znam. Walczyłem w Polsce w 1915 roku nad Stochodem; *Polsza, Rassiji mładsza siostra*” — powiedział emfatycznie. Właśnie z 15-go roku sam jeszcze ten slogan pamiętałem. Ja wtedy bardziej niż kiedykolwiek byłem pełen patriotycznego optymizmu. Polska pełna prężności, młode mocarstwo i ta protekcyjność człowieka z wyspy umarłych, który ciągle jeszcze rozumował kategoriami potężnej, carskiej Rosji, zdała mi się typowa i godna litościwego uśmiechu. Przeszło nawet nie 30 lat i ja teraz tłukę się po świecie jak ojciec Tani, czy ten pułkownik, i jakże łatwo mi przychodzi wyobrazić sobie innego pułkownika — polskiego na odmiannę — operującego kategoriami, które dla człowieka z boku zdają się niezrozumiałe i nawet śmieszne pompatycznością i zupełnym zamroczeniem, gdy chodzi o diagnozę „dziś” i „teraz”. A przecie to co się przede wszystkim wydaje

cudzoziemcowi skostnieniem to, przeniesiona przez takie czy inne piekło, także forma wierności.

Gościnni Francuzi wiozą mnie do Medyny. Wsiadam i natychmiast oczarowanie. Setki chat z zbitych desek, pomalowanych na różne kolory: zielone, niebieskie lada oświetlone małymi lampkami o ostrym świetle. Za tymi ladami stojące kobiety sprzedają góry owoców, jakby wielkie zielone podłużne pomarańcze, handlują również napitkami. Mężczyźni w białych i niebieskich płaszczach, długich chitonach, albo w rozchełstanych koszulach i portkach europejskich. Moi lekarze są wszędzie witani jak serdeczni znajomi, z dziecinną ufnością. Próbuję rysować kobietę przy ladzie w niebieskim turbanie i białej sukni. Gdy inni widzi rysującego, schyla się nisko, wstydliwie się uśmiechając. Widzę, że ma na plecach przymocowanego rocznego chłopaka, jak z czekolady. Mówię mężowi, który stoi obok, że ma piękną żonę. Wybuchu wesołym śmiechem, jakbym powiedział lepszy dowcip. Degas w liście z Luizjany opisuje czarne kobiety z dziećmi na rękach, zachwyca się egzotyką i mówi, że trzeba wracać, wracać, piłować w swoim kącie. Nie daje się unieść zachwytowi i wraca zawsze do tych samych do śmierci motywów tancerek i każdy ich ruch całe swe długie życie studiuje. Ja tu próbuję notować ten świat dla mnie tak nowy, jakby dla mnie stworzony. Piękność tego życia jest zupełnie nieświadoma, na pewno nie urządzona i tym tak fascynująca, ale z moich rysunków nie wychodzi nic, czy prawie nic.

Powrót na statek. Do tego tłumu, który ciągle jeszcze, poza jednym Niemcem, wydaje mi się obcy zupełnie. Dotychczas zauważyłem jeszcze Żyda z Izraela, który również z moim Niemcem rozmawia. Oni obaj stworzyli sobie swój rytm. Nie wiszą na programach dnia, którym się wszyscy z nabożnym entuzjazmem poddają, ani na pośpiesznie organizowanych flirtach. Dla większości czas podróży na statku się „nie liczy”. Jest poza odpowiedzialnością, poza jakąś ciągłością. Teraz albo nigdy, nie tylko można, ale trzeba żyć jak człowiek, którego głównym celem życia jest zabawa. I stary właściciel drukarni z Buenos Aires, który 24 lata temu wyjechał z Żółtkwi, i włoski opalony zdobywca, i emeryci, Niemcy i Włosi, jadący do swych dzieci co się tam dorobiły, i gruby francuski handlarz konserw — wszyscy chcą się bawić. Już dzisiaj ogłoszono, żeby się przygotowywać do wielkiego balu na równiku i żeby podawać nazwiska tych, co chcą być na równiku „chrzczeni”.

14 maja. — Sobota. Msza w kaplicy 2-giej klasy. Tłum

zakonnice, które widzę po raz pierwszy, widocznie większość z nich nie opuszcza kabin. Kaplica pełna, wiele Włoszek i Hiszpanek. Ta sama aura modlitwy co w Barcelonie, wrośnięta w obyczaj. Tłum śpiewa „La piu bella Stella...” jak u nas „Serdeczna Matko”. W kaplicy wielki obraz: Chrystus, tuzin aniołków, Matka Boska, Św. Franciszek. Wszystkie twarze mają ten sam wyraz pół-królików, pół-sarenek. Gdzie ja takie same twarze widziałem? Ach, tak, w salce-czytelni. Na ścianach dziewczyna o czerwonych włosach, w ciemnoniebieskiej bluzeczce, z piersiami jak mandarynki, młodzieniec w swetrze pomarańczowym w niebieskie paski. Oboje piszą gęsimi piórami: to fragment wesołej, naprawdę gustownej dekoracji ściennej z malowanym statkiem, gwiazdami morskimi, etc. Wyrazy twarzy są dosłownie te same na obrazach religijnych i świeckich. Rana ręki Chrystusa gwoździami przybitej jest wyrażona równie „gustownie” jak na dekoracji świeckiej gwiazda morska. Ta czerwona gwiazda geometryczna na ręku Chrystusa jest dokładnie tego samego koloru co włosy panienki z piersiami jak mandarynki.

Co to ma do czynienia z malarstwem *religijnym*? Czy ten Chrystus Zmartwychwstający, mała rzeźba na ołtarzu w najbatalniejszym stylu Saint Sulpice, nie jest przecież bliższy przeżycia religijnego niż ta „smaczna” dekoracyjność! W Barcelonie, w muzeum, Chrystus z XVI wieku w szacie niebieskiej, z oczami niepodobnymi do żadnych oczu ludzkich, nawet ta Madonna barokowa z XVIII wieku, w kościele barcelońskim, kąpiąca od złota, z przestraszoną twarzyczką — trzy światy, trzy różne wieki, ale nie ma wątpliwości, że to światy przeżyć religijnych, a ten Chrystus *moderne* ze zgrabną gwiazdką zamiast rany — nie znaczy nic.

Poza Rouaultem i chyba rysunkami męki Chrystusa Buffeta nie widziałem współczesnej sztuki religijnej. Nawet nie Matisse.

15 maja. — Niedziela. Pogoda szara, duszna, długie godziny na leżaku, jeszcze Abellio, książka coraz to wroga mi w swej okrutnej „astronomii”, to bliska mi przecie, może nie tyle bliska ile pociągająca świadomością, więcej — wiarą w bezgraniczne możliwości i wymiary człowieka. Czy można się interesować ruchami umysłowymi, które dotyczyły młodzież Europy przed 1939 rokiem, pomijając świadectwo Abellia? To operowanie kontynentami, te przyjaźnie komunistów z faszystami, finansjery z rewolucją, ludzi, których łączyło jedno — nienawiść do bezsilnej demokracji; zbrodniarze byli dla nich lepsi, bo mieli wyobraźnię. Wołanie o katastrofy, o nową ludzkość mającą się uro-

dzic z „szarugi krwi”. U Abellia mowa o sojuszu niemiecko-rosyjskim z 1939 roku jak o czymś najzupełniej zrozumiałym, prawie dobrym kawale. Śmiech, śmiech pogardy dla naiwniaków, którzy w tym widzą zdradę czy podłość...

W całej grubej książce Polska nie jest wspomniana ani razu. (Tak samo jak u Abellio nie spotkałem zresztą wzmianki o Polsce u Simone Weil). Może dlatego nie jestem dziś w stanie dać się porwać tym „waporom” profetycznym, bo ja byłem z tych głupich Polaków, których Niemcy mordowali, wywozili bolszewicy i też mordowali, a Francuzi prowadzili *une drôle de guerre*, a najinteligentniejsi z nich, jak Abellio, jak Drieu⁴ robili plany na miarę świata, gotowi z diabłem się sprzymierzyć.

Ależ ja znałem ten świat. Drieu w latach trzydziestych uroczy, uważny, jego przyjaciel B., fanatyczny wówczas komunista. Drieu był w tamtych czasach już od komunizmu daleki, pisał *Genève ou Moscou*, żonaty z Sienkiewiczówną, myślał o Europie, interesował się Europą centralną, więc także Polską, wtedy napisał piękny wstęp do książki mojej siostry o Mickiewiczu. W ciemnym wielkim salonie-biurze z oknami na wąską ulicę Saint-Louis-en-l'Île czytał mi tekst skrajnie pacyfistyczny, gdzie obiecywał już nigdy karabinu nie wziąć do ręki, a jednocześnie nieustannie do tego wracał jak zrobić Europę. To w tamtym okresie zastałem go kiedyś zaraz po powrocie z Rzymu. Wybuchnął nagle, że ma dość tego życia w trumnie, albo na ruinach jak w Rzymie, albo w domach na wyspie Św. Ludwika, które są zmruszałe, nieustannie na nowo podpierane, domy które już dawno muszą być rozwalone, w tej Francji-mumii, z której chciał zerwać *les bandelettes*, te cienkie opaski którymi mumie były od góry do dołu opasywane (jego metafora). W tej Francji, którą znieważał i kochał, stawiał sobie wciąż pytanie czy uwolniona z tych opasek „się jako trup nie zwali”. Ten Drieu, który bardzo młodo brał udział w ataku na bagnety, był sam trzy razy ranny między 1914 a 1918, widział setki ludzi w chwili konania i śmierć kraju była od tamtej chwili jego obsesją — wszędzie szukał dynamiki, szukał siły, wszędzie węszył śmierć.

Spotkałem go, gdy dotarła na Zachód wiadomość o ukazaniu się dekretu o kołchozacji i wieści o masowych wywózkach chłopów. Nie ukrywał swego podziwu, taka prężność, taka decyzja, tyle lat po rewolucji imponowała mu. Widziałem go po raz ostatni, po długiej przerwie, w 1935 roku, u Daniela Halévy.

4. Drieu de la Rochelle, jeden ze sztandarowych pisarzy francuskich międzywojennych.

Gospodarz spytał go nagle: „Widuje się pan często z Niemcami?”. Drieu odpowiedział wymijająco: „Oni są tacy milutcy”. Odprowadzaliśmy się tego wieczoru wzajemnie, był równie uprzejmy jak daleki. Cóż mogły znaczyć dla niego problemy Polski, kraju wciśniętego pomiędzy *takie* kraje dynamiki i światowych ideologii jak Niemcy i Rosja. Cóż mógł dla niego przedstawiać Polak, który myślał kategoriami polskiego małego podwórka i to na pewno już skazanego na zagładę, myślowo „dawanego” Niemcom. Potem przyszła wojna, już w obozie w Rosji wiadomość, że Drieu stał się czołowym kolaborantem. Mój żal wieloletni i tak ostry: „Nigdy, nigdy już go nie chcę widzieć” — mówiłem sobie. Potem już we Włoszech notatka o jego samobójstwie, a później szczegóły, o jego przedśmiertnej samotności, o jego odejściu wewnętrznym od Niemców, zupełnym do nich rozczarowaniu, o jego ostatnim okresie, wschodnich metafizycznych zainteresowaniach, o pokusach, o dwukrotnych próbach samobójstwa i ostatecznym, „udanym”, trzecim samobójstwie. Głód siły i uniwersalizmu ludzi bez siły i wspaniała inteligencja i obrzydzenie aż do wymiotów do małych kombinatorów demokracji z pełnymi ustami frazesów. Hitler był lepszy dla tych ludzi — miał wyobraźnię i wyznawców gotowych umrzeć *et qui étaient si gentils*. Dziś myśląc o Drieu nie odnajduję w sobie dawnego żalu. Ten człowiek był absolutnie bezinteresowny, zawsze angażował się sam, ryzykował i błędził. W pewnej chwili — *zapłacił*.

Imek K. — przyjaciel z Griazowca — opowiadał mi o swoim mistrzu, skromnym lekarzu ze Stanisławowa. Jemu zawdzięcza, że poszedł na medycynę, że do tego zawodu się zapalił. Kiedy Niemcy zdecydowali się zlikwidować Żydów stanisławowskich, zabrali jakich paręset ludzi do lasu i kazali im tam kopać groby dla siebie. Ten lekarz był wśród skazanych. Nagle oficer niemiecki poznał go przy kopaniu. Lekarz wyświadczył mu przedtem jakieś usługi, leczył córeczkę? Oficer kazał mu wystąpić z szeregu i wrócić do Stanisławowa. Lekarz odmówił, wołał zostać, dalej groby kopać z innymi i dać się razem z innymi nad tymi świeżo wykopanymi mogiłami wystrzelać z karabinów.

Co to znaczy? Czym ten gest mógł komukolwiek pomóc, tym Żydom skazanym w zagubionym miasteczku Europy środkowej, o którego nawet istnieniu żaden Abellio i żaden Drieu nie wiedzieli. Gest biednego Żyda coż mógł znaczyć w ich uniwersalnych „zawiłych rachunkach”. Nie umiem wyjść z myślenia o tym wszystkim inaczej jak kategoriami elementarnej dla mnie hierarchii wartości. W przekonaniu, że ten lekarz, który

nie zrobił nic więcej jak to, że dobrowolnie umarł ze swoimi braćmi, waży na wagach świata więcej niż wszyscy ci astronomiczni i tragiczni fanteści, wyznawcy „nietzscheańskiej *Fernenliebe*”.

O tym wszystkim mówimy dziś z S. na leżakach pokładu. S., człowiek szlachetny, był profesorem uniwersytetu we Wiedniu w czasie kiedy mordowano tych Żydów w Stanisławowie i wszędzie, kiedy najmłodszych Polaków — dzieci prawie — z obozu w Buchenwaldzie przyspasabiano na katów, każąc im dźwigać po wioskach i miastach Turynгии dwuramiennne szubienice, na których mogło wisieć z każdej strony po trzech ludzi, kiedy widziano Polaków za zdradę honoru (tą zdradą honoru było, że pozwolili zbiec z obozu towarzyszom i nie zdradzili ich), kiedy Polacy, Żydzi, Cyganie i ileż innych jeszcze ginęli setkami tysięcy zatłukiwani kijami, duszeni, truci, ginęli od śmiertelnych zastrzyków i wprost z głodu i nieludzkiego wycieńczenia.

„Przysięgam Panu” — mówi mi — „nic, nic o takich sprawach nie wiedziałem”. Po długim milczeniu: „Dopiero koło roku 1942 doszły mnie wieści o Żydach mordowanych przez Niemców gdzieś w Rosji, ale było zakazane najsrożej o tych rzeczach mówić i wieści o tym były głuche i niepewne”. Tak mówi S., starając się przypomnieć sobie co widział i ile było winy w nim, że tych spraw nie znał. „... tak, tak, pamiętam, jeszcze w 1938 roku spalono szereg bóżnic, niszczone sklepy żydowskie, tego nie mogłem nie wiedzieć. Młody chłopak, entuzjasta Hitlera, jego rasowych teorii, SS, przyleciał do nas blady, trzęsący się: „Nie, tego nie mogę znieść” — mówił. — „Kazali nam się przebrać po cywilnemu, udawać wzburzony tłum, palić i niszczyć”. (Ludzi jeszcze wtedy nie mordowano, dodaje S., starając się umniejszyć grozę tych faktów). Parę dni potem ten sam chłopiec przyleciał uradowany: „Te rzeczy były widocznie tylko z rozkazu niższych władz, szły od 'złych' podwładnych, to było nieporozumienie, dziś przyszedł rozkaz od władz wyższych, żeby tych praktyk zaprzestać, więc oni u szczytu są widać temu przeciwni”. Słucham go. „Entuzjasta teorii rasowych? Szlachetny?”.

„Opowiem panu historię, która się zdarzyła mojej siostrze we wrześniu 1939 roku. Niemcy zatrzymali się na Narwi. Z trójką drobnych dzieci siostra moja chciała przez Narew przedostać się z wschodu na zachód. Rosjanie właśnie wchodzili do powiatu węgrowskiego, gdzie mieszkała w majątku krewnego. Wiedzano już o grożących wywózkach ziemian do Rosji i szeregu rozstrzeliwań. Siostra chciała uciec pod Kraków. Przy moście siedziała na wozie otoczona przyglądającymi się jej żołnierzami niemiecki-

mi. Czekala czy ja przepuszczą. Odpowiedź przysła odmowna. Żołnierze niemieccy gapili się na wóz i kpili. „Pani mąż pewno generał. Wszyscy Polacy generałowie... Nie w wojsku? Chory na serce? Naturalnie, wszyscy Polacy chorzy, boją się wojować, a my wojujemy wszyscy”. Wśród tego tłumu stał jeden młody Niemiec o rasowej twarzy. Milczał i uparcie patrzył na najmłodszą córeczkę, którą siostra trzymała na kolanach. Dziewczynka miała łzy w oczach, była przerażona i lekko poruszała ustami, modliła się. „Może uratuje, może też ma córeczkę, może ona go wzruszy” — myślała siostra. Nagle Niemiec podszedł: „Proszę pani, ja nie mam prawa przeprowadzić was przez most, ale gotów jestem to zrobić jeżeli mi pani coś przysięgnie, *wenn Sie mir etwas schwören*”. Siostra aż się wychyliła z wozu ku niemu: „Ależ naturalnie, przysięgnę. Zrobię, co będę mogła”... Błysnęło jej w głowie, że może on ją będzie prosił, by się zajęła kimś, by pomogła komuś, kto jemu był bliski. „Musi mi pani przysiąc” — powiedział ciągle patrząc na dziecko — „że dzieci swoje wychowa pani w całkowitej wierności i oddaniu Trzeciemu Reichowi”.

Siostra odruchowo (była ku niemu wychylona) wróciła do dawnej pozycji i odpowiedziała: „Nie, tego nie przysięgnę”. Oficer powiedział wtedy jedno słowo rozkazu: „*Zurück*”. I matka z dziećmi wrócić musiała skąd wyjechała, z uczuciem, że są skazani. Wszystko potoczyło się inaczej. Niemcy nie zatrzymali się na Narwi, poszli dalej, bolszewicy cofnęli się, nie zagrawszy nawet doby w Węgrowskim. Ale to był dialog ludzi, którzy widzieli w tym zakazie wyrok jeżeli nie pewnej to prawdopodobnej zagłady matki z trojgiem małych dzieci. Opowiadałem tę historię wielu ludziom, dla wszystkich, dosłownie dla wszystkich, postępowanie Niemca wydawało się monstrualne, nikt nie próbował nawet wnikać w mechanizm jego odruchów.

Słuchał bardzo uważnie. Nic mi nie odpowiedział. Nie pierwszy raz widziałem tę reakcję na rzeczy które robiły na nim wrażenie.. Reagował zawsze o wiele później.

16 maja. — Pogoda precudna, lekkie obłoki na oślepiającym niebie, prażące słońce, ale świeży powiew. Dziś przejeżdżamy przez równik. Smarowanie mąką, smołą, marmeladą turystów w kostiumach kąpielowych przez Neptuna w papierowej koronie i różne inne idiotyzmy. Bawią się naturalnie dzieci. Ale ta reszta? Dziś, kiedy przejazdy przez Atlantyk są dla wielu tym samym co przejazd tramwajem, administracja każdego statku

przecie seryjnie załatwia ten obyczaj, z którego został „ogryzek” bez smaku.

W chwili gdy cała publika na pływalni wita przebycie równika — w małym barze aż czarno od zakonnic. Jakiś ksiądz do nich przemawia po włosku. Mam wrażenie, że nie trafiłem do baru ale na jakieś zebranie ludzi, którzy nie zapomnieli o katakumbach, którzy żyją w innym świecie. Ten chrzest jest dla nich jeżeli nie aktem bluźnierczym, to w każdym razie gorszącym.

Na leżaku, na pokładzie samotny S. ze swoimi książkami. Układałem się obok.

„Myślałem dużo o tym co pan mi wczoraj opowiadał... To spotkanie siostry... Nie umiem zaraz reagować. Widzi pan, ten młody Niemiec... ten oficer był na pewno *ideowy*, on *wierzył* w wyższą rasę, wierzył, że nie tylko ratuje ale *daje* coś siostrze pana i dzieciom”.

Teraz ja zamilkłem, w pierwszej chwili dosłownie zgorszony. Czy jest możliwy kontakt z Niemcami, jeżeli u najlepszych od-ruchowa reakcja na opowiedziany nagi fakt jest tak różna. Opowiadam mu wówczas o wywiezieniu przez Niemców dzieci z lubelskiego, które też zdecydowano uszczęśliwić, odrywając je od rodziców i wprowadzając w krąg „wyższej rasy”, o zelektryzowaniu nie wiadomo jak zmobilizowanej Warszawy na ratunek tych dzieci. W godzinach gdy pociąg stał na warszawskich bocznych torach⁵, wykradano je z wagonów; nieznani ludzie, nieznane dzieci, w śmiertelnym niebezpieczeństwie ratowano od szczęścia „wyższej rasy”.

Niemiec słucha bardzo uważnie i znów milczy.

Im więcej myślę wstecz o naszej rozmowie, tym większy mam szacunek dla mego rozmówcy. On *znał* tę młodzież, obałamucną teorią rasy, w oczy jej patrzył, młodzież, która umierała dla tej rasy, identyfikując ją z ojczyzną (*Sie sind gefallen weil sie ihre Heimat liebten*⁶ — ten napis widziałem na opuszczonym cmentarzu z tamtej jeszcze wojny, na Huculszczyźnie). Ten wnikliwy człowiek próbował nie sądzić, a zrozumieć i mnie pchnąć ku zrozumieniu i wyrozumieniu. Ale czyż nie wiedział, że młodym chłopcom tacy sami oficerowie kazali patrzeć na niewinnych, rozstrzeliwanych na placach warszawskich, że kazano im kopać konających bojowców dla zahartowania, że młodzież ta robiła wyprawy pod kierownictwem starszych na cmentarze, gdzie

5. Korboński, *W Imieniu Rzeczypospolitej...*

6. Polegli, bo kochali swoją ojczyznę.

kazano im łącać wszystkie krzyże i niszczyć pomniki. (W Mor-dach, w Siedleckim — młodzi SS tak zniszczyli cmentarz i poła-mali na kawałki Madonnę, przed którą od lat dzieci przychodziły na wieczorną modlitwę).

Pod wpływem S. analizuję siebie. Gdzie jest *granica* między tym co Niemcy dźwigają od Hitlera jako współodpowiedzialność za zbrodnie reżymu i tym co każdy z nas dźwigał i dźwiga. Czyżby to była tylko różnica ilościowa? Czy zbrodnia w imię sprawy, idei, zasad mniej niehumanitarnych jak hitleryzm jest mniejszą zbrodnią, bardziej wybaczną? Dziś wiemy, że w Łucku polska policja torturowała politycznych, opis tych tortur znajduje się w tak wiarygodnej książce Weissberga-Cybulskiego. Przypomi-nam sobie, że zabiegałem u szczytów hierarchii policyjnej przed 1939 rokiem o komunistę, przyjaciela jednego malarza. Otrzy-małem po paru miesiącach uprzejmą odpowiedź, na pięknym pa-pierze, że sprawa jest w badaniu. Czy nie daje mi to możliwości zrozumienia, czym była *tajemnica* obozów w Niemczech? Pod-świadoma obrona przeciętnego Niemca (i moja) by nie wiedzieć więcej. „Przysięgam panu, że o tym nie wiedziałem nic” — słyszę jeszcze głos S. Pacyfikacja ukraińska, wiedzieliśmy o niej, za mało wiedzieliśmy. Wiedzieliśmy jednak również o jej okru-cieństwie. Czy moja reakcja wychodziła poza liberalne oburzenie, które mi do tego jeszcze niczym nie groziło, bo w Polsce nie było Hitlera?

Od czasu długich rozmów na leżakach pokładu z S., pierw-szym Niemcem, z którym mówiłem zupełnie szczerze, sprawa odpowiedzialności niemieckiej nie przestała wcale dla mnie istnieć, ale stała się mniej wyłączna. Kto z nas nie jest współod-powiedzialny? „Polacy złote ptacy...” to za łatwe i za wygodne.

Gran ballo, bal *monstre* na równiku. Kostiumy, serpentyny, huczna orkiestra, wszystko na chwałę równika. Szał tańca i za-bawy. Patrzę na młodzież: roztańczoną, wirującą, tworzącą łań-cuchy, węże, kółeczka, śpiewającą chórem włoskie, hiszpańskie pieśni. Nawet starzy są porwani tym wirem i nawet oni, kwa-dratowe baby, mężczyźni o cerach kadawerycznych czy malino-wych, nie wydają mi się śmieszni. Przestałem ich widzieć jak na początku, jak okropne stado krabów i jaszczurek. Biorą udział w niewinnej orgii młodzieży i mają miny szczerze za-chwycone.

Królową jest młodziutka dziewczyna, Włoszka z Modeny, w sukni z białej koronki, o bardzo śniadej cerze, zgrabna, ma toczony kształt i wielkie czarne oczy. Nazywam ją Bisia. Tań-

czy z młodym, ciężkawym Urugwajczykiem, ani on, ani ona nie widzą dosłownie nic poza sobą. Ich twarze są jakby oczyszczone szczęściem, szczęściem prawie tajemniczym. Dlaczego i na tę parę nie umiem patrzeć błogo? Znowu widma. Widzę inną kobietę, do niej nawet fizycznie uderzająco podobną. Ta sama kruchość i rasa, te same lekkie woreczki pod oczami, uśmiech nieśmiały, jakby z innego brzegu, to samo spojrzenie — ładunek szczęścia. *Przecie to było wczoraj*. Jej małżeństwo z wielkiej wzajemnej miłości, dzieci — nagła choroba umysłowa męża, to gwałtowna, to zaleczana, jej obecność przy nim nieustanna i niezbędna; wojna, wkroczenie bolszewików, ucieczka z piątką dzieci, on porwany, pierwsze rozstanie, wywieziony, okrutne słuchy, i głucha cisza, a potem jeszcze dwa lata Ravensbrück.

Dziś ona cichutka, w szpitalu na wspólnej sali, suchoty; dwa lata nakazanej całkowitej nieruchomości. Od tamtej chwili rozstania nikt nie widział jej uśmiechu, nie słyszał słowa skargi.

Dogoniły mnie widma.

(*Kultura* nr 12/98, 1955)

CZĘŚĆ TRZECIA
LUDZIE I KSIĄŻKI

„J A”

„Bonaparte est en France...
mon estomac se ferme”.

Maine de Biran

Schopenhauer pisał, że jak nie mamy czasu przyjrzyć się uważnie kto z dwóch rozmówców jest głupszy — wystarczy rachować, który ile razy powiedział słowo „ja”. Ten, który mówi słowo „ja” częściej — jest głupszy.

Pod wpływem tego, między innymi, zdania, powtórnego mi w dalekiej młodości, miałem zawsze, gdy tylko pisałem cokolwiek do druku, stosunek niepewny do wszystkiego co trąciło wyznaniem. A przecież wcale nie jest to tak proste jak Schopenhauer złośliwie ujął. „Ja” — mówią i piszą bardzo często (nieraz za często) nie tylko durnie, a do tego wszelka literatura jest formą bardziej lub mniej zamaskowanego wyznania. Przecie nawet Flaubert, gdy go pytano kim jest Pani Bovary — powiedział:
— *Madame Bovary, c'est moi.*

Turgieniew pisze złośliwie, że ludzie z zainteresowaniem mówią o wielu rzeczach, z *apetytem* — tylko o sobie.

— Więc nawet o sobie mówić nie wolno — skarży się Rozanow, atakując gwałtownie Turgieniewa za tę właśnie niewinną złośliwość.

W Iraku dałem do przeczytania Adolfowi Bocheńskiemu moje giazowieckie odczyty o Prouście (*Kultura* nry 12 i 13). Wspominam w nich, że pisarz, niezrozumiały dla mnie na początku, ujawnił mi się i olśnił dopiero gdy go czytałem w okresie długiej, bezczynnej rekonwalescencji po ciężkim tyfusie. Bocheński przeczytał mój kajet, obsypał mnie — jak on to umiał — przesadnymi komplementami i zakończył nieoczekiwanie ostrą wymówką:

„Jak mogłeś pisać o *swoim* tyfusie. Co to kogo może interesować, że ty miałeś tyfus”.

Kiedy tu, w Paryżu, dałem do oceny rękopis mojej książki *Na nieludzkiej ziemi* pisarzowi francuskiemu¹, do którego czujnego smaku mam największe zaufanie, postawił mi jeden zarzut przede wszystkim:

— Dlaczego pan tak rzadko mówi „ja”? Szkodzi to bardzo pańskiej książce. Czytelnik musi wiedzieć z kim ma do czynienia. Niech pan zauważy, jak często pisarze używają słowa „ja”, i tu ironicznie zaczął naśladować namaszczenie i „pompę”, z którym to „ja” wciąż wysuwają niektórzy z jego kolegów. „Ale niech się pan tym nie zraża, we wspomnieniach, w opowiadaniach swych przeżyć, 'ja' jest konieczne. Czytelnik musi mieć do pana stosunek, jeżeli pan chce, aby się pańskimi wrażeniami, obserwacjami interesował. Niech pan częściej pisze 'ja' ”.

No i bądź tu mądry!



Chcę dziś mówić o tej formie literackiej, gdzie „ja” jest nie do uniknięcia, o pisarzach, dla których ta gorsząca Bocheńskiego mieszanina problemów najbardziej generalnych z przeżyciami najbardziej intymnymi była stylem ich myślenia i odczuwania. Chciałbym tu zastosować w zwężonym zakresie zdanie z pamiętnika Brzozowskiego: „co nie jest biografią — nie jest w ogóle”. Dla tych pisarzy ich myśli o świecie były ich biografią na równi z ich trawieniem, troskami materialnymi czy analizą swoich osobistych uczuć czy potknięć. I nie warto ich czytać, jeżeli się ich również nie zasymiluje jako części *własnej* biografii.

O bajkach z tysiąca i jednej nocy, o *Mémoires* Saint Simona pisał Proust, że jest do nich *supersticieusement attaché, comme à mes amours*. Do tych paru książek-wyznań, rozrzuconych na przestrzeni stu kilkudziesięciu lat, jestem również *supersticieusement attaché comme à mes amours*, odczuwam je również jak część własnej biografii. Te dzienniki, te kartki z notatników, francuskie, polskie, rosyjskie, *karmiły mnie*, uczyły, towarzyszyły wewnątrznie, upokarzały czy dodawały otuchy. Kiedyś chciałbym o tym świecie napisać szerzej: od Amiela aż po ostatnią genialną Simone Weil (bo i jej notatki nie przeznaczone dla druku to jeszcze „ja”, ale „ja” skazane na zniszczenie, na zagładę na drodze mistyki i zupełnego całopalenia).

1. Daniel Halévy.

Nie umiałem nigdy się gorszyć, odwrotnie, pociągała mnie ta mieszanina dziennika, drobnej osobistej przygody i wielkich zagadnień, ta bliskość fizjologii i metafizyki. Ze znanej mi tylko częściowo ogromnej literatury „intymnej” dziewiętnastego i dwudziestego wieku wybieram parę książek tak bardzo różnych światopoglądem, *klimatem*, a tak bliskich w czymś najważniejszym, w widzeniu najbardziej generalnych zagadnień, w przełamaniu poprzez *swój* intymny świat wewnętrzny.

Gdzie się zaczyna w Rozanowie „filozofia”, gdzie się kończy wyznanie lub prywatna strona anegdotyczna? Wszystko jest nie tylko pomieszane ale dosłownie stopione: ukradzione kalosze i futro na zebraniu rewolucyjnym w 1917, Apokalipsa, „kurtyna zapadająca ze zgrzytem nad historią rosyjską”; a Maine de Biran przybliżył nam wypadki historyczne, notując je równocześnie ze swymi na nie reakcjami nie tylko psychicznymi ale i fizjologicznymi. Dowiaduje się nagle, że Napoleon (dla niego najgorszy z tyranów) wylądował znowu we Francji (1815 r.) i pisze w swym nieodstępnym dzienniku: „Bonaparte jest we Francji... zamknął mi się żołądek”.



Maine de Biran 1766-1824.

„Odczuwam coś w rodzaju asfikcji z tomem Birana i jak zwykle paraliżu przez asymilację, urzeczenia przez sympatię, współczuję i boję się mego współczucia, bo czuję, jak bardzo jestem bliski tych samych cierpień i tych samych błędów”.

Tak pisze o dzienniku Maine de Birana Amiel, autor drugiego *Journal Intime*. 14.000 stron dziennika Amiela były niezliczone razy cytowane, omawiane. Tołstoj, Renan go cytowali, Thibaudet, Du Bos i wielu innych, których nie znam, pisali o nim studia. Amiel i Maine de Biran, według Du Bosa, to dwa barometry, najsubtelniejsze ze wszystkich istniejących, notujące wszystkie drgnienia doznań duchowych człowieka.

Saint Beuve (który stawia Birana tuż przy Fenelonie i Pascalu), jak i Amiel znali tylko fragmenty dziennika Birana (teraz mamy dwa wielkie tomy jego *Journal Intime*, które się ukazały po 1930 roku dopiero, i tu jeszcze został Biran przez wydawcę poważnie skurtyzowany).

Co tak przykuwa w dzienniku, właściwie monotonnym, pełnym nawrotów, powtórek, faktów drobnych z życia, opisanych dość bezbarwnie, miliona postanowień niedotrzymanych? Kim był ten filozof? Uczeń sensualisty Condillaca, Biran miał wpływ

zasadniczy na Cousina i spirytualistów XIX wieku. Syn lekarza z Bergerac, członek gwardii Ludwika XVI, nie opuszcza Francji po rewolucji, jest administratorem Dordogne w czasie Dyrektoriatu, posłem do Rady Pięciuset w 1897, podprefektem za Cesarstwa i posłem do Izby za Restauracji, aż do śmierci. Jego życie osobiste ma okresy tragiczne. Żeni się w 1895 ze swą kuzynką Luizą Fournier de Fardech, kreolką, żoną zmarłego jakoby w Niemczech emigranta. Po 8 latach szczęśliwego współżycia Birana z żoną (mają ze sobą troje dzieci) wraca jej pierwszy mąż po 11 latach emigracji; śmierć jego okazała się plotką. Luiza nie może znieść tragicznej sytuacji, dostaje obłędu i umiera.

Ale 2 tomy dziennika który do nas doszedł to prawie wyłącznie okres wieku dojrzałego (1813-1824). Młodość minęła, Biran ma już ponad 45 lat, ożenił się po raz drugi i dziennik płynie równolegle z jego życiem, obarczonym dostojeństwami i obowiązkami, usatkwowanym — w Izbie gdzie jest deputowanym, w wielkim świecie Francji, politycznym i naukowym z czasów Restauracji, w kole rodzinnym.

Patrząc na tę twarz z portretu Duvivier, delikatny owal, nos za długi, ale bardzo piękne oczy i usta tak subtelne, że aż prawie kobiece. Ile spokoju, ciszy w tej twarzy. Przystojny? Chyba nie, ale na pewno uroczy. Dziennik Maine de Birana to przede wszystkim notowanie powolnego rozkruszania się sił fizycznych, które filozof odczuwa jak najbardziej dotkliwie. Ci, którzy go znali w ostatniej połowie jego życia, nie odnajdywali — jak pisze Saint Beuve — w tej postaci wysokiej, trochę zgarbionej, w tej twarzy wymęczonej, której sam koloryt cery świadczył o cierpieniu — nawet śladu dawnego uroku.

Ani wielki polityk, ani żaden bohater, chorowity czy prędeż wciąż na zdrowie narzekający Maine de Biran do końca swego życia cierpi na bardzo mizerne ułomności ludzkie: jest próżny, namiętnie pragnie się każdemu podobać, głupieje, jak tylko czuje w swoim otoczeniu niechęć. Na tle tych nienasyconych i dosyć mizernych ambicji, na tle próżności doznaje co dzień drobnych upokorzeń. Jego świetna obserwacja wszystkiego co go dotyczy osobiście odkrywa mu każdy uśmiech niechętny, każdą własną niezręczność i śmieszność, wyolbrzymiając znaczenie drobnych gestów, dotkliwie w nieustannych nawrotach trapi się i cierpi. Sto lat przed Proustem notuje z tym samym precyzyjnym, „nie-ludzkim” oderwaniem przeżycia najbardziej osobiste. Anna de Noailles pisze, że Proust po śmierci ukochanej matki przesłał do niej list, w którym jej śmierć była opisana w sposób tak dotkli-

wie realistyczny, że poetka wyczuła to prawie jak świętokradztwo (ten opis trafił potem, zaledwie przetransponowany, do opisu śmierci babki w *A la recherche*).

Ale u Birana to spojrzenie „niehumanitarne” jest właściwie skierowane *tylko* na świat wewnętrzny samego filozofa. Własną degradację, własną śmieszność notuje filozof równie beznamietnie, z tą samą zimną drobiazgowością, z którą Proust przed śmiercią spisywał objawy własnej choroby, bo się mogły przydać dla opisu śmierci Bergotte’a. To co Maine de Biran zapisuje w swym *Journal Intime*, swoje cofanie się pamięci, sił skupienia, zdolności promieniowania, wnikając w swój świat wewnętrzny, jest niechybnie ściśle.

Jest scena niezapomniana, kiedy Maine de Biran opisuje swoje przemówienie w Izbie, „*cette terrible Chambre*”. Dostaje nerwowej gorączki przed wystąpieniem, już na trybunie wysila się, żeby krzyczeć, ale nikt go nie rozumie i on nagle przestaje rozumieć co mówi, i w całym tym strachu i upokorzeniu nie może się oderwać od trybuny, choć już się zupełnie zaplątał. Scena prawie z Kafki.

Innym razem opisuje, jak w ucieczce przed sobą, w poszukiwaniu, w pogoni za przeżyciem, rozrywką, objeżdża jednego wieczoru 8 salonów i wszędzie znajduje tylko nudę i pustkę, wraca do domu, upustoszony i do siebie obrzydzony.

W miarę wieku wzrasta w nim nurt religijny. Poprzez stoicyzm, poprzez Marka Aureliusza idzie do Pascala, Fenelona, Bossueta. Coraz to cytuje Naśladowanie, Listy św. Pawła. Coraz częściej w notatkach jego przewija się jęk do Boga „bez którego człowiek nie może nic”.

Jeżeli scena w parlamencie jest świetna, to dlatego, że ostrze obserwacji jest znów skierowane na niego samego. Izba jest mglistym tłem jedynie. Gdy Biran mówi o ludziach, z którymi obcuje, o wypadkach politycznych, jest przeważnie zupełnie banalny. Wypisuje jak w kalendarzu spotkania z najwybitniejszymi politykami, filozofami, uczonymi, jada obiady z Talleyrandem, Chateaubriandem, Royer Collardem, Amperem i Cuvierem. Ale nie można z tego wyczuć ani koloru, ani ciężaru tych spotkań. Tylko gdy wpatruje się w siebie, staje się znaczący i odkrywczy. Narcyz? Bynajmniej. W narcyzmie kryje się moment zachwyty nad sobą, którego tu nie ma śladu. Może *był* narcyzem, ale w wieku dojrzałym *placi* za to i widzi na swej twarzy, wpatrzony w lustro dziennika, tylko zmarszczki i znaki rozkładu.

„Kto może mnie kochać, kiedy ja sam nie jestem w stanie siebie znieść” pisze krótko przed śmiercią... „kiedy czuję, że

jestem niczym, że moje istnienie graniczy z niebytem, że żyję zaledwie moralnie i fizycznie”.

Wcale nie ciosy potężne pogłębiają wewnętrzną rozterkę Maine de Birana, ale liche ułucia dnia codziennego ranią go, upokarzają i znowu i znowu anihilują.

Powierzchniwnie sądząc, o ileż tragiczniejsze jest życia Prousta, choroba ciężka przez lata, a nie drobne dolegliwości, samotność prawdziwa, w ostatnich latach stara służąca, trochę przyjaciół, od których odcięty jest chorobą i pracą (M. de Biran otoczony do końca kochaną i kochającą rodziną, licznymi przyjaciółmi), ale u Prousta ani śladu tego niedosytu. Proust żyje *cały* dla swego dzieła i życie swoje odczuwa jedynie już jako funkcję powstającego dzieła, w którego wielkość, od chwili jak mu się oddał całkowicie, zdaje się nigdy nie wątpić. Proust jest wyżyty. Czy jest szczęśliwy? Ależ na pewno tego zapytania nawet sobie nie stawia, o jedno tylko mu chodzi: *zdażyć*. Skończyć swe dzieło, *zwyciężyć* w wyścigu ze śmiercią.

Ale wracając do Birana: czy można nazwać porażką życie człowieka, którego świadomość co roku się pogłębia, którego dziennik Saint Beuve nazywa „dziennikiem gorączki moralnej, związanej z rośnięciem (*fièvre de croissance*)”, kiedy w ostatnich latach codzienna męka Birana jest coraz bardziej podszyta kontemplacją.

Myśląc zwyczajnie, na planie ludzkim, życie Maine de Birana *było* porażką. Jako mąż stanu był na pewno trzeciorzędny, jako polityk i taktik również (za którychś wyborów przepadł, bo chcąc być najbardziej *fair play* wypowiedział na zebraniu wyborczym mowę pełną pochwał na cześć swego przeciwnika). Jako filozof, jeżeli sądzić według tego, co pisze, nie napisał nawet części tego, co chciał. Człowiek urodzony dla pracy naukowej, filozof wielkiej miary, twórczo niewyżyty, spędza niezliczone godziny w obcej mu pracy politycznej, w której go z czasem traktują z całym szacunkiem, ale przecież jako figurę trzeciorzędną, w setkach stosunków z ludźmi, z których właściwie nic prawie nie wynosi. Gdyby się ostatecznie zdecydował pracę tę rzucić, ale nie, przykuty jest do niej i ciągle narzeka. Ale może powinniśmy *pragnąć* takiej porażki, która ze światowca, inteligentnego czarującego bawidamka, polityka zajmującego wysokie stanowisko i przyjmowanego we wszystkich salonach zrobiła człowieka tej głębi i tej cudownej wewnętrznej pokory.

Swe filozofie, swe psychologiczne argumenty wyprowadza Maine de Biran z analizy swych doznań i z obserwacji jednej istoty — samego siebie. Polemizując z Bonaldem twierdzi, że

w ogóle nie można podchodzić *ex-abrupto* do pojęć moralności czy teologii, bez baz wiedzy, abstrahując od cech czysto indywidualnych „ja” ludzkiego. Biran widzi w Bonaldzie inteligencję mocną, świetną, ale obcą medytacji i na zupełnie mylnej drodze. „Te umysły systematyczne bez miłości, bez potrzeby ani poczucia prawdy, ale jedynie z *potrzebą działania i robienia wrażenia na zewnątrz**, operując zawsze według niego językiem, nomenklaturą daną, a nigdy własną wypracowaną, wpadają w błędy materialistów, których zwalczają”.

„Jakże nie powracać wciąż — pisze dalej M. de Biran — ku wielkiej tajemnicy własnego istnienia przez samo zdziwienie, które ono budzi w każdej myślącej istocie”.

Nieustanne *zdziwienie*, owoc nieustannej *uwagi*, to *premier vu*, niechybny znak twórczego widzenia („trzeba patrzeć na naturę jakbyśmy ją widzieli po raz pierwszy i jakby nikt inny przed nami jej nie widział” — mawiał Cézanne) cechuje przede wszystkim monotony dziennik M. de Birana. Uwagi filozofa na tle rozbitego, zagonionego codziennymi troskami życia, na tle niezliczonych i zawsze niedotrzymanych postanowień, smutków, chwil pogodniejszych, poczucia swej nicości i porażek chciałoby się cytować stronicami. Najczęściej są one pod znakiem przygnębienia.

„Wszystkie anomalie instynktu życiowego, który nie jest taki sam w przeciągu 2 chwil z rzędu, wszystkie aberracje mimowolne imaginacji — trzeba znosić to wszystko, to znaczy znosić siebie jak gorączkę” (II 321).

„Gdy człowiek jest młody — pisze w innym miejscu — jest szczęśliwy samym poczuciem że żyje, nie potrzebuje podpórek sztucznych, stanowiska, wszystkich środków pomocniczych, które utrzymują, *podtrzymują to życie, które się coraz ścieśnia i za chwilę runie...*

Ale tuż obok, w tych samych epokach, odnajdujemy także słowa z głębi płynącej pociechy.

„Kiedy żłobimy prawdę, by ją przeniknąć, ona żłobi nas, by w nas wejść i stać się substancją naszej duszy” (II 322).

Jeszcze w kwietniu 1824 (Biran umiera w lipcu tego roku) skarży się na to, że porównując się z ludźmi pozbawionymi życia wewnętrznego, człowiek o głębszym życiu wewnętrznym czuje nieustannie nad sobą ich przewagę; ta przewaga czysto życiowa, sukces, oklaski godności upokarzają go jeszcze „kwadrans” przed śmiercią! „Nie porównywać się żyjąc wśród ludzi to niemożliwe.

* Moje podkreślenie.

Trzeba by mój somnambulizm zrobić jeszcze bardziej całkowitym". (Słowo somnambulizm wraca często). „Jestem somnambuliem w świecie interesów”, pisze w innym okresie życia. „Cóż mi z tego wszystkiego, z tych towarzystw, gdzie idę szukać zapomnienia siebie? Są to środki, fizyczne podniecenia wrażliwości, dają nam przemijający ruch, a chwilę potem rzucają nas w haniebną inercję. Jeszcze w maju 1824 notuje „jakże jest smutno stracić smak do świata i do wszystkich rzeczy dotykalnych i nie zdobyć smaku rzeczy duchowych...”. „Gdyby stan chorobliwy mego ciała miał jako skutek otworzenie mi oczu na sprawy ducha, gdyby zmienił moje serce, byłoby szczęśliwie cierpieć, ale wciąż jeszcze gonię za próżnością, bardziej niż za prawdą. Szukam ludzi, by rozgrzać resztę swych sił fizycznych mdlejących, chociaż ten świat mnie brzydzi, chociaż nie jestem ofiarą żadnego ze złudzeń świata!”

W ostatnich miesiącach wzrasta widocznie jego choroba i wskutek tego stany bezsilności; nie ma już możliwości nawet obserwować siebie tak jakby chciał. Żali się na swą „śmierć antycypowaną”. „Jeżeli człowiek wewnętrzny, pisze znów w ostatnim roku swego życia, jest zmuszony zajmować się sprawami tego świata, nie oddaje się nigdy tym sprawom całkowicie. Nawet w chwilach największego ruchu zewnętrznego ma oko zwrócone wewnątrz siebie; *jest w obecności Boga i siebie samego* i nigdy nie traci całkowicie z pola widzenia tych dwóch biegunów istnienia. I kiedy ruch zewnętrzny się kończy, wchodzi on znowu w siebie i w pełne posiadanie własnego życia. Jak zrobić, żeby nie być nigdy porwanym przez rzeczy, którymi się trzeba zajmować, by nie zatrzymać ruchu wewnętrznego... Boże uwolnij mnie od zła, to znaczy od tego stanu ciała, który obraża, i absorbuje wszystkie władze duszy”.

Ostatnie notatki, ostatni ustęp przed śmiercią:

„W walce codziennej, która napełnia me życie, czekam z cierpliwością, aż nadejdzie wielka przemiana, o której wzdychał Hiob: *Cunctis diebus nunc milito, expecto donec veniat immutatio mea* (Job, ch. IV, V-14). I w ostatnim zdaniu dziennika notuje, że człowiek może się wznosić na drabinie, może się wznosić w hierarchii coraz wyżej, wtedy właśnie, kiedy wychowanie jego będzie skończone, *kiedy śmierć zostanie całkowicie pochłonięta przez życie*”.

Jeżeli Maine de Biran ma coraz to wątpliwości, czy pracę, którą wykonuje wykonywać powinien, bo wie, że ją robi dość lichy, nie wątpi nigdy w znaczenie i wagę swych notatek, które

dopiero więcej niż sto lat po jego śmierci, i to pocięte, doszły do czytelników.

„Kto wie, co może myśl skoncentrowana, czy nie ma Nowego Świata *wewnętrznego*, który mógłby być odkryty pewnego dnia przez nowego Kolumba metafizyki”.

Niektóre strony z dziennika Birana, czy to nie ścieżki prowadzące nas właśnie w ten Nowy Świat wewnętrzny?

„Sądząc jedynie na podstawie tego, co odczuwam — pisze filozof — i oceniając jedynie fakty psychologiczne, zdaje mi się, że jest we mnie zmysł wyższy, jakby oblicze mej duszy, które się chwilami zwraca (i to częściej w pewnych okresach i w pewnych epokach roku) ku łaadowi rzeczy i idei wyższych wszystkiemu, co się tyczy życia powszedniego, wyższych wszystkiemu, o co dba świat i co ludzi wyłącznie zajmuje. Mam wówczas wrażenie wewnętrzne, przecucie (*suggestion*) pewnych prawd, które się wiążą z łaodem niewidzialnym, z formą istnienia lepszego i całkiem innego niż to, w którym jesteśmy²”. Ale stwierdza zaraz, że są to błyski, które nie zostawiają śladu w życiu, że on sam opada natychmiast po chwili takiego wzniesienia. I znów się zastanawia, „skąd przychodzą te sugestie prawd przedziwnych, których wyraz w chwilę potem jest już dla mego umysłu martwą literą”.

Te chwile świadomości oświecają Maine de Birana jak błyskawica.

„Jakaś zasłona pokrywająca mój intelekt nagle się odślania, by zaraz znów opaść” — żali się filozof.

Co daje czytelnikowi ten dziennik człowieka słabej woli, którego bieg życia zależny był jakby tylko od zewnętrznych wypadków, nigdy od niego?

Co powoduje ten wyczuwalny poprzez oba tomy, stały rozwój wewnętrzny filozofa? Jedynie świadomość.

Tu muszę się powołać na Simone Weil, na jej genialne notatki zgrupowane i wydane po śmierci³. W łańcuchu notatek wyznań, notatek-myśli, to ostatnie w czasie ogniwo.

Oto co pisze Thibon we wstępie do jej książki: „Wola jest dobra do zadań służebnych, zapewnia poprawne funkcjonowanie cnót przyrodzonych, które są dla pracy Łaski tym, czym jest

2. Jak tu znowu nie myśleć o Prouście i o jego zdaniu z opisu śmierci Bergotte'a: „Jak gdybyśmy byli podporządkowani prawom sprawiedliwości absolutnej, prawdy i doskonałości wysiłku, powstałym w innym świecie harmonii i prawdy...”.

3. *La pesanteur et la grâce*, Librairie Plon, 1947.

trud oracza przed zasiewem... Jak Platon, jak Malebranche, Simone Weil przypisuje w tej dziedzinie nieskończenie więcej znaczenia *uwadze* niż *woli*". I tu mamy teksty Simone Weil zastanawiające:

„Trzeba być obojętnym na dobro i zło, ale naprawdę obojętnym, to znaczy na jedno i drugie kierować jednakowo światło uwagi. Wtedy dobro zwycięża automatycznie". Całe życie Weil to dążenie do stworzenia „wyższego automatyzmu dobra" przez nieustanne pogłębianie świadomości coraz bardziej oczyszczonej z wygodnych złudzeń, nieuświadomionych zakłamań.

„Wola panuje tylko nad paru ruchami mięśni... błaganie wewnętrzne jest jedynie rozsądne, bo dzięki niemu omijamy konieczność napinania mięśni. Cóż bardziej głupiego jak natężanie mięśni i ściskanie szczęk z powodu cnoty, poezji albo rozwiązywania problemów. Pycha daje taką sztywność". Nie wola a uwaga może nas pchnąć naprzód na drodze rozwoju.

„Uwaga na najwyższym szczeblu — pisze Simone Weil — jest modlitwą".

„Jeżeli zwracamy inteligencję ku dobru, jest niemożliwe, by pomalutka cała dusza nie była ku niemu porwana".

Upraszczam myśli Simone Weil cytując urywki, które może jedynie w świetle jej atmosfery absolutnie surowej mogą „grać".

W rozdziale „Dressage" Simone Weil kładzie cały akcent na moment „poprawnego stosowania zgodnego z obowiązkiem przyrodzonych przymiotów *woli* miłości, poznania..."; *odrzuca* (idąc tutaj za Św. Janem od Krzyża) natchnienia, które odwracają nas od najbardziej sumiennego, ścisłego wykonywania obowiązków „łatwych i niskich". Ale dla niej działanie poprawne woli jest elementarzem obowiązującym, lecz podrzędnym.

To lekceważenie jakby, z którym parokrotnie pisze o wysiłku woli, ma może źródło w tym, że sama — jeżeli sądzić z jej biografii i notatek — musiała mieć wolę żelazną, że osobiście dla niej wola nie była prawie problemem, że wystrzegając się jak ognia *zastępowania* świadomości „napinaniem mięśni", świadomości, której *nadrzędność* w stosunku do woli podkreśla wszędzie.

Maine de Biran, człowiek tysiąca słabości, których się wyzbyć nie mógł do śmierci, może służyć przykładem najbardziej przekonującym czym jest świadomość absolutnie rzetelna, która w miarę lat pociąga go jakby wbrew niemu, jakby wbrew nawet jego słabej woli — coraz wyżej.

„... Pod jednym warunkiem: by nie kłamać i mieć napiętą uwagę" — to zdanie Simone Weil może służyć epigrafem całego

życia Birana. Wpatrując się nieustannie w *siebie*, pisząc ciągle o *sobie*, ten człowiek o twarzy jak z portretu Greuze'a „nie kłamał i miał zawsze napiętą uwagę”. Światło, które daje nam jego *Journal Intime* jest świadectwem, do czego się w sobie dopracował.

Schopenhauer nie miał racji: „ja”, tak często powtarzane przez Maine de Birana, nie brzmiało na pewno jak świadectwo głupoty.

(*Kultura* nr 15, styczeń 1949)

„MONTAGNES RUSSES”

Pamięci D. Filosofowa poświęcam

„Przecie to jedyna moja pociecha w naszym katorżnym losie włóczęgów — gdy mówię sobie: 'wszystko jedno, jakoś tam prędko będzie koniec!', i, czując mój zbawczy fatalny kres (ani pokory, ani dobroduszości we mnie nie ma) ostatnimi siłami jak ta klacz z zasieczonymi oczami (pamiętacie ten sen Dostojewskiego) pod natrętny motyw Musorgskiego zębami się narzucam na każde mgnienie mego wyslizgującego się ostatniego dnia”.

Podstrzyżonymi oczami, str. 204.

„...i trzeci (pokłon) — za to że życie mi dała a nic na świecie nie ma lepszego niż życie”.

Zwichrzona Ruś, str. 166.

Jest z mojej strony śmiałością pisać o Remizowie, próbować przedstawić polskiemu czytelnikowi tego rosyjskiego pisarza o tak zupełnie swoistym charakterze. Piszę o nim nie jak krytyk literacki którym nie jestem, ani tym bardziej znawca literatury; piszę dlatego tylko, że jestem tym pisarzem urzeczony, że chciałbym podzielić się moim późnym odkryciem.

Proza Remizowa zdaje mi się składać nie ze słów w potocznym zrozumieniu, ale z żywej, dotykanej i każdym zmysłem wy-czuwalnej tkanki. Jest w niej ból „aż do skowytu”, do okrutnej goryczy, głuchego buntu, ale i „łzy anielskie”, czujne i czułe, wszystko przebaczące spojrzenie, miłość wskrzeszająca człowieka i miłość życia, *każdego* życia najbardziej umęczonego, zdławionego. Czytelnik jest coraz to wyrzucony z najciemniejszego mroku ku gwiazdom i znów rzucany z powrotem w zupełną ciem-

ność. Nie każdej miękkiej wrażliwości radziłbym przejażdżkę po tych *montagnes russes* jego książek.

„I każdego dnia Wierka idzie po tych schodach do szkoły, roznosząc nogami schodowy oślizły brud i plugastwo.

I nie wiem dlaczego to lepkie plugastwo, to zatęchłe ciasne mieszkanie, kiedy tak szeroko chadzają gwiazdy na czystym niebie, a po naszej ziemi surowej przezroczyście płyną strumienie...¹”.

„... Tam na naszym strychu dokąd woda już się nie podnosi i tylko wiatr się przechadza w nocy surowe, gdy gwiazdy wychodzą, gwiazdom szepczą pod stalowy szum drutów, przez ramy okienne

*gwiazdy, najpiękniejsze gwiazdy moje*²”.

Nie znam pisarza, który by język rosyjski tak zmysłowo, kolorowo, soczyscie i dźwięcznie wyśpiewał, wyrastając rytmem, słowem z epoki moskiewskiej, przedpiotrowej, daleko wstecz poza „zbyt niemiecką” epokę Karamzina i „zbyt francuskiego” Puszkina.

Nie darmo Aleksy Tołstoj, autor *Piotra Wielkiego* mówił mi w Taszkencie, że Remizowowi zawdzięcza jako pisarz wszystko. Tylko że w ciężkiej, suto tkanej prozie historycznej powieści Tołstoja nie odnalazłem gwiazd Remizowa, nic z lotnej subtelności, którą dzieło Remizowa jest przeszyte.

Czytać prozę Remizowa trzeba by głośno, tak ważna jest materia słowa i rytm zdań. Wystarczy się trochę w ten świat zanurzyć, by poczuć dźwiękowe ubóstwo słów własnych, wypadkowość, brak dopracowania się, spłylenie gładkimi, wytartymi, już tysiąc razy bezmyślnie powtarzanymi zwrotami.

Remizow jest pierwszym formalistą na liście pisarzy heretyków w anatemie Żdanowa. Ten odkrywca zdań i harmonii niepowtarzalnych — formalistą? Ależ nie spotkałem jeszcze ani jednego słowa w prozie tego pisarza, gdzie by najbardziej nieoczekiwane zdanie, rytm czy słowo nie były konieczne, napęczniałe wewnętrzną treścią, która tylko w tym jednym słowie, w tym jednym układzie może wybuchnąć. Jeżeli za formalizm uważać cyzelowanie dowolne i z treścią niezwiązaną grę wyrazów — to Remizow jest najmniej formalistyczny ze wszystkich znanych mi pisarzy.

Okres petersburski od Puszkina do Błoka był właściwie jedynym światem rosyjskim do którego miałem dotychczas bliższy

1. *Zwichrzona Ruś*, str. 449.

2. *Zwichrzona Ruś*, str. 450.

dostęp. Dziś, po okresie, kiedy usiłowałem wczytać się w Remizowa, odkrywam nowe oblicze Rosji, o którym wiedziałem tak niewiele i od zewnątrz, oblicze stokroć bardziej rosyjskie. Świat ten, groźny — tak mi daleki chwilami, tak obcy w namiętności życia, każdego życia, i nawet w swym miłosierdziu i słodyczy, które jakby współżyją boleśnie, ale całkiem *naturalnie* ze światem nieoddychalnym okrucieństwa, krzywdy, krwi i upokorzenia — że coraz to odkładam książki Remizowa, nie mam sił ich czytać. Nie mam sił być na każdej stronie rzucany jak na pędzącym wózku nie jarmarcznej, ale jakiejś ogromnej między niebem a ziemią zbudowanej *montagne russe*. Geniusz Remizowa zmusza mnie, bym nie tylko świat ten poznał, ale bym go po jakimś uczcił i nawet ukochał.

Moskwa i prowincja wielko-rosyjska — to jest świat Remizowa. Jego język, tak samo jak dziwne pismo, nie są wcale pastiszami siedemnastego wieku. Duch tamtego wieku jest tu wskrzeszony, ale i uwspółcześniany zarazem. Wyrasta nie z naśladownictwa, ale z istoty samego Remizowa, nie tylko z ogromnej wiedzy tamtego świata, czucia słowa rosyjskiego, ale z wewnętrznego związania poprzez krew, poprzez moskiewskie dzieciństwo, niezerwaną tradycję i graniczącą z czarodziejstwem pamięć wieków.

Remizow żyje na granicy świata fantastyki, nie tylko w swych bajkach i powieściach, ale sam otoczony jest nieustannie postaciami fantastycznymi, które dla niego są równie żywe jak żywi ludzie. Na stole jego leży wyleniały krasnoludek: „towarzyszy mi od 1921 roku”. Remizow opowiada o gnomach, o królu małp Asyce, jakby go codziennie nawiedzały te stworzenia. A przy tym jego bajki, jak np. *Stefanit i Ichmelet*, są oparte na wieloletnich studiach. Remizow doszukał się pierwszych źródeł jeszcze w sanskrycie, wersji tybetańskiej tłumaczeń perskich, arabskich, żydowskich, łacińskich, skąd bajki te przeszły do wszystkich europejskich języków, i wciąż się zmieniając, zależnie od epoki i kraju, stały się w siedemnastym wieku ulubioną lekturą Rusi Moskiewskiej. Tę bajkę z własnymi ilustracjami wydają Remizowowi przyjaciele w 1950 roku w... trzystu egzemplarzach. Jego opowieści fantastyczne o opętańcach, wydane również w trzystu egzemplarzach w 1951 roku, opowiadają miłość Sawwy Grudcyna i męki opętanej Sałomonii. W opowieści z siedemnastego wieku o Sawwie wkłada Remizow zadyszaną jak potok, jak płomień narastającą i niepowstrzymaną inwokację miłosną do przez niego w opętaniu zamordowanej kochanki. Dwie strony bite bez jednego przecinka i bez jednej kropki. Pamiętam w *Uliessie*

Joyce'a strony również płynące jak nurt — bez przecinków i kropek. Ale świat tych książek jest zbyt sobie daleki by móc porównywać. Chyba jedynie w legendach i powieściach miłosnych średniowiecza znaleźć by można ten dech i rozpęd.

Ponurą atmosferą okrucieństwa losu, rozpacz i opętania, a pod koniec wszechogarniającego mistycznego miłosierdzia oddycha opowieść o Sałomonii-opętanej. Nawet Dostojewski wydaje się mniej ciemny w porównaniu, on przecie czytał *Les Misérables* Victora Hugo, czytał George Sand, i ta rosyjskość Dostojewskiego zdaje się obok Remizowa już „przyczesana”.

Remizow wydał pierwszą swoją książkę prawie pięćdziesiąt lat temu, w 1902 roku. Na emigracji przez 18 lat nie wydano mu po rosyjsku *nic*. Aż do roku 1949. W Rosji już od 26 lat nie wyszła żadna z jego książek. Do jednej z ostatnich dodał Remizow koło *sześćdziesięciu dwóch* tytułów książek dawniej wydanych! Cztery z jego powieści ukazały się po francusku. *La Famille Bourkow* ze wstępem Romain Rollanda. Powieść jego *Sur Champs d'Azur* wyszła w świetnej kolekcji „*Feux Croisés*” u Plona, gdzie mamy pisarzy wybitnych z całego świata, jest nawet pisarz koreański, nie ma, mówiąc nawiasem, ani jednego Polaka.

Pierwszy raz słyszałem o Remizowie od Dymitra Fiłosofowa, który się z nim przyjaźnił w początkach dwudziestego wieku. Mówił mi o nim koło 1924 roku. Wracał wówczas z Zachodu. Spotkał Remizowa przelotnie w Niemczech. Był wyraźnie pod wrażeniem rozmowy z nim, zbyt „brutalnej”, jak mówił, bo musieli mówić w pośpiechu o sprawach najważniejszych. Powiedział mi tylko: „Powiedziałem Remizowowi, że musi wracać do Rosji. On jest zbyt wyłącznie rosyjski. On *nie* wytrzyma emigracji”. Zdziwiły mnie te słowa, Fiłosofow był zawsze gwałtownie przeciwny wszelkim powrotom tak zwanych wówczas *smienowiechowców*. Nie potrafiłem wtedy nic więcej się dowiedzieć. Powtórzył tylko raz jeszcze: „On nie przetrzyma emigracji...”. Parę dni potem przyszła kartka od Remizowa. Szczyt niemieckiej szpetoty: gruby Niemiec w kolorowej kurtce chwycił za ogon grubego prosiaka. Fiłosofow z jakimś masochizmem przyczepił tę kartkę do ściany swego pokoiku na Siennej.

Sam poznałem Remizowa parę lat później na jednym z baletów Diagilewowskich. Stał wówczas podczas pauzy z Prokofiewem. Zaraz zwróciłem uwagę na drobną postać Remizowa z wielką, prawie chińską głową i ciemnymi okularami. Uderzyło mnie zza tych okularów natychmiastowe i tak bardzo osobiste i serdeczne spojrzenie, *uwaga* którą mnie wówczas obda-

rzył. Interesował mnie wtedy prędeż wtórnice, jako przyjaciel Rozanowa i Błoka. Ale Remizowa czytałem zaledwie skrawki i to incydentalnie, obok. Chodziło mi o żywe szczegóły, o Błoku, Rozanowie, pisane przez ich przyjaciela.

Dopiero w 1938 roku, jadąc w Warszawie przez Nowy Świat tramwajem, odkryłem w *Nouvelles Littéraires* pierwszy raz naprawdę prozę Remizowa, króciutkie jego opowiadanie. Nawet poprzez drażniące tłumaczenie, drażniące bo tak obce, wyczułem takie natężenie opustoszonej samotności i bólu, że dotychczas pamiętam miejsce w którym to opowiadanie czytałem. Był to fragment z tej samej dotychczas niewydanej książki *Nauczyciel muzyki*. Chwycił mnie ostry żal, że mieszkając tak długo w Paryżu nie usiłowałem go nigdy odwiedzić, poznać go bliżej. Od tego czasu przeszło znowu trzynaście lat, i jakich lat. Teraz się nagle dowiedziałem, że Remizow mieszka zupełnie samotnie; stracił w 1945 roku żonę, najbliższą towarzyszkę wszystkich lat niedoli i wszystkich prac, jest prawie zupełnie ślepy, w nędzy, żyje z dorywczej pomocy garstki przyjaciół. Samotny, zawieszony w próżni, ale nie jak Pan Twardowski między niebem a ziemią, ale między piekłem swarów, zawiści i nędzy emigracji a piekłem ucisku w jego ojczyźnie.

Wybrałem się do niego: dziwnymi zawijasami napisana kartka na drzwiach, że trzeba mocno stukać, lekki szybki krok za ścianą. Drzwi się otwierają i poznaję tę samą drobną, jeszcze tylko bardziej od ślęczenia nad książkami zgarbioną postać i wielką chińską głowę o uroczym uśmiechu. Z tym samym ciepłym uśmiechem prowadzi mnie przez długi ciemny korytarz do jasnego gabinetu-sypialni. Półki z książkami, a ściany od góry do dołu wyklejone abstrakcyjnymi obrazami-wycinankami przypominającymi chińskie makaty i rysunki Pawła Klee. Te ściany srebrzą się i czerwienią. Remizow usadza mnie naprzeciwko siebie na wysiedzianej przez gości kanapce a sam siedzi przy stole z grubym kałamarzem. „Z czego pan żyje?“, pytam go obcesowo po chwili rozmowy. „O, proszę pana, jest o wiele więcej dobrych ludzi niż sobie wyobrażamy. Oni się o mnie troszczą. Ot, dzisiaj mam kawał słoniny, „*dju ljar*“, na jutro dobry sąsiad przyniósł — a na wieczór herbata z chlebem mi wystarczy. Gdyby pan wiedział, jak dobrze jest pracować w tej zupełnej ciszy i samotności. Z tego mieszkania od paru lat nie wychodzę już prawie nigdy. Jak się cieszę, że mieszkam na rju Bualjó” — przecie to Boileau napisał „*de ljar poetik*“. Bo to proszę pana Francuzi umieją pracować nad słowem, wiedzą co to jest słowo, u nas Rosjan ciągle jeszcze mówi się tylko o treści. Jak

mało ludzi rozumie znaczenie słowa. Bo albo są geniusze, jak Dostojewski czy Tołstoj — im, jakby nie napisali, wszystko się udaje! (Myślę o zdaniu Mallarmé powiedzianym Degasowi, gdy ten się skarżył, że ma nawał pomysłów, a nie udaje mu się napisać dobrego sonetu: „*Mais, Degas, ce n'est pas avec des idées que l'on fait des vers... C'est avec des mots*”³).

Gdy ten najbardziej rosyjski Rosjanin, Remizow, wymawia zdanie francuskie, nie mam zupełnie wrażenia by mówił po francusku z akcentem rosyjskim, ale prędzej jakby rosyjskiemu językowi słowa francuskie przyswajał. Jakże po rosyjsku brzmią w jego ustach takie słowa jak „konsierż”, „kofr” czy „ordjur”. I czymże są gorsze od „parikmachier” czy „gałstuk”. Niech się puryści nie gorszą. W 1833 roku Mickiewicz, przeciw tak niedawno w Paryżu zamieszkały, pisał najspokojniej w swoich artykułach o „eklererach”, o „emetach” (*émeutes*) i jeszcze, że emigranci skazani na bezczynność „ruminują”! (*ruminent*).

W najlepszym nawet tłumaczeniu nie docieramy do samej miazgi słowa Remizowa, ale tłumaczenie Łobodowskiego zdaje mi się bliższe od najlepszych tłumaczeń francuskich, tak biegunowo przeciwny jest duch języka francuskiego temu mrocznemu, pełnemu zakrętów bogactwu i tej migotliwej zmysłowości mowy Remizowa. Pisarz mówi o słowie z tajemniczym nabożeństwem, o słowie, które się rodzi z „blasku krwi, bo na początku była krew”.

Rozanow, którego z Remizowem łączyła więcej niż przyjaźń, bo pokrewieństwo w namiętym i arcyrosyjskim stosunku do życia, urągał w *Ujedinionnoje* na druk: „Jakby ten przeklęty Gutenberg obliczał swoim miedzianym językiem wszystkich pisarzy”, literatura straciła dzięki temu swoją tajemniczość, urok intymności, które miała literatura średniowiecza. Rękopisy Remizowa, niewydane, pisane bardzo pięknym pismem z rysunkami autora, w okładkach przez samego autora wykonanych, czy to może powrót do literatury intymnej, średniowiecznej, o której pisał Rozanow z takim zachwytem, nie pisanej ani dla Prix Goncourt, ani dla spekulacji amerykańskich na *best-seller*'y i Hollywood, ani dla cenzorów „Czytelnika” czy „Gosizdatów”? („Nie warto pisać chyba, jeżeli cię tylko tysiąc ludzi przeczyta”, mówi mi rozczarowany do życia i zdolny pisarz, któremu sen z oczu spędza wyspa kupiona przez Koestlera).

W książce Remizowa, dziś nie do dostania, *Zwiczrzona Ruś* (Paryż 1926 r., wyd. Tair) jest rozdział poświęcony pamięci

3. Ależ, Degas, wierszy nie pisze się pomysłami, tylko słowami.

Błoka, również jego przyjaciela. „Nie ma ani jednego z młodych poetów, na którego by nie padł promień jego gwiazdy”, pisze o nim Remizow i cytuje słowa Błoka, które mu powiedział w ostatnim roku życia: „w takim ucisku jest niemożliwe pisać”, ale Remizow wspominając te słowa dodaje w tych pierwszych latach wygnania, że pisać poza Rosją jest Rosjaninowi jeszcze trudniej, bo cały świat jest pustynią dla Rosjanina, a jeżeli ginąć to już lepiej w Rosji. Jemu się wówczas także zdawało, że opuścić swój kraj równa się dla pisarza samobójstwu, ale Remizow pisać nie przestał. Tworzy dzieło swego życia, od trzydziestu lat oderwany od ojczyzny. Rosną tomy wspomnień o Rosji, bajek i historycznych opowieści, *wbrew* samotności, *wbrew* nędzy.

A może nie *wbrew*, a z powodu? Może trzeba przejść przez opuszczenie, przez taką pustynię, żeby zdobyć taki blask słowa, uśmiech dobroci i „łzy niebieskie”.

„Cedr nie ogrody lecz pustynie rodzą
Próżnia kołyską olbrzyma
Wielcy poeci dopiero przychodzą
Kiedy ich nie ma!...”

Nagle po osiemnastu latach, od 1949 roku wydano cztery książki, dwie z nich ze składek garstki tak samo biednych jak i on przyjaciół, jedna zaś nakładem YMCA: *Podstrzyżonymi oczami*. Wspomnienia najdawniejszego dzieciństwa aż do pierwszego zesłania. Nikły nakład tych książek dziwnym i trudnym językiem pisanych, u czytelnika nieczułego na słowo może wywołać uśmiech lekceważącego politowania ludzi myślących pod kątem masówek, głośnej reklamy i tłustych zarobków, ale wydaje mi się, że kiedy zginą i w proch się rozsypią miliony książek drukowanych pod przymusem takiej czy innej władzy, takiej czy innej koniunktury czy masowej opinii, te książki właśnie będą trwać i karmić.

Nauczyciel muzyki (1923-1939) jest biograficzny, jak zresztą wszystko co pisze. Nie tylko w książkach opisujących teraźniejszość czy bajkach-wyznaniach; Remizow pisze o sobie nawet gdy opisuje bardzo daleką przeszłość: „Opowiadam o mojej przeszłości od dziewiątego wieku”, pisze we wstępie do *Tańczącego Demona*.

Teraz, kiedy pisarz pracuje nad *Tristanem i Izoldą*, tą historią miłosną, która, jak mówi, poprzez białoruską wersję trafiła do Rosji, czy nad bajkami, których źródeł doszukuje się jeszcze w sanskrycie, czy kiedy pisze o okrutnych losach pierwszych ro-

syjskich drukarzy, którzy po tajemniczym podpaleniu drukarni moskiewskiej uciekać musieli z Rosji wraz z księciem Kurbskim na Litwę, potem do Lwowa, skąd znów Batory sprowadził jednego z nich do Krakowa, każąc odlewać nie litery, ale armatę, czy o spaleniu Awwakuma, skazanego na stos za obronę starej wersji świętych tekstów, czy o myszach-przyjaciółkach w czasie niemieckiej okupacji Paryża, o głodzie i chłódzie tamtych lat wojennych, w tym stopie wizyjności i docieklivego realizmu, kawkowskiej fantazji i najbardziej zmysłowego uchwytu zjawisk życia, wszędzie, wszędzie wyczuwamy intymne o sobie wyznanie pisarza. „Umiem pisać tylko o sobie” — mówi mi Remizow. Zwracam uwagę na stronę opowieści o drukarzach, którzy opuścili Moskwę, uciekając na Zachód. „Ach, tak — mówi. Tę historię napisałem z materiałów. Przeczytałem o tym wszystko co można było napisać”.

— A strony o spaleniu Awwakuma? — pytam.

Stary człowiek pochyla swą wielką chińską głowę w okularach i mówi mi jak wyznanie. „To... to ze wspomnienia... Takich rzeczy nie można ani się nauczyć ani wymyśleć. To wszystko z głębokiej pamięci...”. I kiedy w rozmowie Remizow mówi „To wyście Polacy wtedy byli w Smoleńsku”, wydaje się, że to chodzi o wczorajszy dzień, i że on był świadkiem tych wypadków. Urodzony w Moskwie, od trzydziestu lat poza Rosją, pisarz ma przeszłość swego kraju w krwi i w zwojach swego mózgu.

Ten niestrudzony siedemdziesięcioczeroletni pisarz, który ręką szukać musi otworu kałamarza, bo go już nie widzi, a palcem dotknąć końca papierosa nim go zapali, bo go też nie widzi, pisze wciąż i układa w bibliotece swojej tomy rękopiśmienne ksiąg, grubą kreską i bardzo czarnym atramentem pisanych. Oto czony książkami, srebrnymi, czerwonymi, szafirowymi obrazami-wycinankami i ciasnym, ciaśniutkim kręgiem przyjaciół oddanych i równie jak on wyrwanych ze swego świata, samotnych i biednych — Remizow potrafił na wygnaniu zachować serce gorące i siłę twórczą poprzez wszystkie krzywdy, zasadzki i poniżenia emigracyjne.

„Poniżenie — pisał Rozanow — przechodzi zawsze po paru dniach w takie duchowe światło, z którym nic nie da się porównać. Nie jest niemożliwością twierdzić, że niektóre najwyższe duchowe *prześwietlenia* są niedościgłe, bez uprzedniego poniżenia, że pewne duchowe „absolutności” zostałyby skryte na wieki, ukryte przed tymi, którzy wiecznie zwyciężali, święcili triumfy i zawsze byli „na wierzchu”.

Ponizenie *każdej* emigracji, które trwa nie dnie ale lata, rodzi nie tylko gorycz, swary i nienawiści — rodzi także światło.

Im więcej myślę o emigracji, tym więcej mi się zdaje, że takie zjawisko siły twórczej w pustyni wygnania to najwyższe usprawiedliwienie tułaczki emigracyjnej. Najbardziej rosyjski z pisarzy stał się właśnie uniwersalny poprzez wierność tej rosyjskości i namiętność twórczą.

Kiedys, w okresie krótkiego i fałszywego flirtu Polski z Sowietami, Radek w artykule dla *Wiadomości* po chamsku rozprawił się z emigracją rosyjską; pisał, że dała światu jedynie szofierów paryskich i kabarety. Fakt, że w trzydzieści lat po opuszczeniu Rosji Remizow pisze, więcej: że może wydać parę książek ze składek tych ubogich rosyjskich wyznawców — fakt ten, wcale nie odosobniony, jest odpowiedzią na tamten artykuł.

„Ciężkie są stopnie wygnania”, ale jeżeli prowadzą do gwiazd czystych, które chadzają po czystym niebie — jak pisze Remizow — i do przezroczystych strumieni, które płyną na naszej surowej ziemi?

(*Kultura* nr 10/48, 1951)

O WYBORZE PISM ROZANOWA

„Jak można pisać o religii w Polsce, gdzie jest tylko arcybiskup Teodorowicz i Daszyński!”.

Ta warszawska *boutade* z lat dwudziestych emigranta Filosofowa, jednego z założycieli Towarzystwa Religijno-Filozoficznego w Rosji na początku tego wieku, przyjaciela, odkrywcy i oponenta Rozanowa, może bardziej jeszcze pasuje do Polski dzisiejszej.

Wtedy był przecie prof. Zieliński, badacz religii antycznych — próbował wywodzić chrześcijaństwo prędeję z Grecji niż z Biblii, był Marian Zdziechowski — jeździł do Piusa X wybrać jednego z przywódców modernizmu, swego przyjaciela, na wpół suspendowanego księdza Labertonniera, jeździł do Jasnej Polany do Tołstoja, a na Sorbonie on, profesor Jagiellońskiego i Wileńskiego Uniwersytetu, wykładał o nurtach religijnych Rosji, o Sołowiowie i Chomiakowym.

Czy mamy dzisiaj w Polsce badaczy religijnych tej miary, piszących z jednakową co tamci absolutną swobodą i akustyką, jeżeli nie społeczeństwa, to choć akustyką wiernej garści czytelników? Dziś chyba częściej jeszcze dla przeciętnego czytelnika *Tygodnika Powszechnego* niż kiedyś dla czytelnika *Tygodnika Ilustrowanego*, a tym bardziej *Przeglądu Współczesnego* religia to wyłącznie katolicyzm, a katolicyzm to w pierwszym rzędzie obrona polskości — gdy znowu dla przeciętnego czytelnika *Tribuny Ludu* czy nawet *Po Prostu* każda religia to ciemnogród i opium¹. Trzeba ją do czasu tolerować ze względów taktycznych czy nawet w imię rzetelnej woli demokratyzacji komunizmu („na-

1. Ortodoksyjny i ostro zabarwiony nacjonalizmem katolicyzm albo „religia — wsteczny zabobon czy histeria”: generalny pogląd pozytywistycznej lewicy na religię.

ród jest katolicki”), ale na pewno nie dla religii jako takiej, będącej naturalnie bajeczką dla nie zawsze grzecznych, ale na pewno głupich dzieci.

Wskutek tego o religijnej problematyce w jej najszerszym znaczeniu lepiej nie pisać. Po co wydłużać promienie jej działania. Ale czy nie grozi Polsce niepisany układ, który by przypominał przez długie lata utrzymaną zgodę ateistycznych maurrasistów z pewnym typem katolików, obrońców tronu i ładu, układ o którym z głębokim otrząsem pisał Brzozowski, bo widział w tym właśnie *zaprzeczenie* religii.

Jest jeszcze jeden powód — poza zadziwiającą obojętnością w Polsce na bezinteresowne drażnienie problemów religijnych² — który utrudnia pisanie o pisarzu rosyjskim Rozanowie: niechęć poznawania, zgłębienia Rosji nie tylko w jej aktualnym i politycznym aspekcie, ale w ogóle. Na tym odcinku sytuacja chyba się tylko pogorszyła, mimo takich pism jak *Przyjaźń* czy *Opinie*. Nie wątpię, że badanie Rosji *wolne* jest dziś najeżone nieskończoną ilością trudności, które nie istniały nie tylko w latach niepodległości, ale nawet za czasów carskich. Czy jednak główną przeszkodą nie jest właśnie organiczna antyrosyjskość i głęboka do Rosji w ogóle niechęć?

Norwid miał odwagę w 1863 roku, a więc w roku Powstania, piętnować takie stanowisko:

„Tylko wolni ludzie, tylko ci co nie są od kolebki żelazem napiętnowani, jak niewolnicy wiedzą o tym, że granicząc z Rosją trzeba w niej mieć swoją partię — inaczej spotykają się zawsze dwa monolity, nic pośredniego nie mając — a skoro dwa monolity się zetną ze sobą, zostaje nicstwo i strzaskanie się sił ostateczne. Moskwa mogła mieć swą partię w Polsce republikańskiej... ale Polacy w Rosji nigdy się o to nie pokusili — sensu politycznego nie mieli, żeby stworzyć swoją partię z Rosją, z którą graniczyć po wieki muszą. Albowiem Polacy rachują raczej na (jak to mówią) poświęcenie krwi co lat piętnaście, na periodyczną rzeź niewiniątek, aż Bóg z obłoków wyjrzy...”

Herzen, który w roku 1863 stanął po stronie Polaków, płacąc za to ciężko stratą wielu czytelników i wyznawców w Rosji, pisał w roku 1868:

2. Uderzało mnie zawsze, jak ewolucja Stanisława Brzozowskiego — materialisty i socjalisty w młodości, który przez Bergsona, Blondela, a przede wszystkim przez kardynała Newmanna w ostatnich latach życia zwrócił się do zagadnień religijnych i umarł jako katolik — była mało badana i nawet prędzej przemilczana wstydliwie przez wielu jego wyznawców.

„nie ma narodu sąsiadującego z Rosją, który by znał mniej Rosję niż Polska. Na zachodzie najprościej nie znają Rosji, ale Polacy nie znają jej z premedytacją” (podkreślenie Hercena).

Prof. Marian Zdziechowski opowiadał mi przed laty, że gdy jako młody człowiek napisał pierwszą książkę o literaturze rosyjskiej, o Puszkynie i innych pisarzach, otrzymał długi i gwałtownie karcący go list od mego dziadka stryjecznego, Edwarda Czapskiego, Sybiraka. Ten znany w rodzinie jako pełen fantazji i nieszablonowej inteligencji starszy pan nie mógł zrozumieć, jak to dobry Polak może się taką książką zhańbić. Nastroje w Polsce dzisiejszej przypominają tamtą, popowstaniową atmosferę. Jest to jak najbardziej zrozumiałe, ale cóż z tego, jeżeli to głęboko szkodliwe nie tylko politycznie, ale szkodliwe i błędne w znaczeniu najszerszym, humanitarnym. Nawet wspomnienie Katynia, nawet wspomnienie Warszawy nie powinny nam tego zasłonić.

Dzisiaj, w Polsce, ilość tłumaczeń z rosyjskiego niepomrotnie wzrosła. Obok tłumaczeń literatury socrealistycznej, która poza bardzo nielicznymi wyjątkami przeminie z wiatrem, mamy tłumaczenia klasyków. Nie wiem w jakim stopniu niechęć do Rosji działa również na stosunek do wielkiej literatury rosyjskiej, czy ma ona, przy tak wzmożonym w ogóle czytelnictwie w Polsce, krąg czytelników większy niż w latach przedwojennych, gdzie tuwimowskie tłumaczenia Puszkina, Gogola były naprawdę tłumaczeniami kongenialnymi, gdzie ukazywały się wnikliwe studia o literaturze rosyjskiej uczonych tej klasy co prof. Lednicki, a tłumaczenia Dostojewskiego miały nie tylko entuzjastycznych czytelników, ale wpływ na młodych pisarzy polskich (*vide* Adolf Rudnicki).



Wydawnictwo Czechowa w Stanach Zjednoczonych, które niestety po czterech latach działalności przestało istnieć, wydało kilkadziesiąt tomów pisarzy rosyjskich: od poezji Tiutczewa i *Soborian* Leskowa (nie do dostania na emigracji, nie wiem czy i w Rosji, bo mieli obaj reputację reakcyjnych), od przedstawicieli nurtu religijno-filozoficznego XIX wieku Sołowiowa, Chomiakowa, do pisarzy z Rosji Sowieckiej: rozstrzelanego w pierwszych latach rewolucji Gumilowa, nieugiętego Mandelsztama, Achmatowej — raz prześladowanej, raz tolerowanej — i nawet tępionego przez Żdanowa Zoszczenki. Obok tego szereg tomów pisarzy emigracyjnych: od Mereżkowskiego, Bunina i Remizowa, największego dziś pisarza rosyjskiego, aż po Nabokowa, dziś zna-

nego już pisarza angielskiego, Władimira Weidle, autora *Les Abeilles d'Aristée* (Gallimard)³ jest także nowość: dławiąca, świetna książka Narokowa, który z Rosji Sowieckiej wydobył się i potrafił, jak niewielu, przekazać w powieści aurę epoki stalinowskiej.

Wydawnictwo Czechowa powinno by być szerzej omówione przez rzeczywistego znawcę literatury rosyjskiej. Jeżeli dziś o nim piszę, to jedynie by zwrócić uwagę na jedną pozycję tego wydawnictwa, bezcenną: wybór pism Rozanowa, opatrzony wstępem J. Iwaska. Mamy w nim, między innymi: fragmenty z *Religii i kultury* (1899), z *W mirie niejasnowo i niereszonnowo* (1904), z *Tiomnowo lika* (1911), z *Ujedinionnowo* (1912), z *Apokalipsy naszych czasów* (1917-1918) i nawet, wśród jeszcze innych fragmentów, listy do Gollerbacha, wydane w 1922 w Berlinie, już po śmierci pisarza.

Wybór ten zrobiony jest z uwagą i inteligencją, ale, jak każdy wybór, choćby był najlepszy, nie może nie budzić żalu, że jest tylko wyborem. Człowiek zamyka książkę po przeczytaniu jej z dotkliwą świadomością, że dzieło Rozanowa musi być uratowane od zagłady, ale jak? Do wyboru trafiło parę tekstów, gdzie sam Rozanow zastanawia się nad ewentualnym pełnym wydaniem swych pism; „Pełne wydanie Rozanowa” żali się sam Rozanow — „to trzydzieści pięć tomów, a któż to zechce czytać; to nie tylko tysiące artykułów w gazetach, ale nawet adnotacje do cudzych artykułów”. Przy tym Rozanow sam stwierdza, że nieraz, właśnie w takich dopiskach, w marginesowych adnotacjach, odnośnikach, myśl jego najostreż docierała do istoty zagadnień.

J. Iwask grupuje szereg wypowiedzi pisarzy o Rozanowie: Mereżkowski, Błok, Bieliy, Zinaida Gippius nie wahają się nazwać go genialnym. Szestow, Bierdiajew, Mandelsztam czy Fiłosofow piszą o jego niezrównanym darze językowym; Czukowski porównuje go z Whitmanem, Renato Poggioli (Harvard) z Joycem, Adamowicz pisze o Rozanowie jako o „genialnym gadule” i wyznaje, że przez lata nie istniał dla niego inny pisarz, inny umysł, inny krąg myśli, nawet inny pozarozanowski styl. Ale może irlandzki poeta Stephens wypowiada o nim we wstępie do angielskiego tłumaczenia *Opawszych listji* słowa, które Rozanowowi były najmilsze: „Rozanow jest bliski każdemu Rosjanowi i w ogóle każdemu człowiekowi. Jest roztargniony, wymęczony, śmieszny i nieprawdopodobny, jak każda ludzka istota”.

3. Jedynej znanej mi książki, którą można porównać i do pewnego stopnia przeciwstawiać *Głosom milczenia* Malraux. Książka o równie ambitnym zamierzeniu i współmiernej szerokości horyzontów.

A przecież mimo wyliczonych o nim cech superlatywnych, jeżeli słowo „tragiczny” ma wydźwięk i sens pełny, to gdy mowa o Rozanowie i jego śmierci podwójnej, śmierci fizycznej i jakby tej innej, w drugiej potędze, śmierci Rozanowa-pisarza. Jego przyjaciel Filozofów już w latach trzydziestych mówił mi, że może lepiej by go teraz nikt nie wydawał, bo nie ma takiego miejsca, gdzie by jego artykuły i eseje ukazały się bez takich czy innych tendencyjnych skrótów, może lepiej przeczekać. Ale wcale nie wygląda na to, by od tego czasu, w porównaniu do tamtej epoki, „aura była lepsza”. Nie tylko to, lata mijają, świadkowie, czytelnicy, wyznawcy umierają. Ten pisarz przy tym był najbardziej odkrywczy, gdy dotykał spraw pozornie błahych, ludzi o których dawno już wszyscy zapomnieli, wydarzeń, które zniknęły w piorunach i pożarach rosyjskiej rewolucji.

Nie tylko że sam umarł rozdarty między chrześcijaństwem a religiami antycznymi, trzepocący się w przeciwieństwach do ostatniego tchu — umarł w klasztorze, przygarnęła go zagłodzonego, chorego, córka-zakonnica, która sobie po jego śmierci odebrała życie. Umarł wtedy, gdy cała jego Rosja rozpadła się. Zdawać by się mogło, że on przestał istnieć na zawsze jako pisarz, ginąc w „apokalipsie naszych czasów”. Jego ostatnie dzieło właśnie tak się nazywało i jest mieszaniną genialnych przeciwstawień i syntez, proroczych przeczuc, obserwacji drobnych i odkrywczych, ciepłych, czujnych spojrzeń na człowieka. Jest w tej książce znów i znów poruszony temat całego jego życia (kosmogonia przeciw chrześcijaństwu, korzeń życia cielesny i płodny a chrześcijańskie wyrzeczenie), ze wszystkimi jego sprzecznościami i dywagacjami, z ostatnią przedśmiertną siłą akcentu wyśpiewany. Ale w *Apokalipsie* i *Listach do Gollerbacha* świadomość śmierci własnej i tego wszystkiego co kocha wiąże się z tajemniczą i dla niego samego nową nadzieją zmartwychwstania. „Nie wierz, nie wierz śmierci”.

Poza granicami Rosji w tłumaczeniu francuskim wyszła, już od dawna wyczerpana, *Apokalipsa naszych czasów* (*Feux Croisés*) i w tym samym tomie *Ujedinionnoje*. W Paryżu, już przed wojną, interesowali się nim np. Gide i Daniel Halévy i Drieu la Rochelle. W angielskim tłumaczeniu ukazują się *Opawskie listy* oraz dwa tomy dalszego ciągu *Ujedinionnowo* — to wszystko. W Rosji nie można marzyć o wydaniu zbiorowym jego dzieł. Jeszcze w 1941 roku, gdy byłem w Moskwie, Rozanow był najsurowiej zakazany i nawet specjaliści w bibliotekach nie mieli do niego dostępu. Na tym tle wybór jego pism, opatrzony wstępem człowieka, który go najwidoczniej czuje i zna — jest dla

literatury rosyjskiej wydarzeniem pierwszej wagi, próbą wskrzeszenia Rozanowa po tej śmierci drugiej.

Sam odkryłem Rozanowa dla siebie jeszcze w 1918 roku dzięki Mereżkowskiemu w Piotrogradzie, a intoksykację nim przeżywałem jeszcze w Krakowie. Parę lat potem pisał mi inny jego przyjaciel: „Jakże mnie wzrusza, że ten ogarek zapalony przez dziwnego wariata nie zgasł i naraz zatlił się u was, gdzieś na Krupniczej w Krakowie”.

Od blisko już trzydziestu lat próbowałem pisać o Rozanowie, pisarzu i człowieku, i dopiero w 1932 roku skończyłem duży esej złożony z kilkunastu rozdziałów, nie dałem go jednak do druku, marząc o przepracowaniu i pogłębieniu, zdawał mi się niegodnym dzieła samego Rozanowa. W Polsce ktoś go znał; najwyższy zachwyt dla niego żywił Tuwim, myślał o jego tłumaczeniu. Zresztą nie widzę człowieka, który mógłby się dziś pokusić o tłumaczenie Rozanowa na miarę Tuwima, to znaczy z tuwimowskim wycuciem języka rosyjskiego i tak pokrewnym Rozanowowi słowotwórczym, zmysłowym stosunkiem do słowa. Jeszcze Wacław Rogowicz rozczytywał się w Rozanowie i przygotowywał książkę, która miała nazywać się — o ile pamiętam — *Rewolucjonista w czapce Monomacha*. Czy to wypadek, że i ona się nie ukazała? Może świadczy to tylko, że i Rogowicz uważał tekst swój za wciąż niedostateczny, by tego dziwnego, tak wielopłaszczyznowego i wielobocznego pisarza odkryć w Polsce. Mój stary tekst otrzymałem w Paryżu, uratowany z jakiejś piwnicy spalonego domu w Warszawie, z paru brakującymi rozdziałami. Przepracowałem go na nowo, ale znów nie ukazał się nigdzie. W tłumaczeniu francuskim przyjął go Gallimard, ale kiedy go wydadzą nie mam pojęcia⁴. Dziś, kiedy studium J. Iwaska ukazało się, sprawa ta jest o wiele mniej ważna.

Coraz to staram się zrozumieć, dlaczego Rozanow jest do tego stopnia w Rosji Sowieckiej tępiony. Komunizmem zajmuje się bardzo mało, opinie jego na tematy społeczne są w ogóle pełne sprzeczności, nieraz właśnie na te tematy dywaguje; gdzież porównać jego antykomunizm z *Biesami* Dostojewskiego? Ostrze jego krytyki jest nieskończenie częściej skierowane przeciw chrześcijaństwu, a komunizm widzi jeszcze jako skutek chrześcijaństwa.

Zdaje mi się, że Rozanow jest dla komunisty ortodoksyjnego okropny, przede wszystkim za jego uczulenie na sprawy religii.

4. Ukazał się w 1964 roku jako wstęp do wyboru jego pism w tłumaczeniu N. Reznikowej, *La face sombre du Christ* u Gallimarda.

Pisać o niej słowami nowymi, z ogniem, tak wnikliwie, że wymagałoby to podjęcia na nowo polemiki już dawałoby się teoretycznie przewyciężonej (zabobon, histeria, opium, reakcja), to już lepiej całe dzieło Rozanowa zaprzepaścić, zniszczyć.

Gdy sam, coraz to do Rozanowa powracając, myślę, jak nim zainteresować innych, staram się czytać go oczami ludzi „nie-przyzwyczajonych” i dopóki nie jestem porwany oddechem jego zdania, metaforą, tym co nazywa on inkrustacją stanów i przeżyć sobie sprzecznych, prawie że się za niego wstydzę, tak drastycznie, inaczej reaguje i pisze o wszystkim. Myśli? Sam twierdzi, że nigdy nie myślał naprawdę, a tylko śmiał się i płakał, że przekonania zmieniał jak rękawiczki, bo chodziło mu zawsze więcej o człowieka, który idee głosi, niż o samą ideę. Na każde twierdzenie Rozanowa można znaleźć tuż obok, w tej samej książce, twierdzenia i myśli diametralnie przeciwne. Ten antychrześcijanin kochał Chrystusa, ten człowiek, któremu zawdzięczamy głębokie i entuzjastyczne studia o Żydach, o religii Starego Testamentu, napisał parę stron obrzydliwie antysemickich. Ale cóż się dziwić, jeżeli o Rosji moglibyśmy zebrać w jego pismach osądy graniczące z gwałtownym paszkwilem, a obok wyznania miłości i wiary w nią żarliwej. Więc co to znaczy? Po co go drukować? Ileż razy, gdy opowiadałem o nim Polakom, widziałem już na twarzy mego rozmówcy uśmiech wyższości: „Jakże to typowo rosyjskie!” — ale przecie za każdym razem — niezależnie od tego, w jakim kierunku poniosło go wahadło uczuć — odkrywa on jakiś drobnutki akcent, delikatne nachylenie myśli, które poprowadzone, zaobserwowane do końca, stwarza nowy aspekt niedopatrzony, niedosłyszany, nieodczuty. Docieramy do tego nowego widzenia nie przez rozumowanie, ale poprzez konfrontację jakby różnych motywów muzycznych. *W ciemnym obliczu* przedstawia świat modlitwy i klasztornego wyrzeczenia, błogosławieństwo łez i pociechy religijnej jedynie opisując twarze modlących się i twarze świętych na ikonach, ale tuż obok daje nam materialne, dotykalne uczucie ziemi, cielesnego i radosnego z nią związku, odczucie świata pogańskiego, afirmującego ponad wszystko samo życie i korzeń tego życia — zmysły, nie żadną teorią, ale powtarzając pokrzyki chłopca na kudłatego konika, którym odwozi Rozanowa z dalekiego klasztoru. Rozanow pisze w innym miejscu, że chętnie „odgryzłby głowy” wszystkim Napoleonom, bo to są ludzie źli, niepotrzebni, któż może się nimi interesować poza złymi ludźmi na jarmarku życia. On woli swoją służącą, która ciężko pracuje i rzadko się uśmiecha, stawia ją o całe niebo wyżej, bo na takich cichych, pracujących stworzeniach

świat stoi; woła, że życie prywatne jest ważniejsze od wszelkich spraw społecznych i od wszelkich religii, że ważniejsze jest siedzenie w domu, patrzenie na zachodzące słońce i chociażby dłubanie w nosie niż jakakolwiek religia, bo słońce nie zginie, a religie będą mijać; zestawia ból po śmierci ukochanej istoty „inkrustując” tuż obok ból człowieka, który się zgrał w karty, za każdym razem *gorszy* świadomie, *gorszy* drastycznością zestawień i tą drogą dociera do sedna zagadnienia. Odkrywa *antynomiczność* pojęć, które przez brak uwagi, abstrakcyjność słownictwa, szeregujemy bezpiecznie, odbierając im ich muzykę, ich wewnętrzną, intymną temperaturę.

Kiedy Rozanow tkwi w latach obsesji, że chrześcijaństwo zabija życie, opisuje gałęzie drzew, bijące go po twarzy i wołające „Ratuj nas od Chrystusa”. Kiedy złamany śmiertelną chorobą ukochanej żony drży o swoją i jej nieśmiertelność i wieczność niezniszczalną swego dla niej uczucia, notuje jak cichy szum wentylatora w klinice zjeża mu włosy, jak aż przykuca do ziemi, myśląc, że ona tego wentylatora nigdy słyszeć nie będzie. I w Chrystusie, w jego religii, widzi ucieczkę i jedyną nadzieję.

Rozanow nie wierzy w idee, które omawiają mądrzy uczeni, moralisci, filozofowie, jako coś niezależnego od nich. „Tylko tam gdzie subiekt i obiekt są *jednoznaczne* znika nieprawda”. I stąd ta niezrównana i tylu ludzi gorsząca jedność przeżycia, zdolność konkretyzacji idei zawiłych, wysokich, które jedynie językiem obiektywnym, wypranym z przeżyć i odruchów zmysłowych, próbowano dotykać.

Rozdarcie filozoficzne, religijne Rozanowa było nie wymysłem anarchizującego estety, ale faktem, który go w miarę lat coraz ostrzej drażył, miażdżył i ostatecznie zmiażdżył. Sam skarżył się, że niewielu było ludzi, którzy równie głęboko odczuwali stany sprzeczne i że dane mu było tylko słowo, tylko dar wyrażenia, ale nie dar wyboru.

Może dziś, kiedy w dziedzinie literatury cenzura w Polsce jest luźniejsza, może w Polsce udałoby się myśl Rozanowa przekazać, uratować. I może nawet wykorzystać te książki Rozanowa, te jego teksty, które i w Rosji byłyby dziś już łatwiej dostępne niż w epoce stalinowskiej.

Rozanow gdzieś pisze, że pisarz szuka wyrazu dla swej myśli i nagle, jakby z boku, przychodzi mu na myśl, że te słowa mogą być zupełnie dla czytelnika niezrozumiałe, stara się jedno, drugie zamienić czytelniejszym, „i wtedy twój *jedyny* czytelnik odkłada twoją książkę i do niej już nie wraca”.

Może główną aktualnością Rozanowa w krajach gdzie pawał czy panuje socrealizm jest dzisiaj właśnie to pisanie dla *jedyne*go czytelnika, gdzie nie można znaleźć zdania bez muzyki, jednej abstrakcji nie wcielonej w obraz, w konkretny, zmysłowy i przeważnie najbardziej codzienny, na nowo zobaczony fakt. Tego pisarza, który nikomu dogodzić nie może, a każdego głuchego na formy swoiste i jedyne musi gorszyć, pisarza, który jest nie do przyjęcia w całości ani dla chrześcijanina, ani dla pozytywisty, ani dla komunisty — trzeba uratować od zagłady. Oby wstęp J. Iwaska i pięknie zrobiony przez niego wybór były pierwszym krokiem w tym kierunku.

(*Kultura* nr 12/122, 1957)

LISTY AMBASADORA KOTA

Książka prof. Stanisława Kota *Listy z Rosji do gen. Sikorskiego* jest pierwszą chyba, która opowiada epopeję Polaków w Rosji (1941-1942) na podstawie nie wspomnień czy tekstów napisanych *post factum* w obronie takiej czy innej tezy i z dystansem czasu, ale dokumentów chwili: paruset listów, depesz i raportów ambasadora Rzeczypospolitej, najbliższego współpracownika, przyjaciela ówczesnego Premiera i Wodza Naczelnego.

Kto by tylko zechciał w przyszłości badać ten okres stosunków polsko-sowieckich, nie będzie mógł zabrać się do tego bez przestudiowania dwóch książek podstawowych: *Bez ostatniego rozdziału* gen. Andersa i *Listów* amb. Kota. Właśnie dlatego, że obie książki mają wnioski i oceny w wielu wypadkach diametralnie przeciwne, że z jednej i drugiej strony polemika jest niezwykle ostra (Kot dołącza do dokumentów szereg naświetleń i komentarzy), właśnie dlatego książki te są cenne jako dwugłos. Jest niezliczona ilość wątków, problemów, których dotyczy książka Kota, ale wczytując się w teksty — trzy z nich wybiły mi się na plan pierwszy — wybiegają one daleko poza ograniczoną w czasie aktualność sporu między ambasadorem a dowódcą Armii Polskiej w ZSSR.

Pierwszy to niesłychane *liberum conspiro*. Prędko zaczynają się rozdzwinki: wojsko sobie, ambasada sobie i, sądząc z listów Kota, wbrew uporczywym wysiłkom ambasadora. Każdy decyduje po swojemu, ileż osób dołki sobie kopie wzajemnie, jakże lojalność wzajemna jest względna. Czy ta anarchia jest cechą polską, wzmożoną przez 150 lat niewoli i jeszcze ułatwioną trudnościami normalnej w tamtych warunkach komunikacji i współpracy?

Nie chcę być gołosłowny. Stalin wyraża się obelżywie o Kocie w obecności Andersa. Ten ostatni nie reaguje (nie wyobrażam sobie, by gen. Mac Farlane zniósł analogiczne powiedzonko Stalina o amb. Crippsie, uważałby odepchnięcie takiego grubiaństwa za samo przez się zrozumiały obowiązek). Kot oburza się przeciwko temu, ale sam połyka bez reakcji insynuacje Stalina przeciwko Sosnkowskiemu. Gorzej — w polemice z piłsudczykami i Piłsudskim daje upust takiemu zaślepieniu (jakże to nazwać inaczej), że cytuje na pomoc sobie najpodlejszy z podłych cytatów Churchilla¹, który — po Jakcie, jakby celem oczyszczenia się po wielu braterskich biesiadach ze Stalinem o gołębiej duszy — pozwala sobie w swych pamiętnikach na słowa, które sam w następnych wydaniach wykreślił. Churchilla można wytłumaczyć taktyką, nieczystym sumieniem, cynizmem politycznym, ale ten cytat użyty jako *argument* w ustach nie tylko polskiego ministra i ambasadora, ale historyka i profesora — jest gorszący.

Drugie: że wbrew temu narastającemu niezgraniu wojska i „cywilnej ambasady” wielkie dzieło zostało stworzone, że grała pomimo *liberum conspiro* zadziwiająca solidarność ludzi, którzy się nieraz spotykali po raz pierwszy i ostatni w życiu — solidarni, bo byli Polakami (i tu z naciskiem bym dodał, obywatelami polskimi, bo tę solidarność sam odczułem niezliczone razy z polskimi Żydami, i rzadziej, bo mniej ich spotykałem, także z Ukraińcami i Białorusinami). Wielkie dzieło ratowania setek tysięcy obywateli polskich poprzez ekspozytury opieki społecznej rzucone w ten świat obcy i wrogi, przy jednoczesnym odrodzeniu wojska w warunkach nieprawdopodobnych.

Trzeci i najważniejszy wątek tej książki to polemika z tezą Andersa, że trzeba było *per fas et nefas* wyprowadzić z Rosji co tylko się da, bo armia w Rosji *nie* czerwona, *bez* czołgów, *bez* lotnictwa, *bez* samodzielności, której tak czy inaczej, pod takim czy innym pozorem, Rosjanie nie dadzą, musi być i będzie wyniszczona przed dojściem do granic Polski. Anders nie wierzył w dalszą współpracę z Sowietami i zdecydował się na wyprowadzenie ile się da wojska i ludności cywilnej; wbrew dyspozycjom które otrzymywał od Sikorskiego poprzez ambasadę w Kujbyszewie zdecydował się na prowadzenie pertraktacji, możliwie jak najmniej o nich informując ambasadę i stawiając ją przed faktem dokonany. *Liberum conspiro*? Był w Austrii order

1. „Wspaniały w buncie (naród polski) i nieszczęściu, haniebny i bezwstydnym w triumfie. Najdzielniejszy spośród dzielnych, prowadzony przez najpodlejszych wśród podłych”.

nadawany bohaterom, który wbrew rozkazom osiągnęli zwycięstwo. Niech by jednak ponieśli porażkę, nie medal a rozstrzał czekał winowajcę.

Anders, przeprowadzwszy wyjście wojska, wziął to ryzyko na siebie, działał przy tym na fali pragnień wcale nie kliki wyższych oficerów, jak to komentuje Kot, ale na fali namiętnych pragnień opuszczenia Rosji *dziewięćdziesięciu dziewięciu setnych* masy żołnierskiej, która o wyrwaniu się z Rosji śniła po nocach. Któż z nas nie pamięta tych dzieci rzuconych samopas przez matki z Północy do Jangi-Julu, na to, aby choć one mogły Rosję opuścić. Anders, przeprowadzwszy ewakuację, zdobył sobie tak ogromny kapitał wdzięczności nas wszystkich, których zdołał około siebie skupić i wyprowadzić, że dzieło Sikorskiego — uwolnienie z obozów — odeszło jakby w cień. Otóż Kot widzi w tej całej operacji nie zwycięstwo śmiałej zręczności Andersa, ale świetnie przeprowadzoną rozgrywkę przez samego Stalina, który poprzez Andersa, nie szczędząc mu uprzejmości i „łask”, ugodził w interes polski, reprezentowany przez ambasadora, zniszczył wszelkie szanse sowiecko-polskiej ugody.

Argumenty Kota, teksty depesz zestawione przez człowieka, który wie co to jest dokumentacja i jak trzeba grupować przyczynki, wcale nie są błahe i nie wystarczy obelga czy kpina, aby je odeprzeć. Jesteśmy jeszcze dalecy od bezstronnych wniosków bezstronnego historyka.

Próbuję wniknąć w argumentację Kota, że trzeba było wojsko w Rosji zostawić. Teza ta wygląda w książce atrakcyjnie i politycznie i intelektualnie, bo Kot wierzy, że gdybyśmy zostali, moglibyśmy odegrać inną rolę przy wejściu do Polski i stworzyć z Rosją Sowietką rzeczywistą współpracę. Przy najlepszej woli argumentacja Kota nie wydaje mi się realna. W tej samej książce autor notuje niesłychaną nielojalność Rosjan od pierwszej chwili, chociażby to wydzielenie mniejszości narodowych z wojska, właśnie w chwili gdy przyjazd Sikorskiego do Rosji został ustalony, aresztowanie Erlicha i Altera w chwilę po wyjeździe Naczelnego Wodza i wspaniałych przyjęciach na jego część (jakże to wszystko jest rozegrane!). Wymordowanie oficerów polskich w przeróżnych Katyniach, o których amb. Kot, pisząc polemiczne rozdziały swej książki, już dobrze wiedział, narastająca dysproporcja wagi Rosji i Polski u aliantów, wzrost sił rosyjskich z miesiąca na miesiąc — czyż można sobie wyobrazić, że gdyby nawet Sikorski nie zginął, gdyby Anders jak najściślej wypełniał jego dyspozycje, czyż można pomyśleć, że rozwiązanie poszłoby nie po linii życzeń Stalina, już wtedy umurowanych, a *instynktem* przez Andersa

odczutych, i to jeszcze przy obojętności aliantów, którą sam Kot w szeregu tekstów podkreśla?

Niewielu chyba na emigracji ludzi atakowano tak gwałtownie jak Kota: jego pasja personalii przy kapitalnej pamięci („on w 1936 roku napisał artykuł przeciw Witosowi”) i nieraz zawo-
dzającym *instynkcie* do ludzi, jego obsesja „mafii piśsudczyków”, która tę mafię prawie że *stwarzała*, a w każdym razie popychała ku niej ludzi najwięcej gotowych do lojalności Sikorskiemu, przy tym jego konsekwentna i słuszna polityka mniejszościowa, przez wojsko najopaczniej krytykowana i nawet sabotowana — wszystko to razem zaśnaniało ludziom i zaśnania, że ten człowiek, w Rosji, w warunkach niezmiernie trudnych włożył wszystkie swe siły i całą inteligencję w nieustanne zabiegi o uwieczonych, bez różnicy ich politycznych orientacji, w walkę o paragrafy układów, o wszystko co tyczyło życia Polaków w Rosji. Kot nieustannie *narażał* tym swoje stosunki z władzami sowieckimi. Wystarczy porównać jego rolę z rolą Fierlingera. Kilka smacznych szczegółów podaje autor książki *Listy z Rosji*. „Wyzwierzanie się” na rolę Kota w Rosji zdawało mi się zawsze oburżającą niesprawiedliwość.

Gdy się jednak Kot żali w książce, że mu wojsko sabotowało wszelkie prośby i żądania, nie przysyłając mu sił pomocniczych, trzeba na tę sprawę patrzeć na tle tamtejszej rzeczywistości. W ogromnej ilości wypadków nie było to skierowane wyłącznie przeciw ambasadzie. Któż z nas i w wojsku na to się nie skarżył. Kiedy jako szef Oddziału Propagandy dobijałem się o ludzi z prawdziwego zdarzenia, o oświatowców, walczyłem o profesorów, którzy spełniali funkcje telefonistów czy gońców w różnych oddziałach, miałem dosłownie te same trudności. A byłem na miejscu i miałem dostęp do dowódcy Armii. I było to zrozumiałe: brak ludzi choć trochę fachowych, czy chociaż umiających szybko nauczyć się jakiejś funkcji, był w każdym oddziale gwałtowny i każdy dowódca używał wszelkich kruczków, aby nie wypuszczać ludzi użytecznych. A tu jeszcze chciano ich zabierać do ambasady na cywilne zajęcia. Zgroza! Kiedy jako prosty żołnierz w 1919 roku zostałem przyjęty do pociągu pancernego „Śmiały”, prosiłem pewnego kaprała, by mi przypomniał chwyt karabinem. Bardzo się bałem, że się zbłążnię przy pierwszych ćwiczeniach. „Nie potrzebujecie się niczego bać”, odpowiedział mi kapral, „jak już macie mundur, jesteście ważniejsi od wszystkich cywilów”. Parę dni potem ten sam kapral zwiął z wojska razem z moją kołdrą. Zdaje się, że ta mentalność „lepszości” najgorszego żołnierza nad najlepszym cywilem panowała w woj-

sku polskim prawie niepodzielnie. I rozdzwienki na tle personalii, trudności powstające na tym tle między dowódcą armii i ambasadorem miały nieraz takie tło, które samemu Andersowi utrudniało robotę.

Już wspominałem, że w przeciwieństwie do Andersa Kot zdawał mi się mieć nieraz brak wyczucia ludzi. *Listy z Rosji* potwierdzają mi to przekonanie. Kot zobaczył najpóźniej narastającą tarcia między Sikorskim a Andersem; po drugie lekceważył sprawę „klimkowszczyzny”.

Klimkowski i „klimkowszczyzna”. Kot rzuca na nią trochę światła. Jeszcze wiele epizodów dziwacznej kariery Klimkowskiego nie zostało ujawnionych. Czy był prowokatorem ten oficer, do którego Stalin przepijał na Kremlu, oficer do zleceń dowódcy Armii Polskiej w ZSSR, z którym dzięki temu wszyscy wojskowi z tej armii musieli się liczyć? Klimkowski krystalizował w sobie nurty licznych i często tak sprzecznych między sobą krytyk rządu i niezadowolnień. Na tym tle próbował stworzyć konspirację i prowadzić swoją akcję podwójnym torem: jedna szła po linii politycznej, to anty-, to pro-sowieckiej; sypał projektami, które z największym trudem trzeba było rozbijać, jeden z takich nawet mnie udało się rozłożyć. Akcja ta po wyjściu z Rosji nabrała cech akcji anty-Sikorski, chociaż i tu były momenty wręcz przeciwne, gdzie gotów był „oddać się” Sikorskiemu. Ten człowiek o inteligencji mniej niż miernej, bez jednej myśli oryginalnej, bez zdolności *uważnej* obserwacji faktów, powtarzający za drugimi sprzeczne i coraz to inne, zależnie od rozmówcy, ale zawsze agresywne teorie, miał jedną zaletę: wściekłą dynamikę, dzięki której właśnie był kanałem, przez który masę spraw można było załatwić. To było drugim torem jego gorączkowej działalności; nieustanne — jako oficera do zleceń — dociskanie w oddziałach, by wykonano takie czy inne rozkazy, już przez gen. Andersa podpisane. Załatwiał, gdy się go o to prosiło, te sprawy z jakimś nawet serdecznym uporem i zapałem i tym sobie zyskiwał ludzi. Ja osobiście nieraz z tych usług Klimkowskiego korzystałem. Jego dynamika, związana z naiwnym poczuciem, że on będzie zbawcą Polski, była podparta brakiem elementarnych skrupułów. *Salus Reipublicae...*

„Na rany Chrystusa przysięgam ci, że nigdy nie byłem prowokatorem” — przesłał mi taką kartkę już z więzienia w Palestynie. Nie wierzę, by Klimkowski był świadomym prowokatorem, a jednak myślę, że agenci sowieccy musieli nieraz go rozgrywać okrutnie i używać wtedy właśnie, kiedy był przekonany, że on ich rozegrał. Klimkowski był zjawiskiem wcale nie

blahym na tle ogólnej atmosfery armii tak dalekiej od frontu, w straszliwych upałach pustyni irackiej, w okresie niecierpliwego oczekiwania na broń, która przedtem nim do nas doszła, potokiem płynęła pod naszym nosem przez Persję do Rosji.

Pro domo mea. Nie chciałem obciążać tego artykułu polemiką osobistą. Dwa poważne zarzuty postawił mi Kot w tej książce: budziłem szkodliwą legendę Piłsudskiego, bo jako szef Propagandy, zaraz po naznaczeniu, zorganizowałem mszę polową w rocznicę śmierci Marszałka i napisałem artykuł o wersjach projektowanej przezeń wojny przewencyjnej, w którym mówiłem, że był on krwią, mlekiem i żółcią naszego pokolenia, że był postacią *tragiczną*. Kot wówczas, jak i teraz, nie rozumiał, że ta legenda *istniała* i niejednemu w Rosji pomogła przetrwać, że to co zrobiłem wówczas było minimum, które uważałem za swój obowiązek, że osobiście Piłsudskiego kochałem. Drugi zarzut Kota, już dotyczący *Nieludzkiej ziemi*, może słuszny, że byłem niesprawiedliwy wobec Sikorskiego, niedostatecznie podkreślałem jego zasługi, nie spłaciłem wobec niego mego długu wdzięczności, przecie jemu zawdzięczam z tysiącami innych wyjście z obozu. Dominowała u mnie ocena krytyczna wobec człowieka, dla którego Kot żywił uczucie najwierniejszej i bezinteresownej miłości. W takich sprawach — to nie frazes — zdaje mi się, że ma przeważnie rację ten, który potrafił człowieka zobaczyć od strony najlepszej, uczcić, a nie ten, który krytykuje, nie widząc wartości danego człowieka. Jeszcze w 1922 roku, w Krakowie, na Plan-tach, prof. Kot namawiał mnie, bym pracował politycznie pod Sikorskim. („W Legionach Mickiewicza byli też malarze”); mówił mi o przysłym Naczelnym Wodzu wówczas z tym samym akcentem, z jakim mi później o nim opowiadał w Kujbyszewie i z jakim teraz o nim pisze.

Co w *Listach z Rosji* wzrusza, pomimo że to suche raporty albo zajadłe polemiki, to nie tylko przypomnienie tamtych lat i tamtych przeżyć, ale ten aspekt wierności i nieustannej myśli, by dzieło Sikorskiego, *nie swoje*, wywyższyć i obronić.

(*Kultura* nr 1/99, 1956)

O PASZKWIŁU

Książka Merry i Serge Bromberger pt. *Trzynaście spisków 13-go maja* była szóstą książką o maju algierskim 1958 roku, choć rok jeszcze nie minął od tych chwil kiedy w Paryżu oczekiwano z godziny na godzinę nalotu spadochroniarzy, którzy mieli utopić w Sekwanie *les bradeurs d'Algérie*, „zdrajców” Mendès-France’a, Pflimlina, dobrą setkę innych, i zrobić porządek. Poza tymi sześciu książkami ukazało się jeszcze pięć, ściśle związanych z problemem „majowym” i napisanych przez pisarzy tej miary co Raymond Aron, Fabre-Luce, lub takich świadków jak Jacques Chevalier.

Czytałem *Trzynaście spisków* zaraz po książce Klimkowskiego pt. *Byłem adiutantem generała Andersa*, wydanej w kraju przez Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej. Historyk przyszłości będzie mógł przemyśleć algierski maj na podstawie iluż opracowań, ujętych przez ludzi o najbardziej sprzecznych orientacjach i poglądach. Cóż będzie wiedział taki historyk o naszych politycznych rozdarciach, goryczach, spiskach czy półspiskach w latach 1941-1942 na Bliskim Wschodzie w armii Andersa?

Przestrzeń, nie tylko geograficzna, dzieliła ministrów polskich w Londynie od nas, klimat i ramy ich pracy a nastroje w wojsku na Wschodzie nie były wcale bliższe od tych, które w maju 1958 rozdarły Francję i francuski Algier, grożąc krwawą wojną domową i powodując załamanie się Czwartej Republiki. Tylko, że tu była Francja wolna, wojsko walczące w Algierze, był de Gaulle; u nas był kraj pod okupacją, rząd na wygnaniu z Sikorskim, uzależniony od Anglików, a na Bliskim Wschodzie wojsko pod dowództwem Andersa, po dwóch latach, *jakich* latach, łagrów,

wojsko, które dopiero sposobiło się do walki. To wojsko w najważniejszej masie z kresów wschodnich Polski, powtarzając sobie prośbę, że „Krzyż splugawiony razem z młotem padnie” układało w szczyrej pustyni klomby z kamieni z herbami Wilna i Lwowa i marzyło o wielkiej Polsce od Berlina do Witebska.

Z tego okresu polski historyk będzie miał jako źródło informacji... książkę Klimkowskiego, który przedzierał się w 1939 roku z okupowanego Lwowa przez Rumunię do Sikorskiego i Sosnkowskiego w Paryżu i z powrotem; który aresztowany we Lwowie siedział w Moskwie na Łubiance, gdzie według własnych wyznań napisał dwie „prace polityczne”, tzn. memoriały dla sowieckich sędziów śledczych; a później był adiutantem gen. Andersa, nawet oficerem do zleceń, który jeździł z Andersem do Moskwy i Londynu, biorąc udział prawie we wszystkich konferencjach. Churchill częstował go cygarem, a Stalin na uroczystości polsko-sowietkiej w 1941 roku przepijał do niego jako do przedstawiciela młodych oficerów (prawda, że wówczas przepijał Stalin po kolei do wszystkich obecnych Polaków). Dlaczegożby przyszedł historyk polski nie miał wierzyć takiemu świadkowi?

Z tworzącą się pod dowództwem gen. Andersa Armią Polską w ZSSR i na Bliskim Wschodzie byłem związany od samego początku. Już jako oficer Opieki w Tocku, potem kierownik Biura Poszukiwań zaginionych (uwięzionych i pomordowanych) miałem częsty kontakt ze Sztabem Armii, z Andersem, z jego najbliższym otoczeniem, jak również z ambasadorem Kotem. W Turkiestanie i na Bliskim Wschodzie, jako Zastępca Szefa Propagandy, czy Szef Propagandy, więc komórki wojskowej, która między innymi prowadziła dział pism, wydawnictw i biuletynów i kierowała siecią oficerów oświatowych w oddziałach — całymi okresami widywałem gen. Andersa codziennie, a Klimkowskiego nieraz po parę razy dziennie, jeździłem do Kota, wówczas ministra na Bliskim Wschodzie, do Jerozolimy, i stykając się nieustannie z całą masą oficerów i żołnierzy — byłem nie tylko świadkiem, ale i współautorem wielu spraw.

Na nieludzkiej ziemi to moje wspomnienia z etapu organizacji armii w ZSSR. Koledzy namawiali mnie, bym tę książkę prowadził dalej, przez Irak, Palestynę, Egipt, Włochy aż po Paryż, namawiał mnie do tego i Daniel Halévy, któremu w dużej mierze zawdzięczam wydanie mojej książki po francusku. Po wyjściu tłumaczenia angielskiego dostałem list od generała Beaumont-Nesbitta. On również nalegał, bym napisał tom drugi, obejmujący okres Bliskiego Wschodu. Powodem, że tego nie zrobiłem był przede wszystkim brak sił i czasu, ale także niechęć

zanurzenia się z powrotem we wspomnienia politycznych zatar-
gów, o których wiedziałem za dużo, by je przemilczeć, za mało
by o nich pisać, a pominąć ich bym nie mógł. Dzisiaj, czytając
paszkwil Klimkowskiego, żałuję, że tego nie zrobiłem. Wniósł-
bym przecież inne świadectwo tych czasów, na pewno nie w stylu
błogich trzeciomajowych przemówień, ale na pewno też nie po-
niżone, zafałszowane, tak *świadomie* zafałszowane, jak „wspo-
mnienia” Klimkowskiego.

Prawda czy paszkwil?

„Moim zamierzeniem było właśnie to, aby do czytelnika
dotarła naga prawda, nieupiększona, dobra czy zła, prawda”.

Tymi słowami kończy Klimkowski swoją książkę. Czytam
i oczy przecieram. Niewiele znam książek, które miałyby tak
mało wspólnego z prawdą.

Rtm. Klimkowski, przed wojną oficer Brygady Kawalerii
dowodzonej przez gen. Andersa, którego generał znał i któremu
parokrotnie w karierze wojskowej dopomógł, był podczas kam-
panii wrześniowej w grupie operacyjnej tegoż generała, a już
po katastrofie odwiedził go, ciężko rannego, w szpitalu lwow-
skim. Poznałem Klimkowskiego dopiero wtedy, gdy był adiu-
tantem generała w 1941 roku, w Buzułuku. Dla nas, podko-
mendnych, zdawał się być najbliższym przy Andersie człowiekiem,
nieodstępnym towarzyszem, przyjacielem, który przy tym gene-
rałowi wszystko zawdzięczał. Otóż książka Klimkowskiego ma
jeden cel, któremu wszystko inne jest podporządkowane: przed-
stawić Andersa jako tchórza, łamiącego rozkazy zdrajcę, obojęt-
nego na sprawy polskie złodzieja i próżniaka, a ostatecznie mor-
dercę Naczelnego Wodza na spółkę z generałem Beaumont-Nes-
bittem¹, płk Hullsem i samym Churchilllem; ambasadora Kota
zaś, z którym Klimkowski spotykał się i rozmawiał niezliczone
razy, tego najwierniejszego z wiernych przyjaciela Sikorskiego,
Klimkowski odmalował w roli podnóżka Andersa, nieustannie
razem z Andersem zdradzającego Premiera i Naczelnego Wodza.

Co się tyczy samego Klimkowskiego był on, jeżeli kto uwie-
rzy tej książce, stale wiernym wyznawcą Związku Sowieckiego
oraz nieustannym obrońcą Naczelnego Wodza i jego linii politycz-
nej przed niecnymi intrygami Andersa i Kota.

1. Klimkowski uparcie nazywa go Bennet Nezbyttem; książka zresztą,
jeżeli chodzi o nazwiska, roi się od takich błędów.

Książka ta, jak stwierdza autor, skończona jakoby w Rzymie w 1947, a pisana od 1945 roku w Jerozolimie, cała jest podszyta cytataми z listów amb. Kota do Sikorskiego, z którymi Klimkowski mógł się dopiero zaznajomić 10 lat później, bo po ukazaniu się książki Kota w 1956 roku.

Obalać wszystkie fałszywe tej książki Klimkowskiego, chociażby te wstępne jak: insynuacje dotyczące zachowania się Andersa podczas Kampanii Wrześniowej jako dowódcy Brygady Nowogródzkiej a potem grupy operacyjnej jego imienia, którą dowodził z mjr. Adamem Sołtanem, jako szefem sztabu? O Sołtanie nawet Klimkowski pisze z uznaniem. Otóż miałem przywilej spędzić właśnie z Sołtanem blisko rok, zaraz po Kampanii, w Starobielsku, z nim i z jednym z najbliższych oficerów Andersa, ze szlachetnym por. Kuczyńskim. Oni właśnie, świadkowie koronni, jakże często mówili mi o zaletach dowódcy, bojowości generała *do końca*, w tamtym właśnie miesiącu klęski. Obaj zamordowani przez NKWD dziś odpowiedzieć Klimkowskiemu nie mogą, ale po kampanii włoskiej zbyt dużo ludzi i w Polsce zna Andersa jako dowódcę, aby te zarzuty mogły być przez kogokolwiek wzięte poważnie.

Może wystarczy opowiedzieć parę epizodów, których byłem świadkiem, by naświetlić jakość tych wspomnień. Nie trzeba jeść całego sera, by stwierdzić, że jest robaczywy.

Jurek Klimkowski

DLACZEGO tyłu z nas miało z Jurkiem Klimkowskim stosunki stałe, nawet bliskie, dlaczego Anders miał do niego takie zaufanie, a Sikorski i Kot brali go widocznie na serio, dlaczego rozmawiał z nim po parę godzin, to się z nim gwałtownie ścierając, to przyznając mu wielkie zalety, człowiek o tak świetnej inteligencji i wyjątkowym poziomie moralnym jak Adolf Bocheński? A podchorążacy, młodzi oficerowie, naprawdę wspaniali żołnierze, składali na jego ręce tajne przysięgi i gotowi byli na jego rozkaz strzelać czy dać się zastrzelić?

Odpowiem za siebie. Klimkowski miał fenomenalną dynamikę. Umysłowo był to zupełny prymityw, brał nie myślami, których w ogóle nie posiadał, zapożyczał je od pierwszego z brzegu i gotów był w każdej chwili, i zawsze, nawet z dobrą wiarą, zmieniać je o 180 stopni. Zdobywał sobie wyznawców, czy choćby nawet przyjaciół (muszę chyba i siebie do nich

w pewnym okresie zaliczyć, choć zawsze musiałem przewyżać w sobie odruchy obcości i nawet niechęci) nie myślą, nie koncepcją ale właśnie tą dynamiką, temperaturą i tym co nazywamy zbyt łatwo — ideowością (słowo to jest mętne i nadużyte) — ściślej może będzie gdy powiem obsesją jednej *idée fixe*. Dla Klimkowskiego była to Wielka Polska, do której należało iść przebojem — *Salus Rei Publicae Suprema Lex*. Była ta idea u Klimkowskiego zrośnięta ze ślepą wiarą, że on tę Polskę stworzy z Andersem czy bez Andersa, z Sikorskim czy bez Sikorskiego, z Sowietami czy przeciw Sowietom, na czele wiernego mu zastępu MŁODYCH. Ta Wielka Polska była to lewicowa, socjalistyczna lub nawet federacyjna, to — o wiele częściej — endecka, oenerowska, skrajnie nacjonalistyczna, zależnie od rozmówcy, którego chciał wciągnąć do takiej czy innej akcji. We wspomnianej książce braci Bromberger natrafiam na jakże podobnych ludzi i podobne sytuacje, tylko rozbudowane poważniej i szerzej. Tuziny Klimkowskich można by znaleźć na peryferiach tamtej akcji. Generał Salan w Komitecie *Du Salut Public* (*Salus Rei Publicae*?) natrafia wśród ludzi, którzy mu swoją deklarują wierność na członków sprzysiężenia, którzy maczali palce w zamachu na niego, w zamachu za jego „zdradę i defetyzm”.

Wracając do Klimkowskiego zaznaczyć jednak muszę, że nie było chwili, dnia i nocy, żeby nie można było go wyciągnąć, by coś załatwił, czemuś dzięki swemu stanowisku dopomógł. Stwierdzam, jeżeli chodzi o mój odcinek pracy, że wszystkie rozkazy które wyjednywałem od generała, dotyczące rozbudowy pewnych komórek Propagandy, przeniesień do mojego wydziału potrzebnych mi ludzi, Klimkowski z uporem, z dobrym humorem i pasją dociskał niejednokrotnie, jako bezpośredni wysłannik samego generała. Te zarządzenia dowódcy armii spotykały się chronicznie w oddziałach z oporem niezliczonych kacyków, którzy mieli zawsze sto sposobów, by się od tych rozkazów wywinąć, działając na zwłokę, by podporządkowanych sobie ludzi zatrzymać. Jeszcze dziś, pisząc te słowa, mam dla Klimkowskiego uczucie wdzięczności za tylokrotnie okazaną mi pomoc w konkretnych sprawach.

Pomimo wszystko co teraz opowiem zachowałem przekonanie, że ani prowokatorem, ani agentem nie był, a cokolwiek planował czy próbował realizować, robił z dobrą wiarą i całkowicie czystym sumieniem, gdyż *Salus Rei Publicae* łączyło się u niego z pewnością, że to on jest i będzie zbawcą Rzeczypospolitej.

Anders odpowiedzialny za martyrologię Polaków

Taka jest teza Klimkowskiego: dokonane przez Andersa samowolne przerzucenie ludności cywilnej na południe było powodem nowego rozdziału martyrologii polskiej, za którą dowódca ponosi odpowiedzialność. Wiedzą już dzisiaj wszyscy, w jakich warunkach tworzyła się armia polska w Rosji, na stepach załóżańskich. W Tocku na przykład, gdzie mrozy przekraczały 30 stopni, gdzie nie było zabudowań poza nielicznymi, letnimi, drewnianymi domkami, i gdzie niektóre oddziały musiały żyć do końca pod namiotami, idea Andersa przerzucenia wojska dalej na południe, przeprowadzona z uporem, zimną krwią i rzadką zręcznością, narzucała się sama przez się, i była pragnieniem, marzeniem każdego żołnierza. Wiemy wszyscy, że wieść o tworzeniu się Armii Polskiej rozeszła się błyskawicznie wśród wszystkich Polaków zesłanych i rozsypanych po tysiącnych obozach i miejscach przesiedlenia, że armia ta była magnesem o tak niebywałej sile, że ludzie uciekali narażając się na wszystko, aby się do niej zbliżyć, a gdy sami nie mogli się wyrwać, posyłali swoje dzieci z błagalnymi listami do dowództwa, by się nimi zaopiekowało.

Jako oficer Opieki w Tocku, będącym letnim miejscem postoju kozaków, w szczerym stepie, byłem świadkiem pierwszej fali przybyszów. Jakże pamiętam ten drewniany barak, nieopalan, z wybitymi szybami, wypełniony starymi, chorymi, płaczącymi z zimna ludźmi, zupełnie się do wojska nie nadającymi, z nogami w szmatach, którzy tu spłynęli.

Już we wrześniu 1941 roku, w ambasadzie w Moskwie zapadła decyzja kierowania, o ile to tylko możliwe, polskiej cywilnej ludności do Turkiestanu. Właśnie dlatego, żeby ludność ratować przed nadchodzącą zimą. Sztab Armii w Buzułuku czynił równoległe z ambasadą starania rozsiedlenia na południu tej masy ludzkiej, niezdatnej do wojska, która wówczas do nas dotarła. Któż, kto był w Rosji, może sobie przez chwilę wyobrazić, że tego rodzaju decyzje i akcja sztabu mogły zapaść nie tylko bez zgody, ale bez współudziału władz sowieckich? Opisałem w *Nieludzkiej ziemi*, jak władze sowieckie potraktowały starców i chorych, których sam wysłałem z Tocka do Taszkientu w pociągach otrzymanych od władz sowieckich przez Sztab Armii. Transport nie został nawet dopuszczony do Taszkientu; zatrzymano go na jakiejś stacyjnej Turkiestanu. Wielu pasażerów umarło z głodu, część została ograbiona z reszty dobytku przez

ludność okoliczną, paru udało się z powrotem wrócić do Tocka, resztę władze sowieckie rozesały do głodnych, najgłodniejszych kołchozów, gdzie zdarzały się zabójstwa za ukradziony przez głodomora kawon.

Po dłuższym pobycie w Związku Sowieckim trzeba samemu „upaść na głowę”, by za takie i tysiące podobnych faktów czynić Andersa odpowiedzialnym. Ten dowódca, który według Klimkowskiego zajmował się jedynie brydżem, orgiami i nawet wyścigami, walczył o każdy taki wypadek, zasypując telegramami, żadaniami, reklamacjami władze miejscowe, przedstawiciele władz sowieckich przy naszym wojsku czy władze centralne. W przeciągu całej mojej pracy w Sowietach, jako oficer Opieki potem jako kierownik Biura Poszukiwań zaginionych oficerów i żołnierzy, a potem szef Propagandy, *nie pamiętam wypadku*, by zwróciwszy się w takiej czy innej sprawie ratowania czy wyciągania Polaków Anders nie udzielił mi takiej pomocy, na jaką go było stać, zawsze kładąc na szalę *całą wagę* swego autorytetu, który dla władz sowieckich w tym pierwszym okresie był bardzo wielki. Klimkowski nie może o tym nie wiedzieć, bo był przy generale i w tej akcji sam z polecenia generała brał co raz to czynny udział.

Taszkient

To Klimkowski według swej książki wierzy, w przeciwieństwie do Andersa, w siłę oręża sowieckiego², to on broni tezy, że nasze miejsce to walczyć ramię przy ramieniu z wojskiem sowieckim i że opuszczenie Rosji jest gorzej niż błędem, jest zdradą. Chciałbym w związku z tym przypomnieć pewien epizod. Kiedy już w Turkiestanie, w końcu marca 1942 roku, zostałem szefem Propagandy Armii, całymi okresami bywałem u Andersa codziennie, widując Klimkowskiego po parę razy na dzień. Mieszkał on jak zwykle przy Andersie, w jego willi. Pokój Klimkowskiego był oddzielony nawet nie drzwiami, ale firanką od kuchni, w której urzędował kucharz generała. Jak nam wówczas opowiadano, był on uprzednio kucharzem na służbie

2. Nie pamiętam, by się Anders w mojej obecności wypowiadał, ale pamiętam jak właśnie w Jangi-Julu, nad Kurkuldiukiem, gdzie kąpaliśmy się latem, Klimkowski a nie Anders proponował zakład płk. Hullsowi o butelkę szampana, że w trzy tygodnie Niemcy, bijąc Sowiety, dotrą do Wołgi i Kaukazu. Widzę jeszcze wstrząsającą i dyplomatyczną reakcję Hullsa na horoskopy zapalczywie przez Klimkowskiego uzasadniane.

u Kuusineny, komunistycznego „prezydenta” przyszłej komunistycznej Finlandii, kreowanego przez Sowiety podczas wojny fińsko-sowieckiej. Przydzielony Andersowi kucharz mówił paru językami i nikt z otoczenia Andersa nie wątpił, że rola jego nie ograniczała się do gotowania smacznych obiadów.

Pewnego wieczoru, zachodząc do willi, zastałem Klimkowskiego na łóżku, lekko zaziębionego. Nie bacząc na sąsiedztwo kuchni zaczyna mi z wielkim zapałem tłumaczyć ostatni genialny plan, który mu się w głowie urodził: Niemcy prą na Kaukaz i ku Wołdze, za parę tygodni Wołga będzie przecięta, wówczas dla dowozu kaukaskiej ropy naftowej do armii sowieckiej zostanie jedna tylko droga — linia kolejowa, prowadząca na wschód od morza Kaspijskiego przez Taszkient. Trzeba zdobyć Taszkient, przeciąć tę jedyną arterię kolejową i dostawy nafty. Taszkient jest prawie ogołocony z wojsk sowieckich i wystarczy do tego szwadron przyboczny, którym on, Klimkowski, dowodzi, i baon specjalny Kiedacza, jego przyjaciela. Wtedy my, Polacy, będziemy panami sytuacji, dyktujemy warunki Sowiетom, one się nam podporządkowują i my decydujemy prawie że o losach świata! Na moją argumentację, że to może być tylko przyjęte jako akcja dywersyjna na korzyść Hitlera Klimkowski nie zwraca uwagi, tłumacząc, że wszystko zależy od takiego czy innego rozegrania tej sprawy. Gdy staram mu się wytłumaczyć, że nigdy Anders na tego rodzaju plan nie pójdzie, zgadza się ze mną i dlatego proponuje wykonanie planu przez zaskoczenie, bez porozumienia się z Andersem, do zmuszenia go *post factum*, by wziął na siebie odpowiedzialność za tę akcję. Na moje rozpaczliwe gesty, by ściszył głos ze względu na kuchnię, zaledwie zwraca uwagę. Zdaje się, że nie istniał w ogóle u Klimkowskiego *le tact des choses possibles*. Nie było dla niego granicy między pomysłem fantastycznym czy planem realnym — do końca nie wiedziałem, nie byłem pewny, czy plany jego, czy groźbę ewentualnej próby realizacji tych planów należy brać na serio, czy najprościej zbywać je dowcipem, wykorzystując jedynie jego energię do spraw względnie drobnych, ale konkretnych.

Plan taszkiencki wydawał mi się jednak groźny. I jeżeli został w zarodku zlikwidowany, przypisuję to częściowie sobie.

Wkrótce potem zachorowałem na tyfus. Leżąc w szpitalu w Ak-Ałtynie nie wiedziałem nic co się dzieje w sztabie. Już potem, w Teheranie czy Bagdadzie, opowiadano mi, że przed wyjazdem z Rosji Klimkowski nalegał na Andersa, by rzucił jedną dywizję na obronę Kaukazu, sam proponując siebie na

dowódcę. A więc twórca pomysłu „uduszenia” armii sowieckiej, przez zatrzymanie dostaw nafty, w parę tygodni później próbował planu, który mógłby uwiecznić go jako obrońcę tejże nafty sowieckiej. Jeszcze parę tygodni później znajduję w chaotycznych i wcale nie politycznych notatkach, pisanych dla siebie do poduszki, wzmiankę o tym, że Klimkowski mówi o błędzie wyjścia z Rosji, nawet o „hańbie”.

Ale cóż, kiedy już znowu zimą 1942 na 1943 Klimkowski występuje z propozycją, by mu dano ośmiu ludzi, dynamit, środki pieniężne — a on zobowiązuje się powysadzać tunele na jedynej linii kolejowej, po której alianci przewożą sprzęt bojowy dla Sowietów z Basry przez Persję. Alianci zwlekają z bronią dla nas, wówczas broń przeznaczona dla Sowietów trafi do nas i my będziemy górą!

Z Sikorskim czy przeciw niemu?

Jeszcze jedna teza książki, która zupełnie przeczy moim wspomnieniom. Obcując z Klimkovskim tak wiele, zawsze uważałem go za zażartego przeciwnika Sikorskiego i jego polityki. Jeżeli czemu zawdzięczał, że miał posłuch i nawet popularność wśród właśnie najbardziej dynamicznych młodych oficerów na Bliskim Wschodzie (których niejedno łączyło psychicznie ze spadochroniarzami Algieru z 1958 roku), to właśnie temu, że występując jako zupełnie oddany Andersowi podwładny najzjadlej krytykował politykę Londynu i właśnie politykę Sikorskiego.

W książce swojej Klimkowski opisuje walkę o zakres władzy na Bliskim Wschodzie między Sikorskim a Andersem. Musiałby chyba zacząć pisać o *swojej* roli jak najbardziej aktywnej i dwulicowej w tej rozgrywce, która w pewnych okresach istniała rzeczywiście. Nie mam już dzisiaj wątpliwości, że Klimkowski grał na *obie* strony, podgrzewając każdy zatarg.

Pisze on kilkakrotnie z ironią i lekceważeniem o ludziach, którzy posadzali go o tworzenie spisku w Armii. Były to jakoby posądenia niepoważne — i tu znów wiem, że było inaczej. Próby tworzenia jakiejś junty były, tajemne przysięgi były. Może sobie Klimkowski przypomni parogodzinną rozmowę w Bagdadzie, w której, w mojej obecności, przyznał się do tego Adolfowi Bocheńskiemu.

Zimą 1943 roku narastają tarcia między Londynem a Armią na Wschodzie. Klimkowski dwoi się i troi, rozjeżdżając nie-

ustannie po oddziałach, alarmując i planując, zbierając młodych na tajne konferencje. Motto *Salus Rei Publicae* coraz częściej pojawia się na łamach *Orła Białego*, do którego droga bliska od najbliższego oficera Andersa do redaktorów Racińskiego i Baua. Narastają żale i gorycze Armii przeciw Sikorskiemu i jego polityce. Najbardziej popularny i „chwytający” zarzut to zagrażająca przyszłości Kresów miękkość generała Sikorskiego wobec Sowietów. W masie żołnierskiej i oficerskiej, która Rosję tylko co opuściła z nieustannym niepokojem o tych którzy tam pozostali, namiętności antysowieckie są nagminne i ten zarzut gra zawsze. Zdaje mi się, że wszyscy mieliśmy wówczas złudzenia co do zakresu możliwości działania Sikorskiego i jego rządu, ale na pewno niejedno posunięcie rządu na krytykę zasługiwało. Ta krytyka szeptana w wojsku nabierała form coraz brutalniej upraszczanych i naiwnych. W pustyni, dokąd sprzęt jeszcze nadchodził skąpo, gdzie armia tkwiła w półbezczytności, plotki i krytyki, słuszne czy niesłuszne, stwarzały ferment. Minister Kot wzywał mnie wówczas parokrotnie, zarzucając gorzko mnie i zespołowi Oddziału Propagandy niedostateczną obronę Londynu oraz otaczanie się ludźmi sanacji, niechętnymi Sikorskiemu, w których Kot jak zwykle widział wszelkie źródło zła. Tej zimy z 1942 na 1943 spotykam się z Kotem na Karmelu, potem parokrotnie w Jerozolimie.

Sam widzę wciąż narastającą gorączkę konwentyklów w Armii. Klimkowski te nastroje wykorzystuje, częściowo je stwarza i podsyca dla swych planów, które mają jeden punkt stały: grupowanie wokoło siebie młodych, tych młodych, którzy uważali go za *leader'a*, jego jedyne, który miał wśród nich dostęp do informacji i w ogóle do „głównego ołtarza”.

Dla Kota sprawa przedstawiała się prosto: intryga sanacji przeciw Sikorskiemu i nieumiejętność czy zła wola „Propagandy”. Ja widziałem to wówczas w kolorach o wiele dramatyczniejszych. Czy miałem rację? Odkrywam w Bagdadzie książkę Dansette'a o generale Boulanger i czytam ją z bijącym sercem, bo zdaje mi się, że naokoło mnie zaczyna narastać podobna fala.

„Całe życie nienawidziłem bulanżyzmu, o tym pamiętać” — zapisuję w dzienniku — „czy na własnej skórze przeżywając historię dojdę do innych wniosków, czy najprościej przez odruchy oportunistyczne będę zamieszany do takiego czy innego bulanżyzmu właśnie?”.

Natrafiam w notatniku na parę rozmów z Kotem, spisanych w Jerozolimie w styczniu 1943 roku.

„Trudno dać odczuć temperaturę w wojsku Kotowi, trudno przy nim samemu nie rozładować się, tak instynktownie, tak odruchowo rozładowuje swoim optymizmem, niewidzeniem, niewiarą w istnienie tragicznych konfliktów, których nie da się zasmarować, zamazać, zatargować. Naprawdę dwa światy, między którymi przepaść nie koncepcji, a temperamentów w stosunku do życia”.

Czuję się całą zimę między młotem a kowadłem. Notuję jeszcze innego dnia:

„Godzinna rozmowa z Kotem w małej, pustej kawiarni. Zmęczony, schudł, zaostrzyły mu się zmarszczki, wygląda niepokojny. Orła odrzucił, jakby go parzył: „Nie chcę czytać tego pisma...”. Dawał mi argumentacje, na które trudno mi odpowiedzieć, że robota rządu z natury rzeczy musi być tajna, że Rosja, wściekła o pobyt Sikorskiego w Ameryce, przesłała notę, że *wszystkich* obywateli z Kresów uważa za swoich (i Polaków)”.

Zawsze po takich rozmowach z Kotem wynoszę wrażenie prawdziwej, autentycznej troski jego o sprawy polskie i jego nieskończenie szerszej informacji o tym co się dzieje na świecie. To nieustanne uczucie narastającej przepaści między „Londynem” i armią na Bliskim Wschodzie, związane z agitacją Klimkowskiego, nie opuszcza mnie.

„Przygnębienie... to co mówił Romer³: jeden zabity, drugi wyrzucony, trzeci musiał uciekać (o naszych prezydentach w związku z anarchizmem polskim). Sytuacja zagraniczna dzisiejsza, praca jawna i praca tajna. Czy mamy elementy sądu i osądu. Co w zarzutach słuszne, a co demagogiczne, gdzie lepsi i... za jaką cenę? Nie patrzeć na to z Pipidówka. Koszmar *Biesów*, *je demande pardon à ma mère*⁴”.

Jeszcze tej zimy, 26 stycznia 1943, odbywa się spotkanie Kota i Klimkowskiego, który w tym celu przyjeżdża wprost ze Sztabu Armii. W *Listach z Rosji* Kota znajduję treść rozmowy, przy której byłem obecny, spisaną bardzo wiernie, w liście do Sikorskiego z 31-go. Kot myli się, wyobrażając sobie, że

3. Spotkałem go parę razy wówczas na Bliskim Wschodzie. Był ambasadorem w ZSSR, ministrem na Bliskim Wschodzie, a potem ministrem spraw zagranicznych. Wśród dygnitarzy, z którymi wtedy rozmawiałem, jeden on, obok gen. Kopańskiego, nie miał *apetytu władzy*; może dlatego wspominam ich z takim wzruszeniem.

4. Cytuję tu słowa dalekiego wuja, który, jak głosiła wersja rodzinna, zamieszany do spisku wolał sam się zabić. Zostawił po sobie tylko te słowa zapisane na kartce.

rozmowa ta była pomyślana i inspirowana przez Andersa. Byłem sam stronnikiem tej konfrontacji, niezależnie od generała, który mi nigdy w tym kierunku żadnych instrukcji nie dawał, ale któremu ją naturalnie opowiedziałem. Znajduję u siebie w notatniku moje wrażenia z tej rozmowy, spisane w dniu kiedy się odbyła. Choć jest ona zanotowana telegraficznie, tylko od strony obserwacji psychologicznej, zdaje mi się, że ma swoją cenę, bo oddaje *na gorąco* to co w pamięci już mi się częściowo zatarło, a co rzeczowe sprawozdanie Kota pomija.

„26 stycznia godzinna rozmowa J. (Jerzego Klimkowskiego) z Kotem w mojej obecności, przy moich rzadkich, korygujących czy wstępnych odezwaniach się. Gdybym był Tołstojem, opisałbym tę scenę! Treści pisać nie chcę, ale warto zanotować tło, właśnie stronę materialną. Przestrzeń dzieląca tych ludzi. Ten gabinet typowy *d'un Palace-Hôtel*, więc „estetyczny”: w najbardziej bezosobistym, jakimś na wesoło komfortowym pokoju, Kot w fotelu okrążył i przecież koci, choć z bardzo zmęczoną twarzą, i J. na krześle, nieoparty, *ustremlionnyj*, po 24 godzinach nieprzerwanej jazdy, recytujący zarzuty za zarzutami, niektóre do niemożliwości naiwne (aż mnie skręcało), niektóre żywcem wzięte od innych, i prawda jego serca, jego instynkt, że jest źle, jego gotowość ryzykowania wszystkim, i naprzeciw Kot słuchający jakże uważnie. Coraz sięgał do pudełeczka z czekoladkami w różnokolorowych, srebrzystych papierkach i pilnie, pilnie się przyglądając wybierał i kładł sobie do ust, częstując Jurka, który chwycił nawet nie wiedząc co połyka, jak wilk pigułkę: kontrast osobowości, cóż za przestrzeń dzieli tych ludzi. Uderzająca cierpliwość Kota, nigdy ani słowem nie zadrasnął Jurka, odwrotnie, zarzuty najbardziej naiwne przyjmował z całą powagą i zbijał z całym aparatem istotnych argumentów, faktów i wiadomości nieujawnionych: jego zatarg ze Stańczykiem, krytykę różnych resortów MSZ-u i Propagandy, i Ciechanowskiego, i Sokolnickiego w Stambule. Kot jest wielki gracz. Mówił o ileż trafniej, mądrzej od J., a przecie nie K. a J. miał po jakimś rację, nie argumentów, a napięcia i młodości”.

Tu, dziś, ja widzę moją słabość, odruch przyjęcia argumentów nie z powodu ich większej, obiektywnej słuszności, ale *ładunku*, który rozmówca w tej argumenty wkłada. Dlatego słuszny był może zarzut Kota, który do mnie dotarł przez Sikorskiego, że ulegam młodym, po prostu ludziom o silniejszej pasji, *je ne crois que les histoires dont le témoin se ferait égorger*. Jakże często nie tylko ulegałem temu pascalskiemu wartościowaniu (wcale dziś nie wydaje mi się słuszne, bo gotowość

dać się zarżnąć nie świadczy jeszcze o uwadze i rzetelności myślowej świadka), ale je jeszcze rozszerzałem na koncepcje i decyzje tych, co dla tych koncepcji i decyzji *se feraient égorger...* A właśnie wówczas, w wojsku, co drugi, który przez Rosję przeszedł i był świadkiem tego co się tam dzieje, dałby się zarżnąć sto razy, żeby „krzyż splugawiony razem z młotem padł”, i co drugi wierzył, że wystarczy odmłodzić rząd, by inaczej, energiczniej, śmiej się szanse Polski rozegrać i uratować Kresy. Tego samego dnia notuję dalej:

„Kolacja w wielkim zmęczeniu z J. i z Z. (Bernardem Singerem, dawnym redaktorem *Naszego Przeglądu*, który w otoczeniu Kota, poza Ksawerym Pruszyńskim, był mi jedynym bliskim człowiekiem) Rozmowa się nie kleiła, S. za intelektualista, wszystko co mówił, Biblia, uwagi, porównania, wszystko *terra incognita* dla J., zmęczenie tą głuchotą jego na wszystko co poza *action directe*. Mowa o wojsku w Rosji i wtedy J. zaczyna mówić namiętnie, trafnie, krytycznie, o braku decyzji rządu, woli rządu etc. Odprowadzam J. potem Singera... rozmowa z nim smutna i mądra, w której ten mądry Żyd mówi z tą barwną, śmiałą przenikliwością o sytuacji, o tym że ta partia będzie rozegrana wąsko i na bardzo krótką metę. Że nie będzie załatwiona głęboko. Mój cel jeden jest wyraźny, nie dopuścić do krwi, która dałaby tylko katastrofę na zewnątrz i nawet w razie sukcesu dałaby zmianę, która nie byłaby ratunkiem, trzeba się jeszcze krystalizować i szukać nowych sił i nowych ludzi”.

Podaję tutaj zapiski sam je odczytując po raz pierwszy po latach. Czas te wspomnienia spłyć i rzeczy zapisane na miejscu są nikłym, ale pewniejszym świadectwem tego, jak z *mojej* ówczesnej perspektywy sytuacja zdawała mi się groźna. Jeżeli już dziś trudno mi skleić bieg ówczesnych wydarzeń, nawet najbliższej o moją pracę zazębionych, jedno jest pewne: „spisek Klimkowskiego” wcale nie był fikcją, i był skierowany przeciw Sikorskiemu. Ale *rozmiarów* jego nie znałem absolutnie, i właściwie nie znam dotychczas, podejrzewając zawsze Klimkowskiego o świadome uprawianie bluffu. Kot pisze o czterystu wciągniętych do spisku oficerach, nie wiem skąd zdobył te cyfry.

Konfrontacja Kota i Klimkowskiego w mojej obecności mogła, zdawało mi się, wiele nieporozumień rozproszyc i spraw rozładować. Czy byłem rzeczywiście miękki, jak mi to Kot zarzucał?

„Ludzie, którzy by sobie ręki nie podawali, przez ciebie z sobą się stykają i ze sobą mówią” — powiedział mi wówczas Bernard Singer. To było może też coś warte.

Dla mnie przy tym było to jedynym sposobem o wielu rzeczach wiedzieć i, na ile było mnie stać, hamować i rozładowywać.

Koniec Klimkowskiego

Przyjazd generała Sikorskiego na Bliski Wschód w końcu maja 1943 roku to błyskawiczny koniec błyskawicznej kariery Klimkowskiego.

Ktoś wręczył Sikorskiemu przy wysiadaniu z samolotu w Kairze skierowaną przeciwko niemu ulotkę. Ulotka była drukowana w Teheranie przez wyznawców Klimkowskiego i przywieziona do wojska — jak głosiła plotka — pod spódnicą oficera PSK⁸, wysokiej rangi. Każdy znał prawie chorobliwą drażliwość Sikorskiego na wszystko co o nim pisano (zresztą niewielu znam dowódców, którzy by tej drażliwości nie mieli). Ulotka oburzyła Sikorskiego, który naturalnie w pierwszej chwili czyni Andersa odpowiedzialnym za ten — w jego oczach — afront i, szerzej, za dopuszczenie do rozpolitykowania armii. Anders jest wściekły na Klimkowskiego, odpowiedzialnego za posunięcie, w tej chwili bardziej niż kiedykolwiek generałowi nie na rękę. Zresztą już *przed* przybyciem Sikorskiego generał Anders usuwa Klimkowskiego ze sztabu do 12 pułku ułanów (Klimkowski wówczas awansował, gdyż z dowódcy przybocznego szwadronu został dowódcą pułku). Jest to już okres, kiedy, jak mi się wydaje, Anders stracił swoje dawne bezwzględne zaufanie do Klimkowskiego.

Przykre spięcie, wywołane ulotką teherańską, udaje się całkowicie załagodzić. Pogłoski kursujące w Londynie o przygotowywanym w Armii zamachu na Naczelnego Wodza Anders odrzuca całą wagą swego w armii autorytetu. W czasie tego pobytu Naczelnego Wodza stosunki między Sikorskim a Anderssem przechodzą różne fazy. Projekt Sikorskiego podziału władzy Andersa między dowódcę Armii a dowódcę Korpusu, mającego wyruszyć do Włoch, projekt którym Sikorski zaskakuje Andersa na jednej z odpraw oficerskich, znów zaognia stosunki między nimi. Projekt ten w Bagdadzie zostaje przez Sikorskiego porzucony.

Parokrotnie spotykam wówczas Naczelnego Wodza. Nie tylko Kot ale również Sikorski krytykował nasz zespół Propagandy

5. Pomocnicza Służba Kobiet.

za to, że *Orzeł Biały* (tygodnik Armii) źle jakoby naświetlał sytuację polityczną, i że nie dosyć pisał o Wodzu Naczelnym.

— Jesteście nielojalni, ale was odwiedzę — mówił mi Sikorski 6 czerwca. — Pomijacie zupełnie w *Orle* Prezydenta i mnie — (był to zarzut zupełnie niesłuszny). Sikorski cytuje mi jakiś komunikat Goebbelsa o faszyzujących nastrojach w naszej armii, mówi mi: „trzech ministrów nalegało bym nie jechał, ponieważ mają mnie tu zabić”. Tłumaczę mu, że to absurd, że pożywką tej niechętniej agitacji przeciw niemu są jego wypowiedzi o „genialności Stalina” i o tym, że jakoby wszyscy jeńcy zostali w Rosji wypuszczeni z obozów, co jest nieprawdą. Sikorski robi na mnie wrażenie jakieś odprężone, swobodne, zadowolone z serdecznego przyjęcia w Armii, może pierwszy raz sympatyczne. Sikorski przechodzi do sprawy Klimkowskiego. Zna go od Angers, jest informowany o jego burzliwej działalności w wojsku.

„... nie chcę go wykańczać. Gotów jestem wysłać go do Ameryki, ale, że mu się w głowie przewróciło, to go nie przyjmę⁶”.

Dla Sikorskiego Klimkowski jest *leader*'em fermentującej młodzieży, którą chciałby zdobyć dla siebie i dla swej polityki.

Już w Jerozolimie była mowa z Kotem o odmłodzeniu nie tylko Armii, ale aparatu rządowego. Omawiana była możliwość przysłania do Londynu paru młodych ludzi z Armii do roboty politycznej. Nie umiem sobie przypomnieć, kto ten projekt pierwszy rzucił. Nie był to na pewno ani Anders, jak przypuszcza Kot w swojej książce, ani Kot, jak to znów przypuszcza Anders. Według mego przekonania autorem tego pomysłu był sam Klimkowski. O ile sobie przypominam, dopiero w czasie obecności Sikorskiego na Bliskim Wschodzie powstaje pomysł Ameryki! Klimkowski pisząc o tym planie traktuje go najzupełniej poważnie. Klimkowski, nie mówiący ani słowa po angielsku, robiący „wielką” politykę w Waszyngtonie! Jestem przekonany, że głównym celem tego planu było „honorowe” usunięcie burzliwej i mętnej głowy z Bliskiego Wschodu, która tylko w takich specyficznych warunkach mogła stwarzać niebezpieczny ferment. (De Gaulle, *toute proportion gardée*, „rozpieprzył” inspiratorów i autorów 13 maja w Algierze).

Co było prawdy w groźbach zamachu na Sikorskiego, w niebezpieczeństwach, które Naczelnemu Wodzowi w Armii groziły?

6. Według książki Klimkowskiego, Sikorski podczas swego pobytu spędza z nim długie godziny na rozmowach. Klimkowski nie podaje daty. Stwierdzam tylko, że słowa Sikorskiego, które tu pomieszczam, przepisuję dosłownie z mojego dziennika, gdzie je zanotowałem w dniu rozmowy.

Dziś przypominam sobie te ówczesne plotki i pogłoski. Powtarzano słowa Klimkowskiego o „zastraszeniu” Sikorskiego, że gotów jest Sikorskiego przed wojskiem publicznie znieważać (słowa były o wiele bardziej dosadne), bo on, Klimkowski, taki ma autorytet i władzę nad swoimi żołnierzami. Słowa te doszły do Adolfa Bocheńskiego, który przekazał Klimkowskiemu, że jeżeli włos z głowy spadnie Sikorskiemu, który reprezentuje „majestat Rzeczypospolitej” to on sam własnoręcznie zastrzeli Klimkowskiego. Bocheńskiego znaleźmy wszyscy jako konsekwentnego przeciwnika polityki Sikorskiego, ale przede wszystkim jako człowieka o głębokim poczuciu państwowym i wyjątkowej odwadze, nie tylko fizycznej, ale i moralnej. Nie wątpię, że wykonałby tę groźbę.

Nie umiem osądzić, do jakiego stopnia groźby Klimkowskiego były groźne, co u niego było bluffem i najprościej nieodpowiedzialnym, polskim *gadaniem*, ale reakcja Bocheńskiego, reakcja człowieka tej uwagi i tej odwagi, świadczy, że dym nie był bez ognia.

Klimkowski, usunięty przez Andersa ze Sztabu, traci wszelkie możliwości działania w znaczeniu politycznej agitacji i jednocześnie zdaje się tracić resztę zimnej krwi. Przecie przy zmienności jego poglądów nie było żadnej *doktryny* politycznej, którą można by było z jego akcją wiązać. Widząc jak Sikorski jest w Armii przyjęty, Klimkowski zmienia postawę, jak zwykle o 180 stopni, i proponuje zorganizowanie wielkiego przyjęcia dla Sikorskiego w swoim pułku, gwarantując, że on jeden potrafi to tak urządzić, że Naczelnego Wodza jego żołnierze na rękach wyniosą z auta. Propozycja nie zostaje przyjęta. Jakże to wszystko przypomina w klimacie zamachowców na gen. Salan, którzy stają się nagle jego obrońcami w *Comité du Salut Public!*

Stronice i stronice książki Klimkowskiego, przeróżnych afabulacji, opowiadań o intrygach, nadużyciach i przyjęciach, wszystko to przygotowanie tylko do bomby ostatniej.

A więc według tej książki Anglicy mordują Naczelnego Wodza i na to aby go zamordować dwadzieścia osiem osób ginie z nim razem, wśród nich córka Generała, dwóch posłów do parlamentu angielskiego, szef II-go oddziału angielskiego na Bliski Wschód... W zamachu współdziałał sam Churchill, wzywając Sikorskiego do Londynu przed czasem, na to by go szybciej zamordować (to wszystko żeby zamiast Sikorskiego przyszedł o wiele niewygodniejszy dla Anglików gen. Sosnkowski). Ale koroną tej bajki jest następująca wersja Klimkowskiego: Anglicy przez płk. Hullsa (oficera łącznikowego przy armii), później przez

gen. Beaumont-Nesbitta (szefa oficerów łącznikowych na Bliskim Wschodzie) zawiadamiają o tym Andersa, który w tym zamachu sam palce macza. Parę dni przed wyjazdem Sikorskiego z Kairu do Gibraltaru Anders dostaje silnej gorączki (ostry atak malarii, tak częstej na Bliskim Wschodzie), ale Klimkowski pisze o tym znacząco: „faktycznie, gdy po paru godzinach przyszedł lekarz, stwierdził że gen. Anders ma podniesioną temperaturę. Nie mógł jednak znaleźć przyczyny” i dalej „były chwile, że cały trząsł się jak w febrze, wezwany lekarz nie stwierdził jednak żadnej choroby”. Aluzja, że Anders dostał gorączki z wyrzutów sumienia, czy może z radości, bo Anglicy zdecydowali się zamordować Naczelnego Wodza. Książka kończy się tym złym romansem kryminalnym, w który nie wiem czy jeden naiwny komunista, czy jedna niewinna kucharka w Polsce będą w stanie uwierzyć.

Po wyjeździe i po śmierci Sikorskiego Klimkowski próbuje jeszcze i jeszcze, choć już odsunięty od sztabu, agitować i politykować, i zostaje aresztowany między innymi za przechowywanie dokumentów sztabowych.

Nie spotkałem się więcej z Klimkowskim. Raz, jadąc jeepem w Palestynie, mignęła mi jego sylwetka w kurtce od pizamy przy baraku więziennym i raz otrzymałem od niego gryps, też jeszcze w Palestynie, z którego pamiętam jedno zdanie: „Na rany Chrystusa nie byłem agentem”.

Wojsko przez Palestynę, Egipt wyruszyło na front do Włoch. Jak szybko ferment irackiej pustyni zginął i przepadł! W akcji, o której wojsko marzyło, do której jak tylko sprzęt nadszedł gwałtownie się sposobiło, wykazało ono, od dowódcy do szeregowca, swe wielkie walory i swą wbrew wszystkim tarciom, istniejącym wszędzie i zawsze wśród ludzi, naprawdę wspaniałą jedność.

Do pierwszego okresu tej epopei wojska polskiego, od łagrów do Ancony, i Klimkowski także się przyczynił; spał jednak i opisał, zafałszowując, tylko rozgrywki generałów. Siebie tylko i swoją własną przeszłość zabazgrał.

(*Kultura* nr 6/140, 1959)

NARODOWOŚĆ CZY WYŁĄCZNOŚĆ?

„Tutaj kłamać to ochraniać społeczeństwo, mówić prawdę to rozwalać Państwo”.

„Milczenie straszliwsze niż samo nieszczęście”.

Custine, *Listy z Rosji*, 1839.

Może najbardziej uderza mnie przy spotkaniu z przyjezdnymi z Polski to, że odnajduję w nich nie tylko te same co dawniej problemy, ale te same obsesje, nieuciszone, nierozwiązane, ale, jakby na odwrót, przez egzasperację spotęgowane. Wojna, okupacja niemiecka, piętnaście lat Polski ludowej, Październik, zdają się wówczas faktami względnie powierzchownymi.

Lata spędzone w warunkach tak różnych, które powinnyby między nami wykopać przepaść, jeżeli naprawdę byt, i tylko byt, określa świadomość, dają prędzej odkrycie trwania i to trwania nie tylko tego, co najbardziej istotne tak dla ludzi w kraju, jak i dla tych o których Mickiewicz pisał, że mają „geografię i politykę podeszwianą” bo „wydeptali nie mało krajów”, ale trwania odruchów, urazów tego wszystkiego co nas zamyka, co stwarza tę *morale clause*, odcinającą od wszystkiego co inne.



Pisałem w *Nieludzkiej ziemi* o mojej rozmowie w 1919 roku ze Stasową, członkiem triumwiratu Siewiernoj Komuny, w jej pokoiku-celi w Smolnym w Piotrogradzie.

Idąc do niej, w salach przez które przechodziłem by do niej dotrzeć mijałem sterty broszur propagandowych, dotyczących kołchozów.

— Czy pani wierzy w propagandę sowiecką za kołchozami na wsi? — spytałem. Stasowa popatrzyła na mnie tak, jak człowiek wiary patrzy na biednego niedowiarka:

— Byt określa świadomość, zmieniliśmy byt, *idieja nasazda-jets'a*, niech pan wróci za dwadzieścia lat, wtedy pan zobaczy — odpowiedziała spokojnie.

To zdanie utkwiło mi wówczas w pamięci do tego stopnia, że gdy równe dwadzieścia lat później wywożono nas w głąb Rosji w bydłowych wagonach, patrzyłem łapczywie, prawie wierzyłem, że zobaczę na twarzach ludzi choć najlżejszy odbłask nowej socjalistycznej ziemi i nowego nieba. Niewielu godzin było potrzeba, żeby odczytać prawdę na zgaszonych twarzach stacyjnych tłumów. Potem widziałem, poznałem chłopów w kołchozach. Pasja, marzenie posiadania wydawało mi się w tych ludziach nadal tak samo trwałe, wkorzone, jakby nawet wzmożone przez egzasperację. Proroctwo — pewnik „naukowy” Stasowej, „sumienia rewolucji”, jak ją wówczas nazywano — okazało się złudnym marzeniem. Trwała, odwieczna namiętność posiadania.

◆

Kiedy w obozie Starobielskim słuchałem wierszy Mickiewicza i nawet Or-Ota o Syberiach i zsyłkach, byłem wstrząśnięty nową dla mnie, a całkowicie identyczną, jak w chwili powstawania, ich aktualnością, ich siłą magiczną dzięki temu ustokrotnioną. Wtedy również wyczułem nie mijanie, a trwanie świata krzywd i urazów, które jeszcze parę lat wcześniej zdawały się nam przeszłością.

◆

Dziś podobnie, w rozmowach z niejednym przyjezdnym z kraju uderza mnie temperatura, siła *do egzasperacji* doprowadzonego urazu wobec Rosji.

Miłosz w swoim studium o Conradzie wykazuje, jak jego stosunek do Rosji podobny był do przeciętnej opinii kresowego szlachcica z tamtych lat. Tak dla tego pisarza angielskiego, od dawna oderwanego od Polski, jak i dla sfery z której Conrad się wywodził, Rosja to świat okrutny i zły, to, jak pisał jeszcze ojciec Conrada, Apollo Korzeniowski, „hosudarstwo co rozsiada się jak złodziej domowy na rządach europejskich”.

I tu znowu, po dwudziestu latach rozstania z krajem, zdaje mi się, że uraz antyrosyjski ma siłę większą niż nawet za czasów

kiedy zesłania i doznane krzywdy złościły świat odczuć Conrada i formowały jego światopogląd. Na zapytanie o Rosję ileż razy słyszę odpowiedź odruchową: „Nie wiem o niej *nic*”. Te same słowa, jakie Conrad — autor *W oczach Zachodu* — który miał odrazę do Dostojewskiego (wyznał przecie kiedyś „że Dostojewski jest głęboki jak morze”), który dzieciństwo w Rosji przeżył i tam na zesłaniu w Wołogdzie stracił matkę, napisał do Garnetta: „Nie wiem o Rosji *nic*”. Kiedy słucham opowieści ludzi, którzy w Rosji czy przez Rosjan stracili najbliższych, kiedy oni swój sąd o Rosji wypowiadają, czuję jakby tu każdy z nich dotykał jakiejs granicy magicznej, której przekroczyć nie ma sił, czy nie jest w stanie, granicy poza którą jest spojrzenie na Rosję, wizja Rosji, bardziej złożona i bardziej sprawiedliwa. Ten stosunek przez pryzmat „żez swoich świętych i przeklętych” odcina nas nie tylko od Rosji, ale od całego świata, który widzi Rosję albo w barwie równie uproszczonej, tylko że różowej, albo też pełną sprzeczności i nadziei, oczami Dostojewskiego.

Nasze spojrzenie na kraj, który jest i będzie naszym sąsiadem, „bo nie jesteśmy otoczeni morzem jak półwysep italski”, ma naprzeciw siebie, musimy o tym pamiętać, spojrzenie na Polskę równie uproszczone i na pewno niemniej wrogie. *Kiczliwyj Lach* Puszkina i różne *Poliacziszki* Dostojewskiego, genialne karykatury polskiej hipokryzji, pańskiej pychy i patetycznej frazeologii bez pokrycia tak samo fałszują i niszczą prawdziwy obraz Polski w oczach milionów Rosjan.

Miłosz, cytując najbardziej antyrosyjskie wypowiedzi Custine’a czy Marksa, twierdzi słusznie, że to co na Zachodzie zdawać się mogło i *było* odkrywcze — bo tak różne od przyjętej o Rosji opinii, w literaturze polskiej było banałem (Miłosz mówi „stereotypem”), że to spojrzenie na Rosję szło jeszcze od dawnej Rzeczypospolitej, gdzie narastały między Polską a Rosją kompleksy „niższości - wyższości” i że to wszystko nie przeszkadzało kresowemu szlachcicowi, który fizycznie i psychicznie był Conradowi bliski, mieć do Rosjan pewną skłonność; nie poszczególni Rosjanie byli przecie winni, ale typ cywilizacyjny, który wszystkich i każdego musi zdegradować.

Ten stereotyp znowu zdaje się panować w Polsce, zasilony nowymi i *jakimi* faktami, argumentami.

Ta wizja Rosji nieludzkiej, która niesie i nieść może tylko zagładę i zło, jakże mogła nie rozwinąć się i nie spopularyzować w Polsce, na Węgrzech i we wszystkich krajach, gdzie jej panowanie sięga. Dla dzisiejszego Polaka Rosjanie to ci, którzy półtora miliona obywateli polskich wywieźli na wschód, skazując

ich ogromny procent na zagładę, to oni wymordowali tysiące w Katyniu, to oni wywieźli podstępnie szesnastu i z bronią u nogi patrzyli na zagładę Warszawy, to oni kierowali bezpieką, która torturowała, to oni zdławili bohaterskie powstanie Węgrów sowieckimi czołgami, to oni *teraz* zgładzili Nagy'ego i jego towarzyszy, półtora roku po zdławieniu powstania. Więc nic, nic się nie zmieniło i zmienić się nie może, bo to zawsze ta sama Rosja, mieli rację i Mickiewicz w III-ciej części *Dziadów* i Conrad i Custine i Marks, który pisał, że Moskwa ukształtowała się „w szkole upodlenia, jaką było straszliwe jarzmo mongolskie, poprzez Piotra, który połączył z polityczną zręcznością mongolskiego niewolnika dumne aspiracje władcy, któremu Dżingis Chan przekazał zadanie podboju świata”.

Więc znów jak nad szlachtą kresową XIX wieku, jak nad Conradem, panuje ta wizja Rosji z *Dziadów*, z *Przeglądu Wojska*:

... *heroizm* (wiernego niewolnika), *śmierć taka*
jest psu zasługą, człowiekowi grzechem...

Ale czy tkwi również w świadomości naszej ten inny aspekt Mickiewicza, *przyjaciela Moskali*?

... *Wy czy mnie wspominacie? — Ja ilekroć marzę*
o mych przyjaciół śmierciach, wygnaniach, więzieniach
o was marzę...

Każdy kto choć parę lat przeżył w Rosji, czytając ten wiersz podkłada podeń twarze *swoich* przyjaciół, swoje własne o Rosji i Rosjanach *piękne* wspomnienia.

Któż słyszy dzisiaj samotny głos Norwida, jego uwagi o Rosji zgubione w przedwojennym, dziś już nie do dostania, wydaniu jego listów. Ale właśnie Norwid, wróg „purytanizmu patriotycznego”, powstaje przeciw ocenom jednostronnym i mowa jego jest twarda dla każdego ulegającego stereotypowi, któremu nawet Conrad uległ, a któremu Norwid na tyle się nie poddał, że właśnie w latach 63-64 atakował nawet Mickiewicza — uważał, że nie jest on pisarzem narodowym, ale jedynie *wyłącznym*.

„... Nieświadomość krytyczna w sferze myśli” — pisał Norwid. — „W sferze prac ducha, toż samo przeto napotykać się da w historycznej rzeczywistości. Tak jak wyłączność Mickiewicza nazwali narodowością i nazywają z uniesieniem febrze podobnym, bo dyskusji nie znoszą, tak samo w rzeczywistości wezmą *wyłączność* za *narodowość*. Jak Duchiniński im wyróżnie

krzepko 'Moskal-Chińczyk' to będą uradowani, a jak kto ostrzeże, że dziś: *naród się składa nie tylko z ducha, który się różni z innymi, ale i z tego co łączy*, i że nie można wyciąć w pień na 20 mil kwadratowych koło Polski, aby w niej był narodowy poeta i narodowy historyk, to oni pluną na ciebie — aż tym sposobem *podniosą separatyzm nieprzyjaciela, jak to zrobili, i wściekłość wrogów, aż zżeczne usunięcie przyjaciół spowodują. Każdy anachronizm zawsze te ma owoce!*"

„Tylko wolni ludzie” — pisze Norwid w innym liście — „*tylko ci, co nie są od kolebki żelazem napiętnowani jako NIEWOLNICY, wiedzą o tem, że granicząc z Rosją trzeba w niej mieć SWĄ PARTYĘ, inaczej albowiem spotykają się zawsze dwa MONOLITY, nic pośredniego nie mające, a skoro dwa monolity się zetną ze sobą, zostaje nicestwo i strzaskanie się sił ostateczne*”.

Ale moje uwagi pesymistyczne o zamurowaniu naszym w polskiej morale *clause*, o niezdolności obiektywizacji naszych urazów są może również jednostronne. urazów są może również jednostronne.

Widziałem i znam niejednego Polaka reagującego na te sprawy bliżej Norwida niż „stereotypu”, znam ludzi męczonych, nawet torturowanych, którzy do Rosjan urazu nie zachowali, więcej, którzy opuszczając Rosję żegnali ją ze łzami, bo od Rosjan równocześnie doznali tyle braterstwa, tyle współczucia, bo poznali takich, którzy to samo co oni cierpieli i tak samo jak oni z gwałtem próbowali walczyć. Czy jest takich Polaków wielu — nie wiem.

Ludzi o takim stosunku do Rosji spotykałem również wśród wyznawców rosyjskiej literatury. Wrogowie Rosji wszelkiej, carskiej, sowieckiej czy „republikańskiej”, nawet oni nie odmawiają wielkości i głębi literaturze rosyjskiej, przekreślając te związki organiczne, a przecież koszmar rosyjski i geniusz rosyjski, okrucieństwo i miłosierdzie, najwyszukańsza, najbardziej europejska kultura i barbarzyństwo, to wszystko łączy się w jedną rzeczywistość i kto tę *całość* przekreśla, ten nawet będąc Conradem myśli nie kategoriami rzeczywistości a fikcjami. Ta literatura rosyjska, której wszechludzkiego wkładu i wielkości nikt już chyba, poza W. A. Zbyszewskim, nie neguje, jest z tą rosyjską rzeczywistością związana. To prawda elementarna.

W *Dzienniku* Tołstoja z 1903 roku jest brulion opowiadania *Boskie i ludzkie*; ten brulion właśnie zdawał mi się wzorem surowej i pełnej prozy, „bezbłędnej wierności prawdzie”, jak powiedzieć miał o Tołstoju Pasternak. Na pięciu zaledwie stro-

nach Tołstoj daje obraz skazanego na powieszenie wroga wszelkiego gwałtu, młodego Swietłoguba, służbisty generała, który go na śmierć skazuje, matki skazanego, terrorysty, który marzy o wymordowaniu tysięcy ludzi i chłop-sekciarza, który latami tkwi w więzieniach za to, że szuka prawdy. Cały świat rosyjski wieczny, bo konflikty tego opowiadania są wieczne: religia, wolność, gwałt, fanatyzm wiary, miłość i poświęcenie. W pełnym moskiewskim wydaniu Tołstoja znajduję opis, jak to opowiadanie powstało. Cóż za absolutna, zaledwie przetransponowana wierność rzeczywistości. Bohater opowiadania, Swietłogub, to powieszony w Odessie w latach siedemdziesiątych Lizogub, syn rosyjskiego ziemianina i chyba Polki, bo Dunin-Borkowskiej. Tkanka tego opowiadania jest tak wrośnięta w rosyjską rzeczywistość, że jej w żaden sposób oddzielić nie można. To jeden z miliona przykładów tego stopu literatury i rzeczywistości do zacytowania.



Czy wizja Rosji, wyłącznie okrutnej i zbrodniczej, która chyba nigdzie nie była tak generalnie uznawana jak w krajach przez Rosję czy Związek Sowiecki wchłoniętych czy jemu podporządkowanych, może dziwić Rosjan, choćby tych najlepszych, którzy nad dzisiejszym stanem rzeczy cierpią nie mniej okrutnie? Przepaść wykopana między Rosją a tymi krajami ujarzmionymi, myślę tu szczególnie o Polsce i o Węgrzech, jest na tyle głęboka, że rozbitcie, przełamanie tego wzmożonego, ustokrotnionego stereotypu, w Polsce na przykład, wydawałoby się wręcz niemożliwe, gdyby nie jedna myśl, jedna prawda bardziej niż kiedykolwiek oczywista, że wolność jest jedna i że terror dławiący wszystkich jest jeden. Wyjście robotników na ulice Berlina, wypadki poznańskie, Październik, powstanie węgierskie, zacięte, zaciekle walki wewnętrzne partii komunistycznych wszystkich krajów po przemówieniu Chruszczowa na XX Zjeździe — partii „monolitycznych” jedynie w mowach ich przywódców — wszystko to zdaje się gestami tragicznymi, beznadziejnymi, jeżeli Rosja się do tej walki nie włączy, jeżeli nie tylko polscy, niemieccy czy węgierscy robotnicy, intelektualiści czy chłopci gotowi są walczyć za te stare, zdarte, tyle razy zafałszowane i nadużywane, a przecież jedyne hasło wolności. Zasłona „milczenia straszliwszego niż nieszczęście” pokrywa Rosję jeszcze bardziej niż sto dwadzieścia lat temu, kiedy Custine pisał te słowa. Ale *wiemy* o buncie w Workucie, *wiemy* o fermentach na uniwersytetach, w Wuzach, *wiemy* o nastrojach skrajnie antysowieckich wśród mło-

dzieży najmłodszej, której świadomość polityczna kształtowała się w okresie XX Zjazdu. Wszędzie gdzie tylko na najwęższym chociaż odcinku ukazuje się wolność myśli, ta wolność rodzi wolność. Dlatego też spojrzenie na Rosję jako jedynie na kraj, który ma „jeden fanatyzm — posłuszeństwo”, jest spojrzeniem przez swoją jednostronność fałszywym.

Tołstoj opisuje w *Zmartwychwstaniu* młodą trawę, która z wiosną próbuje rosnąć nawet wśród kamieni więziennych. Bez tej nadziei, że i w Rosji nie wygasła wola walki, że i tam można zdobyć życie bardziej wolne, dla którego tyle pokoleń Rosjan ginęło, wszystkie próby liberalizacji, wszystkie próby rewizjonistyczne w krajach przez Rosję ujarzmionych zdają się gestami rozpaczliwych tonących.

Tylko wtedy ludzie, którzy Rosję znają nie jedynie jako szkołę upodlenia, ale także jako świat walki i miłości człowieka, tylko wtedy ci przyjaciele Moskali mogą głos podnieść i walczyć z tym obrazem Rosji, wyłącznie okrutnej i wyłącznie niehumanitarnej. Jeżeli potrafi się stworzyć na nowo instynkt *zatraconej solidarności* z tą Rosją inną, która nigdy istnieć nie przestała, tylko wtedy marzyć możemy o przyszłości, która nie będzie, jak pisze Norwid, „starciem dwóch monolitów, nicestwem i strzaskaniem sił ostatecznym”.

(*Kultura* nr 9/131, 1958)

AKADEMIA I NORWID

Akademia ku czci Norwida¹: samo połączenie słów *Norwid* i *akademia* to paradoks, który sobie uświadomiłem w miarę przygotowywania się do tego przemówienia.

Norwid nie znosił polskich jubileuszów i akademii. Występował przeciwko stylowi tych manifestacji — wątpię, by się od tego czasu bardzo zmieniły — widział w nich topienie prawd istotnych, różnic istotnych we wspomnieniach uróżwionej i ucukrowanej przeszłości, nie ożywianie, lecz usychanie ducha społecznego:

„Jubileuszowanie polskie trąci zawsze zgnilizną”, pisze w liście do Seweryna Duchinińskiego rok przed śmiercią, i dalej jeszcze:

„Mam *obrzydzenie* do polskiego jubileuszowania: to jest zawsze dowodem umarłości narodu i społeczeństwa”.

Więc o co chodzi, co powinniśmy zrobić, by ta nasza akademia nie była nowym zagrzebaniem Norwida. Wywyższając go mechanicznie do rangi czwartego wieszczą, nie wiem czy mu pomagamy się *objawić*.

Postarajmy się spojrzeć na niego jakim był, bez przycinania go na naszą miarę. Norwid umarł w tym domu, przygarnięty na siedem ostatnich lat swego życia przez dobre siostry Św. Wincentego à Paulo, przez społeczeństwo zapomniany — więcej — *wzgardzony*.

„Promethidiony, Zwolony i inne Androny” — tak mówił o Norwidzie Klaczko; uważał, że jedno jest dla niego miejsce: u Bonifratrów, tzn. w zakładzie dla wariatów, a nawet jeden

1. Przemówienie w Zakładzie Św. Kazimierza w Paryżu, na Akademii w 75-tą rocznicę zgonu Norwida.

z znacznych, wiernych przyjaciół Norwida, najlepszy z ludzi, Bohdan Zaleski, sam poeta, pisał o nim:

„Nasz zacny i zdziwaczały Norwidek”.

Norwid chciał być *kolcem*, który budzi nas z uśpienia, z kultu frazesu, a frazesem było dla niego każde słowo nieprzeżyte, a tylko powtórzone. Mowa Norwida była twarda, bo każde jego zdanie było wyrazem doświadczenia osobistego, samotnego, przeżytego do końca; słowo obowiązywało go zawsze.

Jeżeli chcemy uczcić Norwida, to znaczy go wykorzystać tak jak on chciał być wykorzystany, czytamy jego listy, które, jak sam pisze, improwizował nigdy nie odczytując, do przyjaciół, do możnych czy biedaków, do wodzów powstania, do Władysława Zamoyskiego czy Mierosławskiego, do Hercena czy Zaleskich, czy do tych paru mu oddanych kobiet; nigdzie tak jak w tych listach nie jesteśmy w stanie odczuć, jakim był w całej pełni swojego istnienia poetą i człowiekiem.

Wyobrażamy go sobie żywego, pomyślny jakby był przez nas przyjęty dziś, biedny, wciąż w pogoni za pożyczką, dumny jednocześnie, piętnujący nasze wady, nieustannie wszystkich pouczający i nieustępliwy. Pomyślny, jak traktujemy jego braci wśród nas żyjących. Zawsze słyszymy, że *styl* jego jest trudny, ale nie o styl tylko tu chodzi, nie ma stylu, nie ma formy, której by sama budowa, rytm, akcenty nie wyrażały takiej a nie innej treści człowieka. Chodzi tu o samą istotę Norwida.

Słodycz Norwida, słodycz takich wierszy jak *Do kraju tego* albo *Nad Capuletich i Montekich domem...* to słodycz, do której nam dotrzeć wolno tylko, jeżeli gotowi jesteśmy również przegryźć się przez gorzką skorupę jego ironii, jego surowej bezwzględności w sądzeniu nas, Polaków. Oddala się on całe życie od społeczeństwa, prędeż ono się od niego oddala, nie drukując jego artykułów, memoriałów, wierszy, gubiąc po redakcjach jego teksty — bo temu społeczeństwu Norwid nie basuje i występuje przeciwko ogólnie przyjętym pewnikom. Czy po stu latach reakcja naszego społeczeństwa emigracyjnego na Norwida żywego — byłaby inna?

Emigracja jemu współczesna biła się nie tylko w dwóch powstaniach, nie tylko w rewolucji węgierskiej, w wyprawach kaukaskich czy na polach Lombardii, ale i w legionach Don Pedra Portugalskiego, w algierskiej Legii Cudzoziemskiej i w ilu jeszcze wyprawach wojennych, najdalszego nawet z Polską nie mających związku: nie tylko pojedynki wśród niej były na porządku dziennym, ale dochodziło nieraz do „pojedynków” *gromadnych* — to była emigracja, o której pisał Słowacki, że dobra

jest tylko do korda. Otóż temu społeczeństwu emigracyjnemu Norwid miał śmiałość powiedzieć: „Nie wierzę, żeby krew zdobywała przyszłość (mianowicie od dziewiętnastu wieków). Ja wierzę, że *pot* czoła, ale nie *krewni*!! Kapitalne to różnice pojęć, które nie dopuszczają obcowania pożytecznego”.

Żąda oszczędności krwi i życia i wraca z profetyczną pasją do tego, że „będzie co kilkanaście lat rzeź (sic), rzeź niewiniątek, i będzie zniszczenie i nicość — tak będzie”. Bo wojny, bo przelew krwi ominąć można tylko, gdyby *myśl* panowała nad energią.

„A u nas energia zawsze przed myślą wyskoczy”.

„Bitwy dlatego tylko bywają, iż heroizm nie bywa pierwiej na wszystkich polach życia praktykowanym. Stąd bitwy są chirurgią, a nie medycyną”.

W życiu codziennym nie umiemy walczyć o swoją prawdę, jesteśmy nie tylko leniwi umysłowo, ale tchórzliwi. Ten zarzut jest może najczęściej przez Norwida formułowany. Narodowi najodważniejszemu na polu bitwy brak odwagi cywilnej. Pod tym względem może najbardziej znamienity z jego listów to list do Kraszewskiego z 1866 roku z Paryża. Norwid pisze tam o zatargach swoich z Zygmuntem Krasińskim, człowiekiem którego kochał i mówił o nim jak o jednym z rzadkich Polaków, z którym można „szlachetnie się różnić”, bo Polacy według niego „umieją adorować albo bezcześcić — nigdy oceniać”.

„Mówiłem Zygmunтови — pisze w tym liście — przed śmiercią jego, gdy przyszedł do mnie, do tego kąta, gdzie byłeś pod moją nieobecność. Mówiłem mu, *łzecie, nie ufacie następstwu prawdy*, i mistrzostwu wszechprzemyślnego Boga!... To zaś *ufanie w konsekwencje prawdy zwie się NADZIEJĄ (cnotą)*”.

Czyż była ta prawda Norwida?

„Co prawdą jest, jest nią w obrocie planet na niebiesiech i w ziarnku piasku i w sercu i *w kieszeni i wszędzie*. Inaczej to żarty”.

Otóż w liście tym do Kraszewskiego występuje on przeciwko temu, co uważa u nas za *strach prawdy*:

„Oni (Polacy), gotowi wylać *morze krwi*, ale *kilku wyrazów prawdy nie powiedzą...*”, a do Merzbacha w tym samym czasie: „Moi zacni, utalentowani koledzy grzeszą przez brak czujności i odwagi cywilnej... Kiedy dojdziemy do dni, kiedy *mówić o głupstwie że jest głupstwem nie będzie zdradą stanu!*??? Tak niepewne swej cnoty i jej zasad pensjonarki angielskie osiemnastoletnie z jasnymi włosami, uchylają się i podejmując fiołki —

nieślychanie tym są zaprzątnięte, azali spódnic ich na nieład nie naraża gest niewinny??? Inaczej zaprawdę schylała się Debora i Judyth. Wcale owej podrzędnej nie mając galanterii”.

Gdy chciano mu wmówić, że społeczeństwo niedojrzałe jest do prawdy — pisał:

„Od nas zależy jaki wiek ma publiczność, która nas słucha. Książki to nie ciastka, ale strzały armatnie, których trzeba obrachowywać linię krzywą i czas przebiegnięcia pocisku”.

W panowaniu *energii* nad myślą, inteligencją, planowaniem, w tym polskim odwróceniu kolejności widzi Norwid źródło naszych tragedii.

„Wy rewolucjoniści, wy postępowi ludzie, nie wzgardźcie gawędziarstwem retrogradysty i złamanego człowieka. Tam gdzie energia jest 100, a inteligencja 3 i to jeszcze w *zupelnym lokajstwie i ponizeniu* — tam będzie co kilkanaście lat wyskok i rzeź jednego pokolenia i matematycznie inaczej być nie może”.

„Oto coraz więcej plany wygrywać lub przegrywać będą, nie zaś wykonanie planów! A Polska wobec tak postawionej treści co przygotowała?? Pytam! „I wciąż powraca do zarzutu, że myśleć nie umiemy, że widzimy wszystko „przez łez świętych i przeklętych pryzmat, widząc trojenie i siedmienie się tęcz, nigdy prawdy”.

Mickiewicz, przez wszystkich, nawet przez swych wrogów uznany za wieszczą narodowego modli się o Wojnę Ludów, mottem każdego Polaka jest „zwyciężyć albo zginąć”, a Norwid pisze:

„Każdy śpieszy na śmierć,
Żywota, który szukać zdolny”.

Życia nie czcimy, formy nie czcimy, dajemy się unosić gestom, marzeniom i z pasją, z goryczą, z bólem Norwid nam przepowiada najciemniejszą przyszłość.

Więc dlaczego czytanie Norwida jest nie tylko ożywcze, ale zdaje się wprost lekturą optymistyczną?

Bo Norwid wierzył w „wszechprzynomnego Boga”, wierzył w absolutny *sens* istnienia i to dawało wymiar jego myśleniu, jego nadziei, stąd wyrastał cały jego stosunek do człowieka.

Zależymy w dużej mierze od idei człowieka, którą w sobie nosimy: pojęcie nasze o człowieku zdegradowane nas samych degradowuje. Pojęcie Norwida o człowieku jest tak wielkie, tak wielka wiara w jego zadania, w jego możliwości, że lekceważenie człowieka („człowiek jest nicość”) uważał za świętokradczę.

Kontrast między tym, czy człowiek jest a tym, czym być może jest tematem jego *Rzeczy o wolności słowa* oraz jednego z najpiękniejszych listów do Konstancji Górskiej.

Cóż znaczy ludzkość?

„...Dziewięćset milionów
Skazanych na śmierć istot — parę zaludnionych
Półwyspów... Oto wszystko! i trup w każdej chwili
Zowąd — a zowąd słabe niemowlę zakwili —
Oto wszystko...”

Ale ta ludzkość „do samej siebie twarzą ponizona”:

„...bez boskości sama siebie zdradza
aż dopiero gdy w eter opłynie niebieski
powraca jej majestat i szkarłat królewski”.

A człowiek?

Oglądając go lichym od stopy do powiek
Jak pyłu garść rwanego wiatrem... — Cóż tam człowiek!?
Ale pył ów odniesion harmonii stworzenia
Kiedy atomem swoim w gwiazdę się zamienia,
I wielka rzecz stąd rośnie: co godzina, co wiek,
Co era — to mówimy wtedy: Oto człowiek!”

Ale ten człowiek Norwida, który „w eter opłynie niebieski”, to wcale nie wizja człowieka eterycznego. Norwid żąda od niego odpowiedzialności i walki tu na ziemi. Jeżeli jest przeciwnikiem *bezmyślnego* bohaterstwa, wie on co znaczy wola ofiary właśnie jako wymiar człowieka, i cził tę ofiarność.

W liście do Konstancji Górskiej (arcydzieło stylu epistolarnego) wyraża to przeciwstawiając tylko parę obrazów, bez komentarzy:

„W roku czterdziestym ósmym przechodząc po tych płaskich kamieniach, po których się idzie bulwarami do Magdaleny, trzeba było przestępować ostrożnie strumień czerwonej krwi ludzkiej, spływającej od strony Ministerstwa Spraw Zagranicznych, przez szerokość ulicy na dół.

Ta krew była wylana przez konających ludzi, którzy może się omylili ale wylewali tę krew ze wszystkich żył swoich na to, aby ci co po ich śmierciach żyć będą byli swobodniejsi i wyżsi i szczęśliwsi.

Ja obuwiem moim przestępowałem przez ten strumień krwi ludzkiej”.

Norwid pisze dalej o 50.000 ludzi, którzy zginęli pod Solferino, których matki i siostry kochały: „Wnętrznosci ich włożyły się po ziemi — słońce świeciło — zgnilizna się szerzyła — psy lizały ciała poległych”. Pisze o 80.000 trupów, które w jednym dniu „roztoczyły wnętrznosci swoje, czerwone krwią wylaną”... by ci co po ich śmierciach żyć będą byli troszkę wyżsi i szczęśliwi”, o umęczonych w Japonii, których imiona w Rzymie postawić mają na ołtarzach, gdzie się stawia Sakrament, i jeszcze wspomina ostatnie święta wielkanocne, gdzie „sto kilkadziesiąt milionów ludzi na świecie przyjęło Boga we wnętrznosci swe sercem i językiem”. I dziękując pannie Konstancji Górskiej, która „bardzo była łaskawa każąc mi wierzyć, że człowiek jest nicość i zero”, widocznie podczas rozmowy w jej salonie, gdzie pani Essakoff „dziwi się bardzo, że można dwie godziny milcząc siedzieć w osobnym kącie” — Norwid daje tylko jeszcze *inny* obraz człowieka:

„Aneta robi herbatę, Rotschild gra w bursę, pani Franciszkowa Potocka wychodzi za mąż... pani X. zadrasnęła się w palec szpilką, pan O. zażywa tabakę”, i kończy: „człowiek jest nicość, najniższy sługa C. Norwid”.

W liście tym widzimy poetę na tle *salonu*, jednego z nielicznych, gdzie był prawie domownikiem, i łatwo sobie wyobrażamy jak na jego odpowiedzi i zachowanie reagowano.

Spółeczeństwo, które go znało jedynie z rzadkich wystąpień i z jakże nielicznych drukowanych tekstów, może i z listów, zawsze zaskakujących, które sobie musiano odczytywać, to społeczeństwo już przyjąć go całkiem nie umiało. Nie możemy się temu dziwić.

O Mickiewiczu, wieszczu narodowym, Norwid pisze z całym spokojem, że wcale nie był *narodowym*, ale tylko *wyłącznym* poetą, bo dla Norwida narodowość „to nie wyłączość, ale to siła przywłaszczenia sobie tego wszystkiego co do postępowego rozwinięcia żywiołu potrzebne i konieczne jest²”. W pełni powstania, w memoriale do Mierosławskiego i w wielu listach nawołuje, byśmy pamiętali nie tylko to, co nas od Rosji dzieli, ale to, co nas z nią łączy.

Pisze, że „do słów Moskal, do słów Moskwa przywiązywanie

2. O *Panu Tadeuszu* pisze w 1866: „zapewne, że poemat ów arcynarodowy, w którym jedzą, piją, grzyby zbierają i czekają aż Francuzi przyjdą zrobić ojczyznę...”.

ohydy jest zarazem przeciwhistoryczną i przeciwpolityczną działalnością", bo i w Rosji, uważał Norwid, powinniśmy szukać i znaleźć przyjaciół, nie potępiając jej w czambuł, *wtedy właśnie kiedy z nią walczymy*. Cóż by mówiono o człowieku, który by w słowach równie gwałtownych takie prawdy dziś wypowiadał? Ale pojęcie Polski i walki o Polskę było u Norwida zawsze związane z tym co nazywał uczuciem ludzkościowym, i dlatego jest on nam dziś tak potrzebny: tak wtedy, jak i dziś byłby gwałtownym przeciwnikiem wszelkich ciasnych nacjonalizmów, które są katastrofą naszej epoki.



Dlaczego ten ponad osiemdziesiąt lat temu przygarnięty w Zakładzie Św. Kazimierza poeta, który tu napisał *Bransoletę*, *Garść piasku*, *Kleopatę* i tyle najpiękniejszych tekstów, dlaczego zdaje mi się dziś już zwycięzcą? O, nie w znaczeniu sukcesu („sukces owszem rozpaja”) i nie w znaczeniu, że trafić może jak *Pan Tadeusz* pod strzechy — Norwid będzie zawsze pisarzem trudnym, pisarzem dla niewielu, ale faktem jest, że ilość ludzi, którym Norwid towarzyszy, których olśniewa i wspiera — wzrasta.

Nie możemy tu nie wspomnieć Miriama; jego namiętności i uporowi zawdzięczamy, że Norwida dziś możemy czytać. Miriam całe życie jemu poświęcił i jeszcze poraniony, półprzytomny, 83-letni starzec, podczas Powstania Warszawskiego, dawał zlecenia jak wydać ten ostatni tom pism politycznych i filozoficznych Norwida, które pod redakcją Zaniewickiego tak pięknie wydała na emigracji Oficyna Poetów i Malarzy, z jedyne go egzemplarza korektorskiego, uratowanego z pożaru w czasie Powstania Warszawskiego.

Jaki był wydzźwięk Norwida w okupowanej Warszawie wiemy z posłowień Wacława Borowego do wyboru myśli poety, które Borowy w tamtych czasach przygotowywał, i z niezliczonych opowiadań; pisze o tym również Zaniewicki we wstępie do *Pism Filozoficznych i Politycznych*.

Z własnych wspomnień wiem, czym były tomy jego listów w obozie w Griazowcu, dokąd cudem do mnie dotarły.

Jeżeli chodzi o powojenną epokę: nie ma chyba przesady w stwierdzeniu, że i w kraju i na emigracji Norwid jest poetą XIX wieku, dającym pokarm umysłowy i poetycki najbogatszy, że dla wielu młodych poetów jest bardziej od wieszczów odkrywcy i nawet bardziej czytelny, że wiersze jego jak *Fortepian*

Szopena, jak niektóre liryki czy *Promethidion* są już dzisiaj znane nie mniej od *Sonetów Krymskich* czy od *Beniowskiego*³.

Więc *jest* zwycięzcą ten poeta, który sam o sobie pisał do Marii Trembickiej sto cztery lata temu:

„Przeto co mówię nie mówię jak liczni,
Lecz może mówię jak ptak już dzisiaj rzadki,
Ptak i sprzedany i wsadzon do klatki
I z wyklutymi dlatego oczyma,
By śpiewał wiosnę, gdy dokoła zima”.

(*Kultura* nr 12/134, 1958)

3. Powolnemu docieraniu Norwida do cudzoziemców należałoby się osobne omówienie. Że wspomnę tylko pracę dokonaną przez T. M. Filipa, M. A. Michaela, Jerzego Pietrkiewicza oraz jeszcze paru innych tłumaczy w Anglii, tłumaczenie prozy Norwida przez Cazina we Francji oraz liczne próby tłumaczeń poezji norwidowej od Rosji po Brazylię.

„TAMTEN BRZEG” I WŁASNE WSPOMNIENIA

Nie umiałbym nigdy być zawodowym krytykiem malarskim czy literackim. O obrazie, o książce, które nie są przeżyciem intymnym, konfrontacją, czy choćby powodem oburzenia — nigdy nie miałem potrzeby pisać, a jak pisać bez potrzeby?

O książce przeżyciu, książce konfrontacji mam odwagę pisać nawet niesprawiedliwie, stronnie, nawet jeżeli jej pełna ocena wybiega daleko poza moje możliwości.

Taką książką jest dla mnie *Tamten Brzeg* Kajetana Morawskiego¹. Była ona dla mnie więcej niż konfrontacją — rachunkiem sumienia. Dała mi potrzebę nawrotu do spraw dalekich w czasie, na które patrzałem z tak różnej od Morawskiego perspektywy.

Niech więc mi wybaczy autor, że jego brzeg uprawny i wdzięczny zalałem powodzią własnych wspomnień.

Mordy czy ordy

Nie znałem chyba osoby bardziej, autentyczniej dystygowanej jak moja babka. W młodości jeździła jeszcze kareta z Petersburga do Neapolu, a na starość pytała nieśmiało wnuczkę co to są procenty, bo o sprawach materialnych nie wiedziała wprost nic. Za to znała wszystkie ptaki w swoim rodzinnym Stańkowie.

Wiele lat temu przyprowadzono do niej narzeczonego mojej siostry, by go jej przedstawić. Był ziemianinem, właścicielem

1. Wyd. Księgarnia Polska w Paryżu. Str. 253.

majątku Mordy. Babka moja siedziała w sukni z czarnego adamaszku w głębokim fotelu, miała na śnieżnych starannie rozczesanych włosach wieczny koronkowy czepeczek. Podała mu długą, cienką, starczą rękę z turkusami na pierścionkach. Pierwsze słowa, którymi się do niego odezwała były:

— *Et votre propriété je l'appellerai Ord.*

Moja babka nie chciała, wprost nie mogła wymówić słowa Mordy, jedynym wyjściem było zmienić nazwę majątku.

Czytając *Tamten Brzeg* Kajetana Morawskiego coraz to przypominałem sobie Mordy i Ord. Czytałem tę książkę ze wzruszeniem, chwilami prawie ze łzami, ale budziła we mnie także sprzeciw. Wydawała mi się coraz to zbyt różowa, nie mogłem w niej odnaleźć smaku lat, o których pisze Morawski. Sam, urodzony zaledwie o „kwadrans” później, tak inaczej je przeżywałem. Zdawało mi się wciąż, że czytam Ord zamiast Mordy, a przecie było w tym okresie tyle mordów i tyle mord.



Tamten Brzeg nie jest wcale książką łatwą, pomimo pozorów. Dopiero po drugim, nieraz trzecim czytaniu docieramy do warstw ukrytych przed czytelnikiem pośpiesznym. Tych warstw broni jej gładkość, potoczystość, przemilczenia. A także mgiełka różowa, przesłaniająca jej istotę.

Co znaczy tytuł? Sam autor we wstępie wspomina tamten brzeg, jako brzeg daleki kraju, za którym tęskni, ale nie umiem tego tytułu nie wiązać ze strofą Balińskiego:

„*Nie chcę żadnej pociechy i żadnej pomocy
Ja chcę ją² tylko przenieść na tamten brzeg nocy*”

Tę strofę z wiersza Balińskiego znaleźmy wszyscy na emigracji, ale Morawski gubi ciemne słowo *noc*. Zaciera ślad.

Tylko w lakonicznej dedykacji kładzie raz jeden akcent, który w tytule książki jest jakby tylko po cichu, na ucho, uważniejszemu czytelnikowi szepnięty.

Szlachetna wstydlivość, wycieniowanie, docieranie do zagadnień zasadniczych, chwytywanie istoty ludzi, o których pisze jakby z boku, mimochodem (opis Hitlera zajmuje w rozdziale „Wakacyjne trzy po trzy” mniej miejsca niż opis warszawskiego medium — Guzika), humor nigdy złośliwy, nigdy drapieżny (pre-

zydent Wojciechowski w meloniku, siedzący spokojnie na krześle pośrodku ulicy pod obstrzałem, czy Witos spływak potem, bo dźwiga przez pomyłkę ciężki płaszcz samego Morawskiego przy wycofywaniu się rządu z Belwederu na Wilanów w 1926 roku), takich przykładów pełno w książce. Pozornie jakby brak wycucia hierarchii ważności. Jest właśnie odwrotnie.

Błogi wyraz na twarzy pani Verdurin, gdy czyta o zatopieniu Lusitanii, maczając rogalik w białej kawie, Berma opuszczona przez wszystkich, jedząca ciastka z „powagą rytuału pogrzebowego”, te sceny Prousta bardziej obnażają człowieka niż opis czynów dramatycznych czy superlatywy i fortissima.

Mężowie stanu, postacie dziś historyczne, przodkowie autora, jego przyjaciele, ludzie przygodnie spotkani, ileż świetnych szkiców-notatek, portretów — chciałbym nazwisk sto zacytować. Może utkwiał mi najbardziej gwałtowny i świetny Szymon Askenazy, broniący polskiego Wilna w Genewie, czy stara pani Tyszkiewiczowa, która w Nicei, w 1940 roku, nachylona nad wielką mapą znaczy miejsca zesłania Polaków, jak sto lat temu Eliza z Zamoyskich Brzozowska, opiekunka Sybiraków. Ile twarzy, ile charakterów jedną kreską naszkicowanych w opisie pierwszego strajku fernali w majątku Morawskiego, chłopów-sąsiadów, którzy przychodzą mu pomagać w zbiorach, podkreślając wyraźnie „nie folwarków bronimy ale zbiorów”. Wszędzie bystra uwaga i przyjazny humor.

Tak rozjaśnić tęsknotą przeszłość, *taką* przeszłość, czyżby to tylko dystynkja i w krew wrośnięte dobre wychowanie? Styl Morawskiego, po tym co przeżył jako człowiek prywatny, człowiek społeczny, polityk, ta wierność pewnemu stylowi wyniesionemu poprzez jakie kataklizmy i jakie ciosy, to może heroizm?

Tu znowu wracam do mojej babki. Po jej śmierci (była protestantką) znaleźliśmy w Biblii, którą zawsze miała przy sobie, jakieś krótkie, rzucone na cienkie listki papieru, urwane zdania — jęk do Boga, modlitwa żarliwa o ratunek, o siły — świadectwo jej samotności wśród wielkiej, kochającej rodziny. Tam również pod maską spokoju i zawsze przyjaznej, skromnej, z nieugiętą konsekwencją utrzymanej dystynkcji krył się człowiek o wymiarze i głębi, której my, młodzi, nie byliśmy wówczas w stanie nawet przeczuć.

O trzech Morawskich

„O doniosłości moralnej i intelektualnej utworu sądzić można

być może łatwiej na podstawie właściwości języka niż rodzaju estetycznego". Od wielu lat to zdanie z *Czasu Odnalezionego* wydaje mi się zawsze tak samo odkrywcze i decydujące.

Trzech Morawskich napisało *Tamten Brzeg*, „właściwości języka” każdego z nich zdają mi się różne i nierównej wartości: Morawski-ambasador, Morawski-skamandryta, jeszcze o Młodą Polskę zazębiony, i Morawski-pisarz autentyczny, oryginalny, wyrastający z całej XIX-wiecznej tradycji pisarskiej Morawskich, tej rodziny o krwi najbardziej błękitnej, bo, jak mawiał profesor Tarnowski — najbardziej pomieszanej z atramentem.

Morawskiego-ambasadora czujemy we wstępie, a potem zaledwie w paru rozsianych stronach. „Omszały dawnością Wawel” czy „Czerwony Kreml” (już dziś tautologia) przypominają różne akademie ku czci, na których ambasador musi przemawiać. Zdania o „prężności społeczeństwa zahartowanego w walce i cierpieniu”, o „rozluźnionych okowach” duszy polskiej czytamy z trudem. Te zdania gotowe, szlachetne, tylokrotnie słyszane, muszą być na nowo przetopione — inaczej wołają o polskiego Ionesco.

„Niech pan się słów takich wystrzega, z nich *proch się sypie* — powiedział mi kiedyś wielki pisarz, Remizow.

Ale już w tymże wstępie Morawski kładzie akcent na to, co jego proza prześwieśla, na wolę bezstronnej oceny, którą sobie za obowiązek całego życia wyznaczył: zastanawia się, czy aby nie uległ pasjom ciemnym pisząc tę książkę. „Jeżeli wplątały się w nią słowa gorzkie...”. Ten nagły ładunek goryczy, te tak rzadkie akcenty, na które trafiam w rozdziałach następnych, próbuje autor już we wstępie rozładować i w samym sobie ukoić.

Związek Morawskiego z Młodą Polską i Skamandrem jest najbardziej widoczny we wspomnieniu o Lechoni, w liście do Wierzyńskiego — hołdzie dla tego nurtu poezji polskiej, w „Przygodzie florenckiej”, o swym przyjacielu L. H. Morstinie, gdzie już samo słownictwo: „pawie pióra”, „wieszczby”, „gusła”, „cudowiska” dają styl z lekka sztuczny, myszką trącający, ozdobny, świadczą jak Morawski z tym światem był związany i dziś go jeszcze wdzięcznie wspomina, choć pisarsko styl samego Morawskiego zdaje się przez to tylko zamucony. Czyż można te strony porównać do rozdziałów takich jak: „Klasyczne i romantyczne”, „Wieś i rodzina”, „Przewrót Majowy” i wiele, wiele innych. W tych wspomnieniach ginie wszelka ozdobność, styl się uściśla, ginie młodopolska czy skamandrytowska poromantyczna patetyczność, wówczas dopiero pismo Morawskiego poprzez wierność wspomnieniu dochodzi do autentycznej wymowy, do sztuki.

„W dagerotyp raczej pióro zamieniam, aby wierności nie uchybić” — pisze poeta, którego zbyt często cytuję.

Podział wód

Mało książek dało mi taką świadomość podziału wód między Polakami pamiętającymi jeszcze Polskę sprzed 1914 roku i pochodzącymi z różnych dzielnic. Sam do nich należę: mogę podziwiać Morawskiego, Wielkopolanina, ale Czarnyszewicz, obaj Mackiewicz, ale Miłosz i nawet Jerzy Stempowski z Ukrainy, *to są moi krajanie*. Przez Mickiewicza każdy Polak deklamuje „Litwo ojczyzno moja”, ale dla mnie to nie jest tylko poezja, to rzeczywistość, dla dzisiejszego pokolenia zapewne już nieistniejąca.

Wspomnienie z dzieciństwa: mieliśmy krewnych pod Dyneburgiem. Starsze od nas kuzynki, w których się kochałem na spółkę z całym rodzeństwem. Jedna z nich wyszła za mąż w Poznaniu. Tak się stało, że mąż jej, pełen zasług obywatelskich, był sławnie skąpy i do tego pedant. Co wieczór własnoręcznie czyścił szczoteczką cały posiadany bilon, żeby pięknie błyszczał, a przy stole sam kroił chleb, pytając czy ukroić grubo, czy cienko. Goszczący u niego jeden z moich kuzynów znad Dźwiny został przez niego skarcony za plamkę na obrusie przy nalewaniu wina, kuzyn wylał mu wówczas demonstracyjnie pół butelki tegoż wina na obrus. Ten gest wydawał mi się wówczas wspaniały, to się nazywało „szeroka natura”, a Poznańskie zostało w mojej świadomości płaskim krajem cnotliwych i skąpych robigroszów. Małżeństwo w Poznaniu to było coś w rodzaju zesłania na Syberię.

A przecie poziom kulturalny mojej kresowej rodziny, moich krewnych czy sąsiadów, których pamiętam z tamtych czasów, nie był na pewno wyższy od poziomu kulturalnego Poznaniaków. Prawdopodobnie więcej pito alkoholu i z większym rozmachem „szerokie natury” używały życia i polowania. Domów polskich naprawdę kulturalnych, gdzie biblioteka była żywa i aktualna, jak w Stańkowie mego stryja czy w Rakowie Zdziechowskich, nie wiem czy było więcej niż w Poznaniu — prawdopodobnie mniej.

Ten przykład mojej skrajnej, dziecinnej oceny nie zdaje mi się wówczas odosobniony na Kresach. Przecie nie tylko Wielkopolska, ale cała rdzenna Polska była przez nas jeszcze w okresie niepodległości nieraz traktowana z irytacją i lekceważeniem, do

pewnego stopnia tak jak Francja przez Francuzów algierskich. O tym, że Poznańskie jest antypoetyczne, że nie istnieje w poezji polskiej mówiło się jak o rzeczy niewątpliwej. Cóż z tego, że Wielkopolanie cytować mogli szereg nazwisk, aż po Kasprowicza, że przypominali *Bogurodnicę Dziewicę*, ten religijny pomnik poezji polskiej, który przecież nie na kresach powstał. Wszystko to gasło w blasku imion Mickiewicza i Słowackiego.

Morawski odkrywa nam skrawek pejzażu wielkopolskiego, opary nad Odrą, bagna, zalewiska, dęby potężne, czarną glebę, gdzie wyorywano z bruzd kamienne, brązowe narzędzia i urny palone z gliny, ślad najdawniejszych mieszkańców. Opowiada nam o kolejnym nawarstwianiu się ludności, o rycerzach normandzkich przybyłych w XII wieku, o łuku romańskim w Luboniu, o wrastaniu w świat chłopów, w świat dynastii chłopskich tam zakorzenionych i statecznych — szlachty polskiej, elementu bardziej koczowniczego.

Author daje nam ewokację kultury płynącej z pokolenia w pokolenie, stosunków sąsiedzkich między dworem a wsią — o tyle bardziej demokratycznych, niż u nas na Kresach — i po swojemu, po rodzinnemu załatwianych zatargów już w Polsce Niepodległej.

W innym rozdziale walka klasyków z romantykami jest opowiedziana jak epizod rodzinny: Franciszek Morawski, bracia Koźmianowie, Ludwik Osiński, potem Józef Morawski, opiekun „pięknej Konstancji Łubieńskiej”, i pobyt Mickiewicza w tych właśnie dworach w roku 1830. Morawski nawet wykazuje jak *Pan Tadeusz* nie tylko litewskim, ale i wielkopolskim nasiąkł światem.

Daniel Halévy opowiadał mi kiedyś, że gdy pisał *La République des Ducs* i *La fin des notables* na podstawie wielu albumów, do których jego ojciec wklejał latami interesujące go w tamtych czasach artykuły czy karykatury polityczne — miał wrażenie, że to nie on, ale zmarły już dawno ojciec trzymał pióro. Gdy Morawski pisze o tamtych czasach, zdaje się czytelnikowi, że dziadkowie jego piórem kierują. Jakże bliski jest styl Morawskiego innych wspomnień z XIX wieku, bliski i własny zarazem. Przypomina mi również w rytmie XIX-wieczne wspomnienia francuskie. Umyślnie przeczytałem głośno rozdział z *Souvenirs d'enfance et de jeunesse* Renana, i zaraz potem parę rozdziałów Morawskiego. Uderzyła mnie zbieżność stylu, pokrewieństwo nie tylko formy, ale nawet stosunku do świata, nawet niektórych epizodów. Opowieść o pustelniku przykrytym opończą, na posłaniu z liści i mchu Jurkowskiego lasu, który

jako jedyny skarb w swojej chacie posiadał komplet dzieł Voltaire'a, mógłby, trochę rozszerzony, wejść do wspomnień Renana obok jego *Bonhomme système*.

R o s j a

Wracając do nas, Polaków kresowych, to jeszcze jednym powodem, który nas dzielił z Wielkopolską, było nasze sąsiedztwo ze światem rosyjskim. Wpływ Rosji, walka z nią czy wstydliwie ukrywana symbioza, inne ciągi kulturalne.

Tu znowu własne doświadczenie jest zbyt jaskrawe, by było typowe, ale i ono może naświetlić to, co chcę wyrazić.

Szkoły w Petersburgu, pierwsze potężne wrażenia literackie, ale ponad literaturę wybiegające — Tołstoj, Dostojewski (wcale nie Mickiewicz czy Słowacki), potem rewolucja i magia jej uniwersalizmu, nawet gdy się było przeciw niej, to wszystko stwarzało we mnie kompleks niższości Polaka. Z walką o niepodległość Polski, z jej stroną heroiczną zetknąłem się bezpośrednio dopiero w wojsku — w dzieciństwie i we wczesnej młodości przenikała do mnie upoetyzowana, ucukrzona — moja najbliższa rodzina była bardzo daleka od głębokich nurtów myśli polskiej. W cieniu Tołstoja, Dostojewskiego, potem rewolucji, Polska pachniała mi jakimś prowincjonalizmem w porównaniu do Rosji tytanicznej, okrutnej, skrajnej i genialnej.

Dopiero w 1919 roku znalazłem *Legendę Młodej Polski* na stoliku w poczekalni dentysty w Krakowie. Pierwsze wówczas przeczytane strony podziały na mnie dosłownie jak piorun. Poprzez okrutny atak Brzozowskiego na polską połaniecczyznę, na krwawych Rejtanów używanych do obrony pełnych polskich spizarni, atak na Polskę bezpieczną, sytą, sentymentalnie patriotyczną, atak przeciw Sienkiewiczowi — odkrywałem Polskę inną, której zupełnie nie znałem: polską lewicę, inne oblicze Mickiewicza, poprzez kilka zdań Brzozowskiego przeczulem Norwida i nagle poczułem, że ta Polska jest moją Polską — zakochałem się w niej i zrozumiałem, że mój kompleks niższości wobec Rosji jest jedynie świadectwem mojej i mojego światka połaniecczyzny.

Po Brzozowskim przemówienia Piłsudskiego z 1920 roku były nową rewelacją; w każdym było jakby coś wyłącznie dla mnie powiedzianego, jego zdania urwane z rozmów prywatnych, z ust do ust powtarzane, formowały moją świadomość. („Polska to jest jak kołtun, trzeba ją przedtem dobrze rozczesać, by każdy włos był z osobna, i wtedy będzie można może kosę zapleść”).

Jego idea, jego walka uparta o Polskę, ojczyznę zgodnych narodów, a nie narodu, nawet akcent jego, gwałtownie litewski, wszystko było dla mnie potwierdzeniem idei polskiej, uniwersalnej, potencjalnie inaczej i lepiej uniwersalnej niż Rosja z jej okrutną rewolucją i totalizmem.

Dla Morawskiego, sądząc z *Tamtego Brzegu*, Brzozowski nie istniał i prawdopodobnie nie potrzebował istnieć. Jego tradycja polska, pełniejsza, bardziej ciągła, bardziej zachodnia, nie wymagała tak bezwzględного rachunku sumienia, nie usposabiała do buntu. Piłsudski był dla niego postacią wielką, ale w stylu mu obcą, a Dmowski — pomimo różnicy poglądów — tak jak i on Polak rdzenny, był może przecież psychologicznie dla niego łatwiej zrozumiały.

Potok namiętny *Legendy*, pamflet na Polskę zdziecinniałą Brzozowskiego, przemówienia Piłsudskiego aż po mowę w Sali Malinowej, gdzie niektórym słuchaczom zdawało się, że mówi szaleniec, jego brutalne wywiady sprzed 1926 roku — cóż to może mieć wspólnego ze stylem, z pismem Morawskiego, opanowanym, wystrzegającym się ataków osobistych, operującym aluzją, krytyką zawsze oględną, o ileż chętniej pochwałą.

„Krzyk naszego pokolenia”

Jakże często nurty zapładniające pewną epokę, biegnąc równolegle, prawie się nie dotykają, a nieraz nawet o sobie nie wiedzą — myślałem, czytając rozdziały książki poświęcone Skamandrytom i Skamandrowi, tego pięknego hołdu poetom.

„Krzyk wasz był krzykiem naszego pokolenia” — pisze Morawski o Skamandrytach i wspomina młodego poetę, który dziś, wywodząc się z Mickiewicza i Kwadrygi, otrząsa się na Skamandra. „Tak z biegiem lat” — zauważa Morawski — „zmieniają się wciąż mody, gusty i upodobania”. Czyżby to była tylko inna moda, zależna od generacji? W pokoleniu Morawskiego, do którego ja należę, było nas sporo Skamandrowi opornych. Nie chodzi mi tu wcale o polemikę, kto lepszy. Nikt nie zaprzeczy faktu, że Skamander dał Polsce paru autentycznych poetów — Tuwima przede wszystkim. Ale skąd był w naszym, Morawskiego i moim, pokoleniu również tak żywy opór przeciwko Skamandrytom? Znów będę mówił o sobie, więc o przykładzie skrajnym, więc nietypowym.

Z poezją Skamandra zetknąłem się po raz pierwszy w 1919 roku. Tylko co wróciłem z Rosji, jeszcze pełen tamtego świata.

Pierwszym Skamandrytą którego poznałem był Jarosław Iwaszkiewicz. Jego już wówczas wielka kultura poetycka, jego utwory literackie, od wierszy po *Zenobię Palmurę*, odrzucałem w czambuł. Czułem w tym jakiś nienawistny mi estetyzm, jakąś sztukę dla sztuki, nie rozumiałem, rozumieć nie chciałem. Byłem głuchy na prawdziwe wartości Jarosława Iwaszkiewicza, na jego nowatorstwo na terenie Polski, które tak cenił Żeromski. Nie tylko Błok i Majakowski, ale Zinaida Gippius byli mi bliżsi stokrotnie. Zaważyła tu zupełna ignorancja nurtów poetyckich Zachodu, które już dobrze znał Iwaszkiewicz i jakże słaba znajomość poezji polskiej. Niemniej moja wroga wówczas reakcja miała powody głębsze. Nigdy, znając dobrze wielu Skamandrytów, nie czułem w nich krzyku mojego pokolenia, nie brałem ich bardzo na serio, poza jednym Tuwimem. Tuwim, parę nowel Iwaszkiewicza, *Wróble na dachu* i *Wiosna i wino*, wybuch młodzieńczej radości Wierzyńskiego — to chyba wszystko co mi zostało w pamięci z poezji i prozy Skamandra.

„Niemożliwa” gazetka ścienna, która gorszyła nawet Żeromskiego, redagowana w Krakowie przez Tytusa Czyżewskiego, później jego *Robespierre*, *Kolędy*, *Tratatatam* Brunona Jasieńskiego, jego *Nuż w bzuhu*, *Szela*, jakieś wiersze „majakowskie” o zapachu farby drukarskiej, o ulicy i koniu dorożkarskim, czy ten *Mickiewicz* Młodożeńca w płatkach śniegu na Rynku Krakowskim, którego Młodożeniec zabiera na kawę — to był dla mnie, w tamte lata, niepokojący, czasem gorszący nowy świat — reakcja przeciw snom ze srebra i kryształu, którymi mnie karmiła w dzieciństwie patriotyczna i ukochana ciotka. Tytus Czyżewski, to złośliwy, to czuły, zawsze w nędzy, malarz i poeta, jeszcze po 1930 roku w IPS-ie pomiatany i na którego Skamandryci patrzyli z łaskawym lekceważeniem ze swego półpięterka w Ziemiańskiej; Bruno Jasieński, komunista fanatyczny z monoklem, zgładzony przez komunistów; Młodożeniec, milczek nieśmiały; nawet Peiper tronujący w kawiarni na rogu Karmelickiej i Krupniczej ze swoją *Zwrotnicą* — ten świat który odkrywałem poprzez kapistów, Waliszewskiego, Jareme — zdawał mi się krzykiem mojego pokolenia. Świat młodych, w którym żyłem wówczas — trzon przyszłych kapistów — miał reakcje przeciw Skamandrowi jeszcze bez porównania gwałtowniejsze ode mnie.

Z czasem Lechoń stał się dla mnie postacią najbardziej typową w Skamandrze. Nie lubiłem Lechonia wbrew wspólnym przyjaciołom, którzy aż po New York próbowali nas zbliżyć. Jego romantyczność zdawała mi się zawsze sztuczna, zimna, epi-gońska. Nie mówię już o jego dzienniku, gdzie rzuca się w oczy

jakiś niesamowity snobizm, arywizm, kulturalna powierzchowność, cechy które właśnie w kombinacji z pozą romantyczną były trudne do zniesienia. Morawski, znając go o tyle lepiej, zdaje się brać na serio i jego romantyzm i nawet jego salonowo literackie sukcesy paryskie, które go zniszczyły. I te były dęte. Te obiady *attaché* kulturalnego, który na kaczkę z pomarańczami i na inne drogie przysmaki spędzał Polaków i Francuzów „znacznych”, aż do zgrzytu niedobrych. Pamiętam taki wieczór u niego z Bouteronem, Kislingiem i „Amielowskim” Robert de Trazem, wieloletnim redaktorem chyba *Revue de Genève*, czy obiad we trójkę z tymże de Trazem, który się interesował życiem religijnym w Polsce i któremu Lechoń wypychał propagandowe banały o Polsce razem z tą wieczną kaczką z pomarańczami.

Raz jeden, chyba w roku 1935, pamiętam jak mnie odwoził w nocy z przyjęcia u Godebskich. W ciemnej taksówce, w chwili gdy z niej wychodziłem zadeklamował mi swym złym francuskim akcentem jakąś strofę z Mallarmée’ego, wtedy, raz jeden, poczułem w nim poetę, bezinteresownego poetę. Takim musiał go widzieć Morawski, by tak o nim napisać, jak pisze.

Jeżeli chodzi o wiersze, które zyskały mu w Polsce sławę błyskawiczną, jak *Piłsudski*, z *Karmazynowego Poematu*, miałem jedno przeżycie, które mi stosunek do Lechonia ustawiło definitywnie.

Starobielsk, listopad 1939. Pierwsza w obozie po klęsce akademii listopadowa, za którą jej główny organizator zostaje przetrzucony na daleką Północ i ginie nam z oczu na zawsze. Człowiek w nieszczęściu jest wyczulony. Akademia tam, rzucona jak wyzwanie nie tylko enkawudystom, ale nam wszystkim, podciętym przez nieszczęście. Deklamacja. Koncert Jankiela. Któż z nas słuchając nie płakał. Ale nie tylko Mickiewicz, wiersz Or-Ota był tam również na miejscu, działał nie tylko tematem ale najskromniejszą prawdą poetycką. Byliśmy wtedy zdolni przeżywać bezkrytycznie wszystko co nam Polskę przypominało. Po tych wierszach jeden z kolegów zadeklamował *Piłsudskiego* Lechonia. Pomimo że deklamował świetnie, natychmiast odczułem ten wiersz jak najgorszy fałsz, te welony i pobladłe Robespierri, te markizy liliowe i piersi obnażonej świętość, i do tego i Skriabin i oszalałe katedry! Chciałem się schować pod pryczę ze wstydu. Jakiś polski Igor Siewierjanin (*Ananasy w szampanском*), pustka, próbka mody minionej, która w zetknięciu z rzeczywistością niepuďdrowaną i niemalowaną rozprysła się na nic.

Lechoń widziany przeze mnie jakże jest inny od tego co dojrzał w nim Morawski: człowiek o sile nieprzeciętnej, o drapieżnym i świetnym dowcipie, błyskawicznej, morderczej obserwacji (ileż razy namawiałem go, by się stał polskim Celinem), który wiązał swój dowcip z jakimś piskliwym, diabolicznym śmiechem. W obcowaniu z nim czuło się jakąś mękę wewnętrzną na granicy szaleństwa, może paniki, którą zadeptywał przyjemciami, głodem sukcesów i nieustannym ubieraniem się w kolorowy, papierowy frak romantyzmu.

Śmierć Lechonia ma dla mnie wymowę bardziej bliską niż wszystko, niż wszystkie jego wiersze — prawdziwszą.

*Lecz jest inna samotność bez łez i uczucia
Samotność która nie zna widzów i współczucia...*

W tym wierszu Balińskiego czuję Lechonia. Ten Lechoń pod szychem sławy i sukcesów „salonowych” w Warszawie czy Paryżu, ten Lechoń w ogromnym New Yorku (deszcz siekający na Madison Avenue, 1950 rok, ciemno, spotykam nagle Lechonia w czarnym płaszczu z podniesionym kołnierzem. Swoim agresywnym tubalnym głosem woła do mnie: „Co się pan zajmuje *Kulturą* — rzuć pan to, ja się takimi sprawami zajmowałem i siedem metrów kieszki mi wycięto!”) — ten właśnie Lechoń w deszczu nowojorskim i Lechoń wyskakujący z okna drapacza (pokusę wyskoczenia z okna miał już wiele lat temu w Polsce), tego Lechonia czuję jak żadnego innego, godnego miłości i współczucia.

D ż u n g l a

Przewrót majowy zerwał karierę polityczną Morawskiego, odciał go na wiele lat od pracy, w którą włożył „cały entuzjazm młodości”; na własne żądanie wówczas się wycofał. Morawski opisuje ówczesne wypadki z umiarem i wolą sprawiedliwej oceny, a chwilami z humorem. Napomyka między innymi o ciężącym wówczas na nim zarzucie, że to on właśnie, jako zastępca ministra spraw zagranicznych, miał rozesłać okólnik do placówek wyjmujący Piłsudskiego spod prawa. W rzeczywistości okólnik ten został rozesłany, gdy Morawski od placówek zagranicznych był zupełnie odcięty. („Piłsudski! każdy ma dziś prawo zabić go jak psa — mówiła wtedy ambasadorowa Chłapowska ślaniając się po ambasadzie paryskiej — zniszczył w parę godzin dziesięć-

cioletnią pracę mojego męża"). Okólnik w sferach piśmudczyków wywołał naturalnie gwałtowne oburzenie i zrosł się z imieniem Morawskiego, pełniącego funkcję ministra spraw zagranicznych w chwili wybuchu przewrotu majowego. Morawski dopiero w półtora roku później jest w stanie stwierdzić, w jakich okolicznościach i przez kogo ten okólnik został zredagowany i rozesłany. Zgodnie ze stylem, który go cechował i cechuje, Morawski zachowuje tę wiadomość dla siebie, chcąc przez to osłonić ludzi za to odpowiedzialnych „dopóki w kraju panuje prawo dżungli”.

Pierwszy raz w prozie Morawskiego znajduję ocenę stosunków wyrażoną słowem tak ostrym. Zaczynam wspominać te czasy: Zagórski, jego tajemnicze zniknięcie, proces brzeski, potem dalej i dalej, pacyfikacja Galicji, zamordowanie Hołówki i Pierackiego, Bereza. Czy mogę zarzucić Morawskiemu te słowa tak ostre o ówczesnej rzeczywistości polskiej, wybijające się z tła całej książki? Czy użył ich nie na miejscu? Nie, ale *dla mnie* użył ich za późno. Jakże przeżycia osobiste nie fakty przeczytane, krystalizują nasz stosunek do świata otaczającego! Dla mnie, gdybym pisał wspomnienia z lat niepodległości, użyłbym słowa dżungla już o wiele wcześniej. Myślałbym o okresie sprzed 1926 roku, kiedy zamordowano prezydenta Narutowicza, który był przyjacielem Morawskiego. Morawski o tym nie pisze, był wówczas na placówkach zagranicznych i z dżunglą się bezpośrednio nie zetknął. Dla mnie, który ją przeżyłem jako zwyczajny student na Krakowskiej Akademii, zaczęła się ona dawno przed 1926 rokiem i zamach majowy przeżyłem jak fakt szczęśliwy, który nas właśnie miał wybawić z dżungli, w którą nas pchali wyznawcy Dmowskiego.

O Dmowskim pisze Morawski z oględnością, z przyjaznym szacunkiem, choć dobrze wiemy, zaznacza to zresztą sam kilkakrotnie, że przekonań jego nigdy nie podzielał. Ten obiad u pani Marii Sobańskiej w 1919 roku we czwórkę z Dmowskim i Wojciechowskim, kostyczność Dmowskiego w ocenie przywódców konferencji pokojowej, potem rozmowy z Dmowskim, jego ocena własnych partyjnych współpracowników. Dmowski pokazany jest tam jak wszyscy, o których pisze Morawski, od strony ludzkiej i sympatycznej. Ale czytając ten opis wspominam inny obiad u tejże pani Marii Sobańskiej na Kredytowej, na którym nie byłem obecny, ale z którego miałem relacje bezpośrednie, bodajże od samej pani domu, gdzie Dmowski szalał z radości z powodu dojścia do władzy Hitlera. Widział w tym świt nowej ery dla Europy. I nie mogę się nie jeżyć, gdy w końcu rozdziału

o Dmowskim nazywa go Morawski pierwszym — bez komentarza i z dużych liter — „Człowiekiem Nowoczesnym”.

Dżungla to w moich wspomnieniach dzika, nie przebiegająca w środkach nagonka na Piłsudskiego, a potem na Narutowicza w latach 1920, 1921 i 1922. Dobrze pamiętam artykuły Strońskiego, o którym Morawski pisze tak ciepło, jak o jakimś świętku, w okresie gdy był ministrem na emigracji i wybraniał piłsudczyków przed ministerialnymi „czystkami”. Pamiętam ten artykuł w *Rzeczypospolitej*, gdzie prezydent Narutowicz jest porównany do kamienia, którym Piłsudski przywalił drogę polskiej przyszłości (cytuje z najdalszej pamięci). Przecie Narutowicza zaledwie parę dni po tym artykule zamordowano i wtedy znów Stroński pisał „ciszej nad tą trumną”. I nie pamiętam by śmierć ta dała powód narodowcom zrewidować, chociażby trochę, swoje metody działania. Dżunglą bym nazwał przemówienia na wiecach, w przededniu zamordowania Narutowicza w Krakowie, jednego z dzisiejszych wodzów endeckich, który wołał o tymże Narutowiczu „precz z tym Żydem”. „Tylko z troski o przyszłość” — mówiąc słowami wstępu Morawskiego — jakże nie pamiętać o tym morderstwie u progu niepodległości, morderstwie człowieka szlachetnego, który nie miał osobistych wrogów, zamordowanego przez fanatyka-malarza, którego grób był przez lata ubrany kwieciami przez anonimowych wyznawców. Hindus Vinayak Godse, który zamordował Gandhiego i skazany umarł bez skruchy, miał prawdopodobnie także grób ubrany kwiatami wyznawców.

Jeszcze wspomnienie dżungli: odczyt profesora Baudouin de Courtenay, światowej sławy filologa i człowieka kryształowego, który siedział wiele miesięcy zamknięty w twierdzy rosyjskiej za to, że występował w obronie Polaków, który w Polsce bronił Żydów i każdej mniejszości. Na odczycie w Teatrze Słowackiego w Krakowie w 1922 czy 1923 roku musiał coraz to przerywać swe przemówienie z powodu gwizdów i pisków „narodowej” młodzieży. W pewnej chwili powiedział zdanie, że bywają ludzie przynależni, związani, zrośnięci nie z jednym narodem ale z dwoma. Mówił zresztą o profesorze niemieckim, który całe życie pracował nad historią Słowian żyjących na obszarze Niemiec. Młodzież endecka już w tym wyczuła cień filosemityzmu i rzuciła w niego jajkiem. Potem długo nie wypuszczaliśmy profesora, bo bojówka dzielnie czekała przed drzwiami, by go jeszcze znieważyć. Profesor wówczas wrócił na salę. Pamiętam jego smutne, świecące oczy w twarzy okolonej białą szczeciniastą bródką: „ja chcę to jako zobaczyć”. Rozciśnięte było na ścianie

tuż za jego głową. „W wielu wielu krajach wykładałem, a coś takiego zdarzyło mi się po raz pierwszy w Krakowie”. Dziś już, w świetle tego co miało nadejść, ta scena z jajkiem wygląda prawie idyllicznie, ale przecie to był początek polskiej dżungli, łałek aryjskich, nacjonalizmu rasistowskiego, tego co zawdzięczaliśmy w Polsce przecież Dmowskiemu; ostatecznie iluż on piśsudczyków zdemoralizował, którzy, jak słusznie pisze Morawski, szukając nowych rozwiązań zgubili po drodze wielonarodowość i znaleźli monopartię.



Miałem zamiar pisać tylko o książce Kajetana Morawskiego, jakże daleko mnie uniosły skłonność polemiczna i własne wspomnienia, o których nie umiem myśleć pogodnie. Podczas czytania *Tamtego Brzegu* zdarzało mi się, że wracałem do *Najnowszej Historii Politycznej* Poboga-Malinowskiego. Zarzucają jej niektórzy stronniczość, pranie brudnej bielizny (jaka historia na świecie może się bez takiego prania obejść?), ale nie słyszałem by ktokolwiek śmiał jej zarzucić najmniejsze świadome uchybienie prawdzie. Coraz to jednak urywałem to czytanie, nie miałem wprost sił brnąć dalej, odnajdując w niej tyle własnych zawiedzionych nadziei czy złudzeń.

Czy można sobie wyobrazić bardziej różne od Morawskiego podejście do przeszłości. Malinowski rany rozrywa, by nie zarosły błoną podłości i bliższy mi się zdaje „mojej” Polski z okresu początków niepodległości. Morawski rany goi. Jego spojrzenie jest jednocześnie próbą zrozumienia stanowisk najsprzeczniejszych. Żadna z tych książek nie mogłaby się dziś w Polsce ukazać. Ani książka historyka, ani wspomnienia ambasadora; dopełniają się one obie i będą kiedyś świadczyły, że i nasza emigracja nie na darmo istniała.

Jest więcej dystansu i może mądrości w książce Morawskiego. Cóż zrobić — zdaje się mówić autor — człowiek jest taki, Polak jest taki, żyjemy w takiej a nie innej epoce dziejów, trzeba wszystko zrozumieć i wszystko wybaczyć. Jeżeli *Historia* Malinowskiego ma aurę gorączkową tragicznej wciąż jeszcze aktualności, *Tamten Brzeg* jest książką w głębi swojej smutną. Są sprzeczności w naturze ludzkiej, mówi w niej autor między wierszami, które przyjąć musimy, z którymi musimy nauczyć się żyć w intymnej rezygnacji. Ale ta rezygnacja, ten smutek przemieniają się nieznacznie w pogodę i to jest trudna zdobycz tej książki.

Urywek z rozdziału „Rodzina i Wieś” lepiej potrafi to oddać niż moje słowa.

„W domu gdzie wzrosłem i dokąd ze wszystkich wędrówek wracałem jak do portu macierzystego mieści się teraz gminna Izba Położnicza. Żal mi zbutwiałych portretów i sztychów, żal rozproszonych książek. Ale wiem, że w zdziczałym parku wśród zapuszczonych gazonów i nad zarosłym przez sitowie stawem zawsze tak samo szumią stare lipy. I że w cieniu ich rodzą się nasze, polskie, jurkowskie dzieci”.

(*Kultura* nr 5/163, 1961)

QUERIDO BOB

Andrzej Bobkowski umarł w Gwatemali.

Jakże o nim pisać? Człowiek przesłaniał mi zawsze pisarza, bo też Andrzej nie był „czystym” pisarzem, nie lubił „czystych intelektualistów”, miał sklep w Gwatemali, zespół modelarski tam stworzony, sama walka o byt, o niezależność, czy wprost leżenie na trawie, pływanie — to było dla niego równie *ważne*, jak pisanie.

„Jacques wykazuje już symptomy czystego intelektu, boi się wody i wysiłku fizycznego. Grozi mu wyrośnięcie na jedną z wielu orchidej umysłowych. Żal mi chłopca. Jakże wdzięczny jestem memu ojcu, że choć nieraz brutalnie, ale uformował mi ciało na obraz i podobieństwo ludzkie. Dziś równie dobrze i łatwo pływam jak myślę” — zapisuje z młodzieńczą dumą Andrzej.

Chciałbym pisać o nim, jak list do niego, z czułością czy z wymyślaniem, z tą swobodą i bezpośredniością, z jaką on pisał zawsze. Andrzej Bobkowski nie tylko że nie bał się posądzenia o takie czy inne „przestępstwo” (zły Polak, żaden lewicowiec, zły katolik, czy właśnie, że katolik), nawet lubił wszystkich prowokować, jakby zwady szukał. Ale ten gwałtownik był zawsze podszyty humorem, gotów każdej chwili przeciwnika zaprosić na wódkę, martini czy jakiś mocny trunek gwatemalski, by starcie przyjaźnie zapisać. Ani śladu celinowskiej goryczy, przy tym pisał bez lusterka, bez „chytrej” dialektyki, nienawidził jej, i nieraz niemądrze nienawidził, angażując się zawsze w każdym słowie i bez reszty.

Odczytuję jego listy do *Kultury* i to co drukował w *Kulturze*, wracam do *Szkiców Piórkem*. Gdy się ukazały, nie potrafiłem ich docenić, zdawały mi się po młodzieńczemu, zbyt zadzierzyście

otwierające drzwi otwarte i dziś dopiero widzę, jak wątki tej książki, wśród z dnia na dzień notowanych trafnych, plastycznych obserwacji, komentarzy do wypadków i przeczytanych książek, są nasycone myślami, które Andrzej potrafił całym swoim bujnym i szlachetnym życiem „testować”. W tych zapiskach sprzed 25 laty odnajduję te same moralne reakcje na otaczający go świat; już wtedy odrzuca go równie gwałtownie każdy oportunizm, hipokryzja, wzniosłe zakłamanie, tchórzliwe uciekanie od wszelkiej odpowiedzialności, składanie jej na innych, np. na państwo, wszelkie totalistyczne czy nawet demokratyczne „zbaranianie”, które w *Szkicach* okupacyjnych każe mu bronić, tłumaczyć każdy indywidualny anarchiczny wybryk; i wielbić prawie chuliganów i „czyników”, do których coraz to stara się paru dosadnymi opisami czy słowami upodobnić.



Opuścił nas w Paryżu już w 1948 roku i tak mi pozostał w pamięci, jak go wówczas pewnego dnia zobaczyłem. Była to chyba bardzo wczesna wiosna, niedziela, słońce. Włączyłem się po Quai d'Orléans, na wyspie Św. Ludwika i naraz z góry, od Biblioteki Polskiej, zobaczyłem zakochaną parkę, spacerującą tuż przy falach Sekwany pod tymi wielkimi, „nadwiślańskimi” topolami, które tam rosną. Widzę ich jeszcze przez bezlistne gałęzie, wyglądali tak zakochani i zatopieni w rozmowie, że się na nich zapatrzyłem.

Nagle ich poznałem: to był Andrzej z żoną Basią, radzili o czymś. Kiedy zeszedłem do nich, aby się przywitać, poczułem zaraz, że im przeszkodziłem w ważnej bardzo chwili, omawiać musieli jakąś ich własną wielką sprawę.

Już nie pamiętam czy wtedy, czy parę dni później wyznali mi ukrytą jeszcze pod siedmiu pieczęciami tajemnicę: za parę tygodni wyruszają w daleki świat.

Tak mi pozostali w pamięci oboje w przedwiosennym słońcu z wyrazem ludzi skupionych i bardzo szczęśliwych przed wielką przygodą.

Patrzę na małą kolorową fotografię, którą przysłali nawet nie rok temu: oboje uśmiechnięci, Andrzej w niebieskiej rozchełstanej koszuli, Basia w niebieskim sweterku na tle czerwonych krzewów, wzgórz zielonych, dziwnej architektury z przysadzistymi kolumnami. Zdają mi się po 13 latach tacy sami uśmiechnięci i sobie najbliżsi. A przecie już śmierć Andrzeja

jest bliska: „... afirmacja życia... do czego oczywiście dochodzi się dopiero jak się stoi wyraźnie nad grobem i jak się o tym *wie*” — pisze Andrzej w 1959 roku.

Wielką przygodą Andrzeja był wyjazd do Gwatemali w 1948 roku, marzył on zawsze, ten wyznawca Conrada, o dalekich krajach. Pierwszą próbę ucieczki przeżył w czwartej klasie gimnazjalnej, a w *Szkicach Piórkiem*, a więc w czasie okupacji, coraz to powraca marzenie wyjazdu z Europy, tej kolebki „kultury i obozów koncentracyjnych”.

Po tych latach Paryża, po przebijaniu się z dnia na dzień, pracy w fabryce, potem w organizacjach emigracyjnych, w NIDzie, w placówce paryskiej 2-go Korpusu w Hôtel Lambert, redagowaniu tygodniowego biuletynu z informacjami o Polsce, Andrzej rusza z żoną do kraju, gdzie nikogo nie zna, bez określonego zawodu, bez języka, prawie bez środków; chce poza Europą zacząć *nowe życie*. „Chcę mieć prawo zdechnąć z głodu, jeśli nie dam rady”. Ten refren coraz to wraca w jego listach i artykułach.

W Gwatemali Bobkowski, „zaczynając z niczego, wyrzekając się wszystkiego”, dłubie kuchennym nożykiem (nie stać go było na „narzędzia”) drewniane zabawki, pracuje po 14, 16 godzin na dobę, uczy się na gwałt hiszpańskiego, czytając Madariagę. Nie ma wcale uczucia, że trafił do małego miasta, ale na kontynent niezmierzony, kipiący życiem. Wszystko go z początku czaruje i wymyśla na Europę, która drży przed Sowietami, na lewicę europejską, wciąż jeszcze zafascynowaną komunizmem, Stalinem, i na siebie, twierdząc, że dopiero teraz sam widzi jak „zdipisał”. Z właściwą mu swadą urąga i na nas, emigrantów: pod wzniosłymi deklaracjami, że nie możemy żyć bez kultury europejskiej, tkwi w nas zwyczajny strach przed wolnością, strach samodzielności, oczekiwanie co nam dadzą IRO, Marshall, *Aide aux émigrés*, kwakrzy, Joint, czy arcybiskup Paryża.

Skarży się, że nie ma fachu, ale pociesza się, że przecież umie rozróżnić pilnik do żelaza od pilnika do paznokci, czym już przewyższa pisarzy realistycznych i marksistowskich w Polsce.

Po paru miesiącach wścieklej pracy ma już trochę narzędzi i frezerkę do drzewa i patrzy z irytacją na zachowanie tkwiących obok, po lokalach IRO, emigrantów „kulturalnych”, urągających na „chamską” Amerykę, na IRO, które ich utrzymuje, dając zawsze za mało.

Wrasta w życie Gwatemali, jak sam pisze, zakochuje się w niej. Na początku zdaje się widzieć same jej zalety, w miarę

lat sądy jego coraz bardziej się precyzują i różnicują, i tu nie szczędzi krytyki. Dostaje się naiwnym lewicowcom i lewicowym spryciarzom za ślepy kult Sowietów, i warstwom najbogatszym za ich drapieżny, tępy antyamerykanizm, idący tak na rękę Sowietom, wyrastający najprościej z tego, że szukając fantastycznych i najszybszych zysków nie są w stanie konkurować z plantacjami, fermami przybyszów ze Stanów, którzy umieją przy wielkich dochodach stwarzać swym pracownikom Indianom ludzkie warunki, opiekować się nimi rzeczywiście. Atakuje modny i według niego całkowicie „abstrakcyjny” antyamerykanizm Europy i samej Ameryki. Marzy o jakimś gwatemalskim Gombrowiczu, który by roztrącił tę wściekle naiwną powagę, która ten naród oślepia i nie pozwala spojrzeć mu na siebie bez patosu i płynącego z tego patosu zatracania proporcji. Coraz to porównuje te kraje z Polską, zaczepiając przy tym o niejednego naszego komunała patriotyczny.

Materialnie Bobkowski po 6 latach pracy usamodzielnia się, ma sklep z samolotami-zabawkami różnych typów, stwarza coraz to nowe modele, tworzy pierwszy w mieście *hobby-shop*, organizuje młodych chłopców, entuzjastów, w ekipę modelarzy, uczy ich aeromodelarstwa. Ci chłopcy, których do pracy wciągnął, dziś dorośli, żonaci, kochają go. Dla nich Andrzej jest *Querido Bob, grand hombre*. Ten zespół, trochę „zakon”, jak pisze Andrzej, bierze już udział w światowych zawodach modelarzy w Anglii i w Stanach. Andrzej do ostatniego tchu pracuje rekordowo i kocha ten warsztat, swój sklep wciąż rozbudowuje i (o zgrozo!) błogosławi „bezlitosne prawo kapitalistyczne na wolnokonkurencyjnym rynku, bez którego zamarłbym w bezruchu”. Tą pracą wyzwala się coraz bardziej z wszelkiej zależności, „niewolnictwa”, jak pisze. Nie wstydi się, nie ukrywa, ale głośno się cieszy z materialnych sukcesów swej pracy, ze swego auta, którym objeżdża Gwatemalę. Zachwyt nad urodą tego kraju jakby wciąż w nim wzrasta i zdaje mu się, że już nie potrafiłby żyć gdzie indziej. Planuje coraz dalej, coraz szerzej. Ale zdrowie zaczyna zarywać; przechodzi szereg operacji. W listach pełnych humoru i „sportowej werwy” pisze o cieniu śmierci spod którego się już nie wyzwoli i każde parę miesięcy po każdej nowej operacji uważa za parę miesięcy darowanych: „a potem zobaczmy”.



Namiętna pasja pracy konkretnej, celowej, jak pisze: „egoistycznej”, walka codzienna, materialna, zdobywanie gruntu pod

nogami, nie tylko nie osłabia go pisarsko, ale go — jako pisarza — pogłębia i karmi. Jeszcze w Paryżu notuje: „prawdziwy pisarz to nie ten, który dobrze pisze, ale który *najwięcej dostrzega*”.

Andrzej dostrzega coraz więcej. Ten pisarz, który rzucił Europę bo znienawidził „zmurszałe ideologie”, bo chciał *po prostu żyć*, poprzez to wzrastające zespolenie z każdą pracą, której się bez przymusu z zewnątrz podejmuje, przez to czucie, widzenie, reagowanie na cały świat go otaczający, zdaje się podchodzić jakby na nowo do tych samych problemów, które go w Paryżu trawiły. Każde jego opowiadanie, każdy jego list, wszystko wiąże się z zasadniczymi problemami życia. Jego ideologia, jeżeli użyć tego znienawidzonego przez Andrzeja słowa, wyrasta z jego *własnego* doświadczenia, a siła tego doświadczenia z każdym rokiem, z każdym miesiącem staje się coraz bogatsza, cięższa i pomimo sukcesów, „werwy sportowej”, coraz boleśnieszka, jakby ostateczna. Jego myśli o pracy, o strachu i odwadze, o śmierci, o woli i miłości życia, o *sensie* życia, o Bogu, modlitwie, stanowią nurt ukryty jego opowiadań. Te myśli, rzadko wyrażone „frontalnie”, jakby „wyskakują” to paradoksem, to żartem, drastyczną „przyziemną” metaforą, czasami są w samej tkance opowiadania najdelikatniej insynuowane.

Kultura drukowała w ubiegłych latach cały szereg jego nowel i jedną sztukę teatralną: *Nekyia*, *Coco di Oro*, *Siódma*, *Spotkanie*, *Punkt Równowagi*, *Czarny Piasek* — oraz eseje jak *Trzęsienie spodniami*, *Notatki modelarza*, *Wielki akwizytor*, *Kosmopolak* i wiele innych.

Wittlin w wygłoszonym odczycie nazwał Andrzeja Bobkowskiego zawiedzionym kochankiem Francji, bo nie wiadomo, czy w jego francuskim dzienniku z lat okupacji i kolaboracji więcej jest zachwyty i poczucia związania, czy krytyki i gwałtownej parodii Francuzów. Dla niego kultura która nie chce się bronić, która ulega bez walki, przestaje być siłą twórczą a jest siłą rozpadu i rozkładu. Rozszerzyłbym słowa Wittlina: Bobkowski był zawiedzionym kochankiem całej Europy, zdawała mu się już bezsilna, zatruta strachem przed Rosją. Pamiętajmy, że opuścił ją w okresie chyba szczytowej paniki i szczytowych iluzji o Sowietach.

Antykomunizm Bobkowskiego jest konsekwentny i zabarwiony pasją; za paryskich czasów nieustannie porównuje go ze znienawidzonym hitleryzmem, już wtedy demaskuje złudzenia i optymizmy, dotyczące błogiej ewolucji komunizmu po wojnie. Ale dla Bobkowskiego każdy socjalizm jest już podejrzanym, to

zasadka na wolnego człowieka, to, według niego, ruch, który jeżeli zwycięży wychować może jedynie posłusznych urzędników, ludzi niezdolnych do ryzyka, gotowych tylko *mówić* o wolności. Z jaką satysfakcją cytuje list Conrada z 1885 roku, jeden z pierwszych pisanych po angielsku: *Socialism must inevitably end in Caesarism*. Dlatego i na odwilż w Polsce i na cały rewizjonizm patrzył z największym sceptycyzmem, z ironią.

Andrzej pożera w Gwatemali książki i pisma z Polski, a dochodzi ich wiele; zdaje mu się to wszystko zafałszowane, zaczyna tchórzliwym oportunizmem zmieszany z nieszczerym sentymentalizmem i polskimi koturnami. Komu się tam nie dostaje od Bobkowskiego: i Żółkiewskiemu i Putramentowi, Brandysowi i Rudnickiemu, zresztą i Hłasko nie jest oszczędzony. W jego artykułach i listach ciągi spadają na tę „elitkę”:

„Oczywiście według ich pojęć parsknięcie śmiechem w twarz komedii i elitce, tym pieszczoszkom intelektualnym, jest kpina z Narodu, ba z Polski całej. Czy mamy prawo mówić, czy mamy prawo drwić z „bohaterskiego oportunizmu” (jakich określeń nie wynajdą jeszcze na niebohaterskie kurwienie się), czy mamy prawo dostrzec to bez kolorowych światła sentymentów, tęsknot, bez precedowania przez nasze głupawe kompleksy winy, iż nie będąc z nimi, nie przeszedłszy tego co oni, nie mamy prawa sądzić?... chodzi się na palcach wokoło, uśmiecha się porozumiewawczo, pobłażliwie czytając wyczyny Kazików, Antonich, Jarosławów, Julianów i wszystkich świętych z marksistowskiego almanachu. „Nie wolno sądzić”. A im wolno? Wolno, bo tylko oni mają monopol na polskość”.

W listach z większą jeszcze swadą szarżuje na pisarzy w Polsce: „Już przeczytałem jednym tchem... Brandysa i Rudnickiego — 'ubaw po pachy'. Panie! to nowi ewangelści, to wszystko pisane tonem ewangelii, akcentem satanizmu, szatana (kapitalizm) i chwilami tak wzruszające, jak ci konkwistadorzy hiszpańscy tutaj, co widząc indyjskie chaty malowane na biało, przysięgali, że mają domy ze srebra...”.

Potem się Bobkowski znów hamuje: „Muszę jeszcze rozważyć, trzeba być sprawiedliwym... ale takie książki są jednak pasjonującym studium klinicznym... ta łatwość załatwiania wszystkiego 'okresem wypaczeń’”.

W jednym z ostatnich listów do J. Giedroycia zaczepia rewizjonizm. Cały rewizjonizm dla Bobkowskiego to nie jest nic innego jak „chęć zdobycia jakichś tam nieokreślonych wolności bez pozbycia się wszystkich korzyści, bardzo określonych, nie-

wolnictwa. Ludzie nie chcą być wolni, nie chcą ponieść ryzyka wolności”.

Bobkowski jest na pewno niesprawiedliwy, gdy sądzi wszystkich w czambuł, spieszo mu, węzły rozcina nie próbując ich rozplątywać, więc dlaczego czuję potrzebę, pisząc o nim, cytować właśnie te wypadki i ataki? Bo tu zdaje mi się zawsze świetny, dosadny, bo umie, może jak nikt, przekłuwać nadęte pęcherze, zmuszając *każdego z nas* do zastanowienia się nad sobą.



Kto napisze o Bobkowskim pisarzu, kto przepracuje, prze-myśli jego opinie? Wystarczy wyrwać tendencyjnie, bez kontekstu, parę cytatów, polemicznych szarż, i można zrobić z tego wroga *każdego* totalizmu — półfaszystę, tak jak na emigracji usiłowano z Miłosza zrobić agenta bolszewickiego!

Kto prześledzi rozwój jego myśli od szlachetnego, męskiego anarchizmu Polaka, któremu zbrzydł i polski sentymentalizm i polskie krzyżowanie się i obsesja polskości i tylko polskości, aż po myśli ostatnie, o tyle dojrzalsze, kto przemyśli tę walkę ze „zmurszałymi ideologiami”, walkę o „człowieka z krwi i kości”, człowieka pełnego, wolnego, którego wolność nie byłaby zasłoną złości ani pustym frazezem.

Kto napisze o jego prozie, która w miarę lat staje się coraz gęstsza. Jeszcze w *Szkicach Piórkiem* zdaje się chwilami wprawką zdolnego pisarza-realisty, wyznawcy Goncourtów, Flauberta i przede wszystkim Balzaca, ale w miarę lat staje się naprawdę wyrazem nie tylko myśli autora, ale samego rytmu, oddechu tego pisarza, który namiętnie — jak Hemingway — kochał życie, przygodę i męstwo, ale myślał i samym głębokim nurtem świadomości sięgał może głębiej i dalej.

W jego obserwacji, więcej, w jego wtapianiu się w otaczającą go przyrodę nie tylko *widzimy* naturę, to słońce tropikalne, pomarańczowe, potem miedziane, tak szybko wpadające na czubki, drzew, czy słońce matowe, białe jak pastylka aspiryny, przebijające się z trudem poprzez zawiesiste mgły czy aksamitny lot nietoperza pod czarną koroną liści albo świetliki podobne do *tracer*ów wystrzelonych z nadbrzeżnego gąszczu, ale my tę naturę jednocześnie *słyszymy*. Ileż tu prób przekazania nam słuchowych wrażeń, które stokrotnie potęgują ostrość ewokacji; warkot latających chrabąszczy, coraz częstszy w miarę narastania wieczoru i ciszy, tupanie królików w klatce, rytm i charakter ich tańca czy zdławiony ciszą, tępy plusk pelikana spadającego do

wody w pogoni za rybą, brzęk miliardów komarów okrywających cały kadłub wielkiego wodnopłattowca dźwiękowym całunem i te krzyki *gruyas* (żurawi?) monotonne, płaczące, irytujące jak płacz głupiej kobiety.

*Kiedy się pisze tak jak pisać można
więcej niż głosem, całą naszą mową,
to nie potrzeba wtedy szukać dna
bo dno jest wszędzie jak niebo nad głową*

pisze Wacław Iwaniuk w swym pięknym wierszu *Dno*.

Wystarczy się wczytać, naprawdę wczytać w Andrzeja Bobkowskiego, by odczuć że to *dno jest wszędzie*. Pisarz dotyka w opowiadaniach swoich, w miłosnych, czujnych opisach natury, w nagłych opowieściach przerywających rozważaniach, wyznaniach, nie tylko świat i człowieka, ale jakby *samą istotę* tej ścieżki trudnej, po której do ostatniej chwili szedł. Co chwila *dotyka dna*.

„Nie chcę sobie podchlebiać” — pisze w jednym z listów — „ale obawiam się, że mnie tam, w Polsce, mają specjalnie dobrze zapisanego. Należę do tych nielicznych, o których jest *Totschweigen*”.

To „na śmierć milczenie” o nim w Polsce jest zrozumiałe i rzeczywiście pochlebia Bobkowskiemu, bo on właśnie — ten syn Conrada — mógłby się okazać towarzyszem niezastąpionym dla niejednego młodego Polaka, marzącego o przygodzie, o życiu bez cenzury, bez sztuk łamanych z nakazu, „zmurszałej ideologii”, o życiu z własnego wyboru, odpowiedzialnym i pełnym.



Andrzej Bobkowski został pochowany w grobie rodzinnym doktora Quevedo, którego czterech synów od 12 lat uczył aeromodelarstwa. Wszyscy do ostatnich jego dni wiernie przy nim przetrwali.

(*Kultura* nr 9/167, 1961)

O PAWLE HOSTOWCU

*Manche liegen immer mit schweren Gliedern
Bei den Wurzeln des verworrenen Lebens
Andern sind die Stühle gerichtet
Bei den Sybillen, den Königinnen
(„Przy Sybillach królowych”)*

Tej strofy nie próbuję tłumaczyć. Cóż by zostało z jej magii? — nic. Spróbuję tylko opowiedzieć treść wiersza Hofmannsthala, z którego strofę tę wziętem, bo zdaje mi się jakby napisana dla Hostowca i o nim.

Jedni umierają, pisze poeta, tam gdzie się poruszają ciężkie wiosła statków, inni mieszkają przy sterze, znają lot ptaków i krainy gwiazd. Jedni tkwią u korzeni zawiłego, pełnego zamętu życia, inni mają swe przybytki przy Sybillach — królowych. Ale na tych szczęśliwców lekkich pada cień, cień od tamtych, dławionych w zamęcie życia i związani są oni ze sobą, ci lekcy i ci ciężcy, jak powietrze z ziemią. Poeta z Sybillami żyjący mówi dalej:

*Ganz vergessener Völker Müdigkeit
Kann ich nicht abtun von meinen Lidern
Noch weghalten von der erschrockenen Seele
Stummes Niederfallen ferner Sterne*

Zmęczenia zapomnianych ludów nie może on sprzed powiek swych usunąć, ani nie potrafi jego przerażona dusza z pamięci swej zetrzeć niemego zapadania się dalekich gwiazd. I losy wszystkie w jego los wrośnięte, wetkane, to więcej niż smukły płomień jego życia i jego wąska lira.

Nie znam człowieka, który by bardziej od autora *Esejów dla Kassandry* zdawał się powołany, by współżyć z Sybillami i znał lepiej niż on lot ptaków i krainy gwiazd, ale na niego właśnie pada cień od tamtych wszystkich, którzy tkwią przy ciężkich wiosłach w zamęcie życia, i nikt dziś nie czuje bardziej niż on „zmęczenia całkiem zapomnianych ludów”.

Hofmannsthal pisze, że we wszelkim „wyższym myśleniu” tkwi cud wspólnoty, jedności, dnia dzisiejszego z przeszłością, życie umarłych w nas, i że temu jedynie zawdzięczamy, że zmienność czasu jest pełna treści, że nie wyczuwamy jej jak serii oderwanych i wciąż bez sensu powtarzających się taktów. Wieczne to jest dzisiejsze i ono jest pełne treści.

Kiedy Hostowiec pisze o Wojnie Peloponeskiej czy o próbie oderwania się Mityleny od Aten, o skazaniu na śmierć przybyłych posłów i wszystkich Mityleńczyków zdolnych do noszenia broni, o sprzedaniu ich kobiet i dzieci na rynku niewolników, naprawdę już nie wiemy czy tu mowa o zbrodniach ateńskich czy może o zbrodniach podobnych, któreśmy sami przeżyli wczoraj. Czytając Hostowca tracimy poczucie przedziału między dziś i wczoraj, wszystko jest dziś.



„Nie będę nigdy zdolny zrozumieć, gdzie jest linia demarkacyjna między prozą a poezją” — pisze młody Tołstoj w swym dzienniku.

Kiedy Hostowiec we wstępie do swej książki mówi o magii słowa poetyckiego, o tej władzy tworzenia formuł, które zostawiają niezatarte ślady na mijających godzinach, dodaje „że wszystko to jednak warte jest tylko dla poezji”, bo zaletą prozy jest jasność myśli porządkującej chaos zjawisk. Zastaniając się Tołstojem przyznam się, że i ja więcej niż kiedykolwiek nie umiem zrozumieć, gdzie leży ta granica między poezją a prozą. Czy Hostowiec, który zdaje się wszystko rozumie, nie jest świadomy, że jego „czernienie papieru”, jak pogardliwie nazywa swoje pisanie, jest, jeżeli nie przede wszystkim, to na pewno także poezją? Te słowa, pozornie proste, zawsze w nieoczekiwany sposób dobrane i powiązane, metafory zaskakujące nie wyszukaniem, ale właśnie codziennością, wyjaśniające, nigdy zacieraające sens tekstu, liczne i udatne spolszczenia słów obcych, cytaty diamentowe z dziewięciu języków wzięte, oddech zdania, płynny i oszczędny zarazem — zdaje się, że rozpoznać moglibyśmy autora zawsze wśród stu przeróżnych tekstów — sam kształt myśli

krągły i pełny — to stop magiczny. Poezja i muzyka, o ileż rzadziej malarstwo dają takie przeżycia, które się wymykają z racjonalnej oceny, bo są innego wymiaru.

Może jestem odosobniony wśród czytelników Hostowca w tym poetyckim reagowaniu na jego prozę. Przypuszczam jednak, że każdy uważny czytelnik przeżył ten szok poetycki przed paru chociaż stronami tej prozy, szok który zostawia ślad nie tylko na mijających godzinach, ale na życiu. Niektóre opisy z *Podróży do Niemiec*, która nie weszła do tego tomu esejów, jak nocna rozmowa ze skrzypkiem wśród zaśnierzonych ruin niemieckiego miasta czy opis obozów, gdzie wygnani ze swych wiosek i miast Ukraińcy, Żydzi, Polacy marzą w barakach pod podartymi kocami o szumie rzek rodzinnych należą do tej prozy poetyckiej Hostowca — w *Esejach o Kassandrze* odnajdujemy prozę tej jakości niemal na każdej stronie — prozy poetyckiej, która zostanie może jako najwyższe świadectwo naszych czasów w literaturze polskiej.

Kto z ludzi mojego pokolenia potrafił oddychać w latach najciemniejszych powietrzem „wysokich pustkowi Parnasu”, świadom tego, co te czasy nam wszystkim przyniosły? Na *Eseje dla Kassandry*, gdzie trafiamy nieraz na uśmiech i nawet na dobry żart, *pada cień* o którym mówi Hofmannsthal, bo Hostowiec nie jest nigdy odgrodzonym od świata smakoszem literatury i estetyką lub tylko erudytą, stąd ten starannie ukryty smutek pozornie pogodnej książki. Da ona niejednemu tę „trzcinę Anioła” z Apokalipsy do ręki, która miarę rzeczy ustala, będzie dla wielu miarą innych książek.



Czy potrafię mówić o tezach, które autor stawia rzadko, a prędzej insynuuje, jakby podsuwając czytelnikowi do rozważ, ustawiając je zawsze pod kątem nieoczekiwanym lub wyprowadzając je z obserwacji najprostszej, codziennej ale jakże ważnej, czy o przekonaniach autora, zresztą nie zawsze dla mnie jasnych, które mnie z nim od lat najgłębiej łączą czy dzielą, bo i takich jest wiele istotnych i nigdy między nami do końca niewyjaśnionych.

Nawet gdybym nie artykuł a tom próbował o tym napisać, nie dałbym rady ich wyczerpać; rozpiętość myśli, doświadczenia, kultura, którą chyba niewielu z nim Polaków dzieli (Vincenz, Wittlin, któż jeszcze?), stwarza że chciałbym go tylko słuchać i nawet wtedy kiedy się z nim nie zgadzam drążyć dalej zagadnienie i milczeć.

Chodzi mi dziś o co innego, o człowieczeństwo, o aurę tej książki, gdzie rzutowania najbardziej odkrywcze są jakby zaszyfrowane, świadomie przeznaczone tylko dla paru najuważniejszych czytelników, albo muśnięte z pozorną niedbałością, zobaczone przez błysk chwili, gdzie nawet drapieżny pamflet jest piórem aksamitnym pisany i zanurzony w takim gąszczu spostrzeżeń przenikliwych i jedynej w swoim rodzaju erudycji, że przeszedł w Polsce w latach 30-tych niepostrzeżony przez oczka cenzury. Myślę tu o *Panu Jowialskim*, jedynym tekście, gdzie Hostowiec zdaje mi się stracił ten dystans, który go cechuje, i wypuścił z ręki trzcinę anioła, celując poprzez płaską figurę starucha-dowcipnisia Jowialskiego w tragiczną samotność Piłsudskiego.



Hostowiec jest chyba najdalszy wśród pisarzy współczesnych od mody czy potrzeby wyznań, spowiedzi publicznych, tak czy inaczej podmalowanych dzienników, megalomańskiego ekshibicjonizmu. Hostowiec przeciwnie, zaciera ślady, wszędzie gdzie myśli jego zdają się zbliżać ku wyznaniom osobistym, pseudonimy, szyfry, aluzje, nigdy nie wiemy z jakiej strony, z jakiej warstwy myśli czy z aluzji do jakiego wieku usłyszymy to co stanowi istotę jego tekstu. Chodzi tu zawsze jednak o spojrzenie na świat, o wyjście z zaczarowanego koła konwencji a nie o grę luster, w której się pisarz przegląda, świadomie czy odruchowo układając twarz swoją tak, jakby chciał być widziany przez wdzięczne potomstwo. Umie on być okrutny gdy pisze o literaturze współczesnej, jakby wyobcowanej, oderwanej od życia: „Świat wyobraźni wysnuty z patrzenia we własny pępek jest z natury swej ograniczony”, pisze Hostowiec. „Zamykanie się w nim nie jest dla nikogo rzeczą bezpieczną. Pies, gdy przestaje obserwować otaczające go przedmioty, zaczyna wyć. Literatura obecna pełna jest skomlenia i wycia”. A w innym miejscu: „Retoryka czysta pozbawiona elementów związanych z obserwacją świata zewnętrznego ma pewne powinowactwo z malarstwem abstrakcyjnym. Jeszcze większe podobieństwo zdradzają procedery przy pomocy których pisarze i malarze wypłukują z przedstawianych przedmiotów wszelką samodzielną treść. Tak spreparowane przedmioty stają się jedynie martwą dekoracją retoryki autorów”. Dlatego właśnie Hostowiec odniósł się z taką powagą do *Wieży* Herlinga-Grudzińskiego, widząc w opowiadaniach tego pisarza próbę zerwania z wyjąłową już konwencją abstrakcyjną.

Wbrew niechęci do wszelkich wyznań uważny czytelnik dociera co raz to do stron, w których jak przez przezroczystą taflę widzi świat intymny autora tej wyjątkowej książki. W jednym z rozdziałów nieśpiesznego przechodnia („Kłopoty recenzenta muzycznego”) Hostowiec cytuje list Maupassanta, o którym już pisałem w *Kulturze*. Maupassant wyznaje, że jedyną racją jego istnienia są doznania, objawienia piękna nieuchwytnego, zdradzającego się zaledwie w pewnych słowach, widokach świata, pewnych sekundach. Maupassant pisze: „Nie potrafię ich ani dać poznać innym, ani wyrazić, ani opisać. Zachowuję je dla siebie. Nie mam innej racji bytu, innej przyczyny dalszego trwania”. Więc Maupassant nie wiedział, że te chwile osobliwe umiał przecie dać poznać, przekazać! Kiedy słyszę nazwisko Maupassanta wracają do mnie te właśnie przekazane przeżycia na Riwierze, jakiś las dębów korkowych odartych z kory i krwawiących jak ludzie, przy chłopskiej fermie, gdzie stara kobieta zabija się z powodu miłosnego zawodu, potem jakieś sitowia nad stawem czy pies wrzucony do wyschłej studni przez oszczędne Bretonki, aby go już przestać karmić. Nawet tytułów tych nowel nie pamiętam. Miłość Hostowca do Maupassanta mówi wiele. Gwałtowna, chwilami trudna do uniesienia jest bolesność tych opowiadań, które Maupassant przeważnie wkłada w usta ludzi obojętnych lub sam je opowiada z pozornym oderwaniem czy nawet cynizmem.

Pisząc, że *my* wszyscy, gdy pomyślimy głębiej, posługujemy się kryteriami Maupassanta, bo każdy z nas żyje dla minut czy sekund wrażeń, których nie potrafimy jasno opisać, o których mówimy ostrożnie aby ich nie spłoszyć, lub o których milczymy, Hostowiec pisze wówczas o tajnej racji *swego* własnego istnienia. I może jak Maupassant nie jest świadomy, że takie sekundy właśnie on przekazać nam umie.

Czy może pisarz dać więcej czytelnikowi?

(*Kultura* nr 11/169, 1961)

O BRZozowskiM

Niezrozumiały był przede wszystkim sam człowiek, traktujący sprawy intelektualne jakby to były sprawy życia i śmierci.

Czesław Miłosz

Renesans Brzozowskiego? Za wcześnie o tym mówić. Dopóki książki Brzozowskiego są białymi krukami, gdzież można mówić o renesansie? Czy na zapowiadane pełne wydanie jego dzieł w Polsce będziemy czekać równie długo jak na Norwida?

Po książce Stawara *O Brzozowskim*¹ mamy teraz *Człowieka wśród skorpionów* Miłosza². Stawar przemyślał Brzozowskiego pod kątem doktryny marksizmu. I wskutek tego niejeden wątek jego myśli został z góry negatywnie oceniony. Zachwyt Brzozowskiego dla Proudhona *obok* czci dla Marksa, bezpośredni i długotrwały wpływ Sorela, to wszystko dla Stawara „głosy” indywidualisty „o słabym pojęciu warunków społecznego działania”; a cała religijna strona myśli Brzozowskiego może być tylko wyrazem chorobliwej depresji „patologicznego” nastrojowca, pokusą reakcyjną śmiertelnie chorego pisarza. „Epopea myślicielska pełna śmiałych rzutów... miałażby się skończyć w drzwiach zakrystii?” — pisze Stawar.

Człowiek wśród skorpionów zdaje mi się pierwszą próbą ogarnięcia nieuprzedzoną myślą całego Brzozowskiego. Miłosz, widząc w nim prekursora filozofii egzystencjalnej, dociera głębiej do wewnętrznej logiki rozwoju myśli tego wyznawcy Marksa i kardynała Newmana, myśli złożonej, wielokierunkowej, sobie

1. Czytelnik, Warszawa 1961.

2. Instytut Literacki, Paryż 1962.

samej nieraz przeczącej. Nikt chyba nie był bardziej powołany by taką książkę napisać, niejedno Miłosza z Brzozowskim łączy: te same pasje społeczne, ta sama pasja problemów intelektualnych i świadomość ich absolutnej powagi, ta sama rzetelność i wrażliwość na moralny aspekt zagadnień, podobne oscylacje i rozdarcia, których autor ani nie zamazuje ani nie ukrywa, ale przeciwnie, próbuje się doszukać ich sensu.

Miłosza próbowano także z prawa i z lewa zaszczyć, tylko że na szczęście dla niego i dla nas on tu zwyciężył. Brzozowski mógłby (gdyby żył) mu powiedzieć:

„Ty pójdziesz górą, ty pójdziesz górą
a ja doliną”.

Kontrast między zbieżnością niektórych wątków myślowych Brzozowskiego i Miłosza a rozbieżnością ich drogi życiowej jest frapujący.

„Człowiek wśród skorpionów” ukazał się w maju, szukam w *Kulturze* i innych pismach omówienia tej książki, która zdaje mi się tak ważka. Nic, poza łaskawym poklepaniem Miłosza po ramieniu przez Gombrowicza, który zresztą stwierdza, że Brzozowskiego nie czytał, co mu nie przeszkadza zająć stanowiska za Sienkiewiczem i przeciw Brzozowskiemu³ i nowego przyczynka śp. Pobóg-Malinowskiego do „sprawy” Brzozowskiego, który znów żadnych pewników w tej sprawie nie daje i dać nie może.

Należałem sam do wyznawców Brzozowskiego, o których pisze Miłosz, że byli wyznawcami „uczuciowymi”, niezdolnymi najprościej ogarnąć myśli filozoficznej pisarza, należę do pokolenia, które nie spełniło wobec niego elementarnego obowiązku, który dziś za nas spełnił Miłosz. Zachęcony *Człowiekiem wśród skorpionów* chciałbym spróbować poprzez własne wspomnienia dotrzeć do istoty wpływu Brzozowskiego na młodzież początku XX wieku i paru zestawieniami tekstów i faktów podszyc to, co Miłosz napisał o stosunku Brzozowskiego do katolicyzmu.

„... Jakby to były sprawy życia i śmierci”

Pisząc na wstępie swej książki o pierwszych czytelnikach

3. Cenny artykuł Jerzego Fijasa „Brzozowski, Newman, katolicyzm” w *Tygodniku Powszechnym* z 5 sierpnia 1962 jest polemiką z książką Stawara.

Brzozowskiego, Miłosz stwierdza, że „albo nie rozumieli go wcale, albo rozumieli co trzecie zdanie”, „kampanie Brzozowskiego... przysparzały mu entuzjastów wśród młodzieży, byli to jednak na ogół tylko uczuciowi sprzymierzeńcy”. Ocena zdaje mi się słuszna. Ale w czym tkwić mogła ta siła jego działania na „uczuciowych sprzymierzeńców”, magia, której sam uległem do tego stopnia, że spotkanie z Brzozowskim do dziś uważam za jedną z najważniejszych dat mego życia. Gdybym był rzadkim wyjątkiem, miałoby to znaczenie czysto osobiste, ale reakcja moja na jego pisma, spóźniona o 10 lat przynajmniej i przez to nietypowa, istniała za życia Brzozowskiego z różną, jeżeli nie większą gwałtownością, masowo w środowiskach młodzieży postępowej. Nie wiem czy Żeromski, Wyspiański i nawet Przybyszewski mieli przyjaciół, wyznawców równie fanatycznych.

Legenda Młodej Polski ukazuje się w dwóch wydaniach, 1910 i 1911⁴, u Połonieckiego we Lwowie. Około 4 tysięcy egzemplarzy tego 500-stronicowego filozoficznego tomu, pisanego językiem trudnym, nieraz mętnym i nawet nieprzyjemnie patetycznym, zostaje rozsprzedanych w Krakowie w parę dni!

Posądzenie Brzozowskiego o zdradę i donosicielstwo, „sprawa” Brzozowskiego, to jest walka oskarżycieli (wcale nie tylko skorpionów) z namiętnie wierzącymi Brzozowskiemu jego wyznawcami.

Wrażliwy czytelnik rozumiejąc go nawet „co trzecie zdanie” wyczuwał *ton* pisarza, swoistą *démarche* jego myśli, to powiązanie słowa z intymnym doświadczeniem całej istoty a nie oderwanego, tylko „profesorskiego” intelektu („co nie jest biografią — nie jest w ogóle”), powiązanie z odpowiedzialnością moralną, granice jakby zatarte między procesem wypowiedzi filozofa i artysty.

Miłosz pisze: „Nierozumiały był przede wszystkim sam człowiek traktujący sprawy intelektualne jakby to były sprawy życia i śmierci”. Tu Miłosz się myli. *Ta* właśnie postawa zyskiwała mu wyznawców. Wszystkim, którym horyzont umysłowy Sienkiewicza zdawał się nie tylko ciasny, ale zafałszowany — Brzozowski wybijał okno na świat. Wyrывał również czytelnika z towarzyskich *nie obowiązujących* dysput, ze świata podfilipszczyzny. „Ton” jego pism zmuszał czytelnika do ustawienia siebie inaczej wobec życia, wszystko stawało się problemem sumienia, zobowiązywało wobec konkretnej *danej* rzeczywistości.

4. Daty podaję za Irzykowskim w wydaniu warszawskim *Legendy* z 1937 roku.

Polsce „zdziecinniałej”, „beztroskliwej”, „lekkomyślniej” i „próżniaczej”, z „widmem Rejtana strzegącym progu każdej polskiej śpiżarni”, polskiemu „Oberammergau” obchodów i frazesów Brzozowski przeciwstawiał inną wizję i polskiej historii i polskiego romantyzmu, Mochackiego i Norwida, inne miejsce Polski we współczesnej Europie. Polska była dla niego jedynym medium, poprzez które mógł czytelnik nie tylko zdobyć swoje miejsce w świecie szerokim i najszerszym, ale być współtwórcą losów tego świata. Od tego zadania nikomu nie wolno było się uchylić.

„Życie nasze, ja nasze — to jest posterunek, gdy my go opuścimy, utraci go cała ludzkość na zawsze”. Jakże te słowa wówczas brzmiały!

W tej walce o nowy stosunek do świata Brzozowski nie był sam, *należał* do Młodej Polski. Jeszcze w *Ideach* przyznaje się do decydującego wpływu, jaki mieli na niego Przybyszewski, Żeromski, Wyspiański, Kasprzowicz, nawet tak przez niego zaatakowany Miriam, odkrywca Norwida, Irzykowski, jego współcześni, których to czcił, to krytyką swoją miażdżył, oni stworzyli klimat, w którym pisma Brzozowskiego mogły zapalać. To było przebudzenie myśli i sztuki, wobec którego dorobek myślowy i artystyczny niepodległości może się wydać płaski i od nowa prowincjonalny.

Wspomnienia anachroniczne

Próbując dotrzeć do istoty „magii” Brzozowskiego na młodzieńcze początki tego wieku, chcę wrócić do własnych wspomnień, jak już pisałem nietypowych, bo przesuniętych o kilkanaście lat w czasie, niemniej tak zbliżonych do reakcji młodzieży na pisma Brzozowskiego w latach 1905-1914.

Odkrycie Brzozowskiego nastąpiło u mnie dopiero w 1919 roku w Krakowie, po inkubacji Rosji. Już na szkolnej ławie w Petersburgu literatura rosyjska, rzeczywistość rosyjska były moimi pierwszymi przeżyciami intelektualnymi, które mnie naznaczyły. W Brzozowskim odkrywałem od pierwszej chwili podobną temperaturę myśli. W pismach swoich pisze on wielokrotnie, ile zawdzięcza Rosji; według niego społeczna myśl rosyjska była głębsza i nawet widzenie Zachodu pełniejsze i nowocześniejsze niż w Polsce. (Mickiewicz pisał to samo o Rosji Mikołajewskiej w swoich listach do Odyńca).

Jeżeli gdzie wyczuwałem, że traktuje się sprawy intelektualne tak, jakby to były sprawy życia i śmierci, to właśnie w Rosji.

Dla Rosjan liberalnych były one zawsze powiązane z zagadnieniami uniwersalnymi, z Zachodem; wobec nich patriotyzm sienkiewiczowski zdawał się zaściankowy i obrazkowy. W Rosji bywali może również Podfilipscy, choć zastępowali ich prawdopodobnie głusi na wszystko reakcyoniści. (*Il n'y a que la mitraille pour la canaille* — mówił były minister, sędziwy hrabia Pahlen, patrząc przez okno na wielką manifestację w 1905 roku). Ale ogrom rosyjskiego imperium, niezliczone nurty rewolucyjne, zamachy, cała literatura od Tołstoja wyklętego przez Synod, z jego fascynującą postawą moralną i śmiercią, od Dostojewskiego, skazańca, reakcyonisty i proroka, z całą plejadą innych wielkich pisarzy unicestwiać musiał ten typ płaskiego „myślenia” towarzyskiego i nieobowiązującego. Tam również istniała „wieś biała w atlasie jabłoni”, ale tam „dęby wyrwane z ziemi”, „fały brudne przez mur cmentarza” bijące „trumny ciężkimi”, o których pisał Norwid, były bezpośredniej, może brutalniej odczuwane przez ogół niż w Polsce — ponad 40 lat po powstaniu, po erze pracy organicznej, która rozgrzeszała przeróżne ugody.

Zjechałem po raz pierwszy do Krakowa w 1919, osiem lat po śmierci Brzozowskiego, gdy jego „sprawa” należała do dalekiej, przedwojennej przeszłości. Od Krakowa Brzozowskiego dzieliła mnie wojna — to był już Kraków Niepodległości. Przyjeżdżałem z Rosji, przeżyłem tam dwie rewolucje, pierwszą z nich, lutową, w Petersburgu. Białe noce tego lata, w mieście pełnym zawrotnych nadziei i wstrząsów, gdzie nie było mleka i cukru, ale gdzie place były aż do rana wypełnione tłumami ludzi wszystkich stanów, którzy godzinami, grupami, bez krzyków, w namiętnym skupieniu dyskutowali o istnieniu i nieistnieniu Boga, o prawości i nieprawości wszelkiego posiadania, o braterstwie ludzi, zniszczeniu wszelkich granic, o nowej sprawiedliwości. W tymże Petersburgu-Piotrogradzie powstawał pierwszy Wszechrosyjski Sowiet Robotników i Żołnierzy, a prezes tego sovietu socjalista Ceretelli, tylko co wypuszczony z carskiego więzienia, ogłosił odezwę do żołnierzy wszystkich frontów, by broń złożyli, by się poprzez zwały trupów okropnej wojny wszyscy bratali. Strzęp gazety z tą odezwą miałem przez długie miesiące zawsze przy sobie. Dziś jest trudno zrozumieć, jak wtedy brzmiały te słowa braterstwa rzucone na cały świat. Nowa nadzieja milennium? Tak się zdarzyło, że asystowałem jeszcze przed samą rewolucją październikową przy dwugodzinnym, dramatycznym opowiadaniu samego Ceretelliego o rozpadzie wszelkiej władzy pod naciskiem partii bolszewickiej. Już wtedy los Rosji demokratycznej zdawał się przesądzony.

Potem jeszcze dwa razy wracałem za fałszywymi papierami do Piotrogradu, już po zwycięskiej rewolucji październikowej. Ale to już były dwie zimy terroru, rozstrzałów, przepełnionych więzień, głodu.

Kraków! Nikogo tam jeszcze nie znałem, moja ignorancja spraw polskich dziś mnie samemu zdaje się prawie niewiarygodna. Z pobytu wówczas w Krakowie nie zachowałem wspomnień ani Wawelu ani kopca Kościuszki ani Panny Marii, ale pamiętam dokładnie ciemny salonik-poczekalnię jakiegoś dentysty, gdzie na stole, pod brzydką secesyjną lampą, wśród brudnych, sto razy przeglądanych pism ilustrowanych odkryłem *Legendę Młodej Polski*. Otworzyłem ją w środku pierwszego rozdziału: „Nasze ja i historia”. Odczytuję ten rozdział dzisiaj. Cóż było w nim wówczas tak rewelacyjnego, że miałem wprost fizyczne wrażenie, że odkrywam coś dla mnie najważniejszego?

Zrozumiałem nagle całym sobą, już od pierwszych stron tej książki, że nie jestem sam, że jestem związany z całym światem, z historią, że nie ma samotności, że moje najtajniejsze myśli i przeżycia nie są moją tylko własnością, że mają odpowiedniki w świecie, bo nie są wytworem wyłącznie tylko mojej myśli, ale całego procesu historycznego, który moją świadomość wyłobił (być określa świadomość?), że należę do historii, chcę tego czy nie chcę, że jestem nie tylko potrzebny, ale że nikt za mnie tego co zrobić muszę nie zrobi, i zrobić nie może.

Potem już, idąc w głąb tej książki, odkrywałem z upojeniem to, czego nigdy Rosja dać mi nie mogła, że droga moja do idei ludzkości, która mnie na Wschodzie urzekła, prowadzi przez Polskę, że jej rozwoju nie tylko nie muszę, ale nie mam prawa lekceważyć. Poprzez okrutny pamflet na Polskę zdzieciniała, jedyną którą znałem dotychczas, odkrywałem inną Polskę. Mój kompleks niższości wobec wielkiej ojczyzny Tołstoja, Dostojewskiego i rewolucji przestał istnieć. Tołstoj był pierwszym mistrzem mojej młodości, ale Dostojewski, Nietzsche, Rozanow, poznani za mego ostatniego pobytu w Rosji dzięki Mereżkowskiemu i jego żonie, poetce Zinajdzie Gippius, z którymi spędziłem szereg wieczorów w nieopalanym, lodowatym ich mieszkaniu na Siergiejewskiej w Petersburgu, z Tołstoja mnie wyzwoliły, przygotowując mnie do Brzozowskiego, do jego wizji historii.

W *Legendzie* w jednym z odnośników pisze Brzozowski o Jerzym Sorelu:

„... Dla każdego kto oswoi się ze stylem Sorela, przesyconym życiem myśli, na gorącym uczynku schwytanym — mdłym musi stać

się wszelki inny sposób pisania. Sorel nie buduje architektonicznych całości literackich, ale *buduje samą myśl, w głowie czytelnika, stwarza jakby nowe komórki i włókna mózgowe, rozbudza procesy myślowe, 'tworzy powołania', jak sam on się wyraża*".

Nie umiałbym lepiej wyrazić działania samego Brzozowskiego na mnie.

Od tego czasu Brzozowski towarzyszył mi wszędzie. Już żyłem w Polsce i Polską. Była znów wojna. W pociągu pancernym braci Małagowskich, potem w Pułku Krechowieckim odkrywałem młodzież polską otwartą, entuzjastyczną, optymistyczną (wszyscy kochali Sienkiewicza, dla iluż z nich walki 20 roku to był dalszy ciąg *Trylogii*), nie pamiętam bym spotkał brzozowczyków. Ale w pociągu pancernym piśsudczyka Małagowskiego, gdzie oficerami i szeregowymi była przeważnie młodzież akademicka, zetknąłem się z żeromszczykami i naturalnie z piśsudczymi. W poczekalni na stacji w Nowym Sączu, gdzie pociąg nasz remontowano, potem na froncie czytałem wieczorami Brzozowskiego i on mnie uczył Polski. Jego oczami na tę młodzież patrzałem. Nawet Mickiewicz, już nie mówiąc o Norwidzie, przyszedł do mnie przez Brzozowskiego. A Zachód, i te nazwiska, które przeważnie słyszałem po raz pierwszy, od Vica, Carlyle'a, Goethego, Bergsona i Sorela po Mereditha, Browninga, Blake'a, Wilfreda Pareto i Newmana, to były jakieś gwiazdy na nowym dla mnie niebie, które czytałem, bo wspominał o nich Brzozowski. Dopiero wśród oficerów legionowych spotkałem paru brzozowczyków i znów dzięki Brzozowskiemu wspólny z nimi znalazłem język.



Ale od jesieni 1920 roku, przyjęty do Akademii w Krakowie, wchodzę w świat całkiem nowy, o innym klimacie i innych reakcjach. Jakby ten język, to widzenie świata zostało starte przez nową, powojenną rzeczywistość. Koledzy, z którymi potem los swój wiąże, przyszli kapiści, to już ludzie tknięci formizmem (Gałka Muszkatołowa), majakowszczyzną (Bruno Jasiński), futuryzmem, kubizmem.

Wchodzę w ten świat moich nowych przyjaciół, w zupełnie nową atmosferę intelektualną beztrudnej pewności siebie, zwycięskiego optymizmu i zmysłowej radości życia.

Ta młodzież robi wszystko, żeby zapomnieć, że w tejże Akademii byli jeszcze tak niedawno malarze o przydługich włosach i długich pelerynach. Jestem wówczas wśród moich kolegów dość dla nich zabawnie anachroniczny. Mam odruchy myślowe i uczu-

ciowe inne niż oni. I ta radosna afirmacja życia jest u mnie trochę wymuszona — to nie mój świat. Czuje się coraz to śmiesznym pogrobowcem Młodej Polski, do której nigdy nie należałem. Mała scenka z tamtych czasów do dziś utkwiała mi w pamięci.

Na wiosnę 1921 roku (czy już 1922?) moi koledzy coraz to zwiewali z pracowni, żeby godzinami pływać się w Wiśle i opalać na plaży. Jeden z najzdolniejszych („najmniej pracuje i ciągle robi postępy” — wzdychał profesor ze zgorzaniem i uznaniem) mówi mi, leżąc nago na piasku, ze świadomością, że wypowiada głęboką *nowoczesną* myśl filozoficzną: „Nie wiem co jest ważniejsze, opalać się czy malować”.

Milczę, bo nagle w tej atmosferze błogiej rozkoszy prawie że fizycznie odczuwam zatęchłą piwniczną atmosferę niewoli, krzywdy, tragedii, o której ci chłopcy nic nie wiedzą i wiedzieć nie chcą. Wyspiański, tu w Krakowie umierający na syfilis, suchoty i nędza Żeromskiego, otoczonego zgorzaniem dobrze myślących, suchoty, nędza i haniebnny proces Brzozowskiego, jego śmierć we Florencji. Czuje wobec tamtych winę, zdradę? Że o nich milczę? Ale komu mam o nich mówić! Kolegom z Akademii? Młoda Polska, którą ja dopiero co odkryłem, jest dla nich marą na zawsze minionej przeszłości, a przede wszystkim literaturą nie do czytania. „Jak możesz czytać Żeromskiego, kiedy jest Balzak i Szekspir?” — mówi mi jeden z nich. Gdy czytam drugiemu *Wyzwolenie*, krzywi się, jakbym mu dał octu do wypicia. „Ci ludzie mieli 40 stopni gorączki”. Brzozowskiego nie znają i znać nie chcą. Jeszcze jakiś upiór przeszłości. Precz z upiorami!

W miarę lat, porwany własnym życiem, swoją pracą, zespołem artystów, z którymi los dziele, Paryżem, do którego ruszam w 1924 roku, przestaję śledzić losy pism Brzozowskiego. Jeżeli natrafiam w prasie polskiej, którą czytam dorywczo, na artykuły o nim, to zawsze i jeszcze o „sprawie”. Był czy nie był zdrajcą?, szkalowany przez ideowych przeciwników, których nie szczędził, posądzony o to, że był konfidentem Ochrony. Duża część opinii polskiej wierzy bardziej „nawróconemu” agentowi Ochrony, który się sam przyznaje, że torturował więźniów, jak świadectwom samego Brzozowskiego i jego przyjaciół. Jeszcze w 1918 roku Żeromski propagując ideę stworzenia Akademii Literackiej⁵ żądał przede wszystkim wyjaśnienia tego ciążącego na Brzozowskim zarzutu: *albo* zostanie on uniewinniony, *albo* вина jego zostanie ustalona, a pisarstwo jego wówczas ma być *skreślone z roczników kultury polskiej*. To skrajne stanowisko wcale wówczas nie było

5. Cytuję za Stawarem.

w Polsce odosobnione. Spotkałem około 1925 roku we Francji wybitnego esera I. Fondamińskiego. Skazany był na śmierć jeszcze przez rząd carski za udział w którymś z zamachów; wyrok zamieniono na dożywotnie zesłanie na Syberię. Uciekł stamtąd i osiadł w Paryżu w 1905 roku; wrócił do Rosji w 1917-tym i znów jako emigrant wylądował w Paryżu. W lewicowej antybolszewickiej emigracji ceniony przez wszystkich, był swego rodzaju postacią ewangeliczną, nie miał wrogów (umarł w obozie niemieckim podczas ostatniej wojny). Otóż zainteresował się on pisarstwem Brzozowskiego. Starałem się mu wyłożyć jego filozofię, w żadnej ówczesnej partii nie mieszczące się bogactwo jego myśli, opowiedziałem mu jego stosunek do spraw religii i jego śmierć. Słuchał z najwyższym zainteresowaniem. Dla niego, Rosjanina z generacji Brzozowskiego, była to postać bliska, odnajdywał w nim te same punkty newralgiczne, które sam z równą siłą odczuwał. Zacząłem mu opowiadać o „sprawie” i tu od pierwszej chwili zauważyłem zniecierpliwienie i prawie irytację, aż wybuchł: „Po co mi pan to wszystko opowiada, co mnie to może obchodzić, *gdyby nawet tak było*, gdyby w pewnej chwili uległ ohydnemu szantażowi, jakie to może mieć znaczenie!”.

Cytuję te obie reakcje, charakterystyczne, gdy chodzi o ocenę pierwszeństwa: moralności pisarza czy dzieła jego myśli.

Sam szukałem gdzie mogłem obiektywnego potwierdzenia moich przekonań, mojej pewności, że cała ta „sprawa” była przez wrogów Brzozowskiego, przez „skorpiony” zmontowana i oszczerza. Zetknąłem się wówczas w Paryżu z Rafałem Buberem przez jego syna, który tam studiował. Ten szlachetny, wierny przyjaciel i obrońca pisarza na procesie wielu konkretnymi faktami potwierdził mi moje intuicyjne wówczas przekonanie. Po przeczytaniu rozdziału Miłosza, gdzie zgrupowane zostały wszystkie dostępne mu dane wraz z oświadczeniem Brzozowskiego, „krzykiem tonącego” z 1908 roku, po śmierci świadków, obrońców i napastników, wszelkie powracanie do „sprawy” zdaje mi się tylko powiększaniem gąszczu dalszych w czasie i przez to coraz mniej ścisłych informacji i domysłów. Czy nie czas by „sprawę” *zamknąć* i zająć się nareszcie wyłącznie myślą Brzozowskiego, tak jak się nią zajęli i Stawar i Miłosz?

„Pamiętnik” Brzozowskiego

Nie przypominam sobie, bym w tamtych latach powracał głębiej do dzieł Brzozowskiego, poza jednym *Pamiętnikiem* — tymi

już po śmierci wydanymi, gorączkowymi notatkami z ostatnich paru miesięcy jego życia. Ta książeczka to jedyny jaki znam polski *journal intime*. Ile takich jest we Francji od Maine de Birana aż po Simone Weil. Bo czymże innym są jej myśli wpisywane naprędce do szkolnych kajetów? *Pamiętnik* Brzozowskiego to książka która zostanie w literaturze polskiej. Gdyby choć to ostatnie słowo zaszczonego pisarza można było wydać na nowo. Sam styl tych notatek, czysty, ścisły, aż drgający od temperatury wewnętrznej, wskazuje do czego się Brzozowski wewnętrznie dopracował. Tej książki nie można przeczytać tylko, trzeba z nią współżyć. Zginęła tu młodopolska patetyczność, młodzieńcze kazonodziejstwo, jest nieustanny porachunek ze sobą, bezwzględny, i śmiertelny wysiłek, by nic nie uronić z tego co jeszcze wyrazić chce czy musi. Szkalowany, wyrzucony jakby poza obręb społeczności polskiej, umierający w dalekiej Florencji notuje: „Nie stoicka nietykalność, ale przezwyciężenie ran odczutyh”, pisze o zdolności przebaczenia, która jest kryterium siły, o pustyni samotności wśród „głupoty i miałkiego wrzasku polskiego życia”. Błyskawicznymi rzutami naświetla całe dziedziny problemów i myśli, nie ma tam strony, która by nie zmuszała czytelnika do zastanowienia i do własnego rachunku sumienia. Pisze o literaturze, przeciwstawiając ją czystej polityce, literaturze uważanej za luksus, jako o „jednej z najniezawodniejszych dróg prowadzących do wyzwolenia z brutalnie głupich i deprawujących zabobonów politycznych”. Marzy o tym, że gdyby miał czas jeszcze, zmieniłby „charakter polskiej literatury na całe pokolenia” i byłby szczęśliwy. Cztery miesiące przed śmiercią pisze: „Gdybym mógł, gdybym mógł, gdybym mógł kształcić się tylko przez rok, przez jeden rok”. Woła, krzyczy do przyjaciół o książki, na które czeka miesiącami, nie stać go na ich kupno, a potrzebne mu są więcej niż chleb.

Surowo ocenia swoich przyjaciół, młodych intelektualistów polskich dla których „żywe powinno być *przyjemne*, przyjemne dla nich, i że gdy nie jest, ma to jakiekolwiek znaczenie godne obiektywnego opracowania. Wnet wciąga się w dyskusję społeczeństwo, Polskę, byt, dlatego tylko, że tu w tej lub innej indywidualności nastąpiła przerwa 'w odczuwaniu przyjemności'”.

Ileż myśli i uwag, na ile tematów, które, gdyby żył, rozrosłyby się do całych rozpraw o wstecznych elementach każdej sztuki, bo „artyzm zależny jest od pierwiastków, które zmieniają się najwolniej”, o zakłamaniu oświaty ludowej, jeżeli jest oparta na „wierze w lud”, bez wiary w prawdę i troskę o nią. Nie ma strony, gdzie by czytelnik wczorajszy, dzisiejszy, jutrzejszy nie znajdował myśli jego samego tyjących, które go to wspierają,

to chłószcza. Jakże niewielu ludzi w latach niepodległości zaczytywało się w tę książeczkę, a któż ją dziś czyta, jeżeli jej nigdzie dostać nie można? Każdy intelektualista znał *Journal Gide'a* czy *Voyage au bout de la nuit Céline'a*. Ale kto znał tę polską podróż do kresu nocy, kogo ona interesowała? Tak jak dziś Gombrowicz, tak wówczas Słonimski zaznaczał swój wobec Brzozowskiego dystans. Brzozowski, którym — pisał wówczas Słonimski — „interesują się jedynie snobi i religianci”.

Sam wówczas nic dla Brzozowskiego nie zrobiłem, więc ponoszę tę samą co wszyscy odpowiedzialność. List mój wysłany w tej sprawie do *Wiadomości*, o którym wspomina Miłosz, był kiwniem palcem w bucie. Pamiętam Fiłosofowa, który mi wtedy powiedział: „Myślisz, że tak się broni pamięci pisarza? Napisałeś trzy słowa i wyjeżdżasz znów do Paryża? — Powiedział nie pozwalałam i ucieknął na Pragę. — Z takiej obrony żadnej korzyści być nie może”. I nie było.

„Zabobon o Bogu”

Jest jeden problem, który Brzozowskiemu nie daje spokoju od wczesnych lat, jemu, za młodu wojującemu materialistcie. Porusza go już w *Filozofii Romantyzmu Polskiego* w sposób nieoczekiwany — jest to sprawa katolicyzmu. Pamiętajmy, że antykatolicyzm był wówczas dogmatem kół postępowych. Stosunek zaś Brzozowskiego do katolicyzmu nie wchodzi w te ramy. Stawar wykrywa tu pokusy reakcyjne, Bohdan Suchodolski konsekwentną drogę materialisty do katolicyzmu. Gustaw Herling-Grudziński we wstępie do *Filozofii Romantyzmu Polskiego*, wydanej na nowo w Rzymie w 1945 roku stwierdza, że próba Suchodolskiego wypadła zupełnie nieprzekonywująco. Nie znam książki Suchodolskiego, mam zaufanie do oceny Grudzińskiego w jego bardzo ciekawym i czujnym wstępie. Stosunek Brzozowskiego do katolicyzmu należy rozpatrywać pod zupełnie innym aspektem niż Stawar i Suchodolski. Dziś, po Simone Weil, łatwiej byłoby przeżycia Brzozowskiego ująć i zrozumieć. „Krańcowe zwątpienie staje się nie wiedząc o tym organem wiary” — pisze Brzozowski. Mogłaby to napisać dosłownie Simone Weil w swoim „*Athéisme purificateur*” w *Pesanteur et grâce*.

Już w *Legendzie* docieramy do wypowiedzi Brzozowskiego o katolicyzmie; są one pełne myślowych wahań. W rozdziale „Mity” Brzozowski pisze: „Z punktu widzenia dostatecznie roz-

ległego cały dzisiejszy moment kulturalny może się rozpatrywać jako *rozkład katolicyzmu*". Pod koniec tego samego tomu pisze: „Czasami wydaje mi się, że powinienem napisać *przeistoczenie*". Widzi w katolicyzmie dzieło społeczne, najwyższe jakie świat stworzył. Gdy w *Legendzie* omawia Norwida, którego coraz to Sienkiewiczowi przeciwstawia, mówi o nim jako o „jednym z najbardziej i najgłębiej katolickich umysłów stulecia, najniezaprzeczalniej katolickim pośród wszystkich naszych poetów". Jednocześnie nie przestaje atakować polskiego katolicyzmu oficjalnego i widzi w nim „czynnik izolacji kulturalnej a wcale nie łączności z procesami, które się rozwijają, rozrastają i pogłębiają na Zachodzie". Nigdzie stosunek między katolicyzmem, głęboką dyscypliną moralną obejmującą całe życie, a katolicyzmem ludowym nie wydaje mu się tak demoralizujący jak w Polsce.

Gdy pisze o Baudelaire, o jego heroicznej wprost prawości wewnętrznej, łączy ją z jego katolicyzmem, bo:

„...katolicyzm opiera się na przekonaniu, że życie każdego pojedynczego człowieka jest częstką nieustannej walki, jaką prowadzi odkupiona ludzkość przeciw szatanowi. Nic tu nie jest obojętne”.

„Katolicyzm łączy pojęcie najgłębiej pomyślanego uniwersalizmu z poczuciem nieskończonej wagi rzeczywistości każdej indywidualności, każdej pojedynczej duszy”.

Wraca znów do tego w *Duszy samotnej*:

„Katolicyzm jako uczucie polega na nieustannym obcowaniu z całością... nastroj męski, hartowny, a nie zimny, dźwigający a braterski — jedno z najdumniejszych dzieł człowieka, z najpełniejszych twórców jego historii”.

W rozdziale o Wyspiańskim rozwija jeszcze myśli o katolicyzmie, atakując jednocześnie gwałtownie polskich katolików „narodowych”. A pod koniec książki znajdujemy to zdanie:

„Teraz, gdy odnajduję w sobie nieuchronny pociąg do rozpatrywania wszystkich spraw życia w taki uniwersalny i indywidualistyczny zarazem sposób, zadaje sobie mimowoli pytanie, czy to nie bezpośrednio żyjący pod powłoką świadomości ślad psychiczny katolicyzmu... Jeżeli nie istnieje w nas jako wiara, istnieje jako *kształt potrzeby*”.

A przecie pisząc to Brzozowski katolikiem nie jest i przy każdej sposobności to podkreśla. Stawar zauważa, że do końca swego życia wychowywał córkę w zasadach ateistycznych.

Bo właśnie katolicyzm *nie* istnieje w Brzozowskim jako wiara. Podziwia katolicyzm jako zjawisko, twór historyczny, ale weni nie wierzy.

Pamiętnik, ostatnie świadectwo myśli Brzozowskiego, daje nam jakby w błyskawicznym skrócie już nie miesięcy ale dni ostatni i wciąż jeszcze pełen wahań stosunek Brzozowskiego do wiary i do katolicyzmu.

25 grudnia 1910 roku, więc cztery miesiące przed śmiercią, notuje Brzozowski:

„Bóg wszechobecny, każdy fakt życia najbardziej przelotny określa życie, jest nim raz na zawsze, więc jest utrwalony w tym co w zestawieniu z jednostką, z chwilą jest trwaniem, pewnym sensem trwania i nie tylko czasem, ale źródłem samego czasu i samą potęgą życia ludzkiego, więc żyjąc musimy mieć tę prawdę przed oczyma”. „Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że gdyby można było — gdyby sam katolicyzm nie sprzeciwiał się takiemu zakreszeniu granic — traktować katolicyzm jako wyłącznie ludzkie dzieło, trzeba byłoby przyznać, że zawiera on sumę najgłębszych, najszerszych i najbogatszych prawd, że jest niezwalczony”.

„Nie może być porównania między nim jako filozofią, a jakąkolwiek bądź inną”.

„Ale katolicyzm występuje nie jako filozofia, nie jako nauka nawet o nadprzyrodzonym, lecz jako *nadprzyrodzony, nadludzki fakt*”.

I zaraz dalej:

„Plemię papuzie! Do obrzydliwości powtarzane frazesy o nadczłowieku — *tu stoi przed wami rzecz żywa i mówi w każdej chwili: jesteście czymś więcej niż tym co wy uważacie za człowieka, a nawet za nadczłowieka.*

Nie każe nam poprzestawać na teorii, ale *tworzy nadludzkie fakty*, bo wierzący Newman, Pascal, Bernard, setki tysięcy innych żyją i żyli w dziedzinie niemożliwości dla nich ziszczonych”.

Więc co? Brzozowski jest już katolikiem? *Ależ nie!* Notatki swoje z 12 stycznia rozpoczyna zdaniem: „Rozpacz jest łatwiejsza od spokoju...”. I po znowu entuzjastycznej ocenie katolicyzmu dodaje:

„A przecież, a przecież nie uda mi się ukryć, że poza tym wszystkim jest rozpacz. Nie jestem katolikiem, nic nie wiem, mam pewną sumę antypatii i sympatii, ale wiem że wszystkie one pozostawiają mnie w świecie ludzkim. Nic poza tym. Nic *prócz pewności*, że tak lub inaczej to nie wystarczy”.

Głód absolutu, głód Boga, który u Brzozowskiego stałą żądzą się o tęsknotę za Kościołem, nie opuszcza stronic *Pamiętnika*. Już w pierwszych stronach notuje:

„Nie zrażać się, nie zrażać się, że nie ma żadnej perspektywy, sensu, pożytku przede mną, że działanie wydaje się tylko dziwactwem, manią. Nie zrażać się i starać się wyjść z tego stanu. — Módl się, módl się przez wzniesienie umysłu codziennie, choćby na chwilę, do dziedziny gdzie stają się widocznymi twoje zagadnienia”.

W liście do Ostapa Ortwiną z 26 stycznia broni się przed zarzutem, że „skleszał”... „Zobaczycie, że nie skleszałem (słusznie pisze Miłosz, że antyklerykalizm był elementarnym obowiązkiem lewicowca), ale niestety „zabobon o Bogu” jest u mnie nieuleczalny”.

Opierając się na pismach Brzozowskiego, nie tylko nie był on katolikiem, ale nawet wiara jego w Boga była więcej głodem wiary, tęsknotą za wiarą. („Najważniejsze jest wiedzieć, że jest się głodnym” — pisze Simone Weil). U Brzozowskiego jest to również reakcja przeciw pływacznie polskiej bezreligijności:

„Bezreligijność myśli polskiej jest zdolna doprowadzić do rozpacz. Tu wypowiada się jakby instynktownie wyczuły brak wszelkiego związku z długotrwałymi, powszechnie dojrzewającymi sprawami życia gatunkowego. Nie chcemy mierzyć samych siebie wielką miarą”.

Tylko dwie strony *Pamiętnika*, z 2 lutego i z 5 kwietnia, więc w miesiącu jego śmierci, w których wyznaje swoją miłość dla Newmana, świadczą o tym, że Brzozowski dotyka łaski wiary. Na ostatnich kartkach notatek pisze:

„*I know, I know* Newmana nie jest dowolnym zwrotem literackim — zresztą u Newmana nie ma tego rodzaju dowolności, jego pisarstwo jest doskonałym, ścisłym wyrazem myśli. *I know* jest sformułowaniem niezrównanym faktu trudnego do uchwycenia lecz niezaprzeczalnego, stanowiącego najgłębszą podstawę naszej istoty. Na dnie naszej duszy jest światło. Pozostaje ona w łączności ze słońcem niegasnącym i *wie* i o tym *wie*, że *wie* prawdę... Nie zapomnieć, nie utracić z oczu tego *I know, I know*.”

Każda wiara w zbawienie człowieka musi być uniwersalna. Katolicyzm jest nieuchronny.

Nieuchronnym, w samej idei człowieka zakorzenionym faktem jest kościół. Człowiek jest niezrozumiałą zagadką bez kościoła. Życie ludzkie jest szyderstwem i igraszką, jeżeli kościoła nie ma”.



Do tych paru wybranych stron wypowiedzi Brzozowskiego o religii i kościele chciałbym dodać osobiste wspomnienie.

Brzozowski poświęcił *Idee* Walentynie z Kolbergów i Edmundowi Szalitom. W roku 1920, późną jesienią, dowiedziałem się, że pp. Szalitowie mieszkają w Krakowie na Basztowej. Że byłem w poszukiwaniu wszelkich śladów po Brzozowskim, poszedłem do nich. Przyjęli mnie z pewnym zdziwieniem, może na początku nieufnie. I z tego co zachowałem w pamięci, niewiele się od nich o Brzozowskim-człowieku dowiedziałem. Był wieczór, zatrzymali

mnie, zapraszając na herbatę. Mam wspomnienie skromnych powojennych warunków. Przy długim stole oprócz rodziny Szalitów siedziała starsza kobieta o bardzo czarnych oczach i czarnych, z lekka siwiejących włosach, milczała przez cały czas toczącej się naszej o Brzozowskim rozmowy, ale widziałem, że słucha bacznie. Nagle się odezwała, miała łzy w oczach: „Gdyby były wtedy pieniądze, Staś by żył dotychczas” (zachowałem w pamięci, że była *obecna* przy śmierci Brzozowskiego i że była jego ciotką). I wtedy opowiedziała o ostatnich chwilach jego życia, o których nigdy już ani przedtem ani potem nie słyszałem.

Brzozowski już konał. Jest zwyczaj we Włoszech, że do konających dopuszcza się dzieci, by się przy nich modliły. Brzozowski nagle poprosił o księdza. Wywołało to zamieszanie, żadnego księdza Brzozowscy nie znali. Wezwano księdza z sąsiedniego kościoła. Przyszedł Włoch starszek, nigdy nie widział Brzozowskiego i nie wiedział kim jest Brzozowski.

Dzieci wyprowadzono do sąsiedniego pokoju, chory wypowiadał się i przyjął Sakramenty.

Gdy stary ksiądz wychodził — płakał i tylko powiedział dzieciom, które w sąsiednim pokoju klęczały: „Wróćcie do pokoju umierającego, módlcie się, tam umiera święty”.

Z tej wizyty u Szalitów pamiętam tylko długi stół; wieczerzy, nawet twarzy gospodarzy, którzy mnie przyjęli tak gościnnie, nie zachowałem w pamięci, ale widzę twarz zażawioną, ciemne oczy tej starej kobiety, jej głos, słyszę jeszcze i gorycz, gdy mówiła, że „Staś żyłby jeszcze”, i ten opis lakoniczny śmierci Brzozowskiego, którego wymyślić nie mogła.

Może ktoś w Polsce, może córka Stanisława Brzozowskiego mogłaby mi powiedzieć, kim była ta pani i czy była, jak wówczas rozumiałem, przy śmierci Brzozowskiego.

(*Kultura* nr 1/183-2/184, 1963)

O HAUPCIE

„Zanim panika poniosła mnie jak pijaka,
by zataczać się pomiędzy ścianami świata”.

Zygmunt Haupt, *Pierścień z papieru*.

Kolejność ważności. Nic bardziej pewnego, określonego gdy chodzi o innych, którym zarzucamy tak łatwo brak konsekwencji, brak wierności, tej a nie innej „murowanej” kolejności. Ale wystarczy przerzucić takie żądanie konsekwencji na siebie i tu ileż razy konstatujemy nie tylko nasze zdrady, ale chwiejność, zmienność, względność *naszej* kolejności rzeczy ważnych. Zmienia się ona nagle, przesuwą w miarę narastania intensywności tych czy innych warstw naszych przeżyć, naszych uczuć głębokich czy tylko zachcianek. Jak ustalić, jak osądzić, kiedy jesteśmy wierni sobie, a kiedy zdradzamy?

To wyznanie nasunęła mi niezwykła książka, *Pierścień z papieru*¹ Zygmunta Haupta. Uświadomiła mi z nową siłą, jak cudze, autentyczne spojrzenie na świat może naszą ustaloną hierarchię unieważnić, zmieść, jak nagle widzimy, że wśród „mysiej bieganiny” mijających błyskawicznie dni zapomnieliśmy o jedynej ważnej kolejności rzeczy i zjawisk.

Nie tyle o *Pierścieniu z papieru* chciałbym pisać, nie mając ani ambicji ani kwalifikacji na krytyka literatury, ale *obok* tej książki — z wdzięcznością — chciałbym spisać wątki myśli, wspomnień przez Haupta obudzonych.

1. Zygmunt Haupt, *Pierścień z papieru*, Biblioteka „Kultury”, t. 86, 1963, cena F. 13,50.

Zmęczony coraz to nowymi planami, pomysłami i wybrykami swych siedmiorga dzieci, mówił nam Ojciec rok przed śmiercią: „Dobrze, dobrze, ale *ja już miałem za dużo niespodzianek*”.

Z wiekiem przestajemy wierzyć, żeby nas jeszcze stać było na nowe niespodzianki. Zdaje się nam, że już wiemy (dla siebie) definitywnie, co dobre a co złe, reszta nas już nie obchodzi, nie mamy siły znów umierać i znów się rodzić.

„... *ja ustała
woskresat' i umirat' i żyt'...*” — pisze Achmatowa w jednym ze swoich ostatnich wierszy. A przecież prawdziwe przeżycie, które się liczy, to zawsze niespodzianka, zetknięcie z niebywałym, które po jakimś zmusza nas zaczynać od początku. Tymi chwilami żyjemy.

Cézanne, kiedy mówił, że malarz powinien widzieć naturę „jakby jej nikt nie widział przed nami”, był już stary i bliski śmierci. Każde wyjście jego na pejzaż, każda martwa, którą malował były dla niego nową niespodzianką, olśnieniem. Miesiąc przed śmiercią pisze do syna: „Tu na brzegu rzeki motywy się mnożą, ten sam temat widziany pod innym kątem jest tematem potężnie ciekawym (*du plus puissant intérêt*) i jakże różnorodnym. Zdaje mi się, że mógłbym całymi miesiącami pracować nad nim nie zmieniając miejsca, tyle, że się nachylając to bardziej na prawo, to bardziej na lewo”.

Gdy jesteśmy oddarci od tych warstw wrażliwości, ku którym się całe życie przedzieramy (tracąc je, wiemy teoretycznie tylko, że istnieją, bo zaciera się czucie ich, pamięć samego doznania) zdaje się nam, że jesteśmy zamurovani i smak życia w nas ginie. Gdy w pracy, w przeżyciach coraz to trafiamy na już znane, na te same wątki, powtórki — ta powtarzalność staje się nie do zniesienia. I nagle olśnienie. Dotykamy w sobie światów wcale nie nowych, bo istniały w nas zawsze, jedynie my zatraciliśmy do nich drogę. Ten świat jest znowu przed nami otwarty: ani pracą ani dobrą wolą czy wysiłkiem, choć są one konieczne bo oczyszczające, do nich nie dotarliśmy, dał je nam szok z zewnątrz. Jeżeli chodzi o przeżycie literackie, czy istnieje inny powód czytania, który by tu był wart wzmianki?



Bresdin, cudowny grafik i rysownik, syn garbarza z głębokiej prowincji, całe życie spędził w nędzy i w zapoznaniu, mieszkał

na stryszkach i tam z chińską precyzją i pieczołowitością hodował w donicach rzadkie rośliny — rysował gęstsze tropikalne, konary potężnych drzew obwieszane szkieletami, krzewy fantastyczne i tajemnicze. Baudelaire powiedział o nim: „Nie wiem, czy ten człowiek ma talent, ale ma na pewno geniusz”. Ale Baudelaire był jednym z paru ludzi XIX wieku, którzy nosili w sobie detektor geniuszu.

Artysta, który jak Bresdin dotarł w sobie do przeżyć osobliwych i szuka dla nich wyrazu, który draży myśl swoją czy wizję swoją, musi przeżyć jakąś „małą śmierć”, musi tworzyć swój język form i tym samym stwarzać wrażenie niezdarności. Braku talentu? Niemocy? Ile razy słyszymy zgorszone słowa: „Ależ to do niczego niepodobne”. Jeszcze za mojej młodości było ogólnie przyjęte, że Cézanne nie umiał rysować, nawet Jacques Emile Blanche, malarz nie najgorszy, przyjaciel Prousta, który jeden z pierwszych kupował obrazy Cézanne’a, pisząc o nim starał się tłumaczyć jego „zły” rysunek (widziałem rysowany portret żony Cézanne’a *obok* rysunków Rembrandta, nie wiem który artysta tak by wytrzymał takie sąsiedztwo).

A cóż może sam artysta wiedzieć o sobie? „Gdyby to było warto, to dałbym do pisma formującego się poemat *Fortepian Chopina*? Czy warto?” — pisze Norwid do Sokołowskiego w 1865 roku.

„Nie mogę drukować tej książki — miał orzec wielki wydawca Grasset po przeczytaniu *Du Côté de chez Swann* Prousta — pierwsze 40 stron to opis jak bohater nie może zasnąć, żaden czytelnik tego nie wytrzyma”.

Za nowy kąt patrzenia, za swój język, swoje pismo pisarz musi płacić ciężkie myto. Te opory w czytelniku to elementarz, sam wobec Haupta to odczułem. „Nie mam cierpliwości czytać takiego spisu rzeczy, spisu koni, spisu uprząży” — myślałem czytając w *Kulturze* jeden z rozdziałów *Pierścienia* (właśnie ten, który nosi tytuł książki). Biorąc do ręki książkę, która ukazała się po paru miesiącach, myślałem bez entuzjazmu — tyle książek do czytania!

I nagle, od pierwszych stron — niespodzianka. Urzekła mnie pełnia, wielowarstwowość tej wizji życia, język tak bogaty, słowotwórstwo zawsze szczęśliwe, metafory nieoczekiwane o rzadkiej poezji, i w sobie odkryłem nowy zmysł, inną perspektywę świata, inny czas „wieczny”, czas zatrzymany w pół kroku, o którym zapominamy, który gubimy „w zgiełku wielkiej i pustej ptasznicy, awiarium jakim jest moja niespokojna świadomość”.

Jest wojna i polska katastrofa i okrutne bezcelowe upokorzenia i *coup de grâce* i upadek Francji. Jest chłopak z urwaną głową i list miłosny zatknięty za ramę obrazu. Ale ta wojna wcale nie jest ważniejsza niż kamyki i marmury rozbitej posadzki rzymskiej, niż parszywieńki dansing, gdzie alkoholik i marksista kupuje brzydkim fordanserkom różę złą perfumą perfumowane — albo bijąca o brzeg fala obcego morza.

Po dniu czytania nie mogłem się już od *Pierścienia* oderwać — obudzony w nocy, zdało mi się namacalnie, że moje przeżycia usegregowane, ustawione gdzie trzeba na półkach świadomości, płytkie czy głębokie, wzniosłe czy przyziemne — wszystkie były zarażone trądem pośpiechu, szybkim pragnieniem eksterioryzacji, zdeformowane złudną aktualnością, która niezależnie czy ją chłonimy czy odpychamy, wszystkimi porami do nas przenika, że wszystkie nasze doznania, widzenia, życie dopiero zaczynają w całym innej kolejności, ważności, *w innym czasie*.

Świat Haupta nienaruszony przez pośpiech, ten świat, w który wtopione są na zawsze jego wspomnienia, jego myśli — uwalnia, oczyszcza czytelnika, daje mu nową młodość, świeżość nietkniętą przeżyć i tę, na którą przecie czekamy zawsze, *niespodziankę*. Czy można dać więcej czytelnikowi?



Dlaczego ta książka przypominała mi człowieka, którego do dziś po 24 latach pamiętam? Był nim biedny krawiec z Krakowa, Żyd, mówił zaledwie po polsku. Znalazł się we wrześniu 1939 roku w moim plutonie. Przeżyłem z tym plutonem zapasowego szwadronu 8-go pułku tygodnie cofania, prób dotarcia, połączenia z pułkiem, który się cofał w walce. Nasz spieszony oddział maszerował po drogach zapchanych tłumem uciekających i wojskiem, żadnego bohaterstwa, żadnej walki, chyba o nocleg, o kwaterę, napięcie do ostatnich granic żeby się oddział nie rozleciał, walka z paniką, chaosem naokoło nas narastającym. Próba stworzenia prawdziwej solidarności w szwadronie, którego sam zestaw dzięki nagłej, dorywczej mobilizacji był jak najbardziej wypadkowy. Ludzi w takich „dzikich” warunkach poznajemy błyskawicznie (widzę jeszcze wachmistrza Wróbla z Żywca, który rządził naszym wyżywieniem, prowadził kuchnię, spał na skrzyni z sucharami, by mu racji nie rozdrapano i do ostatniej chwili zachował zadziwiający spokój i sprawiedliwość dla każdego z żołnierzy w szwadronie, twardą i czujną troskę).

Otóż Salomon — nazwijmy tak krawca z Krakowa w moim

plutonie — zostawił w Krakowie żonę i dzieci. Miał twarz wschodnią, nie żydowską nawet, ale asyryjską, surową, jak wykutą na granitowym fryzie. Na tej twarzy, w chwilach dla nas najtrudniejszych, była zawsze wypisana ta sama absolutna obojętność na wszystko, co go otaczało; ta obojętność, chciałbym powiedzieć, górna i chmurna, była aż tajemnicza, tak bardzo nie przylegała ani do nas, ani do chwili przeżywanej. Ten ułan z przypadku dbał o jedno, chciał się dobrze odżywiać. Wystarczyło byśmy przechodzili przez jakąś wieś — ginął. I wynurzał się po jakimś czasie z gęsią, kaczką czy kurą pod pachą. Za każdym razem gdy go przyłapywałem, musiał zdobyć swoją odprawę. Z początku po dobru starałem mu się tłumaczyć, że żołnierz nie kradnie (mieliśmy przecie do tego jeszcze kuchnię polową z nieocenionym Wróblem), ale każda nowa wieś to było znowu i znowu to samo: wypad krawca i powrót z nową zdobyczą. Na wszelkie morały czy gwałtowne wymyślanie reagował nieobecnością psychiczną, kamiennym wyrazem twarzy. Zdawało mi się, że czytam na niej: „Niech sobie goje wojują — cóż robią innego od paru tysięcy lat, a nas Żydów wśród nich cóż to może obchodzić, musimy przecie żyć i przeżyć, mam żonę i drobne dziatki, muszę mieć siły, by je podczas tej wojny wykarmić, kto się o nie zatroszczy? Polacy?”.

Dni szły za dniami i już koło Żółtkwi mój ułan zwiął mi z plutonu — nie on jeden. Czy mogłem mu się dziwić: żył w innym świecie, na innej planecie, to co nami wstrząsało do trzewi było dla niego sprawą całkowicie poza światem jego rzeczywistości. Cóż wiem zresztą o Salomonie-krawcu? Czym za swoją osobność płacił, za tę wolność wobec nas, jakim gwałtownym przywiązaniem, jaką śmiertelną o swoich trwogą, której nam zdradzać nie myślał; i nie wiem co się z nim stało, gdy wrócił do Krakowa na okrucieństwo wieczne, barbarzyństwo wieczne i pewno na śmierć swoich i swoją.



Skąd to przypomnienie? Co może mieć wspólnego Haupt z Salomonem-krawcem? Haupt, oficer polski z kawaleryjskiej zmotoryzowanej brygady, poprzez Grenadierów we Francji wylądował w Szkocji w Dywizji Maczka, bił się w Polsce, we Francji, a dziś mieszka w Stanach. Ani środowisko, ani rasa, ani światopogląd ich nie łączą, a przy tym postawa Haupta, o wrażliwości tak wyostrzonej i bolesnej, jest na przeciwnym biegunie kamiennej i „wyobcowanej” postawy Salomona. Ale Haupt w swojej

warstwie najgłębszej, w materii przeżywania zdał mi się równie osobny i po swojemu władczy dzisiaj wśród nas, jak Salomon w naszym plutonie. Odczułem w nim ten sam *dystans*. Któż z nas umie się nań zdobyć? U Haupta ten dystans daje nawet pozornie najbłahszym przeżyciom taką perspektywę, jakby już były ustawione w swej ostatecznej, znieruchomiącej hierarchii ważności, w „zatrzymanym czasie na pół kroku”.

Stefcia, która siedząc na oknie zakrywa swoje kolana przykrótką spódniczką, Stefcia topielica o spuchłych wargach i rękach pocętkowanych trądem wodnym i umarła królowa scytyjska w złotym diademie, bezzębny Kamczadał porzucony odpływem fali wojennej w mieście rodzinnym autora czy jeleni pożądlivy wielkości dużego cielęcia na rykowisku, zapach zwiędłych liści w lesie czy chlupot wody ociekającej z nieszczęlnego kurka paryskiej mansardy „jak bulgot fontanny w ogrodach Persji, szklany i cienki”. Ile obrazów, ile niedopowiedzianych, szepniętych pomiędzy wierszami wyznań. Ten rozdział o deszczu, gdy wszystkie małe, wielkie a może ogromne dla samego Haupta wydarzenia tamtego dnia zatarły się i został tylko deszcz „to znaczy, że niby wszystko jest nieważne?” „zielony, srebrny, rozpryskujący się jak rtęć” deszcz, czy przyjazd wiosny „w pohańsieniu resorów i w takt koni dorożkarskich” i bukiet fiołków „głęboko fioletowych, wstydliwych, kręcących się swymi listkami w swym ciasnym bukietu” na piersiach wiosny. Ile paru kreskami zaznaczonych, a już istniejących, na zawsze nie do zapomnienia istot: ten Ukrainiec ze Lwowa o zapadłych z głodu policzkach, w Instytucie Słowiańskim na rue Michelet marzący o wyrznięciu miliona Polaków, Żyd w futrze atłasem podszytym, czekający cierpliwie, godzinami, na audiencję u dziedzica we dworze podczas szalejącego białego mazura, dziedzica, który już dawno siedzi w jego kieszeni, aż po tę Bretonkę na francuskiej kwaterze wojennej, płaczącą „dziewczynkę z nóżkami na księżycach”.

Jeden z ostatnich rozdziałów, „Kawaler z morskiej pianki”, zdaje mi się więcej jeszcze niż inne pamiętny — rachunek z życia, zapytania ostateczne „ambasadora innych urojeń”, któremu wiatr nad brzegiem oceanu łączy na twarzy suszy.

„Można by łatwo wpaść w megalomanię, kiedy sobie pomyśleć, że (fala) przeszła pół oceanu pod słońcem i gwiazdami, niosła na sobie Lewiatany i morza sargassowe, ściągała pioruny i piętrzyła się w morskie wały, ażeby w końcu w największej pokorze, cnocie tej pokory położyć się i umrzeć, u czyich? u moich stóp... Tu żeśmy zaszli? Tu nam w postaci kruchej

piany morskiej ukazana została nicość i kruchość wszystkiego?... tylko obca woda, niezrozumiała i obojętna, tłucze się bezpamiętnie i pożera ziemię — ostatnie co mi zostało pod nogami”.



Poprzez wszystkie rozdziały tej książki, tak różne i zawsze stanowiące całość w sobie — ta sama powściągliwość autora — jakże pilnuje on siebie samego, by nie zakrzywić; najsilniej działające sceny urywa, maskuje ich zakończenie; w tym samym rozdziale, w tym samym opowiadaniu, gdy tylko napięcie zaczyna gwałtownie narastać, gdy dociera do losu tej czy innej istoty, autor ją gubi, przesuwa uwagę czytelnika na innych ludzi, czy na inne miejsce, nadaje wypadkom inny, już jakby absolutny sens.

I jakże tu nie wspomnieć „Garstki piasku”:

„... ażeby mój smutek nie był dla nikogo z tych, których pocieszają i płaczą, tylko aby był smutkiem człowieka dla człowieka”.

Stefcia i ciężkie, oślisłe od szlamu niewody i królowa scytyjska i tętent koni po szerokiej łące sprzed setek lat, jednym tchem dotknięte i opowiedziane. 16-letni Janusz z Szymbarku w czapce licealnej, którego ścigają „zakochane, zaczadzone, zawilgłe od miłości spojrzenia rodziców”, co się stało z tym dzieckiem? Czy odpowiada nam autor opisem kamiennego grobowca w Gorlicach, 17-letniego Niemca z wojny poprzedniej, tego „cudzego dziecka”? „*Meine liebe Mutter, sei stolz, ich trage die Fabne*”. I zawsze treść bolesna tych opowiadań przerasta wypadek jednostki, staje się losem nas wszystkich.



Ustalone, kamieniejące co pokolenie przepisy czy recepty, konieczne „ostatnie” i konieczne rewolucyjne — trzeba mieć wiele odwagi i wytrwania, żeby im nie dać sobie zamącić swej wizji dla siebie samej ciemnej czy nawet pokracznej. Haupt wie, że nigdy nie jesteśmy dość uważni i dość posłuszni temu, co uparcie nam każe wewnętrzna konieczność.

Rozanow notuje w swym dzienniku, że dobrze już jest, jeżeli pisarz ma jednego, paru najwyżej, *prawdziwych* czytelników, że gdy pisząc nagle pod takim czy innym naciskiem, czy wprost w chwili słabości decyduje się jedno słowo zmienić, uczytelnic,

„wtedy twój jedyny czytelnik odkłada książkę i więcej do niej nie wraca”.

Nie chodzi tu bynajmniej o kult ciemności ani o odcinanie się w wieży z kości słoniowej, jego słowo to jedynie okno artysty w świat. Nie dotrze on inaczej ani do siebie ani do czytelnika i nie osiągnie tej wolności dojrzałej, którą jest przepojona niezwykła książka Haupta „Pierścień z papieru”.

(*Kultura* nr 10/192, 1963)

C E D R

Umarł A. M. Remizow. Pisałem o nim w *Kulturze* w 1951 roku i wtedy również pomieściliśmy tłumaczenie Łobodowskiego dwóch jego opowiadań. Przerzucam kartki wtedy pisane i odnajduję strzęp wiersza Norwida, który mu tłumaczyłem.

Zachwycił go i nieraz potem wspominał

„Cedr nie ogrody, lecz pustynie rodzą...”

Podczas jednej z moich ostatnich wizyt siedział skulony, ślepy, z dusznościami — miał je prawie co noc i co dzień. Miałem wrażenie, że fizycznie to było już ledwo tchnienie człowieka, powiedział mi wtedy z nagłą siłą: „potrzebne mi: samotność, milczenie, *pustynia*”.

Jego tłumaczka i najbardziej oddany mu od ponad dwudziestu lat przyjaciel, Natalia Reznikowa, spisywała jeszcze ostatnie teksty tego już prawie całkowicie ślepego starca. Mówiła mi, że gdy przychodziła na godziny pracy z nim, drżał na całym ciele, bo tak się palił, by jeszcze i jeszcze jej podyktować to co przez noce bezsenne, ranki samotne potrafił ze swych myśli wcielić w trudne, nieoczekiwane, wyszukane i świeże zarazem, a jakże z głębi Rosji i z głębi jego duszy wyrastające słowa.

Iluż artystów szuka na gwałt oryginalności i jakże ta oryginalność sztuczna drażni i wszystko fałszuje. Remizow wiele — w młodości przede wszystkim — cierpiał nad swoją innością, starał się być możliwie niezauważony, być jak wszyscy, ale *był* inny i całe życie szukał słów do tej inności przeżyć naprawdę przylegających. Nie zapomnę jak kiedyś, słuchając mego francuskiego artykułu o nim, przyłapał mnie na paru słowach o So-

wietach czy dyktaturze czy totalizmie, banalnie, po gazeciarsku spiętych. Aż rękami zamachał: „Niech Pan tych słów nie używa z *nich się już proch sypie*”. Samym stylem swojego życia każdym odezwaniem, nie tylko słowem pisanym, był Remizow protestem przeciwko wszelkiej drętwej mowie, nie jest więc dziwne, że właśnie ten arcyrosyjski mistrz słowa był na czele sporządzonej przez Żdanowa listy szkodliwych i zakazanych formalistów.

Odeszła z nim cała epoka, bo przecież ten ponad osiemdziesięcioletni starzec przyjaźnił się jeszcze z Rozanowem i Błokiem. Ostatnia książka Remizowa, *Krąg szczęścia*, wydana w 1957 roku przez garstkę przyjaciół z Paryża, to cztery legendy o królu Salomonie. Już wstęp do tych opowiadań wyraża dziwność tej literatury: „Moje cztery powieści to odwieczny głos ziemi rosyjskiej: rosyjska bajka, rosyjska powieść i dwie legendy o budowie świątyni. Powieść — nie mogę bez tego — zmodernizowałem, legendę o latającym wielbłądzie przeniósłem w wieki średnie, a apokryf o Titowrasie (centaurze) 'amplifikowałem', 'interpolowałem', ubrałem w szaty bizantyjskie. Te elementy ludowej powieści pozbierałem jak kamyczki, dobrałem i wprawiłem w *załatoj akład* obrazu króla Salomona. *Moje domysły i moje słowo — to cała moja sztuka*”.

Nie darmo nazywa siebie Remizow „werbalatorem”. Jego ogromna wiedza językowa, historyczna, znajomość zamierzchłych źródeł rosyjskiej i ruskiej tradycji, mitów, legend, bajek rosyjskich, powiązań i nurtów z Zachodem przez Polskę i Białoruś, z Indiami, Chinami nawet, Persją, przez Bizancjum czy znów przez Zachód, wszystko to służy osobliwemu słowotwórstwu, gdzie pisarz stapia razem ten świat przeszły ze słowami dnia dzisiejszego i takimi, które dopiero stwarza, przerzucając do mowy rosyjskiej potoczne słowa nawet z zaślizganej rozmowy francuskiej, byle były wyraziste i dźwięczne. Ten barok słowa, kombinację zupełnej wolności i wyszukanej wiedzy języka można porównać chyba do stylu Audibertiego i jego stopu erudycji i słowotwórstwa.

Punktem wyjścia literatury Remizowa zawsze jest słowo, rytm zdania wyzwolony z martwego balastu, prawie że *rysunek* zdania. Ilustracje samego Remizowa, robione do niektórych jego książek, jego albumy rysunkowe, których pono zrobił koło dwóch tysięcy, do samej kaligrafii jego pisma, przestylizowanego siedemnastowiecznego rysunku liter włącznie — stanowią nierozdzielalną całość z jego słowem. Książki Rozanowa przeważnie wydawane były jakby na prawach manuskryptu. Gutenberg żelaznym językiem oblizał całą literaturę i zginęła w niej intymność rękopisu”

— pisał Rozanow i cieszyłby się dzisiaj, bo tę intymność w literaturze odrodził jego przyjaciel Remizow, i to właśnie wtedy kiedy literatura w Rosji musiała być obowiązkowo pisana „wsjem, wsjem, wsjem”.

*„Wielcy poeci wtedy przychodzą
kiedy ich nie ma...”*

Patrząc na tę głowę mędrca z wielkim nachylonym czołem, krasnoludka, dziecka czy karła, zawsze odkrywałem na nowo, że przecie Rosja sąsiaduje z Chinami. Dziwne jego wycinanki czy malarstwo abstrakcyjne, którym jak drogocenną tkaniną chińską wytapetował swoje ubogie ściany w głodowym okresie okupacji, te dziwne w kształtach kostki, złożone szyszki, rybie ości czy korzenie, które, zawieszone na sznurku, przecinały jego pokój, etażery zrobione ze starych pudeł, wypełnione książkami i rękopisami, o których miejscu ślepy już Remizow zawsze wiedział najdokładniej, opowiadania, fantastyka, którą ten syn Gogola i Dostojewskiego przekomponowywał wiążąc ze sobą równie dobrze legendy normandzkie, szkockie, perskie czy rosyjskie — wszystko to stwarzało w Paryżu, na cichej ulicy Boileau, w najmniej ciekawym szesnastym kwartale, wyspę czarów. Gdyby tylko czarów, ale i wyspę dobroci. Remizow nigdy by nie stworzył swego dzieła, gdyby nie jego przyjaciele rosyjscy. Ci różni ludzie, przeważnie starzy, przeważnie kobiety, wszyscy jeśli nie na granicy nędzy, to w każdym razie biedni, znajdowali jeszcze dość siły i serca, by robić składki, by pisarza nie tylko utrzymać w warunkach by mógł pracować, ale by jeszcze za te składki móc wydawać jego książki w paru setkach egzemplarzy. Daleko jesteśmy od Françoise Sagan i od niezliczonych laureatów niezliczonych nagród, o których trąbią wszystkie gazety.

Uderzało mnie zawsze jak ten chory starzec, który jak nikt wyrazić umiał dotkliwość bólu, opuszczenia, samotności, zachował do końca radość, jak kochał życie zmysłowo i konkretnie. Jeszcze w ostatniej książce bucha jego humor.

I znów ten humor, ta bajka, ten „związek małpołudów”, który stworzył i któremu przesował, nadając każdemu ze swych przyjaciół najdziwniejsze małe przezwania — to wszystko nigdy nie było zupełnie na żarty, ten dowcip był traktowany najpoważniej, półmagicznie. Jednocześnie jakże był Remizow związany z prawosławiem, z jego modlitwą, całą liturgią, obyczajem, jakże znał tę prawosławną tradycję. I kiedy nad jego zwłokami, nad podwiązaną ciemnomalinową chustą twarzą, twarzą białą jak

kreda, zarzuconą w tył, jakby nieosłoniętą wielkim myślącym czołem, kiedy nad tym trupem stał duchowny, otoczony garstką ostatnich przyjaciół Remizowa, i cichym, swojskim przyśpiewem mówił modlitwy za umarłych, uderzyło mnie to o czym zawsze pisał Rozanow: do jakiego stopnia blisko, ciepło i nawet radośnie religia prawosławna otacza *śmierć*, początek innego życia, życia nareszcie w pokoju, światłości i prawdzie.

W ostatniej książce Remizowa podana jest bibliografia, spis, trudno uwierzyć — bo 81 tytułów jego książek. Od 1907 do 1921 roku wydał ich Remizow w Rosji 37. Od bajek tybetańskich, od przez niego opowiedzianych apokryfów do nowel, powieści i nawet sztuk teatralnych. Od 1921 do 1957 wędrował jako emigrant po świecie. Berlin na początku, potem Paryż. Za granicą wydał 44 tomy. Remizow miał wyznawców nie tylko wśród Rosjan. Interesowali się nim poeci, surrealiści, przyjacielmi jego od lat byli redaktorzy *Nouvelle Revue Française* Paulhan i Marcel Arlan. Wiele książek Remizowa tłumaczono na francuski, niemiecki, ani jednej na polski. *Podstrzyżonymi oczami*, wspomnienia dzieciństwa (1951 rok) w najbliższych miesiącach wychodzą u Gallimarda po francusku w zadziwiającym tłumaczeniu Reznikowej (szereg rozdziałów tej książki ukazało się już w *Nouvelle Revue Française*).

W tym bogactwie twórczym Remizowa chciałbym jeszcze wybić jego opowiadania z ginącego Petersburga. Jest wiersz Mandelsztama z 1918 roku. Z tamtych dalekich czasów zapamiętałem parę strof z „*Na strasznej wysatle błędajuszczyj agon*”, którego każda strofa kończy się: „*Twój brat Pietropol umirajet*”.

Ten wiersz poety pochodzącego z tej samej co Remizow epoki, z tej samej generacji (o dwukrotnym zesłaniu i śmierci Mandelsztama na wygnaniu chodzą głuche wieści) mógłby służyć jako motto do najpiękniejszych opowiadań Remizowa ze *Zwiczrzonej Rusi*, podobna tonacja, do ostatnich granic bolesna i jednocześnie „wstrzymana”.. Opowiadania o konającym w głodzie i nędzy ukochanym mieście, o zamęcie, beznadziejności, zagubieniu małego człowieka i jego oczami widzianej rewolucji.

Podobne w tonacji są opowiadania pisane wiele lat później, o nędzarzach żebrzących w metrze, o dzieciach kalekach, o myśzach i szczurach, o żrącej samotności w błyszczącym Paryżu. I chyba nie świetny laureat Nobla, też emigrant, Bunin, potostojowski klasyk, już dziś przez Sowiety wydawany i przyjęty, ale Remizow, który w sobie nosił Rosję od mitów najdalszych do okrutnych lat w których żył i tworzył — zostanie jako pomnik

z kruszcu najrzadszego tej wielkiej epoki literatury rosyjskiej przez rewolucję zgładzonej czy wygnanej.

I kiedy ostatni atak serca parę dni przed śmiercią dotknął Remizowa w mieszkaniu na rue Boileau, językiem zrozumiałym tylko dla najbliższych opowiadał jeszcze sny wyśnione, tworzył słowa — werbalator.

I dziś o jego śmierci ubogiej i pięknej ten kto go znał myśli ze wzruszeniem, ale bez goryczy. Jego losowi dopełnionemu może każdy z nas pozazdrościć.

(*Kultura* nr 1/123-2/124, 1958)

GŁOSY Z DALEKA

Chciałem ten artykuł zatytułować „Głosy wśród nocy”, plagiat umyślny, ale zdaje się, że tytuł byłby nie tylko plagiatem, byłby nieścisły, bo czy na pewno „wśród nocy”?

Rosja dzisiejsza to nie ta, którą opuściłem 23 lata temu, tamta Rosja była stalinowska ale także wojenna, więc z szalonymi nadziejami na powojenne przemiany.

W jej niezmiernym wnętrzu ileż było od tego czasu przemian i wydarzeń?

Spotkałem ostatnio sporo młodych Polaków, którzy byli w Związku Sowieckim, krócej lub dłużej. Uderzyła mnie zupełna inność ich stosunku do Rosji w porównaniu z ludźmi mego pokolenia. W mojej generacji wspomnienia obozowe i wojenne, potem lata sprzed 56 roku w Polsce, urazy nowe, krzywdy nowe, wrosnięte w urazy i krzywdy stare, wszystkie dotyczące Rosji problemy i zapytania, stokrotnie w mojej generacji dyskutowane, i po latach skostniałe w sztywne formułki, dotknęły zaledwie tę młodzież. To wszystko dla nich doświadczenia starych, nie ich własne, więc prawie się nie liczą.

Samo doznanie młodych oczu, instynktu, bezpośrednie, niezaciemnione przez z góry przyjęte wnioski — *to* dla nich znaczy. Znają oni Rosjan zadziwiająco mało, o ile mniej niż moja generacja czy generacja moich ojców. Mówią mi o Rosji jak o Indianach z interioru brazylijskiego, których tylko co w dzikiej puszczy odkryli. Przy tym propaganda sowiecka w Polsce zdaje się nauczyła tę młodzież w nic z tego co im mówiono stamtąd nie wierzyć. (Przypomina mi się dziewczynka — autentyczne sprzed 10 laty — która w Warszawie wracając ze szkoły z koleżanką pękała ze śmiechu. — Czego się śmiesz? — pyta matka. —

Nauczycielka nam mówiła, że szkło się robi z piasku. No, ale cóż mamusiu, ona *musi* tak mówić!).

Ich oceny i sądy oscylują jak igła magnetyczna.

„W pierwszej chwili miałem wrażenie, że Rosjanie to nie ludzie — mówi mi jeden z nich — te frazesy propagandowe, te powtarzania mechaniczne zawsze tych samych sztanc!”.

I chwilę potem:

„Już w pierwszych dniach spotkałem wśród nich inteligencje zupełnie wybitne! Ależ oni wszystko rozumieją, interesują się światem, Polską, czują, że ten ich obowiązujący zespół dogmatów jakoś nie gra. Ale tych właśnie do nas nie puszczają”.

„Po co chcecie jechać do Polski? — mówią im. — Tam *sawsiem nie intieriesno*”.

Z drobnych scen ulicznych, rozmów, spojrzeń, uśmiechów kradzionych spoza parawanu opiekunów Inturista wyłania się im Rosja nowa i wieczna, która znowu budzi pragnienie zbliżenia i dialogu. Uderzała ich w Rosji nędza nieopisana (przedmieścia Moskwy):

„Warszawa — ależ to Paryż w porównaniu!”.

Zachwycała wrażliwość Rosjan na sztukę, ich entuzjazm, nienasycony głód informacji prawdziwych, widoczny sceptycyzm do obowiązującej retoryki ideologicznej, która jakby straciła wszelką magię:

„Ale cóż to wciąż jeszcze za potęża aparatu, żeby nas przejeżdżnych od tych *żywych* ludzi oddzielić”.

Słuchając tych opowiadań wracałem do „mojej” Rosji, pełnej sprzeczności, z ubitego i wydeptanego asfaltu ogólników zbaczalem na ścieżki leśne pełne niespodzianek, które mogą zaprowadzić wszędzie, aż do przyjaźni i braterstwa.

Ten sam ton, tę samą świeżość reakcji, *nadzieję*, odczułem czytając *Lato w Moskwie 1964* Mihajło Mihajłowa. Cała prasa światowa pisała o tym 31-letnim lektorze uniwersytetu w Zagrzebiu i jego reportażach z Rosji. Ukazały się one w miesięczniku belgradzkim *Dieło*. Dwie pierwsze części puszczono w styczniu i lutym 1965 roku bez cenzury, trzeciej już nie wydrukowano, trafiła ona za granicę „poprzez jedną z republik socjalistycznych”. Już 6 lutego *Dieło* zostało potępione po gwałtownej *démarche* ambasadora sowieckiego Puzanowa. 11-go na zamkniętym zebraniu delegacji prokuratorów Tito zażądał postawienia Mihajłowa w stan oskarżenia. Wystąpienie Tity podała prasa dopiero po trzech tygodniach. W marcu Mihajłow został aresztowany, w kwietniu odbył się sąd nad nim w sali przepełnionej studentami i korespondentami zagranicznymi. Według sprawo-

zdań zagranicznych korespondentów przebieg sądu był wysoce kulturalny, bez hipokryzji, fint czy brutalności. Godne zachowanie samego prokuratora, świetna mowa obrońcy. Oskarżony w swych odpowiedziach na pytanie prokuratora, czy nie uważa, że obraził obce państwo odpowiedział, że nie obraził ani nie skrzywdził nikogo, bo pisał prawdę, prawdę, i tylko prawdę nadal pisać zamierza. Zasądzony na 10 miesięcy więzienia, został wypuszczony na wolność po zgłoszeniu apelacji. Gdy porównamy styl tego sądu z sądem nad Wańkowiczem, półtajnym i poszlakowym, w salce która nie mogła zmieścić więcej niż 14 osób, gdy pół Warszawy chciało być obecne przy rozprawach, nie wygrywa Polska. Nie wygrywa również gdy myślimy, że artykuł taki jak Mihajłowa nie mógłby się absolutnie nigdzie w Polsce ukazać.

W reportażu Mihajłowa mamy żywo obrysowane sylwetki pisarzy, poetów, historyków. Od starych, jak Szklowski, jak Leonow czy Erenburg (ten ostatni trafnie wyciniowany: kultura, urok osobisty i błyskawiczna ucieczka w *speech*, „w wymarzoną szczęśliwą przyszłość”, gdy mu Mihajłow stawia konkretne zapytania co do wyzysku kobiet w Sowietach), aż po młodych: Bondarewa, Tiendriakowa, Bellę Achmadulinę, Winokurowa, Okudźawę i innych.

Rozmowy w przygodnych spotkaniach ze studentami, nie tylko o literaturze, sztuce, ale również o obozach, o trybie spóźnionych rehabilitacji etc.

Ton nieprzymuszony, bez cienia agresywności, podszyty najwyższą sympatią do Rosji, ale nie liczący się z niczym poza wolą wierności w przekazaniu tego co słyszał i odczuł. Uderzył Mihajłowa niezliczone rehabilitacje literackie pisarzy, o których tak niedawno jeszcze nie wolno było wspomnieć. O pismach Pilniaka, Babla w druku, wspomnieniach Czukowskiego o Mandelsztamie, a nawet poezjach Gumilowa, rozstrzelanego w 1921 roku męża Achmatowej, których wybór jest w przygotowaniu. Píše on również o tomiku Cwietajewej, autorki niezapomnianego, najsilniejszego wiersza o białej emigracji, który naturalnie do zbioru nie trafił. Cwietajewa wróciwszy do Rosji przed samą wojną powiesiła się w 1940 roku na podarowanym przez jej przyjaciela Pasternaka sznurze¹.

1. Gdy Cwietajewą z wielu innymi pisarzami ewakuowano z zagrożonej Moskwy, nie tam gdzie wszystkich, ale do jakiejś zakazanej wsi czy miasteczka Jełabug, gdzie nie mogła znaleźć żadnej pracy, nawet zamiataczki, Pasternak pomagał jej przy pakowaniu. Zabrakło sznura; Pasternak od siebie sznur przyniósł i powiedział żartem: „Dobry sznur. Będziesz się na nim nawet mogła powiesić” (ta wiadomość pochodzi nie z artykułów Mihajłowa).

Reportaż Mihajłowa jest niepozbawiony szczegółów humorystycznych, gdy opowiada na przykład jak są tępione niedrukowane teksty najpopularniejszego piosenkarza i poety Okudźawy, jego aluzje o głupcach czy donosicielach — bo jest to zawsze przyjmowane jako aluzja do rządu i władzy. Przypomniało mi się, jak w 1942 roku, gdy redagowaliśmy w Rosji *Orła Białego*, cenzura skreśliła nam Gałczyńskiego:

„*Od idioty do idioty
idzie papier panie złoty*”

Przeforsowaliśmy przecie ten groźny wierszyk, dopisując, że tu chodzi jedynie o *polską* biurokrację.

Mihajłow zastanawia się dlaczego Bielyj nie jest wydawany, dlaczego Zamiatin, autor znanego ze swojej śmiałości listu sprzed lat do Stalina, jest na indeksie, tak samo Remizow. Pomimo że Remizow, którego nazywa rosyjskim Kafką, jest tam znany i wysoko ceniony. Ten pisarz kilka lat temu zmarły w Paryżu, emigrant, chyba największy obok Pasternaka z plejady pisarzy rosyjskich swojej generacji, o języku słowotwórczym, przesiąkniętym archaizmami, nawiązującym do ruszczyzny sprzed Piotra Wielkiego, zakochany w historii Rosji, ma w Moskwie wyznawców. Akademik Guzyj, historyk literatury, pokazywał Mihajłowowi jak relikwię list Remizowa, inny historyk literatury, Michajłowski, zaręczał, że Remizow i Bielyj mają znaleźć należne sobie miejsce w historii literatury nowoczesnej, którą wyduje Akademia.

Autor reportażu marzył o poznaniu 74-letniego Jakuba Gołosowkera, tłumacza Pindara i Hölderlina i autora najwybitniejszej według Mihajłowa książki o Dostojewskim, z tych co się ostatnio ukazały: *Dostojewski i Kant*. Pomimo niebywałego uporu i ilości ludzi, których o to prosił, spotkanie do skutku nie doszło. Dowiedział się jedynie, że to „dziwny” człowiek, że „nie idzie na żadne kompromisy”, że był „bardzo krótko”, bo „tylko 5 lat” w obozach, że chory, że w szpitalu, ale adresu tajemniczego szpitala nikt mu ujawnić nie chciał.

Te parawany kłamstw, które dzielą nas od Rosjan, z którymi pragniemy dialogu, ta cała taktyka brutalna i naiwna zarazem, bo któż może uwierzyć w wykręty i na gorąco sklecone bajki — zna je każdy kto odwiedził Związek. 23 lata temu miałem identyczne doświadczenia, gdy tylko chciałem rozmawiać bez świadków z Achmatową, z Pieszkową i nawet Aleksiejem Tołstojem, który był wtedy przecież w najwyższych łaskach.

Mihajłova uderza niezwykle wzrost popularności Dostojewskiego, ogromna ilość o nim książek i studiów. Widzi w tym właśnie rozwój liberalizacji myśli rosyjskiej. O podobnym wzroście zainteresowań Dostojewskim zaręczał nam Aleksiej Tołstoj w 1942 roku, gdy mówił o młodej inteligencji sowieckiej (cała, rzucona na front, została prawie do nogi wybita). Wtedy również widzieliśmy w tym oznakę powolnej ale niechybnej ewolucji Rosji. Było to 23 lata temu. Jeżeli po 23 latach autorzy książek o Dostojewskim są jeszcze „ukrywani”, a książki te drukowane w śmiesznie szczupłych nakładach, jak długo trzeba będzie w tym tempie czekać na wolność?

W wypowiedziach artystów, które cytuje Mihajłow, i w jego własnych, dominuje optymizm. Ten optymizm nie zawsze jest przekonywujący. Dudincew na przykład jest także optymistą: ten autor głośnej książki *Nie samym chlebem człowiek żyje*, który, mieszkając w Moskwie, nie mógł dotychczas przeczytać *Doktora Żiwago*, wyznał, że jego książki są wydawane w minimalnych nakładach, musi więc dorabiać tłumaczeniami i z tego powodu nie może skończyć powieści na tle konfliktu biologów z Łysenką, konfliktu, który zagnał niejednego z nich do obozu śmierci. Zastanawiające są słowa Dudincewa:

„Dogmatycy, oni po swojemu są uczciwi, najgorsi to ci, co w nic nie wierzą, a trzymają się starej łodzi do ostatniej chwili, żeby ją rzucić, kiedy nowa łódź podejdzie dosyć blisko. Czego się boją najwięcej to płynących samodzielnie”.

Zaraza niesamodzielności, nie trzeba na to tortur, wystarczy „ojcowska” wizyta NKWD, zagrożenie odebrania pracy, wysłanie do obozu jednego czy dwóch poetów, jak Brodskij; ludziom i tak przywalonym ponad miarę ciężką troską codzienną odbiera to swobodę myśli, śmiałość, i stwarza w każdym, jakby poza jego świadomością, wewnętrzną cenzurę, gorszą od zewnętrznej, bo demoralizującą psychicznie.

Leonow, jeden z seniorów sowieckiej literatury, pisze dziś od nowa swoje książki; w swoim czasie kreślił je i zmieniał sam Stalin. Bohater karany za morderstwo żony w dawnej edycji, dziś jest więźniem politycznym, ofiarą Stalina i kultu jednostki. Ten sam Leonow przysięga, że nigdy nie czytał Remizowa, choć wiadomo, ile jemu właśnie zawdzięcza, ale Remizow jest jeszcze na czarnej liście, więc o nim mówić nie trzeba. Co znaczy śmiałość, gdy zależna jest od pozwolenia z góry?

Jakże inny jest tenor głosów studenckich, mimo że stale im grożą zesłaniem na „roczek czy dwa” do tzw. roboczych obozów.

Jedyne co utrudnia z nimi rozmowy, to podejrzliwość, czy aby kto z nich nie jest szpiclem, *stukaczem*, jak się to dziś nazywa.

Wszystko co pisze autor o obsesji panującej w Rosji na temat obozów, o niesłychanym powodzeniu Sołżenicyna, włącznie do licznych prac doktorskich o nim na uniwersytecie moskiewskim, o ogromnym folklorze obozowym, niezliczonych wierszach i pieśniach śpiewanych i deklamowanych, które powstały w obozach — wszystko to jest tym ciekawsze, że w przeciągu miesięcznego pobytu Mihajłow dowiedział się o tym w otwartych rozmowach, przeważnie z młodymi. I że właśnie wśród nich spotykał niesłychanie gwałtowne reakcje na każde, nawet drobne zafałszowanie prawdy. Nie darmo cytuje strofę z wiersza młodego poety Rożdiestwińskiego, dziś tak popularną wśród młodych:

*My już nie powiemy
ktoś
myśli
za nas! —
My wiemy
Czym to się kończy.*

Gromy które spadły na Mihajłowa wywołane zostały przede wszystkim tym, co napisał o obozach. Fakt że otworzył kilka drzwi otwartych, stwierdzając, że hitlerowskie obozy śmierci wcale nie były pierwsze w historii XX wieku, że już w 1921 roku pod Archangielskiem bolszewicy stworzyli taki obóz. O tym mogą nie wiedzieć, czy nie chcieć wiedzieć komuniści z dalekiego Wietnamu czy z Argentyny, lub zbożni *fellow-traveller*'zy z całego świata. Ale w samej Rosji wiedział o tym każdy, czy prawie każdy już 25 lat temu. A dziś, kiedy tysiące „zrehabilitowanych” wypuszczono z obozów, kiedy oni już nie chcą milczeć, któż by o tym nie wiedział?

„Rehabilitowali swoich — mówi jeden ze studentów — ale tysiące uczciwych bezpartyjnych, co z nimi się stało? O nich trzeba milczeć”.

Ale i wśród studentów bywały inne głosy. Gdy Mihajłow wspomniał w obecności pewnej studentki o fali morderstw stalinowskich, odpowiedziała: „Dobrze zrobili, gadów zabijali!”.

Zresztą o tych rehabilitacjach warto zacytować co Mihajłow pisze:

„Wielu znajomych opowiadało z ironią o procedurze stosowanej przy rehabilitacji tych, którzy zmarli w więzieniach lub łagrach. Rodzina dostaje druczek, na którym wpisane jest naz-

wisko więźnia i oficjalne stwierdzenie rehabilitacji. To wszystko. I nie ma sposobu dowiedzieć się, gdzie i jak rehabilitowany zmarł. Ponieważ niewiele jest rodzin, które by nie miały przynajmniej jednego człowieka do rehabilitacji, niezadowolenie z powodu połowicznej likwidacji stalinizmu zatacza coraz szersze kręgi”.

Gdy Mihajłow pisze, że ludobójstwo hitlerowskie również nie w Niemczech zostało w XX wieku wymyślone, bo już przed drugą wojną światową w Sowietach całe okręgi ludności znad granicy Iranu i Turcji były wywożone i zsyłane *na śmierć*, gdyż wiadano dobrze, że ta ludność klimatu syberyjskiego znieść nie może, kiedy pisze, że dzisiaj coraz mniej mówi się w Sowietach o obozach hitlerowskich, bo zbyt przypominają obozy sowieckie — nie dziwne, że ambasador Puzanow pisze w Belgradzie noty protestacyjne. Ale czy kto może wątpić, że chowanie głowy w piasek w Rosji nikogo nie łudzi i samym Sowietom nie służy? Jak w Polsce nikogo nie łudzi a tylko mierzi milczenie władz o Katyniu.

Oskarżony przez redaktora pisma *Nin* w artykule pełnym niegodnych, typu żdanowskiego, insynuacji o „mściwie białogwardyjską” ideologię Mihajłow rozesłał odpowiedź do 290 redakcji pism w Jugosławii. Nigdzie jednak jej tam nie wydrukowano. W tej odpowiedzi Mihajłow, przypominając swój artykuł „Dostojewski dzisiaj”, pisze: „Ośmieliłem się tam wypowiedzieć heretycką myśl, że tylko chrześcijaństwo jako religia wolności może być podstawą sprawiedliwego ustroju społeczeństw tu na ziemi... Że wiara w nieśmiertelność duszy człowieka nie wyklucza bynajmniej walk o panowanie wolności na ziemi i że przeciwnie, właśnie rozum pozbawiony wiary w nieśmiertelność tę walkę neguje. Mihajłow podkreśla, że pod słowem chrześcijaństwo nie ma na myśli tego czy innego Kościoła. Żeby swoją myśl zilustrować, cytuje słowa Einsteina, któremu trudno przyczepić łatą „reakcji”:

„Najpiękniejsze przeżycie osiągalne dla człowieka to przeżycie mistyczne. Jest ono motorem wszelkiej autentycznej sztuki i nauki. Ten, któremu te przeżycia są obce, kto nie jest w stanie zamierać z podziwu i ubóstwienia, jest martwy”.

I dodaje jeszcze, że nie straszy go zarzut antykomunizmu, do którego się nie poczuwa. „Ta sama ręka zabiła Garcję Lorcę i Maksima Gorkiego, Dymitra Tucowicza i Tuchaczewskiego, Lumumbę i Imre Nagy”.

Te głosy o Rosji, w szczególności Mihajłova, wiążą mi się z ostatnią książką Terc *Myśli niespodziewane*².

Terc był sensacją, kiedy w Bibliotece *Kultury*, a potem w wielojęzycznych tłumaczeniach ukazały się po raz pierwszy na Zachodzie jego opowiadania. Poprzez zmysł fantastyki, inwencję, drastyczny humor przezierająca w detalu materialnym, stylu dialogów, dzisiejsza rzeczywistość sowiecka, ani uróżwiona ani przyczerniona. Wydzźwięk *polityczny* tych opowiadań chwycił najłatwiej i może zasłaniał głębsze znaczenie tego pisarza. Ale *Myśli niespodziewane*, gdzie już nie ma śladu aluzji politycznych, są wydarzeniem innego wymiaru. W spisanych dla siebie urywkach notatek, pozornie błahych i jakby chaotycznych („gdy tylko zaczynam swe myśli zbierać i porządkować — pisze sam autor — urywają się i więcej nie przychodzą”), dotyka spraw najważniejszych, nie ubranych w cytaty i autorytety, na własne ryzyko podaje swoje reakcje niespodziewane, *naskórkowe*. Te teksty rzucone na papier rozsadzają nie tylko styl drętwy, ale zwyczaję myślowe, obowiązujące w Sowietach, i wszystkie ich dogmaty.

Mihajłow podkreśla to, czego *homo sovieticus* wystrzega się najbardziej: *myśli własnej*, bo jest ona sama przez się zdrożna dla — jak pisze — „najbardziej konserwatywnego na świecie społeczeństwa, gdzie najmniejsza zmiana, zaczynając od nowego krawatu, piosenki, szerokości nogawek spodni wywołuje ogromną reakcję” (te słowa Mihajłova są z 3-ej, skonfiskowanej przed drukiem części jego reportażu).

Terc stawia pod znakiem zapytania „maszynkę postępu” i tę jedność sowiecką zdobytą gwałtem i treść współczesnego uniwersalizmu z narośniętą wokół tych pojęć frazeologią, a myśli jego docierają do religii i nieustannie krążą w promieniu jej zagadnień³.

W metaforze materialnej, nieraz dosadnej, którą autor stara się wyrazić myśli abstrakcyjne, w mieszaninie humoru i najwyż-

2. Instytut Literacki, Paryż 1965, tłumaczenie Łobodowskiego.

3. *Pro domo sua*. Konstatuję, jak mi trudno będzie o tym pisać: *Obojętność* na sprawy religii tzw. postępowych Polaków, zadziwiająca przeważnie płytkość ich reakcji, gdy tylko dotknąć spraw religijnych, i na mnie ciąży. Już Brzozowski pisał dwa miesiące przed śmiercią: „*Bezreligijność myśli polskiej jest zdolna doprowadzić do rozpacz*”. Tu wypowiada się jakby instynktownie wyczuły brak wszelkiego związku z długotrwałymi, powszechnie dojrzewającymi sprawami życia...”.

„Polacy? — mówił Fiłosofov w latach dwudziestych — są albo „od biskupa Teodorowicza” albo „od Daszyńskiego” (katolicyzm nacjonalistyczny albo prymitywny materializm). Oni religią się nie interesują!”.

Czy wiele się od tego czasu zmieniło?

szej powagi, w samej *démarche* języka przypomina wyklętego Rozanowa, który także myślał przede wszystkim „naskórką” i na początku XIX wieku pierwszy ten styl stworzył w Rosji. Tamten pisarz też nieustannie krążył wokół spraw religii. Wróg i wyznawca chrześcijaństwa, pełen sprzeczności, nieustannie cenzurowany przez carską cenzurę a przez lewicę gromiony za reakcję, w Sowietach zakazany najostrożniej i z listy pisarzy wymazany⁴.

Rozanowa i Terc (dzieli ich kilkadziesiąt lat, dwie wojny i najgwałtowniejsze, jakie zna świat, przemiany społeczne) łączą te same punkty newralgiczne: religia, życie prywatne, intymne, oraz głęboka obojętność i nawet głuchota na problemy społeczne.

Jeżeli Terc, ten z *Myśli niespodziewanych*, czytał Rozanowa, czego wcale nie jestem pewny, rozpoznać się musiał w humorystycznym wyznaniu Rozanowa z *Ujedinionnowo*.

„Spółeczność, krzyczą wszędzie, społeczny element w literaturze, obudzenie się zainteresowań socjalnych”; może ja nic nie rozumiem, ale kiedy spotykam człowieka z ‘socjalnym zainteresowaniem’, to nie że się przy nim nudzę, nie to że mu jestem wrogi, wprost umieram przy nim. Cały w sobie ginę, rozpuszczam się: ani rozumu ani woli, ani słów, ani duszy.

Umarłem.

I budzę się, otwieram oczy kiedy się domyślam lub podejrzewam, że ‘spółeczność’ wyskoczyła z człowieka (sąsiada, bliźniego)”.

Cynizm? Sobkostwo? Najprościej brak reakcji na tematy, które w Rosji są, i prawdopodobnie były, zachwaszczane fałszem i pustym wielosłowie, bez uwzględnienia jak sprawy społeczne przełamują się w świecie prywatnym każdego człowieka.

To bunt zlekceważonej intymności.

Na 85 stron (na każdej jedna myśl, napomknięta, rzucona czy szerzej rozwinięta) mamy 39 o Bogu, o śmierci, o religii w ogóle i o chrześcijaństwie.

Te myśli pisarza są obramione króciutkimi opowiadaniem, uwagami o kobietach i przygodach z nimi, o głodnych, w lesie spotkanych złodziejach, o staruszcze, która nie chce by jej obcinano paznokcie u nóg, bo bez nich nie da rady się tak wysoko do nieba wdrapać. Opowiada o swych snach o umarłych, wyznaje miłość do przyrody.

4. Rozanow umarł w Rosji w 1919 roku. Wybór jego pism w tłumaczeniu Natalii Reznikowej ukazał się u Gallimarda w 1964 z moim wstępem pt. „*La face sombre du Christ*”. Pisałem o nim również w *Znaku*: „Sprzeczne widzenie Rozanow-Mauriac”, w numerze marcowym w 1958 roku.

„Ta wszystko ogarniająca pełnia bytu, zapowiadająca z góry wieczność, pozwala nam, skoro nie mamy innego wyjścia, szukać schronienia u przyrody, podobnie jak dawniej szukano jej w klasztorach”.

Ileż z Rozanowem powiązań!

W swoim *Ujedinionnom* (zbiór notatek koło 1911 roku) pisał Rozanow:

„Czy nie wiecie, że religia to najważniejsze, to pierwsze, to najpotrzebniejsze? Kto tego nie wie... mimo takiego człowieka trzeba przejść. Obejść go w milczeniu. Ale któż o tym wie? Czy wielu? I dlatego w naszych czasach nie ma z kim i o czym mówić”.

Po 50-ciu latach ateistycznego, prędzej antydeistycznego komunizmu Terc zapisuje w swoim notatniku:

„Należy wierzyć nie ze względu na tradycję, nie z bojaźni śmierci, nie na wszelki wypadek, nie dlatego że ktoś nas zmusza i straszy, nie ze względu na humanistyczne zasady, nie po to aby zbawić duszę, ani żeby być oryginalnym. Wierzyć należy z tej prostej racji, że Bóg istnieje”.

Ten nurt myśli ogarnia całą książkę, ale przypomnijmy sobie na jakim tle ta myśl Terca powstaje.



W trzeciej części swych wrażeń rosyjskich Mihajłow pisze o Trojce-Siergiewskiej Ławrze, wykazuje do jakiego stopnia deptanie sumień, kpina z religii, muzea antyreligijne, te uczucia zakazane w Sowietach właśnie rozbudzają. Pisze nam o prześladowaniach religijnych, które nie tylko że nie ustały ale wzrosły. Pisze o proliferacji nieustannej w środowiskach robotniczych, okrutnie tępionych sektach, przeważnie baptystów. Daje przykłady dzisiejszych metod akcji antyreligijnej. Sowieckie gazety, przede wszystkim prowincjonalne, te które nie docierają za granicę, są pełne artykułów drapieżnie antyreligijnych, kioski z gazetami zavalone broszurami o takich tytułach: *Zabawna Ewangelia*, czy *Ten kłamca — Jezus Chrystus*. Towarzysz Iljiczow, do niedawna dyktator akcji ideologicznej ZSSR, wprowadził przed paru laty *indywidualnuju obrabotku* każdego, kogo władza podejrzewa, że jest wierzący. Dwóch ludzi przystawia się do niego „przy pracy, w klubie, w domu”. Obowiązkiem ich jest nieustanne pilnowanie go i nawracanie na ateizm. Ta tortura psychiczna przelicytowała według Mihajłowa nawet metody Stalina na tym odcinku.

Liberalizacja Rosji (wszyscy chcemy w nią wierzyć), której najmniejszy ślad na odcinku religijnym coraz to podkreśla prasa zachodnia, czy jest rzeczywista? Czy może to tylko jeszcze jedna wioska Potiomkinowska?

Prześladowanie prawosławia sam Stalin podczas wojny z lekka osłabił, mając na celu wykorzystanie i religii do celów wojennych: zezwolił wówczas na otworenie paru seminariów. Ale od szeregu lat, a przede wszystkim ostatnio — od 1961 roku — akcja antyreligijna znów się wzmoęła. W 1959 było w Rosji 8 seminariów, od tego czasu zmniejszono ich ilość do 5, 4, a dzisiaj do 3-ch. (Ostatnio, po Kijowie i Mińsku, zamknięto seminarium w Łucku). Pozostały tylko seminaria w Moskwie, w Leningradzie i Odessie. Czy można porównać wagę takich zarządzeń, o których wiadomość ukazuje się w rzadkich pismach na Zachodzie, i to przeważnie drobnym drukiem, z obecnością na międzynarodowych zjazdach ekumenicznych paru prawosławnych hierarchów z Moskwy w kłobukach, skwapliwie fotografowanych, o których rzeczywistej roli i wadze moralnej w kościele prawosławnym przeważnie nie wiemy nic. Przecie grać tu musi międzynarodowa polityka nie tyle Kościoła Prawosławnego co Sowietów, dla których te pozory liberalizmu na zewnątrz są pożyteczne. Bo kto czyta za granicą gazetki wychodzące w Tule czy Wołogdzie, kto by się dowiedział o *indywidualnoy obrabotce*, gdyby nie śmiały i czujny Mihajłow.



Ale wróćmy do Terca. O żadnych tego rodzaju faktach, które go zewsząd otaczają, w swych *Myślach* nie wspomina, ale nurt tej książki jest tak świeży, tak niezatruty ani podeptany pół wiekiem religijnych prześladowań, że „pijemy” tę książkę jak wodę czystego źródła. Reakcje Terca na prawdy najszerzej przyjęte i uznane coraz to nas zaskakują.

„Dawniej człowiek był w swoim domowym bycie o wiele szerzej i mocniej niż obecnie związany z uniwersalnym życiem — historycznym i kosmicznym. Chociaż posiadamy gazety, muzea, radio, komunikację powietrzną, zaledwie przyjmujemy do wiadomości to wszechświatowe tło, nie bardzo nim przejmujemy się, prawie o nim nie myślimy. W czeskich butach, z meksykańskim papieroskiem w zębach przeczytał korespondencję o zjawieniu się w Afryce nowego państwa i poszedł na rosół ugotowany na francuskiej wołowinie”.

Włościanin, który nigdzie nie wyjeżdżał poza sianokosy, do

śmierci chadzał w łapciach, z jednostajnym rytuałem obiadu, bez innych książek jak stara Biblia

„...utrzymywał nieustanny związek z ogromem wszechświata i umierał w jego głębiach tuż obok Abrahama. A my po przeczytaniu gazetki umieramy samotnie na wąskiej, nikomu nieprzydatnej ośmianie i żadna informacja już nam wtedy nie jest potrzebna. Jest dla nas jak spodnie z zagranicznego materiału... Chłop — zdarzało się — przeżegna się zanim weźmie łyżkę i tym jednym gestem jak reflektorem łączy się z ziemią i niebem, z przeszłością i przyszłością”.

Głodem Boga, głodem doznań — stanami, które w Sowietach uznano od dawna za przezwyciężone, nieistniejące — przeszłyta jest ta książka.

„Głos Boży rozlegał się w pustyni i ciszy, a właśnie ciszy i pustyni nam brakuje. Wszystko zagłuszyliśmy, wszystko wypełniliśmy sobą, a potem jeszcze dziwimy się, że Pan nie chce się nam ukazać”.

Terc jak Rozanow tkwią nie tylko w pewniku, że Bóg *jest* ale że Bóg, ich Bóg jest z nimi, że ich kocha, błogosławi i przebacza.

Te myśli o Bogu są najdalsze od jakiegokolwiek argumentacji teologicznej czy filozoficznej, to najskromniej zanotowane ich intymne przeżycia, ich doświadczenia religijne. I tu znowu chciałoby się wszystko z Terca cytować tuż obok Rozanowa, tak są sobie bliscy.

„Koniec końców Bóg — moje życie — pisze Rozanow. Ja tylko żyję dla Niego, przez Niego. Poza Bogiem mnie nie ma”.

A Terc:

„Rozmyślanie o Bogu są wzniosłe i niewyczerpane, jak morze. Pokrywają nas z głową — topisz się cały i nie dosięgasz dna... Bóg jest niepoznawalny i rozpoznawany wszędzie, niedostępny i najbliższy, irracjonalny i krańcowo logiczny. Żadne inne pojęcie nie zna takiego rozpięcia interpretacji... To jedyne olbrzymie zjawisko w świecie. Poza nim nie ma nic”.

Rozanow w swej kulturze religijnej, rozległości wiedzy, „muzykalności” wyczuwania stanów religijnych sobie sprzecznych zdaje się od Terca szerszy. Jego stosunek do świata zmysłów jest złożony i w pismach jego zajmuje miejsce centralne, u Terca rzadko wychodzi poza pocziwie cyniczny erotyzm. W opisach scen miłosnych i rozważaniach na ich temat gra prędzej potrzeba oderwania się od błogo-słodkich malowanek socrealistycznych o miłościach tankisty z dojarką.

Ale różni ich przede wszystkim wizja chrześcijaństwa i stosunek do Chrystusa. Rozanow nie był w stanie pogodzić, przyjmając sprzeczności między światem organicznym nasienia i płci a „czystym kryształem” zakonu, mistyki, wyrzeczenia, którego muzykę jak mało kto wyczuwał. Rozanow zarzucał chrześcijaństwu, że zabiło radość w człowieku, rozdziwiło go.

Sprzeczności te zdają się u Tercy przyjęte i przewyciężone. „Dlaczego Chrystus nigdy się nie uśmiecha” — pyta Terc chyba za Rozanowem, który to pytanie także stawiał (dla Rozanowa to było źródłem smutku chrześcijaństwa).

„Czy nie dlatego — notuje Terc — że śmiech jest rzeczą niewłaściwą w więzieniu, gdzie siedzą skazani na śmierć?”

Ta odpowiedź nie byłaby może przyjęta przez Rozanow, ale na pewno usłyszana.

„Przyroda uczy nas — pisze Terc — że mamy lękać się śmierci, unikać cierpienia, płakać gdy odczuwamy ból. A tu wszystko na odwrót — nienaturalne (jak powiadają humaniści), ponadnaturalne (tak mówią chrześcijanie)... Przeciwnostawne reakcje powstają mimowoli, bez świadomego zamiaru. Ale wystarczy abyśmy 'przebaczyli krzywdzicielowi', a serce raduje się jak gdyby został rozcięty węzeł, którego żadne wysiłki nie rozwiążą... Nie przewyciężenie istoty naszej osobowości, lecz jej zastąpienie czymś zupełnie innym, nieznanym, co uczy cierpienia, męki i umierania, i uwalnia od obowiazującego strachu i nienawiści”.

Różni obu pisarzy również stosunek do śmierci. Nie spotykamy u Tercy akcentów tak tragicznych — więcej — panicznych, jak u Rozanowa, któremu włosy się jeżą, gdy śmierć odkrywa. Śmierć, „której sens zwycięży całą cywilizację”. Długą drogę przeszedł Rozanow aż doszedł do ukojenia i śmierć świadomie i spokojnie w 1919 przyjął. Ale już w 1911 pisał:

„Może całe życie żyjemy żeby zasłużyć na mogiłę. Ale dowiadujemy się o tym dopiero podchodząc do niej: wcześniej 'nawet do głowy nie przychodziło’”.

Terc mówi o śmierci prawie z czułością, jak o chwili najważniejszej istnienia, która zamyka, ustala ostateczny kształt człowieka.

„Człowiek żyje po to żeby umarł, śmierć daje życiu określoną oświatę, kierunek, jedność i dokładność... To akord przygotowywany przez długi czas, poczynając od dnia urodzin... Koniec wieczy dzieła. Nieświadomie zazdrościmy umarłym ich całkowitej jedności”.

„Prosimy... abyśmy w miarę możliwości zdołali wyjść jej naprzeciw

i we właściwy sposób spełnili nasze ostatnie najważniejsze zadanie, sprawę całego życia, spotkanie ze śmiercią⁵".

Te uwagi Terca o śmierci dzieli przepaść od *dzisiejszego* stosunku do niej wcale nie tylko w Sowietach. Obowiązujące dziś „zacieranie” każdej myśli o niej, od New Yorku do Moskwy wszędzie ościem śmierci staramy się stępić, zapomnieć, że śmierć *jest*. Ukradziono ją człowiekowi. Każdy lekarz uważa za swój obowiązek okłamywać pacjenta, świadomość umierającego wszelkimi środkami przytępić. A już gdy umarł, to w Ameryce, w domach pogrzebowych sadzą umarłego, podmalowanego „na młodo”, wśród kwiatów, z ognistym krawatem, żeby żywych śmiercią nie straszył. Nawet księży z kazalnicy mówią o niej coraz rzadziej. I nagle, z Rosji Sowieckiej, gdzie znaczy jedynie „światłana przyszłość” *na ziemi*, dochodzi do nas ten inny głos.

Z Rosji, gdzie od lat ponad czterdziestu brutalne prześladowania, żelazna cenzura i nieustanna propaganda tępią religię i wszelką myśl wolną, dochodzi do nas głos Terca inny, inny nurt uczuć, które i młody Jugosłowianin Mihajlov tam na miejscu, wśród młodych, odkrył i przeżył.

Więc może raz jeden matką głupich jest nie nadzieja, ale gorycz niewiary?

(Kultura nr 7/213-8/214, 1964)

5. „Oswoić się z myślą o śmierci, z myślą, która życie moje zrobi *bardziej radosnym*” — zapisuje Jan XXIII w dzienniczku w 1926 (moje podkreślenie — J.C.).

LECHOŃ I JEGO DZIENNIK

Dziennik Lechonia, jakby się go nie oceniało, jest literackim wydarzeniem w tak ubogim w dzienniki intymne polskim piśmiennictwie; jako świadectwo ludzkie jest dokumentem wstrząsającym.

Budzi we mnie tyle uczuć sprzecznych, od kategorycznego sprzeciwu, irytacji po wzruszenie i współczucie, że pisząc o nim muszę myśli moje doprowadzić do końca, nie tylko żeby powiedzieć co myślę, ale żeby samemu *wiedzieć*, zdać sobie sprawę. Niech mi przyjaciele poety wybaczą, jeżeli będę niesprawiedliwy i brutalny, ale jak pisać inaczej o umarłym jak właśnie ani jego ani siebie nie oszczędzając.

Lechoń, który sam obiektywizmem nie grzeszył i właśnie mojego obiektywizmu nie znosił, może by mi to co napiszę wybaczył.

Linia podziału

Mówi się tyle o liniach podziału między pokoleniami; linie podziału między ludźmi innej formacji tego samego pokolenia (Lechoń był zaledwie trzy lata ode mnie młodszy) zdają mi się jeszcze mocniej zarysowane; specjalnie w młodości głusi jesteśmy wobec naszych współczesnych, okrutnie pewni swoich racji.

W latach dwudziestych nie czytałem Lechonia. Do Polski, o której właściwie pojęcia nie miałem, przyjechałem, „barbaryńca ze Wschodu”, z Rosji, po przebyciu tam dwóch rewolucji i już z Błokiem i Majakowskim w zanadrzu, wiersze Skamandra nie dotarły do mojej świadomości, te które przeczytałem zdały

mi się pretensjonalne, grymaśne, to był świat, klimat absolutnie mi obcy.

Mój chrzest współczesnej polskiej literatury to był Tytus Czyżewski i *Nuż w bżuchu* Brunona Jasińskiego! Do wielkiej polskiej poezji szedłem od Wyspiańskiego, którego czytałem w gorączce (koledzy moi, „arcynowocześni”, uważali to za starzyzną), a potem był Norwid.

Wiersze Lechonia trafiły do mnie wiele lat później: te z pierwszej eksplozji (zapłacił za nie, jak pisze, paru latami choroby nerwowej), które zyskały mu sławę nieledwie wieszczą, zdały mi się epigońsko romantyczne, nie do czytania, a tomik następny po *Karmazynowym poemacie* — *Srebrne i Czarne* — zimny, pseudoklasyczny, nie to, że nie czułem magii tych wierszy, więcej — *nie wierzyłem im*, te śmierci, te miłości — to był papier. Nie myślę wcale bronić mojego ówczesnego do poezji Lechonia stosunku, moje pierwsze uprzedzenia były związane z moją wówczas obcością i ignorancją nie tylko klimatu, w którym te wiersze powstały, ale całej genealogii poetyckiej Lechonia, to znaczy zaledwie mi wówczas znanej wielkiej poezji polskiej.

W 39 roku, zebrani w rocznicę Niepodległości w Starobielsku, brudni, zawszeni, na dzień nieszczęścia, wysłuchaliśmy wspaniałej deklamacji trzech wierszy Mickiewicza, Or-Ota i Lechonia. Mickiewicz i nawet Or-Ot — to był wstrząs nieopisany — trzeci wiersz Lechonia — *Piłsudski* (te „opary liliowe”, „białe margrabiny” „potępiénce krzyki” „lansjery-bohaterzy”) — zdał mi się jeszcze wtedy, i właśnie wtedy, *nie do zniesienia!* Nie mogłem zrozumieć mojej reakcji tak gwałtownie negatywnej: że fałsz, że grymasy, czy że wprost *inny język?* Linia podziału!

Jeżeli o tym piszę, to dlatego że Lechoń musiał to czuć i jakże się dziwić, że mi był niechętny. Poznałem Lechonia osobiście w najgorszej jego epoce — epoce złudnych sukcesów i snobizmów w Paryżu lat trzydziestych. Zawsze w tłumie, agresywny, głośny, światowy i dyplomatyczny, drażnił mnie, ani chwili nie czułem w nim poety — przecie raz jeden: wracałem od Godebskich, gdzie się nieraz spotykaliśmy, odwoził mnie taksówką w nocy. W chwili gdy już miałem wychodzić z auta usłyszałem jego głos ściszony, najprostszy — nie widziałem jego twarzy — powiedział mi nagle swoim fatalnym francuskim akcentem parę zaledwie wierszy, parę zdań z Mallarmégo. To był dla mnie szok. Ależ Lechoń *jest* poetą — pomyślałem.

Po Paryżu lat trzydziestych spotkałem Lechonia dopiero w 50-tym w New Yorku. Miałem już do jego poezji stosunek

o wiele bardziej złożony, za nami był potop, ileż spraw i wspomnień mogło nas wtedy połączyć.

Jednak moje próby zbliżenia się do niego (mieliśmy wówczas wspólnych bliskich przyjaciół) nie powiodły się. W rozmowie zdawał mi się to zamurowany, to banalnie błyskotliwy, moje próby prawdziwego kontaktu obrażały go, uważał to za brak form z mojej strony.

Dziennik

Jego dziennik to odkrycie Lechonia, do którego nigdy za życia dotrzeć nie potrafiłem. Pierwsze wrażenie przy kartkowaniu, posługując się indeksem, poprzez nazwiska znajomych (najgorsza metoda) było fatalne: nieustanne ataki na żywych i umarłych, niemożliwy poziom, wprost ubóstwo intelektualne: „Faust to świnia niemiecka”, „Mitia Karamazow zawsze mnie śmieszył, wolę Kmicica” itd., itd. Wciąż powtarzane sztance, ani świeżym okiem zobaczone ani na nowo choć opukane — wprost bezmyślne, i kliny w głowie. Kiedy mówię „bezmyślne”, chodzi mi o tę myśl „która sama myśli”, chodzi mi o ten oddech myśli niezależnej od woli, bez z góry przyjętego szlaku, która zdaje mi się wtedy dopiero myślać nie stosowaną, naprawdę myślą.

(„Zważcie Panowie, głowa to jest taka, że sama myśli i wtedy, jak powiedziałem, zadrżałem cały” — mówi jeden z bohaterów Mrożka).

Jakaś nienawiść, czy odwrócona miłość do Francji „w której nic poza łajnem nie jest w stanie trafić do powonienia kulturalnych Francuzów”, Mauriac to niewyżyty truciciel, Maritain — wyrutek katolicyzmu (i jeszcze gorzej).

(Atak na Maritaina specjalnie mnie dotyka: w marcowej *Kulturze* z 1949 roku pomieściłem artykuł „Czy Maritain miał rację?”, gdzie zacytowałem jego zarzuty postawione Polsce — zarzuty antysemityzmu i pogardy dla Rosji. Te zarzuty, jakże słuszne ale zbyt ogólnikowo ujęte, i wypowiedziane zaraz po Powstaniu Warszawskim — mnie zabołały. Widać o tym mówiliśmy z Lechoniem, bo wywołało to z jego strony nie do powtórzenia burzę reakcji i wymyślań na człowieka tak wielkiej wartości, wcale nie wroga Polski, człowieka, któremu zresztą sam wiele zawdzięczał).

Ale te wszystkie wymyślania wyrastały z gwałtownej, fanatycznej i ciasnej nie tylko miłości, ale *religii* polskiej, Polski zawsze heroicznej, zawsze niewinnej. Tej jego wizji Polski nie

tylko nie wolno było w jakikolwiek sposób ruszyć, nie wolno było Polski kochać inaczej. Stąd jego pasja do *Kultury*, wszyscy jej pracownicy gorsi od zwykłych zdrajców, godni zawisnąć na gałęzi. Z wyzwiskami Lechonia nie może być nawet polemiki.

Czytając te Lechoniowe wyznania powraca mi jeden z najpiękniejszych dla mnie jego wczesnych wierszy o strofach bluźnierczych, gdzie pisze o Polsce¹.

„Wydała mi się kościotrupem ze wszystkich kurhanów”

Ten polski monolit, monolit cnót, okadzany bez cienia myśli krytycznej — ależ to jest „kościotrup ze wszystkich kurhanów”.

Postanowiłem jednak *Dziennik* przeczytać od deski do deski, dał mi on wówczas, ku mojemu zdziwieniu, obraz Lechonia zupełnie inny, złożony. Bez śladu z mojej strony przymusu stał mi się bliższy. Niewątpliwa szczerość, ani śladu gładziny dziennika Gide’a, który swój komponował, spojrzenie na siebie samego krytyczne, nieraz bardzo bolesne, nieustanny wysiłek by utrzymać nurt pracy wciąż zrywany. Przy tym ta pilność grzecznego pacjenta w odwalaniu codziennego zadania, codziennej strony dziennika, zabiegu terapeutycznego, który mu doktor polecił, kazać ten dziennik pisać. Lechoń zapisuje codziennie plan swych wysiłków, swoje porażki i to siedzenie bezsilne przez dwie godziny przed białą kartką papieru, gdy ma jednocześnie sto pomysłów, dramatów, wierszy, powieści, które co raz to postanawia napisać i nie może się na to zdobyć. Obok niewymyślnych urąganiań czytam akcenty przeciwne, strony ciepłe, gdzie Lechoń pisze o przyjaciółach; kiedy padają słowa „Kazio Wierzyński”, „Zosia Kochańska” kiedy pisze z radością i zachwytem o poezji Wierzyńskiego, kiedy pada słowo Piłsudski, czy wspomina dzieciństwo i dom rodzinny, oddech zdania się zmienia, styl staje się bardziej giętki, płynny. Lechoń, który dla wielu Polaków dwudziestolecia Polski niepodległej był czołowym polskim poetą, odżywa tu nieumalowany, bez koturnów, i mówi o sobie bez śladu patosu. Poeta niszczony powolnie od wewnątrz chorobą, przed której nawrotem się broni. Może mści się na nim ta zdrada poezji, o której co raz to wspomina, zdrada na rzecz pasji bezpłodnych, towarzyskich, światowych, pasji błyszczenia, które robiły z niego w Warszawie najbardziej wyczekiwanego gościa².

1. *Herostrates*.

2. Kto chce się dowiedzieć, czym był dla swoich przyjaciół w Warszawie czy nawet w New Yorku Leszek olśniewający dowcipem, gadaniem, powinien przeczytać piękne wspomnienie Hemara, pod świeżym wrażeniem jego śmierci, *Awantury w rodzinie*.

Zdrady? Ale kto z artystów nie zdradza. Baudelaire opowiada, że Delacroix bał się gadania jak rozpusty; gdy Baudelaire wchodził do jego pracowni, zastrzegał się, że nie będzie mówił, a potem mówili szereg godzin z rzędu.

Jego praca, upór w budowaniu wierszy, w pisaniu ogromnej powieści, którą porzuci, ta praca nad wierszem, hafty mozolne rytmów coraz innych i ten wewnętrzny nieustanny z sobą monolog:

„Naśladować Mickiewicza nie mając jego żaru, jego wiary i miłości i nienawiści, z tego może wyjść tylko pseudoklasyczna strofa — Koźmian”, pisze Lechoń. A dzień później notuje „klęska”. „Parę godzin kręcenia na wszystkie strony czterech nieudanych linijek. Nic z tego, codziennie gorzej”. Czy w innym miejscu, gdy próbuje pisać wiersz „z mgiełką i niedomówieniami” jak to „niektórzy durnie uważają że tylko tak można pisać”, i zaraz dodaje po objechaniu wszystkich „grafomanów od Norwida”, że jego własny wiersz ma „woale i zasłony i niedomówienia”, że one kryć mają tajemnicę, ale że jego własny wiersz nie ma tej tajemnicy.

Wszystko jakby potwierdza mój z dawnych czasów stosunek do jego poezji, moją niewiarę w powód, w ziarno tej poezji. Ale znów fakt, że on to widzi, że się tym nie tylko wzrusza ale męczy, odkrywa innego Lechonia. Czytelnik zaczyna wierzyć w świat poetycki w nim ukryty.

I co uderza u Lechonia w *Dzienniku*, to jakby brak, *katharsis* — brak tej chwili, która najskromniejszemu artyście płaci za *wszystko*, za tygodnie i lata mokoła, za uczucie nieprzekraczalnej przepaści między tym, co widzi, a tym, co może.

I tu dochodzimy chyba do tragedii Lechonia, słowo to nie jest zbyt mocne. Sam on pisze, że praca twórcza „pozostawia (mnie) później w pustce bez jakiegokolwiek radości z tego co uczyniłem”.

F a t u m

„Jak dziki zwierz przyszło nieszczęście
do człowieka
I zatopiło weń fatalne oczy
I czeka...”

Kto z czytelników *Dziennika* może zapomnieć, że autor na samym początku swej kariery poetyckiej truł się; został z trudem odratowany a potem leczony przez szereg lat na nerwową cho-

robę, zaś w kilka lat po napisaniu tego *Dziennika* zada sobie śmierć rzucając się z okna któregoś tam piętra, na bruk New Yorku. Przez lata i lata pod wszystkimi fasadami, warstwami pozorów, po nasyconych i nienasyconych ambicjach sukcesów poetyckich, towarzyskich snobizmów, pod tą gorącą życia i miłością życia („Im dłużej żyję, tym więcej czuję w sobie wdzięczności za każdy dzień życia, za samo szczęście istnienia”, mówi Hemarowi przed samą śmiercią), tkwiła w nim panika — panika przed wariacją i pokusa samobójstwa.

Czermański opowiada, jak często Lechoń mówił mu i pisał o samobójstwie i przyznaje, że z czasem stał się na te groźby znieczulony. „Mówisz że czujesz się źle, a bawisz się znakomicie”; Lechoń w odpowiedzi cytował wówczas słowa wesołego wariata z krakowskiego jeszcze sanatorium: „Z pozoru tylko się bawię, bo prywatnie jestem bardzo nieszczęśliwy”. Ten niby dowcip był najbliższy wewnętrznej prawdy Lechonia. Wszyscy jego przyjaciele przestali, tak jak Czermański, wierzyć w te groźby — poza jednym chyba Wierzyńskim — przyjacielem może najbliższym. W *Dzienniku* coraz to natrafiamy na tę nić czarną.

„Czy możliwe, żebym już nigdy nie mógł zaznać odpoczynku od tego *niepojętego rozdwójenia*, które mnie rozdziera”.

Lechoń ukoronowany przedwcześnie wie, że dotrzeć musi do realizacji swego poetyckiego naznaczenia, w które nie wątpi, realizację osiągnąć może tylko poprzez pracę ostateczną, całkowite oddanie, a jednocześnie boi się bo „każda praca bardziej wytężona, każdy niemal wiersz naprawdę dobry okupiony jest tym jakimś odejściem od siebie i tym powierzeniem się jakimś tajemniczym siłom, „które mnie ssą jak wampiry”, więc ucieka w tłum, w przyjęcia, w dowcipy i pompy przeróżne, zagaduje to swoje wewnętrzne paniczne rozdarcie i haruje nad pensami zarobkowymi czy patriotycznymi.

W innym miejscu pisze o „niewidocznej dla innych wariacji” „jak kiedyś przed trzydziestu laty”, pisze że jest w mocy nie tylko swoich instynktów, ale jakichś demonów i pyta siebie, czy to nie Erynie, niszczące go za zdradę sztuki. Ten motyw zdrady sztuki coraz to powraca, Lechoń szuka dla siebie usprawiedliwienia. W notatce o książce Parandowskiego o Oskarze Wilde zauważa, że Parandowski dobrze uchwycił „jakiś bliżej niezdefiniowany kompleks pisarza, który ucieka od pisania, który ma jakieś bardzo ważne powody, aby pisać dramat — swym życiem. *Dziennik* jest pełen wzmianek o manii prześladowczej, rozdwójeniu, koszmarach — to trwały refren pisany bez romantycznych lechoniowych metafor i superlatywów, stylem lekarskiej diagnozy.

„Dziki zwierz” norwidowego fatum czeka, ma cierpliwość, ma czas, a Lechoń nie ma sił mu „odejrzeć”, nie może „odejrzeć”.

Zemsta za zdradę sztuki? Grzech niedopełnienia? Im więcej o tym myślę, tym bardziej nie umiem się obronić przed poczuciem, że zbyt łatwo zważyć wszystko na „grzechy” i „ucieczki” Lechonia.

Po przeczytaniu tej książki, nie opuszcza czytelnika dławiące wspomnienie poety, po raz tysięczny przemierzającego samotnie bruki ogromnego miasta, te bruki na które padnie zmiażdżony. Dziki zwierz czekał cierpliwie i ofiary swojej doczekał.

(*Kultura* nr 10/277, 1970)

ŚMIERĆ MAURIACA

Wszystkie gazety pełne artykułów o nim, fotografii, przemówień, wzmianek pisarzy i polityków, dziennikarzy, tyle banałów, tyle powtórek, że dotrzeć trudno do słów żywych, celnych i naprawdę odczutych. Akademia w Akademii, żmudne, ministerialne przemówienie pocziwego Micheleta i świetne Gaxotte'a: „klimat siarki, piorunu i gorączki” (to musiało brzmieć inaczej, silniej po francusku „*climat de souffre, de foudre et de fièvre*” z tymi czterema „f”), nabożeństwo w Notre-Dame, Gwardia Narodowa i te twarze wszystkich dostojników z Prezydentem i Prezydentową na czele, twarze, którymi zdążono nas już obnużyć poprzez telewizję, *Match'e*, *Paris Soir'y* etc.

Dlatego to wszystko drażni, przecie Mauriac sam całe życie brał udział w tym wyścigu ku „sławie i chwale”, w młodości nawet z pasją; drażni, bo to, co było w nim istotne, ten ogień co trawił jego życie, jego twórczość, był gdzie indziej, obok i głębiej. „Ja i mój Bóg”. „Ja i miłość cielesna”. Wierność ziemi, Cybeli pożądliwej i bezgrzesznej, i Pascal tuż: „Trzeba kochać tylko Boga i nienawidzić tylko siebie”.

Ale notatka w gazetach, że pogrzeb będzie miał miejsce *en stricte intimité*, nie w Malagarze, niestety, jego prawdziwej ojczyźnie, ale przecie daleko od Paryża, wśród drzew, z garstką bliskich i najbliższych tylko — przynosi ulgę, bo się wiąże ze stroną głęboką i prawdziwą jego życia i te wszystkie surmy narodowe, przemówienia, Noble i orderzy przestają naprawdę istnieć.



„Bo czym jest zapatrzenie wstecz? Można by to przyrównać

do chwili kiedy prowadząc samochód równocześnie patrzy się w lusterko wstecz ku przejechanej drodze...". Pisze Haupt w ostatniej *Kulturze*: „Szczegóły uciekają, były obok nas tak wyraziste, a teraz już ledwo zapamiętane, bo cisną się nowe i nowe...”.

Kierowca musi mieć oczy utkwione przed siebie w to nowe i nowe, wolno mu zaledwie przez sekundę patrzeć wstecz, w lusterko. Jakże to inaczej dziś, pod wrażeniem śmierci Mauriaca, odczułem, jakby mi już wolno było dłużej i dłużej wstecz patrzeć, bo retrowizor znaczy coraz więcej, bo to *nowe* umniejsza się coraz bardziej, a rośnie obraz w retrowizorze!

Moje pierwsze odkrycie Mauriaca: było to już blisko 50 lat temu, szok, ale czy go lubiłem? Mauriac był trudny do lubienia. Naturalnie były to powieści — świat nieoddychalny, okrutny, oddany z nieporównaną siłą, świat religii odpychającej, zrośniętej z namiętą pasją posiadania, bunt Mauriaca, jego demaskowanie *tej* strony religii zrośniętej z religią pieniądza, bohaterzy powieści — te matki terroryzujące, niszczące szczęście swych dzieci, te stare kochanki, głodne miłości, nienasycone, zbrodnicze, i ten świat — „pustynia miłości” (tak nazwał jedną ze swych powieści). Mauriac umiał jednym zdaniem oddać piekło zazdrości, nienasycenia, ale również jednym zdaniem szczęśliwość wzajemnego kochania dziewcząt i młodzieńców. Świat katolicki wpłątany w świat pożądania, odrzucający płęć w czambuł jako groźną i grzeszną, ten świat z rzadka przesyty sekundami nieporównanego światła, całkowitej ofiary z siebie — świętości.

„Będę żył z Tobą, bo każde inne współzycie jest pełne niebezpieczeństw. Będę żył z Tobą, bo każdy inny pokarm jest trucizną. Będę żył dla Ciebie, bo ten który żyje dla siebie i nie żyje dla Ciebie nie żyje, ale jest martwy”.

Tą modlitwą jansenisty Hamonda kończył Mauriac swe studium o Racinie.



„W tym spojrzeniu na uciekające, minione, wkrada się — pisze jeszcze Haupt — własny kłębek myśli... komponuje to nasz świat osobny, nieprawdziwy, nieistniejący naprawdę”.

Jak zrobić, by pisać o świecie, który dziś o drugiej w nocy Mauriac zabrał ze sobą do grobu, nic nie było nieprawdziwe.

W roku 1930, a może 1929, odwiedziłem Mauriaca po raz pierwszy. Przeczytałem wówczas „Souffrance d'un chrétien” w

Nouvelle Revue Française. Ten tekst ukazał się później w wydaniu książkowym dopełniony, za namową katolickich przyjaciół, przez słowo *bonheur*. „Szczęście i cierpienia chrześcijanina”. Chciałem pisać wówczas o Rozanowie¹. Jakże rozanowskie były te strony, napisane przez człowieka na drugim biegunie i temperamentu i stylu życia. Mauriac był już wtedy gwiazdą w świecie ówczesnych pisarzy. Dochodziły do mnie pogłoski o jego kryzysie religijnym. Zastałem Mauriaca jakże innego od Mauriaca, którego sobie wyobrażałem. Poruszyliśmy zaraz sprawy związane z religią. Siedział skulony na kanapce i tłumaczył mi swoją postawę, opowiadał mi z zadziwiającą szczerością, jakbyśmy się znali od zawsze, mówił że przechodził okres kiedy żyjąc w Paryżu odszedł od katolicyzmu (od chrześcijaństwa, bo dla niego chyba chrześcijaństwo i katolicyzm były pojęciami zawsze jednoznacznymi), odszedł zdawało się zupełnie. W nocy, w jakiejś *boîte de nuit*, śpiewaczka wśród bardziej niż dwuznacznych piosenek pozwoliła sobie na sprośny żart o Chrystusie „i nagle wstałem i wyszedłem, nie rozumiałem co się ze mną stało, ale nie mogłem tego słuchać. Wychodząc uderzyło mnie moje własne zachowanie. O co chodzi? Skąd ta reakcja? Więc Jego kochasz — nie ten świat?” (Znacznie później w jednej z książek Mauriaca odnalazłem tę scenę).

Spytał mnie wówczas, którą z jego książek najwięcej lubię — odpowiedziałem że *Destins* („Losy”).

Zareagował niechętnie: „To najbardziej zamacona z moich książek (*le plus trouble de mes livres*), ale widzi pan — ożywił się nagle — i ona odegrała w jednym wypadku rolę wyzwalającą. Otrzymałem list od młodego chłopca z St. Cyr; donosił mi, że po przeczytaniu tej książki zdecydował wstąpić do klasztoru”.

Odruchowo i beztrząsco odpowiedziałem: „Jeżeli coś oddaliło mnie od katolicyzmu najbardziej, to właśnie ta Pańska książka!”.

I nagle zobaczyłem, że te moje słowa przeżył jak uderzenie w serce. Cały się skurczył.

„*Ne dites pas cela*”, powiedział półgłosem.

W tym jednym odruchu wyczułem do jakiego stopnia sprawa religii była dla niego przeżyciem całkowitym, aż fizycznym. Właściwie w tej chwili pokochałem Mauriaca. Spotykałem go jeszcze później nie jeden raz, czytałem go zawsze do ostatniego *Bloc-Note*, ale to pierwsze spotkanie znaczyło i znaczy dla mnie najwięcej.

1. Mój esej „Sprzeczne widzenie: Rozanow-Mauriac” ukazał się w nrze 45 *Znaku* w 1958 roku.

W przeciągu ostatnich miesięcy wciąż zbierałem się do niego z listem, by mu to spotkanie przypomnieć i powiedzieć ile mu w przeciągu długich lat zawdzięczałem. Wciąż pisanie to odkładałem i już mu tego nie napiszę.

(*Kultura* nr 10/277, 1970)

DWIE PROWOKACJE

„Znalazł go potem po śladzie i wtedy zrozumiał skąd brało się dziwaczne zachowanie...”¹.

Czesław Miłosz

W ostatnim porachunku jestem wdzięczny Miłoszowi za artykuł „Duże cienie”², który mnie tak w pierwszej chwili oburzył. Zawdzięczam mu powrót do *Cieni w pieczarze*, książki zaczytanej — wróciłem do niej z niesłabnącą pasją.

Miłosz się dziwi, że nie wywołała ona na emigracji wielkiej dyskusji. Czy za trudna? Na pewno tak, książka blisko 400-stronicowa, nabita takim ładunkiem myśli zawsze z rzeczywistością dzisiejszą Polski związanej, nie dająca czytelnikowi żadnych jasnych recept czy wniosków (zadzierzgnięty w pierwszej części romans z Białą Bluzeczką urywa się szybko, zastąpiony prawie wyłącznie starciem idei). Nie kończy się ona, jak twierdzi Miłosz, „zwykłym rozłożeniem rąk” bezsilnego bohatera czy nawet autora, ale żąda od czytelnika, by dalej sam podjął tok myśli autora i sam próbował wyciągnąć wnioski.

Nigdzie dotychczas nie czytałem tak jasno opisanej próby wielkiego zamącenia myśli w Polsce, tej długofalowej pracy w dziedzinie „zaprogramowania mózgów”, które byłoby zbyt łatwo lekceważyć wyśmiewając jedynie drętą mowę, mowę-trawę.

Jeżeli Orwell był prorokiem nowo-mowy, Staliński jest chyba pierwszym tak wnikliwym jej analitykiem, już na materiale konkretnym, na podstawie jej praktyki i osiągnięć w Polsce.

1. Czesław Miłosz, „Przypowieść”, *Kultura* nr 5/296 (1972).

2. *Kultura* nr 10/301.

Artykuł Miłosza (częściowo również Salskiego) uświadomił mi raz jeszcze, jak książka tej miary może być różnie odczytana.

Salski w jakże celnym artykule nazywa bohatera „szmatławym Romanem”. Więc człowiek zdolny spojrzeć z taką wnikliwą odwagą na rzeczywistość polską, konfrontując ją z nurtem myśli Kazika — obrońcy „zaprogramowanej” komunistycznej myśli — jest szmatławcem? Ależ Roman poprzez swój dialog z Kazikiem zmusza nas do zastanowienia się nad postawą życiową Polaka *hic et nunc!*

Cienie w pieczarze wraz z jej bohaterem są *provokacją* czytelnika. Zmuszają go, aby odpowiedzi na szereg postawionych zagadnień sam w sobie odnalazł.

Roman i Kazik

Kazik, były piśsudczyk, podchorąży z kampanii wrześniowej, którego Roman w tamtych czasach ratuje od samobójstwa, jest tutaj, ponad 25 lat później, przeciwnikiem innego kalibru niż niewinna Biała Bluzeczka, która od dzieciństwa wierzyła i wierzy we wszystko w co władze partyjne Polski Ludowej jej wierzyć kazały. Kazik sam skuszony — jest dzisiaj wytrawnym i nie byle jakim kusicielem. To mały uczeń Wielkiego Inkwizytora z Dostojewskiego (ludzie szczęśliwi — głosił tamten — być mogą tylko wtedy, gdy nie żądamy od nich swobodnej miłości i swobodnego wyboru, ale gdy im wolność *odbierzemy*). Cóż innego zdaje się nam mówić Kazik nawrócony? Ten były piśsudczyk tłumaczy Romanowi, jak należy dziś walczyć o Polskę i dla Polski. Wystarczy wytrzeć gumą niektóre fakty z historii najnowszej, inne doszczętnie zafałszować, ale przede wszystkim zmienić treści słów, stworzyć nowe, obowiązujące każdego Polaka, konwencje słowne, które, przy każdej sposobności nieustannie powtarzane, narzucane, będą ostatecznie wpojone, a Polak poczuje się w ramach tej konwencji szczęśliwy, pod warunkiem jednak, że wszyscy tej nowej konwencji ulegną. („Jeżeli zjednoczyć i ocalić naród można tylko przez kłamstwo, trzeba kłamać”). Jeżeli każdy Polak poprzez długofalową robotę nad jego każdym słowem, gestem i odruchem ostatecznie *uwierzy*, że komunizm to rzecz normalna, czego można jeszcze pragnąć? Jeżeli zaś uwierzą w to wszyscy, to kłamstwo przestanie być kłamstwem.

Kazik nie zapomina przy tym o sąsiadach: „Ruscy pokazali w Katyniu co i przedtem we Lwowie, do czego są zdolni... Aparat może się też stać źródłem nieporównywalnej z niczym

siły, wszechogarniającej życie, a centralnie kierowanej żelazną mafią *pod jednym warunkiem*, że w społeczeństwie nie będzie żadnych sił i odruchów, które by mogły mu się przeciwstawić, że społeczeństwo będzie uległe, bo posłuszne i bezsilne”.

Potok słów kusiciela nie działałby do tego stopnia na czytelnika, gdybyśmy nie czuli, że Roman słucha go tak uważnie, bo i on już zaczyna przeżywać słowa Kazika jak pokusy, jak drugi biegun własnych wątpliwości. Miara tej książki na tym polega, że głos przeciwnika jest nam przekazany bez cienia próby ułatwienia sobie (i nam) rozprawy z nową wiarą Kazika.

„Innej Polski nie ma i nie będzie” — mówi kusiciel, ale Roman jakby przez chwilę urzeczony czuje nagle wielkie zmęczenie i głuchy sprzeciw, zdawać mu się zaczyna, że Kazik w kółko to samo powtarzający chce nie jego, Romana, ale siebie samego przekonać. To starcie dwóch Polaków to walka nie tylko o losy Polski, a o *sens istnienia* człowieka w ogóle.

Miłosz

Wnioski Miłosza po przeczytaniu *Cieni w pieczarze* zdały mi się całkiem nieoczekiwane.

„Z całkowitym okrucieństwem wobec siebie” (i wobec nas) pisze Miłosz, że nie stać nas Polaków na zastanowienie się nad losem człowieka w ogóle — tylko myśl utylitarna, nacjonalistyczna, jest na naszą polską miarę; wkłada on te poglądy w buty już nie tylko bohatera powieści, ale samego autora książki! Polska jest zdolna jedynie do prężnego nacjonalizmu, tylko z niego może czerpać siły, gdy kraj stał się „*nareszcie* jednolity narodowo” (moje podkreślenie). A więc troska o sens istnienia w ogóle, o losy ludzkości — „to nie dla nas, nie udawajmy”, a katolicyzm jest nam drogi jedynie, bo stanowi „gwarancję naszego skutecznego oporu”. I tyle. A więc istnieć w nas nie może nawet sama świadomość, że katolicyzm to jedna z dróg — a w Polsce główna — ku wizji świata *w innym wymiarze*, gdzie życie człowieka ma sens ponadnarodowy i absolutny, gdzie człowiek to nie „pyłu garść rwanego wiatrem”, który musi się stać nihilistą, któremu wszystko wolno, bo cóż jest prawda — zawsze względna i koniunkturalna. Jaki sens w tej perspektywie może mieć to, co piszemy — tym bardziej tu, na emigracji — skoro „dostępu do tego co się w kraju dzieje nie mamy i od nas nie zależy”.

Aby poprzeć swoją tezę, że umysł Polaka nie jest w stanie

wzniesć się ponad myśl narodowo utylitarną, Miłosz wspomina Chrzanowskiego, Askenazego (niejedno nazwisko można by jeszcze dodać).

Askenazy „nie mówił prawdy”, pisze Miłosz, i to zdanie innym drukiem wybija. Cytuje słowa samego Askenazego powiedziane Jerzemu Stempowskiemu. Askenazy w dziełach swoich, w okresie gdy wykładał we Lwowie przed pierwszą wojną światową, kładł akcent na tradycje polskiego bohaterstwa, przemilczając czy sciszając odkrywane przez siebie właśnie materiały świadczące o małościach, szalbierstwach i zdradach, które dokonywały się jednocześnie na tych samych ulicach i w tych samych domach Warszawy.

*„Są prawdy, które mędrzec wszystkim ludziom mówi...
Są takie które zwierza przyjaciółom domu...”*

Ale czy przemilczenia w historii Askenazego, który był nie tylko historykiem, ale „opętany Polską” pedagogiem i wychowawcą młodzieży, która zrywa się do walki o niepodległość Polski, nie można wyrozumieć i zrozumieć? Czegóż to zresztą dowodzi?! Czy Askenazy był wówczas jedynym historykiem polskim? Młodzież ówczesna równolegle czytała historyków szkoły krakowskiej. Nie wahali się oni wskazywać na nasze historyczne błędy i winy, które upadek Polski spowodowały. Ta sama młodzież w *parę dni* rozchwytła całe wydanie okrutnej dla ludzi niechęcych widzieć nagiej prawdy o kraju swoim *Legendy Młodej Polski*.

W związku z tym zastanawia się Miłosz nad „zagadką” warstwy społecznej, zwanej polską inteligencją: w jakich ludziach, w jakich dziełach zachował się „wzorzec inteligencji w swej nie-skażonej postaci”? Tu podejrzewać zaczynam Miłosza o próbę ułatwienia sobie druzgoczącego sądu nad polską inteligencją, a nie dotarcie do prawdy bardziej złożonej. Gdzie, w jakim kraju istnieje sztywny, jednokierunkowy wzorzec inteligencji? Miłosz dziwi się nawet, że po tych samych ulicach Warszawy mógł chodzić Lechoń i Stempowski. Przecie nie ja go będę pouczał o rzeczach, które zna stokrotnie lepiej ode mnie: że wzorców jest i było wiele i że wzorzec taki w każdym kraju, w każdym pokoleniu przesuwają się w akcentach pod wpływem nowych postaci, nowych wpływów, nowego rozwoju historycznych wydarzeń. Otóż Miłosz lekką ręką wykreśla Jerzego Stempowskiego, umieszczając go w nieokreślonej sferze „kosmopolity urodzonego na Ukrainie, który przy tym utrzymywał stosunki z czytelnikiem

na lekkim fałszu oparte, fałszu 'że się tak wyrażę salonowym'!". Stempowski, który zdawał się żyć i współżyć nie z jednym ale z wielu wiekami historii i kultury, który wobec każdego rozmówcy — niezależnie z jakiej warstwy pochodził i jakiego był poziomu inteligencji — zachowywał się wcale nie z uprzejmością tylko, ale z serdeczną, ale jakże często braterską uwagą. Fałszywie salonowy? Wiemy jakie to słowo ma wydźwięk i jak w gruncie rzeczy nic właśnie dziś nie znaczy. Pisarz, który w każdym kraju, gdzie mu się żyć zdarzyło, mógł czuć się u siebie, bo korzenie jego kultury czerpały soki zewsząd, ten właśnie przedstawiciel polskiej inteligencji — polskiej w sensie tradycji nieokrojonej Rzeczypospolitej — którego krąg przyjaciół był nie tylko szeroki ale zadziwiająco różnolity, on właśnie został wykreślony ze świata *polskiej* tradycji?

Dostojewski

W swej mowie przedśmiertnej Dostojewski twierdził, że w świecie tylko Rosjanin zdolny jest być wszechczłowiekiem (tym podpisał swe skrajne, nacjonalistyczne nastawienie). Miłosz, gdy pisze o Polakach, dochodzi do wniosku wręcz przeciwnego, Polak *nie może* być, jak to nazywał Norwid, „człowiekiem wiecznym”, a jeżeli taki by się znalazł, będzie przez polską społeczność wypłuty. Bądźmy jednak konsekwentni — ta polska społeczność musiałaby wówczas „wypłuć” całą rzeszę pisarzy i myślicieli, już nie sięgając dalej wstecz, a od wieszczów zaczynając poprzez Norwida, Brzozowskiego, aż do Stanisława Vincenza i iluż innych.

Czy naprawdę typ Polaka i jednocześnie, jak to nazywał Dostojewski, wszechczłowieka jest nie do połączenia? Czy Polak który „Polską opętany” chce przechować „dawnych Polaków dumę i szlachetność” musi być koniecznie dziś ograniczony do nacjonalizmu „nareszcie narodowo jednolitej” Polski? I tylko z tego nacjonalizmu siły czerpać? Cóż to za okaleczenie polskiego wzorca inteligencji z lekkiej ręki Miłosza.

Kosmopolita rodem z Ukrainy

Stempowski i Polska. O tym mówić inaczej nie można jak bardzo nieśmiało, bo Stempowski nie miał nic z ekshibicjonisty.

„Rzadko na moich wargach —
Niech dziś to warga ma wyzna...”

Ten wiersz Kasprowicza mógłby tak samo wyrażać stosunek Stempowskiego do „najdroższego wyrazu Ojczyzna”.

Przypominam sobie moje spotkanie ze Stempowskim, pierwsze po wojnie, w Szwajcarii na przełomie lat 1945 i 1946, oraz drugie w Hôtel Lambert w Paryżu. Nie potrafiłbym nic powtórzyć z tego, co mi wówczas mówił. Pozostało mi jedno wspomnienie niechybne i niezapomniane: jakże był głęboko zraniony klęską Polski. W tym okresie właśnie napisał swoje arcydzieło: *Dziennik podróży do Austrii i Niemiec*.

„Słowacki” — pisał Stempowski — „który słyszał jak 'źródła po murawach dyszą' i przez całe swe emigranckie życie niósł pamięć brzegów Ikwy ('oddech jej wód ledwie słychać wśród szelestów sitowia')...” — głuchym trzeba być, by nie wyczuć w tych najpiękniejszych stronach wyznania tęsknoty za jego, Stempowskiego, ojczyzną, za Rzeczypospolitą. Czym innym jest ten cały tekst jak nie wyrazem miłości do wielkiej, utraconej, wielonarodowej ojczyzny?

Wraca mi jeszcze żywo jedno z ostatnich wspomnień ze spotkania w Szwajcarii, w Bernie, u jego przyjaciół, którzy byli mu najbliżsi, w domu który stał się i jego domem. Pani domu, pianistka, w mojej obecności zaczęła grać „Wielką Fantazję” OP 49³ Szopena. Jerzy długo słuchał, i nagle się zerwał, miał oczy pełne łez: „Słuchaj, słuchaj, jak ona czuje ten rytm... polski”.

Jerzy miał w sobie, może bardziej niż ktokolwiek z ludzi mi bliskich, całe rozległe warstwy przemilczeń i wstydlivości. „Być sobą, być sobą — *this above all* — cytuje słowa Poloniusza — można zdaje się tylko w jakiejś więzi konkretnej czy idealnej ze swoją rzeką, z krajobrazem swojej ojczyzny, rodzonej czy przybranej... czym będą miliony dusz wygnanych z ojcowizn przez mocarstwa, lub zamienionych jak gniadosz na bułanka w barbarzyńskich wymianach ludności? Będą dążyć z powrotem do dawnych miejsc pochodzenia lub przestaną być sobą”.

3. „Wielką Fantazję” otwiera marsz prawie żałobny, dociera ona w ogromnym porwywie do namiętnego *agitato*, by przejść w *lento sostenuto*, powinno ono (jak uczył G.) być grane jak modlitwa, by znów poprzez żarliwe *agitato* zakończyć się marszem triumfalnym. Ta 'Fantazja' jest przez muzykologów uważana za poemat narodowy Chopina”.

Taki komentarz do „Fantazji” nadesłała mi Pani Dienneke Tzaut, która przy tamtym spotkaniu nam ją odegrała.

Czy należy wykreślić tego kosmopolitę rodem z Ukrainy z wzorca inteligencji polskiej?

Zamknąć Polaka w świecie wyłącznie utylitarnego nacjonalizmu, czy to nie skazanie nas, byśmy przestali być sobą? Na to trzeba by nie tylko „zetrzeć gumą” parę ostatnich faktów z historii, ale przekreślić całą naszą tradycję Rzeczypospolitej Obojga Narodów, której Jerzy Stempowski był najczystszy wyrazem.

Czy nie jest to jeszcze jedna, żądająca odpowiedzi, *prowokacja*, już nie Stalińskiego, ale Miłosza?



Wśród zapisków Simone Weil w *Pesanteur et grâce* jest jej krótka notatka, do której zawsze powracam z tym samym uczuciem zaskoczenia:

„Nie zapominać, że w pewnych chwilach moich bólów głowy, gdy kryzys się wzmacniał, pragnęłam intensywnie zadać ból komuś drugiemu, uderzając go w czoło, w to samo miejsce”.

(*Kultura* nr 12/303, 1972)

SOŁŻENICYN

Każdy kto sprzedaje choć w najlepszym celu rozum swój nie dodając do tego osoby swojej — knowa zdradę prawdy, bo prawda nie jest tylko wiedzą ale i życiem razem.

Norwid

Konferencja prasowa w Zurychu u Sołżenicyna. Giedroyc i ja wśród chyba 30-tu zaproszonych z prasy światowej dziennikarzy. Gwałtownie świecące reflektory telewizyjne bijące w oczy gospodarza, magnetofony dziennikarzy, tłumaczkki, które słowa Sołżenicyna będą tłumaczyć półgłosem.

Pierwsze wrażenie to potężna, masywna postać Sołżenicyna. O ileż młodszy jest niż na znanych wszystkim zdjęciach; stoi oparty o wysoki kantorek najeżony mikrofonami, mówi wolno przez 4 godziny pod rząd (ma pod ręką kilka arkuszy notatek) donośnym, ani chwili nie słabnącym głosem. Dziennikarze stłoczeni, wpłątani w kable telewizyjne, wśród oślepiających lamp — wszystko w dwóch niewielkich pokojach. Siedzimy zafascynowani treścią, poziomem przemówienia i bardziej jeszcze samą postawą mówcy, bijącą od niego nigdy dwuznaczną, nigdy pozorą siłą przekonania.

Dlaczego zaliczyć muszę to popołudnie zurychskie do wielkich przeżyć mego życia? Nie szukam nigdy, i właściwie nie znoszę tłumnych spotkań, które równie dobrze mogą zarazić słuchacza baraním zachwytem, jak rozproszyć i zgasić to, co w przeżyciu jest istotne. Po przeczytaniu jego dzieł — od *Iwana Denisowicza*, od *Oddziału chorych na raka* i *Pierwszego kręgu* po *Archipelag Gułag* — nie potrzebowałem widzieć autora, aby wiedzieć kim on jest, i całym sercem go uczyć, a przecież spotkanie,

spojrzenie sobie w oczy, dało mi akcent ludzki, jedyny, którego nic nie zastąpi.

Celem tego zebrania dla Sołżenicyna — który tak się dotychczas bronił przed nacierającym go tłumem reporterów i dziennikarzy — było sensacyjne zawiadomienie nas, że dnia poprzedniego (14 listopada) odbyła się równolegle w Moskwie konferencja prasowa przyjaciół Sołżenicyna w związku z nowym, tajnym, w tejsze Moskwie wydaniem samizdatu: książki zbiorowej esejów, „jakiej u nas, w Rosji, nie było od 50 lat”! Z tych esejów trzy zostały napisane przez niego samego, inne zaś przez najbliższych mu w Rosji towarzyszy: światowej sławy matematyka Szafarewicza, historyka Borysowa, cybernetyka Agurskiego, Barabanowa, Gordonowa i jeszcze dwóch, których nazwisk ująć nie chciał. Książka ta, już od sześciu lat w przygotowaniu, dotyczyć ma problemów dzisiaj najbardziej palących — jest jakby wyznaniem wiary tej grupy dławionej inteligencji rosyjskiej. Tytuł jej *Iz pod głyb* („Spod złomów”).

O książce mówił nie informator tylko, mówił człowiek całą swoją osobą — wyznawczo i intymnie.

„Wy nie wiecie, wyobrazić sobie nie potraficie, jak myśl się rozpierzcha (*kak razbredajutsia mysli*), gdy nie ma możliwości dialogu, wspólnego przemyślenia, wypowiedzenia”.

Całe przemówienie było podkreśleniem związku pisarza z jego przyjaciółmi, którzy tam, w Rosji, książkę tę wydali. Ma ona dla niego znaczenie wyjątkowe, w imię tego w Rosji wszyscy jej obecni autorzy i wydawcy idą na skrajne ryzyko aresztów i zesłania, świadomi tego co im grozi.

Ogromna większość referatu Sołżenicyna była poświęcona naświetleniu treści poszczególnych esejów książki oraz ocenie ludzi, którzy wzięli w tej pracy zbiorowej udział. Książka ma się ukazać niebawem po rosyjsku w wydawnictwie YMCA Press w Paryżu, jak również w tłumaczeniu francuskim w wydaniu Seuil.

Nie będę tu przekazywał treści ogromnego przemówienia, chcę się jednak pokusić o przekazanie paru zasadniczych nurtów zapowieranego dzieła w ustawieniu i hierarchii ważności zagadnień, nadanych przez mówcę. Akcent tu był przede wszystkim położony na stronę chrześcijańską, religijną w najszerszym znaczeniu tego słowa — religii jako źródła siły, gotowości ofiary, wyrzeczeń, całkowitego oddania się sprawie, do śmierci włącznie. Te wielkie słowa, tak przez tyle przemówień zdarte, brzmiały w ustach mówcy jakby były powiedziane po raz pierwszy, z całą siłą pełnego przeżycia.

Dla Sołżenicyna właśnie ten nurt religijny — który w Rosji z nową siłą się budzi — osłabł na świecie, zaginął w dzisiejszych cywilizacjach, stąd ich kruchość i bezsiła.

Mówiąc o ustroju sowieckim Sołżenicyna dodaje, że nie chce robić polityki, że nie nawołuje do jeszcze jednej rewolucji, bo wierzy, że groźniejsza od kulomiotów jest prawda, wystarczy by żaden z poddanych władzy sowieckiej obywateli nie kłamał, nie solidaryzował się z nią nawet ukłonem, nawet uśmiechem, by ta władza w proch się rozpadła. Mówił z żalem, że ta jego teza, tylokrotnie przez niego wypowiedziana, napisana, nie została przez dziennikarzy na Zachodzie nawet zauważona.

Słuchając tych słów wiary i gotowości do wszelkich ofiar dla wielkiej, wspólnej sprawy, nie mogły nie przypomnieć mi się inne teksty, które zna każdy Polak.

„Każdy z was w duszy swej ma ziarno przyszłych praw i miarę przyszłych granic. O ile powiększycie i polepszycie dusze wasze...”

Ten sam nakaz moralny, bezwzględny, ten sam akt wiary, ale tu, w ustach Sołżenicyna, w jednym różnił się zasadniczo, był całkiem pozbawiony *omamień mesjanizmu* i tu może tkwi punkt ciężkości całego wystąpienia Sołżenicyna. Twarda jest jego mowa. Żąda on od narodu rosyjskiego — a za nim od *każdego* narodu — samoograniczenia, przyznania się do win własnych w przeszłości, i wyrzeczenia wszystkiego co jego ojczyzna odebrała innym, co nie jest nią.

Gdy Sołżenicyn mówi o tym z zarażającą magią własnej wiary — przyznam się, że słuchałem tego ze wzruszeniem, ale i drżeniem. Mignął mi w pamięci młodziutki Sania z powieści Sołżenicyna *Sierpień 1914*, zaczajony w parku Jasnej Polany, dokąd się wybrał aby u wielkiego starca szukać drogowskazu. Na jego zapytanie: jak żyć — odpowiada chmurny starzec:

„Służyć dobru i tym tworzyć Królestwo Boże na ziemi, nikt nic lepszego nie wymyśli, miłością i tylko miłością”. Ale Sania, choć z drżeniem w głosie: „A jeżeli miłość nie jest tak silna, nie tak obowiązująca w duszy wszystkich?, jeżeli ona nie zwycięży, przecie wtedy nauka wasza, Lwie Nikołajewiczu, okaże się... bezpłodna?”.

Co łączy i co dzieli Sołżenicyna od Tołstoja powinno być przemyślane do końca. Tołstoj, ten król Lear uciekający z Jasnej Polany i umierający na małej stacyjce prowincjonalnej, głęboko Rosjan, i nie tylko Rosjan, naznaczył. Wyznawcy jego, *nieprotiwłency*, których obowiązywało przede wszystkim jedno: „nie

zabijać” — było ich tysiące, iluż ich tkwiło w więzieniach carskich. Czy uratowała ojczyznę ta garść czystych?

I tu zdaje mi się, że między Sołżenicynem a Tołstojem nie ma jedności: ten człowiek walki zdaje mi się nieskończenie mniej dogmatyczny i mniej sztywny niż Tołstoj — starzec, głoszący niesprzeciwianie się złu jako prawie że jedyną wskazówkę. Sołżenicyn rozumie, czuje głębiej węzły sprzeczności, w których się człowiek boryka, warstwy i warstwy świadomości i konieczności historycznych, w których człowiek — chcący żyć społecznie — żyć musi.

Jak już pisałem, Sołżenicyn w przemówieniu powracał coraz do tego, że nie nawołuje do nowej rewolucji, jeszcze jednej rewolucji, że przemówienie jego ma cel nie polityczny, ale moralny, że chodzi mu ponad wszystko o więcej, o wyżej — o zwycięstwo nad sobą, nie ludzi tylko, o zwycięstwo nad sobą narodów, bez czego nic zrobić się nie da. Ale w skutkach swoich tego rodzaju wypowiedź nie może nie być polityczna. Czy wierzy Sołżenicyn, że mury Jerycha runą jedynie od „głosu trąb” i od „krzyku ludu bardzo wielkiego”?

Stosunek Sołżenicyna do komunizmu jest wyraźny: odrzuca go w czambuł jako teorię, jako ideologię — dziś już martwe w Związku Sowieckim. Nikogo już porwać się nie da w imię walki klas — za dużo już było krwi wylanej.

Stalinizm? Przekreśla to słowo z pogardą — ono nic nie znaczy, to tylko parawan, którym ludzie chcą osłonić martwą już ideę. I dodaje: „Sam trafiłem do więzienia twierdząc, że Stalin sfałszował ideę Lenina, że Lenin był dobry, a Stalin zły. Byłem w błędzie — Stalin szedł wiernie po linii Lenina. Dziś już słyszymy, że Lenin był też niedobry, bo Marksa sfałszował; być może Marks jest dziś jeszcze na Zachodzie siłą napędową takiego czy innego działania, ale w Rosji, w Sowietach, dzięki ich władzy, przez sto lat imienia Marksa wspominać nawet nie będzie można”.

Przekazując treść jednego z esejów mającej się ukazać książki, mówca zaznacza, że jest ona również krytyką samego socjalizmu od podstaw, od Platona do Marcuse’a, jego mitologii, jego ideologii przestarzałej i na tyle już dziś wieloznacznej, że stała się workiem, do którego każdy pcha co mu się podoba.

Punktem centralnym przemówienia był problem nacjonalizmu. Wiem — mówił — że na Zachodzie problem ten jest również nabrzmiały, ale to nic w porównaniu ze stanem zapalnym narodowych problemów w Związku Sowieckim. Nacjonalizm jest dziś

w Rosji *na ostrije lezwia*, na ostrzu noża, wystarczy iskry, by świat sowiecki stanął w ogniu i chaosie.

Jak Rosjanie zachować się powinni w takiej sytuacji? Przede wszystkim odciąć się kategorycznie od klasycznej metody sowieckiej, to znaczy od podniecania w państwie wielonarodowym wszystkich nacjonalizmów małych narodów, aby — przy dojściu do władzy komunizmu — z całym okrucieństwem i stanowczością te właśnie narodowe dążenia do wolności niszczyć i zniewalać powstające już nowe struktury państwowe.

Należy *widzieć*, że idee narodowe bynajmniej nie są „przezwyciężone” — przeciwnie, nigdy nie były tak żywotne — i *przyjąć* całą odpowiedzialność za własną narodową przeszłość i własne narodowe zbrodnie, przyjąć ograniczenie narodowych ambicji i jeżeli chodzi o Rosję, mieć gotowość wyrzeczenia się wszystkich terenów na których ludność oddzielić się pragnie, dążąc do własnej narodowej niepodległości.

„Tego również w pismach moich dotychczasowych prasa nie dostrzegła” — mówi z żalem Sołżenicyn. — „Przecie dlatego powiedziałem, że oceanem naszym nie jest Ocean Indyjski, ale Lodowaty, bo wszystkie narody pragnące oderwać się od Rosji muszą mieć swobodne prawo odejścia”.

To wszystko powiedziane było z tym samym porywem przekonania — cały człowiek stał za tymi słowami.

Koniec przemówienia poświęcił Sołżenicyn odpowiedziom na zapytania; mówił o *Kontynencie*, piśmie które tylko co powstało, na razie w wersjach rosyjskiej i niemieckiej, do redakcji którego nie należy, ale z którym się solidaryzuje. W związku z tym dał ostrą odpawę na list otwarty Günthera Grassa, zaznaczając jak lewica — która dziś zarzuca pismu, że skorzystało z pomocy wydawnictwa Springer — jak ta lewica na całej kuli ziemskiej gościła, popierała, odwiedzała przez lata „naszych katów”. Mówiąc o katach wspominał przy tym Katyń, Warszawę, Budapeszt i Pragę.



Po tym wielogodzinnym przemówieniu mieliśmy możność — Giedroyc i ja — rozmawiać we trójkę z Sołżenicynem. Co uderzyć nas musiało, to bolesny akcent głosu, gdy mówił o Warszawie. Przecie w 44 roku był na froncie zachodnim, nie był jeszcze aresztowany.

„Armia Czerwona nie mogła przyjść wam z pomocą? Co za brednie! Artyleria milczała, a oni woleli patrzeć przez lornetki, jak ginie Warszawa!”.

Czuło się, że to wspomnienie tkwi jeszcze dziś kołcem w sercu Sołżenicyna, bo on naprawdę czuje ojczyznę jako zbiorową odpowiedzialność.



Chciałbym dodać do tego sprawozdania, skleconego z pobieżnych notatek, parę słów, w których sam siebie zacytuje. We wstępie do *Nieludzkiej ziemi* napisałem w 1948 roku ile Rosji, literaturze rosyjskiej, przyjaciołom Rosjanom zawdzięczam, dodając że pomimo to „w miarę pisania tej książki nie słabła we mnie, a narastała świadomość tragicznej przeciwstawności Polski i Rosji, naszych koncepcji, naszych dróg historycznych. Narastało poczucie śmiertelnego zagrożenia Polski”.

„W moim, w naszym stosunku do Rosji, mogę powiedzieć naszym — bo linia *Kultury* była ta sama od początku — istotne jest jednak, że tak jak 27 lat temu, tak i teraz wierzymy, że to zagrożenie minąć może i musi, gdy tam, w Rosji, będziemy mieli — jak mawiał Norwid — swoją partię, to znaczy sojuszników i przyjaciół prawdziwych, gdy nie tylko uwolnimy się od zmory sowieckiej, ale przewyciężymy w sobie — i Rosjanie i my, Polacy — szowinizm narodowy i wieczne pokusy imperiaлизму. To stanowisko *otwarte* — nadziei w stosunku do przyszłości, jest i było stanowiskiem *Kultury*. Sołżenicyn to dla nas nadzieja wspólnej walki o ten sam cel: o wolność narodów Wschodu Europy”.

(*Kultura* nr 12/327, 1974)

MALRAUX

Umarł Malraux. Czy można pisać o nim dziś, kiedy wszystkie pisma, radia i telewizje są pełne wspomnień o nim, dytyrambów czy tekstów wyrwanych z jego dzieł.

Czy można to zrobić bez dłuższego namyslenia, odczytania jego książek, które naznaczyły nie tylko moje pokolenie, nie wpadając w już stokrotnie wypisane o nim ogólniki. Trzeba by przemyśleć nie tylko jego książki i jego czyny (*l'homme est ce qu'il fait* — to jego powiedzenie), ale i jego głębokie pobudki, sprzeczności i rozdarcia — od obsesji śmierci, samobójstwa, od zawsze podkreślanego agnostycyzmu i nieustannego przy tym powracania do problemów metafizycznych. Coraz to wracał Malraux do tego, co nazywał *le sacré* i napisał kiedyś z irytacją: „Czyn nie zastępuje absolutu, ale pozwala o nim zapomnieć”. Związane z tym było nadużywanie słownictwa religijnego, gdy mówił o sztuce, tworząc przez to zamęt i konfuzję między sztuką, estetyką i religią, a jednocześnie właśnie o religii ileż można znaleźć u Malraux celnych błysków myśli.

Człowiek chińskiej rewolucji — nie zapomnę pierwszego z nim spotkania w zacisznym salonie Daniela Halévy, zaraz po jego powrocie z Chin i po napisaniu *Condition humaine*, tego anioła rewolucji z mieczem ognistym, z piękną twarzą pociętą nieustannymi drgawkami — był on wtedy jeszcze miłym gościem Kremla (właśnie przez Moskwę wracał z Chin), potem był bohaterem Czerwonej Hiszpanii, autorem może najpiękniejszej swojej powieści, *Espoir*, bogiem francuskiej lewicy, zaangażowanym całkowicie w walkę „czasów pogardy” z Hitlerem. Wojna, *Résistance*, a następnie nagłe, całkowite oddanie się de Gaulle'owi — chciałbym prawie powiedzieć akt wiary w de Gaulle'a — i słowa Malraux — „wybrałem Francję” — ten punkt wyjścia całej

późniejszej jego działalności. Nie pamięta się już dziś, jakie to wywołało wówczas zgorszenie w pewnych, najbardziej mu oddanych kołach rewolucyjnej lewicy.

Co było dominantą pobudek wszelkich podejmowanych przez niego akcji, wszelkich zaangażowań — od rewolucyjnych Chin aż po Bangla Desh — czy nie w pierwszym rzędzie obrona człowieka uciśnionego, zniewolonego, zdeptanego — gdzie by ten człowiek nie był — i właśnie to zyskało mu przyjaciół, towarzyszy, wyznawców na całej kuli ziemskiej; ten bojownik Malraux był nasiąknięty mitami wszystkich czasów i cywilizacji, które znał i nieustannie do nich powracał, które przeżył poprzez swą wieloramienną kulturę i niebywałe wszędobylstwo. („Prawda, że gdy wspominał Prometeusza, nigdy nie było wiadomo czy nie szuka najprościej — zapalek” — napisał jeden z jego przyjaciół). Był w nim także teatr, teatr czasami nie do zniesienia patetyczny. Ta patetyczność (jego mowa pogrzebowa na cześć Jean Moulin, jego mowa na Akropolu, etc.), wypowiedzana z emfazą Sary Bernhard, ale cóż! te mowy właśnie, jak się teraz dowiaduję, wywoływały i dziś jeszcze wywołują wśród młodych entuzjazm, poczucie że poprzez nie odkrywali nieznane im horyzonty duchowe! Był to nie tylko „teatr”, było febrylne, pospieszne tworzenie mitu, przetwarzanie rzeczywistości, błyskawiczne i tak silne, że dla ludzi, którzy byli świadkami pewnych wypadków i sami jemu te wypadki opowiadali, stawały się w tekstach Malraux zupełnie nie do poznania!

A jednak ten poryw, ten żywioł i patos świadczyły o jego niegasnącej, przetwarzającej wszystko imaginacji.

Wspominając tego współuczestnika tylu walk, gdzie zawsze płacił sobą, chciałbym powiedzieć jedno —

nigdy mi ten co szlachetny nie był obojętny

— te słowa miałyby prawo powiedzieć i on, bo takim był Malraux.



Wśród pisarzy francuskich tamtej epoki znajduję tylko dwóch, którzy natychmiast, bez zastrzeżeń, nie tylko uwierzyli w sens powstania *Kultury*, ale bez żadnych obłonek i niedomówień gotowi byli *Kulturze* pomóc. Pierwszym był Bernanos. Jak do niego wówczas trafiłem? Chyba pod wrażeniem jego tekstu o Powstaniu Warszawskim, jedyne go tej miary i tej siły, przez Francuza napisanego. Posłałem mu wówczas mój list otwarty do

Mauriaca i Maritaina, napisany w okresie dogasającego Powstania. Na ten list nie miałem żadnej francuskiej reakcji, poza odpowiedzią Bernanosa. Później, w okresie zakładania *Kultury*, zwróciłem się do niego z prośbą by zechciał do *Kultury* coś napisać. Odpisał mi natychmiast, nie tylko obiecując przysłać nam tekst, ale zaznaczając jednocześnie, że o żadnych honorariach mowy być nie może. Nasza współpraca nie doszła do skutku, bo kilka tygodni, czy może kilka miesięcy potem Bernanos już nie żył.

Co się zaś tyczy Mauriaca i Maritaina, do których mój list otwarty był zaadresowany, nie dostałem żadnej odpowiedzi. Maritain był wtedy ambasadorem de Gaulle'a przy Watykanie, a mój list musiał na pewno uważać za nietakt, milczeć trzeba było wtedy o Polsce — chodziło o Rosję! Mauriac, gdy potem go w Paryżu odwiedziłem i przypomniałem, że na list mój nie zareagował — odpowiedział mi wzruszeniem ramion, z miną trochę zawstydzoną (a może mi się to tylko zdawało), ale był to okres gdy de Gaulle politykował i grał z Sowietami, potrzebne mu to było w rozgrywce z Ameryką i Anglią. Powstanie Warszawskie trzeba było przemilczeć. Ci Polacy wciąż robią coś nie w czas!

Dziś już nie pamiętam, jaki był wówczas we Francji stosunek do Polski i do Rosji Stalina — wystarczy mi jednak jeden jakże charakterystyczny przykład — doświadczenie z *Nieludzką ziemią*, którą wtedy zamierzałem wydać. Malraux przesłał mój rękopis do Calmann-Lévy i po dziesięciu dniach dostałem wiadomość od osoby kierującej kolekcją tego typu książek, że książka jest przyjęta. Tą osobą był Raymond Aron. Radził mi jedynie jeden czy dwa rozdziały trochę skrócić, ze względów czysto literackich. Nie przeszedł jednak tydzień, jak zostałem wezwany do samego p. Calmann-Lévy: „Moja ocena pańskiej książki jest zupełnie inna niż p. Arona. Nie będzie ona mogła ukazać się w moim wydawnictwie. Pisze pan za dużo o Polakach, którzy Francuzów nie interesują. Trzeba by bardzo wiele z tego wyciąć, ale — co jeszcze ważniejsze — jest pan zanadto antystalinowski, *to nie przejdzie*. Musi pan książkę przerobić: być prostalinowskim na początku, a pod koniec książki wolno panu będzie wyrazić pewne oceny krytyczne”.

Magia Stalina, strach przed Stalinem trwały tu w Paryżu. Szeptem mówiono o porywaniu emigrantów, czekano, zdawałoby się, czy bolszewicy i Francji również nie zaleją, potężna wówczas komunistyczna partia francuska wierzyła w Stalina jak w boga i Jean Kanapa przemawiał innym tonem niż dzisiaj, wymyślając

przeciwnikom Stalina od *vipères lubriques*. W tym samym okresie, u tegoż Calmann-Lévy chyba, ukazała się *Ciemność w południe* Koestlera. Sukces był ogromny i pono jego wydawca tak się tego przestraszył, że nie chciał zrobić drugiego wydania (takie chodziły wówczas pogłoski).

Siedząc rano w pokoju hotelowym Koestlera opowiadałem mu, pewnie zbyt głośno, o Stalinie, i zauważyliśmy nagle, że pod drzwiami, które prowadziły do sąsiedniego pokoju, ktoś wsunął biały papier: „Ostrożnie, nie tak głośno, w hotelu mieszkają członkowie delegacji sowieckiej!”. „Więc i tu — wybuchnął Koestler — wolno mówić o Stalinie tylko po cichu!”.

W 45-tym roku odwiedziłem Malraux pierwszy raz po wielu latach, zaraz po przyjeździe z 2-go Korpusu z Włoch, i doznałem natychmiast uczucia, którego inaczej nazwać nie umiem jak uczuciem braterstwa. Znał mnie przecie zaledwie przed laty, nie o mnie tu chodziło, ale Polska w jego wyobraźni *istniała*, nie było mowy o ulubionej kliszy francuskiej: *La Pologne digne et malheureuse*, ani o nawianej wówczas przez komunistów karykaturze Polski faszystowskiej, zdawało się jakby czuł ukryty nerw i sens naszej historii i jej tragedię ostatnią, pasjonowało go przy tym wszystko, co mogłem mu o Rosji sowieckiej opowiedzieć (inna sprawa, że spamiętał i po latach powtórzył w *Antimémoires* fakt, przeze mnie opowiedziany, tak go patetycznie przeinaczając, że z trudem rozpoznać mogłem jego ślad).

W tych pierwszych spotkaniach w 45-tym mówił mi m.in., że de Gaulle posiada wszystkie teksty i książki Piłsudskiego tłumaczone na francuski.

Już wtedy powiedział mi: „Jestem bardzo zajęty (o ile pamiętam, pracował właśnie nad *Les voix de silence*), ale kiedykolwiek będziecie czegoś potrzebowali, zwracajcie się do mnie — co mogę, to zrobię”. Nie nadużywaliśmy tej gotowości pomocy, ale parę razy, gdyśmy się do niego zwrócili — pomógł nam, jak mógł. I jeszcze w 1954 roku, kiedy nas wyrzucono z domu w Maisons-Laffitte i *Kultura* nie miała się gdzie podziać, groziło nam wówczas przerwanie naszej pracy, napisał dla nas tekst, który się w prasie ukazał i był nam pomocnym. Tekst ten tutaj podaję w tłumaczeniu na polski:

Do Redakcji „Kultury”

Drodzy przyjaciele,

Doświadczenie któregośmy nie zapomnieli pozwala nam od

razu i po bratersku rozpoznać w „Kulturze” pismo „okupowanego kraju”.

Macie słuszną mówiąc, że w boju jaki prowadzicie jesteście grupą tak samotną, jak samotny jest każdy kto mówi „Nie” zwycięskiej przemocy; ta względna samotność stanowi cenę tego, co uzasadniona wasza duma ma prawo uznać za waszą niezależność moralną, polityczną i materialną. Ze „Kultura” musiała opuścić dom, w którym na przeciąg siedmiu lat znalazła schronienie — wydaje się być tego gwarancją; pomoc, z jaką się spotykacie, od Szwecji po Amerykę Łacińską — wydaje się nią być również, właśnie dlatego, że pomoc ta nie wystarcza. Mniejsza o to: gwarancją „Kultury” jest każdy jej numer.

Jeżeli świat niedostatecznie rozumie wasz dramat, dzieje się to, wydaje mi się, przede wszystkim dlatego, że uważa on kulturę polską za kulturę słowiańską, pokrewną kulturze rosyjskiej. Zapominając, że choć istnieje geniusz rosyjski, nie istnieje kultura rosyjska w tym sensie w jakim mówi się o kulturze narodów zachodnich; raczej więź, skomplikowana i dwuznaczna, z Bizancjum; i że kultura polska, związana ze światem łacińskim, jest jedną z kultur Zachodu. Stąd okupacja kulturalna (a nie więź kulturalna!), która ciąży wam na równi z dostówną okupacją. Stąd sens historyczny waszej akcji intelektualnej.

Nie bronić Polski ani w imię Traktatu Wersalskiego, ani w imię kapitalizmu, bo odrzucacie i jedno i drugie, wskazując na głęboką niesprawiedliwość społeczną, której wasz kraj w imię sprawiedliwości społecznej stał się ofiarą, bronić wolności tworzenia przeciwko okupacji, jaką wam narzucono, tak jak my jej broniliśmy zarówno przeciwko nazizmowi jak przeciwko Niemcom, jesteście razem z tymi, którzy, pomiędzy 1940 i 1944, bronili wszelkiej wolności, podobnie jak tylu innych broniło jej dawniej. Wysyłacie potajemnie do Polski książkę Orwella, a nie książkę doktrynera, podobnie jak nasi republikanie wysyłali do Francji „Châtiments” w wydrążonych popiersiach Napoleona III. I bez wątpienia czas aby Zachód zrozumiał, że jest z wami złączony, ponieważ wszelki opór jest kwestią wytrwania, a pogotowie bojowe wymaga siły ducha.

André MALRAUX

Malraux odszedł, ale jeszcze nie przestał do nas mówić. W początku przyszłego roku ukazać się ma jego książka *La pérennité de l'homme et la littérature*; książkę tę już był oddał do Gallimarda w zeszłym roku, znów ją odebrał, by ją całą

przepracować: godzinami w ostatnich miesiącach życia czernił papier.

Wbrew temu wszystkiemu, czego w tym człowieku przyjąć nie umiałem: tej gorączkowej, jakby coraz mniej opanowanej wielosłowności, tej nieustannej mitologizacji wszystkiego, o czym pisał i mówił, wciąż zastanawiam się jeszcze kim był ten człowiek o błyskach myśli genialnych, człowiek wielkiej hojności, który brał czynny udział we wszystkich wstrząsach dziejowych naszej epoki, który tyle myślał, tyle napisał o tym, co się w świecie działo, tyle pisał o sztuce wszystkich czasów i kultur i tak je do nas zbliżył.

Może jednak to było w tym człowieku najważniejsze, że umiał być *przyjacielem*.

Malraux, który napisał: „Czyn nie zastępuje absolutu, ale pozwala o nim zapomnieć”, ten człowiek gorączkowego czynu, żyjący nieustannie w tłumie ludzi bliskich, towarzyszy i przyjaciół, umierając sam w szpitalu, bez kobiety, bez przyjaciela, bez kapłana, w tej *chambre stérile*, do której nikt poza lekarzem nie miał prawa wstępu, może przeżył tam nagle łaskę ciszy i wyzwolenia — człowiek spragniony absolutu został może tą ciszą nawiedzony i może wtedy mógł nagle wypowiedzieć słowa, które znał na pewno, bo znał wszystko — „Panie, nie jestem godzien, abyś wszedł do przybytku serca mego, ale rzeknij słowo, a będzie zbawiona dusza moja”.

(*Kultura* nr 1/352-2/353, 1977)

ROZRACHUNKI

Kiedy pod koniec tego roku, wyjątkowo trudnego, zabierałem się coraz to pisać do *Kultury*, narzucało mi się jedno zdanie, którym chciałem — zdawało mi się, że musiałem — moje pisanie zacząć:

„Czas kończyć”.

Więc dlaczego teraz nie zaczynam pisać od tego zdania, które mnie od pewnego czasu ścigało wewnątrz? Bo każdy skrót myślowy, gdy go zaczniemy opukiwać, uważniej się nad nim zastanawiać, porasta w drobne z początku poprawki, dopełnienia, nieznacznie traci swą lakoniczną siłę rozkazu. Poprawki prowadzą do wniosków, które nawet nieraz sens jego odwracają.

Czy naprawdę czas kończyć?



Żołnierz rosyjski w dawnych czasach, chyba u Tołstoja to wyczytałem, wkładał przed bitwą czystą koszulę, żeby w razie kiedy będzie zabity umierał godnie i w czystej koszuli stanął przed obliczem Boga. Ale ten żołnierz nie zawsze ginął od szabli czy kuli, jeżeli zaś chodzi o każdego człowieka, co już przekroczył osiemdziesiątkę, śmierć jak wspomnianemu żołnierzowi nie może *nie* zaglądać w oczy, przypomina mu ją własna narastająca niesprawność, gdyby tylko fizyczna, bardziej jeszcze mentalna.

Więc śmiertelna koszula?

Naturalnie, ale równolegle płyną przecie w nas, niezależnie od wieku, rodzące się plany na dzień jutrzejszy, na przyszłość; czy powinniśmy im z całą bezwzględnością łeb ukręcać dwoma słowami:

„Czas kończyć”?

Franciszek Salezy, biskup genewski, urodzony w górach Saubaudii, jako stary już człowiek (miał 54 lata!) odwiedził przez siebie poświęcony kościół i pustelnię w wysokich górach. Wyznał przeorowi już dawniej, że tam właśnie pomysł „sypały mu się do głowy tak ziarnisto jak śnieg co pada tutaj w zimie”.

Rok przed śmiercią biskup zdecydował się tam osiąść i tam różańcem i piórem Bogu służyć. Gdy dziwiono się, że w tak późnym wieku jeszcze miał takie plany, odpowiedział:

„Trzeba podejmować dalekie zamierzenia, tak jakby się miało żyć wiele czasu i pracować nad nimi z sercem spokojnym i nie uwikłanym (*avec calme et détachement du cœur*), tak jakby się umiało umrzeć jutro”.

(Święty umarł w rok zaledwie po wypowiedzeniu tych słów).

Przepisuję tę stronę z pięknej książki *Góry niewzruszone* Jacka Woźniakowskiego, bo słowa te przychodzą mi coraz to na pamięć, jak pomoc i wskazówka, jak należy żyć. To wskazanie świętego — przeciwieństwo uproszczonej formuły „czas kończyć” nie tyczy tylko eremity, ale każdego starego człowieka.



Dlaczego ten długi wstęp dziś, kiedy sprawy, które w tym artykule chciałem poruszyć, zostały przesłonięte szczerze dwoma przeżyciami, które mi nie tylko przywróciły wolę życia, ale dały taki ładunek entuzjazmu, że nawet o śmiertelnej koszuli zapomniałem?

W ostatnim „Dzienniku pisanym nocą” Grudzińskiego trafiam na zdanie następujące: „Literatura w ogólności jest ustawicznym wysiłkiem przechwycenia na chwilę nieuchwytnego, skrywanego, umykającego. Kiedy jest literaturą na serio, ma pełną tego świadomość”.

Chodzi mi tutaj o to, że wczytanie się w dwa dzieła literatury najbardziej różne uświadomiło mi, jakbym o tym zapomniał, czym jest „literatura na serio”, która poprzez właśnie ten dotyk do światów innych, nieskończonych, bez których człowiek się dusi, daje przeżycie, które ma siłę wskrzeszającą. Chcę tu pisać o dzienniku przedśmiertnym Korczaka i o czterech opowiadaniach młodego pisarza serbo-kroackiego Branimira Szczepanowicza.

Te teksty trafiły mi do ręki prawie wypadkowo, wśród nawału rozjazdów, strzępów gazet i tygodników czytanych urywkami, i dały mi nagle przeżycie takiej siły i znaczenia, że nie umiałbym tego przemilczeć.

Dziennik Korczaka był pisany od maja do 4 sierpnia 1942 roku w getcie warszawskim (ostatnia strona z 4 sierpnia, kiedy już od 22 lipca rozpoczęta została akcja *Endlösung*, likwidacja i masowa zagłada getta). Jakże to się stało, że dziś dopiero czytałem się naprawdę w całość tego dziennika. Kochaliśmy autora od wczesnej młodości, *Dziecko Salonu*, *Koszalki Opatki* należą do naszych najwcześniejszych odkryć — potem w 1918 nastąpiło nasze z nim spotkanie w mrocznym gabinecie z oknami na ciemne podwórze. Korczaka dzisiaj znają wszyscy: jego dzieło *Dom Sierot*, jego śmierć jakby przesłoniły miarę jego pisarstwa. Nie wiem, czy i jak próbowano go ustawić jako pisarza w świecie literatury polskiej czy ogólnoswiatowej. Zresztą, kto zna jego cały dorobek, kiedy 4 tomy jego pism to jeszcze wybór jedynie? Przecie trudno o tekst bardziej pasujący do tego co Grudziński nazwał literaturą na serio, tych stron kilkadziesiąt pisanych urywkami w nocy.



Wiele w życiu czytałem dzienników w najszerszym znaczeniu tego słowa, to było zawsze moją pasją, od *Amieli* aż po *Ujedinionnoje* Rozanowa, aż po Simone Weil — bo *Pesanteur et grâce* to są przecie również zapiski z dnia na dzień, tyle że wybrane i „uporządkowane” po jej śmierci. Tu szukam skali porównań. Pamiętnik Brzozowskiego jest jedyną znaną mi polską książką, która w swych skrótach, zadyszeniu, w nawale myśli u progu śmierci dociera, jak Korczak, do tej temperatury i nieliczącej się z nikim i z niczym prawdy. Z dzienników niepolskich Maine de Biran (1766-1824), ten Proust *avant la lettre*, zdaje mi się mieć taki sam słuch absolutny gdy chodzi o lustro wewnętrzne, o spojrzenie na siebie, swą słabość, powolną degradację i jęk do Boga. Świata zewnętrznego coraz to jakby nie widzi, opisując go nieraz prawie jak spis rzeczy.

Du Bos? Genialny, gdy mówi o pisarzach i poetach, których czi: Baudelairze, Pascalu, Benjaminie, Constant, Hoffmansthalu i iluż innych, ale dziwnie blade (*mièvre*), gdy opisuje sceny z życia powszedniego.

Simone Weil? Nie umiem znaleźć miary porównania z nią, dla mnie to wzór najwyższy w swoim okrutnym wyzwoleniu z małości życia.

Jeżeli chodzi o oddech zdań Korczaka, o zdolność przekazania kilku słowami takiego wachlarza przeżyć, myśli o sprawach najistotniejszych, o faktach całkiem przyziemnych, o spojrzeniu na ludzi otaczających, ten rzut myśli jednocześnie w kierunku

wspomnień, te ucieczki w dalekie marzenia, mogą to tylko z Rozanowem porównać, genialnym pisarzem rosyjskim początku XX wieku.

Każdy, kto przeżył wypadki tamtych lat, getto i jego zagładę, wie na jakim tle te zapiski trzeba umieścić. Korczak ma 64 lata, Korczak co dzień wychodzi na żebry do gminy żydowskiej, do CENTOS'u, do *Jüdisches Hilfskomitee*, do doszczętnie skompromitowanych żydowskich kolaborantów... „Był ojcem 200 dzieci, dla nich musiał mieć”. W tak cennym, rzeczowym wstępie do dziennika Igor Newerly pisze o nim: „To był już inny Korczak, sterany, rozdrażniony, podejrzliwy, gotowy zrobić piekielną awanturę o beczkę kapusty”. Igor Newerly prawie że stara się tłumaczyć dziennik Korczaka, pisząc o „beładnej różnorodności tworzywa”, ale ta beładna różnorodność jest ładem: jak mógł Korczak w pośpiechu nocnych krótkich przebudzeń pisać inaczej, jak stylem coraz to telegraficznym, skrótami przekazując to co przekazał, już nie tylko aurę getta i głosy dziecięce, ale naprawdę kondycję istnienia ludzkiego.

Nie mam możliwości w artykule nie tylko wszystko zacytować co by trzeba, ale nawet wyliczyć wszystkich wątków tego niezwykłego tekstu, które zrastają się razem w jedyny swego rodzaju obraz. Z tej zawieruchy myśli i obserwacji chcę tylko wyrwać parę fragmentów, czy tytuły fragmentów — powiedzą one więcej niż wszystko co bym od siebie był w stanie dodać.

Wspomnienia zaczynają się od planu pięcioletniego Janusza, przebudowy świata, żeby nie było dzieci głodnych, potem jest śmierć ukochanego kanarka i projekt ustawienia krzyżyka na jego grobie. „Nie wolno ci — mówi służąca — to zwierzę, nawet modlić się za niego nie trzeba”, „nie wolno ci — mówi syn stróża — bo ty jesteś Żyd, więc i twój ptaszek jest Żyd: ja pójdę po śmierci do nieba, a ty gdzie indziej, gdzie będzie ciemno”, i Korczak dodaje: „a ja bardzo bałem się ciemności”. Padają na głowę dziecka wszystkie problemy, los zwierząt, śmierć, krzyż i Żyd czarny. Równolegle, na tej samej stronie, Korczak coraz to wraca do starości, nie abstrakcyjnej, ale swojej własnej, zaobserwowanej: „zmęczenie, potem już krok za krokiem uparcie w obranym kierunku, już wygodniejszym gościńcem”... „już nie mogę, już nawet nie chcę próbować”, a tuż powracają marzenia najśmielsze, książki nie napisane, które napisać musi, w serii, w której już wydał życie Pasteura: Pestalozzi, da Vinci, Kropotkin, Piłsudski, Fabre i nawet Ruskin. Napisał już powieść o królu Maciusiu, teraz kolej na króla dziecko: Król Dawid II.

„... a także zmarnować materiał, pół tysiąca wykresów wagi i miary wychowalców, nie opisać pięknej, rzetelnej, radosnej pracy wzrostu człowieka”, a obok jeszcze marzenia, marzenia: wojna poetów w najpiękniejszej olimpiadzie o najpiękniejszą na rok modlitwę, na jeden dla świata hymn do Boga.

I autobiografia „o sobie, o swojej małej osobie” i o Warszawie — „Warszawa jest moja i ja jestem jej, więcej, jestem nią, razem z nią cieszyłem się i smuciłem, jej pogoda była moją pogodą, jej deszcz i błoto moim deszczem, z nią razem wzrastałem”, i nagle hołd zwyczajnej brukowej gazecie, jaka piękna ta pozornie bezmyślna literatura, artykuł wstępny, odcinek powieści, nekrolog, a ile wiadomości, ktoś wpadł pod tramwaj, innemu skradziono futro; „rzekłbym, majestatycznie płynąca Wisła” (dziś Kisiel jeden mógłby podobną napisać metaforę, wiążąc ją z gazetą brukową). Te wszystkie teksty, lakoniczne urywki, poznaczone zapisanymi słowami, odruchami, myślami jego dzieci.

I rzadkie wzmianki, aż dziwnie rzadkie, tego co widział na ulicy: „Leży obok wyrostek: jeszcze żywy, czy już martwy? W tym samym miejscu trzem chłopcom, którzy bawili się w konie, poplątały się sznurki (lejce). Radzą, próbują, niecierpliwą się, potrącają nogami leżącego, wreszcie jeden z nich mówi „odsuńmy się, on tu przeszkadza”.

„Natchnienie... to pięć kieliszków spirytusu pół na pół z wodą — po czym idzie rozkoszne uczucie znużenia bez bólu”. Natchnienie. Daje mu świadomość, że będzie teraz w łóżku do rana, że tyle i tyle ma przed sobą godzin „normalnej pracy serca i myśli” i jeszcze wyrzuty sumienia, że „zdezerterował”, że nie został zwykłym lekarzem dzieci małego szpitala, że zamarzyło mu się więcej, i jeszcze powraca do swego zmęczenia, że trzeba będzie „wstać, usiąść na łóżku, sięgnąć po kalessy, zapiać, jeżeli nie na wszystkie to na jeden guzik... przy ubieraniu skarpetek trzeba się zgiąć...; i tu nawet cień humoru: „rozumiem Kryłowa, który cały wiek męski spędził na kanapie, mając pod kanapą bibliotekę. Sięgał ręką, czytał co mu w rękę wpadło”. I ten ciągły rachunek sumienia. Zarzuca sobie, że wszystko w nim teoretyczne, jak przez mgłę, bezwymiarowe: „są obok mnie, ale nie ma ich we mnie”.

Zarzuca sobie brak woli: „indolencja, nędza uczuć, to pełna rezygnacja”; „więc co jest? i co dalej?”; i zdanie podsłuchane: „więc co jest, że język mnie boli, że rozstrzelali?”, „już wie, że musi umrzeć i co dalej” „przecie nie umiera się więcej niż raz”; i już w końcowych stronach, już 4 sierpnia, spisuje serię po-

rażek życiowych: „a to wszystko nie, że jestem Żydem, ale że urodziłem się na wschodzie”.

„Smutna mogłaby być pociecha, że i pysznemu Zachodowi nie jest dobrze.

Mogłaby być, a nie jest. Nikomu nie życzę źle. Nie umiem. Nie wiem jak to się robi”.

I jeszcze na ostatniej kartce: „Ojciec nasz, który jesteś w niebiesiech...

Modlitwę tę wyrzeźbiły głód i niedola.

Chleba naszego.

Chleba.

Przecież to co przeżywam było. Było”.

Tu się zatrzymuję i jeszcze kartkując wstecz te strony widzę taką mnogość coraz to dosłownie paru słowami wyrażonych myśli, obserwacji, spojrzeń, że to co tu spisałem zdaje mi się skrawkiem nieogarniętej i nie do ogarnięcia dziedziny.

Tego dziennika nie wolno tylko kartkować, trzeba go przeczytać i z nim żyć.

Szczepanowicz i śmierć

Rok temu ukazała się w wydawnictwie „L'âge d'homme” mała książeczka w gwałtownie żółtej okładce z czarnym brutalnym rysunkiem Suttera, tego Van Gogha Szwajcarii: *Usta pełne ziemi*.

Autor, młody Branimir Szczepanowicz, Serbo-Kroata. Nazwisko nie mówiło mi nic. Trudno o bardziej daleki tekst od dziennika Korczaka, czysta proza poetycka z daleka, z daleka może Kafkę przypominająca:

Bohater opowiadania od miesięcy chory w szpitalu, włączając się pewnej nocy po opustoszałym pokoju pielęgniarek trafia na papiery jego dotyczące, czyta diagnozę. Pacjent nie przeżyje nawet 3 miesięcy, ma raka i jest skazany.

Reakcję ma błyskawiczną, porzuca szpital, ucieka w nocy. Nie chce umrzeć w szpitalu. Chce umrzeć w górach, w swoich górach, w Czarnogórze.

Scena w pociągu w nocy, chory siedzi milcząc wśród rozgadzanych współpodróżników, częstujących się twardymi jajami i winem. Chory milczy. Pociąg dociera do górskiej stacji. Chory stamtąd rusza pieszo coraz wyżej, już jest blisko swoich gór. Będzie miał śmierć na wolności, *swoją* śmierć.

Ale tu w górach wszystko się komplikuje, spotyka wycieczkowiczów z ich spiworami, butelkami i jadłem, chce bez

słowa zaraz od nich uciec, a może od pokusy szukania u nich ratunku. Ucieka.

Cóż to znaczy? Myślą młodzi, szczęśliwi wycieczkowicze, może ten człowiek jest w potrzebie, może mu pomóc, a może zbrodniarz, który uciekł z więzienia? Tu wszystko zaczyna się mieszać coraz bardziej, czy to maligna, zwidy przeszłości umierającego, czy prawda? Coraz większa ilość ludzi zaczyna go gonić i tropić, on biegnie coraz dalej poprzez las, poprzez gęste, miękkie, pachnące trawy. W ludziach, którzy go gonią, narasta nienawiść, nie mogą przyjąć jego obcości. Nareszcie pogoń traci go z oczu, ta już pod koniec dzika nagonka na człowieka rozprasza się, nie ma jej. Chory będzie miał *swoją* śmierć, ukryty za załomem skały.

Jest w tym tekście tematem głównym obsesja, strach człowieka przed tłumem i nienawiść tłumowi do samotnych.

Ten motyw powraca w książce drugiej, gdzie trzy opowiadania mają wątki pokrewne. Człowiek, który sam tego nie chce, staje się wrogiem, którego trzeba złapać i zniszczyć. Jakich sojuszników ma człowiek opuszczony, samotny? Tylko naturę, która go otacza, jedyną pocieszycielkę, i nagle powracające wspomnienia dzieciństwa. W pierwszym opowiadaniu są rośliny, rośliny lecznicze, w których zbawczą siłę wierzy i których nazwy i barwy zna. Jest wielka trawa i drzewa wysokie, przez które daleko przegląda niebo. W ostatnim znowu opowiadaniu pt. „Wstyd” są trzy topole, jedna z nich przybliży się do skrwawionego, leżącego przy asfalcie szosy rannego, pociesza go drzeniem i szumem swych liści, rannego, skrwawionego, który się do szosy dowłókł w nocy i którego mijają obojętnie błyszczące — z ostrymi światłami nań padającymi — auta.

Ranny jest półprzytomny: „Co znaczy ten świat, w którym się znajduję? czy ja naprawdę do niego należę?... Jakże mam na to odpowiedzieć, kiedy sam nic nie wiem, nie znam mojej twarzy, nie znam nawet mojego imienia... Przecie musi być w tej nocy jakaś istota ludzka, która nie zgubiła duszy... Umrę ze wstydu, że jestem człowiekiem”.

Jest tu taka siła poetycka, takie czucie natury, że mimo woli przypominają mi się najpiękniejsze teksty, które znam.

„Gwiazd ostatnich spojrzenia blade zagasały, ale widoczne były jeszcze gdzie nie przykrył ich obłok długi, szary, bardzo na niebiosach obwiśnięty, jako dzikiego gołębia bywają skrzydła...”

Służący jeden przeszedł wolno koło mnie, niosąc świecznik z zagaszonymi świecami, a niektóre złamane były”.

Dlaczego ten urywek z „Bransoletki” Norwida pozostaje mi w pamięci jak tekst magiczny.

Tuż obok powracają mi wspomnienia, fragmenty z listu lorda Chandos do Franciszka Bacona Hoffmannsthała. Jest tam opis starej konewki zielonej, porzuconej przez młodego ogrodnika, starej brony pod cieniem orzecha, który uderza autora listu z siłą z niczym nieporównaną. Co znaczy to nagłe poczucie, czego? nieskończoności? które, jak pisze autor, przeszywa go od korzeni włosów aż do pięt. W tym samym opowiadaniu Hoffmannsthal opisuje zatrucie tysięcy szczurów w piwnicach pałacu lorda Chandosa i na jego rozkaz. Przeżywa tu sam wstrząs podobny i broni się w liście, że to wcale nie jest litość, lecz o wiele mniej i zarazem o wiele więcej.



Sztuka zmienia świat w dziwny kryształ, który w człowieku wskrzesza coś, co zdawałoby się w nim zamarło, nie ucieczkę w jałowy estetyzm, ale w dotknięcie innego wymiaru przeżyć. Do tego doprowadzić nas może dziennik Korczaka, unurzany w krwi i pocie codzienności getta, a także przezroczysta jak kryształ sztuka poetycka Szczepanowicza, nie mniej okrutna ale wysublimowana, która nam przynosi nagle stan szczęśliwości, nie odbierając nam nic z bólu życia.

(*Kultura* nr 3/379, 1979)

TYLKO DLA DOROSŁYCH

Ostatnia książka Jacka Woźniakowskiego, *Czy artyście wolno się żenić?*, jest dalszym ciągiem — tyle że wstecz prowadzącym — jego książki *Co się dzieje ze sztuką*. Tamta była zbiorem esejów dotyczącym przemiany obyczajów i poglądów artystycznych od końca XIX wieku do czasów ostatnich (zawiera ona m.in. najbardziej wnikliwe studium o kapistach na tle ich epoki). W ostatnim tomie autor tropi wszystkie wątki i przemiany obyczajów i poglądów na sztukę od czasów stanisławowskich do późnego romantyzmu.

Dlaczego ta książka jest dla mnie taką niespodzianką? Bo stosunek mój do niej od pierwszego z nią zetknięcia — to znaczy od jej kartkowania, wypadkowego czytania tekstów (przeglądając jednocześnie masę ilustracji, jakże ciekawie dobranych), a przeczytaniem i doczytaniem jej do końca — był diametralnie sprzeczny! Jeżeli o tym piszę, to dlatego, że człowiek kupujący książkę o tytule prawie że frywolnym może, tak samo jak ja, być zaskoczony i nawet odrzucony nie wagą tej książki, ale jej stylem tak gęstym, wolnym od wszelkiej łatwizny.

Co do mnie, to ją odrzucałem na początku, natrafiwszy na esej o symbolach i alegorii: Freud, Jung, Ricœur i kufer wątków historycznych, filozoficznych, podanych w skrócie, nie na moje zęby, stronice tak gęsto natkane nazwiskami, tytułami książek, bez jakiegokolwiek szerszej o nich wzmianki, genealogiami. Doprowadziło mnie to do myśli, że tak pisać nie można, że taka erudycja miazdży tekst. Erudycja z dziedziny sztuki i literatury o sztuce polskiej, angielskiej, niemieckiej, francuskiej stwarza wrażenie, że czytamy encyklopedię!

W pierwszym, jakże ciekawym eseju o wożaczach po Zachodzie w epoce stanisławowskiej trafiam na najszerzej omawiany dziennik Jana Onufrego Ossolińskiego, dziennik ciekawy bo typowy, ale bynajmniej nie wybitny, złą francuszczyzną na polecenie ojca pisany, do tego pod przemożnym wpływem sławnej wówczas książki abbé Coyér, kapelana kawalerii (!), o którym to dziele, tak wówczas popularnym, Woźniakowski wyraża się z bardzo umiarkowanym uznaniem. Otóż z samego początku genealogie i koligacje tegoż Ossolińskiego (bardzo ważne dla osadzenia go w tej a nie innej sferze) zajmują całą stronę, włącznie do ciekawostek genealogicznych powiązań jego ciotki, pani de Leovendal, z Francuzami. Tak samo na początku ostatniego eseju „Czy artyście wolno się żenić?” spodziewałem się, że tu odetchnę i nareszcie się dowiem czy malarzowi wolno się żenić, trafiam na strony gdzie widzę pod rząd wyliczone nazwiska i szeregi dzieł Żmichowskiej, Szweykowskiego, Kraszewskiego, Tyszyńskiego, Morzkowskiego, Kaczkowskiego, Korzeniowskiego, Murgera, Champfleury, Baudelaire’a, Norwida, Makowieckiego itd., itd. Uff!

A przecie wgrzyzenie się w te zwały tekstów, diariuszów, książek, wielokrotnie drugo- i trzeciorzędnych, doprowadza — dlatego właśnie, że nie są selekcjonowane pod kątem klasy pisarskiej — do najbardziej interesujących wniosków — bo tu ideał co raz to bruku dotyka i daje dzięki temu widzenie najszersze stosunku społeczeństw pewnej epoki do omawianego tematu, odruchów tej czy innej warstwy społeczeństwa.

Dopiero gdy wczytałem się w tę książkę naprawdę i do końca, odwołać musiałem jeżeli nie wszystkie, to prawie wszystkie krytyki, a cały ładunek myśli, erudycji, kapitałnych powiązań w czasie, wątków, jak one powstają w kilku krajach — wszystko to zaczęło mnie nie tylko przejmować, ale zaraziło entuzjazmem.

Od pierwszej części — poświęconej przeważnie podrójom naszych rodaków i wpływom klasycyzmu, neoklasycyzmu, baroku na Polskę na przełomie XVIII i XIX wieku — przechodząc przez rozdziały o symbolu i alegorii, dla mnie najtrudniejsze, docieram do rozdziałów poświęconych kilku Anglikom; były one dla mnie pod wielu względami rewelacją.

Od cytatów z dziennika Turnera do nieznanego mi Hazlitta, od myśli Fuseliego do Ruskina, ile mi się nasuwa uwag sięgających szerzej niż sama Anglia.

Tak się zdarzyło, że jednocześnie z czytaniem tej książki obejrzałem w Grand Palais rzadkiej piękności wystawę włoskich

taszystów „I Macchiaioli”. Któż ich zna na świecie? Czy ja jeden mam taką lukę? Przecie ci Toskańczycy, współcześni francuskich impresjonistów, dorównują im w sensie *qualité* malarskiej, wprowadzając w to malarstwo, wówczas również nowoczesne, rzadki element umiaru, który bardziej przypomina najlepsze, rzymskie jeszcze, pejzaże Corota, niż francuskich impresjonistów.

Czytając Woźniakowskiego o sztuce i krytyce angielskiej, patrząc na włoskich malarzy, zdawało mi się, że trzeba by na nowo napisać historię malarstwa XIX wieku. Nic nie ujmując wielkości kolejnych, w Paryżu poczętych rewolucji malarskich — od impresjonizmu poczynając — może Woźniakowski ma rację pisząc o francuskim szowinizmie, który wprost nie widział tego, co poza Francją się działo.

Jeżeli o tym piszę, to dlatego że sprawa ta nie tyczy Francji tylko, ale całej generacji polskich artystów, która z Francji wyniosła to co było najlepszego z kultury malarskiej XIX wieku. Patrząc na to może zbyt subiektywnie, przez okulary moich przeżyć i bliskich przyjaciół malarzy. Nie tylko te wątki malarstwa włoskiego nie były nam znane, ale dorobek angielski był również w cieniu. Constable naturalnie — chociażby z powodu entuzjazmu jaki budził u Delacroix — został zaliczony i do naszych świątków malarskich i serdecznie znany, ale świadomość prekursorstwa i miary Turnera trafiła do nas z wielkim opóźnieniem. Ruskina zaś — jeżeli o mnie chodzi — odkryłem dopiero przez Prousta, a przecie w latach 1900 i 1901 Warszawa uczciła go dziesięciu tomikami tłumaczeń!

Woźniakowski wylicza szereg książek, studiów o Anglii, wydanych w Polsce w końcu XIX wieku; aż do czasu pierwszej wojny światowej autor naliczył koło 20 tytułów polskich książek, studiów i tłumaczeń o sztuce angielskiej. Skąd ten brak zainteresowania tematyką plastyki angielskiej w latach naszej niepodległości?

Rozległość, zadziwiająca bogactwo myśli i kultury malarskiej; dzieła Fuseliego — tego Anglika z wyboru — Turnera i innych nie powstały bynajmniej na pustyni: w latach 1800-1850 wychodziło w Wielkiej Brytanii 30 pism zajmujących się sztuką — 8 z tych pism istnieje dotychczas!

Co mnie zaskoczyło najbardziej, to wypowiedzi Turnera, wcześniejsze o sto lat od tak do nich podobnych wypowiedzi Cézanne'a (o odnajdywaniu w nietrwałych kształtach natury czystych form trójkąta, koła, sześcianu lub stożka). W innych

tekstach pisze Turner o liniach kierunkowych, o „napięciach kierunkowych” — jak pisali nasi futuryści — w innym miejscu o wykorzystaniu wypadku jak taszyści ostatniej doby, ale tu jednak ma Turner chyba Leonarda, i nie tylko jego, za prekursora.

Jakże ciekawy i nieoczekiwany jest Fuseli w swych myślach o sztuce, choć jako do malarza nigdy się do niego nie umiałem przekonać. Przecie Fuseli umarł w 1825 roku, gdy jeszcze na świecie królował w pełni kult wielkich tematów, gdy nawet portret — już nie mówię o martwej — był uważany za sztukę niższą („wracaj szybko do twego Plutarcha” — mówił chyba David, wyrzucając sobie stratę czasu — malowanie portretów).

„Artyści — pisze Fuseli — najbardziej bezsilni, najbardziej wulgarni, najzimniejsi, wybierają zwykle tematy najpotężniejsze, najgodniejsze, najgorętsze...”

Ten ma w sobie moc, godność, ogień, kto zdoła drobiazg nasycić znaczeniem”.

Rozdział o Hazlicie daje nam nie tylko wiadomości o jego pismach, ale obraz samego człowieka, jego zdolność do uniesień, bezwzględną bezinteresowność, nacisk na ekspresję w sztuce oraz jego poglądy na szereg malarzy angielskich, miłość do Hogartha i ironiczną niechęć do Reynoldsa, wówczas u szczytu sławy, którego uważa za „pracowitego kompilatora”.

Jakże pasjonujące są jego spotkania ze Stendhalem, z którym się przyjaźnił, spotkania ich przed „Rzezią w Chios” Delacroix i różne ich oceny. Jeden Hazlitt doczekał się dziś u nas wyboru pism „z celnym postowiem” Krzczakowskiego — jak nam pisze Woźniakowski. Czy ta książka Krzczakowskiego jeszcze istnieje, czy też jak dziesiątki innych najlepszych, jak *Postludia* Mycielskiego, zginęła z powodu zbyt szczupłego nakładu?

Studium o Ruskinie, najdłuższe w dziale angielskim książki Woźniakowskiego, ma jedną tylko wadę — jest za krótkie. Widzimy tutaj wszystkie etapy myśli Ruskina, tematy jego dzieł, urzeczenie Włochami, Wenecją, gotykiem, uczczenie Turnera (Ruskin nie tylko że pisał o Turnerze z entuzjazmem, ale sam skatalogował koło 20 tysięcy jego akwarel dla londyńskiej National Galery). Czytamy również o głębokim przewrocie moralnym, który przeżył Ruskin gdy sobie nagle uświadomił, że Londyn, że miasta angielskie, że kopalnie angielskie to wielotysięczne armie głodomorów żyjących z tego co znajdują po śmietnikach. Anglicy ówczesni, zdawałoby się, tego nie zauważali (tak samo jak my nie zauważamy Trzeciego Świata — dodaje Woźniakow-

ski). Píše on o walce Ruskina o godność człowieka, o walce o najbiedniejszych. Trudno uwierzyć, że ten sam człowiek miał jako uczniów swoich szalonych nieraz pomysłów Wilde'a i Arnoldda, Toynby'ego, że Stanisław Witkiewicz pisał o nim z zachwytem najwyższym, a Woźniakowski, pisząc o tej fazie jego działalności, wspomina Adama Chmielowskiego, późniejszego Brata Alberta; więcej jeszcze — dwa miesiące przed śmiercią Janusz Korczak, notując książki, o których napisaniu jeszcze marzy, pisze między innymi o projektowanej przez siebie książce o Ruskinie!

Był on nie tylko mistrzem Prousta, ale bez niego może nawet Prousta by nie było. O tym wiedzieliśmy wszyscy czytelnicy Prousta, ale nigdy tego związku najbliższego pokrewieństwa nie odczułem tak silnie, jak czytając w eseju Jacka fragment tłumaczony z Ruskina; zdawało mi się, że śnię — przecie to jest Proust! jego styl, jego zdolność wiązania opisu natury z historią, opis cudowny jeziora genewskiego... „bezfalista woda okryta mglistą zasłoną przez Atenę utkaną... światło ranne nadzwyczaj spokojne i niemal bezbarwne... które przybiera barwę bursztynu” u stoku Salève i dalej o tej barwie tak delikatnej, w tym samym bursztynowym świetle, w którym jest „nie tyle nawet barwy ile w najbardziej uschłym liściu”. Tekst ten kończy się apoteozą wielkiego plemienia, które rodzi Turnera, „geniusza, który czytał legendy homeryckie o chmurach i patrzył na bogów o brzasku”. Tu się zatrzymuję, bo chciałbym cytować wszystko.



Bernard de Fallois pisze we wstępie do *Contre Saint-Beuve* Prousta, że wszelkie poznanie musi mieć dwa etapy (*en deux temps*) i dopiero wtedy sąd nasz nabiera jakiegoś wymiaru. Dziś, po wczytaniu się w książkę Jacka Woźniakowskiego, stawiam mu pierwszy zarzut i jedyny poważny: jest za krótka i dlatego tylko czytelnika coraz to przytłacza ilością materiału, ilością wiadomości, tematów i — mówiąc językiem Hazlitta i futurystów — ilością napięć kierunkowych. Ta książka powinna by być przynajmniej w dwóch czy trzech tomach, w rozmiarach chociażby *Głosów milczenia* Malraux. Czy jednak można w naszych czasach radia i tak czasochłonnej telewizji marzyć o czytelnikach takich, jakich mieli Hazlitt, który napisał 21 opasłych tomów *petitem*, czy Ruskin, który napisał takich samych tomów ze trzydzieści? Na pewno nie, ale książki tej miary czytelników zawsze znajdą i powinny by się ukazywać w wielkich nakładach. Mogłoby to mieć niezwykle wpływ na rozwój kultury

polskiej, na świadomość jej ciągłości i głębokich związków z kulturą powszechną.

Drugi mój zarzut to tytuł książki, który zwodzi. Prawda, że pod tym względem Woźniakowski ma świetnego prekursora. Znana jest historia wydanej podczas pierwszej wojny światowej w Krakowie książki Boya Żeleńskiego, jego tłumaczenia *Rozprawy o metodzie* Kartezjusza. Boy opatrzył tę książkę opaską „Tylko dla dorosłych” i dzięki niej nakład rozszedł się błyskawicznie, ale, o ile wiem, autor książki *Czy artyści wolno się żenić?* nie miał nigdy sławy autora wierszyków frywolnych, a to właśnie było powodem sukcesu książki Boya.

A jednak i do tytułu książki, którą omawiam, warto by dodać również, ale to najpoważniej — „tylko dla dorosłych”, bo książka ta wymaga nie tyle uwagi i pasji, by ją naprawdę przeczytać i przeżyć. Kryje ona w sobie takie bogactwo przemyślanego i różnorodnego materiału, że jej czytelnik od pierwszej chwili powinien by wiedzieć, że jest warta stokrotnie więcej niż jej wesoły tytuł zapowiada.

(*Kultura* nr 4/379, 1979)

SPIS RZECZY

Z PIERWSZYCH LAT PARYŻA

<i>Ze wspomnień</i>	9
<i>Błok i swoboda tajemna</i>	16
<i>Groby czy skarby</i>	24
<i>Pamięci Bernanosa</i>	32
<i>Spowiedź Dziecięcia Wieku</i>	44
<i>Czy Maritain miał rację?</i>	56

TUMULT I WIDMA

<i>Prawie niebo</i>	65
<i>Czarne lustro</i>	71
<i>Łańcuch niewidzialny</i>	82
<i>Malowane życie, malowana śmierć</i>	95
<i>„D z w o n k i”</i>	110
<i>„It is our custom”</i>	120
<i>Amerykańskie ścieżki</i>	137
<i>Tumult i widma</i>	144

LUDZIE I KSIĄŻKI

<i>„J a”</i>	167
<i>„Montagnes Russes”</i>	178
	349

<i>O wyborze pism Rozanowa</i>	187
<i>Listy ambasadora Kota</i>	196
<i>O paszkwilu</i>	202
<i>Narodowość czy wyłączność</i>	219
<i>Akademia i Norwid</i>	226
<i>„Tamten brzeg” i własne wspomnienia</i>	234
<i>Querido Bob</i>	249
<i>O Pawle Hostowcu</i>	257
<i>O Brzozowskim</i>	262
<i>O Haupcie</i>	277
<i>C e d r</i>	285
<i>Głosy z daleka</i>	290
<i>Lechoń i jego dziennik</i>	304
<i>Śmierć Mauriaca</i>	311
<i>Dwie prowokacje</i>	315
<i>S o ł ż e n i c y n</i>	322
<i>Malraux</i>	328
<i>Rozrachunki</i>	334
<i>Tylko dla dorosłych</i>	342



O. ...	181
Lary ...	182
O. ...	202
Navodnost ...	219
Abakani ...	226
"Laster ..."	234
Osculo ...	245
O. ...	257
O. ...	269
O. ...	277
Cedr ...	283
Glory ...	298
Lach ...	304
Spirit ...	311
Over ...	313
Satt ...	322
Moiran ...	328
Rozrachunki ...	334
Tylo ...	342

ACHEVE D'IMPRIMER
 LE 21 JUILLET 1981
 SUR LES PRESSES DE
 L'IMPRIMERIE RICHARD
 24, RUE STEPHENSON,
 PARIS (XVIII^e).

Dépôt légal : 3^e trim. 1981.

Odkwaszone

24-09-2008

.....
Instytut Literacki
Maisons-Laffitte
30.X.81

F. 85.00